

Lincoln CHILD

www.prestonchild.com www.lincolnchild.com

LINCOLN CHILD - znany pisarz amerykański, współautor (z Douglasem Prestonem) kilkunastu bestsellerowych thrillerów. Po ukończeniu studiów pracował w wydawnictwie St. Martin's Press jako redaktor, a od 1987 jako analityk w firmie ubezpieczeniowej MetLife. W 1988 nawiązał współpracę literacką z Prestonem. Jej owocem była wydana w 1994 powieść Relikt, niedługo później sfilmowana przez Petera Hyamsa. Wspólnie napisali kilkanaście książek, opublikowanych także w Polsce, m.in. Relikwiarz, Gabinet osobliwości, Zabójczą falę, Taniec śmierci, Krąg ciemności, Kult i Gideon's Sword. W 2002 ukazała się pierwsza samodzielna powieść Childa, Utopia, a wkrótce potem kolejne -Eden i Głębia.

Tego autora

EDEN GŁĘBIA UTOPIA

z Douglasem Prestonem

KRĄG CIEMNOŚCI KULT

LINCOLN

Child

Utopia

Z angielskiego przełożyła IZABELA MATUSZEWSKA

Tytuł oryginału: UTOPIA

Copyright © Lincoln Child 2002 All rights reserved Published by arrangement with Doubleday, part of the Doubleday Publishing Group, a division of Random House Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011 Polish translation copyright

© Izabela Matuszewska 2011

Redakcja: Jacek Ring Ilustracja na okładce: Image Works/Corbis/FotoChannels Projekt graficzny

okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-200-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz. t./f.

22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009 www.olesiejuk.pl

Sprzedż wysyłkowa - księgarnie internetowe www.empik.com www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl www.ksiazki.wp.pl www.amazonka.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954

Warszawa

2011. Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Podziękowania

Wiele osób pomogło mi w napisaniu tej książki. Niemal od samego początku w pracę nad nią zaangażowany był mój kuzyn, Greg Tear, który okazał się skarbnicą pomysłów oraz niez mordowanym, twórczym słuchaczem. Mój agent w Janklow & Nesbit, Erie Simonoff, dokonał heroicznego czynu przeczytania (niech mu Bóg wynagrodzi — dwukrotnego!) rękopisu i służył mi wieloma cennymi uwagami. Niezwykle przenikliwą i pomocną czytelniczką okazała się Betsy Mitchell; dzięki niej oraz jej kolegom książka jest dużo lepsza. Matthew Snyder z Creative Artists Agency po raz kolejny udowodnił, że jest najlepszym czarnym charakterem na Zachodnim Wybrzeżu.

Chciałbym podziękować mojemu redaktorowi z Double-day, Jasonowi Kaufmanowi, za jego entuzjazm i nieocenioną pomoc. Agentowi specjalnemu Douglasowi Margini za porady w sprawie

broni palnej oraz procedur stosowanych przez służby bezpieczeństwa. Specjalne podziękowania chcę złożyć współpiskowcowi i partnerowi, Douglasowi Prestonowi, za jego ogromny wkład, a przede wszystkim za to, że zachęcał mnie do napisania tej książki. W trakcie naszej wspólnej pracy nad siedmioma powieściami okazał się lojalnym partnerem i przyjacielem i z niecierpliwością oczekuję kolejnych siedmiu wspólnych dzieł. Przyjmij moje ukłony, Doug.

Są również inne osoby, których mniejszy lub większy wkład chciałbym docenić: Bob Wincott, Lee Suckno, Pat Allocco, Tony Trischka, Stan Wood, Bob Przybylski. Są bez wątpienia również inni, których tu nie wymieniłem i których z góry pokornie przepraszam.

Dziękuję wielu członkom elektronicznej tablicy ogłoszeniowej Prestona-Childa — nigdy nie zapomnę waszego entuzjazmu i zaangażowania.

I wreszcie na koniec chciałbym złożyć niezmiernie ważne podziękowania trzem kobietom mego życia: mamie Nancy, żonie Luchie i córce Veronice — dzięki nim mogła powstać ta książka.

Nie trzeba dodawać, że Utopia, jej pracownicy i goście, są od początku do końca zmyśleni.

Wszelkie podobieństwo do osób, miejsc oraz rzeczy poza parkiem jest również fikcyjne lub wykorzystane fikcyjnie.

Prolog

To było największe osiągnięcie, Corey doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie tylko dostał T-shirt z Kubą Rozpruwaczem, choć mama od trzech miesięcy się zarzekała, że nigdy w życiu, za żadne skarby mu nie kupi, ale teraz cała rodzina miała jechać kolejką górską Notting Hill. Każdy wiedział, że to najbardziej zwariowana jazda i to nie tylko w Gazolocie, ale w całym parku. Dwóch jego kolegów ze szkoły było tu w ferie i żadnego rodzice na nią nie puścili. Ale Corey postanowił się zaprzec. Zauważył, że mama i tata świetnie się bawią. Czuł, że tak będzie, w końcu znajdowali się w najnowocześniejszym i najlepszym parku rozrywki na świecie. Jedna po drugiej kruszały wszystkie rodzinne zasady, aż w końcu uznał, że najwyższa pora pójść na całość. Pół godziny nieustającego jęczenia zmęczyło ich do reszty. I teraz, kiedy kolejka przed nim malała z minuty na minutę, wiedział, że dopiął celu.

Nawet jak na tutejsze atrakcje Notting Hill była niesamowita. Stali w krętej, ciemnej uliczce. Po obu stronach majaczyły stare budynki, lekki, chłodny wiatr niósł zapach stęchlizny. Ciekawe, jak to zrobili. W ulicznych latarniach paliły się prawdziwe płomyki. W powietrzu oczywiście wisiała mgła jak w całym Gazolocie. Zobaczył przed sobą rampę dla wsiadających. Dwie kobiety w zabawnych kapeluszach i długich, ciemnych sukniach pomagały grupce pasażerów wsiąść do niskiego, odkrytego powozu z drewnianymi kołami. Potem zamknęły drzwiczki i cofnęły

11

się. Powóz wyrwał do przodu, koła obracały się rytmicznie, lecz po chwili wszystko razem znikło pod czarnym zadaszeniem, a do rampy podjechał następny pusty pojazd. Do środka wsiadła kolejna partia pasażerów i drugi powóz zniknął w ciemnej czeluści. Nadeszła jego kolej.

Przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę Corey przestraszył się, że okaże się za niski na tę jazdę, więc gdy przechodził obok drążka wyznaczającego minimalny wzrost pasażera, dokonał isticie herkulesowego wysiłku, by wyciągnąć czubek głowy jak najwyżej. Drżał z emocji, kiedy kobieta w sukni wpuszczała ich do powozu. W środku pomknął jak fretka, aby zająć miejsce z przodu i usadowił się wygodnie.

Ojciec zmarszczył brwi.

— Na pewno chcesz tu siedzieć, kapitanie?

Corey pokiwał energicznie głową. W końcu to właśnie w Notting Hill robiło największe wrażenie: że pasażerowie siedzieli do siebie przodem, a to oznaczało, że ci na przednich siedzeniach jadą tyłem!

— Mnie się to wcale nie podoba — jęknęła jego siostra.

Corey szturchnął ją z całej siły w bok, żeby siedziała cicho.

Że też nie może mieć takiego równego, starszego brata, jak Roger Prescott, tylko płacziwą siostrę, która czyta książeczki

0 konikach i uważa, że gry komputerowe są brzydkie.

— Proszę trzymać ręce i nogi w środku barouche — powiedziała kobieta tym dziwnym akcentem, który Corey uznał za angielski.

Nie miał pojęcia, co to jest to barouche, ale to nieważne. Najważniejsze, że oto siedzi w kolejce Notting Hill i nikt go już teraz nie zatrzyma.

Kobieta zamknęła drzwiczki, przed piersiami pasażerów samoistnie opuściły się barierki zabezpieczające. Jego siostra pisnęła cicho ze strachu. Corey prychnął. Kiedy ruszyli, wychylił się w bok i wyciągnął szyję w górę, a potem w dół, dopóki mama go nie złapała i nie usadziła z powrotem. Zdążył jednak zauważyć, że powóz stoi na czymś w rodzaju bieżni, dobrze zamaskowanej

1 prawie niewidocznej w półmroku, a koła obracają się tylko na niby. Ale to nieważne.

Wagonik potoczył się w ciemność, a do-

12

okoła rozległ się stukot końskich kopyt. Corey wstrzymał oddech, a twarz sama mu się śmiała z podniecenia, kiedy poczuł, że powóz wjeżdża stromo pod górę. Z ciemności wyłoniły się niewyraźne zarysy miasta: z tysięcy mrugających spiczastych dachów unosiły się w nocnym powietrzu smużki dymu, a w oddali wyrosła zapierająca dech wieża. Nikt z pasażerów nie widział

natomiast małej kamery na podczerwień ukrytej w oknie na najwyższym piętrze.

A X X

Trzydzieści metrów niżej Allan Presley patrzył znużonym wzrokiem, jak na monitorze chłopak w koszulce z Kubą Rozpruwaczem pnie się pod górę po wzniesieniu alfa. Od czterech miesięcy ta koszulka była najlepiej sprzedającym się gadżetem w Gazolicie pomimo zawrotnej ceny dwudziestu dziewięciu dolców za sztukę. Zdumiewające, jak ochoczo otwierały się portfele, kiedy ludzie tu przyjeżdżali. A skoro mowa o otwieraniu, to dzieciakowi szczeka opadła jak na karykaturze. Obracając się głowa pozostawiała na monitorze podczerwieni nagle zielonkawą smugę ciepła, podczas gdy jego powóz wznosił się ponad dachy wiktoriańskiego Londynu. Rzecz jasna chłopak nie miał pojęcia, że wznosi się w środku wielkiego cylindra, gdzie ponad dwadzieścia projektorów wyświetla cyfrowy obraz na powierzchnię przetykaną światłowodowym krajobrazem miasta. Sukces tkwił w złudzeniu optycznym. W Utopii wszystko było iluzją.

Presley rzucił przelotnie okiem na dziewczynkę siedzącą obok chłopaka. Za młoda. Poza tym dzieciaki były z rodzicami. Westchnął.

Na trasach wszystkich kolejek w Utopii nad ostatnimi, najbardziej emocjonującymi zjazdami zamontowano kamery, które rejestrowały miny pasażerów. Można było zapłacić pięć dolarów i kupić własne zdjęcie, najczęściej z szaleńczym uśmiechem od ucha do ucha albo miną zmartwiałą ze strachu. Jednak wśród co bardziej zuchwałych dziewcząt powstał tajemny zwyczaj odsłaniania biustu przed kamerą. Oczywiście zdjęć tych nigdy nie puszczano w obieg, ale mężczyźni z obsługi technicznej parku czerpali z tej praktyki mnóstwo uciechy. Ukuli nawet

13

termin na jej określenie: obieranie melonów. Presley pokręcił głową. Załoga z wodnej rynny w Promenadzie zdobywała dwanaście, piętnaście widoczków dziennie. Tutaj, w Gazolicie, zdarzało się to dużo rzadziej, zwłaszcza tak wcześnie rano.

Z kolejnym westchnieniem odłożył na bok Georgiki Wer-giliusza i szybko przeleciał wzrokiem pozostałych trzydzieści sześć monitorów rozmieszczonych na ścianie sali kontrolnej. Spokój, jak zwykle. Jak na Utopię, Notting Hill było pod względem konstrukcyjnym stosunkowo tradycyjną kolejką górską, mimo to jakoś na siebie zarabiało. Największy ubaw miał Presley, ilekroć jakiś idiota próbował wysiąść z powozu w połowie drogi. Nawet na tę ewentualność przygotowano odpowiednie procedury: na drodze włączał się alarm, Allan informował operatora wieży, aby zatrzymał kolejkę, a on wysyłał meldunek, aby gościa wyprowadzono na zewnątrz.

Spojrzał na kamerę numer cztery. Powóz chłopaka był na samym szczycie wzniesienia. Za sekundę zgaśnie nawet ta odrobina światła, która się tam pali, powóz ruszy na pierwszy zjazd i zacznie się prawdziwa zabawa. Podniecenie malujące się na chłopięcej buzi widać było wyraźnie nawet na zdjęciach w upiornej podczerwieni. Allan usiłował sobie przypomnieć swoją pierwszą przejażdżkę Notting Hill. Chociaż jako kierownik odcinka jeździł nią setki razy, znał tylko jedno słowo, które mogło to opisać — magia.

Zatrzeszczał głośnik na konsoli.

— Cześć, Elvis.

Nie odpowiedział. Biały mężczyzna o nazwisku Presley musiał się liczyć w Ameryce z niezliczonymi przycinkami. Zupełnie jakby nazywał się Hitler. Albo Chrystus, zakładając, że ktoś z jajami...

— Słyszysz mnie, Elvis?

Rozpoznał nosowy głos Cale'a z Gomitwy.

— Słyszę cię, słyszę — odparł Presley do mikrofonu.

— Co u ciebie?

— Nic. Martwa cisza.

— Tu też. No, prawie. Od rana miałem pięciu rzygaczy, jednego po drugim. Szkoda, że tego nie widziałeś: wyjdzie

14

wyglądało jak pole bitwy. Musieli zamknąć kram na dziesięć minut i wezwać ekipę sanitarną.

— Fascynujące.

W pokoju kontrolnym dało się poczuć głębokie drganie, dochodzące gdzieś z trzewi maszynerii, kiedy jeden z powozów runął w dół na ostatnim, pionowym zjeździe. Presley odruchowo spojrzął na rząd kamer pokazujących wagonik podjeżdżający do rampy dla wysiadających. Oszołomione, zachwycone twarze.

— Daj znać, jak będziesz miał coś ciekawego — ciągnął Cale. — Jeden kucharz z bufetu mówił, że spodziewają się dziś wieczorem jakiejś żeńskiej wycieczki studenckiej. Może zostanie trochę dłużej po służbie.

Na konsoli przed Presleyem zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza.

— Muszę kończyć — powiedział. Wcisnął guzik łączący go z operatorem wieży. — Mam awarię zapadki zabezpieczającej na skřęcie omega.

— Tak, widzę — nadeszła odpowiedź. — Gdzie są roboty?

— Na smarowaniu w Stawie Duchów.

— Dobra, dzwonię do technicznego.

— Rozumiem.

Presley oparł się na krzesło i jeszcze raz przejrzał monitory. Zawsze zapalały się jakieś lampki ostrzegawcze. Kolejki wyposażono w tyle nadprogramowych zabezpieczeń, że tak naprawdę nigdy nie było się czym martwić. W większości alarmy okazywały się fałszywe, a największe niebezpieczeństwo czyhało na mechaników, którzy musieli trzymać swoje puste głowy i palce z dala od pędzących wagonów, kiedy urządzenie było włączone.

X X X

Corey ścisnął kurczowo barierkę, która trzymała go na miejscu, i wrzeszczał na całe gardło. Czuł, jak siła przyciągania napiera na jego pierś, jak ciągnie go pod pachami, jak usiłuje wyrzucić go z powozu. Na szczycie wzniesienia, jak informowała historyjka obrazkowa, ich wyimaginowane konie spłoszyło jakieś widmo i zwierzęta rzuciły się do ucieczki, ciągnąc za sobą powóz. Otaczało go istne pandemonium dźwięków — turkot uciekającego

15

pojazdu i przeraźliwe rzenie spłoszonych zwierząt. Ale nad wszystkim tym górował ciągły, przesywający krzyk jego siostry, który sprawiał mu niewymowną satysfakcję. Przeżywał najwspanialsze chwile w swoim życiu.

Pędzili pod górę po bruku przez zapierające dech w piersiach ruchome dekoracje: opustoszały, ponury staw; labirynt ciemnych, wąskich uliczek; portowe zaułki z gnijącymi pirsami i tonącymi w mroku klipkami. Powozem szarpnęło kilka razy tak mocno, aż Corey poczuł to w trzewiach.

Ścisnął dźwignię jeszcze mocniej, bo słyszał od kumpli dużo opowieści o tym, co czeka pasażerów na końcu tej jazdy: powóz przechyliła się na bok na zboczcu wzgórza i stacza prosto w ciemną pustkę.

xxx

— Jestem przy dziewięćdziesiątej pierwszej zapadce. Wszystko w porządku. Hej, Dave, wiesz, dlaczego lekarz każe odwracać pacjentowi głowę, kiedy bada mu wacka?

— Nie.

Jednym uchem Presley nasłuchiwał rozmów mechaników przez radio, ale nie za bardzo zważał na to, co mówią. Omiótł spojrzeniem monitory, po czym wrócił do swoich Georgik. W college[^] uniwersyteckim w Birmingham wziął literaturę klasyczną za przedmiot kierunkowy, zamierzał potem iść na studia magisterskie, ale teraz nie mógł już zebrać w sobie dość zapału, aby rzucić Utopię i wrócić do szkoły. Był prawdopodobnie jedyną osobą w całej Nevadzie mówiącą po łacinie. Raz próbował nawet poderwać na to jakąś laskę, ale nie zadziałało.

— Ktoś mi to kiedyś wyjaśnił: to po to, żeby na niego nie kasłać.

— Bez jaj, naprawdę? A ja zawsze myślałem, że to jakiś ważny powód medyczny, no bo... rany boskie! Zapadka dziewięćdziesiąt cztery jest spalona!

Presley wyprostował się na krzesło i zaczął uważniej nasłuchiwać.

— Co to znaczy „spalona”? Przecież to nie żarówka, do cholery!

— To, co powiedziałem, dymi i cuchnie jak sto diabłów.

16

Musiała być przeciążona. W życiu czegoś takiego nie widziałem, nawet w symulatorze. Wygląda na

to, że dziewięćdziesiątkapiątka tak samo...

Presley zerwał się na równe nogi, krzesło zakręciło się i ze stukotem odjechało w tył. Spojrzał na wykres toru. Zapadki dziewięćdziesiąt cztery i pięć kontrolowały ostatni, pionowy zjazd ze skreśtu omega.

Niedobrze. Oczywiście zabezpieczenia zatrzymają wszystkie nadjeżdżające wagony, ale Presley nigdy przedtem nie słyszał, żeby zepsuła się zapadka, a tym bardziej dwie z. rzędu, i bardzo mu się to nie podobało. Złapał radio i wezwał operatora wieży.

— Frank, zamknij ją! Wyłączaj kolejkę!

— Właśnie to robię. Ale... Boże, jeden wagon właśnie przejeżdża...

Wyćwiczony wzrok Presleya pomknął w stronę monitorów. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

W dół ostatniego zbocza Notting Hill pędził właśnie powóz, ale nie był to równy, kontrolowany zjazd, jaki widywał tysiące razy. Wagonik odchylił się w bok od pionowego toru, a odcepione podwozie chybotąło się niebezpiecznie. Pasażerów wcisnęło w barierkę zabezpieczającą. Ściskali się nawzajem, ich oczy i różowe języki tworzyły na monitorze bladozielone plamy. Do pokoju kontrolnego nie dochodziły żadne odgłosy, ale Presley widział, że wszyscy krzyczą.

Powóz przechylał się coraz bardziej, w miarę jak nabierał prędkości. Potem wstrząsnęło nim gwałtownie i jeden z pasażerów poleciał do przodu. Jego małe rączki rozpaczliwie usiłowały się czegoś chwycić, ale miotające nim siły były zbyt duże — dłonie ześliznęły się z barierki, wymknęły z wyciągniętych ramion rodziców i kiedy chłopiec leciał z zastraszającą prędkością w stronę kamery, wywijając w powietrzu koziółki, Presley zdołał tylko rozpoznać wzór Kuby Rozpruwacza na T-shircie, zanim obraz z uderzonej kamery zniknął na dobre.

7.30

Od miejsca, w którym zaczyna się Strip przy Charleston Boulevard, Rancho Drive skręca jakby od niechcenia w lewo, po czym kieruje się na północny zachód, w kierunku Reno, prosto jak strzała pokonując wszelkie naturalne i sztuczne pokusy do skręcania, jak gdyby spieszo jej było zostawić za sobą neony i zielone trawniki miasta. Podmiejskie motele, centra handlowe, a wreszcie nawet żalosne namiastki przedmieść zostają w tyle. Pustynia Mohave, wcisnięta tam pod asfalt i beton, odzyskuje swoje włości. Pajęczce odnoża piasku wkradają się na jezdnię, którą drogowskazy zaczynają odtąd nazywać trasą numer dziewięćdziesiąt pięć. Nad prawie nagim pustkowiem, upstrzonym z rzadka włochatymi jukkami, sprawują dowództwo wielkie kaktusy. Po opuszczeniu rozgorączkowanego, roziskrzonego tłumu miasta stopniowe zanurzenie w ten pusty przestwór przypomina przejście do innego świata. Jeśli nie liczyć drogi, miejsce to sprawia wrażenie nietkniętego ludzką ręką.

Energicznym ruchem Andrew Warne poprawił lusterko wsteczne i westchnął z ulgą kiedy oślepiający blask przestał go razić w oczy.

— Jak mogłem przyjechać do Vegas bez okularów przeciwsłonecznych? — zapytał. — W tym miejscu słońce świeci przez trzysta sześćdziesiąt sześć dni w roku.

Dziewczyna siedząca obok niego uśmiechnęła się z łagodną ironią i poprawiła słuchawkę w uchu.

21

— Oto cały mój tata. Klasyczny roztargniony profesor.

— Chciałaś powiedzieć: były profesor.

Droga przed samochodem ciągnęła się płonąca, białą linią. Na pustyni wybielonej słonecznym żarem jukki i krzewy kreozotowe majaczyły niczym blade widma. Leniwym ruchem Warne przyłożył dłoń do szyby, ale zaraz szybko ją cofnął. Wpół do ósmej rano, a musiało być prawie czterdzieści stopni. Nawet wynajęty samochód przystosował się do pustynnych warunków: automatyczna regulacja temperatury zacięła się w pozycji maksymalnego chłodzenia.

Kiedy zbliżali się do Indian Springs, na wschodzie otworzyła się ogromna płaska równina — Bazy Sił Powietrznych Nellis. Co kilkanaście kilometrów mijali stacje benzynowe, zupełnie nie na miejscu w tej otaczającej pustce, błyszczące, nowiutkie, jakby je przed chwilą wyjęto z pudełka. Zerknął na zadrukowaną kartkę przypiętą do folderu między siedzeniami. Już niedaleko, pomyślał Warne i w tej samej chwili zobaczył znak zjazdu, jaskrawozielony, świeżutki. „Utopia. Półtora

kilometra".

Dziewczyna też zauważyła drogowskaz.

— Jeszcze tu jesteśmy? — spytała.

— Bardzo zabawne, księżniczko.

— Wiesz, że nie znoszę, kiedy mnie nazywasz księżniczką. Mam czternaście lat, to przydomek dobry dla małej dziewczynki.

— Czasami zachowujesz się jak mała dziewczynka.

Zmarszczyła brwi i podkreśliła głos w swoim odtwarzaczu.

Dudnienie dochodzące z jej słuchawek zagłuszyło nawet warkot klimatyzacji.

— Uważaj, Georgio, bo dorobisz się szumów usznych. A tak w ogóle, to czego słuchasz?

— Swingu.

— No, to już jakiś postęp. Miesiąc temu mieliśmy etap rocka gotyckiego, a dwa miesiące temu... co to było?

— Euro-house.

— Euro-house. Nie możesz się zdecydować na jeden styl, który ci się podoba?

Georgia wzruszyła ramionami.

— Jestem na to zbyt inteligentna.

22

Różnica rzuciła się w oczy, gdy tylko wjechali na drogę dojazdową. Szary popękany beton drogi numer dziewięćdziesiąt pięć, chropowaty jak gadzia skóra po niezliczonych naprawach, zmienił się w gładką czerwoną nawierzchnię z większą liczbą pasów niż autostrada, z której właśnie zjechali. Starannie zaprojektowane oświetlenie tworzyło fantazyjne kształty nad makadame. Po raz pierwszy od jakichś trzydziestu kilometrów Warne zobaczył przed sobą jadące samochody. Liczne białe tablice z niebieskimi literami informowały: „Parking dla gości”.

Była to ogromna, przytłaczająca przestrzeń, prawie zupełnie pusta o tej porze dnia. Podążając za strzałkami, Warne minął kilka wielkich autokarów, które na asfaltowym przestworze sprawiały wrażenie maleńkich robaczków. Prychnął z niedowierzaniem, kiedy mu powiedziano, że każdego dnia przez park przewijają się siedemnaście tysięcy ludzi, teraz był skłonny w to uwierzyć. Obok niego na fotelu pasażera Georgia rozglądała się po okolicy. Mimo wytrenowanej pozy zblazowanej nastolatki nie potrafiła zamaskować ciekawości i przejęcia.

Dwa kilometry dalej dojechali na koniec parkingu, pod niski, długi budynek z napisem „Wejście” w stylu art deco. Stało tu więcej zaparkowanych samochodów, a dookoła kręcili się ludzie w krótkich spodenkach i sandałach. Kiedy podjechał do kasy, podszedł do niego parkingowy, dając mu znak, by opuścił szybę. Był ubrany w białą koszulkę polo ozdobioną logo w kształcie stylizowanego ptaka, naszytym na piersi po lewej stronie.

Andrew sięgnął do folderu i wyjął z niego laminowaną przepustkę. Strażnik obejrzał ją uważnie, potem wyjął z pasa elektroniczny rylec i spojrzął na wyświetlacz. Po chwili oddał mu przepustkę i dał znak, żeby przejechał.

Warne zaparkował obok rzędu żółtych wagonów i wsunął przepustkę do kieszeni koszuli.

— No to jesteśmy na miejscu — oznajmił.

Spojrzał na budynek wejścia i przystanął zamyślony.

— Chyba nie zamierzasz zejść się z powrotem z Sarah?

Popatrzył na Georgię przestraszony, a ona odwzajemniła jego spojrzenie. To było naprawdę niezwykle, jak czasem potrafiła mu czytać w myślach. Może to dlatego, że przez ostatnie lata,

23

od kiedy zostali sami, spędzali razem naprawdę dużo czasu. Bez względu na powód czasami bardzo go drażniła ta jej domyślność, zwłaszcza gdy czytała w jego bardzo prywatnych myślach.

— Tato, nie rób tego. Przecież to prawdziwa modliszka.

— Uważaj na to, co mówisz, Georgio. — Wyciągnął z folderu małą białą kopertę. — Wiesz, mam wrażenie, że nie ma na świecie kobiety, która by sprostała twoim wymaganiom. Chcesz, żebym do końca życia został wdowcem?

Włożył w te słowa nieco więcej siły, niż zamierzał, ale Georgia tylko przewróciła oczami i nałożyła z powrotem słuchawki na głowę.

Andrew Warne kochał Georgię z całego serca, niemal do bólu. Nie przewidywał jednak, jak trudno będzie iść przez życie, wychowując samotnie córkę. Niekiedy zastanawiał się, czy nie zawałił wszystkiego dokumentnie. W takich chwilach najdotkliwiej odczuwał brak Charlotty.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się córce, po czym otworzył drzwiczki. Od razu uderzyła go fala rozżarzonego powietrza. Począł, aż Georgia zarzuci plecak na ramię, i ruszył po lśniącym asfalcie w stronę Centrum Transportowego.

W środku panował miły chłód. Centrum Transportowe było funkcjonalne i nieskazitelnie czyste, wykończone jasnym drewnem i szczotkowanym metalem. Po obu stronach ciągnęły się niekończące rzędy oszklonych kas, wszystkie z wyjątkiem jednej zupełnie puste. Wystarczyło kolejny raz okazać laminowaną kartę, aby znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu. Za godzinę to miejsce zaroi się od udreńczonych rodziców, ruchliwych dzieci i niemilkących przewodników, teraz jednak słychać było tylko stukanie jego obcasów na błyszczącej podłodze.

Srebrna niska kolejka jednotorowa czekała już z otwartymi drzwiami przy rampie dla wsiadających. Wielkie okna wyginały się z obu stron ku górnemu torowi. Warne nigdy nie jeździł podwieszaną kolejką i wcale go ta perspektywa nie pociągała. Na peronie czekała garstka pasażerów, głównie kobiet i mężczyzn w służbowych strojach. Pracownik kolejki skierował Andrew i Georgię do pierwszego, nieskazitelnie czystego wagonu, w którym stało dwóch innych pasażerów: krępy mężczyzna z przodu

24

i niski człowiek w okularach z tyłu. Chociaż kolejka jeszcze nie ruszyła, krępy mężczyzna rozglądał się z ożywieniem, a na jego ziemistej twarzy sklepiętej niskim czołem malowało się radosne oczekiwanie.

Warne pozwolił Georgii zająć miejsce przy oknie. Jeszcze się dobrze nie usadowili, kiedy rozległo się ciche dzwonięcie i drzwi zasunęły się bezszelestnie. Poczuli krótkie szarpnięcie. Kolejka gładko nabierała rozpędu. „Witamy państwa w drodze do parku rozrywki Utopia”, odezwał się kobiecy głos, dochodzący zewsząd i znikąd zarazem. Nie przypominał głosów rozbrzmiewających zwykle w podobnych systemach nagłaśniających, był głęboki, wyrafinowany, z delikatnym angielskim akcentem. „Podróż do stacji Nexus potrwa osiem minut i trzydzieści sekund. W trosce o państwa bezpieczeństwo prosimy o pozostanie na miejscach, aż do końca podróży”.

Wnętrze wagonu wypełniło się nagle blaskiem, kiedy Centrum Transportowe zostało za nimi. W górze i daleko z przodu dwa pojedyncze tory kolejki ciągnęły się łagodnymi łukami przez kanion z piaskowca. Warne spojrzął przelotnie w dół i o mało nie poderwał nóg pod brodę. Zamiast solidnej podłogi zobaczył pod sobą przezroczyste szklane płyty, a dalej trzydziestometrową przepaść aż do dna kanionu. Wziął głęboki oddech i odwrócił głowę.

— Ale odjazd — powiedziała Georgia.

„Kanion, nad którym obecnie przejeżdżamy, jest w skali geologicznej bardzo stary — ciągnął nieprzerwanie głos. — Na brzegach wąwozu mogą państwo zaobserwować krzewy jałowca, bylice i sosny dwuigielne, typowe dla wysoko położonych terenów pustynnych...”

— Nie do wiary — zadzwieczał Warne'owi w ucho czyjś głos.

Andrew odwrócił się i zobaczył, że ich współpasażer, krępy mężczyzna z ziemistą cerą lekceważąc beztrząsanie zalecenie

0 pozostaniu na miejscach, przewędrował przez cały wagon, aby usiąść naprzeciwko nich.

Miał błyszczące czarne oczy

1 zbyt szeroki uśmiech, a na sobie jaskrawopomarańczową koszulę w kwiaty. Tak samo jak Warne trzymał w ręku małą kopertę.

25

— Pepper. Norman Pepper. Wielki Boże, co za widok. Będzie świetnie widać Nexus. Nigdy tam nie byłem, ale podobno jest znakomity. Rewelacyjny. Wyobraźcie sobie tylko: kupić całą górę czy jar, czy jak to się tam nazywa, i urządzić w nim park rozrywki! To pańska latorośl? Ma pan śliczną córkę.

— Podziękuj, Georgio.

— Dziękuję — padła najbardziej nieprzekonująca odpowiedź pod słońcem.

„...Na ścianie kanionu po prawej stronie widzą państwo serię antropomorficznych piktogramów, które są dziełem prehistorycznych mieszkańców terenów, z tak zwanego Drugiego Okresu Wyplataczy sprzed niemal trzech tysięcy lat...”.

— To od czego jest pan ekspertem? — spytał Pepper.

— Słucham?

Mężczyzna wzruszył potężnymi ramionami.

— Nie pracuje pan tu, skoro jedziecie kolejką. A ponieważ park jest jeszcze zamknięty, więc nie przyjechaliście dla rozrywki. To znaczy, że musi pan być konsultantem albo ekspertem, prawda? Tak jak wszyscy w tym wagonie, mogę się o to założyć.

— Jestem specjalistą w dziedzinie robotyki — odparł Warne.

— Robotyka?

— Robotyka zajmuje się sztuczną inteligencją.

— Sztuczna inteligencja—powtórzył jak echo Pepper. — Hm.

Wziął oddech i już otworzył usta, aby zadać następne pytanie.

— A pan? — uprzedził go szybko Warne.

Na to pytanie mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dotknął palcem brzegu nosa i mrugnął porozumiewawczo.

— *Dendrobium giganteum*.

Warne spojrzał na niego pytająco.

— No, wie pan, *Cattleya dowiana*.

Warne rozłożył ręce. Mężczyzna był wyraźnie zaszokowany.

— Orchidee — prychnął Pepper. — Sądziłem, że się pan domyślił, kiedy usłyszał moje nazwisko. To ja odwaliłem całą robotę na zeszłorocznej wystawie w Nowym Jorku. Nie czytał pan o tym? No, w każdym razie potrzebują tu jakiejś specjalnej hybrydy do ateneum w Atlantydzie, poza tym w Gazolicie mają problemy z roślinami kwitnącymi nocą. Nie odpowiada im chyba

26 wilgotność powietrza albo co. — Rozłożył ręce jeszcze szerzej i tak energicznie, że wytrącił Warne'owi kopertę z ręki i wypuścił swoją. — Pokrywają wszystkie wydatki, fundują bilet pierwszej klasy, do tego doliczyć tłusciutką gażę za konsultację, no i ładny wpis w CV — ciągnął, oddając Warne'owi kopertę, którą podniósł z ziemi.

Andrew skinął głową. W to akurat wierzył. Utopia słynęła z tego, że z fanatyczną wręcz starannością dbała o wierność realiów w swoich krainach. Nierzadko można było na jej terenie spotkać naukowców przechadzających się z rozdziawionymi ustami i sporządzających notatki. Georgia rozglądała się po kanionie i nie zwracała uwagi na Peppera.

„...Pięć tysięcy hektarów powierzchni, które zajmuje Utopia, obfituje w bogactwa naturalne i przepiękne krajobrazy, między innymi dwa źródła i zbiorniki wodne...”.

Pepper obejrzał się przez ramię.

— A pan?

Warne prawie zapomniał o szczupłym mężczyźnie w okularach, który siedział za nimi.

Człowieczek zamrugał oczami, jakby zastanawiał się nad pytaniem.

— Smythe — odrzekł mężczyzna z lekkim australijskim akcentem. — Piro.

— Pirotechnik? Znaczą spec od fajerwerków?

Mężczyzna pogładził wąsiki przypominające szczoteczkę do zębów.

— Projektuję specjalne pokazy sztucznych ogni, takie jak na obchodach półrocza istnienia Utopii. Naprawiam też usterki. W ostatnich wieczornych pokazach niektóre chryzantemy strzelały za wysoko i stłukły kilka szyb w kopule.

— Karygodne — orzekł Pepper.

— A w Gryfowej Wieży widzowie narzekają że race na końcu przedstawienia są za głośne. To rzekłszy, mężczyzna urwał raptownie, wzruszył ramionami i odwrócił głowę do okna. Warne

również popatrzył na przepływające za szybami rdzawobrunatne skały. Zaraz jednak znów przeniósł wzrok do wnętrza wagonu. Coś mu nie dawało spokoju i nagle uprzytomnił sobie co. Odwrócił się do Peppera.

27

— Gdzie się podziały wszystkie legendarne postaci? Oberon, Morfeusz, Pendragon? Nie widziałem jak dotąd nawet jednej marnej naklejki.

— Och, są są. W sklepach, przy niektórych dziecięcych atrakcjach. Ale jeśli spodziewa się pan gościa przebranego za gryzonia i przechadzającego się między ludźmi, to może pan o tym zapomnieć. Nightingale był podobno pod tym względem bardzo rygorystyczny. Zależało mu, aby nic nie psuło iluzji. Dlatego właśnie to wszystko — zatoczył koło pulchną ręką — Centrum Transportowe, kolejka, nawet Nexus jest takie powściągliwie zaprojektowane. Żadnej komercji. Dzięki temu wszystkie krainy Utopii wydają się jeszcze prawdziwsze. Tak przynajmniej słyszałem. — Odwrócił się do milkiwego mężczyzny siedzącego z tyłu. — Prawda?

Smythe skinął głową. Pepper pochylił się bliżej do Warne'a.

— Osobiście nigdy nie przepadałem za tymi produkcjami Nightingale'a. Te filmy animowane, Kroniki Feverstone 'a, oparte na jego dawnych sztuczkach magicznych... za bardzo mroczne jak dla mnie. Ale moje dzieciaki zwariowały na ich punkcie. Oglądają je co tydzień, jak w zegarku. O mało mnie nie zamordowały, kiedy usłyszały, że tu jadę, a one nie mogą się ze mną zabrać. Zarechotał, zacierając ręce. Warne czytał książki, gdzie ludzie zacierali ręce, kiedy czekali na coś z niecierpliwością ale nie był pewien, czy widział kiedyś, jak ktoś to robi.

— Moja córka by mnie z pewnością zamordowała, gdybym jej ze sobą nie zabrał — skonstatował. — Auć! — jęknął, bo Georgia kopnęła go pod siedzeniem.

Zapadła krótka chwila milczenia, podczas której Warne rozcierał sobie łydkę.

— No i co, wierzy pan, że pod parkiem mają zakopany reaktor atomowy? — spytał Pepper.

— Słucham?

— Chodzą takie pogłoski. No bo, niech pan sobie wyobrazi tę całą elektronikę. Przecież to praktycznie nowe miasto, na litość boską. Pomyślcie tylko, ile energii trzeba, żeby to wszystko puścić w ruch: klimatyzacja, kolejki, komputery. Zapytałem o to

28

jedną hostessę w Centrum Transportowym, powiedziała, że używają generatora hydroelektrycznego. Hydroelektrownie! Na środku pustyni! W życiu... hej, patrzcie, dojeżdżamy! Warne spojrział przed siebie, po czym mimowolnie zamarł. Usłyszał, jak Georgia raptownie wstrzymuje oddech.

Kolejka wyjechała właśnie ze szczególnie stromego zakrętu i przed nimi kanion gwałtownie się rozszerzył. Od jednej ściany do drugiej, od szczytu aż po samo dno wąwozu w porannym słońcu migotała ogromna fasada w kolorze miedzi. Wyglądało to tak, jakby kanion kończył się nagle wielką skałą z polerowanego metalu. Oczywiście to wrażenie ślepego zaułka było jedynie złudzeniem optycznym — za gigantyczną ścianą w owalnej dolinie leżał cały park rozrywki, niemniej wrażenie było oszałamiające, jego spartańskie piękno zapierało dech w piersiach. W samym środku fasady, wysoko w górze widniały dwa małe kwadraty, gdzie znikwały tory kolejki. Wzdłuż górnej krawędzi biegł ogromny napis „Utopia”, wykonany z substancji podobnej do miki, który migotał i mrugał, a czasami znikał w zależności od kąta padania promieni słonecznych. Zarówno nad fasadą, jak i całą resztą kompleksu, który ciągnął się dalej, wznosiła się gigantyczna kopuła, zbudowana z sieci przezroczystych wielokątów i metalowych ram? Na szczycie powiewała flaga z logo Utopii: wystylizowanym fioletowym słowikiem* na białym tle.

— O kurczę — powiedziała cicho Georgia.

„Życzymy państwu dobrej zabawy i mile spędzonego czasu w naszym parku rozrywki. Jeśli mają państwo jakieś pytania bądź uwagi, zapraszamy do odwiedzenia punktów obsługi gości w Nexusie lub w każdej z krain Utopii. Proszę o pozostanie na miejscach aż do chwili, gdy kolej się zatrzyma”. Po tych słowach w wagoniku zapadła cisza i kolejka bezszelestnie wjechała w półmrok.

* Nightingale — (ang.) — słowik.

8.10

Nexus był ogromną, elegancką halą wykończoną podobnie jak Centrum Transportowe, jasnym drewnem i szorstkim metalem. Wzdłuż ścian po lewej i prawej stronie jak okiem sięgnąć ciągnęły się sklepy, restauracje, kioski z pamiątkami oraz punkty obsługi gości. Warne ruszył za innymi wzdłuż rampy, za nim Georgia, która rozglądała się ciekawie. Nad głowami żaden sufit nie przesłaniał szklanej kopuły, wznoszącej się wysoko i stanowiącej oprawę dla ogromnego bezchmurnego nieba, tworzącego nad Nexusem jaskrawolazurowy pas. Przed nimi, skąpane w ukośnych smugach słonecznego światła, połyskiwały prześliczne fontanny. Duże znaki orientacyjne, dyskretnie wkomponowane w otoczenie, kierowały odwiedzających ku czterem głównym krainom Utopii: Kamelotowi, Gazolitowi, Promenadzie, Kallisto. Powietrze było tu chłodne, dość wilgotne i pełne przytłumionych dźwięków — ludzkich głosów, chlupoczącej wody, a także delikatniej szych szumów, których Warne nie potrafił zidentyfikować.

Przy wejściu na rampę czekała grupka młodych ludzi w identycznych marynarkach i żakietach, z plikiem identycznych folderów w rękach. Wyglądali tak podobnie do siebie, jakby byli blisko ze sobą spokrewnieni. Warne zastanawiał się, i wcale nie do końca żartem, czy Utopia ustalała wzrost, wagę i wiek zatrudnianych pracowników. Odsunął od siebie tę myśl na widok jednej z kobiet idącej energicznym krokiem w jego stronę.

30

_ Doktor Warne? Nazywam się Amanda Freeman — oznajmiła, ściskając mu dłoń.

_ Widzę — odparł Warne, wskazując głową identyfikator przypięty do żakietu kobiety i zastanawiając się, jak go rozpoznała.

— Zaprowadzę pana i zapoznam pokrótce z Utopią.

Miała dość przyjemny głos, prawie tak samo energiczny jak sposób chodzenia. Wskazała głową małą kopertę z kodem kreskowym, którą Andrew trzymał w ręku.

— Mogę poprosić?

Warne podał jej kopertę. Kobieta oddała jedną krawędź i wysypała ze środka znaczek ze stylizowanym ptakiem, który stanowił logo firmy, lecz tym razem zielonym. Przypięła mu go do marynarki.

— Proszę to nosić, kiedy jest pan na terenie Utopii.

— Czemu?

— Ponieważ informuje on, że jest pan zaproszonym ekspertem. Czy ma pan swoją przepustkę?

Dobrze. Przepustka i znaczek umożliwią panu wstęp na zaplecze i do miejsc dla pracowników.

Proszę je zawsze mieć przy sobie. Od czasu do czasu może być pan proszony o okazanie przepustki. Większość pracowników Podziemia nosi je przypięte na stałe do kieszeni. Czy to pańska córka?

— Tak. Georgia.

— Nie wiedzieliśmy, że ma z panem przyjechać. Będziemy musieli zdobyć dla niej znaczek.

— Dziękuję bardzo.

— To żaden kłopot. Może poczekać w punkcie opieki nad dziećmi, kiedy będziemy załatwiać formalności związane z pańskim wprowadzeniem.

W punkcie opieki nad dziećmi?! — zapytała Georgia lodowatym tonem.

Amanda uśmiechnęła się przelotnie.

Ściśle mówiąc, jest to dział młodzieżowy punktu opieki nad dziećmi. Myślę, że będziesz mile zaskoczona.

Georgia rzuciła ojcu ponure spojrzenie.

■ Lepiej, żeby to było coś ciekawego — mruknęła. — Nie mam zamiaru bawić się klockami lego.

31

Warne popatrzył na rampę stacji dla wysiadających. Pirotechnik Smythe szedł właśnie pewnym siebie krokiem w stronę Nexusa. Norman Pepper rozmawiał z ozywieniem z mężczyzną w białym garniturze. Po chwili obaj ruszyli w przeciwną stronę, Pepper zacierając ręce i uśmiechając się szeroko.

Zostawili Georgię przy najbliższym stanowisku obsługi, p0 czym poszli dalej głównym korytarzem

Nexusa.

— Ma pan śliczną córkę — powiedziała Amanda Freeman.

— Dziękuję. Ale proszę jej tego nie mówić, jest piekielnie przeczulona.

— Jak się państwu jechało kolejką?

— Wysoko.

— Staramy się, aby wszyscy konsultanci, którzy zjawiają się u nas po raz pierwszy, wjechali na teren Utopii właśnie kolejką. Dzięki temu mogą się lepiej wczuć w to, czego doświadczają nasi goście. W ramach dzisiejszego wprowadzenia otrzyma pan wskazówki, jak dojechać na parking dla pracowników. To trasa dużo mniej widokowa, ale za to szybsza, można oszczędzić mniej więcej piętnaście minut na dojeździe. Chyba że mieszka pan na miejscu?

— Nie. Zatrzymaliśmy się w Luxorze.

W przeciwieństwie do większości innych parków rozrywki Utopia nastawiona była na zachowanie pełnej iluzji i całonocny pobyt w wykreowanym świecie. Nie zapewniała turystom noclegów. Warne'owi powiedziano jednak, że na terenie parku znajduje się niewielki hotel pierwszej klasy, przeznaczony dla VIP-ów, gwiazdorów i innych sławnych osobistości, i że ma również kilka skromniejszych pokoi dla przyjezdnych konsultantów, zespołów muzycznych i obsługi parku pracującej w nocy.

— Co się dzieje z tymi zegarami? — zapytał Warne, z trudem usiłując dotrzymać swojej towarzyszce kroku.

Chociaż było piętnaście po ósmej, zegary cyfrowe wmontowane w wysokich ścianach Nexusa pokazywały 0.45.

— Czterdzieści pięć minut do godziny zero.

— Nie rozumiem.

— Utopia jest otwarta przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem. W chwili

32

zamknięcia zegary zaczynają dwunastogodzinne odliczanie. Pokazują pracownikom, ile czasu zostało do otwarcia. Oczywiście na terenie poszczególnych krain nie ma zegarów, ale...

_ Chce pani powiedzieć, że dwanaście godzin trwa przygotowanie parku do ponownego otwarcia?

— zapytał z niedowierzaniem Warne.

— To wymaga dużo pracy — powiedziała Freeman z kolejnym powściągliwym uśmiechem. — Chodźmy, pójdziemy skrótem przez Kamelot.

Poprowadziła go do wielkiego portalu, nad którym błyszczał napis „Kamelot”, wykonany czarnymi literami staroangielską czcionką. Ten krój pisma stanowił jak dotąd jedyne odstępstwo od surowego wystroju wnętrza Nexusa i Centrum Transportowego. Nawet drzwi toalet i wyjścia awaryjne utrzymane były w tym samym, powściągliwym stylu art deco.

Trzej pracownicy w białych garniturach, stojący przed wejściem do Kamelotu, uśmiechnęli się i skinęli Amandzie głowami. Kobieta przeprowadziła go między nimi, potem przez gąszcz barierek do odgradzania tłumu, a następnie wprowadziła do dużego, pustego holu. W ścianie naprzeciwko widniało sześć metalowych drzwi. Jedne z nich się rozsunęły i Amanda weszła pierwsza do ciemnej windy upodobnionej do wnętrza jaskini.

Drzwi się z powrotem zamknęły i ten sam jedwabisty kobiecy głos powiedział: „Obecnie wchodzi państwo do Kamelotu. Życzymy miłej zabawy”. Rozległo się stłumione metaliczne tupnięcie i winda ożyła. Jednak nie ruszyli ani w górę, ani w dół, lecz poziomo przed siebie.

— Daleko jeszcze do samego parku? — spytał.

— Tak naprawdę stoimy w miejscu — odparła Amanda. — Winda stwarza jedynie wrażenie ruchu. Nasze badania wykazały, że gościom łatwiej wczuć się w atmosferę oglądanej krainy, jeśli wierzą że trzeba do niej dojechać, choćby miała to być bardzo krótka podróż.

W następnej chwili rozsunęły się drzwi po drugiej stronie i po raz drugi w ciągu ostatniej pół godziny Warne aż przystanął ze zdumienia.

Przed nim ciągnęła się ulica wybrukowana ciemnym kamie-

33

niem. Po obydwu stronach czegoś, co z daleka wyglądało na duży miejski rynek, stały staroświeckie domy, niektóre przykryte strzechą inne spadzistymi dachami. Za rynkiem brukowana ulica rozwidlała się i biegła wokół monolitycznego zamkowego muru obronnego w piaskowym kolorze. Nad blankami powiewały kolorowe chorągwie. W oddali majaczyły wieże oraz ponure, poryte zbocze góry, wznoszącej się ponad zielonymi pagórkami, otoczonej wokół wierzchołka kłębami wirującego śniegu. Jeszcze wyżej dalekie sklepienie kopuły budziło wrażenie niekończącej się przestrzeni. W powietrzu unosił się zapach ziemi, świeżo skoszonej trawy i lata.

Warne szedł powoli przed siebie i czuł się trochę jak Dorotka wkraczająca z ponurej, czarno-białej farmy w krainę Oz. Niech no tylko zobaczy to Georgia, pomyślał. Słoneczny blask, spowijający całą scenerię, nadawał jej pogodny, przejrzysty charakter. Po brukowanym terenie krzątali się pracownicy parku, ubrani jednak nie w służbowe stroje, które widział wcześniej, lecz w kolorowe rajtuzy, zwiewne suknie i czepki, a nawet w rycerską zbroję. Tylko mała grupka ochroniarzy w białych marynarkach z palmtopami i krótkofalówkami w rękach oraz sprzątac polewający bruk wodą z węża zakłócali to fantastyczne złudzenie.

— I jak się panu podoba? — spytała Freeman.

— Zdumiewające — odrzekł szczerze Warne.

— To prawda. — Amanda patrzyła na niego z uśmiechem. — Lubię obserwować ludzi, którzy wchodzą po raz pierwszy do naszych krain. Ponieważ nie mogę się cofnąć w czasie, aby przeżyć to jeszcze raz, przyglądam się osobom doświadczającym tego uczucia, co daje chociaż namiastkę przyjemności.

Szli dalej główną ulicą Kamelotu, a Amanda pokazywała mu kolejne atrakcje. Kiedy mijali piekarnię, w budynku otworzyło się okno i dookoła rozszedł się niewiarygodny zapach pieczonego chleba. Gdzieś słychać było barda strojącego lutnię, a potem śpiewającego starą balladę.

— Wszystkie cztery krainy projektowano zgodnie z tą samą filozofią — rzekła Amanda. — Najpierw goście przechodzą przez określoną scenografię, w Kamelocie to właśnie to miasteczko, w którym jesteśmy. Pomaga ona wyrobić sobie pewne wyb-

34

rażenie, wprawić się w odpowiedni nastrój. Nazywamy to dekom-resią- Oczywiście są tu restauracje i sklepy, lecz przede wszystkim gość ma się skupić na obserwowaniu i aklimatyzowaniu się. Po jakimś czasie, w miarę zagłębiania się w nasz świat, pojawiają się kolejne atrakcje: przejażdżki, pokazy, hologramy. Wszystko gładko wkomponowane w otoczenie.

— Wierzę.

Warne zwrócił uwagę, że poza szyldami sklepów i barów nigdzie nie widać żadnych współczesnych oznakowań, toalety i sprytnie wtopione w otoczenie punkty informacyjne oznakowano stylizowanymi hologramami.

— Odwiedzają nas nawet uczeni, ponieważ ta uliczka, którą teraz idziemy, jest wierną rekonstrukcją Newbold Saucy, angielskiego miasteczka wyludnionego w czternastym wieku — powiedziała Amanda. — Z kolei Smocza Wieża przyciąga turystów złażnionych rozrywki. Jest prawdopodobnie drugą najbardziej ekscytującą kolejką górską w parku obok Wrzeszczącej Maszyny w Promenadzie.

Zbliżali się do placu, przed nimi wznosił się zamek.

— To kopia zamku Caernarvon w Walii — ciągnęła Freeman. — Naturalnie nieco zmniejszona i przystosowana do wymogów tutejszej perspektywy.

— W jaki sposób?

— Wyższe piętra są mniejsze niż w rzeczywistości, dzięki temu cieplejsze, mniej przytłaczające. Ale proporcje wizualne zostały zachowane. Stosujemy tę technikę w całej Utopii. Tamta góra na przykład jest również pomniejszona, co stwarza złudzenie oddalenia. — Skinęła głową w kierunku podniesionej kraty w bramie. — W tym zamku pokazujemy Zaczarowanego księcia.

Pieśń trubadura została daleko za nimi, a tymczasem do uszu Warne'a zaczęły docierać inne dźwięki: śpiew ptaków, dzwonienie fontann, a także ten sam delikatny szum, który słyszał w Nexusie.

Co to za odgłos, który tu ciągle słyszę? — spytał.

Amanda zerknęła na niego.

Jest pan bardzo spostrzegawczy. Nasi naukowcy dokonali Pionierskiego odkrycia, opartego na badaniach psychologicznej

35

reakcji na matczyne łono. Kiedy Kamelot wypełni się odwie-dzającymi, tego dźwięku nie będzie już słychać, niemniej będzie on stale obecny.

Warne rzucił jej zaintrygowane spojrzenie.

— To dziedzina nauki zajmująca się odtwarzaniem warunków panujących w łonie matki, takich jak temperatura czy dźwięki otoczenia. Ma ona wytworzyć podprogowe poczucie bezpieczeństwa i spokoju. Mamy pięć patentów opartych na tych badaniach. Wie pan, że Utopia Holding Company posiada ponad trzysta patentów? Przyznajemy wiele koncesji przemysłowi chemicznemu, farmaceutycznemu i elektronicznemu. A do niektórych mamy zastrzeżone prawo wyłączności.

Z których trzy są moim dziełem, pomyślał Warne, pozwalając sobie na szczyptę dumy. Zastanawiał się, czy Amanda Freeman wie o jego wkładzie w działanie Utopii: metasieć koordynowała działanie prawie wszystkich tutejszych robotów. Zważywszy na sposób, w jaki kobieta oprowadzała go po parku — jakby zwracała się do zwykłego, przeciętnego programisty — doszedł do wniosku, że nie wie. Znowu zaczęło go intrygować, po co Sarah Boatwright wezwała go tak niespodziewanie.

— Tędy, proszę — rzekła Freeman, skręcając w boczną uliczkę.

Minął ich mężczyzna w fioletowej pelerynie i ciemnych bryczesach do kolan, wprawiający się w średniowiecznej angielszczyźnie. Przed nimi dwóch krzepkich pracowników dźwigało dużą metalową klatkę. W środku siedział mały smok. Ogon drgał lekko, szkarłatne łuski migotały w słońcu, wilgotne nozdrza rozchylały się, kiedy przechodziło przez nie powietrze. Warne patrzył zdumiony. Mógłby przysiąc, że żółte oczy załśniły, kiedy na nim spoczęły.

— Niosą go do Gryfowej Wieży — wyjaśniła Amanda. — Parku jeszcze nie otwarto, dlatego nie muszą iść Podziemiami. O co chodzi, doktorze Warne?

Warne nadal nie mógł oderwać oczu od smoka.

— No cóż, po raz pierwszy widzę je obleczone skórą — mruknął.

— Słucham? Ach, tak, rzeczywiście, przecież to pańska profesja, prawda?

36

Warne obliznął wargi. Te kostiumy, dialekty, fanatyczny wręcz realizm otoczenia... Pokręcił głową.

— Kiedy nie ma wokół innych gości, niełatwo rozwiać iluzję,

prawda? — Freeman mówiła teraz ciszej, mniej służbiście. — Niech zgadnę, uważał pan, że Nexus wygląda surowo i bez wyrazu?

Warne skinął głową.

— Ludzie często odnoszą takie wrażenie, kiedy po raz pierwszy przyjeżdżają do Utopii. Jedna z odwiedzających powiedziała mi kiedyś, że przypomina jej lotniskowy terminal. Celowo go tak zaprojektowano, właśnie z tego powodu. — Zatoczyła ręką koło. — Czasami realizm tych krain działa na gości dezorien-tująco. Dlatego Nexus zapewnia neutralne otoczenie, można powiedzieć strefę buforową etap przejściowy pomiędzy światami.

Odwróciła się w stronę dwupiętrowej rezydencji, w połowie murowanej, w połowie drewnianej, i otworzyła żelazny skobel w drzwiach. Warne podążył za nią. Ku jego zdumieniu budynek okazał się jedynie fasadą otwartą od góry aż do dachu. W tylnej ścianie widniały zwykłe szare drzwi, a obok nich czytniki kart magnetycznych i linii papilarnych. Amanda przyłożyła kciuk do plastycznej powierzchni. Rozległ się trzask i drzwi się otworzyły. Pomieszczenie za nimi tonęło w chłodnym zielonawym blasku świetlówek.

— Witamy z powrotem w normalnym świecie — rzekła Freeman.

To powiedziawszy, gestem wskazała mu drzwi.

8.50

Dyrektor działu operacyjnego parku, Sarah Boatwright, siedziała przy zatłoczonym stole konferencyjnym w swoim gabinecie, dziesięć metrów pod Nexusem. W sali panował chłód, wręcz zimno, ponieważ za tylną ścianą biegły główne kanały klimatyzacyjne, Sarah obejmowała więc

dłońmi dużą gorącą filiżankę z herbatą. Uwielbiała herbatę. Co godzinę, jak w zegarku, najlepsza herbaciarnia w Gazolocie przysyłała jej napar, który aktualnie był „napojem dnia”. Dzisiaj była nim pierwszorzędną herbatą jaśminową. Sarah obserwowała, jak maleńkie, młodziutkie kwiatki w kształcie kulki rozwijają się w gorącej wodzie, pochyliła się, aby wciągnąć ich zapach. Był wspaniały — egzotyczny i kuszący.

Według czasu Utopii było dziesięć minut do godziny zero i rozmaici szefowie oddziałów zebrali się w jej gabinecie na codzienną „odprawę inauguracyjną”. Upiła łyk i czuła, jak ciepło powoli rozprzestrzenia się po jej ciele. To był prawdziwy początek dnia, nie dzwoniący budzik, nie prysznic, nie pierwsza poranna filiżanka. Wszystko zaczynało się dopiero teraz, kiedy robiła tę pierwszą marszrutę, wydawała rozkazy swym kapitanom i porucznikom, kiedy obejmowała stery największego parku rozrywki na świecie. Jej zadaniem było dopilnowanie, aby bez względu na to, co się działo danego dnia w parku — czy to wycieczka dwóch tysięcy rozbrykanych skautów, zakłócenia sieci energetycznej czy wizyta zagranicznego premiera z całą świtą — dla gości

38
każdy dzień był taki jak inne. Czyli bez zarzutu. Nie wyobrażała sobie pracy, która przedstawiałaby większe wyzwanie, a zarazem dawała więcej satysfakcji.

A jednak dzisiaj zwyczajnemu nastrojowi wyczekiwania towarzyszyło coś jeszcze, nie strach — Sarah Boatwright nie zawracała sobie głowy czymś takim jak lęk — ale raczej czujność. Przyjechał Andrew, myślała, i na pewno nie zna prawdziwego powodu swojej obecności. To przez tę wymuszoną dwulicowość była dzisiaj taka podenerwowana. Rozglądała się po twarzach obecnych i w pamięci odhaczała poszczególne działy: badania, infrastruktura, hazard, gastronomia, pomoc medyczna, kontakty z gośćmi. Na drugim końcu stołu siedział szef ochrony, Bob Allocco, masywny i niewzruszony niczym buldog i prawie tego samego wzrostu, z niewzruszoną maską na opalonej twarzy. Wszyscy patrzyli na nią, czujni, poważni, jakby dostroili się do jej stanu ducha.

Odpowiadały jej takie stosunki — służbowe i zwięzłe. Rzadko wymieniano przy stole dowcipy, chyba że Sarah zrobiła pierwszy ruch. Dopuszczalnym wyjątkiem był oczywiście Fred Barksdale, jego szekspirowskie aluzje i cierpki angielski humor sprawiały, że wszyscy obecni skręcali się ze śmiechu. Właśnie wszedł — z grubym plikiem wydruków, na których chybotą się niebezpiecznie kawa z mlekiem. Sam widok szefa działu systemów, jego jasnych włosów, zatroskanych bruzd nagryzmołonych uroczo na czole wzbudził w niej czułość, odsunął na bok myśl o Andrew Warnie i zaczął ją wybijać ze służbowego, rzeczowego trybu. Chrząknęła po dyrektorsku, upiła jeszcze łyk herbaty i zwróciła się do całej grupy.

— No dobrze, bierzmy się do pracy. — Rzuciła okiem na kartkę leżącą przed nią na biurku. — Dzisiejsze przewidywane audytorium to sześćdziesiąt sześć tysięcy. System sprawny w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach. Czy wiadomo, kiedy Stacja Omega odzyska pełną sprawność?

Tom Rose, szef działu infrastruktury pokręcił głową.

— Wydaje się, że wszystko działa jak należy, na całej trasie mamy zielone światła, ale diagnostyka ciągle pokazuje kod błędu, więc regulatory nie chcą jej podłączyć do sieci. Nie możecie jakoś obejść regulatorów?

39

Rose wzruszył ramionami.

— Jasne, moglibyśmy. A potem cały sztab urzędników do spraw bezpieczeństwa włożyłby nam na głowę.

— Głupie pytanie, przepraszam. — Sarah westchnęła. — Pracuj nad tym dalej, Tom. Pracuj ze wszystkich sił. Stacja Omega to główna atrakcja Kallisto. Nie możemy sobie pozwolić na jej wakacje. Fred pożycz ci ludzi od usterek, jeśli chcesz.

— Oczywiście — potwierdził Barksdale, wygładzając krawat.

Był to piękny krawat, zawiązany z taką samą drobiazgową pieczołowitością jaką Fred wkładał we wszystko, co robił. Sarah zauważyła, że ten gest wygładzania krawatu pojawiał się u niego zawsze, ilekroć coś mu chodziło po głowie.

— Jeszcze jakieś wiadomości, których nie chcę usłyszeć?

Odezwał się szef działu rozrywki.

— Właśnie się dowiedziałem, że zespół, który miał grać w Umbilicisie, nie zdąży dojechać na czas. Jakaś akcja narkotykowa na lotnisku czy coś.

— Cudownie, po prostu cudownie. Będziemy musieli zastąpić go którymś z naszych zespołów.

— Moglibyśmy wysłać Mikroprogram, ale mają dzisiaj grać U Biednego Ryszarda.

Sarah pokręciła głową.

— Umbiculus przyciąga trzy razy więcej publiczności. Wyślij ten zespół do kostiumerni, jak tylko przyjadą. Jeśli nigdy nie grali w kombinezonach astronautów, będą potrzebowali trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. — Rozejrzała się po stole. — Jeszcze coś?

— Przylapaliśmy trzykrotnego oszusta w kasynie w Gazoli-cie — odezwał się szef obsługi kasyn. — Facet ma siedemdziesiąt pięć lat, wierzycie? Wszystkowidzący mają na taśmie, jak wyciąga monety na sznurku.

— No to staruszek beknie. Wyślijcie zdjęcia w obieg do nadzoru i ochrony kasyna i dopiszcie jego nazwisko do czarnej listy gości. — Sarah popatrzyła z powrotem na swoją kartkę. — Jakies postępy w Atlantydzie?

— Zamykamy etap produkcji — powiedział ktoś. — Wszystko wskazuje na to, że zdążymy przed terminem.

40

Dzięki Bogu chociaż za to.

Atlantydą była nową i dość kontrowersyjną krainą Utopii. Jej otwarcie zaplanowano na koniec roku.

_ Doktorze Finch, ma pan podsumowanie z zeszłego tygodnia?

Mężczyzna o ziemistej twarzy, który zajmował stanowisko szefa działu pomocy medycznej, spojrział na swoją tabelę.

— Pięć porodów, wszystkie bez komplikacji; pięć zgonów: jeden wskutek ataku serca, jeden z powodu tętniaka; dwadzieścia dziewięć obrażeń, z czego najgorsze złamanie nadgarstka. — Odłożył notatki na stół. — Spokojny tydzień.

Sarah Boatwright popatrzyła na szefową działu personalnego.

— Amy, masz jakiś cynk w sprawie tego nielegalnego strajku planowanego w dziale sanitarno-gospodarczym?

— Nie. I nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

— Miej oczy i uszy otwarte. Daj mi znać, jak tylko coś usłyszysz. — Spojrzała z powrotem na listę. — Zobaczmy... Frekwencja w Kamelocie spada. Obecnie utrzymuje się na poziomie piętnaście procent niższym niż w innych światach. Zarząd główny prosił, żebyśmy powołali komisję, która sprawdzi, na czym polega problem. — Urwała. — Zajmiemy się tym po moim powrocie z San Francisco, dobrze?

Jeszcze raz przejrzała kartkę przed sobą, odłożyła ją na bok i wzięła następną.

— A teraz werble. W Promenadzie zagra zespół Tony'ego Trischki. Dopilnujcie, żeby dostali za darmo zakwaterowanie i wszystkie posiłki. Dzisiejsi goście specjalni to senator Chase z Connecticut z rodziną, dyrektor naczelny GeneDyne... oraz księżę Wyndmoor.

Na dźwięk tego nazwiska wśród obecnych rozszedł się jęk.

Czy lady Wyndmoor upiera się przy tej aferze z zamkiem? — spytał ktoś.

— Pewnie tak. — Sarah odłożyła na bok drugą kartkę. — W przyszłym tygodniu w środę przyjadą do nas ludzie z Komisji Kontroli Gier stanu Nevada, więc wszyscy zacznijcie ćwiczyć uroczę uśmiechy. I jeszcze jedno. Dzisiaj przyjeżdża doktor Andrew Warne. — Widząc kilka niepewnych min, ciągnęła: —

41

To ekspert od robotyki, który zaprojektował metasieć Utopii. Proszę, abyście służyli mu wszelką pomocą, jakiej będzie potrzebował.

Ponieważ oświadczenie to zostało przywitane milczeniem, Boatwright wstała.

— Świetnie. Dwie minuty do końca odliczania. Na koń.

Odwróciła się do swojego biurka, a uczestnicy spotkania,

szurając krzesłami i nogami, zaczęli się rozchodzić. Kiedy odwróciła się ponownie do stołu, w gabinecie pozostał tylko Fred Barksdale. Nie zaskoczyło jej to.

— Po co dzisiaj przyjeżdża Warne? — spytał, a w jego arystokratycznym brytyjskim akcencie tylko delikatnie pobrzmiwała nuta niezadowolenia. — Miał się zjawić dopiero za tydzień. A więc o to chodzi, pomyślała.

— Przesunęłam jego wizytę.

— Nie mogłaś mnie uprzedzić, Sarah? Dołożę ludziom mnóstwo pracy, Warne będzie potrzebował danych...

Boatwright położyła palec na ustach.

— To był pomysł Emory'ego, sprawa wypłynęła dopiero w czwartek. Po wypadku kolejki na Notting Hill, a zwłaszcza od kiedy włączyła się w to inspekcja pracy, zarząd chce, żebyśmy zajęli się tą sprawą szybko i sprawnie. Ale posłuchaj. — Podeszła bliżej do Barksdale'a i zniżyła głos. — Jutro wyjeżdżam na Kongres Przemysłu Rozrywki, pamiętasz?

— Jak mógłbym zapomnieć? — Nagle oczy Barksdale'a rozjaśnił błysk zrozumienia, a na jego usta powrócił powściągliwy, lecz zauważalny uśmiech. — Dzięki czemu będziesz daleko od irytującej osoby, która w końcu może nadal cierpieć na... och, boleść okrutną wzgardzonej miłości*?

— Nie to miałam na myśli. Chciałam zapytać, czy twoim zdaniem możemy zaufać Teresie Bonifacio, że zajmie się tym pod moją nieobecność. Andrew jest jedyną osobą która to może zrobić, ale nie robi tego sam. Dla żadnego z nich to nie będzie łatwe. W końcu zamierzamy przekreślić dzieło jego życia. A wiesz, co Teresa o tym myśli.

* William Shakespeare Hamlet, akt III, scena 1, przeł. M. Słomczyński.

42

Barksdale skinął powoli głową.

— Mieliśmy z Terri rozbieżne opinie na różne sprawy, ale one nigdy nie rzutowały na jej pracę. Może jej się nie podobać nasza decyzja, ale myślę, że możemy na niej polegać.

— I będziesz miał na oku ich poczynania, kiedy wyjadę?

Skinął głową po raz drugi.

— Dziękuję, Freddy.

Zerknęła w stronę otwartych drzwi gabinetu, aby się upewnić, czy na korytarzu nikogo nie ma. Potem chwyciła go za klapy marynarki, przyciągnęła do siebie i pocałowała.

— Wynagrodzę ci to po powrocie — szepnęła.

Następnie cofnęła się i wzięła do ręki filiżankę z herbatą.

— A teraz chodź, musimy otworzyć park.

9.00

Kilka chwil później tysiące zegarów w Utopii zaczęło zgodnie odliczać ostatnie sekundy. Następnie wyświetlacze na moment zgasły, po to tylko, by po chwili przejść na normalny czas i wyświetlić godzinę dziewiątą. Nastąpiła godzina zero.

Parkingowi z latarkami sygnalizacyjnymi wyruszyli na drogi dojazdowe, aby kierować gęstym ruchem w starannej, baletowej choreografii. Centrum Transportowe zamieniło się w kontrolowane pandemonium. Otwarto wszystkie kasy biletowe, które przyjmowały po siedemdziesiąt pięć dolarów od osoby, bez żadnych zniżek i bez względu na wiek, i rozdawały znaczki ze słowikiem, które przypięte do koszuli lub klapy uprawniały do jednodniowego wstępu do magicznych krain. Po bliźniaczych torach sunęły w kierunku kanionu kolejki jednotorowe i teraz, w godzinie szczytu o trzydzieści pięć procent szybciej niż zwykle przewoziły do Nexusa i z powrotem tysiąc osób w ciągu każdych dziesięciu minut. Sam Nexus, który jeszcze kilka minut temu tonął w czujnej, jakby nadnaturalnej ciszy, dudnił teraz niezliczonymi głosami. Ci, którzy przyjechali tu pierwszy raz, stali w cieniach pierzastych palm, przy fontannach i drapiąc się po głowach, oglądali mapy i przewodniki. Z kolei Utopianie-wete-rani, członkowie klubów, stali goście stron internetowych, na których dzielili się z innymi swoją pasją maszerowali pewnym siebie krokiem, wlokąc za sobą neofitów, w kierunku swych ulubionych krain.

44

W Gazolocie obok wejścia do Notting Hill, zamkniętego z powodu remontu, przebiegła sprzedawczyni ryb i frytek i pospieszyła dalej w stronę swojego stoiska. W Promenadzie kontrolerzy zakończyli obchód Wrzeszczącej Maszyny, wstukali kod autoryzacji na konsoli w pokoju kontrolnym i pozwolili operatorowi włączyć kolejkę. W głębi zamku Caernarvon specjalista od obrazowania po raz ostami sprawdził zestaw komputerowy wytwarzający sekwencje hologramów do Zaczarowanego księcia.

Pierwsze i ostatnie półtorej godziny działania parku, kiedy przepływ gości był największy, stanowił najbardziej nerwowy czas dla kierownictwa Utopii. Wszyscy specjaliści pracowali w trybie najwyższej czujności, gotowi w każdej chwili reagować na wszelkie sygnały o zakłóceniach w płynnym ruchu odwiedzających, które mogłyby spowodować zatory w Centrum Transportowym, Nexusie lub poszczególnych krainach. Tysiące kamer zamontowanych dyskretnie za jednostronnymi szybami, w fałszywych ścianach i belkach, za fasadami obserwowało park i pilnowało, aby wszystkie światy działały gładko i bez przeszkód. Ochroniarze, w ciemnych służbowych marynarkach lub wmieszani w tłum w cywilnych strojach, wypatrywali zagubionych dzieci i kieszonkowców. Przeciętny gość jednak nie zauważał żadnej z tych wszystkich rzeczy, wędrował od jednego świata do drugiego, uśmiechnięty i nieświadomy.

Miejszem natomiast, dokąd nie zawędrował żaden gość i gdzie nie miał nawet prawa wstępu, były Podziemia. Większa część odwiedzających nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia, przekonana, że chodzi po dnie kanionu, a nie cztery piętra wyżej. Chociaż w Podziemiach nie pokazywano żadnych fascynujących hologramów ani laserowych obrazów, żadnych bajkowych tworców ze styropianowego kamienia, to właśnie tam, a nie gdzie indziej powstawała prawdziwa magia Utopii. Tam przemykali Pracownicy parku, członkowie „obsady” w kostiumach z różnych ePok, a także ludzie, których zwiedzający nigdy nie widywali na oczy — w kombinezonach, dzinsach lub innych ubraniach roboczych. Plany z przekrojami aksonometrycznymi na gołych etonowych ścianach pokazywały lokalizację bufetów dla ob-81' szatni, fryzjera, świetlicy, magazynu, centrum komputero-

45

wego, laboratoriów badawczych i całej reszty tajemnego miastjfkwitnącego pod Utopią. Przewodnicy wycieczek i ludzie z działu I obsługi gości używali tuneli jako skrótu między krainami. Technicy, projektanci i urzędnicy, zbici w grupki w rozmaitych salach [konferencyjnych, obmyślali nowe atrakcje i analizowali badania f rynku. Wózki elektryczne lawirowały z pomrukiem po labiryncie podziemnych korytarzy, przewożyły sławnych wykonawców lub pilnie potrzebne części zamienne z jednego rejonu parku do drugiego.

Tom Tibbald szedł korytarzem poziomu C, mrużąc nieme-lodyjnie pod nosem. Miał niewiele ponad trzydzieści lat, gęste brązowe włosy i zaczynał tyć w okolicy brzucha. Na jego białej marynarce widniało złote logo elektronika parku. Mimo zawadiackiego podśpiewywania Tom czuł się nieswojo. Wyostrzona świadomość podsuwała mu myśli o kłępującej obecności kamer, zamontowanych w sklepionym suficie tunelu, pokazywała innego pracownika, który go minął, nie zwracając nań uwagi, a przede wszystkim przypominała o twardych, plastikowo-miedzianych przedmiotach ukrytych w kieszeni marynarki. Minął główną charakteryzatornię i warsztat remontowy numer trzy. Przestał nucić, gdy podszedł do punktu kontroli bezpieczeństwa przy wejściu dla personelu.

Strażnik w budce spojrzał na jego przepustkę, kiwnął głową i odwrócił się do klawiatury, aby wprowadzić jego dane. Pod-jąwszy na nowo przerwana melodię, Tibbald wyszedł przez automatyczne drzwi na parking dla pracowników.

Po opuszczeniu chłodnego wnętrza i stonowanego oświetlenia podziemnych korytarzy, żar i blask słonecznej Nevady uderzył weń ze zdwojoną siłą. Tom się skrzywił i odwrócił twarz, czekając, aż oczy mu przywykną do ostrego światła. Potem pociągnął nosem i ruszył dalej, wolniej, rozglądając się uważnie po parking, szukając zaparkowanej furgonetki.

Zaplecze Utopii nie miało nawet odrobiny tego wzniosłego piękna, które uderzało odwiedzających przy głównym wejściu. Strome ściany kanionu opadały niekończącą się brązową skałą ku leżącej w dole pustyni. Za jego plecami wznosił się gruby mur tylnej ściany parku zbudowanej z pustaków i

betonu, a nie-

46

• Tne okna znaczyły zwałistą bryłę niczym ospowate blizny. Po bu stronach u szczytu widniały wielkie zielone drzwi, a od nich łagodnymi łukami opadały długie rampy. Były to wyjścia awaryjne których jednak nie używano nigdy poza kilkoma próbnymi alarmami. Między nimi na poziomie ziemi mur upstrzony był wejściami służbowymi, bramami magazynów, warsztatami i garażami. Na parkingu, nieco na uboczu, z dala od innych pojazdów stała długa brązowa furgonetka z ozdobnym napisem „Szkolenie ptaków egzotycznych, Las Vegas” na bocznej ścianie karoserii. Tibbald ruszył w tamtą stronę z nadzieją że samochód ma klimatyzację. Okna były zamknięte — to dobrze wróżyło. Gdy jednak podszedł i otworzył drzwiczki pasażera, nie poczuł miłego, chłodnego podmuchu. Westchnął z żalem i wszedł do środka.

Wisiał tu tak gęsty odór odchodów, że można go było prawie dotknąć palcem. Siedzenie przedniego fotela pokryto plastikiem. Nic dziwnego, pomyślał Tibbald, skoro tyle w tym chlewie gówna. W części bagażowej stała wysoka biała klatka z czterema wielkimi różowymi kakadu moluckimi. Patrzyły na niego w milczeniu z nastroszonymi piórami na łososiowych czubach. Tom spojrział na kierowcę i aż zamrugał z zaskoczenia.

— Co się stało z tamtym facetem? — spytał, pociągając nosem. — Tym, z którym poprzednio rozmawiałem?

Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie. Miał migdałowe oczy i szerokie, wystające kości policzkowe, które nadawały jego twarzy dziwnie symetryczny kształt serca.

— Dostał inny przydział — odpowiedział po chwili.

Tibbald myślał przez chwilę, w końcu uznał, że to miał być żart, więc się roześmiał.

Przyniosłeś? — spytał mężczyzna.

Mówił powoli, z delikatną naleciałością obcego akcentu. Tibbald usiłował go rozpoznać. Miał kumpli w dziale obsługi gości, codziennie rozmawiali z obcokrajowcami i potrafili rozpoznać obcy akcent po jednym słowie, ale on nigdy nie kontaktował się z gośćmi i po chwili zrezygnował.

Tak. — Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej plastikowe karty magnetyczne i wyciągnął rękę, rozkładając je jak

47

do gry. — Wszystkie wasze ulubione smaki: linxonka, winogr0n piwo korzenne i najnowszy — dzika wiśnia.

Mężczyzna zmarszczył brwi i uczynił szybJri, napominający gest, a wtedy Tibbald opuścił dłoń z kartami poniżej pozi0mu okien.

— Za trochę więcej kasy mógłbym sam wam zdobyć całą dokumentację tej technologii przetwarzania dźwięku, której p0. trzebujecie. Zaoszczędzilibyście sobie mnóstwo zachodu. Nie pamiętam, dla którego parku pracujecie? Dla Rajskich Wysp czy Fantastycznego Świata?

— Nie mówiłem dla którego — odparł mężczyzna. Wskazał na przepustki. — Sprawdzone? Tibbald dumnie skinął głową.

— Sam je przeprogramowywałem. — Zaczął pokazywać każdą po kolei. — Ta daje dostęp do wszystkich miejsc dla gości, ta do działu konserwacji, ta do węzła komunikacyjnego. — Zatrzymał się przy ostatniej, jasnoczerwonej przepustce. — A to naprawdę niegrzeczny chłopiec: wejście do wszystkich pomieszczeń dla ochrony aż do poziomu trzeciego. — Cofnął rękę z nagłym niepokojem na twarzy. — Tylko jeśli was złapią to ja nie mam z tym nic wspólnego, jasne? Mężczyzna skinął głową. Tibbald uśmiechnął się, jeszcze raz sięgnął do kieszeni i wyjął garść znaczków ze słowikiem.

— W porządku. A to są te znaczki identyfikacyjne, o które prosiliście. Są takie jak wszystkie, nie da się ich wytropić. Wystarczy wpiąć w marynarkę i w drogę.

— Czy pozostałe rzeczy też zostały przygotowane?

— Dzisiejsza częstotliwość została już ustalona i za żadne skarby nie mogłem jej zmienić. — Tibbald oblizwał wargi. — Czy mogę już dostać pieniądze?

Chociaż zostało to powiedziane od niechcienia, towarzyszyło mu kolejne pociągnięcie nosem,

zdradzające nałogowego ko-kainistę.

— Nie ma sprawy.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni kurtki. Tibbald pomyślał mgliście, że to dziwne: nosić skórzaną kurtkę w taki upał. Potem nieznajomy wyjął grubą kopertę z banknotami.

48

— Dobrze się spisałeś — powiedział.

Kiedy Tom zaczął przeliczać pieniądze, mężczyzna otoczył

ramieniem, gestem, który miał wyrażać uznanie. Druga dłoń ^{ów} powędrowała do kieszeni w skórzanej kurtce i po chwili wyłoniła się z powrotem z małym pistoletem automatycznym.

Tibbald nie odrywał oczu od banknotów, więc nie zorientował się, co się dzieje, aż do momentu, gdy mężczyzna wcisnął mu lufę między żebra. Oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki, usta usiłowały zaprotestować, ale zaskoczenie spowolniło jego reakcję.

Chociaż naboje z wydrążonym czubkiem zaprojektowano specjalnie, aby wybuchały w ciele ofiary, zamiast przechodzić na wylot, mężczyzna w skórzanej kurtce starannie skierował lufę lekko w dół, w kierunku kręgosłupa, aby przypadkiem nie postrzelić się w ramię, które cały czas otaczało szamoczącego się Tibbalda.

Rozległ się głuchy stukot, potem drugi. Papugi zaskrzeczały z zadowoleniem. Tibbald podskoczył, a następnie opadł bezwładnie. Wydał słaby, piskliwy głos jak powietrze uchodzące z miecha.

Mężczyzna zwolnił uścisk i pozwolił swej ofierze osunąć się do tyłu, a jednocześnie zabrał kopertę z rosnącej kałuży krwi. Potem naciągnął na zwłoki brezent i zawiąawszy je starannie, przetoczył nad siedzeniem do tyłu. Szybko zerknął za okna i mruknął z zadowoleniem, że wszystko przebiegło gładko i niezauważenie.

Zaczął wsuwać pistolet z powrotem do kurtki, lecz nagle znieruchomiał. Działał szybko, ale nie wystarczająco: na jego koszuli pozostał czerwony mokry ślad.

Klnąc, schował pistolet i zapiął kurtkę pod szyję. Powinny wystarczyć dwie minuty w męskiej toalecie, żeby załatwić sprawę.

Poza tym, kiedy włożył kostium, to już nie będzie miało baczenia.

9.10

Andrew Warne siedział na pluszowym fotelu w przestronnym gabinecie na poziomie A. Amanda Freeman pisała coś na komputerze. W ciągu ostatnich piętnastu minut zadała zdumiewająco dużo pytań. Kilka lat temu Warne wykonywał jakąś pracę dla CIA jako konsultant. Urzędnik, który sprawdzał go dla Langley, był znacznie mniej dociekliwy.

Amanda skończyła pisać i podniosła na niego wzrok.

— Wiedziałam, że pracuje pan w robotyce, ale nie miałam pojęcia, że to pan jest mózgiem naszej metasieci. Z tego, co wiem, kontroluje ona działanie wszystkich robotów w parku, prawda? Warne skinął głową.

— Poza kilkoma, które są całkiem niezależne.

— Imponujące. — Freeman znowu spojrzała na swój monitor, po czym napisała coś na kartce.

— Jest pan umówiony na spotkanie o jedenastej. Zapisałam panu numer gabinetu. Może pan spytać kogokolwiek z obsługi gości o drogę. Radzę skorzystać z wolnej chwili, aby rozejrzeć się po Utopii.

— Jasne. Może rozejrzę się na przykład za reaktorem jądrowym.

Amanda błyskawicznie obrzuciła go wzrokiem, a na jej twarz powrócił lekko ironiczny uśmiešek.

— Widzę, że o tym pan również słyszał. Mogę tylko odpowiedzieć, że wykorzystujemy w naszym parku energię hydro-elektryczną. — Podniosła się. — Pozostaje nam już jedynie kurs

50

wprowadzający. To rutynowe działanie wobec specjalistów z zewnątrz.

— Co, film instruktażowy? Zamierzałem zwiedzić z córką

Utopię-

— To zajmie pięć minut. Proszę za mną.

Wyprowadziła go z gabinetu i ruszyła w głąb korytarza. Warne czuł rosnącą irytację. Ścierpiał już tę całą biurokrację nad wyraz spokojnie, a teraz znowu ma przechodzić jakieś szkolenie? Jak pierwszy lepszy dekorator wystaw sklepowych? Czy Sarah

zaplanowała to specjalnie, żeby go upokorzyć? Szybko odsunął od siebie tę myśl. O Sarah Boatwright można było powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest małostkowa. Idąc, objął się ramionami i zaczął je rozcierać.

— A ja myślałem, że w mojej starej pracowni komputerowej jest zimno. Przecież tu można by przechowywać mięso.

— To swoisty produkt uboczny procesu oczyszczania. Pod parkiem rozciąga się prawie dwieście tysięcy metrów kwadratowych podłóg, lecz czystość powietrza dorównuje u nas standardom fabryki chipów. — Gestem wskazała korytarz. — Oczywiście obowiązuje ścisły zakaz palenia. Wszystkie nasze skutery i wózki są napędzane elektrycznie. Jedynym nieelektrycznym pojazdem, dopuszczonym w Utopii do ruchu, jest samochód opancerzony, który raz na tydzień zabiera z parku gotówkę.

Mijali szereg gabinetów identycznych z tym, z którego przed chwilą wyszli. W jednym z nich Andrew zobaczył przez szybę swojego towarzysza z kolejki, Normana Peppera, żywo gestykulującego.

— Wie pani — doszedł go przez otwarte drzwi zaaferowany głos biologa — że orchidee są największymi maniakami seksualnymi świata flory? Zamiast zapładniać się na odległość jak inne rośliny, przemierzają setki kilometrów, aby uprawiać seks z innymi storczykami. Kwiat *Paphiopedilum venustum* w procesie ewolucji upodobnił się nawet kształtem...

To tutaj — oznajmiła Freeman, otwierając szare nieoznakowane drzwi i wprowadzając Warne'a do niewielkiego pokoju.

W nowym pomieszczeniu wszystkie ściany, podłoga i sufit wyłożone były ciemnym materiałem, na środku stały naprzeciwko

51

siebie tylko dwa identyczne krzesła. Andrew rozejrzał się ciekawie. Nie takiej sali projekcyjnej się spodziewał. Bardziej przypominało to gabinet psychiatry z niedorozwiniętym zmysłem projektowania wnętrza.

Freeman wskazała mu bliższe krzesło. — Potem może pan już sobie iść. Oto moja wizytówka, proszę dzwonić do mnie na pager, gdyby pan czegoś potrzebował. Pierwsza wizyta działa zwykle trochę przytłaczająco. To rzekłszy, wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Chwilę później na drugim krześle Andrew zobaczył Erica Nightingale'a. Wytrzeszczył oczy i omal nie zerwał się na równe nogi.

Hologram był wręcz niewiarygodnie realistyczny. Warne naturalnie wiedział, że Utopia wyspecjalizowała się w technice holografii, ale nie miał pojęcia, że poczynili aż takie postępy. Człowiek siedzący na krześle wyglądał jak żywy: wizjonerski twórca Utopii we własnej osobie, prawdziwy magik w charakterystycznym białym fraku, krawacie i cylindrze, z błyszczącymi czarnymi oczami, kozią bródką na młodej twarzy, oddaną z taką dokładnością, że widać było pojedyncze włoski. Bajecznie sławny, legendarnie ekscentryczny, znany z teatralnej wręcz rozrzutności, perfekcjonizmu i skłonności do zacierania granicy pomiędzy rzeczywistością a iluzją. Łącząc tradycyjne występy na scenie z nowoczesną techniką i mroczną psychodramą podniósł sztuki magiczne do rangi wielkiego przemysłu rozrywkowego. Dwa cykle filmów rysunkowych Nightingale'a z postaciami, które tworzył w swoich przedstawieniach, pobiły wszelkie rekordy oglądalności wśród dzieci z grupy wiekowej od pięciu do piętnastu lat. To właśnie jego gwiazdorska osobowość zdołała połączyć grupę wielkich korporacji oraz odważnych inwestorów i utworzyć pierwotną Utopia Holding Company. To on nadzorował powstający park rozrywki, aż do swojej śmierci w katastrofie lotniczej pół roku przed otwarciem.

I oto siedział jako doskonały twór interferujących fal świetlnych i patrzył prosto na Warne'a. Po czym przemówił.

— Serdecznie panu dziękujemy za przybycie do Utopii. Doceniamy pańską wiedzę i doświadczenie, które zechciał pan

52

skorzystać w tworzeniu naszego systemu. Mamy nadzieję, że pobyt u nas sprawi panu przyjemność. Andrew słuchał tylko jednym uchem, w dalszym ciągu nieco zaskoczony i oszołomiony. Dwa i pół

roku temu ten człowiek siedział w jego pracowni w Carnegie-Mellon i prosił go o pomoc, roztaczając przed nim swą wizję Utopii. To on tak bardzo odmienił jego życie — najpierw na lepsze, potem, choć nieumyślnie, na gorsze.

Patrząc na niego, Warne poczuł nagły, prawie bolesny przypływ całej sympatii, jaką go darzył, zrodzonej przy niezliczonych filiżankach kawy, niezapomnianych burzach mózgu. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo mu brakowało intelektualnej energii, jaką dawała mu ich przyjaźń, a także milczącego wzajemnego szacunku. Nightingale'a urzekły teorie Warne'a z dziedziny robotyki i sztucznej inteligencji. Już sam fakt, że były tak kontrowersyjne, wystarczył, aby go zachęcić, został więc jego największym orędownikiem, dokładnie takim, jaki teraz przydałby mu się najbardziej w świecie. Ogarnął go smutek, a zarazem czuł się nieswojo, jakby siedział w towarzystwie ducha. Wiedział co nieco na temat holografii. Aby wytworzyć obraz wielkości zaledwie metra tym systemem trójwymiarowego obrazowania, potrzebna była gigantyczna moc obliczeniowa. Tymczasem przed nim siedziała postać naturalnych rozmiarów i kolorów, pozbawiona wszelkich śladów obróbki, na przykład roz-dymanii emulsji. I w niczym nie przypominała niewyraźnych, widmowych hologramów pierwszej generacji. Warne rozejrzał się dookoła po czarnych ścianach, bezskutecznie szukając sprzętu projekcyjnego. Potem znowu odwrócił się do hologramu siedzącego na krześle naprzeciwko niego i próbował się skupić na tym, co mówił Nightingale, czy raczej jego portret.

— W tym roku nasz park odwiedzi blisko pięćset milionów S^ości. Zdradzę jednak panu pewien sekret. Otóż planuję dla nich coś więcej niż zwyczajny park rozrywki. Chcę, aby wszyscy dopili się w Utopię. Jeśli potrafimy zapewnić im prawdziwie Wszechogarniające doświadczenie, owo utopijne marzenie o na-Uce połączonej z przyjemnością, wówczas osiągniemy swój cel. A możemy go osiągnąć bez kiczowatych kolejek górskich i tanich

53

dreszczyków wesołego miasteczka. Tu właśnie rozpoczyna się pańskie zadanie. — Na twarzy Nightingale'a zawitał ów szeroki, podekscytowany, niemal konspiracyjny uśmiech, który Warne tak doskonale pamiętał. — Przyjechał pan tu ze względu na swoje wyjątkowe, specjalistyczne umiejętności. Pomogą nam one uczynić z Utopii jeszcze bardziej realistyczny świat lub też świat działający sprawniej i płynniej. Albo świat, który przekracza kolejne granice wyobraźni. Utopia ma przede wszystkim stawiać wyzwania. Jeśli ich nie podejmiemy, nie będziemy się rozwijać. Nightingale wstał, a Warne zauważył, że jego hologram ma w sobie tę samą elektryzującą sprężystą energię, która za życia cechowała jego pierwowzór.

— Kiedy po raz pierwszy przedstawiłem ekspertom swoją koncepcję Utopii, powiedzieli, że zwariowałem. Nikt nie będzie chciał jeździć dziesiątki kilometrów w głąb pustyni, żeby odwiedzić wesołe miasteczko. Las Vegas ma fatalną lokalizację, mówili, ale to miejsce zabaw dla dorosłych, a nie dla rodzinnej rozrywki. Ludzie nie pragną parków tematycznych, które stawiają wyzwanie wyobraźni, chcą szybkich kolejek i diabelskich młynów. Ale ja wiem, że Utopia zasługuje na swe imię. Zostanie najslynniejszym miejscem rozrywki na świecie, a z umiejętnościami i wiedzą tak wybitnych ekspertów jak pan nigdy nie przestaniemy się rozwijać.

Nightingale zdjął cylinder i odwrócił go do góry dnem.

— Przekona się pan, że w Utopii wszystko opiera się na iluzji. Nie wzbraniamy się przed sztuczkami, chcemy stworzyć naszym gościom wymyślony świat i pozwolić im się w nim zanurzyć. — Włożył dłoń do kapelusza, a kiedy ją wyjął, na jego wskazującym palcu siedział biały gołąb. Podrzucił głową i patrzył dookoła paciorkowatymi oczami. — A jeśli wyjadą stąd wzbogaceni o najwspanialsze wspomnienia w swoim życiu, to czyż wspomnienia te nie będą tak samo rzeczywiste jak wszystkie inne? Nie inaczej wcielamy iluzję w życie, aby stała się rzeczywistością. — Teatralnym gestem wyrzucił gołębia w powietrze. Ptak podniósł lśniący łebek i rozpostarł szeroko skrzydła. Na oczach Warne'a białe pióra zaczęły błyszczeć niemal metalicznym blaskiem, po czym nagle gołąb przeistoczył się w małego

54

smoka, a z otwartej paszczy wystrzelił ogień, aż Andrew odruchowo schylił głowę. Stwór zatoczył koło nad głową Nightingale'a i po chwili zniknął w obłoku błękitnego dymu.

Patrząc prosto na Andrew, wizerunek Nightingale'a nie przestawał się uśmiechać szeroko, jakby bawiło go wrażenie, jakie wywołał na swym słuchaczu. Bez wątpienia bardzo starannie zaaranżował to przedstawienie, nie wiedząc jeszcze wtedy, że zamieni się ono w jego testament. Czarne oczy iluzjonisty błyszczały pod brwiami rozciętymi głęboką bruzdą.

— Od czasu gdy Utopia przeprowadziła pierwsze prekursorskie prace, dokonaliśmy wiele ważnych, nowatorskich odkryć w dziedzinie praw rządzących parkami rozrywki. Wyjątkowo realistyczne oraz wewnętrznie spójne otoczenie; stymulacje stanów podprogowych; przełomowe technologie holograficzne i wi-deofoniczne; inteligentne, autonomiczne roboty...

— Dzięki — mruknął Warne do obrazu.

— Z pańską pomocą będziemy mogli kontynuować ten postęp, a Utopia osiągnie jeszcze wyższy poziom tego, czym już się stała: awangardą nowej epoki w przemyśle rodzinnej rozrywki. Tygłem nowych technologii. Bawcie się dobrze razem z nami.

Mówiąc to, Nightingale trzymał cylinder przed sobą. Teraz rozpostarł ręce na boki i obraz delikatnie zadrgał. W przyćmionym, trochę niesamowitym świetle pokoju postać zamigotała na krawędziach złoto i srebrno. Po chwili migotanie rozprzestrzeniło się do środka, aż wreszcie to, co było wizerunkiem iluzjonisty, zamieniło się w pusty, skrzący magiczny pył w kształcie ludzkiej sylwetki. Błyszczący obłok ukłonił się nieznacznie.

— Do zobaczenia — powiedział jeszcze Nightingale, ale jego głos już cichł i stawał się równie niematerialny jak obraz.

Później migoczący kształt rozjaśnił się nagle i wybuchnął niezliczonymi świetlnymi punktami, po czym rozplynął się w delikatne smugi i znikł.

Warne stał bez ruchu i wpatrywał się w przestrzeń, gdzie Jeszcze przed chwilą siedział Nightingale. Czuł się dziwnie rozdarty pomiędzy przeszłością a teraźniejszością.

Zegnaj, Ericu — powiedział cicho.

9.45

Idąc wzdłuż białego parkanu, Andrew Warne mijał tłumy gości i mrużył oczy w rażącym blasku słońca. Szeroki chodnik zrobiony był z drewnianych podkładów, wytartych i wyblakłych od długich lat działania soli i słońca. Nieopodal kataryniarz z oswojoną małpą na ramieniu wygrywał swoje melodie. Po drugiej stronie trotuaru lśnił niczym klejnot park miejski, pełen malowniczych alejek i drewnianych ławeczek. W środku parku stała altanka, a w niej zespół w kapeluszach słomkowych i marynarkach w czerwono-białe paski wyśpiewywał na całe gardło nieodparcie wesołą wersję Royal Garden Blues. A ponad tym wszystkim wznosiła się wielka trasa kolejki Brighton Beach Express, której skomplikowana pajęczyna drewnianych wsporników oraz pierwszy zjazd stromy niczym skocznia narciarska wyglądały jak obraz z pocztówki magicznie przywrócony do życia.

Była to Promenada Utopii, drobiazgowa rekonstrukcja nadmorskiego wesołego miasteczka z przełomu wieków, odtworzona z dokładnością do żeliwnych latarni i nawet — uprzytomnił sobie zaskoczony Andrew — ledwo uchwytnego zapachu końskiego łajna unoszącego się w powietrzu i dziwnie przyjemnego. Oczywiście wcale nie wszystko było autentyczne, ponieważ żadna promenada z 1910 roku nie była tak doskonała. To, co tu zbudowano, przypominało raczej sentymentalne wspomnienie dawno zjedzonego ciastka, przeszłość zdezynfekowana, oczyszczona z wszelkich niedoskonałości i podmurowana ukrytym arsenałem

56

najnowocześniejszej techniki. Warne przedarł się przez tłum i przy wejściu do parku wyciągnął z kieszeni przewodnik. Obejrzał mapkę i skręcił w najbliższą ścieżkę.

Przed sobą widział teraz błękitny owal stawu. Gładki, błyszczący łuk szklanej kopuły wznoszącej się wysoko nad głowami podkreślał nierealność scenerii, która sama w sobie była wystarczająco egzotyczną dekoracją. Dookoła stawu na marmurowym brzegu klęczeli dorośli i dzieci, pluskali rękami w wodzie, obserwowali małe żaglóweczki, przechylające się i łopoczące na niewzruszonej powierzchni.

Skrzywił się w duchu. Miejsce wydawało się idealne na spotkanie: w samym centrum, prawdopodobnie niezbyt zatłoczone. Nie przyszło mu do głowy, że mogą tu być żaglówki.

Ciekawe, co na to powie Georgia.

Próbował odsunąć od siebie tę myśl. Chociaż od śmierci Charlotte minęły trzy lata, nie mógł się pozbyć tej instynktownej, podświadomej potrzeby chronienia córki. A im bardziej ją przejawiał, tym bardziej Georgia się przeciwko niej buntowała. „Jestem już dużą dziewczynką — mówił jej wzrok. — Umieć sobie sama radzić”. Nigdy nie wypowiadała tego na głos, tak jak nigdy nie mówiła zbyt wiele o matce, ale Andrew wiedział, wyczuwał to szóstym rodzicielskim zmysłem. To dziwne, że choć przez te trudne lata bardzo się do siebie zbliżyli, zawsze pozostawała jakaś terra incognita, gdzie nie miał wstępu.

Zobaczył ją po drugiej stronie stawu, między dwiema grupkami azjatyckich turystów. Wpatrywała się w wodę. Przez chwilę przyglądał jej się, przepelniony dumą i miłością. Większość czternastolatek cechowała tyczkowatość, niezdarność balansująca niepewnie między dzieciństwem a dorosłością. Ale nie Georgię. Jego wysoka, smukła córka stała z nieświadomą gracją rasowego konia. W każdym ruchu tak bardzo przypominała swoją matkę: kiedy palcem odgarniała z twarzy kasztanowe włosy, kiedy marszczyła ciemne brwi, wpatrując się w wodę. Na swój sposób była piękniejsza od Charlotte. Nieraz się zastanawiał, skąd jej się wzięła ta uroda. Na pewno nie odziedziczyła jej po nim.

Pojrzał w lustro wody rozpościerające się u jego stóp. Odpowiedział mu spojrzeniem chudy, wysoki mężczyzna o śniadej

57

cerze i wydatnej dolnej szczęce. Kiedy wychodzili gdzieś razem z Georgią, Andrew czuł zarazem ogromną przyjemność i dręczący niepokój, bo niejedna głowa odwracała się za jego córką. Podszedł do niej, a kiedy dziewczynka go zauważyła, wzniosła oczy ku niebu z żartobliwym zniecierpliwieniem.

— No, wreszcie — powiedziała, zdejmując słuchawki z uszu. — Chodźmy stąd.

— Dokąd? — spytał Warne.

Ruszył za nią z powrotem na bulwar. Zdziwiło go, że przy całej różnorodności atrakcji, które ich otaczały, Georgia może być tak skupiona na jednym celu. Szła przed siebie, prześlizgując się przez tłum niczym wąż, opętana jedną misją.

— Tam, oczywiście — odrzekła, wskazując palcem w niebo. \

Warne podniósł głowę.

— Tam? — spytał.

I wtedy zrozumiał. Wysoko nad nimi wznosiła się drewniana : sieć Brighton Beach Express, żyłaste torowisko wznosiło się i opadało niczym gigantyczna wstęga.

— Ach, tam... — powiedział. — Jesteś... pewna, że chcesz tym jechać?

Georgia nie zadała sobie nawet trudu, aby odpowiedzieć.

— Wszystko mam rozpracowane. Obejrzałam setki stron w Internecie i zrobiłam ranking wszystkich tutejszych atrakcji, od najlepszych do najgorszych, dla każdej krainy. Najpierw idziemy na tę kolejkę, potem na Wrzeszczącą Maszynę, a później...

— Hola, zwolnij trochę — zaprotestował. Nie tak sobie wyobrażał swoją pierwszą wizytę w Utopii: oszalałą bieganińkę przez tłum w takim pędzie, że uważając, gdzie się stawia nogi, nie miało się już czasu rozejrzeć dookoła. — Po co ten pośpiech?

— Nie powiedziałaś mi, jak długo będziesz tu uwiązany Mamy mnóstwo rzeczy do obejrzenia, nie chcę niczego przegapić-Jennifer z mojej klasy była tu w lutym, tak im się spodobało, że zostali jeden dzień dłużej tylko po to, żeby nic ich nie ominęło-Wydali pięćset dolców na zmianę rezerwacji biletów.

— Nie wiem, jak długo będę tu uwiązany, księżniczko, ale chyba nie za długo.

Mijali właśnie Zaczarowaną Karuzelę, słynącą, jak przeczytał

58

drew, z największej liczby drewnianych koni na świecie. Razem z chłodnym powietrzem przesiąkniętym zapachem perfum dobiegły ich melancholijne dźwięki walca.

__Spotkanie z Sarah mam o jedenastej. Wtedy dowiem się czegoś więcej.

_Właściwie po co ta cała tajemnica? Dlaczego nie mogła

ci po prostu powiedzieć, o co chodzi?

— Nie ma żadnej tajemnicy. Myślę, że chodzi o rozbudowanie metasieci.

Właściwie nie rozmawiał bezpośrednio z Sarah Boatwright, spotkanie o jedenastej zostało umówione z jej asystentką. Chociaż nie chciał się do tego przyznać, pytanie Georgii formułowało właściwie jego własne wątpliwości. Zmienił temat.

— Zgadnij, z kim przed chwilą rozmawiałem. Z Erikiem Nightingale'em.

Słyszając to, Georgia nieco zwolniła. Spojrzała na ojca, usiłując ocenić, na czym polega dowcip.

— Przestań mi wciskać kit, dobrze?

— Uważaj na słownictwo, Georgio. Ściśle mówiąc, to Nightingale mówił. Jego hologram. Naturalnych rozmiarów, jak żywy. Zdumiewająco realistyczny. Wygłasza mowę powitalną dla przyjeżdżających ekspertów. Zagrzewa do pracy.

— Jakby cię trzeba było jeszcze rozgrzewać. Połowa pomysłów w tym miejscu wyszła od ciebie.

Andrew roześmiał się, słyszając te słowa.

Tylko kilka początkowych koncepcji w zastosowaniu robotów i sztucznej inteligencji.

— A właśnie, gdzie są te wszystkie roboty? — Nie zatrzymując się, Georgia rozejrzała się dookoła. — Nie widziałam jeszcze ani jednego.

- Tutaj byłyby trochę nie na miejscu. Poczekaj, aż dojdziemy d« Kallisto.

Wejście do kolejki Brighton Beach Express mieściło się w du-zym budynku z cegły, upodobnionym do dziewiętnastowiecznego

°mu rozrywki. W oknach na wyższych piętrach wisiały chora-8'ewki, a do ściany fasady przyklejono staromodne afisze, ulotki

ogłoszenia reklamujące wszystko, co się da, począwszy od
59

rewii w najpopularniejszej tancbudzie w mieście, a skończywszy na nowo wynalezionych lekarstwach. Do kolejki prowadziły t^ sklepione przejścia, każde opatrzone innym szyldem:

Panopticon Płonące ruiny i Metamorfozy. Przed każdym wił się wąż turystów

— Przerabialiśmy właśnie metamorfozę na biologii — oznaj-miła Georgia. — Nuda.

— Może i tak, ale kolejka jest najkrótsza. — Warne zerknął na zegarek. — Chodźmy.

Kolejka posuwała się szybko. Andrew czytał, że w Utopii goście nigdy się nie nudzą nawet gdy stoją w kolejkach. Rzeczywiście w ciągu niewielu minut znaleźli się w środku. Za sklepionym przejściem panował mrok. Sznupek odwiedzających rozdzielił się i kobieta w skromnej, długiej sukni skierowała Georgię na prawo. Warne ruszył za nią, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do przyćmionego światła. Było tu chłodniej i wilgotniej. Z góry dochodził śmiech i stłumione okrzyki „Ach!” i „Och!”. Zobaczył przed sobą rząd ludzi, którzy wpatrywali się w coś, co wyglądało jak wysokie okna wprawione w ścianę po jednej stronie korytarza.

Kilka chwil później Andrew i Georgia stanęli przed dwoma pierwszymi szybami. Warne zobaczył swoje odbicie. Zwyczajne lustro, pomyślał. Też mi atrakcja.

Wtem obok niego Georgia wybuchnęła śmiechem.

— O Boże! — zapiszczała, patrząc na swoje lustro. — Ale odjazd!

Odbicie w lustrze Warne'a znikło raptownie. Co się dzieje, do diabła? Więc to nie lustro? Po chwili jego odbicie pojawiło się ponownie, ale coś w nim nie grało, coś niepokoiło, choć z początku Andrew nie mógł zrozumieć co. Wzruszył ramionami i podszedł do następnej szyby, od której właśnie odwróciła się Georgia.

Ponownie zobaczył swoje odbicie, które też po chwili znikło i zaraz pojawiło się z powrotem. Tym razem jednak zmiana nie budziła wątpliwości. Otóż bardzo raptownie Andrew przybrał na wadze.

Patrzył na niego Andrew Warne, który w ciągu kilku sekund przytył jakieś sto kilogramów. Z przodu wisiał mu ogromny

60

brzuch, sterczące jabłko Adama zasłaniał podwójny podbródek. Wrażenie było zaskakujące, nawet szokujące, nie było jednak wątpliwości, że to on albo raczej on taki, jaki mógłby być. Przy

następnym lustrze Georgia pokazywała palcem swoje odbicie i rżała jak oszałała.

Prawdziwe metamorfozy, pomyślał. Do diabła, jak oni to robią?

Podszedł do następnej szyby. Tym razem zrobił się chudy jak szkielet. Oczy, osadzone na poprzednim obrazie w mięsistej twarzy, wyglądały teraz z zapadniętego, wyglodzonego oblicza. Zawsze dość wydatna dolna szczęka wydawała się teraz zdecydowanie za duża w porównaniu z szyją cienką jak u kurczęcia.

Nagle zrozumiał, jak to robią. Posługują się hologramami, tak samo jak w projekcji Nightingale'a. Za szybą musieli zamontować kamerę, która następnie przetwarzała jego zdjęcie programem do morfingu, robiła z niego grubasa albo chudzielca, i z powrotem wyświetlała na ekranie. Jak krzywe zwierciadła w beczkach śmiechu, tylko o całe lata świetlne bardziej zaawansowane.

Zauważył, że Georgia stoi przed następnym zwierciadłem dłużej niż zwykle i przygląda się obrazowi z niezwykłą uwagą. Zajrzał w jej szybę zaciekawiony i to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Lustro pokazywało portret Georgii starszej o jakieś dwadzieścia lat. Te same kasztanowe włosy, zamyślane oczy, usta w kształcie pączka róży, urzekające rysy. Ale było w tej twarzy coś więcej — portret Charlotte, ulotny, lecz wyraźny. Miał wrażenie, jakby duch zmarłej żony spojrział nań oczami córki.

Przez chwilę patrzyli na obraz w milczeniu. Potem Andrew położył dziewczynie dłoń na ramieniu. Chodź — powiedział. — Wstrzymujemy kolejkę.

Za galerią wąż odwiedzających pełził w stronę wejścia do kolejki górskiej. Wnętrze poczekalni zaprojektowano na wzór stacji metra z początków dwudziestego wieku. Na ścianie wyłożonej czarnymi płytkami widniał napis: „Ekspres Brighton each”. W tłumie gości kręcili się mężczyźni i kobiety w strojach z epoki, gawędzili i śmiali się. Pod ścianą sprzedawca orzeszków ziemnych głośno zachwalał swój towar. Warne pokręcił głową — Ja była niewiarygodna. Gdyby dookoła nie widział innych

61

odwiedzających, mógłby przysiąc, że cofnęli się w czasie i znaleźli się na Coney Island sto lat wcześniej.

Stojąca obok niego Georgia była dziwnie milcząca. Wrócił myślami do tamtego wizerunku w lustrze.

— Zabraliśmy cię kiedyś z mamą do podobnego skansenu jak ten. Miałaś wtedy siedem lat. Pamiętasz?

— Nie. Słuchaj, czemu właściwie mamy czekać razem z tymi wszystkimi ludźmi? Nie możesz nas wcisnąć bez kolejki? Jesteś tu ważną osobistością.

— Kochanie, to było dawno temu. A przy okazji — powiedział z uszczypliwą ironią — zapomniałem zapytać, jak ci się podobało w punkcie opieki nad dziećmi.

Georgia zmarszczyła nos, słysząc nacisk, jaki Andrew położył na słowo „dziećmi”.

— Szczerze mówiąc, było całkiem fajnie. Można było obejrzieć każdy odcinek Strachosfety, jaki się chciało, poza tym mieli tam całe tony gier i komputerów. Ale tak naprawdę nie za bardzo się tym zajmowałam, bo robiłam to.

Sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła z niej złożoną kartkę.

— Co to?

Warne automatycznie wyciągnął po nią rękę, ale Georgia cofnęła dłoń.

— Lista. Lista kwalifikacji.

Andrew czekał. Georgia wzruszyła ramionami.

— Pytałeś, jaką dziewczynę bym zaakceptowała, więc spisałam wszystko na kartce. — Podniosła na niego wzrok. — Chcesz usłyszeć czy nie?

Odwzajemnił jej spojrzenie zaintrygowany.

— Tak, chcę.

Kolejka posunęła się do przodu i Georgia zrobiła kilka kroków za innymi. Rozłożyła listę i zaczęła czytać.

— Numer jeden: nie chodzi na wysokich obcasach. Numtf dwa: nie jest wegetarianką Trzy: gra

w kierki, szachy i tryktraka, ale nie za dobrze.

Słyszając to, Warne zaśmiał się w duchu. Był mistrzem w tryk' traka, ale czasami zapominał, że powinien od czasu do czasu dać Georgii wygrać.

62

— Na każdą wizytą przynosi prezenty. Jada torty czekoladowe.

Warne uwielbiał torty czekoladowe. Poczul się głęboko wzruszony — Georgia naprawdę o nim myślała, układając tę listę, przynajmniej w tym samym stopniu co o sobie.

— Jest zwolenniczką wysokich kieszonkowych. Nie może mieć rudych włosów.

Uśmiechnęła się lekko, kiedy to mówiła. Sarah Boatwright miała jaskrawomiedziane włosy.

— Gra w sieciowe RPG. I nie jest na diecie.

Warne zaczął dostrzegać pewną niepokojącą regułę: Sarah Boatwright, chociaż przez całe życie przykładnie szczupła, nieustannie była na diecie.

— Przynajmniej raz w tygodniu chodzi do McDonalda i woli piwo z lodami niż koktajl mleczny. Bardziej jej się podobają Three Stooges od braci Mara. I nie może być taka podła dla swojego taty jak Sarah.

— Sarah nie była podła — odrzekł mechanicznie Warne.

— Często nosi niebieskie dzinsy. Nie cierpi anchois, sardynek ani żadnych innych ryb.

Andrew westchnął w duchu. Stawało się coraz bardziej jasne, że żadna kobieta nie sprostą tym wymaganiom.

— Musi uważać, że...

— Jak długa jest ta lista? — spytał, zręcznie wyrywając jej z rąk kartkę. Uśmiechnął się, widząc charakter pisma swojej córki. Pomimo wszelkich pretensji do dorosłości, Georgia nadal rysowała małe kółeczka nad każdą literą „i”. Uśmiech zastygł mu na ustach, kiedy zobaczył spis. — Dobry Boże. Trzydzieści siedem punktów.

Georgia z dumą kiwnęła głową.

Zajęła mi prawie cały czas, kiedy na ciebie czekałam. Nie napisałam jeszcze tylko jednej rzeczy, ale to dlatego, że jest najoczywistsza pod słońcem

Co takiego?

Musi lubić Fatsa Wallera. Ale kto go nie lubi?rawdopodobnie ty za miesiąc albo dwa, pomyślał Warne, ochodzili do końca kolejki. Przed nimi mężczyzna w mun-e konduktora wpuszczał kilkanaście osób do wagonu wy-

63

glądającego jak nadziemny odkryty pociąg. Z trudem przełknął ślinę.

— Która godzina? — spytała Georgia.

— Za pięć dziesiąta.

— To dobrze. Zdamy jeszcze przed twoim spotkaniem przejechać się Wrzeszczącą Maszyną a może nawet Rynną.

Warne poczuł, jak jego usta zaciskają się mimowolnie. Czekalo go długie sześćdziesiąt minut.

9.55

Mężczyzna nazywający siebie Johnem Doe stał na chodniku naprzeciwko Pokoi Gościnnych i opierał się o barierkę. Podziwiał, jak jego lniana marynarka układa się z niedbałą elegancją na świeżo pomalowanej poręczy. Spojrzał w dół na szeroką halę Nexusa i wejście do stacji kolejki jednotorowej. Chociaż dochodziła dziesiąta, z wagonów nieustannie wylewały się tłumy ludzi. Istna rzeka ludzkości, pomyślał, przywodzi na myśl Księgę Joela. I zacytował na głos: „Tłumy i tłumy w Dolinie Wyroku”. Ale nie, jeśli miał być zupełnie szczerzy, to sceneria ta była jednak przepojona inną atmosferą bardziej ponurą, postmodernistyczną stosow-niejszą dla T.S. Eliota niż Biblii.

Podobał mu się dźwięk własnego głosu, kiedy po raz drugi recytował, tym razem jeszcze głośniej: Londyńskim Mostem płynął tłum, tak wielu, Nie sądziłem, że zgon już zaskoczył tak wielu*.

Znowu zerknął ku Pokojom Gościnnym, ale pracownicy przy biurku w kształcie półksiężyca byli zbyt zajęci, aby go usłyszeć, ylko jedna osoba zwróciła na niego uwagę: mężczyzna w sztruksowej marynarce, który wychodził właśnie z męskiej toalety. Ich spojrzenia spotkały się, potem tamten uchylił nieznacznie twee-owego kapelusza, odwrócił się i poszedł w swoją stronę.

T.S. Eliot Ziemie jałowe, przeł. Andrzej Piotrowski.

65

John Doe ponownie omiół wzrokiem Nexusa. Doszedł do wniosku, że nie podoba mu się ten wystrój wewnątrz: chrom połączony z drewnem wyglądał jak wynaturzona synteza Waltera Gropiusa z Piranesim.

Zupełnie inną sprawą był natomiast system bezpieczeństwa. Z podziwem ocenił zarówno jego zasięg, jak i swoistą powściągliwość. Kamery w Centrum Transportowym oraz w kolejce jednotorowej należały do cudów piątej generacji. Spojrzał na ścianę najbliższą Pokoi Gościńnych. Na przykład ten czujnik odległości ukryty za tablicą z napisem „Wstęp tylko dla personelu”. Zwyczajny gość parku nie zauważyłby go, nawet gdyby szukał. A gdyby go znalazł, nie domyśliłby się, co to jest. Jednak wprawne oko pana Doe natychmiast rozpoznało najnowszą bardzo kosztowną wersję DeMinima Sensalert, niezwykle trudną do zdobycia dla kogoś, kto nie reprezentował największych światowych potęg. Z pewnością Utopia w pewnym sensie do nich należała.

Ale żaden system nie może przerosnąć swego twórcy, który wszak jest tylko człowiekiem. W końcu murów obronnych Troi nie zburzono, miasto padło za sprawą głupców, którzy z własnej, nieprzymuszonej woli wpuścili do środka zdradzieckiego konia. Utopijne osiłki nie wyglądały ani trochę tak imponująco jak zabawki, którymi się posługiwały. Przechadzały się z ważnymi minami w czarnych marynarkach zamiast białych, z przewodami od słuchawek wpasowanymi starannie w uszy... rzucały się w oczy jak zabandażowane kciuki w zaciśniętej pięści. Równie dobrze mogłyby chodzić w kamizelkach kuloodpornych i z uzi w rękach. Nawet tajniaków w cywilnych ciuchach łatwo było wyłuskać z tłumu. Zauważył najróżniejsze przebrania: grubego turystę w hawajskiej koszuli, wysokiego, szczupłego faceta obwieszonych aparatami fotograficznymi, kobietę w rzekomej ciąży. Wszyscy mieli na nogach takie same czarne buty na grubej podeszwie jak pozostali ochroniarze.

Doe pokręcił głową. Sam by tego lepiej nie urządził. Chociaż po prawdzie urządził niemało.

Odczekał jeszcze chwilę, rozkoszując się słońcem grzejącym

66

go w ramiona. Potem zarzucił sobie torbę na ramię i zszedł na parter, kierując się w stronę Gazołitu. Znalazłszy się w środku, z dala od tłumów, ruszył spacerkiem brukowaną ulicą z rękami w kieszeniach, pogwizdując skomplikowaną figurę z Fantazji chromatycznej Bacha. Jego oczy nie zatrzymywały się ani na moment, lecz w przeciwieństwie do innych gości nie pożerał wzrokiem dekoracji, pokazów ani kostiumów, ale lustrował to, co miało zostać ukryte: posterunki ochrony, wyjścia i wejścia dla pracowników Utopii, kamery na podczerwień. Jego dobry humor jeszcze bardziej się poprawił. Pogwizdywał coraz szybciej.

Chociaż Doe nigdy przedtem nie był w Utopii, wykazywał niezwykle głęboką znajomość jej tajników. Bez najmniejszego wysiłku znalazł najkrótszą drogę do kasyna w Gazolicie — przez wierną rekonstrukcję oranżerii londyńskich Królewskich Ogrodów Botanicznych. Zatrzymał się przed południowym portykiem i ze szczerym podziwem patrzył na migoczącą fasadę ze szkła i stali. Tak, tu mu się bardziej podobało. Wszedł do środka.

W porównaniu ze zgiełkiem otaczającym kolejki górskie i bary y Nexusie tutaj panowała cisza i wręcz dostojna atmosfera. Ściany ozdobiono palmami w doniczkach i napisami na wiktoriańskich wstęgach. Kelnerki w sukniach z krepy i tafty roznosiły koktajle, różowy dżin i brandy z wodą sodową. Krupierzy rozdający w edwardiańskich surdutach zarządzali niezliczonymi stolikami do gry. W transepcie na środku sali ustawiono dwa wielkie pierścienie masywnych automatów do gry z mosiądzu 1 cyny, z mechanicznymi bębniami i ręcznie malowanymi wiśniami. Pan Doe przechadzał się między tymi cudeńkami i za-wycał się precyzją z jaką w Utopii wszystko, co związane azardem, urządzono tak, aby zachować w kasynie tego samego cna epoki co w pozostałych częściach Gazolitu. ski jeden element był tu wyraźnie i celowo niewiktoriań-"T ^szystkowidzący, niezliczone bąble przydymionego szkła, iane po drewnianych kasetonach sufitu. W przeciwieństwie

67

do wszystkich innych miejsc w Utopii środki bezpieczeństwa i nadzoru w kasynie miały być wyraźnie widoczne.

Rozglądając się z szerokim uśmiechem, Doe przyglądał się setkom klientów kasyna, pochylonym nad stolikami do kości, ustawiającym żetony przed kołami ruletki, szarpiącym za uchwyty automatów. Tyle ludzi tak bez reszty pochłoniętych traceniem pieniędzy.

Tak baczego obserwatora ludzkiej głupoty jak Doe musiała rozbawić absurdalna ironia tego miejsca. Oto miał przed sobą przykład cudownie wypaczonej pierwotnej idei Erica Nightingale[^]: park rozrywki, którego sercem były nie postaci z filmów rysunkowych, lecz kasyna. Doe widział jasno ten przemyślnie modyfikowany, postnightingale'owski, zbiorowy scenariusz: ludzie przyjadą poddadzą się starannie zaaranżowanemu urokowi Utopii, stracą wszelkie zahamowania, a następnie pieniądze.

To doprawdy zdumiewało — park działał już pół roku i jak dotąd słychać było bardzo niewiele głosów oburzonych tym małym brudnym sekrecikiem. Może to dlatego, że Utopia była prawdziwą mistrzynią w tym, co robiła.

Doe obrzucił oranżerię ostatnim, uważnym spojrzeniem, po czym wrócił na korytarze Gazolitu spowite gęstą mgłą. Przystanął przed sklepikiem, nad którym szyld głosił: „Sklep tytoniowy”. Obok prawie niewidoczne w ciemności widniały małe, nieoznakowane drzwi. Ledwo zauważalnie obejrzał się przez ramię, po czym położył dłoń na gałce i przekręcił.

Za drzwiami w obie strony ciągnął się zakrętami długi korytarz z szarego betonu. Po drugiej stronie kawałek ściany pomalowano tak, aby imitował fakturę drewna i ewentualnym gościom wydawał się po prostu elementem parkowych atrakcji.

Doe starannie zamknął za sobą drzwi, odtworzył w pamięci mapę tego miejsca i ruszył korytarzem w stronę szerokich metalowych schodów, którymi zszedł na poziom A.

Zatrzymał się na pierwszym skrzyżowaniu. Z korytarza oznakowanego jako „Centrum przetwarzania danych” w jego kierunku szedł ochroniarz w mundurze. Doe odwrócił się ku niemu ze zdeorientowaną miną. Na jego widok strażnik natychmiast się zatrzymał.

68

— Czy mogę panu w czymś pomóc? — zapytał podejrzliwie.

— Och, tak, jak najbardziej. Szukam działu zwierząt. Mam się tam spotkać, wie pan, z kolegą po fachu.

— Jest pan konsultantem? Gdzie pański znaczek?

— Znaczek? Och, naturalnie, znaczek! — Doe zająknął się, sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął małego zielonego słowika. — Całkiem wyleciało mi z głowy, że miałem to nosić przypięte. Przepraszam.

Wpiął znaczek w klapę.

— Czy mogę zobaczyć pańską przepustkę? — zapytał strażnik.

— Och, gdzieś tu ją mam — odrzekł Doe i pogrzebawszy w innej kieszeni, wyjął laminowaną kartę magnetyczną.

Strażnik obejrzał ją uważnie i po chwili oddał.

— Dziękuję. Proszę iść dalej prosto i skręcić w trzeci korytarz na prawo. Drugie drzwi po lewej stronie.

— Bardzo pan uprzejmy.

Doe uśmiechnął się i skinął głową. Patrzył za odchodzącym funkcjonariuszem. Strażnik postąpił ściśle według swoich wytycznych. Tak jak go zapewniano — ochrona niższego szczebla będzie reagować mechanicznie, tak jak uczą ich podręczniki. To doprawdy wyśmieniecie.

XXX

Dział zwierząt przepełniały odgłosy dżungli — skrzeki, wycie, pohukiwania — i nieprzyjemne egzotyczne zapachy. Marszcząc nos, Doe przeszedł obok grupki kłócących się szympanów i znalazł drzwi z napisem: „Pokój przygotowawczy 3”. W środku Przy ogromnej klatce z papugami stał mężczyzna o migdałowych oczach, ubrany w skórzaną kurtkę.

— Jakież problemy? — zapytał Doe, zamykając za sobą drzwi.

Mężczyzna pokręcił głową.

Nie palili się, żeby zaglądać zbyt głęboko do klatki — odparł, pokazując palcem niemilościwie brudną gazetę wyściełającą dno klatki.

Naturalnie. Co u reszty?

" Wszystko zgodnie z planem.

— Co z naszą komputerową złotą rączką?

69

— Odpoczywa wygodnie.

— Miło słyszeć.

Doe skinął głową w kierunku klatki i mężczyzna wysunął szufladę ukrytą pod dnem. Doe pochylił się, włożył do środka rękę i wyjął cienkie czarne radio z krótką anteną. Włączył je, wstukał kod i przystawił mikrofon do ust.

— Bawół, tu Czynniki Pierwsze. Melduj, co u ciebie.

Radio umilkło, a po chwili zatrzeszczało:

— Na stanowisku.

— Dziesiąta cztery. Odezwę się o trzynastej. — Doe zmienił częstotliwość i ponownie podniósł radio do ust.

— Haker Jack, słyszysz mnie?

Tym razem cisza trwała dłużej. Potem radio zatrzeszczało głośniejszym głosem niż poprzednio.

— Słyszę.

— Ruszamy. Zasłona dymna gotowa?

— Tak — odpowiedział drugi głos.

— Rozumiem, bez odbioru.

Doe wsunął radio do kieszeni, po czym odwrócił się z powrotem do szuflady pod dnem klatki i krytycznym okiem zlustrował jej zawartość.

— Hm, co do broni du jour...

Obejrzał rugera, po czym odrzucił go z czysto estetycznych powodów. Jego wzrok zawisł na ładnym kolcie, ale doszedł do wniosku, że nie ma nastroju na broń z takim ciężkim kopnięciem. Zdecydował się na glocka 9 — lekkiego, skutecznego i niezawodnego na wypadek, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Przerzucił pistolet z ręki do ręki, po czym wsunął go do kabury pod marynarką. Przykłęknąwszy obok mężczyzny o migdałowych oczach, otworzył dużą torbę na ramię i zaczął przekładać do niej rzeczy z szuflady. Pracował szybko, wprawnymi ruchami i w ciągu trzydziestu sekund nappełnił torbę. Zamknął ją na suwak, wstał i podał swemu towarzyszowi, który zarzucił ją na ramię i skierował się do drzwi. Chwycił za klamkę, obejrzał się i skinął głową

— Wiesz co? — powiedział Doe, odpowiadając mu również skinieniem. — Wyglądasz wypisz, wymaluj jak Johnny Appleseed.

I uśmiechnął się.

11.00

Centrum Wdrożeń na poziomie B wyglądało niemal identycznie jak stara pracownia Andrew w Carnegie-Mellon albo raczej wyglądałoby, gdyby dostawał dwudziestokrotnie większe fundusze. Pomieszczenia były przestronne, lśniące i jasno oświetlone. Minęli centrum danych, pełne terminali i regałów z wbudowanymi serwerami, gdzie operatorzy w białych fartuchach pochylali się nad czymś, co wyglądało na system przesyłu hologramów.

Georgia szła obok niego z przewodnikiem w ręku.

— Musisz się spotkać z Sarah Boatwright już teraz? — spytała. — Udało nam się dopiero przejechać dwiema kolejkami.

Dzięki Bogu, powiedział sobie w duchu Wame. W Brighton Beach Expressie było już nie najlepiej, ale po Wrzeszczącej Maszynie żołądek podchodził mu do gardła, a kiedy zamykał oczy, do tej pory widział drewniane wsporniki śmigające mu kilka centymetrów przed twarzą.

To nie potrwa długo. Zanim się obejrzyysz, wrócimy do kolejek. Poza tym — zaryzykował — nie masz ochoty się z nią zobaczyć po takim długim czasie? Będzie miała niespodziankę, nie powiedziałem jej, że ze mną przyjeżdżasz.

Georgia tylko prychnęła pogardliwie w odpowiedzi.

Warne patrzył na numery na mijanych drzwiach, a potem sprawdził wskazówki, które Amanda

Freeman zapisała mu na artce. Sala konferencyjna B-23. Czemu akurat sala konferencyjna? Dziwne miejsce na częściowo prywatne spotkanie z Sarah.

71

Jej asystentka oznajmiła, że rozmowa ma dotyczyć przyszłego rozwoju metasieci, infrastruktury komputerowej, którą zaprojektował do sterowania robotami w Utopii. Z pewnością przydałoby mu się nowe zlecenie, na przykład na poszerzenie kompetencji metasieci. Nie dał się jednak ponieść entuzjazmowi. W końcu nie rozstał się z zarządem głównym Utopii w zbyt przyjacielskich stosunkach. W zeszły czwartek zadzwoniła do niego asystentka Sarah, aby przyspieszyć spotkanie o tydzień. To by znaczyło, że bardzo im na nim zależy, w końcu termin otwarcia Atlantydy zbliżał się wielkimi krokami. Trzeba rozszerzyć zasięg metasieci, aby objęła roboty w nowej krainie. Widocznie o to chodzi. To pierwsze spotkanie ma pewnie na celu ocieplenie stosunków i przedstawienie wstępnego projektu. Zwiedzi z Georgią park i pojedzie do domu, aby przemyśleć ich ofertę. Potem będą następne, dłuższe spotkania. Tak działała Utopia.

Po prawej stronie zauważył podwójne drzwi.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział, przekręcając gałkę.

Dłoń ślizgała mu się na gładkiej metalowej powierzchni. Myśl o spotkaniu z Sarah napelniała go dziwną mieszaniną lęku i niecierpliwego oczekiwania. Wpuścił Georgię do środka, potem wszedł za nią i tuż za progiem zatrzymał się zdziwiony.

Sala konferencyjna była dużo większa, niż przypuszczał. Zamknął drzwi i rozglądając się, powoli ruszył przed siebie. Naczelne miejsce w pokoju zajmował wielki stół z kilkunastoma krzesłami, na jednym końcu stała tablica suchościeralna, pokryta wykresami, na drugim projektor LCD. Wzdłuż jednej ściany na metalowych stelażach tłoczyły się komputery. Georgia obrzuciła wzrokiem salę, po czym podeszła zaciekawiona do tablicy. Warne obserwował ją z roztargnieniem.

Nagle znowu otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Sarah Boatwright.

Nieraz się zastanawiał, jak to by było spotkać ją ponownie. Przypuszczał, że poczuje się niezręcznie, będzie rozgoryczony, może nawet zły. Nie podejrzewał jednego — że może jej znowu zapragnąć. Tymczasem uczucie, które w nim narastało, kiedy ją ujrzał, nie pozostawiało cienia wątpliwości.

72

Minął dokładnie rok, od kiedy przyjęła posadę szefowej działu operacyjnego Utopii, rzuciła Carnegie-Mellon i ostatecznie zerwała z Warne'em. Mimo to wyglądała jeszcze młodziej, jak gdyby chłodne wnętrza parku miały właściwości regeneracyjne. W sztucznym świetle utopijnych Podziemi jej miedziane włosy nabierały cynamonowej barwy, a zielone oczy połyskiwały złotymi refleksami. Stała wyprostowana z brodą uniesioną wysoko. Zawsze była pewna siebie, opanowana, nie znał w życiu silniejszej kobiety. Tym razem jednak w jej sposobie bycia, w sposobie, w jaki poruszało się jej posągowe ciało, Warne zauważył coś jeszcze — świadomość władzy. W jednym ręku trzymała nieodstępną filiżankę z herbatą, pod drugą pachą plik dokumentów.

— Andrew — powiedziała, skinąwszy głową. — Dziękuję, że przyjechałeś.

Postawiła filiżankę na stole i wyciągnęła rękę. Uścisk jej dłoni był krótki, służbowy, pozbawiony nawet śladu dawnych uczuć.

Wtedy zauważyła Georgię, która obserwowała ich w milczeniu zza tablicy. Dłoń jej opadła do boku i przez ułamek sekundy na twarzy odbiło się zaskoczenie: pusty, martwy wyraz, który Warne widywał u niej bardzo rzadko i który znikł równie szybko i nagle, jak się pojawił.

— Cześć, Georgio — rzekła z uśmiechem. — Nie wiedziałam, że przyjedziesz. To miła niespodzianka.

— Cześć — odpowiedziała Georgia.

Przez kilka sekund panowało niezręczne milczenie.

— Wyglądasz, jakbyś urosła kilkanaście centymetrów od czasu, gdy cię ostatnio widziałam. I jeszcze wyładniałaś.

W odpowiedzi Georgia odeszła od tablicy i stanęła obok ojca. Co słyhać w szkole? Pamiętam, że miałaś kłopoty z francuskim.

— Wszystko dobrze, chyba...

~^ Cieszę się. — Oczekała chwilę. — Zwiedziłaś już park? Przejechałaś się jakąś kolejką?
Georgia skinęła głową ale oczy miała spuszczone.
tymczasem Sarah przeniosła wzrok na Warne'a. „Co ona tu
i, Drew?” — mówiło jej spojrzenie, tym momencie w drzwiach stało dwoje ludzi: wysoki,
73

szczupły mężczyzna około czterdziestki i młoda Azjatka w białym fartuchu laboratoryjnym.
Sarah rzuciła wzrokiem w ich stronę.

— Wejdźcie, proszę — powiedziała energicznie. — Poznajcie doktora Warne'a. Andrew, to jest
Fred Barksdale, szef działu systemów i informatyki.

Mężczyzna, uśmiechając się, odsłonił rząd idealnych, śnieżnobiałych zębów.

— Miło mi — powiedział, idąc w stronę Warne'a, aby uścisnąć mu rękę. — Witamy w Utopii.
Jak rozumiem, to od dawna oczekiwana wizyta.

— A to jest Teresa Bonifacio, pracuje z Fredem przy naszych robotach.

Słyszając to, Andrew spojrział na Azjatkę z nowym zainteresowaniem. Rozmawiał z nią przez telefon
dziesiątki razy, zostali dobrymi znajomymi na odległość, nigdy jednak jej nie widział. Miała około
metra sześćdziesięciu wzrostu i czarne równo obcięte włosy. Ona również przyglądała mu się
uważnie. W pierwszej chwili prawie go zdumiało, że była aż tak atrakcyjna. Podczas tych
niezliczonych rozmów ani razu nie przyszło mu do głowy, aby z tym głębokim głosem i
lakonicznymi wypowiedziami połączyć jakąś twarz.

— A więc nareszcie się spotykamy, Tereso.

Kobieta odpowiedziała uśmiechem i krótkim, jakby ptasim skinieniem głowy.

— Nie do wiary. Mam wrażenie, jakbym cię znała od lat.

Miała ciepły, trochę szelmowski uśmiech, od którego marszczył
jej się nos i kąciki oczu.

— A to jest Georgia — ciągnęła Sarah. — Córka Andrew.

Zarówno Barksdale, jak i Teresa Bonifacio odwrócili się
zaintrygowani w stronę dziewczynki. Warne'a opadły nagle złe przeczucia. Nie zanościło się na
towarzyską pogawędkę z Sarah, na sentymentalne tete-a-tete, jakiego się spodziewał.
Zdecydowanie pomylił się w swoich oczekiwaniach.

Zapadła kolejna chwila milczenia. Andrew poczuł, że Georgia przysuwa się do niego jeszcze bliżej.

— Wobec tego najlepiej zacznijmy — rzekła Sarah, układając

74

papiery na stole. — Georgio, posłuchaj mnie. Musimy porozmawiać z twoim tatą kilka minut. Czy
mogłabyś zaczekać na korytarzu?

Georgia nie odpowiedziała. Nie musiała, zmarszczone brwi i ściągnięta w uporze, wystająca dolna
warga mówiły same za siebie.

— Mam pomysł — odezwał się Barksdale. — Może Teresa zabierze Georgię do najbliższego
saloniku dla personelu. Mamy wszystkie smaki napojów gazowanych, jakie można wymyślić, za
darmo.

Teraz z kolei Teresa posłała Barksdale'owi gniewne spojrzenie, ale Warne popatrzył na niego z
wdzięcznością. Facet najwyraźniej wyczuł niezręczną sytuację i znalazł idealne rozwiązanie.
Odwrócił się ponownie do córki.

— Co ty na to, kochanie? — spytał.

Widział, jak w jej głowie obracają się trybiki. Rozumiała, że nie powinna odrzucić tak grzecznej
propozycji dorosłego. Miał także nadzieję, że nie będzie chciała wprawić w zakłopotanie własnego
ojca.

Surowa linia dolnej wargi dziewczynki złagodniała.

— Cherry coke też?

— Całe morze cherry coke — odparł Fred z uśmiechem.

— Dobrze.

Teresa Bonifacio popatrzyła najpierw na Barksdale'a, potem na Georgię, wreszcie na Warne'a.
Miło było pana wreszcie poznać, doktorze Warne — powiedziała żartobliwym kontraltem. —

Chodź, mała.

I prowadząc przed sobą Georgię, wyszła na korytarz i zamknęła drzwi.

11.15

— Jeszcze jedną colę? — spytała Teresa, próbując znaleźć wygodną pozycję na czerwonym plastikowym krześle.

Po drugiej stronie stołu Georgia potrząsnęła głową.

— Nie — powiedziała. — Dziękuję — dodała po chwili.

Teresa uśmiechnęła się i dyskretnie zerknęła na zegarek.

Spotkanie potrwa jakieś pół godziny, może czterdzieści minut, tymczasem minęło dopiero dziesięć, a ona już nie miała pojęcia, o czym ma rozmawiać z dziewczyną która siedziała naprzeciwko niej. Niezbyt starannie stłumiła westchnienie. Nie wierzę, pomyślała, że mogłam odrzucić propozycję pracy w Instytucie RAND za sto dwadzieścia tysięcy dolarów, żeby niańczyć jakieś smarkule. Znowu poruszyła się na krześle. Z jednej strony irytowało ją, że musi odgrywać opiekunkę do dzieci, z drugiej jednak cieszyła się, że nie siedzi teraz w sali konferencyjnej i nie widzi twarzy Andrew, kiedy tamci przekazują mu wieści. W ciągu roku telefonicznej znajomości polubiła go w stopniu zdecydowanie przekraczającym granice zawodowej sympatii. W pracowni działu robotyki można się poczuć samotnie. W końcu przedmioty mają rzadko do człowieka przemawiają a jeśli to czynią to zwykle nie mają do powiedzenia nic ciekawego. Po jakimś czasie zaczęła z niecierpliwością wyczekiwać kolejnych rozmów. Miło był^o pogawędzić z kimś, kto ją rozumiał, kto lubił słuchać wiadomości o drobnych zwyczajach i niekonwencjonalnych teoriach. Zda-

76

wało się nawet, że lubił jej ekscentryczne poczucie humoru, a to już wiele znaczyło. Andrew Warne był wspaniałym facetem. Sprawy przybrały parszywy obrót i to nie tylko dla niego.

Patrzyła, jak Georgia wyjmuje z kieszeni przenośny odtwarzacz, wkłada do uszu słuchawki, po czym uświadamia sobie, że to niegrzeczne, i zdejmuje je z powrotem. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Warne przywiózł ze sobą córkę, ale odpowiedź nasuwała się sama. Przecież nie mógł wiedzieć, co go tu czeka. W Utopii zachowywano na ten temat ścisłą tajemnicę. Andrew był przekonany, że jedzie na miłą wycieczkę.

Postanowiła zmienić taktykę.

— Czego słuchasz? — spytała, wskazując głową odtwarzacz.

— Benny'ego Goodmana. W Carnegie Hall.

— Nieźle. Chociaż jak dla mnie stary Benny brzmi trochę zbyt biało, wiesz, co mam na myśli.

Lubisz Duke'a Ellingtona?

Georgia pokręciła głową.

— Nie wiem.

— Nie wiesz? Przecież Duke to podwaliny całej współczesnej muzyki. I wcale nie mówię tylko o jazzie. Gość potrafił też swingować. Weźmy choćby koncert w Newport w pięćdziesiątym szóstym. Posłuchaj Diminuendo and Crescendo in Blue. Sak-sofonista Paul Gonsalves wykonał dwadzieścia siedem chorusów, wyobrażasz sobie? Psiakość, dwadzieścia siedem chorusów!

Niewiarygodne.

Odpowiedziała jej cisza. Teresa znowu westchnęła. Zdała sobie sprawę, że mówi do Georgii jak do dorosłej, ale nie miała pojęcia, jak się rozmawia z dziećmi. Kiedy sama była dzieckiem, też nie umiała znaleźć wspólnego języka z rówieśnikami. Kurczę, nawet gdy rozmawiała z dorosłymi, rzadko czuła się swobodnie. Ale jedno wiedziała na pewno: oszaleje, jeśli przyjdzie jej tu tak siedzieć jeszcze pół godziny.

Poderwała się raptownie.

Chodźmy się przejść.

Georgia popatrzyła na nią podejrzliwie.

~ Mam wrażenie, że nudzisz się tak samo jak ja. Chodź, coś Ci Pokażę.

Ciągnąc dziewczynkę za sobą Teresa ruszyła labiryntem ko-

77

rytarzy na poziomie B, aż wreszcie doszła do niepozornych nieoznakowanych drzwi. Za nimi na górę prowadziły wąskie metalowe schody. Puściła Georgię przodem. Schody zdawały się nie mieć końca. W końcu stanęły na metalowym podeście z blaszaną podłogą i balustradą z prętów sięgających do pasa. Na drugim końcu podestu pięły się ku górze następne, jeszcze węższe schody, które ginęły w zamkniętym korytarzyku. Jakby w milczącym porozumieniu zatrzymały się, żeby odpocząć.

— Nie ma tu windy? — wysapała Georgia.

— Jest, ale nie znoszę jeździć windą.

— Dlaczego?

— Klaustrofobia.

Znowu milczały, łapiąc oddech. W końcu Teresa odwróciła się do Georgii.

— No i jak to jest mieć genialnego tatę?

Georgia spojrzała na nią zaskoczona, jakby takie pytanie nigdy nie powstało jej w głowie.

— Chyba dobrze.

— Chyba? Dałabym się zabić, żeby mieć takiego ojca jak twój. Dla mojego taty pojęcie o zaawansowanej matematyce kończyło się na liczeniu paciorków w różańcu.

Georgia zastanawiała się chwilę.

— Jest taki sam jak inni ojcowie. Czasami dobrze się bawimy.

— Interesuje cię robotyka?

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Jasne. W każdym razie do tej pory mnie interesowała.

Teresa myślała. Nadal trudno było uwierzyć, że stoi tu i rozmawia z córką Andrew Warne'a, autora metasieci, kontrowersyjnego pioniera w dziedzinie robotyki i sztucznej inteligencji, do niedawna pracownika naukowego Carnegie-Mellon. Podczas pracy przy kierowaniu metasiecią odbyła z nim tyle indywidualnych, lecz służbowych rozmów, że trudno jej było wyobrazić go sobie na łonie rodziny. Ale oczywiście znała jego historię, wiedziała, że jego żona, projektantka statków, utonąła cztery lata temu w zatoce Chesapeake w czasie testowania nowej żagłówki, że przyjaźnił się z Erikiem Nightingale'em i miał ścisły udział

78

w tworzeniu wczesnej wizji Utopii, ale po jego śmierci został odsunięty na bok przez ludzi z zarządu spółki, którzy przejęli realizację parku. Słyszała nawet plotki o tym, że spotykał się z Sarah Boatwright, kiedy oboje pracowali jeszcze w Carnegie--Mellon. I o tym, że jego kontrowersyjne teorie na temat uczenia się maszyn nie wydały spodziewanych owoców. Wiedziała też, że początkująca firma, którą założył po odejściu z Carnegie--Mellon, wypłynęła ostatnio brzuchem do góry jako ofiara zapaści firm internetowych. Rzecz jasna nie wszystkie plotki, które krążyły po Utopii, były prawdziwe, lecz jeśli ta akurat była, to dzisiaj Teresa żałowała go podwójnie.

Odepchnęła się od barierki.

— Chodź — powiedziała. — Jeszcze tylko siedemdziesiąt jeden stopni. Kiedyś je policzyłam. Schody prowadziły stromo pod górę przez zamkniętą przestrzeń między dwoma długimi dźwigarami, które zbiegały się łukiem nad głowami i ginęły z oczu. Nie było tu żadnych okien, a światło dawały tylko długie świetlówki na ścianie.

— Już prawie jesteśmy na miejscu — wysapała Teresa, wciągając się po poręczy.

Stopniowo schody zrobiły się mniej strome. Minęły ostry zakręt i wyszły na następny metalowy podest. Teresa odsunęła się na bok i dała Georgii znak, żeby stanęła obok niej. Obserwowała, jak dziewczyna robi jeszcze jeden krok, a potem staje jak wryta.

— Trzymaj się mocno poręczy — rzekła Teresa, uśmiechając się na widok oszołomionej miny Georgii. — Zwykle trzeba chwilę odczekać, żeby się przyzwycząić. Zamknij na chwilę oczy, to ci pomoże.

Stały na pomoście obserwacyjnym wysoko pod szklaną kopułą Utopii, a u ich stóp rozciągał się park. W samym środku chłodną wstęgą biegł Nexus. Dookoła promieniście niczym mięszk przepojonego grejpfruta rozchodziły się poszczególne krainy, każda oszałamiająca bogactwem własnych kolorów i kształtów odmien-nVch od pozostałych. Ciemny metal futurystycznego portu

kostycznego Kallisto błyszczał z tej wysokości niczym fotografie czarnym światłem. Gazolit leżał spowity całunem mgły. Promenada lśniła jaskrawym światłem i pastelowymi odcieniami.

79

Ludzie spacerowali bulwarami i chodnikami, czekali w kolejkach, pstrykali zdjęcia, oglądali mapy, rozmawiali z pracownikami jedli, pili, śmiali się i krzyczeli. Patrzyło się stąd jakby na ogromną mapę parku czarami przebudzoną do życia. Ale to nie wszystko ponieważ z tej wysokości widać było jak na dłoni całą skomplikowaną i ukrytą maszynę parku, której nie widział na oczy żaden turysta: ukryte wejścia i wyjścia, fałszywe wnętrza budynków, wózki elektryczne i rekwizyty, sprzęt i korytarze wypełniające przestrzeń między murami i za fasadami.

— No i jak ci się podoba?

— Fantastyczne — odparła Georgia, patrząc błyszczącymi oczami na spektakl, który rozgrywał się pod ich stopami. Nagle wyciągnęła rękę. — Tam jest Brighton Beach Express. Jechaliśmy nim dzisiaj rano. A tam Wrzeszcząca Maszyna. Nie sądziłam, że są tak blisko siebie.

— Na tym polega sztuka projektowania parku rozrywki — odrzekła Teresa. — Buduje się wyjście z jednej kolejki tuż obok wejścia do następnej.

Cofnęła się i z uśmiechem patrzyła, jak Georgia rozgląda się zafascynowana. W przeciwieństwie do innych parków Utopii nie pozwalała na zwiedzanie kulis. Żadnym gościom, z wyjątkiem największych VIP-ów, nie wolno było wchodzić do Podziemi, a tym bardziej oglądać tego widoku, na który teraz patrzyła Georgia. Na swój sposób była to wielka strata, ponieważ ten obraz mógł zauroczyć nawet najbardziej zblazowanego czternastolatka, który uważał, że widział już wszystko na świecie.

— Spójrz tam — powiedziała Teresa i wskazała wielki transparent przymocowany do balustrady przed nimi: „Eric Nightingale, 1956—2002”. — Nazywamy to Słowicznym Gniazdem. Jest dedykowane jego wizji Utopii. — Zerknęła znowu na dziewczynkę. — Znałaś go?

— Często do nas przychodził. Rozmawiali z tatą chyba o robotyce. Kilka razy grał ze mną w tryktraka. Pozwalał mi wygrywać częściej niż tata.

Teresa pokręciła głową rozbawiona obrazem wielkiego Erica Nightingale'a grającego w tryktraka z gimnazjalistką. Potem ona także powiodła wzrokiem po parku.

80

— Każdy pracownik Utopii przychodzi tu przynajmniej raz w życiu — powiedziała. — Zwykle pierwszego dnia pracy. To rodzaj inicjacji. Poza tym jest tu przeważnie pusto. To przez te wszystkie schody. Ale ja lubię tu przychodzić, a Bóg świadkiem, że potrzeba mi ruchu. Kiedy mam dołek, na przykład przez pracę, wystarczy, że tu przyjdę, a od razu przypominam sobie, po co pracuję. A dzisiaj na pewno mi się to przyda.

Urwała nagle, uprzytomniwszy sobie, że powiedziała więcej, niż powinna. Zerknęła na Georgię, która przyglądała jej się z dziwną uwagą. Coś o mnie myśli, odgadła. Ciekawe co. A może wcale nie chciałabym wiedzieć.

— O co chodzi? — spytała.

Georgia odwróciła na chwilę wzrok, a potem znowu spojrzała na Teresę.

— Tak się zastanawiałam... Lubi pani Fatsa Wallera?

— Czy lubię? A czego tu można nie lubić? Chyba zdarłam sobie do reszty płytę z Handful of Keys. Pianino można tam porównać tylko z Carolina Shout. — Teraz ona z kolei popatrzyła z zaciekawieniem na Georgię. — Czemu pytasz?

Dziewczyna przez krótką chwilę odwzajemniała jej spojrzenie, po czym szybko odwróciła wzrok.

— Nic, nic — powiedziała, jakby się nagle zawstydziła.

Teresa rzuciła okiem na zegarek.

— No, to udało nam się zabić te pół godziny. Chodź, odstawimy cię z powrotem do taty.

Po tych słowach skierowała się do schodów.

11.15

Andrew Warne przenosił wzrok z Sarah na Freda Barksdale'a i z powrotem. Sarah wskazała ręką krzesło.

— Usiądź, Andrew, proszę.

Postawiła swoją filiżankę i usiadła naprzeciwko niego. Sięgnęła po plik papierów, jeszcze raz ułożyła je równo na stole, po czym podsunęła je Warne'owi.

— Podpisz to, zanim zaczniemy.

Warne wziął do ręki dokumenty, przejrzał je szybko i podniósł wzrok.

— To zgoda na dochowanie tajemnicy.

Sarah kiwnęła głową.

— Nie rozumiem. Już raz ją podpisywałem w czasie budowy parku.

— To na żądanie Chucka Emory'ego i zarządu głównego. Chcą mieć pewność, że nic z rzeczy, o których będziemy rozmawiać, nie wydostanie się na zewnątrz.

Nie powiedziała nic więcej, umilkła i czekała, odwzajemniając jego uważne spojrzenie. Po chwili Warne westchnął, spuścił wzrok i złożył podpis pod dokumentem. Przekłęta biurokracja, pomyślał. Te liczykropy z Nowego Jorku z roku na rok robią się coraz gorsi. W sumie jednak miało to sens. Rozszerzenie metasieci daje dostęp do nowej, poufnej technologii Utopii.

Sarah zabrała od niego papiery.

— Dziękuję ci. — Ułożyła je równiutko koło swojej filiżan-

82

jj__Przykro mi, że nie mogliśmy cię wcześniej wprowadzić

w szczegóły, ale dopiero niedawno zauważyliśmy problemy i usiłowaliśmy ustalić jakąś regularność.

Warne spojrzał na nią zdziwiony.

— Problemy?

Sarah zwróciła się do Barksdale'a.

— Fred, czy mógłbyś wprowadzić Andrew w zagadnienie?

— Dobrze — odrzekł Barksdale. Oparł łokcie na podłokietnikach krzesła, złożył palce w piramidkę i wbił wzrok w Andrew. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni zauważyliśmy, że dziwne rzeczy dzieją się z niektórymi urządzeniami w Utopii, pojawiają się na przykład zakłócenia w systemie tłumaczy elektronicznych w dziale obsługi gości. Program nadzorujący diagnostykę w Stacji Omega, wykorzystującej zjawisko swobodnego spadania, ciągle zgłaszał usterkę i nie pozwalał na uruchomienie urządzenia. Ale najwięcej problemów przysparzały roboty. — Zaczął wyliczać na palcach ze starannie wypielegnowanymi paznokciami. — Robot sprzątający na poziomie C próbował umyć mopem panel elektryczny, wyłączono go w ostatniej chwili. Maszyna rozprawdzająca pocztę zaczęła wrzucać listy do koszy na śmieci zamiast do skrzynek. Kilka urządzeń zionących ogniem pomyliło godziny i wypaliło nie wtedy, kiedy trzeba. O mało nie przypiekło japońskiej wycieczki.

— Czy te kłopoty się powtarzają?

— To właśnie jest najbardziej irytujące. Wszystkie były jednorazowe i przejściowe z wyjątkiem tych na Stacji Omega, ale tam też problem zniknął jakąś godzinę temu, program dał operatorom zielone światło i nikt nie wie dlaczego. Przeprowadziliśmy testy na tolerancję błędów, ocenę techniczną konstrukcji i, uciekliśmy się nawet do tradycyjnych metod z użyciem oscyloskopów i próbników stanów logicznych. Wszystko jest w porządku.

— Widmowe anomalie — powiedziała Sarah. — W jednej chwili ich nie ma, w następnej powodują załamanie nerwowe. Sekundę później znów wszystko wraca do normy.

Warne przeniósł wzrok z Barksdale'a na Sarah. Poczul w żołądku lodowate ściskanie.

"— Spadki napięcia? — spytał.

83

Barksdale pokręcił głową.

— Wszystkie linie w Utopii są nieskazitelne. Nie mamy żadnych zakłóceń w sieci elektrycznej.

Warne skinął głową.

— Racja, zapomniałem. Reaktor atomowy. — Ponieważ nikt się nie roześmiał, zadał następne pytanie. — A śmieci z testów beta?

— Nie — odparł Barksdale. — Wszystko już sprawdzone w produkcji.

- Błędy w programowaniu?
- Po tylu cyklach przetwarzania? I w tylu miejscach naraz. A potem nagle znikają?
- Próbowaliście wyizolować wypadki i sprawdzić je w czystym otoczeniu?
- Przy tej liczbie autonomicznych robotów kręcących się po terenie nie wiedzielibyśmy nawet od czego zacząć.

W sali zapadła cisza. Lodowate ściskanie w żołądku Warne'a rozprzestrzeniło się po całym ciele.

- Takie sporadyczne kłopoty często oznaczają próby wtargnięcia z zewnątrz.

Barksdale powtórnie pokręcił głową.

- Nie ma mowy. Mamy fosę wokół wszystkich serwerów produkcyjnych. Nie ma żadnych zewnętrznych połączeń. Jedyne dostępne z zewnątrz portalem jest sieć informacyjna dla odwiedzających, ale ona jest ulokowana poza terenem i doskonale chroniona.

Sarah Boatwright piła herbaty.

- Żeby było jasne, w zeszłym miesiącu Fred wezwał białych kapeluszników z SOW, żeby się tym zajęli. Powiedzieli, że to był najlepiej zabezpieczony system, jaki widzieli.

Warne skinął z roztargnieniem głową. Współpracował z Systemami Ochrony przed Włamaniami rok temu, kiedy serwer sieciowy w dziale robotyki w Carnegie-Mellon padł ofiarą ataków typu odmowy współpracy. Biali kapelusznicy byli licencjonowanymi hakerami, zatrudnianymi przez firmy, aby włamywali się do ich systemów i wyszukiwali słabe punkty. Kowboje z SOW byli najlepsi w branży.

Oblizwał wargi. Musiał zadać to pytanie.

84

|.— No dobrze, więc mamy kłopoty w raję. Przykro mi to słyszeć, ale jak to się ma konkretnie do „przyszłego rozwoju metasieci”, jak się wyraziła przez telefon twoja asystentka?

Barksdale i Sarah wymienili spojrzenia.

- Doktorze Warne, nie wiem, jak to powiedzieć — zaczął Barksdale. — Miałem nadzieję, że dojdzie pan do tego samego wniosku co my. Wygląda na to, że problem leży właśnie w metasieci. Chociaż od dłuższej chwili obawiał się tej odpowiedzi, osłupiał, kiedy ją usłyszał. W ustach mu zaschło.

- Nie sądzi pan, że to trochę pochopny wniosek?

- To jedyne, co łączy ze sobą wszystkie wypadki. Wyeliminowaliśmy wszelkie inne możliwości. Nie ma innej odpowiedzi.

- Nie ma innej odpowiedzi? — Wame usłyszał własne słowa.

Barksdale kiwnął głową.

- Metasieć ma za zadanie się uczyć i poprawiać ewentualne niedociągnięcia. Może z biegiem czasu zmodyfikowała swoje zasady na gorsze. Rozumie pan, Kto chce lepszego, często dobre traci*.

- Nie, nie rozumiem. System dostaje tiku nerwowego, a wy zrzucacie winę na program zarządzający?

- To coś więcej niż tik nerwowy — rzekł Barksdale. Na jego delikatnej twarzy Andrew dostrzegł dziwny wyraz, jak u lekarza, który ma właśnie przekazać pacjentowi złe wiadomości. — Mówię o tym, co się wydarzyło na kolejce Notting Hill w piątek dwa tygodnie temu.

Warne widział w gazecie krótką informację na ten temat.

- To była mechaniczna usterka, jakieś niedbalstwo wykonania czy coś w tym rodzaju.

- Wszystkie nasze kolejki górskie zbudowała szwajcarska firma Taittinger & Rochefort. To Rolls-Royce w tym przemyśle.

- Wszystko jedno. To był wypadek. Jaki to ma związek?

- Do tej kolejki przydzielone są dwa roboty. W ciągu dnia, kiedy działa, zajmują się smarowaniem. Po zamknięciu parku

* William Shakespeare Król Lear, akt IV, scena 1 przeł. Stanisław

Barańczak.

85

robią przegląd całej trasy pod kątem bezpieczeństwa. Są zaprogramowane na sprawdzanie zużycia

metal, punktów największych naprężeń, elektronicznych zapadek kontrolujących ruch wagonów na podjazdach i zjazdach. Z niewiadomego powodu siedem dni temu roboty poluzowały dwanaście zapadek, zamiast je dokręcić, i odwróciły biegunowość. Nazajutrz, podczas uruchomienia kolejki, pięć zapadek doprowadziło do zwarcia, z czego dwie w miejscach krytycznych. Bez zapadek, które utrzymują wagony na torach, jeden z nich na ostatnim zjeździe stracił kontakt z szynami. Dodatkowe zabezpieczenia w podwoziu zapobiegły całkowitemu wypadnięciu wagonu z torów, ale bujało nim na całym dwudziestometrowym zjeździe.

— Oglądałam przebieg tego wypadku na filmach nagranych przez nasze kamery — wtrąciła się Sarah. — Wyglądało to tak, jakby pies potrząsał szczurem. Chłopiec na przednim siedzeniu wypadł z wagonika. Cudem przeżył, ale obie nogi ma potrzaskane, połamane zebra. Przez kilka miesięcy będzie jeździł na wózku. Inni pasażerowie też zostali paskudnie potłuczeni, ojciec ma złamany obojczyk. Nie muszę dodawać, że prawnicy od tamtej pory wchodzą nam na głowy.

Warne zdał sobie sprawę, że przestał na chwilę oddychać. Powoli wypuścił powietrze.

— Jesteście tego pewni?

Sarah i Fred skinęli głowami.

— To nie ma sensu. Sprawdziliście oprogramowanie robotów?

— To była pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy po zamknięciu kolejki- Grupa sprawdzająca kody z Terri Bonifacio przeszledziła każdy wiersz, począwszy od listy poleceń, skończywszy na schematach mapowania. Metasieć przeprogramowała roboty, żeby poluzowały zapadki.

— Obydwa roboty?

— Każdy poluzował dokładnie sześć zapadek.

Warne odniósł idiotyczne wrażenie, jakby panika paraliżowała mu nogi- Zwalczył to uczucie.

— Chwileczkę. Może byśmy się zatrzymali w tym miejscu

i zastanowili, jakie właściwie jest zadanie metasieci. To sieć neuronowa, która nadzoruje i optymalizuje kody operacyjne

86

robotów w parku. To wszystko. Reprezentuje system biernej nauki. Nie mogła po prostu... — Urwał nagle. — Nie braliście pod uwagę, że ktoś majstrował przy tym od wewnątrz?

Barksdale skinął głową, wygładzając sobie krawat.

— Cały nasz personel informatyczny przechodzi ściśle badania psychologiczne i wywiad środowiskowy. Pakiet nagród i dodatkowych świadczeń jest w Utopii najlepszy w tej branży, mamy wskaźnik zadowolenia dziewięćdziesiąt dziewięć procent...

— Zaraz, zaraz, to wszystko ładnie, pięknie, ale ta cała sprawa aż śmierdzi „wewnętrzną robotą”. Jakie jest inne wytłumaczenie?

Warne obserwował, jak Sarah i Barksdale wymieniają spojrzenia. Wiedział, co myślą: Broni się, wierzga, próbuje rzucić winę na wszystko inne, byle wybielić własne dzieło.

Fred odchrząknął.

— Mamy bardzo rygorystyczne zasady dotyczące wprowadzania danych, wszystko, co aktualizujemy, przechodzi przez długi łańcuch uprawnień i przez moje ręce. Problem w tym, doktorze Warne, że to po prostu nie była robota szpiega przemysłowego ani niezadowolonego pracownika. Błędy diagnostyczne u robotów rozwożących pocztę? Sprawa zatoczyła zbyt szerokie kręgi. Mimo to rozpoczęliśmy przesłuchania i sprawdzanie kartotek, choćby po to, aby się upewnić. Sarah upiła kolejny łyk herbaty, po czym odstawiła filiżankę na spodeczek.

— Na razie jednak chcemy odłączyć metasieć, Andrew.

Przez krótką chwilę Andrew był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Odłączyć metasieć? Jezu. Pomyślał o robotach na Notting Hill Chase, o obluźwanych zapadkach. Czy to naprawdę możliwe, że był pośrednio odpowiedzialny za tak okropne...

Pokręcił głową. Niemożliwe. Spojrzał znowu na Sarah i Barksdale. Widział w ich oczach, że ta rozmowa była tylko czystą formalnością. Decyzja już zapadła.

— Sarah — powiedział błagalnym tonem. — Wiem, że działasz pod dużą presją ale to

pochopna decyzja. Posłuchaj, możemy Poświęcić kilka dni na zbadanie tego problemu. Możesz mi Pokazać szczegółowe dane. Jestem pewien, że to się wyjaśni.

87

— Szczerze mówiąc, Andrew, jutro rano wyjeżdżam do San Francisco — odrzekła Sarah. — Fred dostarczy ci wszystko czego będziesz potrzebował.

Warne zauważył, jak oboje wymieniają kolejne ukradkowe spojrzenia, i nagle zrozumiał, że tych dwoje coś łączy.

Zazdrość i gniew zmieszały się nagle z przerażeniem, wstrząsem i wstydem. Oczywiście nie mógł mieć do Sarah pretensji, facet był czarujący, w angielskim stylu, który zawsze wydawał się Andrew dość powierzchowny — przystojny, dżentelmeński, na dodatek ponoć świetny fachowiec.

Wydawało się, że to aż za wiele szczęścia naraz. Warne czuł się niczym volvo wymienione na dwunastocylindrowego jaguara.

Pokręcił głową na tę gorzką ironię losu. Bał się ponownego spotkania z Sarah — jak ona się zachowa, jak się będzie czuł, co powie lub czego nie powie Georgia. O samym spotkaniu niewiele myślał, poza tym, że może ono wyciągnąć z impasu jego karierę... Miał wrażenie, jakby w pół godziny postarzał się o kilka lat.

— Kupiliście tę technologię — powiedział, a głos mu stwardniał od gniewu. — Możecie jej używać, jak wam się żywnie podoba. Ciągnęliście mnie taki szmat drogi tylko po to, żeby mi przekazać złe wieści?

— Chcemy, żeby pokierował pan demontażem — odparł Barksdale.

— Nie sądzicie, że to trochę okrutne? Nie dość, że przeprowadzacie na moim dziele drastyczną lobotomię, to jeszcze chcecie mi włożyć w ręce skalpel?

Fred sprawiał wrażenie, jakby rozważał tę kwestię.

— To niebagatelna operacja.

— Macie chyba pod ręką dość trutni od programowania, żeby wam odwalili roboty hydrauliczne. Nie potrzebujecie mojej pomocy.

— Uważa pan, że to był mój pomysł, doktorze Wame?

Barksdale uśmiechał się, ale soczyste angielskie samogłoski pobrzmiwały ukrytą irytacją.

— A może tak naprawdę szukacie po prostu kozła ofiarnego?

Fred przeszył go zaskoczonym spojrzeniem, a Sarah wstała od stołu.

88

— Myślę, że słyszałeś już wszystko, co trzeba — powiedziała szorstko. — Zakończmy to. Fred, spotkamy się na zebraniu kierownictwa. Andrew, możesz jeszcze chwilę zostać?

Barksdale uśmiechnął się przełomie do Sarah, powściągliwie skinął Warne'owi głową i wyszedł. Sarah patrzyła za nim, dopóki nie zamknęły się drzwi, po czym odwróciła się do Andrew.

— No cóż, cieszę się, że nie straciłeś umiejętności zrażania do siebie ludzi.

— A jak twoim zdaniem powinienem zareagować na wieść, że moje największe zawodowe osiągnięcie ma zostać wyrzucone na śmietnik? Skakać z radości?

— Nie powinieneś tak na to patrzeć. To tymczasowe rozwiązanie, nazwijmy to rozpoznawcze.

— Daj spokój, miałem do czynienia z ludźmi z zarządu po śmierci Nightingale'a, nie pamiętasz? Sama widziałaś, jakie były efekty. Jeśli odłączycie metasieć, nigdy więcej jej nie przywrócicie.

Sarah sięgnęła po filiżankę.

— Wiem, co czujesz, Andrew, ale...

— A to inna sprawa. Od kiedy przestałem być dla ciebie Drew?

— Myślę, że tak jest lepiej. — Cofnęła rękę i popatrzyła mu w oczy. — Ty tak nie uważasz? Nikt nie był w stanie wygrać z Sarah pojedynku na spojrzenia. Niespodziewanie Warne'a opuścił gniew. Poczł się pokonany. Oparł się o stół i skrzyżował ręce. Potem spojrzł na nią.

— Właśnie coś mi przyszło do głowy. Jutro jest dwudziesty pierwszy czerwca.

— Co z tego?

— Rocznicą twojego odejścia.
— Nie odeszłam od ciebie, Drew. Przyjęłam pracę w Utopii.
— I co by cię kosztowało, gdybyś została trochę dłużej? Żeby wszystko razem przemyśleć? Wiem, że oboje byliśmy zapracowani, że nie poświęcaliśmy sobie wystarczająco dużo czasu. I wiem też, że Georgia nie ułatwiała ci sprawy. Ale nie dałaś jej szansy. Nam też nie. Dałam tyle, ile mogłam. Oczekiwałeś ode mnie, że rzucę pracę?

89

— Nie oczekiwałem, że spakujesz walizki i przeprowadzisz się do Nevady.
— To była dla mnie życiowa szansa! Wolałbyś, żebym została i przez resztę życia chowała do ciebie urazę za to, że mnie zatrzymałeś?
To mówiąc, zrobiła krok w jego stronę i przystanąła. Po chwili cofnęła się z rozmysłem, wzięła filiżankę z herbatą i napiła się.

— Nie bawmy się w archeologię — zaczęła łagodniejszym tonem. — To nas do niczego nie doprowadzi. — Bez najmniejszego drżenia dłoni odstawiła filiżankę na miejsce. — Ściągnięcie cię tu było dla mnie trudną decyzją ale nie miałam wyboru. Nikt tak nie zna topologii metasieci jak ty. Nie chcemy następnych kłopotów.

Warne nie odpowiedział. Nie było już o czym rozmawiać.

— Nie muszę ci przypominać o pierwotnych warunkach umowy. Nie możesz spojrzeć na zalety tej sytuacji? Metasieć miała okazję dojrzewać przez pełnych sześć miesięcy, pracując w trybie produkcyjnym, którego nie potrafiłbyś odtworzyć w warunkach laboratoryjnych.

W tej chwili nie mam żadnego laboratorium, pomyślał Wame. Wzruszył ramionami.

— Jasne, będę miał okazję przeprowadzić miłą sekcję zwłok.

Sarah popatrzyła na niego w milczeniu. Potem odwróciła się do stołu, zebrała papiery i wzięła herbatę.

— Teresa powinna wrócić lada chwila — powiedziała. — Myślę, że nie powinniście tracić czasu. Fred oczekuje, że jeszcze dzisiaj otrzyma plan działania. Wychodząc z sali konferencyjnej, zostawiła otwarte drzwi.

11.45

Kallisto była utopijnym światem przyszłości, ruchliwym portem kosmicznym, jak kazano wierzyć zwiedzającym, krążącym na orbicie sto kilometrów nad szóstym księżycem Jowisza. Andrew Warne doszedł do wniosku, że naprawdę trudno w to nie uwierzyć. Po krótkiej podróży promem kosmicznym w kompletnych ciemnościach przeszedł z Georgią u boku przez służę i wkrótce znalazł się w zatłoczonej hali, gdzie znów przystanął i rozglądał się zdumiony. Przed nimi rozciągało się kwitnące centrum handlu i rozrywki, które mogłoby być żywcem przeniesione z dwudziestego czwartego wieku. Pomiędzy turystami pstrykającymi zdjęcia na prawo i lewo przechadzali się dziwacznymi kosmici i pracownicy stacji w futurystycznych strojach. W górze przestrzeń przecinały rubinowe i lazururowe światła laserów, a na każdym kroku niewiarygodnie realistyczne hologramy wskazywały drogę ku poszczególnym atrakcjom lub wisiały w powietrzu niczym futurystyczne szyldy nad wejściami do restauracji i toalet.

Jak wszędzie indziej, tak i tu nad głowami gości rozciągała się niebosiężna szklana kopuła Utopii, jednak nie był to pas błękitu, jaki Andrew widział w Nexusie i Promenadzie, lecz czarna nieskończona przestrzeń kosmosu, usiana niezliczonymi gwiazdami. Ponad Jedną czwartą nieboskłonu Kallisto zajmowało barwne cielsko 0wisza. Przyglądając się zafascynowanym wzrokiem olbrzymiemu Wizerunkowi planety, Andrew zauważył, że nad jej powierzchnią Przepływają chmury, przewalają się spazmatyczne nawałnice.

91

— Ale odjazd — orzekła Georgia, rozglądając się. — Dokładnie jak na zdjęciach. Ale po co właściwie tu przyszliśmy? Jeszcze nie skończyliśmy oglądać Promenady.

— Będziemy mieli na to mnóstwo czasu później — odparł Warne. — Teraz chcę ci coś pokazać.

Zerknął na zegarek. Umówił się z Teresą o pierwszej, zostało im więc trochę ponad godzinę. Starał się iść lekkim krokiem, mówić swobodnie, aby Georgia, która bezbłędnie potrafiła wyczuć jego

nastrój, niczego się nie domyśliła. Chwała Bogu, nie wypytywała go o spotkanie.

Przełomie spojrział na mapę, po czym wprowadził córkę w nurt trajkoczących turystów. Silnie wyczuwało się tu podniecenie tłumu, ludzie tryskali energią, chłodne, sterylnie pachnące powietrze przesyciła niemal namacalna wesołość. Kallisto była jedyną krainą, gdzie można było spotkać postaci z popularnej kreskówki Nightingale'a, Strachosfery. Tutaj również można było odbyć dwie najbardziej szalone przejażdżki w Utopii: Lot na Księżyc oraz podróż Horyzontem Zdarzeń. W efekcie Kallisto roilo się od dzieci: podbiegały do holograficznych wizerunków Erica Nightingale'a, do przebranych pracowników parku, ciągnęły rodziców w stronę ulubionych atrakcji, dopraszały się o pieniądze na kupno figurek najpopularniejszych bohaterów.

Jednak ani wesołomiasteczkowa atmosfera, ani egzotyczne otoczenie nie mogły rozwiać przygnębienia Andrew. Wyłączają metaseć. Cały czas nie mógł w to uwierzyć. I pomyśleć, że jeszcze dwie godziny temu paradował po Promenadzie niczym skończony idiota, zastanawiając się, jakie to nowe, podniecające atrakcje będą chcieli dodać do jego sieci robotów. Pokręcił z goryczą głową.

— Co się dzieje, tato? — zapytała natychmiast Georgia.

— Nic. To miejsce jest po prostu... Te wszystkie kolejki, sklepy... Czysta komercja. Nightingale przewróciłby się w grobie.

— Tato, ty się kompletnie nie znasz. Są po prostu odjazdowe. Popatrz na to.

Wskazała ręką grupę rakiet wielkości dziecka, ustawionych w kształcie gigantycznego pająka, obracających się na metalowych opalizujących nogach, które na przemian pojawiały się

92

i znikwały, co sprawiało, że rakiety jakby poruszały się samoczynnie i oddzielnie.

— Nawet karuzele dla dzieciaków wyglądają odjazdowo.

Warne pokiwał głową. Mimo to cały ten świat daleki był od wizji, jaką roztaczał przed nim Nightingale, siedząc przy kuchennym stole nad nietkniętą kawą tamtego wieczora, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Pamiętał, jak czarne oczy magika błyszczały prawie maniacką energią jak co chwila podrywał się z krzesła i mówiąc, chodź tam i z powrotem, jak jego ręce nie przestawały się poruszać, kiedy szkicował swój pomysł wirtualnego środowiska. Jeżdżąc po całym świecie, zwiedzał parki rozrywki, zamki, świątynie, średniowieczne osady. Chciał zbudować krainy z dokładnością do najdrobniejszych szczegółów, światy minione, przyszłe, takie, które by bawiąc, uczyły, w których człowiek zanurzałby się bez reszty, a nie jeździł kolejkami ku własnej, niewybrednej ucieście. Nazywał to kompleksem tematycznym. Zamierzał wykorzystać najnowocześniejsze technologie cyfrowe, holograficzne i cybernetyczne, aby roztoczyć swoją magię. Chciał, aby Warne zaprojektował w Utopii podstruktury informatyczne wykorzystujące najnowsze osiągnięcia robotyki.

Nawet bez charyzmatycznej, emocjonalnej osobowości Nightingale^ koncepcje te byłyby wyjątkowo atrakcyjne. Zazębiały się zresztą idealnie z kontrowersyjnymi koncepcjami Warne'a na temat sztucznej inteligencji i zdolności uczenia się maszyn. Opracował więc pomysł metaseci, która połączyłaby roboty Utopii z centralnym procesorem. Procesor kontrolowałby ich czynności, wprowadzał poprawki i codziennie przysyłał im przez sieć zoptymalizowany kod. Byłby to idealny sposób sprawdzenia i przedstawienia światu jego teorii, który docelowo miał objąć cały park.

Taki przynajmniej był plan...

Czy Teresa jest Japonką? — spytała Georgia.

Andrew oderwał się od swoich rozmyślań, niejasno zaskoczony tym pytaniem.

Nie wiem, księżniczko. Myślę, że nie.

Tato, prosiłam cię, żebyś nie nazywał mnie księżniczką.

Szli halą Kallisto, gdzie tłum coraz bardziej gęstniał, ludzie

93

przepychali się, śmiali i pokazywali sobie nawzajem kolejne ciekawostki. Po jednej stronie spora grupa tłoczyła się wokół wysokiego, wychudłego mężczyzny w zbroi rodem z dwudziestego czwartego wieku i czarnej błyszczącej pelerynie. Był to Morfeusz, demoniczny, władający magią imperator Ziemi Prime, istota, którą pięćdziesiąt milionów małych telewidzów ubóstwiała

nienawidzić. Z dłonią na ramieniu małego chłopca i diabelską brodą rozciągniętą w uśmiechu pozował do zdjęcia.

Warne zmarszczył brwi. Kiedy się teraz nad tym zastanowił, uprzytomnił sobie, że nie rozmawiał z Teresą od jakichś trzech tygodni. Było to dziwne, od dawna bowiem kontaktowali się co najmniej raz w tygodniu, przeplatając zawodowe rozmowy plotkami i dowcipami.

Zadaniem Teresy była obsługa metasieci. Mogła go przynajmniej ostrzec. Czemu tego nie zrobiła? Wezbrał w nim gniew. Zastanawiał się, czy to ona nie jest w jakiś sposób winna tej całej sytuacji, czy nie popełniła jakiegoś błędu nieumyślnie, a może przeciwnie — celowo sabotowała jego pracę. I pomyśleć, że kiedy ją poznał osobiście, poczuł całkiem fizyczny pociąg... Pokręcił głową. Mają spotkać się w jej pracowni. Przedyskutuje z nią procedurę odłączenia metasieci, sprawdzi, czy nie będzie żadnych przeszkód w płynnym wycofaniu robotów z sieci. A potem zrobi to, co zamierzał od samego początku — pójdzie się bawić z córką w parku. Teresa i jej ludzie mogą sami odwalić mechaniczną robotę. Niech diabli wezmą kontrakt, nie wyciągnie wtyczki ze swojego największego dzieła.

Przed nimi nad wejściem obracał się hologram z gwiazdozbiorem Wielkiej Niedźwiedzicy. Pod nim w kolejce do restauracji tłoczyli się ludzie i szemrząc, wskazywali coś palcami. Mimo wszystko Warne nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Domyślał się, co pokazują.

Obok wejścia do lokalu urządzono otwarte stanowisko do sprzedaży lodów na wynos. Na wysokości pasa ciągnął się dług' kontuar pokryty błyszczącym przezroczystym tworzywem, a przy nim rząd niskich okrągłych stołków barowych. Za kontuarem futurystyczna lodziarnia tonęła w widmowych odcieniach ultra-

94

fioletowego światła. Obsługiwał ją wielki, niezgrabny robot

0 komicznym wyglądzie nieskładnej dziecięcej konstrukcji z metalowych klocków. Poruszał się na prostej platformie z sześcioma synchronicznie obracającymi się kołami.

Warne złapał Georgię za ramię i wyciągnął rękę. Dziewczynka obróciła się we wskazanym kierunku i zatrzymała się raptownie. Jej twarz powoli rozjaśnił szeroki uśmiech.

— O rany — wykrztusiła w końcu. — Wiesz, to dziwne uczucie widzieć go w tym miejscu.

Robił koktajle mleczne. Andrew obserwował, jak pracowicie nabiera lody i wrzuca je do metalowego miksera. Potężne szczypcy poruszały się krótkimi, szarpanymi ruchami. To był najtrudniejszy element — geometria sonarna. Ponieważ wiedział, że robot będzie pracował w niezmiennym otoczeniu, wszystko inne — kodery do nawigacji zliczeniowej, mapa topologiczna — było stosunkowo łatwe, natomiast praca nad widzeniem stereofonicznym, koniecznym do wymodelowania odpowiednich ruchów robota podczas zagarniania lodów w wiaderku z masą mleczną o nieprzewidywalnych kształtach, zajęła mu więcej nieprzespanych nocy, niż chciałby się do tego przyznać. Przyczyniła się również do wyboru imienia: Lodołamacz. Bez wątplenia jego bliźniak Rock pracuje gdzieś w restauracji. Warne zaprojektował Rocka do obsługi baru. Nalewanie odmierzonych porcji napoju było znacznie łatwiejszym zadaniem niż subtelna kontrola ruchów wypracowywana przez serwomechanizmy w rękach Lodołamacza.

— Chodź na lody — powiedział, otaczając Georgię ramieniem.

Kiedy podeszli, Lodołamacz skończył właśnie robić koktajl

1 wręczył go kilkunastoletniej dziewczynie stojącej przy kontuarze.

Proszę bardzo — powiedział, kiwając dziewczynie obrotową kamerą.

Georgia miała rację, Warne tak bardzo przywykł do widoku robota w swojej zatłoczonej pracowni w Carnegie-Mellon, że en wydawał się dziwnie nie na miejscu w tej surrealistycznej Scenerii, serwujący prawdziwe lody prawdziwym klientom.

95

Lodołamacz obrócił się i podjechał wzdłuż lady do następnego klienta. Precyzyjnie się przez grupę gapiów i znaleźli dwa wolne miejsca na końcu kontuaru. To Georgia namówiła ojca do zamontowania na głównej kolumnie ultradźwiękowego czujnika i zaprogramowania robota tak, aby obracał głowę w stronę, skąd dochodził najbliższy ludzki głos. Do dziś pamiętał, jak się skrzywiła z dezaprobatą kiedy pokazał jej go pierwszy raz.

— Tato, przecież on musi mieć głowę — powiedziała.

Andrew skonstruował te dwa roboty napędce, aby zaprezentować Nightingale'owi, jak zdolność rozpoznawania głosu i przetwarzanie obrazów mogą znaleźć komercyjne zastosowanie. Magik jednak był człowiekiem, który cenił sobie szczegóły w takim samym stopniu jak całościową wizję, i Lodołamacz z Rockiem zachwyciły go niemal tak samo jak nagrodzona praca doktorska Warne'a na temat zhierarchizowanych sieci neuronowych czy jego projekt samouczącej się metasieci. Uparł się, że roboty znajdą swoje miejsce w Utopii.

Przyszła ich kolej.

— Dzień dobry — zazgrzytał Lodołamacz, podjeżdżając do ; nich. — Czym mogę służyć? Warne nawet nie musiał pytać Georgii.

— Piwo korzenne z lodami proszę.

Jego córka mogłaby się żywić wyłącznie piwem korzennym I z lodami. Była to pierwsza rzecz, jakiej nauczył robota.

— Jedno piwo korzenne z lodami — powtórzył jak echo Lodołamacz. I

Andrew prawie już zapomniał ten sztuczny dźwięk, który powstał z próbek jego własnego głosu przetworzonego cyfrowo. I I z pewnością zapomniał, jaki duży jest Lodołamacz — prawie I dwa i pół metra do czubka kolumny z czujnikami.

— Czy jeszcze coś? I

— Tak, podwójny deser lodowy pistacjowo-czekoladowy z bi- I tą śmietaną.

Robot milczał.

— Doktor Warne? — spytał po chwili. ■

— Tak, Lodołamaczu.

96

Maszyna znowu umilkła, tym razem na dłużej. — Podwójny deser pistacjowo-czekoladowy z bitą śmietaną

już się robi. Kemo Sabe.

Andrew obserwował, jak robot obraca się w kółko i odjeżdża. Ten gest w kierunku Samotnego strażnika był jego własnym ozdobnikiem, czymś w rodzaju autografu złożonego u dołu obrazu. Postanowił dodać ten element tamtego dnia półtora roku temu, gdy Rock i Lodołamacz zostały zapakowane w pudła i wysłane w podróż do Nevady. Półtora roku, ale różnica była jak między dniem a nocą. Zaczęli się właśnie spotykać z Sarah. Ona była zdumiewająco pewną siebie kobietą dorównującą mu inteligencją potencjalną drugą matką dla Georgii. On rozpoczął pionierską pracę dla Erica Nightingale'a, który obiecywał mu bogatą i płodną współpracę. Przyszłość rysowała się bardzo obiecująco.

Jakże szybko wszystko się zmieniło. Georgia nie polubiła Sarah, wręcz jej nie znosiła, co gorsza, zrobiła się wyjątkowo zazdrosna i zaborcza. Jego praca w Carnegie-Mellon zaczęła coraz częściej spotykać się z atakami i krytyką postrzegano ją jako kontrowersyjną i nienaukową. A potem zginął Nightingale. Stosunki Warne'a z urzędnikami i księgowymi spółki Utopia Holding Company, którzy zaczęli wypełniać luki po śmierci wizjonera, ochłodziły, aż wreszcie całkiem obumarły. Z parkiem łączyła go już tylko metasieć i zobowiązania wynikające bezpośrednio z umowy. Sarah przyjęła stanowisko szefowej Utopii i wyjechała. Cóż za ironia losu, zważywszy na to, że poznała Nightingale'a właśnie dzięki Andrew. Za pieniądze z metasieci Warne odszedł z Carnegie-Mellon i założył firmę badawczą która miała dowieść słuszności jego teorii na temat zdolności maszyn do uczenia się. Wkrótce potem nastąpił krach firm internetowych i jego sponsorzy zaczęli się jeden po drugim wycofywać. Przez cały ten czas jednak miał przynajmniej metasieć, tak mu się przynajmniej zdawało aż do dzisiejszego ranka.

Lodołamacz wrócił do nich z piwem korzennym z lodami.

■ — Proszę bardzo — powiedział.

Postawił szklankę na kontuarze przed Warne'em i odwrócił w stronę rzędu wiader z lodami. Jego sztuczna inteligencja

* 97

pracowała już nad zadaniem w postaci podwójnego deseru pis-tacjowo-czekoladowego z bitą

śmietaną Ruchy robota wydawały się trochę bardziej nieskoordynowane i niepewne, niż pamiętał, zupełnie jakby jego procedury nawigacyjne nie tylko nie zostały zoptymalizowane, ale wręcz się pogorszyły. Czy mógł to być efekt codziennej aktualizacji przesyłanej z metasieci? Czyżby rzeczywiście... Nie, Warne nie zamierzał przyjmować tego do wiadomości. Jak na jeden dzień usłyszał wystarczająco dużo złych wieści, aż z nawiązką.

— Możesz mi dać mapę? — spytała Georgia.

— Jasne.

— I czterdzieści dolców.

— Tak, tylko... Zaraz, po co ci czterdzieści dolarów?

— Chcę sobie kupić T-shirt ze Strachosferą. Taki odlotowy, świecący. Widziałeś je?

Warne widział ich dziesiątki na nastolatkach kręcących się po hali Kallisto. Z westchnieniem otworzył portfel i dał córce pieniądze, obserwując, jak zdejmuje słuchawki i upija łyk piwa z lodami.

Gdyby miał być zupełnie szczery, musiałby przyznać, że ten przystanek w lodziarni był potrzebny bardziej jemu niż jej. Potrzebował tej afirmacji swoich osiągnięć, tej pamiętki lepszych czasów. Aż do dzisiaj, kiedy się dowiedział, że metasiec zostanie zdemontowana, nie zdawał sobie sprawy, jaka była dla niego ważna. Chociaż nadrabiał miną czuł, że coraz trudniej mu walczyć z rozpaczą. Co on teraz zrobi? Rzucił Carnegie-Mellon, spalił za sobą wszystkie mosty. Zerknął ukradkiem na córkę. Jak on jej to powie?

Usłyszał cichy warkot i zobaczył powracającego Lodołamacza.

— Proszę bardzo, Kemo Sabe — powiedział robot, stawiając przed nim deser lodowy.

Andrew czekał. Teraz robot poprosi go o przepustkę i obciąży jego konto w Utopii rachunkiem za lody i koktajl.

Ale Lodołamacz niczego takiego nie zrobił. Zamiast tego obrócił czujnikami w lewo, potem w prawo. Z cichym zgrzytaniem zaczął się kołysać w przód i w tył. Poruszał się dziwnie, jakby z wahaniem.

98

Georgia podniosła głowę znad koktajlu i wyjęła słuchawkę z jednego ucha.

— Tato? — powiedziała zaintrygowanym tonem.

Z nagłym ostrym skrzekiem Lodołamacz rzucił się w kierunku Warne'a. Uderzył bryłowątym korpusem o kontuar, przewrócił szklanki i pojemnik ze słómkami do picia. W tłumie klientów rozszedł się zaskoczony pomruk. Robot odtoczył się szybko w tył, uderzył w tylną ściankę baru, po czym z ogromną prędkością rzucił się znowu do przodu, wywijając serwomechanizmami ramion, obracając kolumnami czujników.

— Georgio! — krzyknął Andrew. — Odsuń się!

Po raz drugi robot grzmotnął w kontuar. Dookoła rozległy się zduszone okrzyki i piski, klienci spadali ze stołków i rozpaczliwie odsuwali się od lady, lecz Lodołamacz znowu cofnął się gwałtownie i znów ciężko uderzył w tył baru. Kilkanaście butelek z kolorowym syropem spadło na ziemię i roztrzaskało się na drobne kawałki, a robot z piskiem silników rzucił się po raz trzeci przed siebie.

Warne poderwał się z siedzenia wstrząśnięty. Nigdy w życiu nie widział, żeby robot tak się zachowywał. Ściśle mówiąc, nie miał prawa tak się zachowywać, sam go przecież programował. Co się dzieje, do diabła ciężkiego? Wyglądało, jakby Lodołamacz usiłował się przebić przez kontuar i uwolnić z zamknięcia. Jego system orientacji w przestrzeni był bardzo prymitywny; jeśli maszyna wydostanie się do hali, przy swoim wzroście i prędkości strątuje wszystko, co stanie jej na drodze.

Robot zderzył się z ladą z ogłuszającym łoskotem. Długi przezroczysty blat zadrżał i wygiął się, wszystko, co jeszcze na mm stało, poprzewracało się i rozlało. Lodołamacz znowu odjechał w tył i znów zaczął szarżować w przód niczym wściekły byk zamknięty w klatce.

Za plecami Warne'a rozległy się ostrzegawcze krzyki. Spojrzał w Prawo, niedaleko od niego stała Georgia z szeroko otwartymi oczami. Andrew myślał szybko. Można zrobić tylko jedno: SI?gnąć do ręcznego wyłącznika, zamontowanego na plecach Słownego korpusu robota, i dezaktywować go.

Ostrożnie zrobił dwa kroki.

99

— Lodołamacz — powiedział głośno i wyraźnie z nadzieją, że ściągnie na siebie jego uwagę i przerwie tę dziwną behawioralną pętlę.

Podniósł lewą dłoń z rozwartymi palcami w uspokajającym geście, a jednocześnie prawą ręką zaczął powoli otaczać korpus robota.

Na dźwięk jego głosu Lodołamacz obrócił ku niemu czujniki.

— Kemo Sabe — zazgrzytał.

Jedna para szczypiec wystrzeliła w powietrze, złapała jego prawy nadgarstek w żelazny uścisk i pociągnęła do siebie.

Warne krzyknął z bólu i rzucił się na ladę i na wiaderka z lodami, obracając się rozpaczliwie, żeby ocalić nadgarstek przed złamaniem.

— Tato!

Georgia podbiegła do ojca, żeby go odciągnąć.

— Georgia, nie! — krzyknął Andrew bez tchu, drapiąc paznokciami lewej ręki po gładkim metalu i próbując dosięgnąć wyłącznika awaryjnego na plecach robota.

Lodołamacz odjechał do tyłu, ciągnąc za sobą Warne'a, serwomechanizmy zawodziły od przeciążenia. Druga para szczypiec wystrzeliła przed siebie w kierunku jego szyi dokładnie w tej samej chwili, kiedy palce Andrew trafiły wreszcie na mały guzik wyłącznika.

Lodołamacz znieruchomiał. Z układu napędowego posypały się iskry, kolumny z czujnikami opadły, zawrodo silników ucichło. Otworzył szczypce i uwolnił rękę Warne'a, który upadł ciężko na podłogę i dopiero po chwili podniósł się powoli pomiędzy wiaderka z lodami, rozcierając obolały nadgarstek. Podbiegła do niego Georgia i oboje odsunęli się od dymiącego, szerniałego robota.

Dookoła zebrał się tłum, ludzie obserwowali rozwój wydarzeń z bezpiecznej odległości. Warne powiódł po nich wzrokiem, dysząc ciężko, ociekając czekoladą i wanilią i cały czas masując nadgarstek. Georgia stała obok niego wstrząśnięta i milcząca.

Przez chwilę panowała cisza. A potem ktoś gwizdnął z podziwem.

100

— Człowieku, to było odegrane, że ho, ho — odezwał się ktoś. — Przez chwilę prawie uwierzyłem, że to się dzieje naprawdę.

— Aż za bardzo realne! — zawołał ktoś inny.

Wtedy rozległy się brawa: najpierw zaczęła klaskać jedna para rąk, potem następna i jeszcze następna, aż w końcu powietrze wypełniły gromkie owacje.

12.45

Wędrując coraz wyżej po nieboskłonie Nevady, słońce wysączało z krajobrazu wszystkie kolory. Czerwienie, zółcie, brązy i fioleły piaskowców kanionu blakły i białeły. Życie na wysokich terenach pustynnych zamarło, kiedy na ziemi znikł ostatni skrawek cienia.

Na równinie, która otaczała dolinę Utopii, słońce oświetlało księżycowy krajobraz składający się z jarów, wzniesień i płytkich rozpadlin, wymarły i opustoszały, usiany z rzadka jałowcami i szczeciniastymi sosnami. Niebo tworzyło w górze pustą błękitną kopułę przeciętą tylko jedną smugą ciągnącą się za samolotem dziesięć tysięcy metrów nad ziemią.

W wąskim zagłębieniu nieopodal odległego brzegu kanionu coś się poruszyło. Mężczyzna, który od przedświt leżał prawie bez ruchu, wyprostował nogi i spojrzał na zegarek. Drzemał pomimo bezlitosnego upału. Było to możliwe tylko dzięki surowemu treningowi. Większą część życia spędził na czekaniu. Czekał całymi godzinami, nieraz przez całe dni: pod zielonymi baldachimami w dżungli Mozambiku, na cuchnących bagniskach Kambodży wśród pijawek i moskitów. W porównaniu z tamtym w pustynnym upale Nevady czuł się jak na wakacjach.

Ziewnął leniwie, przeciągnął się, krąceniami głowy rozluźnił grube mięśnie karku. Za jego plecami z kanionu wylaniała się kopuła przykrywająca Utopię niczym gigantyczny globus. Stalowe ożebrowanie i niezliczone szklane płyty migotały i lśniły

102

w blasku południowego słońca. Dookoła co dwadzieścia metrów biegły rzędy wąskich kładek połączonych ze sobą drabinami. Po jednej stronie kopuły duży, szeroki klin w kształcie półksiężyca wyznaczał sklepienie Kallisto. Z bliska, z tego wysokiego punktu obserwacyjnego, jakiego nie widywali turyści Utopii, kopuła w swym potężnym pięknie wyglądała niczym zjawisko z innego świata.

Lecz mężczyzna stojący na brzegu niecki nie był turystą. I nie przyjechał tu podziwiać widoków. Pochylił się nad długą płócienną torbę, która leżała obok niego w rozpadlinie, otworzył zamek, wyjął ze środka manierkę i spragniony pociągnął długi łyk wody. Chociaż na tej pustynnej skale nie było strażników ani kamer, mężczyzna, zapewne wskutek lat przyzwyczajenia, poruszał się sprawnie i szybko.

Odstawił manierkę na bok, ocierając usta grzbietem dłoni. Na jego szyi wisiała duża lornetka i teraz podniósł ją do oczu. Urządzenie było ciężkie, głównie za sprawą laserowego dalmierza, musiał więc przytrzymać je oburącz, kiedy powoli przeglądał okolicę.

Ze swojego ukrycia miał doskonały widok na tylny podjazd do parku. Daleko w dole widział jak na dłoni drogę dojazdową dla personelu i zaopatrzenia, biegnącą zakrętami z pustyni. Jechał nią właśnie pod górę duży samochód chłodnia. Obserwował, jak kierowca w milczeniu zmienia biegi. Był to doskonały punkt rozpoznawczy, zauważy natychmiast każdy uciekający samochód lub nadjeżdżającą kawalerię. Skierował lornetkę dalej, a czerwone cyferki odczytu odległości migały szybko, kiedy nakierował soczewki na drugi koniec kanionu.

Aby wybudować park, Utopia Holding Company kupiła pas ziemi przylegający na południu do trasy międzystanowej dziewięćdziesiąt pięć, a na północy do Bazy Sił Powietrznych Nellis. W jej głębi, w miejscu zwanym Groom Lake, widniał obiekt zaznaczony na mapach rządowych jako Strefa Pięćdziesiąt Jeden. Patrolowali go żołnierze uprawnieni do użycia broni przeciwko Wszelkim intruzom. Od zachodu i wschodu park otaczały pustkowia. Utopia nie musiała wznosić ogrodzeń ani żadnych innych zabezpieczeń, stosowanych zwykle przez parki rozrywki, natura i wojsko robiły to za nią.

103

Być może czujność Utopii i jej poprzedników uspiło to samo bezmyślne poczucie bezpieczeństwa, które z takim wysiłkiem starali się wpoić swoim gościom. Wznosząc ogrodzenia, większość parków rozrywki broniła się głównie przed wstępem osób bez biletów. Planując środki bezpieczeństwa, w ogóle nie brano w rachubę osób wyszkolonych w przekradaniu się i ukrywaniu w najbardziej nieprzyjaznych środowiskach, jakie można sobie wyobrazić.

Pociągnął następny łyk z manierki, po czym schował ją z powrotem do worka, a ze środka wyciągnął powtarzalny karabin wyborowy M24. Pogwizdując niemelodyjnie, obrzucił broń szybkim, rutynowym spojrzeniem. M24 wyprodukowano na bazie remingtona 700. Istniały wprawdzie nowsze karabiny snajperskie, ale żaden z nich nie dorównywał temu pod względem precyzji. Ważył stosunkowo niewiele jak na broń wyborową bo cztery i pół kilograma. Tłumik płomienia i osłona przeciwsłoneczna gwarantowały, że żaden błysk nie zdradzi jego obecności. Położywszy sobie broń na kolanach, mężczyzna powtórnie sięgnął do torby i wyjął cztery naboje Winchester 308 ze 168 granami prochu i ściętą podstawą pocisku — nie było precyzyjniejszych pocisków kalibru '30. Napelnił magazynek, zasunął zamek, aby załadować pierwszy nabój, i ostrożnie włożył karabin z powrotem do worka, nie dlatego że kevlarowo-grafitowe łożo mogłoby się wypaczyć, bo to nie wchodziło w grę, po prostu nie chciał, aby lufa się za bardzo nagrzała i parzyła w ręce.

Drugą bronią jaką wyjął z worka, był barret M82, tak zwana lekka pięćdziesiątka. Wyglądał niepozornie w porównaniu z M24 i był również mniej precyzyjny, ale półcalową amunicją do karabinu maszynowego położy trupem wszystko, co trafi z odległości stu metrów.

Wczoraj w nocy wtaszczył prawie czterdzieści kilogramów po pionowej ścianie niecki, ale nawyk noszenia ze sobą zapasowej broni wpojono mu jeszcze za czasów rekruckich na wyspie Parris.

U jego pasa cicho zaświergotało radio. Mężczyzna wyjął je i szybko wstukał kod deszyfracji.

— Bawół — odezwał się głos. — Tu Czynniki Pierwszy. Jaki masz odczyt?

104

\ — Nadal pięć na pięć. | — Status?

— Gotowy do przyjęcia.

Mężczyzna podniósł radio do ust.

— Doskonale. Utrzymuj nasłuch na tej częstotliwości. Odezwe się w ciągu godziny. Czynniki Pierwszy, bez odbioru.

Radio umilkło i mężczyzna włożył je z powrotem za pas. Znow spozrzał na zegarek: punkt pierwsza. Potem odwrócił się do barreta i sprawdził go tak samo jak poprzedni karabin. Z zadowoleniem pogładził ręką celownik optyczny, rzecz jasna zamontowany na stałe, ponieważ celowniki zdejmowane zbyt łatwo się rozregulowują. Wyzerował już swój karabin, w każdej chwili mógł być mu potrzebny. Popatrzył na ogromną kopułę wznoszącą się za jego plecami i jego wzrok podążył za ciemną kropką przemieszczającą się po szklanej powierzchni. Przytulił szeroką kolbę do policzka i spojrzął w celownik. Czarna kropka zamieniła się w człowieka w białym kombinezonie obsługi technicznej, idącego powoli wzdłuż metalowego ożebrowania w poszukiwaniu stłuczonych szyb. Zajął dwa pola w siatce dalmierza w celowniku — odległość wynosiła zatem niecałe trzysta metrów. Palec strzelca przytulił się delikatnie do języka spustowego.

— Teraz bądź naprawdę ostrożny — szepnął. — Przecież nie chcemy, żebyś spadł.

Po czym ostrożnie i niemal z czułością wsunął karabin z powrotem do worka.

13.05

Jego garnitur został wyczyszczony i wyprasowany w utopijnej pralni, a incydent zgłoszony ochronie. Andrew przystanął na korytarzu poziomym B i skonsternowany potarł się po brodzie. Kiedy był dzieckiem, po szczególnie nieprzyjemnych przeżyciach często śniło mu się, że idzie szkolnym korytarzem w stronę gabinetu dyrektora, mijają jedna po drugiej kolejne klasy, a mimo to nie może się zbliżyć do groźnych drzwi widniejących na samym końcu. Miał teraz uczucie, jakby przeżywał ten sen na jawie.

Obok niego Georgia kręciła się niecierpliwie.

— Zabłądziłeś?

— Nie.

— Oj, chyba tak.

— Przede wszystkim to ty miałaś sprawdzać drogę na planie, już zapomniałaś?

Odsunęli się na bok, żeby przepuścić wózek elektryczny, który minął ich z łagodnym pomrukiem.

Warne popatrzył w jedną i drugą stronę przecinających się korytarzy. Czy mu się zdaje, czy już tędy przechodzili? Miejsce wyglądało znajomo, ale w ciągle zmieniającym się strumieniu pracowników spieszących we wszystkie możliwe strony trudno było się zorientować.

Poza tym był rozkojarzony. Do tej pory bolał go nadgarstek w miejscu, gdzie złapał go

Lodołamacz. Zauważył, że pociera go zupełnie nieświadomie.

106

Georgia podniosła na niego wzrok.

— Nic ci nie jest, tato?

— Czuję się trochę zamroczony. Przepraszam cię, pewnie się przestraszyłaś.

Georgia pokręciła głową.

— Wcale nie.

Warne się zdziwił.

— Nie?

— Pomyśl realnie. — Popatrzyła na niego, jakby nie dowierzając tak głębokiej ignorancji swego ojca. — Przecież ty go zbudowałaś, nie mógł ci zrobić nic złego.

Warne pokręcił głową. Georgia nie była na spotkaniu, nie słyszała niczego, co mu powiedziano. O nic nie pytała, i dobrze, ale za to on miał kilka pytań, które zamierzał zadać Teresie Bonifacio. O ile kiedyś trafią do jej pracowni.

Zauważył tablicę, której przedtem nie widział. „Nowe technologie”. Wygląda na to, że są na dobrej drodze. Obejrzał się przez ramię, aby się upewnić, że nie rozjedzie ich następny wózek elektryczny, po czym ruszył w kierunku tablicy.

Minutę później stwierdził z irytacją że udało mu się znowu zabłądzić. Sektor, do którego trafili,

musiał być zarezerwowany dla kierownictwa, bo na podłodze leżał gruby dywan, a betonowe ściany wyłożono tapetą. Właśnie miał zrezygnować i zawrócić, kiedy zobaczył przed sobą znajomą postać. Zatrzymał się raptownie.

Sarah Boatwright stała w drzwiach gabinetu, odwrócona do nich tyłem, i rozmawiała z ożywieniem z dwoma mężczyznami w ciemnych garniturach, którzy słuchali jej z uwagą i kiwali głowami. Proste, miedziane włosy podrygiwały lekko, kiedy poruszała ramionami.

Widok Sarah odwróconej do niego tyłem przywiódł mu nagle na pamięć ich pierwszy wspólny poranek. Tuż przed wyjściem do pracy Sarah stanęła przed lustrem i przez kilka minut obracała się to w jedną to w drugą stronę, przyglądając się sobie pod każdym możliwym kątem. Z początku wziął to za zwykłą próżność, dopiero po jakimś czasie zorientował się, że lustrując w ten sposób swoje odbicie, sprawdza, czy coś w jej stroju nie odstaje,

107

nie zagniata się lub nie zawija. Lubiła nienaganny porządek, ale kiedy już wyszła, praca pochłaniała ją tak całkowicie, że zapominała o takich błahostkach jak własny wygląd. Dlatego właśnie tak dużo uwagi i wysiłku wkładała w te przygotowania przed wyjściem. Śmiał się z niej, dopóki nie zrozumiał, że z jej punktu widzenia było to najbardziej logiczne rozwiązanie.

Sarah odwróciła się i zauważyła ich. Uśmiechnęła się przelotnie, machnęła na nich ręką, po czym odwróciła się i powiedziała kilka ostatnich słów do czekających mężczyzn, którzy pokiwali głowami i odeszli.

— Nie chciałem ci przerywać — rzekł Warne, kiedy się zbliżyli.

— Nie przerwałeś, to tylko zastępcy kierowników z działów transportu i nowych pomysłów.

Kolejne zagwozдки w Atlantydzie. Rutyna. — Zielone oczy Sarah przeniosły się z Andrew na Georgię i z powrotem. — Powinieneś już być u Terri. Zabłądziliście?

— Tak — odparł Warne.

— Nie — powiedziała jednocześnie Georgia.

— Pracownia Terri jest tuż za rogiem. — Sarah znowu spojrzała na Georgię i zawahała się. — Może wejdziecie na chwilę?

Gabinet Sarah był przestronny, funkcjonalnie urządzony i zaskakująco zimny, nawet jak na utopijne Podziemia. W porównaniu z jasno oświetlonym korytarzem sprawiał wrażenie wręcz ciemnego.

Biurko stało puste, jeśli nie liczyć kilku folderów, komputera i ogromnej filiżanki. Jak zwykle nic w pokoju Sarah nie zaburzało idealnego porządku. Nawet obrazy na ścianach — zdjęcie Erica Nightingale'a obejmującego Sarah ramieniem i dwudziestometrowej łodzi, na której brała udział w regatach Newport—Bermudy — wisiały w idealnie wymierzonych miejscach.

— Bardzo ładny gabinet — rzekł Warne, kiwając głową. — Dobrze się urządzałaś.

— Utopia była dla mnie bardzo dobra.

— Właśnie widzę.

Zapadła niezręczna cisza, wszyscy zdawali sobie sprawę z nie-

108

dokończonych spraw. Andrew zastanawiał się z lekkim roztargnieniem, czy powinien przeprosić za swój poranny wybuch po spotkaniu. Równie szybko jednak, jak myśl ta wpadła mu do głowy, doszedł do wniosku, że przeprosiny są ostatnią rzeczą na jaką ma ochotę.

— Słyszałam o incydencie z robotem — powiedziała Sarah. — Cieszę się, że nic ci się nie stało.

— Jeśli można tak powiedzieć — odrzekł Warne, rozcierając nadgarstek.

— Wyślę układ sterujący Lodołamacza do pracowni Terri, żebyście mogli przeprowadzić analizę.

Nie powiedziała tego, nie musiała, wniosek sam się nasuwał.

Andrew zerknął na Georgię. Dziewczynka usiadła przy stole konferencyjnym Sarah i przeglądała albumik zatytułowany Portrety Utopii.

— Sarah — powiedział półgłosem, podchodząc do niej bliżej. — To nie jest wina metasieci. Byłaś w Carnegie-Mellon, kiedy nad nią pracowałem, wiesz, co potrafi. Przeprogramowanie zachowania robotów po prostu nie należy do jej zadań.

— Skąd właściwie możesz wiedzieć, co dokładnie potrafi? Przecież to specjalistyczny system wyposażony w umiejętność uczenia się. Zaprojektowałeś go tak, aby sam siebie poprawiał, jak również roboty. Aby się przystosowywał do zmian.

— Zachowujesz się, jakby to był jakiś wirus. Zarząd nie zgodziłby się na zainstalowanie go, gdyby nie sprawdził się w beta-testach. Działał w fazie przedprodukcyjnej bez jednej usterki, tak czy nie?

— Ale od pół roku pracuje w środowisku, które się nieustannie zmienia. Może dokonał automodyfikacji w sposób, którego nie przewidzieliśmy i nawet nie zauważyliśmy. W każdym razie taką teorię wysnuł Fred Barksdale. A on ma prawo coś na ten temat wiedzieć.

— Tylko że... — Andrew z trudem się pohamował. Nie było sensu się spierać. Tę dyskusję zachowa na rozmowę z Teresą Bonifacio. Westchnął i pokręcił głową. — Fred Barksdale — powtórzył. — Jesteście ze sobą na poważnie czy to tylko mały przerywnik w pracy.

109

Sarah obrzuciła go surowym spojrzeniem, ale Andrew przezornie się uśmiechnął.

— To widać? — spytała po chwili.

— Rzuca się w oczy jak neon.

Uśmiechnęła się cierpko.

— Fred to miły facet.

— Wydawało mi się, że snobistyczni angielscy lordowie nie są w twoim typie. Sprawia wrażenie... sam nie wiem... klub łowiecki, różowy gin, wyprasowany „Times”, te sprawy.

— To najbardziej wyrafinowany mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Myślę, że za długo umawiałam się z naukowcami. Bez obrazy, oczywiście.

— Nie ma sprawy.

Uśmiech na twarzy Warne'a zamarł. Zauważył, że Sarah patrzy na coś za jego plecami i zerknął przez ramię. Georgia opuściła książkę i patrzyła na ich małe tete-a-tete z wyrazem dezaprobaty. Sarah zrobiła krok w tył.

— Georgio, mam coś dla ciebie.

Podeszła do swojego nieskazitelnego biurka i przykłęka. Rozległ się zgrzyt kluczyka przekręcanego w zamku, potem cichy szum rozpędzającego się wentylatora.

— No wyjdź — powiedziała łagodnie, odsuwając się.

W pierwszej chwili Warne odniósł wrażenie, że biurko się poruszyło. Potem wyłoniło się zza niego coś pękatego i niezgrabnego, przypominającego antałek piwa położony na wielkich, guzowatych oponach. Zatrzymało się, tylko część pełniąca funkcję łba obracała się szybko. Zauważyło gości, wydało z siebie coś pomiędzy szczeknięciem a beknięciem i wystrzeliło przed siebie.

Georgia poderwała się błyskawicznie z krzesła i rozpostarła ramiona.

— Wingnut! — zawołała. — Chodź tu, piesku.

Warne patrzył, jak niezgrabny stwór toczy się z zapalem w stronę dziewczynki. Nie zdołał się w porę zatrzymać i Georgia wylądowała na podłodze.

Już zapomniał, jak bardzo kamery stereofoniczne na głowie

110

Wingnuta przypominały prawdziwe oczy; jak doskonale odchylenia kursu, które zaprogramował w zryskopie, naśladowały niecierpliwe i nieskoordynowane ruchy przcrośniętego szczeniaka. Nawet pozorna niekształtność pasowała do ogólnego wizerunku. Skonstruował go jako urządzenie demonstracyjne, zwyczajny model służący do ilustracji niektórych koncepcji cybernetycznych, jak na przykład planowanie trasy i unikanie zderzeń. Andrew był gorącym zwolennikiem wykorzystania odkryć etologii i zastosowania mechanizmów rządzących zachowaniem zwierząt w konstrukcji sztucznej inteligencji. Wingnut posłużył za wzór. Był jednym z pierwszych urządzeń, które zbudował, aby sprawdzić na nich swoje teorie. Początkowo odegrał też rolę idealnego zwierzątka domowego dla Georgii, która miała uczulenie na psią sierść. Gdy zainteresowanie dziewczynki nieco osłabło, Wingnut zamieszkał w instytucie, gdzie szybko stał się czymś w rodzaju osobliwości. Został wyposażony w dwurdzeniowy procesor, zawrotną ilość pamięci i bardzo drogi hardware, który jednak stał się przestarzały, zanim Andrew uporał się z kodem programu

zajmującym pięćdziesiąt tysięcy linii i obejmującym najprostsze zachowania, takie jak aportowanie, służenie, wykrywanie intruza i kilka innych psych zadań. Mimo to albo Wingnut dostał o jedną łąkę programową za dużo, albo maczał w tym palce któryś z dowcipnych studentów Warne'a, w każdym razie robot zaczął się zachowywać w sposób nieprzewidywalny, w jaki nigdy nie zachowywał się żaden z jego tworców. Aż do dzisiejszego ranka.

Wingnut rozpoznał Warne'a za pomocą swego zespołu czujników, podbiegł doń i zaczął go trącać głową w udo wcale nie nazbyt delikatnie, jakby dopominał się smakołyka.

— Cześć — powiedział Warne.

Zawsze darzył psiaka ogromną sympatią i nawet teraz poczuł irracjonalną chęć, żeby poklepać go delikatnie po nieistniejących uszach. Pochyliwszy się, stwierdził ze zdziwieniem, że mikrofon, serwomechanizmy i przełączniki robota pokrywa warstewka kurzu, co zupełnie nie pasowało do reszty gabinetu Sarah. Wyglądało na to, że wyciągnięto go właśnie z szafy.

111

Dmuchał ostrożnie w kilka miejsc na metalowym ciełe, p0 czym wstał.

— Idź się pobawić z Georgią — powiedział.

W czasie pamiętnych spotkań, wypełnionych burzami mózgow Nightingale był urzeczony Wingnutem. W końcu Andrew mu go sprezentował jako swoistą zaliczkę na poczet następnych technicznych zabawek. Był pewien, że projektanci Utopii zrobią z Wingnuta jakiś rodzaj atrakcji, najprawdopodobniej gdzieś w Kallisto.

— Dlaczego nie wykorzystujecie go w parku? — spytał.

— Mieliśmy zamiar, ale poszliśmy potem w stronę bardziej... sensorycznych rozwiązań: hologramów, pokazów laserowych, kolejek sterowanych komputerowo. To efekt sondaży.

— Efekt sondaży. Chuck Emory i jego liczykrupy.

— Obawialiśmy się również, że goście mogą się... go trochę bać.

— Bać? Małego, poczciwego Wingnuta?

— Wcale nie jest taki mały.

W drzwiach gabinetu pojawił się jakiś mężczyzna z plikiem światłokopii i szkiców komputerowych pod pachą.

— Przepraszam cię — powiedziała Sarah, idąc w stronę nowo przybyłego.

Wame obserwował ją przez chwilę, po czym zerknął na córkę, która mruczała coś na kolanach do robota. Jeszcze raz rozejrzył się po gabinecie i znów zatrzymał wzrok na zdjęciu żaglówki.

Wydawało się wtedy, że to dobry znak. Charlotte Warne budowała statki; Sarah się na nich ściagała.

Nie zdawał sobie sprawy, że ta zbieżność wywoła zupełnie odmienną reakcję Georgii, niż przewidywał. Pomimo podobieństw, pewne różnice aż były w oczy. Jego żona kochała łodzie i swoją pracę wykonywała z najczystszy z zamiłowaniem. W miarę jak coraz lepiej poznawał Sarah, zorientował się, że jej zainteresowanie pływaniem wynika przede wszystkim z potrzeby pokonywania wciąż nowych wyzwań.

Ponownie spojrzął na córkę. Georgia była jedynym wyzwaniem, któremu Sarah nie potrafiła sprostać. Przypomnił sobie niezręczną sytuację, do której doszło w sali konferencyjnej, kiedy Sarah zobaczyła dziewczynkę. Nie było mowy o spontanicznym

112

uścisku, zdobyła się jedynie na sztywny, oficjalny wyraz sympatii. Sarah po prostu nie umiała nawiązywać kontaktu z dziećmi. Starła się, na swój sposób nawet teraz, kiedy pokazała Georgii Wingnuta. Andrew jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że to się nigdy nie uda. Miała osobowość na wskroś racjonalną i logiczną, a niezłomne stosowanie logiki nigdy dobrze nie działa na dzieci; one zawsze znajdują sposób, aby pomieszać człowiekowi szyki, aby zrobić coś odwrotnego, niż się można było spodziewać.

Nagle zadzwonił telefon na biurku Sarah. Warne spojrzął na zegarek.

— Lepiej już pójdziemy — powiedział. — To gdzie jest ta pracownia Teresy?

— Drugi korytarz na prawo, trzecie drzwi po lewej stronie.

Sarah odprawiła mężczyznę przy drzwiach i wróciła do biurka.

— Andrew, dwa słowa na temat Teresy. Ona nie jest... typową pracownicą parku.

— Co to znaczy?

— Oczywiście jest bardzo zdolna, jeśli chodzi o programowanie robotów, nawet niezrównana, ale jest... niekonwencjonalna. Mieliśmy niemało kłopotów, żeby ją przystosować do zasad panujących w Utopii.

— To znaczy co? Humorzysta? Buntownicza?

— Powiedzmy, że lubi pływać pod prąd. Kilka miesięcy temu na przykład zaprogramowała robota z serwera pocztowego, żeby podszcypywał w tyłek atrakcyjnych młodzieńców z działu korespondencji.

Mówiła półgłosem, ale Georgia na drugim końcu pokoju parsknęła śmiechem.

— Nie mów.

— Jest również podejrzana o powieszenie w damskiej toalecie w dziale systemów zdjęcia rozebranej Margaret Thatcher z głową Freda Barksdale'a. Od otwarcia parku dostała już trzy dyscyplinarne upomnienia. — Usta Sarah ściągnęły się z dezaprobatą.

— Nie daje sobie zrobić prania mózgu i wcisnąć się w ramki etyki zadowolonego pracownika, co? Wichrzycielka.

113

Sarah otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwała, bo do gabinetu wetknęła głowę kobieta w białym, służbowym żakiecie.

— Istny dworzec kolejowy tu dzisiaj — mruknął Warne.

— Nie dzisiaj, tylko zawsze. — Sarah odwróciła się do kobiety. — Słucham, Grace.

— Przepraszam, że przeszkadzam, pani Boatwright, ale nie odbierała pani telefonu. Jakiś mężczyzna czeka, żeby z panią porozmawiać... .

— Mężczyzna?

— Jakiś konsultant z zewnątrz. Mówi, że prosiła go pani o spotkanie.

— Nie pamiętam, żebym była z kimś dzisiaj umówiona. — Sarah podeszła do biurka, napisała coś na klawiaturze i spojrzała na monitor. — Dobrze, poproś, żeby chwilę poczekał.

Wyjęła coś z szuflady, obeszła biurko dookoła i podała War-ne'owi.

— To echolokator Wingnuta. Powinam zobaczyć, czego chce ten człowiek.

— Dziękuję — odparł Andrew, owijając sobie pasek z urządzeniem na nadgarstku.

— Wyjeżdżam jutro z samego rana. Na wypadek gdybyśmy się już dzisiaj nie spotkali, życzę ci powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży.

Wame uśmiechnął się chłodno.

— Fred robi wszystko, co w jego mocy, aby ci pomóc. Pamiętaj, że to nie jest ostateczne rozwiązanie. Przy odrobinie szczęścia uda ci się naprawić to, co nie gra, i będziemy mogli wysłać do Nowego Jorku prośbę o wznowienie pracy metasieci. — Odwróciła się. — Do widzenia, Georgio. Miło cię było znowu zobaczyć. Baw się dobrze.

— Dziękuję — odrzekła dziewczynka, podnosząc się z kolan.

Wame skinął Sarah głową i razem z Georgią wyszli z gabinetu.

Na korytarzu czekała kobieta w białym żakiecie i szczypty mężczyzna z krótko przystrzyżonymi włosami. Kiedy jego spojrzenie napotkało wzrok Wame'a, uśmiechnął się.

Za ich plecami rozległ się rozpaczliwy skowyt przypominający

114

dźwięk klaksonu samochodowego. Andrew odwrócił się i zobaczył Wingnuta rzucającego się po dywanie to w przód, to w tył, i obracającego szaleńczo czujnikami.

— No, na co czekasz? — powiedział. — Chodź.

Kiedy szli korytarzem, wszystkie napotymane osoby omijały szerokim łukiem mężczyznę z młodą dziewczyną i zwalistym robotem, który merdał ogonem w najbardziej nieskoordynowany sposób.

13.09

Chociaż Warne zniknął już za zakrętem, Sarah stała dalej bez ruchu i patrzyła w miejsce, gdzie przed chwilą z nią rozmawiał. Niepokój, który ją męczył w czasie odprawy inauguracyjnej, bynajmniej nie zniknął. Chociaż tak naprawdę nie był to niepokój, a raczej świadomość czegoś, co w niej samej pozostało nierozwiązane. Nigdy nie lubiła oddawać się przewlekłym autoanalizom,

zawsze przedkładała działanie nad introspekcję. Mimo to zdawała sobie sprawę, że ma to jakiś związek z przyspieszeniem terminu wizyty Andrew Warne'a. Chociaż był to, rzecz jasna, pomysł Chucka Emory'ego.

— Załatw to szybko, ściągnij go tu od razu — powiedział dyrektor generalny z Nowego Jorku. — Chcę, żeby natychmiast odłączono metaseć, zanim dojdzie do gorszego nieszczęścia. Tylko ani słowa na temat prawdziwego powodu, dopóki nie będzie na miejscu. Nie możemy sobie pozwolić, żeby coś wyciekło na zewnątrz. Powiedz mu tylko tyle, ile trzeba, żeby go ściągnąć. Ma przyjechać i koniec.

Naturalnie wcale jej się nie podobał ten podstęp. Ale to nie wszystko. Czuła ulgę, że nie będzie jej w Utopii przez większą część pobytu Andrew, a to świadczyło o słabości, której nie znosiła. Czy się bała? Nigdy nie przejmowała się ludzką dezaprobatą w tym również Warne'a. Może po prostu żał jej Andrew, bo czeka go dużo przykrych chwil.

Wszystkie te myśli przebiegły jej przez głowę w ciągu sekundy.

116

Potem odwróciła się w stronę mężczyzny, który czekał na korytarzu.

— Proszę, niech pan wejdzie. Przepraszam, że musiał pan czekać.

Wchodząc do gabinetu, mężczyzna uśmiechał się szeroko.

— Nie przypominam sobie, abym prosiła pana o spotkanie — powiedziała Sarah, siadając za biurkiem.

Mężczyzna skinął głową z gracją splatając ręce na piersi. Prawie podświadomie zauważyła, że lniany garnitur, który jej gość miał na sobie, był nienagannie skrojony i drogi. Wyczuwała w nim coś niezwykłego, ale nie mogła uchwycić co.

— I pamięć pani nie zawodzi, panno Boatwright — odrzekł. — Nie prosiła mnie pani o spotkanie. Pozwoliłem sobie na drobny podstęp.

Podszedł bliżej i wtedy Sarah zrozumiała, co ją tak zaintrygowało: mężczyzna miał lewe oko orzechowe, a prawe intensywnie błękitne.

Nie zaniepokoił jej ten fortel. Często się zdarzał. Wielu miłośników Utopii wykazywało fanatyczną wręcz żarliwość. Odwiedzali park kilkanaście razy w roku, ubierali się jak Erie Nightingale, nie przestawali zasypywać parku podaniami o pracę, nawet najbardziej niewdzięczną jak na przykład powożenie dorożką dla nowożeńców, byle tylko dostać się za kulisy. Od czasu do czasu udawało im się wśliznąć na teren zaplecza i trzeba było ich grzecznie, lecz stanowczo wypraszać. Co prawda żaden z nich do tej pory nie usiłował się spotkać akurat z nią, posługując się jej nazwiskiem, ale pomimo dziwnych, różnokolorowych oczu jej gość nie wyglądał na szalonego ani niebezpiecznego. Twarz miał przystojną i dystygowaną uśmiech szczery i prostoduszny. Biły od niego spokój i opanowanie. Z jakiegoś powodu przywiódł jej na myśl Freda Barksdale'a.

— Czy mogę zapytać, jak się pan nazywa?

— Oczywiście, że możesz, Sarah. Czy mogę mówić do ciebie Sarah? — Głos miał niski, melodyjny, z lekkim akcentem przypominającym trochę australijski. — Imiona tak bardzo sprzyjają budowaniu zaufania. Nazywam się Doe. Ale możesz do mnie mówić John.

117

Zapadła krótka chwila milczenia.

— Rozumiem. — Sarah odwróciła się do komputera i wystukała coś na klawiaturze. — Niestety, nie mam w komputerze wzmianki o żadnym konsultancie o nazwisku... Doe, który miałby dziś przyjechać do Utopii.

— To również się zgadza. Kolejny drobny podstęp. To dość niezręczne, przepraszam. Powiedz mi, proszę, czyżbym czuł jaśminową herbatę? Cudowny zapach.

Doe nadal patrzył na nią z najbardziej niewymuszonym uśmiechem. A potem zrobił bardzo dziwną rzecz. Podszedł, przysiadł na brzegu biurka, wziął do ręki filiżankę ze spodeczkiem i napił się jej herbaty. Zachwycony zamknął oczy.

— Och, doskonała. — Upił następny łyk. — Ale smakuje jak wiosenne żniwa. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Pierwszy pokos. O tej godzinie stosowniejszym wyborem byłby drugi pokos. Sarah od niechcienia sięgnęła dłonią do klawiatury. Krótka sekwencja klawiszy numerycznych

sprowadzi ochroniarzy w półtorej minuty. Wtedy jednak mężczyzna pochylił się, aby odstawić filiżankę, a pod odchyloną połą marynarki Sarah zobaczyła kaburę i wystającą z niej rękojeść pistoletu. Opuściła dłoń.

— Czego pan chce? — spytała.

Mężczyzna popatrzył na nią z urazą.

— Po co ten pośpiech, Sarah? Wkrótce sprawy potoczą się bardzo szybko, więc skorzystajmy z okazji, aby się lepiej poznać, jak przystało na cywilizowanych ludzi.

Sarah odsunęła się lekko na krześle, obserwując go uważnie.

— Dobrze. Kim pan jest?

Doe zastanawiał się nad tym pytaniem, jakby usłyszał je po raz pierwszy w życiu.

— Chciałaś zapewne zapytać, co robię. — Przerwał. — Myślę, że można by mnie nazwać ekspedytorem. Nie lubię tego słowa, brzmi jakoś kapryśnie i efemerycznie, ale szczerze mówiąc, nie wiem, jak inaczej można by opisać to, co robię. Zdobywam rzeczy, których pragną ludzie. Ale „pośrednik” brzmi zdecydowanie zbyt tandemie. Może byłoby najłatwiej, gdybyś myślała o mnie jako o mężczyźnie z podarunkiem.

118

Wsunął dłoń do kieszeni marynarki, a Sarah przygotowywała się już, aby szybko odskoczyć. Doe z dezaprobatą pokręcił głową jakby wielce zmartwiony jej nieufnością. Potem dłonią o szczupłych, eleganckich palcach postawił na biurku małą krótkofalówkę. Pochylił się, jakby chciał jej zdradzić sekret.

— Sarah, mam dla ciebie dobrą wiadomość — powiedział. — Masz możliwość sprawić, że dzisiaj po południu w Utopii nikt nie zginie.

Sarah popatrzyła na niego, ale nie odezwała się ani słowem.

— Wiem, ile dla ciebie znaczy ten park. — Mówiąc, Doe ani na moment nie przestawał jej patrzeć w oczy. Na jego twarzy malował się widok głębokiego zrozumienia i współczucia. — Wiem, że przykładasz ogromną wagę do jego sprawnego działania i bezpieczeństwa gości. Nic, co się dzisiaj wydarzy, nie musi tego zakłócić w najmniejszym stopniu, jeśli postąpisz zgodnie z kilkoma podstawowymi zasadami. — Nie spuszczał z niej współczującego, pełnego zrozumienia wzroku. — Nie wezwiesz ani miejscowych, ani federalnych służb bezpieczeństwa. Nie będziesz próbowała ewakuować parku. Życie Utopii ma się toczyć jak zawsze. Goście przyjeżdżają i wyjeżdżają tak jak każdego innego dnia. Wszyscy będą się dobrze bawić i nikomu nic się nie stanie. A przecież na tym polega twoja praca, prawda? Więc proszę cię, Sarah, abyś nie łamała podstawowych zasad.

— Czego pan chce? — spytała znowu.

Doe się wyprostował.

— Poproszę cię o zrobienie kilku rzeczy. To bardzo ważne, abyś postępowała zgodnie z moimi wskazówkami. Będziemy się kontaktować za pomocą tego. — Wcisnął przycisk radia, które zabrzęczało cicho. — Chciałem jednak najpierw przeprowadzić z tobą tę uroczą pogawędkę w cztery oczy, aby przełamać pierwsze lody, nadać sprawie ludzką twarz i tak dalej.

Poprawił marynarkę.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale teraz muszę przejść do nieco mniej przyjemnej części naszej rozmowy.

Sarah poczuła, jak zaciska jej się szczęką.

— Nie reaguję najlepiej na groźby — odrzekła lodowato.

— To nie potrwa długo. Poza tym to są takie grzeczne groźby.

119

Rób dokładnie to, co każę, i wtedy, kiedy każę. Nie próbuj mnie powstrzymywać ani niczego utrudniać. W przeciwnym razie... Przekonasz się, że wiem o tobie i o twoim parku więcej, niż myślisz. Mam tu swoich współpracowników, a każdy z nich jest znacznie groźniejszy ode mnie. Mieliśmy dużo czasu, aby się odpowiednio przygotować. Obserwujemy obydwa wasze wejścia. Jeśli będziesz z nami współpracować, znikniemy, zanim się obejrzysz, a ty będziesz mogła spokojnie kontynuować swoją pracę dogadzania gościom.

Zszedł z biurka.

— No proszę, to nie było takie straszne, prawda? Zawsze uważałem, że grozić ludziom powinno się tak, jak się robi zastrzyk: szybko, a wtedy mniej boli. — Wyciągnął rękę, a Sarah błyskawicznie znowu zeszywniała. Mężczyzna jednak pogładził ją grzbietem dłoni po policzku. — Niebawem znowu się z tobą skontaktuję, Sarah. Wracaj do swojej herbaty, jest wyśmienita. Ale pamiętaj, co mówiłem o drugim pokosie.

Kiedy się odwrócił, dłoń Sarah znów spoczęła na klawiaturze, ale w tej samej chwili przypomniał jej się pistolet w kaburze mężczyzny i nienaturalny spokój w jego oczach. Postanowiła zaczekać. W drzwiach mężczyzna się odwrócił.

— Jeszcze jedna sprawa. Możesz niedowierzać temu, co ci powiedziałem, poza tym jesteś przecież kobietą którą niełatwo przestraszyć. Może cię na przykład kusić, aby zamknąć park i nie wpuszczać kolejnych gości lub w inny sposób postąpić wbrew moim zaleceniom. Każde z tych działań spotka się z natychmiastowym odwetem. Tak więc, aby uniknąć ewentualnych komplikacji, przygotowałem dla ciebie mały pokaz. Organizujesz tak dużo widowisk, że od czasu do czasu powinnaś sama coś obejrzeć. Myślę, że to, co zobaczysz, rozwieje wszelkie wątpliwości, jeśli ci jeszcze jakieś zostały. — Spojrzał na zegarek. — Zacznie się dokładnie o trzynastej trzydzieści. Miłej zabawy.

I nie powiedziawszy już ani słowa więcej, zniknął.

13.15

— Nie sądzisz, że to mógł być jakiś wariat? — spytał Fred Barksdale. — Jak na przykład ten osobnik w zeszłym tygodniu, który uważał się za Abrahama, a Utopią za Sodomę?

Skręcił kierownicę wózka elektrycznego, aby ominąć pieszego. Jechali prawie dwadzieścia kilometrów na godzinę, dwa razy szybciej, niż było to dozwolone w korytarzach Podziemi. Sarah pokręciła głową.

— Nie zachowywał się jak wariat z bombą czy telefoniczny maniak. Był zbyt uprzejmy. Zbyt uprzedząco grzeczny, jakby... — Potrząsnęła energicznie głową aby wyrzucić z niej natrętne myśli. — Szukał mnie po nazwisku. Dokładnie wiedział, czego chce. I do tego tego...

To mówiąc, poklepała się po kieszeni żakietu.

Skręcili w boczny korytarz, gumowe koła wózka pisały na gołym betonie. Sarah zerknęła na Barksdale'a. Jego delikatne rysy stężały, jasne brwi zmarszczyły się w zamyśleniu. Fred zerknął na nią i ich spojrzenia się spotkały.

— Jak się czujesz, słonko?

Sarah skinęła głową.

— Dobrze.

Zatrzymali się gwałtownie przed dwuskrzydłowymi, nieoznakowanymi drzwiami. Zostawiwszy wózek zaparkowany na ukos ' blokujący połowę korytarza, Barksdale pokłusował do drzwi i przeciągnął swój identyfikator przez czytnik. Kiedy kliknął

121

zamek, popchnął drzwi, po czym cofnął się, żeby przepuścić Sarah przodem.

Centrum monitoringu, znane wszystkim pracownikom Utopii jako UI, było okrągłym pomieszczeniem, zapelnionym od podłogi aż po sufit regałami z monitorami. Tutaj dane z kamer zamontowanych w parku spływały do jednej stacji dowodzenia. Nie wszystkie dane można było stąd zobaczyć — kamery na podcierwień w kolejkach tworzyły zamknięte systemy, a Wszystkowidzący w czterech kasynach nadzorowani byli z innych miejsc — ale obraz z ponad sześciu tysięcy punktów rozsianych w restauracjach, kasach biletowych, punktach obsługi, wagonach kolejki jednotorowej był dostępny właśnie w Ulu.

Kiedy Sarah weszła do środka, pomyślała, tak jak podczas każdej ze swych nieczęstych wizyt, jak bardzo nazwa pasuje do tego miejsca. Setki monitorów, które otaczały ją ze wszystkich stron, szklane ekrany pochylone pod identycznym kątem nieodparcie nasuwały na myśl skojarzenie z plastrzem miodu.

Nie za bardzo się denerwowała, zbyt dużo przeżyli w ciągu kilku miesięcy fałszywych alarmów, zbyt dużo odbierali telefonów i e-maili z groźbami bez pokrycia. Żaden jednak z tych świrów i

żartownisiów nie przedstawiał się nigdy z nazwiska; żaden nie dał jej krótkofalówki i przede wszystkim żaden nie nosił ukrytej broni. Zadzwoniła więc do szefa ochrony Boba Allocco i zarządziła stan podwyższonej gotowości, tak na wszelki wypadek.

W chłodnym i suchym powietrzu Ula unosił się delikatny, niemal słodkawy zapach czystości. Przy stanowiskach nadzoru, rozmieszczonych dookoła sali, siedziało kilkunastu pracowników ochrony i śledziło obrazy na ekranach lub rozmawiało przez mikrofony. Bob Allocco stał przy najbliższym operatorze i bębnił niecierpliwie palcami w czarny kompozytowy blat. Obrócił się, kiedy się pojawili, i marszcząc brwi, dał im znak, aby poszli za nim.

W ścianie na drugim końcu sali, między rzędami ekranów widniały drzwi z przydymionego szkła. Allocco przeciągnął swój identyfikator przez czytnik i wszedł pierwszy, a kiedy wszyscy znaleźli się w pomieszczeniu, zamknął za nimi drzwi.

122

Stali w niewielkim, ciemnym pokoju z kilkoma dużymi monitorami, trzema telefonami, komputerową stacją roboczą i kilkoma krzesłami. Gdy tylko zamek w drzwiach zaskoczył, włączył się wentylator i pomieszczenie wypełnił lekko trzeszczący pomruk „różowego szumu”, który zapobiegał podsłuchaniu rozmów z sali głównej.

Allocco odwrócił się do nich przodem.

— Czy sprawa wygląda poważnie? — spytał.

— Obawiam się, że tak ją powinniśmy potraktować, nawet gdyby miało się okazać, że to fałszywy alarm — odrzekł Barksdale.

— Będziemy wiedzieć o wpół do drugiej — dodała cicho Sarah.

Allocco spojrział na nią szybko.

— Jak to?

— Facet ma podobno zamiar zorganizować jakiś pokaz, żeby nam udowodnić, że nie blefuje.

— I nie powiedział, czego chce?

Sarah wyciągnęła z kieszeni radio.

— Nie. Powiedział, że skontaktuje się z nami za pomocą tego.

Allocco wziął od niej radio i zaczął je obracać w dłoniach.

— No cóż, jedno wiemy na pewno: facetowi nie brakuje forsy. Popatrzcie: to jest moduł szyfrujący najwyższej jakości, taki, jakie stosuje wojsko. Założę się, że ma też dyfuzor sygnału, żeby nie można było namierzyć jego pozycji.

Oddał urządzenie Sarah.

— Groził ci?

— Dał do zrozumienia, że jeśli nie spełnimy jego żądań, to zginą ludzie.

— No cóż, mnie to wygląda na groźbę jak sto diabłów — zauważył Barksdale.

— Zabronił nam kontaktować się z policją i ewakuować park. Mamy funkcjonować tak jak zawsze. W przeciwnym razie... bla, bla, bla.

Zapadło milczenie, podczas gdy obaj mężczyźni analizowali to, co usłyszeli.

— A potem powiedział jeszcze, że jest ich wielu i że mieli mnóstwo czasu na przygotowania.

123

Odwróciła się i spojrzała Fredowi w oczy. Nawet w tym przyćmionym świetle widać było, że twarz mu poszarzała.

— O co tu może chodzić? — myślał na głos. — Terrorysty? Fanatycy? Obląkani obrońcy mniejszości narodowych?

— Nie czas teraz na zgadywanki — odparł Allocco. — Od czego mamy zabawki? Znajdźmy tego faceta. — Podniósł telefon stojący obok stacji roboczej i wybrał numer.

— Ralph? Tu Bob Allocco. Jestem w Ulu. Możesz tu do mnie przyjść?

Odłożył telefon.

— Ralph Peccam, mój najlepszy spec od wideo — wyjaśnił. — Przedtem pracował w dziale systemów, zna całą infrastrukturę jak własną kieszeń.

— Umie trzymać buzię na kłódkę? — spytała Sarah.

Allocco skinął głową.

— O której ten John Doe wyszedł z twojego biura?

Sarah zastanawiała się chwilę.

— Mniej więcej dziesięć po pierwszej.

— Dobra. — Bob odwrócił się do komputera i otworzył kilka menu. — Podejmujemy trop. Rozległo się ciche stukanie do drzwi i Sarah poszła je otworzyć. W eterycznym blasku niezliczonych monitorów Ula stał niski, chudy młodzik o rudych włosach uczesanych w koguci grzebień i twarzy usianej piegami. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Złota szpilka wpięta w sportową zapinaną bluzę informowała, że jest elektronikiem.

— Chodź, Ralph — powiedział Allocco. — Usiądź.

Chłopak zerknął na Sarah, po czym usiadł przed komputerem, głośno pociągając nosem.

— Mamy dla ciebie zadanie. Tylko sprawa nie może wyjść poza ten pokój, jasne?

Peccam bez słowa skinął głową a jego wielkie oczy znów pomknęły w stronę Sarah. Wyraźnie nie przywykł do tak bliskiej obecności szefowej parku.

— Pamiętasz próbne alarmy? Tym razem to nie są ćwiczenia. Mniej więcej osiem minut temu z gabinetu pani Boatwright wyszedł mężczyzna. Chcemy prześledzić, skąd przyszedł i dokąd

124
się udał. — Wskazał coś na monitorze. — Wyświetliłem listę kamer na korytarzu. Zaczniemy od B-
dwa tysiące dwadzieścia trzy.

Peccam odwrócił się do komputera i wpisał serię komend. Na jednym z monitorów pojawił się obraz: drzwi do gabinetu Sarah, nagrane przez kamerę pod sufitem naprzeciwko wejścia. Na dole ekranu widniała godzina nagrania. W miarę jak film się cofał, sekundy migały nieczytelnie. Obok nich biegła długa seria cyfr.

— Nagranie jest czarno-białe? — spytała zaskoczona Sarah.

— Wszystkie kamery na terenie służbowym są czarno-białe. Tylko w miejscach publicznych mamy kolorowe. Przerabialiśmy to w zeszłym miesiącu na jednej z odpraw inauguracyjnych. Nie słuchałaś?

— Najwyraźniej nie dość uważnie. Wprowadźcie mnie pokrótce.

Allocco machnął ręką w stronę monitora.

— Wszystkie nasze zapisy z kamer są już teraz cyfrowe. Żadnych taśm. Dzięki temu unikamy słabnięcia sygnału, kłopotów z przechowywaniem materiałów, teoretycznie również możemy mieć nieograniczoną rozdzielczość. Wszystko synchronizowane z kodem czasowym SMPTE w formacie... jakim, Ralph?

— Trzydzieści klatek — odparł Peccam chrypliwie.

— Trzydzieści klatek na sekundę. Możemy dokładnie zsynchronizować każde dwa, trzy, ile chcemy materiałów z parku. I możemy je przechowywać dowolnie długo.

Sarah skinęła głową.

— Więc archiwizujecie wszystkie zapisy?

— Do pewnego stopnia, ze względu na rozmiar... Ralph, jaką mamy teraz architekturę?

— Każdy monitor jest podłączony do macierzy RAID magistralą Fiber Channel, zeskalowany obecnie do czterech terabajtów.

To rzekłszy, Peccam kichnął jak z armaty.

— Aleś się dorobił — zauważył Allocco.

— Dwie godziny temu byłem w medycznym, żeby mi dali antyhistaminę — odparł Peccam. — Skutek jest tylko taki, że ciągle chce mi się spać.

— Potrzebujemy pana przytomnego — powiedziała Sarah

125

i odwróciła się z powrotem do Allocca. — Jeśli dobrze rozumiem, możemy przejrzeć wszystkie nagrania i sprawdzić, czy John Doe już kiedyś nas odwiedzał, tak? Moglibyśmy też zobaczyć, co robił.

Bob podrapał się po brodzie.

— Teoretycznie tak. Ale próbowałem ci właśnie powiedzieć, że strumień wideo w czasie

rzeczywistym zajmuje całą przepustowość naszego łącza. Nie masz pojęcia, jak te cztery terabajty potrafią się błyskawicznie zapełniać. Dlatego właśnie w Podziemiu zamontowaliśmy czarno-białe kamery. Codziennie wieczorem cały materiał przekazujemy na serwery działu informatycznego. — Kiwnął głową w stronę Barksdale'a. — I tam już wy przejmujecie pałeczkę.

Sarah przeniosła wzrok.

— Fred?

Barksdale, który słuchał dotąd w milczeniu, odchrząknął.

— Przechowujemy nagrania wideo w sieci WAN przez dwa tygodnie, po czym odsyłamy je do lamusa.

— Jak szybko możemy je odzyskać?

— W ciągu doby.

— To za długo.

— Chyba trochę zanadto wybiegamy naprzód. Jeszcze nie znaleźliśmy tego faceta. — Allocco stanął za plecami Peccama i spojrzął na główny monitor. — Dobrze. Dziesięć po pierwszej. Teraz idź do przodu, dwieście klatek na sekundę.

Na głównym ekranie drzwi do gabinetu Sarah mijaly rozmazane ludzkie sylwetki. Nagle do środka wśliznęła się ciemna plama.

— Stop — powiedział Allocco. — Cofaj sto klatek na sekundę.

Na monitorze zamarł w bezruchu Fred Barksdale wchodzący do gabinetu Sarah.

— Za późno — stwierdziła Sarah. — Fred przyszedł jakieś dwie minuty po wyjściu Johna Doe.

— Z powrotem, pięćdziesiąt klatek.

Znowu zamazane ludzkie kształty wykonały na ekranie bezgłośnie tym razem trochę wolniejszą pantomimę, aż jedna z nich wśliznęła się tyłem w drzwi, odwróciła, po czym znikła w środku.

— Stop — nakazał znowu Allocco. — Do przodu, dziesięć klatek na sekundę.

126

Na ekranie w spowolnionym tempie pojawił się John Doe. Spojrzął w jedną stronę korytarza, potem w drugą, wygładził dłonią przód marynarki i opuściwszy gabinet, zniknął z pola widzenia kamery.

— To ten sukinsyn? — spytał Bob.

Sarah skinęła głową. Na widok tej bródkki, tego bezczelnego, wąskiego uśmiešku, ogarnął ją gniew, ale też jeszcze inne uczucie, którego na razie nie potrafiła nazwać. Zapiękła ją skóra na policzku w miejscu, gdzie musnęły ją jego palce.

— Sto klatek wstecz i zatrzymaj.

John Doe stanął w drzwiach bez ruchu.

— Przybliź twarz. Dziesięć razy.

Ekran wypełniło oblicze pokryte pasami cieni rzucanych przez górne oświetlenie. Sarah zwróciła uwagę, że lewe oko mężczyzny na czarno-białym zdjęciu było ciemniejsze niż prawe.

— Możesz to oczyścić? Poprawić ostrość?

— Tak, ale to chwilę potrwa — odrzekł Peccam.

— Więc może poczekać. Dowiedzmy się najpierw, dokąd poszedł. — Allocco przejrzał listę kamer po prawej stronie ekranu. — Wczytaj B-dwa tysiące dwadzieścia siedem. Zsynchronizuj czas.

Na chwilę główny monitor pokrył się czernią a następnie pokazał fragment korytarza dwa pokoje za gabinetem Sarah.

— Dalej, trzydzieści klatek — mruknął Allocco.

Przez kilka sekund widać było puste ściany, po chwili przed kamerą przemknęła kobieta w wiktoriańskiej krynolinie. Wkrótce pojawił się John Doe. Szedł pewnym siebie, wręcz nonszalanckim krokiem z góry ekranu ku dołowi.

— B-dwa tysiące pięćdziesiąt jeden — zakomenderował Bob. — Analogiczny czas.

Monitor pokazał dwa przecinające się korytarze. Kobieta w krynolinie skręciła w lewo i weszła na schody. W poprzek ekranu przejechał wózek elektryczny. Wreszcie u góry obrazu pojawił się John Doe. Zatrzymał się tylko na sekundę, aby sprawdzić, czy nie nadjeżdża jakiś pojazd, po czym

skręcił w lewo, tak jak przed nim kobieta w krynolinie.

127

— Idzie w stronę poziomu A, może do Gazolitu — oznajmił Allocco, zerkając na listę kamer.

— Pokaż A-tysiąc dziewięćset cztery.

— Pamiętaj, że nie chcę wszczynać pełnego alarmu, przynajmniej na razie. Zobaczmy, dokąd idzie i czy rzeczywiście planuje coś o wpół do drugiej. Obstawcie go ludźmi, ale niczego nie róbcie bez mojego pozwolenia.

Korytarz poziomu A wyświetlony w następnej kolejności był szerszy i jaśniej oświetlony. I bardziej ruchliwy. Grupki pracowników mijały kamerę, rozmawiając w drodze na lunch lub wracając po skończonym posiłku w bufecie. Przeszła kobieta w krynolinie. Najwyraźniej spotkała swojego chłopaka i teraz oboje szli spacerowym krokiem pod ramię.

— Aj, aj, aj — jęknął Allocco. — Możecie ich od razu spisać zaPOU.

Publiczne Okazywanie Uczuć było w Utopii niemile widziane, chociaż nie podlegało ścisłemu zakazowi.

Właśnie w zasięg kamery wszedł John Doe. Przez jakiś czas podążał za strumieniem przechodniów, a potem przystanął. Ludzie mijali go, nie zwracając nań uwagi.

— Co on robi, do diabła? — spytał Bob.

Mężczyzna niespodziewanie podniósł wzrok i spojrzał prosto w obiektyw kamery. Uśmiechnął się, podniósł ręce do szyi, jakby zamierzał poprawić krawat.

— Gość ma tupet — mruknął Barksdale. — O łotrze, łotrze, uśmiechnięty łotrze, przeklęty! *.

Nagle obraz wykrzywił się gwałtownie i ekran zapełnił szum zakłóceń.

— Co za cholera!? — krzyknął Allocco.

Palce Peccama śmignęły po klawiaturze.

— Nie mam pojęcia. Kod czasu działa. To musi być jakiś problem z oprogramowaniem.

Kilka sekund później obraz zadygotał i powrócił na ekran. Pod kamerą nadal ciągnęły tłumy niczego nieświadomych ludzi, ale John Doe zniknął.

* William Shakespeare Hamlet, akt I, scena 5, przeł. Maciej Słomczyński.

128

— Przełącz na A-tysiąc dziewięćset czterdzieści — polecił Bob. — Czas zsynchronizowany.

Na monitorze rozszalała się taka sama burza zakłóceń, co w poprzednim materiale. Po chwili i tutaj obraz wrócił.

— A-tysiąc dziewięćset sześć. Dalej, pospiesz się.

Tu również w nagraniu brakowało kilku klatek.

— Chryste — burknął Allocco.

Podszedł do drzwi i wyjrzał do sali głównej.

— Słuchajcie — powiedział do wszystkich obecnych w Ulu. — Czy były jakieś problemy z przekazem cyfrowym na piątce dziesięć minut temu?

Operatorzy odwrócili się w jego stronę. Jeden z nich kiwnął głową.

— Tak. Straciliśmy sygnał na dziesięć sekund.

— Co? W całym systemie?

— Nie. Tylko w części poziomu A i na placu Soho w Gazo-licie.

Allocco zamknął drzwi i odwrócił się do Peccama.

— Sprawdźmy trasy, którymi mógł pójść ten facet, przynajmniej te najbardziej prawdopodobne. Pokaż obraz z A-tysiąc dziewięćset czterdzieści dziesięć sekund później.

Przez następne minuty na próżno przeglądali nagrania z kolejnych kamer. W końcu Bob westchnął i rozłożył ręce.

— Rozumiecie coś z tego? — spytał.

— To nie mogła być usterka techniczna — orzekł Barksdale. — Objawy w klasterach byłyby inne. — Zerknął z ukosa na Sarah. — Moim zdaniem to kolejny błąd oprogramowania.

— Nie sądzę — odparła Sarah. — Zbieg okoliczności zbyt oczywisty. — W głowie zaświtała jej nowa, bardzo niepokojąca myśl. — Czy możemy prześledzić jego znaczek? — spytała.

— Próbowaliśmy — odrzekł Allocco. — Musiał mieć standardowy. Ralph, szukaj dalej. Daj mi

znać, jak coś znajdziesz.

Odwrócił się od monitora.

— Co teraz?

— Czekamy — powiedział Barksdale.

Sarah spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia pięć po pierwszej.

13.15

Pracownia robotyki stosowanej Teresy Bonifacio była chyba najbardziej niechlujnym miejscem pracy, jaki Warne widział od czasów, gdy mieszkał w akademiku MIT. W otoczeniu Utopii, tchnącej na każdym kroku porządkiem i precyzją, wyglądała wręcz jak wyzwanie, manifest niepodległości. Grube podręczniki techniczne leżały rozłożone i odwrócone kartkami do dołu, z pozaginanymi rogami, połamanymi grzbietami. W jednym kącie stał robot podobny do szkieletu, z ręką uniesioną w geście naśladującym Statuę Wolności, odziany w biało-zielone paski wydruków komputerowych. W tle dochodziły skądś dźwięki Paradise City. W przeciwieństwie do całej reszty utopijnych Podziemi, w większości pozbawionej wszelkich zapachów, tutaj w powietrzu unosił się rybi smród. Andrew mimowolnie zmarszczył nos. W gabinecie Teresy nie widziało się lśniących ilustracji z najslynniejszymi atrakcjami Utopii ani oprawionych w ramki motywujących haseł. Zamiast nich na ścianach wisiały krzykliwe plakaty Guns N' Roses. U dołu jednego widniał autograf „Pokój, Miłość, Slash”, nabazgrany czerwonym markerem. Do wewnętrznej strony drzwi ktoś przyczepił pocztówkę zatytułowaną „Borokay Beach, Filipiny”, a obok taśmą przezroczystą przykleił ręcznie napisany cytat:

Kiedy zadania nie da się podzielić z powodu powtarzalnych ograniczeń, zwiększenie wysiłku nie ma wpływu na har-

130

monogram prac. Cięża trwa dziewięć miesięcy bez względu na to, ile przydzielili się do niej kobiety.

Frederick P. Brooks, Jr The Mythical Man-Month

Teresa siedziała w przeciwległym kącie pokoju, prawie niewidoczna za stertą pism branżowych i starych numerów „Przeglądu Przemysłu Rozrywkowego”. Coś lutowała, bo spomiędzy jej palców unosił się cienki pasek dymu. Spostrzegłszy Warne'a, odłożyła lutownicę na bok, podniosła okulary ochronne na czoło i wyszła zza stert papierów.

— Andrew, jak dobrze cię tu widzieć — powiedziała spontanicznie głębokim głosem, uśmiechając się szeroko. — Nie mogę w to uwierzyć, po tak długim czasie w końcu przyjechałeś... O Boże!

Warne podążył za jej wzrokiem. Do pracowni weszła właśnie Georgia, a za nią przydreptał Wingnut. Robot zatrzymał się raptownie, a jego czujniki raz po raz omiatały pomieszczenie, jakby nie dawały rady przetworzyć wszystkich otaczających go przeszkód.

— Niech się pani nie przejmuj — powiedziała Georgia. — To tylko Wingnut.

— Jasne. — Teresa jeszcze przez chwilę wytrzeszczała oczy na wielgachnego robota, po czym popatrzyła z powrotem na Warne'a i roześmiała się głębokim, ironicznym kontraltem, który tak często słyszał przez telefon. — Wiesz, że w naszym dziale informatycznym jesteś prawie legendą? Nikt cię nigdy nie widział na oczy, tylko dwie osoby rozmawiały z tobą przez telefon — ja i Barksdale. Krążył nawet żart, że w ogóle nie istniejesz, że Nightingale cię wymyślił. Kiedy rozeszła się wieść, że masz przyjechać, dwie osoby przyszły mnie zapytać, czy to prawda.

— Nie mów.

Andrew zerknął na Georgię, która stała obok niego i rozglądała się po otaczającym ją bałaganie. Nie mógł przy córce powiedzieć, co o tym wszystkim myśli, przynajmniej na razie. Ale prędzej go piekło pochłonie, niż da się wziąć na lep tych pochlebstw.

131

W tym miejscu smród się jeszcze nasilił i Georgia zmarszczyła nos.

— To bagoong — powiedziała Teresa, odwracając się do dziewczynki i znów wybuchając śmiechem.

— Baga... co?

— Pasta krewetkowa. Ten zapach, który czujecie. Rewelacyjna z zielonym mango. Nikt poza

mną nie potrafi go znieść. — Chochlikowy uśmiech rozpromienił jej twarz. — Dlatego zwykle jadam lunch tutaj, a nie w bufecie.

Warne'owi przypomniała się pocztówka z plażą. Sięgnął pamięcią daleko wstecz.

— Pachnie mabaho, tak? — powiedział. — Smakuje masarap.

Teresa spojrzała na niego zdziwiona.

— Mówisz po tagalsku?

— Może pięć słów. Miałem kiedyś asystentkę Filipinkę.

— Prawda, ostatnimi czasy przyprowadzamy prawdziwy szturm na przybytki nauki. —

Odwróciła się z powrotem do Georgii, która kręciła się niespokojnie i widać było, że najchętniej wróciłaby do parku. — Mam coś, co ci się może spodobać. Nową grę na Game Boya, Archaeopteryks.

— Grałam w niego — odparła Georgia.

— W tego na pewno nie grałaś.

Odwróciła się, otworzyła szufladę i grzebała w niej przez dłuższą chwilę. W końcu wyjęła kieszonkowe urządzenie do gier wideo, jakiego Wame nigdy nie widział na oczy. Zdjęto z niego plastikową obudowę, w elektronicznych wnętrznościach tkwiło sześć zacisków krokodylków, a kolorowe przewody wiły się dookoła jak ogony.

— W niektórych grach można znaleźć zdumiewającą sztuczną inteligencję — powiedziała. — W wolnych chwilach przeglądam ich listy poleceń, czyby nie dało się czegoś ciekawego ściągnąć.

Pracując nad tą odkryłam kilkanaście tajnych poziomów, których producenci nigdy nie ujawnili.

— Mistrzowskie poziomy? — spytała Georgia, wytrzeszczając oczy. — Czytałam o nich w sieci, ale myślałam, że wstawiają kit.

— Georgio! — upomniał ją zirytowany Wame.

— To nie jest kit. — Teresa wręczyła jej grę. — Proszę, zwali cię z nóg. Tylko nie odłączaj żadnych przewodów, bo będę

132

musiała zakładać całą instalację na nowo. Możesz sobie usiąść tam z boku, przy stole. Zrzuć to wszystko na podłogę.

Warne obserwował, jak Georgia odchodzi pochylona nad grą już pochłonięta nią bez reszty. A więc Teresa spędza wolne chwile na włamywaniu się do Game Boyów. Może gdyby zamiast tego poświęcała więcej uwagi metasieci, nie byłoby go tu dzisiaj.

Odwrócił się i zobaczył, że Teresa bacznie mu się przygląda.

— No, dobrze — powiedziała po chwili. — Więc od czego chcesz zacząć?

Znowu się uśmiechnęła, lecz kiedy Wame nie odpowiedział jej tym samym, na jej twarz wkradła się niepewność.

— To ty mi raczej powiedz. W końcu to twoja impreza.

Uśmiech Teresy zrzędł.

— Posłuchaj, Andrew, wiem, jak się musisz czuć. Jest mi naprawdę bardzo przykro z powodu...

— Nie wątpię — przerwał jej bezceremonialnie, ale półgłosem. — Oszczędź sobie tej kurtuazji. Ściągnij ludzi. Zacznę z wami tę robotę, ale potem wychodzę. Sami sprzątajcie po sobie ten bajzel.

Te słowa wisiały w powietrzu przez długą niezręczną chwilę. Potem Teresa odwróciła się do drzwi.

— Przyniosę raporty z wypadku — rzuciła przez ramię.

I wyszła, nie zadając sobie trudu, aby zamknąć za sobą drzwi.

Warne zamknął oczy i głośno, powoli wypuścił z piersi powietrze. Przez chwilę w gabinecie panowała cisza, jeśli nie liczyć pikania Game Boya.

— Tatusiu — odezwała się Georgia.

Andrew odwrócił się w jej stronę. Siedziała pochylona nad grą i nie podniosła nawet wzroku.

— Słucham.

— Czemu byłeś dla niej niemiły?

— Niemiły? — powtórzył Wame zdziwiony.

Nie spodziewał się, że Georgia wszystko słyszy. Zwykle nie zwracała uwagi na jego służbowe

rozmowy. Przypomniał sobie, jak pytała, czy Teresa jest Japonką. Ona ją lubi, uprzytomnił sobie zaskoczony.

Wróciła Teresa z plikiem papierów w dłoni. Zamknęła drzwi i podeszła do niego szybkim krokiem, z głową wtuloną w ramiona,

133

ustami ściągniętymi w wąską kreskę. Widać było, że jest wkurzona.

— Tam jest serwer metasieci — oznajmiła, nie patrząc na niego.

Podeszła do biurka w dalekim kącie pracowni. Wame ruszył za nią. Przed dużym monitorem stały dwa drewniane krzesła, na jednym piętrzyła się sterta wydruków. Teresa chwyciła krzesło i potrząsnawszy nim gniewnie, zrzuciła papiery na podłogę. Usiadła i podsunęła się do komputera. Wame zajął drugie krzesło. Z błyszczącymi oczami przysunęła głowę do ekranu i pokiwała palcem, dając mu znak, aby zrobił to samo.

— A więc, doktorze Wame — powiedziała półgłosem — wygląda na to, że ma pan... hm, jak by to ująć naukowo... paskudnego robota. I ja wiem, co to za gatunek.

— Więc proszę mi go opisać — odparł Wame również półgłosem.

— Uważasz, że jestem odpowiedzialna za problemy z meta-siecią.

— A nie jesteś? Ty lub ktoś z twojego zespołu?

— Mojego zespołu? — powtórzyła Teresa z niedowierzaniem.

— Pracujemy razem prawie rok, wprawdzie przez telefon, ale wydawało mi się, że nawiązaliśmy nic porozumienia, a nawet przyjaźni. Wiesz dobrze, że metasieć nie mogła doprowadzić do tych wypadków. Założę się, że nie próbowałaś o nią walczyć. Do diabła, nawet mnie nie ostrzegłaś, co się kroi. Pozwoliłaś, żebym wparował tu jak idiota ze ściągniętymi portkami.

— Mój zespół? — powtórzyła Teresa, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. Oparła się na krzesło. — Wielkie nieba, Andrew, sądziłam, że jesteś bystrym facetem i zdążyłeś się już domyślić.

— Czego?

— Z kim poza mną rozmawiałeś kiedykolwiek o metasieci?

Wame zastanawiał się przez chwilę.

— Z tym laborantem, Clayem...

— Barnettem? Clay Barnett od pięciu miesięcy pracuje w dziale obrazowania. — Pochyliła się do niego bliżej. — Tu nie ma żadnego pieprzonego zespołu, rozumiesz? Pracuję sama.

134

— Jak to? — zapytał z niedowierzaniem Wame. — Jesteś jedyną osobą przydzieloną do robotów?

— Kilku techników zajmuje się czarną robotą: wymianą części, diagnostyką itp., ale ja jestem tu jedynym informatykiem.

Zapadła cisza. Wame usiłował przetrwać tę nową zaskakującą informację.

— A jeśli chodzi o ostrzeżenie, to zabroniono mi pisać komukolwiek choćby słowo.

Komukolwiek, to znaczy szczególnie tobie.

— Tato — dobiegł ich głos z drugiego końca sali. — O czym rozmawiacie? Dlaczego mówicie szeptem?

— Nic takiego, kochanie — odpowiedział Wame, prostując się. — Omawiamy pewien problem, nic więcej.

Po czym pochylił się z powrotem do Teresy.

— Uważasz, że nie walczyłam o metasieć? — spytała rozgorączkowanym szeptem. —

Walczyłam zębami i pazurami. Metasieć to wszystko, co mi pozostało, zwłaszcza teraz.

Wame przyjrzał się jej uważnie.

— Dobrze, opowiedz mi o tym.

Zdjęła z czoła okulary ochronne i przeczesła ręką włosy.

— Zaczęło się wkrótce po otwarciu parku. Z początku mówiono, że chwilowo pracujemy w trybie konserwacyjnym, że poszerzymy personel robotyki, jak tylko Komisja do spraw Rozwoju Parku wyda raport. Raport wyszedł, ale ja go nawet na oczy nie zobaczyłam. Część budżetu

przeznaczoną na rozwój robotyki przelano gdzie indziej — do obrazowania, akustyki. Aż w końcu kilka miesięcy temu zaczęli nas redukować.

— Redukować?

— Odłączyli od sieci mniej ważne roboty i zastąpili je ludźmi albo w ogóle likwidowali ich funkcje. Prawdę mówiąc, to, co od tamtej pory dodaliśmy, to nawet nie są prawdziwe, autonomiczne roboty, tylko poruszające się maszyny, takie jak te smoki w Kame-locie. I zajmują się nimi kierownicy działów, a nie ja.

Wame przejechał dłonią po czole.

— Ale dlaczego?

— Nie wiesz? Wszystko przez liczykrupy z zarządu. Roboty są za mało seksowne. Zbyt akademickie, zbyt intelektualnie

135

wyszukane. Jasne, kilka się przydaje jako przyciągacze, ładne zabaweczki, żeby turyści rozdziawiali gęby, a spece od reklamy mieli o czym pisać. Ale nie napędzają kasy. W zarządzie głównym uważają że roboty są passe. Barksdale sam mi to powiedział. Zanosiło się obiecująco, ale sprawy nie ułożyły się pomyślnie. Każdy dzieciak ma dzisiaj zrobotyzowaną zabawkę, bezrozumny gadżet, który robi złą sławę prawdziwym robotom. A nikogo nie obchodzi, czy podłogę na poziomie C myje inteligentna maszyna, czy facet, który żyje i oddycha.

— Erica Nightingale'a obchodziło, sam mi to mówił.

Teresa oparła się z rezygnacją.

— Nightingale był wizjonerem. Wyobrażał sobie Utopię jako coś znacznie więcej niż park rozrywki w stylu New Age z fikuś-nymi zabawkami. Wyobrażał ją sobie jako tygiel nowych technologii.

— Tygiel nowych technologii. Dziś rano słyszałem tę przemowę.

— A ja w nią wierzyłam! — zareplikowała wyzywająco. — I nadal wierzę. Dlatego tu pracuję. Tylko że Nightingale nie żyje, a park rozwija się w innym kierunku, niż on to sobie wyobrażał. Wszystko robi się pod dyktando sondaży i badań opinii publicznych. Cała uwaga skupia się na fasadzie. Ściągamy historyków sztuki, robimy wszystko, żeby światy wyglądały jeszcze bardziej realistycznie, dodajemy jeszcze większe i jeszcze lepsze hologramy, przyspieszamy kolejki. — Zniżyła głos. — I nikt się nie spodziewał, ile Utopia zarobi na kasynach. To zupełnie zmieniło charakter tego miejsca.

Wame obserwował ją kiedy zamilkła. Miała w sobie szczerą bardzo nietypową dla tego miejsca. Wybuchnął świętym oburzeniem, urażony w swojej dumie, co wyzwoliło tylko jej własną tłumioną frustrację.

— Tatusiu?! — zawołała znowu Georgia. — Skończyłeś już? Możemy wracać do parku?

— Jeszcze chwilkę—odpowiedziała Teresa.—Już kończymy.

Wymienili z Teresą spojrzenia.

— Przepraszam cię, wygląda na to, że wysnułem pochopne wnioski.

136

— W porządku. Jak mówiłam, domyślam się, co czujesz. W gruncie rzeczy czuję się podobnie. I proszę, mów mi Terri. Nie znoszę imienia Teresa.

— Imię dla świętej.

— Jasne, tylko że ja jestem chyba jedyną Filipinką niekatoliczką na świecie. Od dziesięciu lat nie byłam na mszy. Moi rodzice przewracają się pewnie w grobie.

Zapadła kolejna chwila milczenia. Wame czuł się zakłopotany. Nie wiedział, co powiedzieć ani co dalej robić.

— No cóż, przynajmniej hologramy na pewno by się Nigh-tingale'owi spodobały. Są rewelacyjne.

— To prawda. — Jej twarz nabrała trochę innego wyrazu. — Lepiej traktuj to, co mówię, z lekkim przymrużeniem oka, doktorze Wame. Mamy tu mnóstwo nowoczesnych technologii. Tak naprawdę przemawia przeze mnie zawiść. Po swoich wielkich odkryciach spece od holografii zgarnęli całą sławę. I budżet. Z początku dział obrazowania zatrudniał ośmiu ludzi, teraz mają

czterdziestu.

— O jakie odkrycia chodzi?

— Odkryli, jak robić hologramy naturalnych rozmiarów, a nie tylko wielkości paczki papierosów. To był pierwszy krok, ale najważniejsze przyszło po śmierci Nightingale'a. Tygiel. Andrew rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Brzmi jak ironia, co? Myślę, że nazwali go tak po tym słynnym przemówieniu. Nie znam szczegółów technicznych, ale strzegą go jak oka w głowie. To system do tworzenia niewiarygodnie skomplikowanych hologramów za pomocą techniki komputerowej. Rzec jasna wymaga to ogromnej mocy obliczeniowej, kilkadziesiąt procesorów, ale nie potrzeba za to laserów, fotopolimerów, nic. Trochę to przypomina programy do tworzenia obrazów trójwymiarowych na użytek filmów animowanych komputerowo. Z tą różnicą że zamiast dwuwymiarowych postaci Tygiel potrafi wytwarzać poruszające się holograficzne projekcje.

— Rany. — Warne'a aż zatkało. — Wyobraź sobie, jakie to stwarza możliwości.

— Komu ty to mówisz? Tylko że oni nie chcą sprzedać na to licencji. Trzymają magię na wyłączność i robią z niej znak

137

firmowy Utopii. Budowali ją od samego otwarcia parku. Pierwszą atrakcją wyposażoną w hologramy był Rozpruwacz w Gazolicie.

— Nie słyszałem o tym.

— Z początku był tylko produkt testowy. Widownia siedzi na sali, rzekomo, żeby obejrzyć jakąś wiktoriańską rewię. Nagle ktoś krzyczy, że stójkowi gonią Kubę Rozpruwacza i że zapędzili go w zaułek na zewnątrz. Potem ktoś inny woła, że Rozpruwacz wbiegł do teatru. I wtedy gasną światła.

— Brzmi efektownie.

— Mówię ci, zwieracze puszczają. Niewiarygodnie realistyczny hologram Kuby Rozpruwacza biegnie przez teatr, wyskakuje ci nagle za plecami i wznosi ci nad głowę zakrwawiony nóż. Ludzie wrzeszczą. — Wzruszyła ramionami. — Zrobił się szum po tym pokazie. Góra nadstawiła uszu, dojrzeli nieograniczone możliwości w tej technologii. W parku postanowili w następnej kolejności dodać hologramy do Horyzontu Zdarzeń, który był wtedy jeszcze w budowie.

— To jakaś kolejka w Kallisto, tak? Widziałem ją na mapie w przewodniku.

— To generacja, która zostawia kolejki górskie daleko w tyle. Wyobraź sobie: Kompletna ciemność, rząd siedzeń przymocowanych do platformy, komputer synchronizuje ruch w górę, w dół i na boki, a przed oczami przelatują ci obrazy. Tyle że to nie płaski ekran, ale trójwymiarowe komety i meteory śmigają ci przed nosem. Nie potrzeba żadnych okularów, siedzisz zasadniczo w środku hologramu.

Andrew pokręcił głową z niedowierzaniem.

— W końcu ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby wycisnąć z tej technologii jeszcze więcej. Widziałeś galerie Oczyma Duszy w Kallisto i w Nexusie?

— Nie.

— To studia, gdzie można sobie zrobić własny holograficzny portret w towarzystwie wybranej postaci, nawet samego Nightingale'a. I wiesz co? Nie nadążają z produkcją. No więc sobie teraz wyobraź: jesteś księgowym Utopii i widzisz, jak do kasyn spływają pieniądze, jak ojcowie walczą o przywilej wydania stu dolców za zdjęcie swojego dzieciaka. A potem patrzysz na Terri

138

Bonifacio i jej roboty. No i jak myślisz, kto polegnie podczas planowania budżetu na najbliższy kwartał?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

— A to dopiero początek. — Odwróciła się i wstała. — Hej, Georgio, przyjdiesz tu na chwilę? Chcę ci coś pokazać.

Terri poczekała, aż dziewczynka podejdzie z Game Boyem w rękę, po czym odwróciła się w kierunku mniej więcej metrowego czarnego walca na kółkach, który, jak się Wame domyślił, był robotem.

— Pracują też nad tym.

Schyliła się i nacisnęła kilka guzików. W powietrzu coś zatrzeszczało i nagle tuż przy ramieniu Warne'a wyrosło słoniątko. Andrew zaskoczony odskoczył w bok i o mało nie przewrócił się o Georgię. Słoń był pod każdym względem perfekcyjny. Małe czarne oczka, ukryte głęboko w płataninie fałd, błyszcząły, kiedy zwierzę przyglądało mu się uważnie. Na górnej wardze lśniły delikatne włoski. Hologram był jeszcze bardziej realistyczny niż portret Nightingale'a, który Andrew widział dziś rano.

— Wielki Boże — powiedział.

— Ale odjazd! — zawołała Georgia z zapartym tchem.

Terri nacisnęła kolejny guzik na czarnym walcu i słoń zniknął.

— Przenośny projektor holograficzny — powiedziała. — Cały czas nad nim pracują. Dostałam ten stary prototyp tylko dlatego, że zamierzają wykorzystać chipy pamięci z moich dezaktywowanych robotów. Chcą użyć tych projektorów w pokazach iluzjonistycznych Nightingale'a, które wprowadzają za rok we wszystkich światach. — Wskazała kciukiem cylindryczną skrzynkę. — Ten słoń był ostatnim obrazem zachowanym w pamięci buforowej projektora. Jest bardzo łatwy w użyciu. Patrzcie.

Poprawiła małe soczewki w obudowie i wcisnęła przycisk z napisem „próbka”. Potem cofnęła się kilka kroków i ustawivszy się na wprost obiektu, przyłożyła ręce do głowy w geście naśladowującym Three Stooges. Rozległy się ostrzegawcze piski, a po nich krótki szum. Terri ponownie podeszła do urządzenia i dotknęła innego guzika, z napisem „projekcja”. W mgnieniu oka obok niej stanęła druga Terri Bonifacio jak żywa.

139

— Rejestruje i wyświetla tylko przedmioty nieruchome — oznajmiła — ale pod względem wierności szczegółów przewyższa wszystko inne.

— Możesz zrobić i mnie? — spytała Georgia.

— Jasne.

Terri ustawiła dziewczynkę w odpowiednim miejscu, pokazała Andrew, jak się obsługuje projektor, i chwilę później ramię przy ramieniu stały dwie Georgie.

— Rany, naprawdę jestem taka gruba na twarzy? — spytała dziewczyna, surowym wzrokiem lustrując swój hologram.

Wame mimo woli z podziwem pokręcił głową. Terri wyłączyła projektor i obraz zniknął.

— I do czego używają tej całej techniki? — spytała nagle. — Dla rozrywki. Żeby wsadzać ci potwory do wagonika, kiedy jedziesz ciemną kolejką i jeszcze bardziej nastraszyć dzieciaki.

Naprawdę sądzisz, że Nightingale'owi by się to podobało? Moim zdaniem nazwałby to krótkowzrocznością i...

Nad ich głowami rozległ się niespodziewany ryk, ogłuszający, przeszywający do szpiku kości dźwięk, jakby dziesięć wulkanów wybuchło w jednej chwili. Georgia zapiszczała i przytuliła się odruchowo do ojca. Wame, kuląc się, zasłonił jej głowę ramionami. Za jego plecami krzesło przewróciło się z hurgotem na podłogę. Wingnut wydał świergoczący odgłos przestrachu i pognął co sił w najbliższy ciemny kąt sali.

Rozdrażniona twarz Terri rozciągnęła się w uśmiechu, kiedy Wame powoli opuścił ręce.

— Co, do diabła...? — zaczął.

— Przepraszam, powinnam was była ostrzec. Nad nami jest Kamelot, w Gryfowej Wieży trwa właśnie pokaz, który zaczął się o pierwszej dwadzieścia.

Wame poprawił krzesło i zerknął na sufit.

— Ile takich przedstawień odbywa się w ciągu dnia?

— Jedno rano, dwa po południu i jedno wieczorem.

— To znaczy, że musisz tego wysłuchiwać cztery razy dziennie?

Terri uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— I tak jest lepiej, od kiedy przenieśli mnie do mniejszej

140

pracowni. Wcześniej siedziałam pod Nawałnicą Tamizy w Gazo-licie. Rzeka zwykle przeciekała.

Wame czekał chwilę, aż przestanie mu dzwonić w uszach. Georgia patrzyła to na Terri, to na ojca.

— No i jak, skończyliście już? Ile może trwać odczepienie tej metasieci?

Wame odwrócił się do niej zdziwiony.

— Skąd wiesz o wyłączeniu metasieci? — Spojrzał na Terri. — Mówiłaś jej o tym?

— Daj spokój, tato. Miałeś to wypisane na twarzy od tamtego spotkania.

Andrew pokręcił głową i podrapał się żałośnie po karku. Nad ich głowami rozległ się kolejny, ale nieco cichszy wybuch. Wydawało mu się, że słyszy okrzyki i wrzaski podnieconej publiczności.

— Jeśli chcecie znać moje zdanie, to ta cała sprawa jest skończonym idiotyzmem — dodała Georgia.

— O czym mówisz?

— O tym rozmontowywaniu sieci. Nie ma w niej żadnych usterek ani robaków, ani niczego takiego, niech sobie Sarah gada, co chce.

Terri aż zamigotała wesoło oczy.

— Skąd wiesz?

Georgia wyprostowała się na krześle i popatrzyła jej prosto w oczy.

— Bo zrobił ją mój tata.

Wame odwrócił wzrok i zamrugał. Przez chwilę bał się odezwać. W pracowni zaległa cisza.

— Sarah powiedziała, że chcą jeszcze dzisiaj dostać plan działania — odezwał się w końcu Andrew.

— Tak, wiem. Emory dał nam tydzień na zdjęcie metasieci, co oznacza odłączenie stu kilku robotów. Fred musi poznać najbezpieczniejszy i najszybszy sposób na zrobienie tego.

Wame usadowił się ponownie na krześle. Wziął głęboki oddech.

— Najpierw musicie przerwać przesył danych od robotów. — Myślał przez chwilę. — W tej chwili każdej nocy metasieć

141

przetwarza strumień danych od poszczególnych jednostek i szuka sposobu podniesienia ich wydajności. Jeśli jakies znajdzie, rano wysyła do robotów nowy kod. Zgadza się?

— Zgadza się.

— W takim razie najpierw musisz zablokować podsystem uczenia się maszyny. Po zrobieniu tego po prostu przerywa się przekazywanie danych. Tym sposobem będziesz mogła nadal wysyłać do robotów polecenia i łąty z mikroprogramami, ale metasieć nie będzie dokonywać żadnych własnych modyfikacji.

Terri skinęła głową.

— To logiczne.

— Najbardziej skomplikowaną częścią przedsięwzięcia będzie zablokowanie inteligencji.

Musisz najpierw przeprowadzić ten proces na modelu w środowisku testowym. Potem reszta pójdzie gładko. Zrobisz listę robotów i ich procedur, podzielisz je na zadania ważne i mniej ważne.

— Ciągłe mówisz „musisz”, „zrobisz”, „ty, ty, ty” — zauważyła Terri. — O co chodzi?

Wame patrzył na nią z namysłem. Zamierzał spędzić tu kilka minut: zapoznać ludzi z sytuacją wydać pokrótce instrukcje, po czym zostawić Terri, żeby sama przeprowadziła lobotomię, ale teraz przyszła mu do głowy nowa myśl.

Zerknął przelotnie na Georgię, która gmerała przy projektorze hologramów. „Nie ma w niej żadnych usterek ani robaków, ani niczego takiego — powiedziała. — Bo zrobił ją mój tata”.

— Terri, muszę o to zapytać — rzekł, odwracając się. — Czy jako administrator metasieci nie zrobiłaś niczego, co mogłoby spowodować te dziwne zdarzenia?

Jej brązowe oczy rozszerzyły się z oburzenia.

— Nada. System działa niezależnie. Ja tylko łądowałam aktualizacje.

— Czy to znaczy, że miałaś wgląd w zmiany, jakie wprowadzała metasieć w programy robotów?

— Większość z nich to były drobne modyfikacje usprawniające działania, aktualizujące zasady uruchamiania procedur i tym podobne. Na ogół system działał samodzielnie.

142

Warne stał, zastanawiając się i rozcierając potłuczone nadgarstki, które nadal go bolały po szarpaninie z Lodołamaczem.

— Co ci chodzi po głowie? — spytała Terri, marszcząc czoło.

„Bo zrobił ją mój tata”.

Metasieć była jedynym dorobkiem, którym mógł się jeszcze wykazać, gdyby przyszło mu kiedyś ubiegać się o stanowisko na uczelni lub w instytucie badawczym. Niech to wszyscy diabli, nie podda się tak łatwo.

Popatrzył z powrotem na Terri. Jeśli dobrze zrozumiał, po tym jak w Utopii ograniczono rolę robotyki, metasieć znaczyła dla tej kobiety niemal tyle samo co dla niego.

Niespodziewanie wyciągnął rękę i położył jej dłoń na ramieniu.

— Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy przypadkiem nie ułożyliśmy właśnie planu działania? Terri ostrożnie skinęła głową.

— A więc mamy trochę wolnego czasu. Co ty na to, żebyśmy zamiast wyrzucać grata na złom, zajrzeli mu pod maskę i spróbowali naprawić?

Terry mierzyła go przez chwilę wzrokiem. Potem stopniowo mars na jej egzotycznej twarzy łagodniał, a powrócił poprzedni szelmowski uśmiech.

— Chyba zaczyna mi się podobać twój styl, marynarzu.

To rzekłszy, obrzuciła go pożądlivym spojrzeniem.

13.17

— Uwaga! — zatrzeszczał przez głośniki głos za kulisami. — Za trzy minuty otwieramy kram. Biegając tmchem w stronę garderoby, Roger Hagen spojrział na zegar. Punktualny co do sekundy, jak zawsze. Czasami ta punktualność go dobijała.

Wszędzie dookoła trwały ostatnie przygotowania do pokazu w Gryfowej Wieży. Operator sceniczny siedział w swojej budce i wciskał coś na pulpicie sterowniczym. Kierowniczka sceny z asystentką sprawdzały plan przygotowań. Ludzie z obsługi technicznej kłębili się bezładnie, sprawdzali nebulizatory do wytwarzania mgły, podkręcali generatory kolorowego dymu. Pracownicy obsługi sceny, oświetleniowcy, elektrycy, dekoratorzy i charakteryzatorzy biegali tam i z powrotem. Pirotechnik uwijał się przy podłączeniach petard na scenie. Aktorzy ubrani w kostiumy trenowali mchy do pojedynków szermierczych, inni siedzieli skuleni w kącie i pod nadzorem nauczycieli dykcji ćwiczyli wymowę staroangielską.

W innych parkach ludzie z obsady zachowywali się poza pokazami, jakby byli na dobrej imprezie.

W Utopii bardziej przypominali studentów prawa przygotowujących się do egzaminów adwokackich. Hagen schylił się i przeszedł za kurtynę, uważając, aby nie potknąć się o rzeke światłowodów i kabli sygnałowych, po czym wszedł na schody.

W garderobie Wieży Gryfów panował ścisk: czarodzieje,

144

kobiety w barbetach i błędni rycerze tłoczyli się w całym pomieszczeniu, w różnym stopniu porozbierani. Szaleńczo stukwały maszyny do szycia, pomocnicy szurali wieszakami pełnymi historycznych strojów. Hagen zauważył Harvey Schwartz, zażywny kierownik garderoby, i rozpromienił się na twarzy.

— Hej, patrzcie! — zawołał, wychodząc zza rzędu pralek i wskazując Hagen. — Przyszła ofiara losu!

— Dobra, dobra — burknął Hagen, ściągając koszulę.

Otworzywszy swoją szafkę, wyjął kamizelkę z powłoką ognioodporną z nomeksu i zaczął ją na siebie wciskać. Rozejrzał się trochę niespokojnie. Pomimo atmosfery gorączkowych przygotowań, która tu zwykle panowała, Utopia jak wszystkie inne parki miała swoje tradycje. Jedną z nich było płatanie paskudnych żartów osobom, które po raz ostatni przychodziły do pracy.

Podszedł doń jeden z asystentów, aby mu pomóc włożyć zbroję. Hagen zlustrował każdy fragment stroju — napierśnik, nagołenniki, trzewiki, czy nie ukryto w nim niemiłych niespodzianek. W zeszłym miesiącu koledzy włożyli psiego balaska do hełmu faceta, który odchodził z pracy. Biedak nie zauważył go w porę i musiał przez całe przedstawienie chodzić z odchodami rozmazującymi mu się w zbroi.

Hagen sprawdził każdą część stroju i dopiero wtedy dał pomocnikowi znak, że może nałożyć hełm. Świat natychmiast skurczył się do wąskiego prostokąta widzianego przez wizurę w przyłbicy. Zbroja sama w sobie nie przysparzała problemów, była bowiem z aluminium, więc lekka i nawet trochę elastyczna. Dokuczał mu natomiast ograniczony widok, a przede wszystkim zapach — pod koniec przedstawienia w środku śmierdziało jak w nie-wietrzanej szatni.

Usłyszał fanfary i owacje publiczności, kurtyna poszła w górę i rozpoczęło się przedstawienie. Garderobiany zapiął ostatnią klamrę, włączył mały przekaźnik podczerwieni, przymocowany do hełmu, podał mu tarczę i miecz i klepnął na znak, że może iść. Kiwnąwszy głową Schwartzowi, Hagen ruszył po schodach za kulisy. Nie było to łatwe, musiał uważać, gdzie stawia nogi, bo gdyby się potknął i przewrócił, sam nie dałby rady się podnieść.

145

Wyrzwał zza czarnej kurtyny. Tłum. Trzytysięczna widownia zapełniona po brzegi. Bitwę o Gryfową Wieżę wprowadzono do repertuaru cztery miesiące temu i szybko stała się jednym z najpopularniejszych przedstawień w Utopii. Małe dzieci pałały żądzą obejrzenia na własne oczy bohaterów Kroniki Feverstone 'a o magicznym {Camelocie. Widząc uśmiechnięte twarzyczki, oświetlone migoczącymi laserami i lampami stroboskowymi o mocy dwudziestu pięciu tysięcy watów, Hagen znów poczuł lekkie targnięcie wątpliwości-

Utopia była dobrym miejscem pracy. Wiele lat temu, za czasów college'u, pracował jako kapitan łodzi rzecznej w Disneylandzie. Miał za zadanie zagadywać gości. Tutaj było zupełnie inaczej. Ogromny nacisk kładziono na realizm, pracownicy brali lekcje historii. Na każdym przedstawieniu siedziało kilka „nian” i sprawdzało wierność historycznych szczegółów, nagradzało najlepszych wykonawców. Za to zarobki były najlepsze w całej branży. Co tydzień każdy dostawał żetony do kasyn wartości dwustu dolarów. A ciężką pracę nagradzano. Kto się lepiej spisywał, mógł wybierać dogodnie godziny pokazów, wspinać się szybciej po drabinie awansów, a nawet w końcu zostać kierownikiem zmiany.

Prawda jednak była taka, że Hagen nie lubił pustyni. Wielu pracowników Utopii, którzy nie przepadali za dojeżdżaniem do pracy pięćdziesięciu kilometrów z północnych przedmieść Vegas, osiedliło się w miasteczku Creosote, kilkanaście kilometrów na północ od parku, przy trasie stanowej 95. W ciągu roku coś, co było ledwie parkingiem dla ciężarówek na środku pustyni, zamieniło się w tętniącą życiem aglomerację kempingów i bungalowów, z hałaśliwym nocnym życiem i atmosferą młodzieżowych kampusów. Hagena jednak przestało już bawić życie trzydziestoletniego studenta.

Na scenie czarnoksiężnik Mymanteus recytował właśnie złowrogie zaklęcie, które miało ożywić gryfy z Wieży Gryfów. Ktoś zastukał w zbroję Hageny. Odsunął się od kurtyny, odwrócił i przez szczelinę w hełmie zobaczył Olmsteda, faceta, który miał odgrywać jego tarczownika, czy też raczej pawężnika, jak upierały się „nianie”.

146

— Hej, hej — powiedział Olmstead. Uśmiechał się szeroko, jego wąska głowa sterczała nad kolczugą nasmarowaną obficie ognioodpornym żelem. — Jak leci?

— Ciężko jak cholera w tym osprzęcie.

Olmstead uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Daj spokój, ciesz się, to twój ostatni dzień. Popatrz na mnie, w tym tygodniu mam jeszcze osiem występów.

Dramatyczne dźwięki muzyki przybrały na sile i dudniły z głośników ukrytych za ścianami. Czarnoksiężnik prawie skończył już swoje zaklęcie, a za kulisami napięcie sięgnęło zenitu. Teraz zaczynała się prawdziwa zabawa. Hagen spojrzął w stronę kierowniczkę sceny, która stała tuż za kurtyną poniżej rzędu monitorów i trzymała palec nad włącznikiem efektów specjalnych na konsoli. Nieopodal technik od efektów specjalnych i dźwiękowych stał przy panelu i nadzorował komputerowo sterowaną burzę ognia, która miała się właśnie rozpętać. Za nimi Hagen zobaczył niewysokiego mężczyznę w okularach, którego nigdy przedtem nie widział. Mężczyzna wyglądał na naukowca i trzymał w ręku miernik decybeli. To pewnie ten spec od fajerwerków, którego mieli sprowadzić, pomyślał. Race, które odpalano jako salwę finałową specjalnie zaprojektowane do

użytku w pomieszczeniach, były fenomenalne, ale głośne jak sto diabłów. Goście nieustannie narzekali, a dwóch pracowników nabawiło się szumów usznych. Hagen jeszcze raz zerknął ukradkiem w stronę mężczyzny, który najwyraźniej miał to naprawić. Ciche fajerwerki, pomyślał. Jezu, co za pomysł.

Dzisiaj jednak nie będą ciche. Za kilka sekund rozpęta się piekło. Obudzą się gryfy otaczające królową Kalinę i księcia regenta. Zły czarnoksiężnik Mymanteus zaatakuje ich promieniami lodowymi i magicznymi pociskami. Wszystkie dzieci na widowni zaczną krzyczeć. A wtedy w sam środek piekła wkroczy on, Hagen. Wpada na scenę, walczy bohatersko i dwie minuty później ginie. Trzy razy dziennie. Tylko że dzisiaj zginie po raz ostatni. Potem odwiesi tarczę, złoży miecz i będzie się modlił, żeby udało mu się wrócić do Creosote, zanim koledzy wpadną na pomysł, aby potraktować go wodą z węża strażackiego.

Ludzie ociekali potem. Nebulizatory bez wytchnienia wyle-

147

wały na scenę i widownię całe rzeki szarej mgły. Kierowniczką sceny uzbroiła elektroniczny system pirotechniczny, skinęła głową w kierunku budki kontrolnej uruchomiła efekty specjalne.

Rozległ się przeraźliwy trzask, który wstrząsnął podłogą teatru. Towarzyszyły mu krzyki i piski widowni. W powietrze wystrzeliły gryfy. Trzydzieści sekund. Przez cienkie draperie i kurtynę przeciwogniową przeświecały pomarańczowe i czerwone płomyki. Od czasu do czasu przez mrok przebijał się jaśniejszy błysk — laserowe efekty zakłóć czarnoksiężnika. Olmstead znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu, kiwnął głową. Hagen poczuł, jak w jego żyłach zaczyna krążyć sceniczna adrenalina. Na kładkę za kulisami po dmgiej stronie sceny wszedł technik, aby sprawdzić, czy robot emitujący promienie laserowe jest na miejscu i gotów. Znowu zadrżała podłoga, kiedy odezwały się głośniki niskotonowe, zamontowane pod sceną. Hagen zerknął na zegar. Trzynasta dwadzieścia osiem. Kolejne błyski i wybuch złowieszczonego śmiechu — sygnał dla niego.

Kierowniczką sceny dała mu znak.

— Hagen! Naprzód!

Hagen wziął głęboki oddech, ścisnął mocno miecz i mszył. Asystentka kierowniczką uniosła w górę kciuki. Maszynista rozsunął kurtynę, przez szczelinę przedostały się smugi dymu i ciężkie wyziewy kordytu. A potem był już na scenie.

Występował w tym przedstawieniu około trzystu razy. Tego dnia, ostatniego dnia pracy, chciał na nie spojrzeć świeżym okiem, wryć sobie w pamięć, jak wyglądało, jak pachniało, jakie wywoływało uczucia uczestniczenie w spektaklu Wieży Gryfów.

Najbardziej natrętny był hałas. Krzyki widowni, ryk rozwścieczonych gryfów krążących po scenie, przeraźliwy trzask magicznych pocisków czarnoksiężnika atakowały zmysły ze wszystkich stron. Kiedy Hagen wszedł w krąg światła, a wokół niego opadły kłęby mgły i dymu, na widowni wybuchły nowe owacje.

Wieża Gryfów była niezwykłym miejscem: duży prostokątny dziedziniec otoczony murami, wznoszącymi się na wysokość ośmiu pięter, otwarty na dalekie sklepienie. Pachniał pleśnią i wilgotnym kamieniem. Wokół płonących pochodni umocowanych wysoko w murze rozchodziło się migoczące światło. Powie-

148

trze tętniło od fal rozplamionych kolorów. W górze znowu zagrzemiał — z pomocą techników od efektów dźwiękowych — złowrogi śmiech czarnoksiężnika, który cisnął ogniste kule w przerażoną parę królewską. Jedna z kul trafiła w mur wieży; z ogłuszającym hukiem gruba kamienna ściana popękała, odłupała się i po niewidocznym rusztowaniu poleciała w stronę widowni, by dopiero w ostatniej chwili skręcić w bok. W tłumie rozległy się zachwycone okrzyki.

Na dole biedny Olmstead zgodnie ze scenariuszem przyjmował kolejne ciosy rozwścieczonego gryfa. Wznosząc nad głową swój miecz, Zabójcę, Hagen rzucił się do ataku. Zwrócił się przeciwko niemu jeden z gryfów ze świecącymi na czerwono mechanicznymi oczami. Uważając, aby stwór zawsze znajdował się między nim a publicznością Hagen zamachnął się Zabójcą z całej siły, ale tak, aby niewidocznie chybić o dobrych piętnaście centymetrów. Za kulisami operator gryfa nacisnął

odpowiednie guziki pilota i zwierzę podskoczyło gwałtownie, po czym padło na ziemię, ziejąc dymem. Efekt był niezmiernie realistyczny i widownia wybuchła gromkimi brawami.

Następnie Hagen przeskoczył nad ciałem swego poległego pawężnika, chwycił tarczę i pędząc na ratunek królowej, usiekł następnego gryfa. W zbroi robiło się już gorąco, czoło zrosił mu pot. Za reflektorami rampy ukryto rząd małych monitorków, które pokazywały aktorom obraz sceny widoczny od strony widowni. Hagen nauczył się mieć je stale na oku. Mimo że cały jego występ trwał zaledwie dwie minuty, łatwo było w kłębach dymu i światła laserowych stracić orientację. Dopadł do królowej i wzniosł pawęż w kierunku czarnoksiężnika.

— Niegodziwcze! — zawołał. — Na serce bogini, zaprze-stańże tej alchemii.

Czarnoksiężnik znów wybuchnął złowróbnym śmiechem i zaczął rzucać następne zaklęcie. Światła zamigotały i scena zadrżała, kiedy z dołu odezwały się po raz kolejny niskotonowe głośniki. Hagen spojrział przez wizurę w hełmie na monitory, aby upewnić się, gdzie stoi. Kiedy Mymanteus skończy rzucać czar, światło lasera odbije się od hełmu Hageny, po czym przez

149

chwile będzie skakało dziko po scenie, zsynchronizowane z odgłosami kolejnych eksplozji. Rycerz upadnie z rozpostartymi ramionami jako ofiara złych mocy czarnoksiężnika. Efekt był rewelacyjny, tłum zwykle szalał z zachwytu. Hagenowi zależało, aby tego ostatniego dnia pracy wszystko poszło jak najlepiej.

Rozległ się nieludzki wrzask, czarodziej uniósł ramiona, z jego rozpostartych palców wystrzelił błękitny promień. Hagen nie spuszczał oczu z monitora. Nigdy nie mógł się na to dość napatrzeć. Tylko że tym razem wszystko przebiegło trochę inaczej. Promień czarnoksiężnika nie odbił się jak zwykle od jego hełmu, migocząc i iskrząc we mgle i dymie, lecz przebił go na wylot, przeszedł przez głowę i po drugiej stronie równiutką linią zniknął po lewej stronie sceny. Na monitorze wyglądało to, jakby jego szczękę przeszyło rozjarzone szydło. Tłum przyjął to z aplauzem. Ale Hagen ich nie słyszał. W zasadzie nie czuł bólu, tylko jednostajny żar, który nie chciał ustąpić, a zaraz potem narastający ucisk w czaszce, aż po kolei wszystkie zmysły go opuściły i osunął się na podłogę.

xxx

Kilka chwil później kurtyna opadła przy wtórze grzmiącej kanonady sztucznych ogni, które wystrzeliły ze szczytu wieży i zrzuciły na widownię delikatne ażurowe siateczki kolorów. Echo wybuchów szybko zagłuszyły oklaski i szaleńcze wiwaty; publiczność jak jeden mąż powstała z miejsc.

Za kulisami panowała gorączkowa krzątanina. Aktorzy, truchtając do przebieralni, przybijali sobie piątki, garderobiani przeglądali kostiumy, szukając rozdarć i uszkodzeń, technicy rese-towali sprzęt na następne przedstawienie. Nikt nie zwracał uwagi na dudniący hałas po drugiej stronie kurtyny. Ekspert od sztucznych ogni sprawdził odczyt na swoim mierniku decybeli i nagryzmoili kilka notatek. W dalekim kącie jedna z „niań” besztala trębaczka, którego grał dziesięcioletni szkrab, za to, że niewłaściwie trzymał trąbkę podczas fanfar. Tylko Roger Hagen leżał bez mchu rozciągnięty na scenicznych deskach.

Podszedł do niego pawężnik Olmstead.

150

— Hej, co to za wylegiwanie się w robocie? — powiedział z uśmiechem, trącając go butem. Kiedy Hagen nadal się nie poruszał, Olmstead uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Co to, metoda Stanisławskiego? — spytał. — Oscary już rozdane, stary.

Ponieważ leżący nadal nie odpowiadał, uśmiech na twarzy Olmsteada zaczął rzednąć.

— Hej, Raff, co cię tak zamurowało — spytał, klękając przy nieruchomym rycerzu i potrząsając nim lekko.

Kiedy potrząsnął nim drugi raz, coś zwróciło jego uwagę. Przyjrzał się bliżej hełmowi, pochylił się, pociągnął nosem i poczuł zapach przypalonego mięsa.

Wtedy zerwał się na równe nogi, a jego szaleńcze krzyki ledwo się przebijały przez ryk publiczności.

13.34

W ciągu sześciu miesięcy od otwarcia Utopii szef ochrony parku, Bob Allocco, widział i słyszał niejedno, ale coś takiego nawet mu się nie śniło.

Stał w punkcie kontroli przy wejściu do Wieży Gryfów i przez jednostronną szybę obserwował tłum widzów opuszczających Wieżę Gryfów. Dużo było śmiechu, gwizdów, trochę harców — zwyczajne wyglupy ludzi rozemocjonowanych po przedstawieniu. Jeśli można było się dopatrywać jakiejś odmienności, to tylko jeszcze większego entuzjazmu niż zwykle. Włączył kanał mikrofonu, aby posłuchać rozmów wychodzących widzów.

— Ale odlot! — mówił jakiś dzieciak do drugiego. — Widziałeś te smoki? Wyglądały super!

— To nie były żadne smoki, tylko gryfy, pacanie — odrzekł tamten — Czy ty o niczym nie masz pojęcia?

Starsza kobieta minęła ukryte drzwi, wachlując się przewodnikiem.

— Boże drogi — mówiła do swojej jeszcze starszej towarzyszki. — Te fajerwerki o mało mnie nie trafiły w twarz. Już myślałam, że będę musiała wyjść, wiesz, z moim sercem...

— Widziałeś, jak zginął ten rycerz? — powiedział mężczyzna pchający wózek spacerowy do swojej żony. — Puf, prosto przez głowę. Ciekawe, jak im się to udało.

— E, tam. To nie było wcale takie niezwykle — odparła kobieta. — W dzisiejszych czasach potrafią robić wszystko

152

z efektami specjalnymi. Za to ten kawał muru, który leciał prosto na nas... to dopiero było coś.

Czekając, aż wyjdą ostatni goście, Allocco w milczeniu smarował usta pomadką ochronną.

Następnie otworzył drzwi, skinął głową aktorom w kostiumach i wyszedł na widownię.

Podnoszono właśnie ukruszony fragment muru i przy wtórze zawodzących mechanizmów hydraulicznych wstawiano go na dawne miejsce. Ogromne druciane szczoty oczyszczały przewody kominowe z kłębow dymu i prochu strzelniczego.

Stał między rzędami siedzeń i patrzył w górę na wysokie sztuczne mury. Miał złe przeczucie, ale z drugiej strony zawsze miał złe przeczucia, kiedy park był otwarty. Najbardziej lubił Utopię o szóstej rano, gotową na przyjęcie gości, taką jaką powinni ją widzieć turyści, ale opustoszałą bez tłumy pracowników, którzy zakłócali iluzję. Wtedy mógł spacerować brukowanymi uliczkami Gazolitu albo korytarzami powietrznymi Kallisto, nie martwiąc się o zagubione dzieci, chorowitych staruszków, awanturników szukających pretekstu, aby pozwać firmę do sądu, czy pijanych młodzików.

Choćby w zeszłym tygodniu trzech zbirów na motocyklach postanowiło wykapać się na golasa w stawie dla łódek w Promenadzie. Trzeba było ośmiu ochroniarzy, żeby ich przekonać do ubrania się i opuszczenia parku. Dwa tygodnie temu portugalski turysta zaprotestował przeciwko czekaniu dwie godziny w kolejce do Horyzontu Zdarzeń i zaczął grozić nożem kobiecie, która wpuszczała pasażerów.

Pokręcił głową. Członkom ochrony nie pozwalano nosić broni, nawet dla samoobrony. Żadnych gazów łzawiących, żadnych pałek policyjnych, a tym bardziej broni palnej. Musieli polegać na własnych uśmiechach i sile perswazji — kiepskich przeciwnikach dla dziewięciomilimetrowej spluwy. Ochroniarzowi, który znał portugalski, udało się jakoś uspokoić tamtego gościa, ale przez kilka minut nieszczęście wisiało na włosku.

Allocco, idąc między rzędami siedzeń, podszedł do sceny i schyliwszy się pod kurtyną znalazł się za kulisami teatru. Tu i ówdzie zbici w grupki stali aktorzy i rozmawiali ściszymi głosami.

Rozgonił ich i podszedł do człowieka w białym stroju,

153

który klęczał przy mężczyźnie w zbroi, leżącym bez ruchu na podłodze.

Hełm rycerza odłożono na bok. Allocco podniósł go i zaczął obracać w rękach. W obydwu płytkach policzkowych widniały małe, równiutkie otwory. Uniósł go i spojrział przez dziurki. Prawie nie było krwi. Hełm pachniał rozgrzanym metalem i przypalonym hamburgerem. Odłożył go na bok i odwrócił się w stronę klęczącego lekarza.

— Co z nim? — spytał.

— Laser przeszedł przez obydwie policzki — odparł zapytany. — Ma otarcia skóry,

uszkodzenia tkanki, uraz mięśniowy. Czego się można spodziewać? Język jest poparzony, straci też pewnie kilka zębów. A kiedy się obudzi, głowa będzie mu pękać. Ale ma szczęście, że w ogóle żyje. — Podniósł głowę. — Gdyby ten promień przeszedł kilkanaście centymetrów wyżej, wywieźlibyśmy go stąd w worku, a nie na noszach.

Allocco jęknął.

— Możemy go pozszywać w naszym ośrodku, ale potem będzie potrzebował chirurgii kosmetycznej. Mam zadzwonić do Lake Mead i wezwać karetkę?

Bob pomyślał o Johnie Doe.

— Na razie nie. Zajmijcie się nim na dole. Zróbcie, co się da, i poinformujcie mnie natychmiast, gdyby jego stan się zmienił.

Lekarz skinął ręką na sanitariuszy, którzy czekali w pobliżu, i Allocco odszedł. Przy kulisach kierowniczką sceny obserwowała techników, którzy znosili coś po drabinie. Kiedy Allocco podszedł bliżej, zobaczył robota wyglądającego jak powóz na kołach z głowicą laserową w kształcie białej rury, soczewkami na jednym końcu i pękiem przewodów na drugim. Soczewki były strzaskane i wisiały na kablach. Pokrywa głowicy lasera została rozdarta niczym zamek błyskawiczny, postrzępione krawędzie gołego metalu szerniały i dymiały.

Technicy ostrożnie postawili robota na ziemi.

— Który z was odpowiada za bezpieczeństwo laserów? — spytał Bob.

Wyższy z dwóch mężczyzn odwrócił się w jego stronę.

— Ja. Jestem kierownikiem techniki laserowej w Kamelocie.

154

— Powie mi pan, co się stało?

— Nie mam pojęcia. — Mężczyzna z trudem przełknął ślinę. Wyglądał na przerażonego. — To tylko trzydziestowatowa głowica. Nic nie rozumiem, to nie ma sensu...

— Niech się pan uspokoi. — Allocco wskazał robota. — Co poszło nie tak?

— To laser argonowy wieloliniowy chłodzony powietrzem. Potrzebowaliśmy argonu, żeby promień pasował do koloru uderzeń czarodzieja.

— Mów dalej.

Bob doszedł do wniosku, że jeśli pozwoli się facetowi wygadać, to może usłyszy coś ważnego.

— Nie mogliśmy użyć standardowego urządzenia sterującego pokazami świetlnymi, ponieważ dla czegoś takiego nie ma instrukcji, według których można by to przeprowadzić. Wyobraża pan sobie?

Allocco ze współczuciem pokiwał głową. Znał ten problem.

— Czarnoksiężnik miał za każdym razem trafić w rycerza, ale nie można określić, gdzie dokładnie będzie stał rycerz, kiedy wystrzeli promień.

Mężczyzna skinął głową.

— Mieliśmy tu nadprogramowego robota. Używali go kiedyś do jakichś prac konserwacyjnych, ale już go nie chcieli. Ktoś wpadł na świetny pomysł.

Strach na twarzy mężczyzny stał się jeszcze bardziej widoczny. Już chyba wiem, kim był ten ktoś, pomyślał Bob, ale się nie odezwał.

— W każdym razie zamontowali na nim głowicę argonową przymocowali go do szyny po prawej stronie sceny. — Pokazał palcem. — Ta babka z robotyki... Teresa? Ustawiła go tak, żeby śledził promień podczerwieni na hełmie rycerza. W odpowiedniej chwili laser strzelał prosto w źródło sygnału.

— Jak długo działał ten system?

— Zainicjowaliśmy go kilka tygodni po premierze przedstawienia. To już prawie trzy miesiące, cztery razy dziennie. Ani razu nie mieliśmy żadnych problemów.

— Żadnych problemów. — Allocco wskazał głową na zruj-

155

nowaną obudową robota. — Co mogło spowodować takie przeciążenie?

— W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Emisja musiała być ze sto razy silniejsza niż zwykle.

Bob zerknął na niego z ukosa.

— Wie pan, że inspekcja pracy będzie chciała zbadać ten wypadek?

Mężczyzna zbladł. Przez chwilę Allocco bał się, że facet zemdleje.

— Prowadzicie tabele zgodności z normami na bieżąco? — spytał Bob łagodniejszym tonem. Mężczyzna znowu skinął głową.

— Trzymamy się Z-sto trzydzieści sześć jak z podręcznika. — Norma Z-136 Amerykańskiego Urzędu Normalizacyjnego była spisem zasad bezpieczeństwa obowiązujących przy stosowaniu laserów, ustalonych przez przemysł, instytucje badawcze oraz rząd. — Sporządzamy cotygodniowe raporty zgodnie z zaleceniami. Ocena strefy ryzyka, konserwacja...

— Grzeczny chłopczyk. Dobrze, więc zabierzcie teraz stąd ten złom, rozbierzcie go na części i dajcie mi znać, co znajdziecie. — Spojrzał w stronę kierowniczkę sceny, która przysłuchiwała się ich rozmowie w milczeniu. — Koniec z laserami dla czarodzieja, przynajmniej w najbliższej przyszłości — powiedział. — Dacie radę sklecić coś na występ o czwartej?

— Chyba nie mamy wyjścia, prawda?

Kobieta odwróciła się i mszyła w stronę zaplecza technicznego. Po chwili znikła w ciemnym tunelu prowadzącym do garderoby.

Allocco patrzył za wychodzącą po czym wyjął z kieszeni radio.

— Dowództwo dziewięć-siedem, tu trzydzieści trzy.

— Tak, proszę pana.

— Wyciągnij historię Wieży Gryfów. Czy były jakieś ostrzeżenia o wtargnięciu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

— Chwileczkę. — Czekając, Bob nasłuchiwał cichego szumu radia. — Nie, proszę pana. Jedna wiązka jest otwarta, poza tym czysto.

— Jedna otwarta? Gdzie jest przerwa?

156

W głośniku słychać było stukanie klawiszy.

— Wieża Gryfów dwieście sześć. Zachodnia część, kładka numer cztery.

— O której godzinie ta wiązka nadała otwarty sygnał?

— Jakies pięć minut temu. Mam kogoś wysłać, żeby to sprawdził?

— Nie, dzięki. Sam pójde. Nie zwracaj na razie uwagi na żadne inne alarmy z wieży, dopóki się nie odezwę.

Allocco schował radio do kieszeni i idąc w głąb kulis, przyglądał się uważnie metalowym rusztowaniom na tyłach Wieży Gryfów.

Wszystkie miejsca publiczne w Utopii były otoczone siecią mat z czujnikami dotyku i nowoczesnych urządzeń na podczerwień, które kontrolowały, czy goście siedzą bezpiecznie na swoich miejscach, czy nie wędrują celowo lub przypadkiem, po potencjalnie niebezpiecznych terenach przeznaczonych tylko dla obsługi. Ktoś przechodzący, kto przerwałby wiązkę podczerwieni, spowodowałby tylko chwilowy brak sygnału. Kiedy promień milczał przez długą chwilę, prawie zawsze oznaczało to awarię sprzętu.

Poza tym, jaki turysta wdrapowałby się na te metalowe krokwie, omijając przy tym wszystkie inne czujniki, a potem siedział bez mchu na linii przebiegu tylko jednego promienia?

Podniósł głowę i popatrzył na metalową szynę, po której poruszał się robot z zamontowanym laserem, potem przeniósł wzrok na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał na scenie zraniony rycerz.

Pomysł był raczej zwariowany, mimo to Bob wiedział, że musi to sprawdzić.

Szare metalowe szczebelki były chłodne w dotyku. Wchodził ostrożnie; minęło sporo czasu, kiedy ostatnio wdrapywał się po drabince za kulisami teatru. Albo kiedy ostatnio biegał. Albo pływał.

Ściśle mówiąc, kiedy w ogóle podejmował jakiś wysiłek fizyczny. Nie upłynęła minuta, a już zaczął sapać. Mijał najróżniejsze warstwy zakulisowego sprzętu — linki namiotowe, bloczki kurtyn, czarne kanały kablowe przewodów komunikacyjnych i elektrycznych.

157

Zrobiło się ciemniej. Coraz słabiej dochodziły do niego odgłosy z dołu — szmer rozmów,

przerywane brzękanie lutni i pieśni trubadura. W górze widział już kładkę i dwójkę namalowaną na spodzie białą farbą. Sapiąc jeszcze głośniejsze, podciągnął się na pomost. Po jednej stronie mieściło się stanowisko obserwacyjne z lornetką i telefonem. Podczas przedstawień panował tu ruch, lecz teraz było pusto. W ścianie nad kładką biegł wąski rząd światełek, aby spieszący tam i z powrotem maszyniści teatralni nie wpadali na siebie nawzajem.

Allocco przeszedł pomostem kilka metrów do następnej drabinki. Z westchnieniem chwycił szczebelki i zaczął się piąć jeszcze wyżej.

Na kładkę numer trzy trzeba było wchodzić dłużej. Na samym szczycie podciągnął się, usiadł na twardej kratownicy i oparł plecami o poręcz. Czuł, jak koszula przykleja mu się do spoconych pleców. Czysty obłęd. Powinien pozwolić im wysłać zespół ludzi, którzy rutynowo zajmują się takimi rzeczami. Albo jeszcze lepiej, niechby się zajął tym dział konserwacji. Skoro jednak doszedł aż tutaj, to może już dokończyć to, co zaczął. Bóg świadkiem, że przyda mu się trochę ruchu. Rozejrzał się, dysząc ciężko. Stał teraz na poziomie stropu nad zapleczem teatru. Światła tu dochodziło niewiele, ale na końcu podestu widział zarysy masywnej konstrukcji z hydraulicznym mechanizmem zrzucającym fragment zburzonego muru na publiczność w kulminacyjnym momencie przedstawienia. Nad jego głową schodziły się wewnętrzne i zewnętrzne mury tworzące fasadę Wieży Gryfów. Nieco dalej na podeście numer trzy zobaczył następną drabinę niknącą w górze w ciemności. Odczekał kilka minut, aby złapać oddech. W końcu dźwignął się na nogi. Za dużo roboty, żeby siedzieć tu po próżnicy.

Wspinanie się po wnętrzu muru Wieży Gryfów okazało się znacznie trudniejsze. Gdy tylko odchyłał się za bardzo od drabinki, szorował plecami po wewnętrznej ścianie zrobionej z chropowatej i nierównej imitacji kamienia. Kiedy zamajaczyły w mroku zarysy kładki numer cztery, mięśnie ramion i rąk drżały mu ze zmęczenia. Z trudem łapiąc powietrze, wdrapał się jeszcze kawałek wyżej.

158

Podestu tego używano tylko w celach konserwacyjnych i podczas rzadkich kontroli bezpieczeństwa, więc nie troszczono się tu o oświetlenie. Trudno było uwierzyć, że po drugiej stronie zewnętrznej ściany świeci jasno słońce, przechadzają się minstrele i rozbrzmiewa śmiech turystów. Oparł się o drabinę. Czuł rytmiczne łomotanie serca. Super, dostanie tu na górze zawału i nikt go nie znajdzie przez najbliższy tydzień.

Po chwili, kiedy oddech mu się nieco unormował, sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął latarkę ołówkową. Rzuciła mizerną nitkowatą wiązkę światła na pomost nad jego głową. Czemu nie wpadł na to, żeby zabrać ze sobą normalną latarkę?

Wszedł po ostatnich szczebelkach i stanął na kładce. Chociaż widział pod sobą tylko ciemność, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jaka wysokość dzieli go od sceny. Czuł się jak owad chodzący po wewnętrznej krawędzi słoja.

Podest biegł w obydwie strony i nikał w ciemności. Część zachodnia, powiedzieli. Stał chwilę bez ruchu, żeby się rozeznąć w kierunkach, po czym mszył ostrożnie, omiatając drogę przed sobą wąskim snopem światła.

Niebawem wyłowił z mroku charakterystyczny kształt czujnika podczerwieni przymocowanego do poręczy mniej więcej trzydzieści centymetrów nad podłogą. Został przemyślnie ukryty, mimo to łatwo go było znaleźć, jeśli się wiedziało, czego szukać. Przyklęknął i skierował latarkę na przód obudowy. GT-205. To znaczy, że uszkodzony czujnik musi być następny. Dzięki Bogu. Podniósł się i mszył dalej.

Nagle zatrzymał się, zeszywniał i zaczął nasłuchiwać. Już otworzył usta, żeby zawołać, kto tam jest, ale jakiś szósty zmysł kazał mu pozostać cicho.

Wtedy wydarzyło się coś dziwnego: jego prawa dłoń opadła do pasa i trafiła na puste powietrze. Z niedowierzaniem oszołomiony spojrział w dół.

Wiele lat temu, w innym życiu, pracował w bostońskiej policji. Nie wyciągał broni od kilkunastu lat, co za atawistyczny odruch kazał mu sięgnąć po nią akurat teraz?

Spojrzał z powrotem w głąb pomostu i świecąc latarką w ciemności, wypatrywał, czy coś się nie poruszy, czy nie błysnie metal,

czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o zagrożeniu. Serce waliło mu jak oszalałe, instynkt podpowiadał najwyższą czujność. Ale wszędzie panowała głucha cisza, nic się nie poruszyło, więc po kilku minutach zmusił się do zachowania spokoju. Odetchnął, wyprostował się i wyjąwszy radio, uniósł je do ust, ale zaraz wrzucił je z powrotem do kieszeni. Był już przy czujniku, po co właściwie wzywać teraz wsparcie?

Pokręcił głową nad własną głupotą. Dał się nastraszyć jakiemuś Johnowi Doe. Dobrze, że Sarah Boatwright go teraz nie widzi. Gardzi wszelką słabością a on tu, proszę — spoconemu, zdyszanemu staremu wydze serce wali jak jakiemuś goło wąsowi pierwszego dnia po szkole policyjnej.

Żenujące, taki brak profesjonalizmu. Facet najprawdopodobniej był blagierem pierwszej wody. Urządził sobie zabawę w rodzaju fałszywych alarmów bombowych, których mieli bez liku. Co za terrorysta czy zbir, czy najemnik, czy Bóg wie kto jeszcze napadałby na park rozrywki? W Utopii nie było nic, czego mogliby chcieć.

Śmiejąc się w duchu z samego siebie, mszył dalej, oświetlając pomost światłem latarki w poszukiwaniu uszkodzonego czujnika. Jest. Jakies pięć metrów dalej, tuż przy ziemi, przymocowany tak samo jak poprzedni.

Wystarczył mu jeden rzut oka, żeby stwierdzić, że czujnik nie jest zepsuty. Coś obok niego leżało, dokładnie na drodze promienia podczerwieni.

Zbliżył się nieco ostrożniej. I nagle aż go zatchnęło.

— Jezu Chryste — szepnął.

Opadł na kolana, nie mógł oderwać wzroku od podłogi.

Teraz już wiedział, bez najmniejszych wątpliwości, że cokolwiek urządzi John Doe, to na pewno nie jest zabawa.

13.42

Sarah Boatwright patrzyła, jak Bob Allocco starannie zamyka za sobą drzwi jej gabinetu na klucz. Pociągnął za sznurek od żaluzji i odciał widok z korytarza. Potem podszedł do stołu konferencyjnego i położył na nim metalową skrzynkę. Zbliżył się również Fred Barksdale, który stał na drugim końcu pokoju ze zmarszczonym czołem i arystokratycznymi ustami ściągniętymi w surową linię.

Sarah pochyliła się na krześle do przodu.

— No dobrze, Bob, słuchamy.

Allocco był czerwony na twarzy, koszula pod służbową marynarką przesiąkła mu całkowicie potem.

— Nasz fachowiec bada sprzęt z Gryfowej Wieży. Uważa, że doszło do przeciążenia. Laser posłał wiązkę o mocy trzystu watów zamiast trzydziestu. Rozerwało go prawie na strzępy, z główicy niewiele zostało.

— To niemożliwe. W parku używamy tylko laserów klasy drugiej, a one nie... — urwała. — Czy ten laser był sterowany przez robota?

— Tak. Jeździł na podwieszanej szynie, namierzał sygnał z hełmu tego biednego drania.

Na chwilę zapadła cisza.

— Kolejny problem z metasiecią — powiedział Barksdale półgłosem.

161

— Zaraz, dopiero zacząłem — ciągnął Allocco. — Odebraliśmy sygnał o wtargnięciu w Wieży Gryfów. Poszedłem to sprawdzić. I oto, co znalazłem.

Otworzył zamki w skrzynce, podniósł pokrywę i ostrożnie coś ze środka wyjął, trzymając to za krawędzie. Dla Sarah wyglądało to jak deseczka z szarej plasteliny, owinięta w szklistą błonę, na której widniały odcisnięte rzędy numerów.

Bardzo delikatnie Allocco położył pakunek na blacie stołu.

— C-cztery — oznajmił.

— C-cztery? — powtórzyła jak echo Sarah, wstając, żeby się lepiej przyjrzeć.

— Takiego używa wojsko. Tu jest tego ponad dwa kilogramy.

Sarah zamarła w pół kroku. Potem, nie odrywając oczu od szarej paczuski, powoli usiadła z powrotem za biurkiem.

— Znalazłem to na kładce w Wieży Gryfów. Położyli go celowo na linii czujnika podczerwieni.
— Wielki Boże — powiedział Barksdale. — Zamierzali wysadzić w powietrze cały teatr.

Allocco pokręcił głową.

— Nie sądzę.

— A to niby dlaczego, do stu diabłów?

Na twarzy Boba zamajaczył dziwny uśmiech.

— Ponieważ, oto co znalazłem wetknięte w plastik zamiast detonatora.

Wsunął rękę do kieszeni na piersi i wyjął z niej okrągłego lizaka w fioletowym papierku.

Nikt się nie odzywał. Sarah gapiała się na kulkę kołyszącą się na cienkim białym patyczku i powiedziała dość idiotycznie:

— Winogronowy.

— Rozmawiałem z maszynistami teatralnymi, nikt niczego nie widział. A jednak komuś udało się ominąć wszystkie czujniki, podłożyć materiał wybuchowy i uciec.

— Obawiam się, że nie rozumiem — rzekł Barksdale.

— A ja chyba tak. — Bob położył lizaka obok skrzynki. — Facet daje nam do zrozumienia, że może wyrządzić ludziom krzywdę, bezkarnie wysadzić w powietrze każdą atrakcję w parku. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że te rzekome

162

usterki, które rejestrowaliśmy, mogły wcale nie być usterkami. Urządzili nam pokaz, który zapowiadał ten John Doe. I moim zdaniem on przesyła nam podwójną wiadomość: że trzyma nas w szachu w pionie, w poziomie.

Barksdale przeniósł wzrok z Allocca na Sarah i z powrotem.

— Bob chce powiedzieć, że trzymają nas w garści na dwa sposoby. — Sarah mówiła powoli i z namysłem. Zdawała sobie sprawę z tego, że miotają nią najróżniejsze uczucia: zaskoczenie, troska, gniew, ale nie mogła pozwolić, aby zaważyły na decyzjach, które musi podjąć. —

Przeprogramowali niektóre roboty, żeby wywołać w parku zamęt: poluzowali hamulce w kolejkach, spowodowali przeciążenie laserów, ale mają też środki, żeby wysadzić nas w powietrze i zniknąć.

— Jak to powiedział ten John Doe? Że co chce zrobić? — spytał Allocco. — Rozwiązać wszelkie wątpliwości, jeśli nam jeszcze jakieś pozostały. No cóż, jeśli o mnie chodzi, to jestem już wierzący. Podszedł do biurka i wziął do ręki telefon Sarah.

— Co robisz? — spytała.

— Zarządzam stopniową ewakuację parku — odrzekł, wybierając numer. — Potem skontaktuję się z policją stanową. Moich znajomych z kawalerii zmotoryzowanej bardzo zainteresuje to, co mam im do opowiedzenia. Będziemy potrzebowali dwóch, może trzech oddziałów specjalnych szybkiego reagowania, poza tym tajnych agentów federalnych, wyszkolonych w rozpraszaniu tłumu w strefie zagrożonej...

Niespodziewanie dopadł do niego Barksdale i wcisnął przycisk rozłączenia. Było to zachowanie tak nietypowe dla szefa działu systemowego, tak niepotrzebnie raptowne i impulsywne, że zaskoczona Sarah wytrzeszczyła na niego oczy.

— Co ty wyprawiasz, do cholery! — ryknął Allocco.

— Może bym cię zapytał o to samo. Nie pamiętasz przypadkiem, po co urządzili nam ten pokaz? Żeby nas ostrzec przed pochopnymi mchami.

Allocco spiorunował go wzrokiem. Bez słowa znowu wziął do ręki słuchawkę.

163

— Odlóż telefon, Bob — odezwała się Sarah.

Szef ochrony znieruchomiał i popatrzył na swoją szefową. Na jego twarzy widać było rozterkę. Ale rozkazującemu, chłodnemu tonowi głosu Sarah nie sposób było się przeciwstawić. Puścił słuchawkę, która opadła na swoje miejsce.

— Zanim zrobimy dokładnie to, przed czym nas ostrzegano, musimy się zorientować, z czym mamy do czynienia — dodała nieco łagodniejszym tonem.

Allocco nie spuszczał z niej wzroku.

— Z czym mamy do czynienia? Powiem wam, z czym mamy do czynienia. Obserwowałem

gości wychodzących po przedstawieniu w Wieży Gryfów. I wiecie co? Wszyscy doskonale się bawili. Nikt nie miał pojęcia, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że wydarzył się wypadek. — Machnął ręką w kierunku materiału wybuchowego. — Gdyby C-cztery eksplodowało, wysadziłoby w powietrze cały wewnętrzny mur wieży. Teatr zawaliłby się na widownię, dosłownie, na trzy tysiące osób. I wiecie, co by się działo? Ludzie byliby zachwyceni, aż do ostatniej chwili, kiedy zgniotłoby ich na miazgę. Ponieważ widzieli przed chwilą inny mur spadający na widownię, który był częścią przedstawienia. — Powoli okrążył stół i podszedł do biurka Sarah. — Mamy tu dzisiaj... ile? Ponad sześćdziesiąt sześć tysięcy gości. I ani jeden nie wykazuje nawet odrobiny instynktu samozachowawczego. Zostawili swoje atawistyczne odruchy obronne przed wejściem i zapłacili za to pieniądze. Widzą ogień, słyszą wybuchy, czują że ich wagonik wylatuje z torów... i co robią? Śmieją się jeszcze głośniejsze, ponieważ myślą że to część przedstawienia. To znaczy, że każdy z nich jest tu wystawiony jak kaczka na odstrzał. — Odwrócił się do Barksdale'a. — Ile mamy działających robotów w parku?

Barksdale zastanawiał się chwilę.

— Mówisz o tych podłączonych do metasieci? Po cięciach z zeszłego miesiąca osiemdziesiąt, plus minus pięć.

— Osiemdziesiąt, a każdy z nich jest potencjalną bombą zegarową. Nawet jeśli udałoby się nam odłączyć je od sieci bez stwarzania ogromnych komplikacji, to nie zdążymy dotrzeć do każdego z nich oddzielnie. A problem nie tkwi tylko w robotach.

164

Stworzyliśmy Johnowi Doe przepiękny plac do zabaw. — Pochylił się nad biurkiem. — Podłożył materiały wybuchowe w murach Gryfowej Wieży, ale równie dobrze mógł uszkodzić przewody gazowe do pirotechnicznych instalacji ogniowych...

— I o to chodzi! — wpadł mu w słowo Barksdale. — Sam to powiedziałaś: nie możemy sprawdzić każdego sprzętu z parku. Ci szubrawcy trzymają w rękę wszystkie karty. Na szali leży życie naszych gości. W obecnej sytuacji nie wchodzi w grę ani ewakuacja, ani wezwanie policji.

— Wybacz, ale to jest jedyna rzecz, jaka wchodzi w grę. Nie mamy możliwości bronić się przed takim zagrożeniem. — Allocco machnął ręką w stronę materiału wybuchowego leżącego na biurku. — A co do gości, to ludzie, którzy to podłożyli, mają w dupie życie naszych gości.

— Prawdopodobnie tak — odrzekł Barksdale. — I właśnie dlatego nie wolno nam robić nic, co by ich mogło rozdrażnić.

Obydwoj mężczyźni odwrócili się do Sarah, jakby czekali na wyrok. Sarah spojrzała na ich twarze: na kamienne, stanowcze oblicze Boba i zatroskane patrycjuszowskie rysy Freda.

— Nie wezwiemy policji — oznajmiła.

Ulga odmalowała się na twarzy Barksdale'a, tymczasem Allocco aż poczerwieniał.

— Co takiego? Zamierzasz beczynnie słuchać tego sukinsyna?

— Nie — odparła Sarah. — Nie zamierzam go beczynnie słuchać.

Mówiąc to, czuła, jak szczęka jej się zaciska, jak gniew wypiera wszystkie inne uczucia. Arogancja, z jaką John Doe wkroczył beztrąsko do jej gabinetu, z jaką pił jej herbatę, stawiał żądania, gładził ją po twarzy, a potem rozmyślnie, jakby od niechcienia niszczył jej park, krzywdził jej ludzi...

Oczekiwał, że padnie plackiem przed jego groźbami. No więc się przeliczył.

— John Doe powiedział, że obserwuje wszystkie wejścia i wyjścia — ciągnęła. — Dał do zrozumienia, że będzie zabijał ludzi, jeśli zaczniemy ewakuację. Nie mam powodu podejrzewać, że kłamał. Zasypanie Utopii oddziałami policji nie jest rozwiązaniem. Rozprawimy się z Johnem Doe własnymi środkami

165

i na własnych warunkach. — Odwróciła się do Barksdale'a. — Fred, powiedziałaś, że trzymają w rękę wszystkie karty. Nie sądzę, żeby tak było. To jest nasz park. Mamy przewagę, bo gramy na własnym boisku.

Barksdale uniósł dłoń, żeby zaprotestować, ale po chwili ją opuścił.

— Zaczniemy od początku. Dali nam do zrozumienia, że obserwują kolejkę jednotorową więc nie możemy przeprowadzić zbiorowej ewakuacji, przynajmniej na razie. Zaczniemy więc od

procedury ograniczonego zagrożenia bombowego. Bob, postaw w stan gotowości wszystkich dowódców ochrony. Ale nie podawaj szczegółów. Zbierz VIP-ów i zamknij ich w apartamencie gościnnym. Powiedz im, że przyjeżdża prezydent, cokolwiek, byle ich tam zapędzić. Ja tymczasem zadzwonię do Vegas i odwołam transport mleka. Fred, przekażesz to swoim ludziom od operacji finansowych?

Barksdale skinął głową. Choć większość transakcji finansowych w parku odbywała się bezgotówkowo, za pomocą kart wstępu, które były zarazem kartami płatniczymi, w wielu miejscach obracano jednak gotówką zwłaszcza w kasynach. „Transportem mleka” nazywano cotygodniowy kurs samochodu opancerzonego z Las Vegas, który odbierał i przewoził pieniądze ze skarbcza Utopii.

Sarah popatrzyła z powrotem na Allocca.

— Nie możemy zamknąć wejść, ale zacznijmy nieco częściej zamykać kasy biletowe, powiedzmy cztery co pół godziny. Przesuniemy również rozkład jazdy kolejki jednotorowej, powiedzmy

0 kilka godzin, w ten sposób zwiększymy odpływ gości.

— Możemy zamknąć kilka najbardziej popularnych atrakcji — dodał Bob. — Ludzie dojdą do wniosku, że widzieli już wszystko, albo zniechęcą się czekaniem w kolejkach i wyjadą.

— Dobrze, ale róbcie to dyskretnie. I zawięźcie tego robota z Gryfowej Wieży do pracowni Terri Bonifacio. Doktor Wame powinien rzucić na niego okiem, może odkryje jakieś analogie

1 dzięki temu znajdziemy inne roboty, przy których majstrowano.

— Mogę to zrobić od razu. — Allocco sięgnął znowu po telefon.

166

Barksdale obserwował go ze zmarszczonym czołem. Potem odwrócił się do Sarah.

— Przecież chcemy zachować dyskrecję...

— Nie powiemy Andrew nic ponad to, co konieczne. Ale potrzebujemy jego pomocy, zwłaszcza że... — przerwała. — Zwłaszcza że metaseć prawdopodobnie nie była jednak odpowiedzialna za wypadki w parku.

Barksdale stał obok niej i z roztargnieniem gładził krawat. Miał tak zatroskaną minę, że Sarah poczuła niespodziewany przyływ czułości. Z rozmysłem jednak odsunęła ją od siebie. Później będzie na to czas.

— Fred, co ci chodzi po głowie? — spytała.

— Mam kłopot ze zrozumieniem tego wszystkiego. Jeśli metaseć działała poprawnie, to co się właściwie stało? Jak te kanale mogły wysyłać polecenia dla robotów? Nasza sieć jest zabezpieczona, niemożliwe, żeby ktoś z zewnątrz...

Barksdale umilkł. Jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w gabinecie, był odgłos słuchawki odkładanej przez Allocca.

Sarah obserwowała twarz Barksdale'a bardzo uważnie. Fred był najbardziej czarującym i pełnym oglądy mężczyzną jakiego w życiu znała, ale był również osobliwą hybrydą: młodość spędził w elitarnych brytyjskich szkołach, później pracował na wysokich stanowiskach przemysłu informatycznego. Jeśli pojawiał się problem, zupełnie odruchowo składał go na wadliwie działające maszyny. Nie przyszłoby mu do głowy dopatrywać się błędu lub zdrady człowieka. To było nieuczciwe, nieszlachetne, tak się po prostu nie robiło. Teraz jednak, obserwując go, Sarah zobaczyła, że coś w jego oczach zaczyna świtać — iskierka zrozumienia, coś, o czym ona już wiedziała.

— Freddy — powiedziała cicho — chcę, abys mi sporządził listę osób z działu informatycznego, które miały wystarczające umiejętności i uprawnienia, aby zrobić coś takiego. I kto z nich jest dzisiaj w pracy.

Barksdale stał przez chwilę bez mchu, jakby sama ta myśl zamieniła go w słup soli. Potem powoli skinął głową.

— I myślę, że powinieneś to zrobić od razu.

Odwrócił się do wyjścia.

167

— Fred. I nikomu ani słowa. Masz milczeć jak grób.

Patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi. Potem oderwała wzrok od wyjścia i odwróciła się do Allocca.

— Bob, chcę, żebyś zrobił to samo. Sporządź listę pracowników ochrony, którzy mogli mieć środki lub motyw, żeby nas wystawić. Którzy psioczyli na swoją pracę, nie lubili szefa. Może ktoś miał problemy narkotykowe albo finansowe.

Kiedy dokończyła te słowa, obojgu zaświtała ta sama myśl. Potem Allocco bez słowa skinął głową.

— Ten twój chłopak od wideo, Ralph Peccam, znalazł coś?

— Cały czas sprawdza nagrania.

Sarah myślała przez chwilę.

— Chyba nie mógł na poczekaniu spreparować tej usterki w Ulu, prawda? Kiedy straciliśmy trop Doego?

— Nie. Przynajmniej bez odpowiedniego przygotowania.

— Mówiłeś, że pracował kiedyś w systemach. Ufasz mu bez zastrzeżeń?

— Mogę zareczyć za niego osobiście. Nie wpakowałby się w coś takiego. Znam go dobrze.

Sarah skinęła głową.

— W porządku. W takim razie niech pracuje dalej nad tymi nagraniami. — Podeszła do planu Utopii. — Słucham cię, Bob. Jeśli masz jakiś pomysł, jak zakończyć tę aferę, zanim dojdzie do nieszczęścia i bez nadmiernego narażania parku ani gości, chcę to usłyszeć.

Przerwało jej ciche brzęczenie. W pierwszej chwili nie rozpoznała tego dźwięku, ale kiedy uświadomiła sobie, co to jest, nie rozumiała, jak mogła o nim zapomnieć nawet na moment.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła małe radio.

— Pani Boatwright? — odezwał się ujmujący głos Johna Doe z łagodnym obcym akcentem. —

Sarah?

Sarah zerknęła na Allocca. Szef ochrony wsunął rękę do kieszeni, wygrzebał z niej magnetofon na mikrokasety i jej rzucił.

— Sarah, jesteś tam?

— Jestem — odpowiedziała, włączając magnetofon i przystawiając go do radia.

— Czy widziałaś nasz pokaz o trzynastej trzydzieści?

168

— Nie osobiście. Słyszałam recenzje.

— Czy zatem możemy przejść do interesów bez żadnych dalszych nieprzyjemności?

— Słucham.

— To dobrze, ponieważ mam dla ciebie małą opowiadkę. Nie jest zbyt długa i sądzę, że cię zainteresuje.

13.45

— Czy mogę wejść do Internetu z któregoś komputera? — Georgia przeszła ostatni poziom w grze na Game Boyu i siedząc teraz znudzona na dywanie, rzucała Wingnutowi kulki z papieru do aportowania. — Może ściągnęłabym sobie jakiegoś Duke'a Ellingtona.

Na drugim końcu pracowni Terri Bonifacio pracowicie roz-smarowywała brązową pastę krewetkową na plasterku mango.

— Nie da się, mała.

Georgia rozejrzała się po kilkunastu beczynnych komputerach wzrokiem, który mówił jednoznacznie: „Co? Nie możecie mi włączyć nawet jednego?”.

Terri uchwyciła jej spojrzenie i uśmiechnęła się szeroko.

— To zabezpieczony, zamknięty system, nie mamy wyjścia na zewnątrz. Za duże zagrożenie. Mam kilka pirackich koncertów Guns N'Roses, jeśli chcesz.

— Nie, dzięki.

Wame, który jeszcze przed chwilą wpatrywał się w serwer metasieci, odepchnął się od stolika i rozejrzał trochę nieprzytomnym wzrokiem.

— Fazę kalifornijskiego postpunkowego hard rocka przechodziła w grudniu. — Jego wzrok padł na mango. — Przepraszam cię, ale to wygląda naprawdę odrażająco.

— Masz szczęście. Czasami przynoszę sobie na lunch di-nuguan.

170

— Nawet boję się spytać, co to jest.

— Głowizna, serce i wątroba wieprzowa w sosie ze świńskiej krwi. Jest jeszcze balun-balun, które...

— Wystarczy, wystarczy.

Na podłodze Georgia wykonała gest imitujący wsuwanie palca do gardła, na co Terri uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Dziewczynka cisnęła kulkę zwiniętego papieru w stronę dalekiego kąta pokoju. Robot wystrzelił za nim, obracając czujnikami na boki. Kiedy dopadł do papierowej piłeczki, wyciągnął obrotowy łeb, otworzył pysk, a właściwie kleszcze imitujące szczęki, i chwyciwszy kulkę, potoczył się z zastraszającą prędkością z powrotem w stronę Georgii. W odpowiedniej chwili jednak zwolnił i zdumiewająco delikatnie położył zdobycz na wyciągniętej dłoni dziewczynki.

— Dobry piesek — pochwaliła go.

Robot zaskomlał radośnie i zakręcił się niezgrabnie w kółko.

— Patrzcie, gania za własnym ogonem — zauważyła Terri. — Jak prawdziwy pies.

Georgia upuściła papierową kulkę na podłogę i odwróciła się do Andrew.

— Tato, jeszcze nie skończyłeś? Siedzimy tu już co najmniej godzinę.

— Pół godziny, księżniczko.

— Nie nazywaj mnie księżniczką. — Zerknęła na zegarek. — Już prawie dmga.

— Jeszcze trochę. — Zerknął na Terri, po czym wskazał komputer. — Metasieć działa bez zarzutu. Próbowałem ją zmusić do nieobliczalnych zachowań: wielowątkowym ładowaniem, brakującymi zmiennymi, wszystkim. Za każdym razem system z gracją pada.

Kończąc swoje mango, Terri wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam?

— Wszystkie zmiany wprowadzone przez metasieć są korzystne. — Wame odwrócił się z powrotem do komputera i zaczął przebiegać myszą po monitorze. — To, co naprawdę mnie zastanawia, to raporty z tych wypadków. Sprawdziłem prawie wszystkie awarie robotów, do których doszło. I wiesz co? Według

171

danych metasieci, żaden z nich nie był nawet ruszony. Metasieć nie wprowadzała żadnych modyfikacji w ich kodach. To nie ma sensu.

Wpatrywał się w ekran. Zobaczył w nim odbicie swojej twarzy, bladej i ściągniętej. Opadły go gorzkie wspomnienia. Ostatni raz siedział przed tym komputerem w pracowni Carnegie-Mellon i rozpierała ojcowska duma z dzieła, które czekało na transport do Nevady. Metasieć była pierwszym z serii przełomowych wynalazków, które miały wyjść z jego pracowni. Jego teorie z dziedziny uczenia się maszyn wzbudziły dużo szumu w środowisku cybernetyków. W dodatku udało mu się znaleźć potężnego orędownika w osobie Erica Nightingale'a...

Jakże inne teraz mu się to wszystko wydawało. Zamknął oczy, pochylił głowę. Co się stało? — pytał sam siebie. Jak to możliwe, że wszystko poszło tak źle i to w tak krótkim czasie? Nie mam nawet chwili wytchnienia, żeby złapać oddech.

Rozległ się warkot silników skokowych i głośne, metaliczne skomlenie. Wingnut zaczął krążyć pośrodku pracowni tam i z powrotem, jakby czegoś szukał, po czym znieruchomiał pod rzedem świetlówek.

— Co on robi? — spytała Terri.

— Ładuje baterie słoneczne. Ponieważ jego awatar, czyli aktualnie Georgia, nie porusza się, Wingnut wszedł w stan czuwania i wykonuje zadania tła, jak na przykład lokalizowanie najsilniejszego źródła światła. Pamiętasz cybernetykę ze studiów? Greya Waltersa i jego żółwia, który szukał lub unikał źródeł światła? To były prymitywne zachowania, ale zasada jest ta sama. Terri obserwowała robota, który zamarł pod żarówkami.

— Jest całkiem autonomiczny, prawda? Gdyby go podłączono do metasieci, dowiedziałabym się o tym?

— Tak.

— Domyślam się, że wykorzystuje algorytm A* do wyszukiwania drogi. Jak udało ci się

uniknąć zygzaków?

— Wprowadziłem kilka postprocessingowych ulepszeń.

— A architektura? Wyłącznie reaktywna? Musi być, biorąc pod uwagę, ile losowych danych musi nieborak przetwarzać.

172

— Tak, ale ma też hierarchicznie ustrukturalizowany rdzeń. Zastosowałem go po to, aby nadać mu trochę cech indywidualnych, żeby wydawał się nieco bardziej „żywy”. Ale nie wszystko pracuje jak należy. Kiedy ma humory, potrafi być nieobliczalnym małym nicponiem.

Rzucił ukradkowo okiem na Teresę. Dziewczyna знаła swój fach.

W dziedzinie robotyki środowisko naukowców podzieliło się na dwa obozy: pierwszy, starszy, wyznawał rozważny wariant sztucznej inteligencji — wysoko zestrukturalizowane i zhierarchizowane systemy ze sztywnymi wewnętrznymi modelami i niezmiennym wizerunkiem świata; drugi, młodszy obóz, którego kontrowersyjnym przywódcą był sam Wame, wierzył, że przyszłością tej dyscypliny jest „robotyka behawioralna” — reaktywne systemy opierające swe działania na tym, co im mówią czujniki, w mniejszym zaś stopniu na prekodowanych instrukcjach.

— Jest w nim coś niepokojącego — zauważyła Terri. — Sprawia wrażenie, jakby nigdy nie można było do końca przewidzieć, co zrobi. No i dlaczego jest taki cholernie wielki?

— Kiedy zacząłem go budować, miniaturyzacja nie była jeszcze tak daleko posunięta jak teraz. Z czasem zamieniałem jego wnętrzości na mniejsze i silniejsze. Udało mi się zmniejszyć jego ciężar o połowę i zrobić miejsce na potężniejsze silniki i serwa. Dlatego potrafi być taki szybki. — Spojrzał na nią. — Mówisz, jakbyś go nigdy przedtem nie widziała.

— Tylko z daleka. Siedział w kącie w gabinecie Sarah Boatwright. A może Barksdale'a, nie pamiętam.

Wame westchnął. Jakoś go to nie zdziwiło.

— Opowiedz mi o Barksdale'u. Jaki on jest?

— Hm, niech pomyślę... Uroczy, elegancki, z ogładą kulturalny... jeśli ktoś lubi u facetów takie rzeczy. I potrafi cytować Szekspira bez końca. Wszystkie babki w dziale systemów kochają się w nim na zabój. I dlatego właśnie ja nie.

Wame wybuchnął śmiechem.

— Poczta pantoflowa donosi, że on i Sarah Boatwright są całkiem dobraną parą.

Śmiech uwiązał Andrew w gardle. Popatrzył na Terri. Gotów

173

był przysiąc, że usłyszał w jej głosie szczyptę dokuczliwej przekory.

— Nie martw się, doktorze Wame. Wiem o wszystkim. I o tobie. Utopia uwielbia plotki.

Andrew westchnął i odwrócił wzrok.

— To zamierzchłe dzieje.

— Jeszcze za mało zamierzchłe — mruknęła Georgia.

Terri zaniósła się śmiechem.

— Uwielbiam tę twoją córkę.

Georgia uśmiechnęła się od ucha do ucha i zarumieniła.

Wame spojrział z powrotem na ekran i zaczął przebiegać myślą od jednego okna kodu do drugiego. Znowu dopadły go mieszane uczucia strachu i rozpacz. Tracił metasieć i rozgrywało się to na jego oczach. Tymczasem wszystko tu działało bez zarzutu, przeprowadził każdy możliwy test. A jednak coś było nie tak. Ten wypadek na kolejce Notting Hill, a dzisiaj jego własny wytwór, Lodołamacz... to wszystko nie trzymało się kupy. Oderwał dłoń od myszy i z roztargnieniem zaczął rozcierać posiniaczony nadgarstek.

Nagle za jego plecami coś się zakotłowało. To Wingnut, naładowawszy baterie, przebudził się, porwał mysz ze stolika i zaczął uciekać. Rozległ się głośny brzdęk. Wame popatrzył na niezdarnego robota, który z kolei patrzył na niego z myślą w metalowej szczęce, wyrwanym kablem, zwisającym niczym bezwładny ogon, i czekał, aż Andrew zacznie go ścigać.

— Wingnut, nie goń! — powiedział zmęczonym głosem i odwrócił się do Terri. — Masz może przypadkiem zapasową mysz?

— Jasne. Czy on tak często?

— Upodobał sobie ściganie samochodzików, robotów, wszystkiego, co jeździ na kółkach. Nie pytaj mnie, skąd mu się to wzięło. Doszło do tego, że musiałem mu wpisać na stałe komendę „nie goń”. I nadal działa na zasadzie: uda się albo nie.

Moja kariera w miniaturze, pomyślał, patrząc żałośnie na robota. Nic dziwnego, że stał się zakurzonym reliktem.

Terri poszła przynieść nową mysz. Poruszała się z taką gracją że nawet w fartuchu laboratoryjnym wyglądała ponętnie. Zerknął

174

na Georgię, która z niepokieszoną miną wertowała jakieś pismo fachowe, a następnie przeniósł wzrok z powrotem na monitor.

Znowu przytłoczyło go to wrażenie, że coś jest nie tak. I nagle zrozumiał. To było takie oczywiste, że do tej pory nie zwrócił uwagi na te zależności.

— Terri — powiedział. — Jeśli metasieć zmodyfikowała niektóre roboty do niewłaściwych zachowań, czemu nie zachowały się żadne wpisy w rejestrach? Przejrzałem je i nie znalazłem żadnych śladów po ingerencji w działania robotów, które sfik-sowały.

Terri pokręciła głową.

— To niemożliwe.

— Ale to nie wszystko. Na dzisiejszym spotkaniu Barksdale powiedział, że problemy pojawiały się sporadycznie. Jednego dnia roboty zachowywały się niewłaściwie, a następnego już normalnie. — Przerwał. — Jeśli metasieć wprowadziła niewłaściwe modyfikacje, kto je później naprawił?

Terri spojrzała na niego z zafrasowaniem w ciemnych oczach.

— Właśnie — podsumował Wame. — W rejestrach nie ma żadnych wpisów świadczących ani o wprowadzaniu zmian, ani o naprawianiu błędów. — Odsunął na bok raporty. — Ile dokładnie niewłaściwych kodów widziałeś na własne oczy?

— Tylko jeden. Na Notting Hill.

— Jak stwierdziliście, co było przyczyną usterki?

— Mechanicy obeszlą całą trasę kolejki i znaleźli obluzowane zapadki. Odkryłam nieprawidłowe procedury w kodzie pokładowym.

— Jakie nieprawidłowe kody?

— Instruujaące, aby poluzowano zapadki, zamiast je dokręcać.

Wame skrzywił się mimowolnie. Tylko na dwa sposoby roboty mogły otrzymać tak bałamutne instrukcje. Jediną osobą z uprawnieniem dostępu do metasieci była Terri. Albo ona wprowadziła robotom błędny kod, albo sieć zmieniła im program. Metasieć spowodowała wypadek. Poczul, jak narasta w nim panika.

— Tatusiu — odezwała się Georgia. — Chodź już wreszcie. Błagam.

— Georgia! — Wame odwrócił się gwałtownie. Po chwili

175

wziął głębszy oddech i opanował rozdrażnienie. — Posłuchaj, kochanie. Przykro mi, ale muszę to skończyć. — Zerknął na monitor i zastanawiał się przez moment. Potem z powrotem odwrócił się do córki. — Posłuchaj, pozwolę ci pójść samej na kilka kolejek górskich. Co ty na to? Daj mi godzinę, nie, półtorej.

— Nie chcę jeździć sama — odrzekła Georgia. — Co to za frajda?

— Nie da się inaczej, skarbie, przykro mi. Tylko półtorej godziny. Spotkamy się przy... — Wyjął z kieszeni mapę i rozłożył ją. — Przy biurze obsługi gości w Nexusie. Piętnaście po trzeciej. Skończymy razem Promenadę. Dobrze?

Georgia przez chwilę żuła wargę. W końcu skinęła głową i wstała.

— Dziękuję za Game Boya — powiedziała do Terri.

Wetknęła słuchawki do uszu, zarzuciła plecak na ramię i ruszyła do drzwi.

— Georgio — powiedział Andrew.

Zatrzymała się w progu i odwróciła.

— Tylko nie idź na te najbardziej niebezpieczne kolejki, dobrze? Pójdziemy na nie razem.
Dziewczynka zmarszczyła czoło.

— Obiecujesz?

Westchnęła.

— Tak.

I wysliznąwszy się z pokoju, zamknęła za sobą drzwi.

W pracowni zapadła cisza. Po chwili Andrew uprzytomnił sobie, że wpatruje się bezmyślnie w wejście.

— Fajna dziewczyna — orzekła Terri. — W każdym razie na tyle, na ile dzieciaki potrafią być fajne.

I uśmiechnęła się szelmowsko.

Wame odwrócił się w jej stronę.

— Nie lubisz dzieci?

— To nie tak. Chyba po prostu nigdy nie wiedziałam, jaki z nich pożytek. Zwłaszcza kiedy sama byłam w tym wieku. — Wzruszyła ramionami. — Miałam niewielu przyjaciół wśród rówieśników. Szczerze mówiąc, w ogóle nigdy nie miałam za wielu przyjaciół. Jakoś zawsze lepiej się czułam z dorosłymi.

— Jakbym słyszał Georgię. Czasem nawet się o to martwię.

176

Od kiedy zmarła jej matka, sprawia wrażenie, jakby spaliła wokół siebie wszystkie mosty. Tak naprawdę jestem chyba jedyną osobą, z którą ma bliski kontakt.

— Przynajmniej ma kochającego ojca.

— Ty nie miałeś?

Terri przewróciła oczami.

— Inay. Nawet nie pytaj. Wcielenie złego czarnoksiężnika.

Wame przeciągnął się i spojrzął na komputer.

— Wracajmy do pracy. Mamy tu zagadkę, której nie potrafię rozwiązać. — Machnął ręką na stertę raportów. — Tylko metasieć mogła spowodować te usterki. Ale dlaczego tylko w jednym wypadku znalazłaś zmieniony kod? Czym zdarzenie na Notting Hill różniło się od pozostałych?
Terri spuściła wzrok.

— Tym, że jest ofiara — odparła.

Przez moment Wame również patrzył w dół.

— A wy zamknęliście kolejkę — podsumował. — Kiedy sprawdziliście oba roboty z Notting Hill?

— Nazajutrz rano.

— Czy były wtedy podłączone do metasieci?

— Oczywiście, że nie. Całą kolejkę natychmiast odłączono.

— No jasne. — Wziął do ręki plik raportów. — A inne roboty, które przysparzały kłopotów? Kiedy je sprawdzaliście?

— Najczęściej tego samego popołudnia, kiedy sporządzano raport.

— A czy wcześniej ktoś je w ogóle sprawdzał?

— Te ważniejsze od razu na początku.

— To znaczy?

— Około dziewiątej trzydzieści, zaraz po przesłaniu danych z metasieci.

— Właśnie! — Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. — Dlatego znalazłaś zmieniony kod w kolejce w Notting Hill, a gdzie indziej nie.

— Nie rozumiem.

— Założę się, że gdybyśmy sprawdzili wewnętrzne procedury w Lodołamaczu, też byśmy znaleźli zmieniony kod. Jezu, nie rozumiesz? Metasieć...

177

W tym momencie rozległo się pukanie.

— Proszę! — zawołała Terri.

Otworzyły się drzwi i do pracowni wszedł mężczyzna w białym fartuchu laboratoryjnym. Pchał przed sobą wózek z metalową skrzynką wielkości kartonu mleka z kolorowymi kablami wijącymi się na wszystkie strony. Był to układ sterujący Lodołamacza. Obok niego stał niski robot. Wame rozpoznał jeden z ostatnich modeli urządzeń sterujących dla systemów autonomicznych, często używanych do prostych prac konserwacyjnych. Jego góma pokrywa była spalona jakby lampą lutowniczą.

Wingnut obrócił głowę w stronę nowo przybyłych. Wydał z siebie niski, burkliwy warkot i potoczył się powoli w stronę wózka.

— Wingnut, nie goń! — powiedział Wame ostrzegawczym tonem, wyraźnie artykułując słowa. Robot stanął.

— Co to jest? — spytała Terri.

— Pani Boatwright kazała mi go przywieźć do doktora Warne[^]. Powiedziała, że znaję go w twojej pracowni. — Szczupły mężczyzna przyjrzał się ukradkiem Andrew. Był blady i nerwowo odsuwał się od Wingnuta. — To pan?

— To duże to mózg Lodołamacza — powiedział Wame, wskazując głową wózek. — Mówiłem ci, że się na mnie dzisiaj rzucił. Musiałem go wyłączyć mechanicznie. Tego drugiego nie znam.

— To z Wieży Gryfów — uzupełniła Terri. Odwróciła się do technika. — Po co go tu przywiozłeś? — spytała podniesionym głosem.

Mężczyzna obliznął wargi.

— Laser ześwirował w czasie pokazu o trzynastej dwadzieścia.

— Co takiego?

Mężczyzna pokiwał głową.

— Przeciążenie. Strzelił facetowi prosto w twarz.

Słyszając to, Terri poszarzała na twarzy. Podeszła do wózka i znieruchomiała, jakby nie mogła się przełamać, aby go dotknąć.

— Boże, to ja go zaprogramowałam. Ja to zrobiłam...

Obejrzała się na Andrew, a na jej twarzy odmalowała się autentyczna groza. Andrew jednak tego nie widział, bo myślami był zupełnie gdzie indziej.

13.47

Sarah Boatwright czekała. W słuchawce nie słychać było żadnych odgłosów — żadnych szumów, zakłóceń, pogłosów, nic. Po chwili znowu rozległ się grobowy głos Chucka Emory'ego.

— Materiały wybuchowe?

— Tak, panie Emory.

— Jest pani tego pewna?

— Cała cegła tego leży przede mną na stole.

— Słucham?

— Bob Allocco je znalazł. Bez detonatora. Zostawili je chyba po to, żeby dać nam coś do zrozumienia.

— Rzeczywiście, dość zrozumiałe. I jesteście pewni, że to nie jest głupi kawał?

— Allocco mówi, że tym razem to poważna sprawa. Dzisiejszy wypadek z laserem i poprzedni na Notting Hill trudno nazwać głupimi kawałami.

Znowu zapadła cisza. Sarah czekała. Z mieszanymi uczuciami wciągała Emory'ego w tę sprawę, ale uprzytomniła sobie, że bez poinformowania go nie może podjąć żadnej decyzji, ani w jedną, ani w drugą stronę.

Jeśli Erie Nightingale był twórczym geniuszem, który stworzył wizję Utopii, Charles Emory III podjął jego ideę i tchnął w nią życie. Po śmierci iluzjonisty Emory błyskawicznie awansował ze stanowiska wyższego urzędnika działu finansowego na dyrek-

179

tora generalnego Utopia Holding Company. Udało mu się utrzymać sponsorów i inwestorów kapitału wysokiego ryzyka przez cały końcowy okres projektowania i budowy parku. Wielu ludzi przypisywało mu zasługę uratowania Utopii i pokierowania jej rozwojem w obliczu nieoczekiwanej tragedii. Inni z kolei — utopijni puryści lub osoby, które tak jak Andrew Wame brały udział z

Nightingale'em w tworzeniu jej pierwotnej wizji — byli innego zdania. Uważali, że Emory ją sprzedał, że ukradł marzenie Nightingale'a i skaził je komercjalizmem. Dodał popularne kolejki górskie, sprzedał koncesje na handel, wprowadził transakcje związane i najbardziej kontrowersyjne przedsięwzięcie — hazard. Nightingale zamierzał stworzyć jeden skromny dom gry w Promenadzie, gdzie goście graliby w gry hazardowe z przełomu wieków i płacili pięciocentówkami z bizonem i głową Indianina. Emory zamienił tę uroczą staroświecką ideę na cztery wielkie, prawdziwe kasyna, gdzie lały się strumienie prawdziwych pieniędzy.

Sarah darzyła szacunkiem zmysł do interesów Emory'ego. Zdawała sobie sprawę, że wpływy z biletów pokrywają zaledwie połowę kosztów ogólnych Utopii, reszta pochodziła z jedzenia, napojów, pamiątek, koncesji i przede wszystkim z kasyn. Nightingale nigdy nie chciał przyjąć do wiadomości tych twardych faktów. Należało również przyznać Emory'emu, że potrafił dostrzec i docenić wartość nowych trendów, takich jak technika holograficzna, i przysłużyć się ich rozwojowi, jeśli tylko wyczuł, że można na nich zarobić. Doskonale zarządzał Utopią na odległość, a sprawy codziennego funkcjonowania parku pozostawiał projektantom i personelowi administracyjnemu. Gorzej sobie radził z sytuacjami kryzysowymi. W ostatnich czasach zdarzyła się tylko jedna — groźba zatrucia salmonellą w Kamelocie. Alarm okazał się przedwczesny i niepotrzebny, ale Sarah doskonale pamiętała niezdolność Emory'ego do podjęcia decyzji w chwili, gdy potrzebne było szybkie działanie.

W obecnej sytuacji nie mogli sobie pozwolić na niezdecydowanie i wahania. Im dłużej nad tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że musieli działać śmiało i zdecydowanie.

180

— Czy wiecie, ile ludzi jest w to zamieszanych?

— Nie. Wygląda na to, że operacja została dobrze przygotowana. I nie mogli tego zrobić bez pomocy z wewnątrz.

— Boże drogi. Wiemy, kto nas wystawił?

— Jeszcze nie, ale chyba można założyć, że musi to być ktoś z systemów albo ochrony.

Cisza.

— Kim są ci ludzie? Fanatycy? Jakaś sekta?

— Raczej nie. Dopiero co skończyłam rozmawiać przez radio z ich przedstawicielem.

Powiedział, czego chcą.

— Czego?

— Tygła, panie Emory.

Po raz kolejny na linii zapadło milczenie. Potem Sarah usłyszała, a w każdym razie tak jej się zdawało, głośno i powoli wypuszczane powietrze.

— Tygła — powtórzył głos w słuchawce.

— Tak. Kodów źródłowych, banku obrazów, wszystkiego.

Znowu cisza.

— Możemy wszystko zgrać na jedną niekopiowalną płytę DVD — ciągnęła. — Ale potrzebujemy w tym celu trzech cyfrowych kluczy: pańskiego, mojego i Freda Barksdale'a.

— Powiedzieli, co się stanie, jeśli nie posłuchamy?

— Dość wyraźnie. Zniszczą kolejki, wysadzą w powietrze ludzi czekających do kas, podłożą bomby w restauracjach. Zabiją i ranią setki ludzi.

— Czy możemy zlokalizować te urządzenia? Odłączyć roboty od sieci? Ewakuować gości?

— Ostrzegli nas, że każda taka próba spotka się z natychmiastowym odwetem. Powiedział, że obserwują kolejkę transportową sugerował też, że podłożyli ładunki wybuchowe. Poza tym mamy im dostarczyć dane w ciągu pół godziny, nie ma czasu na szeroko zakrojone działania.

— Rozumiem. Kto poza tobą o tym wie?

— Szefowie ochrony zostali postawieni w stan gotowości, ale tylko Fred Barksdale i Bob Allocco znają całą prawdę.

— I niech tak pozostanie jak najdłużej. — Sarah usłyszała trzeszczenie fotela. — Ale wiesz, Sarah, ja w dalszym ciągu nie

181

rozumiem ich motywacji. Technologia Tygla jest zbyt szeroko znana jako nasza własność, chroniona prawami handlowymi, nikt nie ośmieliłby się jej użyć. Gdybyśmy zobaczyli nasze hologramy wyskakujące w innym parku albo na przedstawieniach w Vegas, natychmiast znalazłbyśmy złoczyńcę.

— Fred Barksdale ma na ten temat teorię. Uważa, że ci faceci wcale nie zamierzają wykorzystać Tygla w przemyśle rozrywkowym.

— Nie rozumiem.

— Według Freda technologię Tygla można przekształcić do innych celów, na przykład do kopiowania hologramów zabezpieczających programy i filmy na DVD. Ale nie wyklucza też, że chodzi o coś znacznie większego, na przykład nowy superbanknot.

— Superbanknot?

— Tak się nazywała fałszywa studolarówka znaleziona w obiegu kilka lat temu. Nie pamięta pan? Prawie nie dało się ich odróżnić od prawdziwych pieniędzy. Nikt nie miał pojęcia, skąd się wzięły, ale mówiło się, że tylko jakaś bardzo potężna organizacja albo państwo terrorystyczne mogło je wyprodukować. Departament Skarbu tak się przestraszył, że wypuścili całkiem nowe pieniądze, z nowymi zabezpieczeniami: zmiennokolorową farbą holograficznymi znakami wodnymi, nitkami zabezpieczającymi. Tylko że... — urwała.

— Tylko że Tygiel można by tak zaprogramować, że by te wszystkie zabezpieczenia sfalszował.

— Teoretycznie. Fred podejrzewa również, że mogliby wykorzystać go w jakichś celach wojskowych, na przykład do prokurowania fałszywych źródeł ciepła albo obrazów na radarach, aby zmylić inteligentne bomby. Sam pan wie, jak bardzo rząd chciał położyć łapy na naszych patentach.

— Czy Fred ci mówił, jakie to byłoby trudne?

— Nie chodzi nawet o kody, tylko o moc obliczeniową. Kopiowanie małych hologramów jest stosunkowo proste, ale do rzeczy, o których mówił Fred, trzeba by gigantycznych superkomputerów. Całego mnóstwa takich komputerów. Takimi środkami może dysponować tylko bardzo potężna światowa organizacja.

— Albo państwo terrorystyczne.

182

Kiedy Emory umilkł, Sarah prawie słyszała, jak umysł dyrektora generalnego przetwarza wszystkie możliwości. To był człowiek pieniędzy, rozpatrywał tę sprawę w kategoriach finansowych. Tyle za utratę technologii, tyle za straty uboczne, jakie może to spowodować, tyle za śmierć kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi... Jeśli się nad tym zastanowić, równanie wcale nie było takie skomplikowane.

— Ten człowiek, który się z tobą kontaktował, jakie dawał gwarancje, jeśli mu przekazemy kody?

— Żadnych gwarancji nie dawał. Powiedział tylko, że jeśli zrobimy, co każe, to nikt nie zginie. Odejdą i już. Park będzie znowu nasz.

W słuchawce rozległ się następny głęboki oddech i znów zatrzeszczał fotel.

— Chcę wiedzieć, co pani o tym myśli, Sarah. Jest pani na miejscu, rozmawiała pani z ich rzecznikiem. Czy można im wierzyć?

A więc Emory pytał ją o zdanie. Sarah nie wiedziała, czy to dobry znak, czy nie.

— Facet jest bezczelny i arogancki. Siedział w moim gabinecie i szczyrzył zęby jak królik Brer.

— Na samo wspomnienie znowu wezbrał w niej gniew. — Mają odpowiednie fundusze, przynajmniej tak się zdaje. Właśnie o tym dyskutowaliśmy z Bobem Allocco.

— Proszę mówić dalej.

— Z początku odruchowo położyliśmy uszy po sobie: jest niebezpieczny, dajcie mu, czego chce. Potem jednak zaczęliśmy myśleć. Co właściwie widzieliśmy? Pistolet, kostkę materiału wybuchowego, radia. Może są prawdziwe, a może to dobre atrapy. Nie widzieliśmy natomiast ludzi. Wiemy, że musi mieć kogoś w parku, bo inaczej nie mógłby manipulować robotem ani nagraniami wideo. Ale to w dalszym ciągu może oznaczać dwoje ludzi. Możliwe, że widzieliśmy wszystko, co ma w zanadrzu, a reszta to blef.

— A możliwe też, że jest śmiertelnie niebezpieczny.

— Tak jest. Ale Tygiel to klejnot koronny Utopii. Co, jeśli to tylko dwoje ludzi i misternie skonstruowana mistyfikacja? Nie możemy się poddać bez walki.

Zapadła cisza.

183

— Jeśli dojdzie do walki, ofiarą padną goście parku.

— A do tego nie można dopuścić. Ale nawet królik Brer trafił na swoją smołową lalę. Allocco opracował plan złapania Johna Doe przy wyjściu z parku.

— To bardzo niebezpieczna gra, Sarah. Jeśli coś się nie uda...

— Bob rozegra to bezpiecznie. Przyczepi mu ogon i zdejmie gościa, kiedy będzie opuszczał park. Odzyska dysk z danymi Tygla. Jeśli John Doe mówi prawdę, mają zespół ludzi uzbrojonych po zęby. Wtedy się natychmiast wycofamy i powiadomimy policję, żeby ich przechwycili, ale dopiero kiedy tamci opuszczą Utopię.

Znowu przez chwilę panowało milczenie.

— Są tylko dwie inne możliwości — odezwała się wreszcie Sarah. — Uznać, że Doe błąduje i odmówić mu wydania danych, albo dać mu dysk i pozwolić odejść. Z naszą koronną technologią w kieszeni.

Emory westchnął.

— I ufa pani Alloccowi, że to zrobi? Rozumie pani, do czego piję?

Rozumiała. Z całego personelu Utopii tylko ona i Emory wiedzieli, że Bob Allocco odszedł z bostońskiej policji dziesięć lat temu z powodu kłopotów finansowych, które były skutkiem nałogowego hazardu.

— Ta operacja będzie moją decyzją i biorę odpowiedzialność na siebie, ale owszem, ufam Bobowi. Tamto wydarzyło się dawno temu. Poza tym wydaje mi się, że w obecnej sytuacji nie mamy wyboru.

Tym razem cisza, która zapadła na linii, trwała tak długo, że Sarah zastanawiała się, czy nie przerwano im połączenia.

— Mamy tylko dwadzieścia sześć minut — powiedziała w końcu. — Będę potrzebować pańskiego klucza, jeśli mamy zrobić ten dysk.

Nadal cisza.

— Panie Emory? Czekam na decyzję.

W końcu dyrektor generalny Utopii odpowiedział.

— Niech im go pani da. I niech Allocco podłoży tę swoją smołową lalę. Tylko bądźcie ostrożni, na miłość boską

13.50

Przy kontuarze z lodami w restauracji Wielka Niedźwiedzica pracownica w miedzianym kombinezonie miksowała koktajl mleczno-lodowy o smaku czekoladowo-bananowym. Wczesnym popołudniem zrobiło się tłoczniej, głodni i rozczarowani gapie patrzyli ze zdziwieniem na ladę, zastanawiając się, co się stało z robotem, którego przyszli zobaczyć. Nad głowami ciemną pustkę przestrzeni wypełniało masywne cielsko Jowisza, a na nim wielka czerwona plama obracająca się i kotłująca niczym rozgniewany wrzątek. Z głośników Kallisto, ukrytych w kanałach wentylacyjnych i ścianach, płynął łagodny dźwięk muzyki elektronicznej, ale tonął we wszechobecnych odgłosach rozmów dorosłych i zachwyconych okrzyków dzieci.

W innym miejscu hali, przy wielkim okrągłym portalu, oddalonym od łodzi o jakieś sto metrów, krzyki te były szczególnie głośne. Było to wejście, a raczej „śluzza załadunkowa” do Podróży Galaktycznej, jednej z nowszych kolejek, wymyślonej przez zespół projektantów Utopii po śmierci Nightingale'a. Większość atrakcji Kallisto nie nadawała się dla mniejszych dzieci, zbudowano więc Podróż Galaktyczną standardową „ciemną kolejkę”, w której małe wagoniki jechały wzdłuż przesuwających się obrazów — pasa planetoid, mgławicy w Orionie, supernowych.

Małe dzieci ubóstwiały Podróż Galaktyczną ale kiedy skończyły pięć lat, uznawały ją za paraliżująco nudną i omijały

185

szerokim łukiem. Mając za jedynych pasażerów kilkuletnie szkraby i lekko znudzonych rodziców,

Podróż Galaktyczna chlubiła się najmniejszą liczbą incydentów naruszenia bezpieczeństwa w całym parku. Nie wyposażono jej więc w punkty obserwacyjne, kamery ani czujniki na podczerwień, a ponieważ kolejka praktycznie poruszała się sama, nawet operatorzy nie mieli tu wiele do roboty. W efekcie miejsce to stało się równie niepopularne w środowisku pracowników parku, jak i wśród starszych turystów.

Lubiły tu niegdyś pracować jedynie osoby o romantycznych skłonnościach, ponieważ jak wszystkie płaskie kolejki w parkach rozrywki, Podróż Galaktyczna miała wielkie, labiryntowe zaplecze do obsługi i konserwacji, gdzie naprawiano i gruntowano czarne siatki i welurowe tkaniny służące jako tło widoków z kolejki. Operatorzy uznali je za idealne miejsce do sprowadzania atrakcyjnych koleżanek lub przygodnie poderwanych turystek. Stało się ono tak popularnym miejscem schadzek, że tamtejszy wielki stół montażowy zyskał nazwę „łóża westchnień”. Kiedy dowiedziało się o tym kierownictwo, natychmiast dokonano strategicznych zmian personalnych. Od tamtej pory przy obsłudze Podróży Galaktycznej pracowały głównie kobiety po pięćdziesiątce, a „łóża westchnień” używano już wyłącznie, i to nie za często, do celów, do jakich je przeznaczono.

Aż do teraz, kiedy na brzegu stołu usiadł John Doe. Skrzyżował nogi w kostkach i bujał nimi niedbale nad podłogą. W ciemności białka jego oczu jarzyły się blade fosforyzującym galaktycznym światłem. Podobnie jak Sarah Boatwright w swoim gabinecie w Podziemiach, on również rozmawiał przez telefon.

— To bardzo ciekawe — mówił. — Dobrze zrobiłeś, że mnie o tym poinformowałeś. Będę wkrótce oczekiwał od ciebie szczegółów. — Słuchał przez chwilę. Coś musiało go rozbawić, ponieważ roześmiał się wesoło, ale z grzeczności zasłonił słuchawkę dłonią. — Nie — odrzekł, kiedy umilkło echo jego śmiechu. — Nie sądzę, aby był to powód do niepokoju, nie mówiąc już o odwoływaniu czegokolwiek. Drogi przyjacielu, to byłoby nie do pomyślenia. — Przerwa. — Słucham? Ach tak, zgadzam się, to niefortunny wypadek, jednak mamy tu do czy-

186
nienia z laserami i materiałami wybuchowymi, nie z operacją neurochirurgiczną. Niełatwo precyzyjnie przewidzieć skutki.

Znowu słuchał, tym razem nieco dłużej.

— Już omawialiśmy tę kwestię — powiedział w końcu. — Nie dalej, jak w ubiegłym tygodniu, jeśli mnie pamięć nie myli. — Mówił głosem opanowanym, wręcz poufałym, niczym człowiek światowy do osoby równie dystygowanej. — Pozwolę sobie powtórzyć to, co powiedziałem: nie ma powodu do obaw. Czas, jaki poświęciliśmy na usunięcie wszelkich niedociągnięć i dopracowanie szczegółów, nie poszedł na marnie. Wzięliśmy pod uwagę każdą ewentualność, przeanalizowaliśmy każdy możliwy rezultat, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Trzeba trzymać nerwy na wodzy. Nasze zwątpienie jest zdrajcą, który odbiera nam korzyść, budząc w nas trwogę przed działaniem*.

Zaśmiał się. Nagle głos gruntownie mu się zmienił, stał się zimny, protekcyjny i pełen rezerwy.

— Nie wątpię, że pamiętasz, co jeszcze powiedziałem. Było to niemiłe i bardzo bym nie chciał tego powtarzać. Doszliśmy do punktu, w którym nie ma już odwrotu. Za późno na wahanie. Pamiętaj, że wystarczy jedno słowo wypowiedziane w odpowiednie ucho, aby cię wystawić, aresztować i zamknąć na resztę życia w jednej celi ze współlokatorami, którzy potrzebują jak to określić...? Rozrywkowego towarzystwa. Co nie znaczy, że sprawy zaszłyby aż tak daleko. Moi współnicy znaleźliby znacznie szybszy i radykalniejszy sposób na wyrażenie swego niezadowolenia. — Równie nagle jak się pojawił, złowrogi ton z jego głosu zniknął. — Ale naturalnie nic takiego się nie zdarzy. Wykonałeś już swoją ciężką pracę. Prawdę mówiąc, twoim zadaniem teraz jest nicnierobienie. Czyż to nie urocza ironia?

Wyłączył komórkę i pozwolił, aby upadła na stół. Potem sięgnął ręką do kieszeni marynarki i wyciągnął radio. Wcisnął kod, wybrał częstotliwość.

— Twardziel, tu Czynniki Pierwsze — powiedział. Wyrafinowany akcent, którym się posługiwał w poprzedniej rozmowie,

* William Shakespeare Miarka za miarkę, akt II, scena 1, przeł. Maciej Słomczyński.

zniknął. — Wiadomość dostarczona o trzynastej czterdzieści pięć. Odbiór o czternastej piętnaście, zgodnie z planem. Jednakże dowiedziałem się właśnie o drobnym kłopotcie. W parku jest dzisiaj pewien facet, nazywa się Andrew Wame. Zdaje się, że to on zaprojektował tu metasieć i sprowadzili go, żeby ją naprawił. Miał przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu, ale zjawił się wcześniej. Nie, nie wiem dlaczego. Ale nie możemy pozwolić, żeby nam tu zaglądał pod kamienie i wynajdywał robaki. Królewna Śnieżka zdobędzie dla mnie jego rysopis i informację, gdzie go można znaleźć. Puszczę je w obieg. Zrób, co trzeba, żeby się pozbyć zagrożenia. Twórcze szczegóły pozostawiam twojej inwencji. Bez odbioru.

Doe opuścił radio, rozglądając się po odosobnionym pomieszczeniu. Z oddali dochodziły ciche odgłosy dziecięcego śmiechu z trasy Galaktycznej Podróży. Po chwili spojrzął w dół na radio, wziął je ponownie do ręki, przełączył częstotliwość i podniósł do ust.

— Bawół, tu Czynniki Pierwszy, słyszysz mnie?

W mikrofonie rozległ się skrzek i zgrzyt zakłóceń.

— Słyszę.

— Jaka u ciebie pogoda?

— Słonecznie. Zero szans na opady atmosferyczne.

— Przykro mi to słyszeć. Słuchaj, gra się zaczęła. Możesz złożyć jaja, kiedy będziesz gotowy.

— Rozumiem. Bez odbioru.

Radio umilkło. Doe wsunął je z powrotem do kieszeni lnianej marynarki, potem skrzyżował ręce na piersi i rozparł się na „łóżu westchnień”, machając z zadowoleniem nogami.

13.52

Mężczyzna na szczycie skały opuścił powoli radio, ale tym razem zamiast zatknąć je z powrotem za pas, włożył do torby, tuż obok grubej, zniszczonej książki w miękkiej oprawie. Na chwilę zatrzymał wzrok na tytule. W poszukiwaniu straconego czasu, tom pierwszy. Pod wpływem nagłego impulsu wyjął książkę i przebiegł palcami po brudnych kartkach do strony z zagiętym rogiem, którą zaznaczył kilka chwil temu.

Bawół nie należał do moli książkowych. W młodości często wpadał w kłopoty, nie miał wiele czasu na czytanie. Pewnego dnia w poprawczaku podczas mszy duchowny wygłaszał kazanie. Mówił chłopcom, że książki otwierają drzwi do nowych światów. Bawół nie słuchał, ale później, kiedy jako strzelec wyborowy w piechocie morskiej siedział całymi godzinami ukryty w miejscach, gdzie nie było nic poza niekończącym się czasem, zaczął wracać myślami do tamtej mszy i rozmyślać nad owymi nowymi światami.

Praca w cywilu ma jedną zaletę: można czytać na służbie.

Postanowił, że jeśli już ma przeczytać książkę, to musi być odpowiednio długa. Trudno mu było zrozumieć, po co ludzie zadają sobie trud i trawią czas na czytanie czegoś, co skończy się po kilkuset stronach. Trzeba potem brać następną i zaczynać wszystko od nowa: uczyć się nowych imion, wyobrażać sobie nową historię. To takie niewydajne. Bez sensu.

Tak więc przeprowadziwszy stosowne obliczenia w księgami

189

w Denver, zdecydował się na Prousta. W poszukiwaniu straconego czasu z trzema tysiącami trzystoma sześćdziesięcioma pięcioma stronami było z pewnością wystarczająco długie.

Wyrwał go z zamyślenia jakiś pustynny ptak. Włożył książkę z powrotem do torby, a wyjął z niej lunetę i karabin M24. Obrócił się w swojej płytkiej niecce i skierował lunetę na wielką kopułę Utopii. Prześliznął się przez niezliczone szklane wielokąty, aż w końcu znalazł odpowiedniego pracownika obsługi. Mężczyzna przeszedł właśnie nad szerokim czarnym klinem w kształcie półksiężyca, który tworzył sklepienie Kallisto.

Mruknął do siebie. To dobrze. To doskonale.

Odłożył lunetę, wziął do ręki karabin i nakręcił tłumik, a następnie przyłożył celownik do oka i skierował go na kopułę. Celownik Leupold M3 Ultra wyposażony był w podświetlaną siatkę celowniczą z krzyżem i wbudowany kompensator obniżania lotu pocisku. Trzymał celownik w worku tuż przy manierce, dzięki czemu metal był teraz chłodny i wygodnie przylegał do kości oczodołu.

Powoli przeszukiwał kopułę. John Doe powiedział mu, że w czasie drugiej wojny światowej japońscy snajperzy wchodzili na drzewa ze stalowymi hakami, przywiązywali się do pnia i tkwili tak kilka dni, czekając na cel. Bawół to rozumiał. W czynności wyczekiwania na cel było coś, co podnosiło na duchu. Nie dałoby się tego wytłumaczyć komuś, kto nigdy tego nie robił. Zupełnie niespodziewanie świat kurczył się do tego maleńkiego kręgu na końcu tunelu. Jeśli wszystko się dobrze przygotowało, można było zapomnieć o całej reszcie i myśleć tylko o tym małym kółeczku. To niezmiernie upraszczało sprawę.

Wrócił myślami do Johna Doe. Jeśli chodzi o dowódców, Bawół był wyjątkowo wybredny, lecz referencje Johna Doe były bez zarzutu, a jego zdolności przywódcze i taktyczne docenił wielokrotnie podczas sześciu udanych operacji. Jak na cywila wykazywał rzadkie zrozumienie dla anonimowości, którą cenił sobie taki wolny strzelec jak Bawół.

Z drugiej strony John Doe nie zawsze był cywilem.

Delikatnie przesunął karabin i pracownik Utopii znów pojawił się w celowniku przybliżony dziesięciokrotnie. Szedł wąskim,

190

poziomym pomostem na wysokości mniej więcej jednej trzeciej kopuły, ostrożnie stawiając nogi. U jego pasa wisiał elektroniczny notatnik. Bawół obserwował, jak mężczyzna dochodzi do ramy łączącej szyby, jak odczepia linkę, przypina ją do rurki zamontowanej na następnej szybie i omija metalowe złącze. Ruszył dalej, przystanął, po czym sięgnął do notatnika i coś wstukał — być może znalazł pękniętą szybę. Następnie mszył dalej. Bawół śledził go przez celownik.

Przy następnym złączu szyb kładkę rozdzielała metalowa drabinka biegnąca w górę i w dół po wypukłej powierzchni kopuły. Robotnik przypiął linkę do drabinki i zaczął ostrożnie schodzić pomiędzy czarnymi płytami szkła. Coś w tym mężczyźnie nasunęło Bawołowi skojarzenie z Proustem, może biały kombinezon. We wstępie do książki napisano, że Proust lubił się ubierać na biał.

Doszedł w pierwszym tomie do miejsca, gdzie autor opisywał starą ciotkę. Jej przestrzeń życiowa stopniowo się kurczyła, aż wreszcie kobieta zamknęła się w dwóch pokojach swego mieszkania. To również Bawół potrafił zrozumieć. Z jego babcią działo się to samo. Oczywiście całe jej obskurne mieszkanie składało się z dwóch pokoi, ale kiedy się zestarzała, w ogóle ich nie opuszczała, tak jakby za drzwiami rozciągał się inny wszechświat, którego należało się bać i unikać. Jeśli ktoś chciał zobaczyć, jak się miewa, zapytać o zdrowie lub poczęstować zupą musiał do niej przyjść. Proust opisywał swoje odwiedziny u ciotki, o tym, jak robił jej herbatę z lipowego kwiecia. Bawół też kilka razy odwiedził swoją babcie, a potem przestał. Zastanawiał się, jak smakowała herbata z lipowego kwiecia.

Z początku, kiedy zaczął czytać tę książkę, wydawała mu się kompletnie bez sensu. Z tego, co mógł zrozumieć, jakiś Francuz głądził o swoim dzieciństwie. Kogo, do cholery, obchodzi, jak długo facet zasypiał, kiedy był dzieckiem? Potem Bawół dostał wyjątkowo długie i nużące zadanie niedaleko granicy z Meksykiem. Postanowił dać książce jeszcze jedną szansę. Kawalek po kawalku, wspomnienie po wspomnieniu życie Prousta nabierało kształtu i struktury. A potem wydało mu się, że rozumiał.

191

Może ksiądz miał rację, może każda książka naprawdę otwiera drzwi do innego świata.

Robotnik zszedł z drabiny i stąpał teraz ostrożnie innym pomostem, nieco ponad dziesięć metrów nad skarpą. Bawół usadowił się starannie w szczelinie, rozłożył szeroko nogi, wbił się palcami w twardą ziemię. Oparł dwójnog na małej półeczce skalnej na brzegu niecki i upewnił się, że stoi stabilnie. Jedną dłonią uchwycił łożę karabinu, drugą odblokował bezpiecznik i wsunął palec w kabłąk spustowy. Wziął głęboki oddech, potem drugi.

Robotnik odpiął linkę i przeszedł na drugą stronę spojenia szyb, do następnego okna. Bawół wyliczył moment strzału między uderzeniami serca i nacisnął spust dokładnie wtedy, gdy mężczyzna sięgał, aby ponownie przypiąć linkę do uchwytu. Trafiony podrzucił głową jakby ktoś zawołał go po imieniu. Przez celownik Bawół obserwował czerwony wykwit rozprzestrzeniający się na białej tkaninie. Nie odrywając oka od celownika, automatycznie przeładował karabin, gotowy

oddać w razie potrzeby drugi strzał, ale nie było to potrzebne — nabój grzybkował w ciele ofiary jak należy i zniszczył wszystkie najważniejsze narządy. Mężczyzna zsuwał się głową do dołu po czarnej powierzchni kopuły.

Bawół obserwował go przez celownik, dopóki ciało nie wpadło do płytkiego zagłębienia u podstawy kopuły. Było tam prawie niewidoczne, jedna ręka otaczała duży kamień, jakby leżący rozciągnął się, aby uciąć sobie drzemkę. Bawół obserwował go przez kilka minut. Wreszcie odjął celownik od oka. Na czarnym tle dachu Kallisto nie dostrzegł nic niepokojącego. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Wsunął karabin z powrotem do torby i pociągnął duży łyk wody z manierki. Wyjął rządowy model czterdziestkiąpiątki, którą wsunął do kabury pod ramieniem, następnie radio i wyładowany plecak. Na końcu wyciągnął dwa pasy oporządzeniowe w kolorach maskujących, z pękatymi kieszeniami. Kucając na dnie niecki, zapiął je wokół talii i obrócił się z powrotem do torby. Zawahał się z ręką na zamku błyskawicznym, spoglądając z żalem na książkę.

Po chwili pociągnął za zamek, podniósł się ostrożnie i ruszył po kamienistej skale w stronę kopuły.
13.55

Sarah Boatwright siedziała za biurkiem z magnetofonem na mikrokasety w ręku. Tuż obok niej stał Fred Barksdale. W milczeniu słuchali spokojnego, miłego głosu Johna Doe.

— Słuchaj uważnie, Sarah — mówił John Doe. — Dokładnie o drugiej piętnaście powiadomisz obsługę Podróży Galaktycznej, aby wysłali w trasę pięć pustych wagoników. Włóżysz pakunek do środkowego. Kiedy wagoniki dojadą do zakrętu przy Mgławicy Kraba, operator zatrzyma kolejkę dokładnie na dziewięćdziesiąt sekund. Powtarzam: dziewięćdziesiąt sekund. Potem może ją ponownie uruchomić. Pod każdym innym względem życie w parku ma się toczyć jak zwykle. Odezwę się do ciebie, kiedy sprawdzę zawartość paczuszki. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, więcej się nie usłyszymy.

Zapadła krótka chwila ciszy, w czasie której rozlegał się tylko cichy terkot kasety.

— Sarah, czy zapamiętałaś wszystko, co powiedziałem? To bardzo ważne, żebyś wszystko dokładnie zrozumiała.

— Zrozumiałam.

— Proszę, abyś wszystko powtórzyła.

— O drugiej piętnaście wysyłamy pięć pustych wagoników w Podróż Galaktyczną.

Zostawiamy dysk w środkowym. Kiedy wagoniki dojadą do Mgławicy Kraba, zatrzymujemy kolejkę na dziewięćdziesiąt sekund.

— Bardzo dobrze. Chyba nie muszę ci przypominać, że nie

193

życzymy sobie żadnych sztuczek. To nie pora na popisy przebiegłości. Kod źródłowy, ostatnie iteracje. I żadnych bohaterskich wyczynów. Jasne?

— Tak.

— Dziękuję, Sarah. A teraz zapewne chciałabyś już rozpocząć przygotowania. Czeka cię pracowite pół godziny.

Sarah wyłączyła magnetofon i odwróciła się, żeby go położyć przy filiżance z herbatą. Doszedł ją delikatny zapach wody kolońskiej Barksdale'a. Jak zawsze z niewiadomego powodu kojarzył jej się z tweedem, koźmi i polowaniem. Fred wpatrywał się w magnetofon z dziwnym, nieobecnym wyrazem twarzy.

— Czy na twoim odcinku wszystko gotowe? — spytała.

Na dźwięk jej głosu Barksdale się ocknął. Skinął głową.

— Kiedy wprowadzimy wszystkie trzy klucze, protokoły zabezpieczeń będą zadowolone.

Wtedy skopiujemy zdekodowane procedury na płytę. Potem przeniosę pozostałe pliki.

Podejrzewam, że chcesz założyć zabezpieczenia na dysk, aby nie dało się go skopiować.

— Oczywiście.

— Dobrze. Wprowadzenie przy zapisywaniu kilku zamierzonych błędów odczytu zajmie trochę czasu, ale mimo wszystko zmieścimy się w dziesięciu minutach.

— A co z tą drugą sprawą?

— Słucham? Ach, tak. — W jego błękitnych oczach zamajaczyło zakłopotanie. — Najwyraźniej ktoś, kto za tym wszystkim stoi, bardzo dobrze zna nasz system. I ma dostęp do wszystkich miejsc na terenie parku.

— Ile osób z twojego zespołu ma takie możliwości?
Barksdale sięgnął do marynarki i wyciągnął złożoną kartkę.
Jego mchy jak zawsze były powściągliwe i pełne gracji.

— Aby włamać się do metasieci, ominąć systemy ostrzegania o włamaniu, przeprogramować przepustki, dostać się do protokołów zabezpieczających Tygla? Osiem osób. Ze mną dziewięć. Oto lista.

Sarah rzuciła okiem na nazwiska.

— Ilu z nich jest dzisiaj w parku?

194

— Sześcioro. Zlokalizowałem wszystkich poza Tomem Tib-baldem. Nikt go nie widział od rana.

— Przepisz tę listę i daj Bobowi Allocco, dobrze? I powiedz mu, żeby zaczęli szukać Tibbalda, ale po cichu. Lecz najpierw skopiuj ten dysk. Emory czuwa w Nowym Jorku. Jak będziesz gotowy, zadzwoń do nas po klucz.

Barksdale kiwnął głową i pogładził ją przelotnie po policzku. Z jego twarzy nie znikło zakłopotanie.

— O co chodzi, Fred? — spytała.

— Nic takiego. — Zawahał się. — Chciałem cię spytać, czy wysłałaś robota z Wieży Gryfów do Andrew Wame'a.

— Bob miał się tym zająć. Czemu pytasz?

— To nic ważnego. — Potarł dłonią brew. — Ta lista skłoniła mnie do refleksji. Czy to nie powinno poczekać?

— Co?

— Wtajemniczanie Wame'a. Wydaje mi się, że to trochę niestosowna pora. Ma tu swoje zadania i one nie są zbieżne z naszym. Pamiętaj, co powiedział Szekspir: Miłując wszystkich, ufaj nie każdemu*, nie na odwrót.

— Chyba nie sugerujesz, że Andrew może być zamieszany w coś takiego? Metasieć to jego dziecko. Widziałeś jego minę dzisiaj rano. — Zerknęła na niego z ukosa, po czym wbrew wszystkiemu uśmiechnęła się. — Wie pan co, panie Fredericu K. Barksdale'u? Wydaje mi się, że jest pan co nieco zazdrosny o mojego byłego narzeczonego. — Przynęła się do niego bliżej. — Mam rację? Jesteś zazdrosny?

Odpowiedział jej spokojnym wzrokiem.

— Nie. Przynajmniej na razie.

Wzięła go za rękę i pogładziła po dłoni.

— Masz osobliwe poczucie czasu.

Barksdale odwrócił wzrok.

— Może po prostu pewne sprawy mnie zastanowiły. Jego powrót. Czy gdyby nie było mnie w zasięgu wzroku, myślisz, że moglibyście...

* William Shakespeare Wszystko dobre, co się dobrze kończy, akt I, scena 1, przeł. Stanisław Barańczak.

195

Dłoń Sarah znieruchomiała.

— Jak możesz w ogóle o to pytać? Mam teraz ciebie, nie chcę nikogo innego.

Ujęła jego drugą dłoń i przyciągnęła go do siebie. Ale z twarzy Freda nie znikła zakłopotana mina. W tym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Andrew Wame. Sarah pomyślała, że zjawił się niczym duch, którego przywołali swoją rozmową. Przeniósł wzrok z niej na Barksdale'a, a potem na ich splecione dłonie. Bolesny skurcz przebiegł przez jego twarz, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Nie chciałem popsuć randki — powiedział od drzwi.

•— To nie jest żadna randka — odparła swobodnie Sarah, puszczać dłoń Barksdale'a. — Fred właśnie wychodził. — Odwróciła się do niego — Spotkamy się w przedsiönku Galaktycznej Podróży dziesięć po drugiej. Dokładnie dziesięć po, dobrze?

Szef działu systemów ponownie skinął głową i ruszył do drzwi. Sarah obserwowała, jak obydwaj mężczyźni wymieniają przelotne spojrzenia.

Za Warne'em do pokoju wtoczył się Wingnut tak niespodziewanie, że Fred musiał odskoczyć, żeby zejść mu z drogi, i omal nie wywrócił się jak długi na korytarzu. Za robotem szła Teresa Bonifacio, krótkie czarne włosy, kołysząc się, opadały jej na twarz. Zwykle na jej ustach majaczył delikatny, ukradkowy uśmiech, jakby w skrytości ducha knuła jakiś figiel, tym razem jednak na obliczu Teresy próżno było szukać nawet śladu wesołości.

— Przepraszam, że przerwałem intymny moment — rzekł Wame, podchodząc do Sarah.

— Wcale nie był taki intymny — odparła Sarah, wracając za biurko.

— To taki miły mężczyzna — dodał Andrew. — Cieszę się, że jesteście szczęśliwi.

Sarah popatrzyła na niego zdziwiona. Znała te uniesione badawczo brwi. W Carnegie-Mellon wyglądał w takich chwilach jak osa w chmarze ciem — niepokorny geniusz, czarna owca robotyki, twórca kontrowersyjnych teorii i wybitnych dzieł. Dzisiaj rano jednak zobaczyła innego Andrew Warne'a: człowieka

196

atakowanego, przypartego do muru ostrzałem oskarżeń. A ten ponury sarkazm był czymś zupełnie nowym.

— Drew, nie mam teraz na to czasu — rzekła.

Terri przenosiła wzrok z jednego na drugie.

— Skoczę do bufetu na jakąś kawę — oznajmiła.

— Nie. Zostań. Ze wszystkich osób ty najbardziej zasługujesz, żeby to usłyszeć. — Wame przyciągnął sobie krzesło i usiadł, zanosząc się śmiechem. — Spojrzał z powrotem na Sarah. — Ty nie masz teraz na to czasu? Dobry Boże.

Długo pobrzmiwały te gorzkie słowa w chłodnym powietrzu.

— No dobrze — powiedziała Sarah. — Słucham, co mi chcesz powiedzieć.

— Zwabiasz mnie tu za pomocą jakieś wyssanej z palca historyjki. Potem sadzasz w sali konferencyjnej i urządzasz pokaz cyrkowy o tym, jak metasieć się brzydko zachowuje. I nawet obwiniasz mnie za to, wywołujesz u mnie wyrzuty sumienia za biednego chłopca okaleczonego na Notting Hill. A potem każesz mi wyciągnąć wtyczkę.

Patrzyła, jak pochyla się nad biurkiem.

— I wylewając na mnie te kubły pomyj, nie miałaś dość przyzwoitości, żeby mi powiedzieć, co tu jest grane. Zamiast wspierać rozwój robotyki w Utopii, kastrowałaś ją z każdej możliwej strony. Narazałaś cały program, podcinałaś Terri skrzydła.

— Ja mu nie kazałam tego mówić — wtrąciła się Terri.

Sarah popatrzyła na nią przez chwilę, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Wame'a.

— Wcale mi się nie podobał sposób, w jaki cię tu ściągnęliśmy, Andrew. To była decyzja zarządu głównego. A co do robotyki, to wielka szkoda, ale to jest interes, a nie instytut naukowy. Powiedziałam ci to, kiedy ci dałam Wingnuta. Istota leży w liczbach.

Podniosła filiżankę do ust i zerknęła na zegarek. Pierwsza pięćdziesiąt siedem.

— Jasne, liczby. Nightingale przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, jak księgowi i ankieterzy rządzą jego parkiem. — Znowu roześmiał się ponuro. — Wiesz, w innej sytuacji to by nawet

197

mogło być zabawne. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że z meta-siecią jest wszystko w porządku, czego nie można powiedzieć o tym waszym przeklętym parku.

Sarah opuściła filiżankę i przyjrzała mu się uważnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— O, Barksdale miał po części rację. Metasieć rzeczywiście robiła te wszystkie rzeczy,

zmieniała procedury robotów i tak dalej. Ale po części się również mylił, ponieważ sieć nie przesyłała maszynom swoich instrukcji, tylko czyjeś. — Ponieważ Sarah milczała, Andrew ciągnął: — Powiem ci, jak to działało. Ktoś w parku, nazwijmy go panem X, pisał instrukcję, która kazała jakiemuś robotowi zachowywać się nieodpowiednio. Dołączał ją do pozostałych poleceń metasieci. Następnego ranka sieć jak zawsze przesyłała robotom materiał, tylko że obok standardowych aktualizacji i patchów przekazywała konkretnym robotom również program pana X. I konkretny robot zachowywał się niegrzecznie. Oczywiście sporządzony był natychmiast raport na temat zdarzenia, tylko że pan X dopilnował, żeby nazajutrz rano robot dostał już normalny program. Zatarł za sobą ślady, wydając metasieci instrukcje, aby nie zapisywała danych o dokonywanych zmianach. Tak więc kiedy zjawiał się zespół mający zbadać nieprawidłowe zachowanie robota, ten sprawiał wrażenie, jakby nic mu nie dolegało, jakby padł jedynie ofiarą urojonego błędu sieci. — Zerknął na Terri. — Jak mi idzie?

Dziewczyna uniosła do góry oba kciuki.

— Jedynym wyjątkiem, kiedy sprawy potoczyły się inaczej, był wypadek na Notting Hill, a to dlatego, że fiksujące roboty natychmiast odłączono od metasieci i pan X nie miał możliwości przywrócić normalnego oprogramowania.

Popatrzył na Sarah.

— Czemu nie wyglądasz na zaskoczoną?

Sarah jednak myślała szybko.

— Przyjmijmy na moment twoją hipotezę. Znasz metasieć lepiej niż ktokolwiek inny. Czy potrafiłbyś pójść śladem tego włamania? Czy mógłbyś się dowiedzieć, którym robotom wprowadzono zmiany i... czy któreś nadal nie mają wadliwych instrukcji?

198

Warne nie podniósł wzroku.

— Możliwe. To by zajęło trochę czasu. Wpadłem na ten trop z powodu braku... — Urwał i przyjrzał się jej uważnie. — Zaraz, zaraz, ja znam to spojrzenie. Ty coś wiesz, prawda? Coś przede mną ukrywasz.

Sarah zerknęła na listę prawdopodobnych kretów, którą sporządził Barksdale. Nazwisko Teresy Bonifacio widniało na trzecim miejscu.

— Sarah, odpowiedz mi. Do cholery, co tu się dzieje?

Myśli Sarah galopowały w oszałamiającym tempie. Wame

mógłby być wyjątkowym sojusznikiem, zdolnym do kontrataku, zdolnym uderzyć w tych drani tam, gdzie się tego najmniej spodziewają. Jeszcze raz zerknęła na listę. Mogła odesłać gdzieś Terri, ale Wame prawdopodobnie i tak by jej powiedział. Poza tym prawdopodobnie nie dałby rady zrobić tego sam, w każdym razie nie tak szybko. Potrzebował pomocy.

Sarah zawsze odnosiła się z dezaprobatą do niepokornej postawy Terri, do jej buntowniczych skłonności, nawyku wypowiadania własnych opinii, nawet kiedy jej nie pytano. Intuicja jednak podpowiadała jej, że dziewczyna nie zdradziłaby pracy, którą kochała. A Sarah wierzyła swojej intuicji.

— Tereso, zamknij drzwi — powiedziała cicho.

Odczekała, aż dziewczyna wróci.

— To, co mam wam do powiedzenia, musi być zachowane w absolutnej tajemnicy. Absolutnej. Rozumiecie?

Patrzyła, jak tamci wymieniają spojrzenia. Skinęli głowami.

— Utopia została zakładnikiem.

Wame zmarszczył brwi.

— Co takiego?

— W parku działa banda zbirów. Nie wiemy, ilu ich jest. Pamiętasz tego faceta, który przyszedł do mojego gabinetu, kiedy wychodziłeś? Nazywa siebie John Doe. Jest ich przywódcą. Sabotowali roboty, prawdopodobnie dokładnie w taki sposób, jak opisałeś. Sugerują też, że podłożyli ładunki wybuchowe w różnych miejscach parku. Może zagrożenie jest realne, a może nie, ale musimy przyjąć, że tak. Mamy im przekazać kod źródłowy Tygła, naszej holograficznej technologii, w

przeciwnym razie...

199

Warne pobladł. Nie odrywał wzroku od jej twarzy.

— Co w przeciwnym razie?

Sarah nie odpowiedziała. Przez moment nikt się nie odzywał, nikt nawet nie drgnął. Nagle Wame zerwał się na równe nogi.

— Boże, Sarah, przecież gdzieś tam w parku jest Georgia!

— Za piętnaście minut przekazemy im płytę. Obiecali, że nikomu nie stanie się krzywda. Drew, gdyby udało ci się znaleźć roboty, przy których majstrowali, moglibyśmy...

Ale Wame nie słuchał.

— Muszę ją znaleźć — powiedział.

— Drew!

— Jak ja ją znajdę, do diabła?! — krzyczał, pochylając się nad biurkiem. — Musi być jakiś sposób. Pomóż mi, Sarah!

Sarah patrzyła na niego przez chwilę. Potem zerknęła na zegarek. Druga.

— Możemy znaleźć ją po znaczku — wtrąciła się Terri.

Wame obrócił się do niej szybko.

— Po znaczku?

— Każdy gość dostaje przy wejściu znaczek, który przypina się do ubrania i który powinien nosić w parku. Każdy znaczek ma w środku niepowtarzalną wielobarwną naklejkę, dzięki niej możemy go zidentyfikować i odnaleźć na terenie Utopii.

Wame spuścił wzrok na stylizowanego ptaka tkwiącego w klapie jego marynarki. Potem odwrócił się do Sarah.

— To prawda?

Sarah patrzyła na niego bez słowa. Czowała, jak szansa wymyka jej się z rąk. Westchnęła z żalem i odwróciła się do komputera. Musi to zrobić szybko.

— W całym parku są zamontowane kamery, które robią zdjęcia gościom i personelowi — powiedziała, wystukując komendy na klawiaturze. — Codziennie wieczorem komputery rozwiązują algorytmy rozpoznawania twarzy ze zdjęć i selekcjonują fotografie gości. Przetwarzamy je potem razem z kartami, którymi goście płacą za jedzenie czy upominki. Odpowiednie programy pozwalają nam śledzić i analizować ruch turystów w różnych miejscach parku, wzorce zakupów i tym podobne.

200

Kiedy Warne słuchał, jego wzrok nieco się uspokoił.

— Wielki Brat czuwa, co? — zauważył. — Ale ja nie narzekam. No, dalej, znajdziemy ją.

Sarah wstukała następne komendy.

— Uruchamiam aplikację do wyszukiwania etykietek identyfikacyjnych — poinformowała. — Wprowadzę nazwisko Georgii.

Czekali chwilę.

— Dobrze, znalazłam jej identyfikator. Zrobię teraz analizę chronologiczną obrazów z kamer. Znów czekali, tym razem dłużej.

— Czemu to zajmuje tyle czasu? — spytał niecierpliwie Wame.

— Zadaję im dodatkowe zadanie, wymagające dużej mocy obliczeniowej. Zwykle robimy to tylko wieczorem, kiedy komputery mają mniej zadań związanych z działaniem parku.

Na jej monitorze pokazało się nowe okno z krótką listą w środku.

— O, jest — powiedziała.

Wame i Terri stanęli za jej plecami.

— Nie rozumiem tych skrótów — stwierdził Andrew.

— Za cztery druga Georgia była w Kallisto, w Pierścieniach Saturna. — Obróciła się do niego.

— Pięć minut temu.

Wame patrzył na nią przez chwilę w skupieniu, stropionym wzrokiem, po czym odwrócił się i wybiegł z pokoju.

— Zaczekaj! — zawołała za nim Terri. — Idę z tobą.

I ona także znikła z gabinetu. Zaskoczony Wingnut okręcił się w kółko i już się przymierzał, aby popędzić za tamtymi.

— Wingnut, stój! — rozkazała Sarah. — Zostań ze mną.

Robot się zatrzymał. Powoli, zawodząc z frustracji, wrócił

do pokoju. Sarah przez jakiś czas wpatrywała się w otwarte drzwi, po czym zacisnęła powieki i zaczęła je masować. Z komputera doszedł głośny sygnał. Zerknęła na monitor. Dziwne, ktoś jeszcze wchodził do programu wyszukiwania identyfikatorów.

Wstała, wkładając radio Johna Doe do kieszeni. Nie ma czasu, musi natychmiast iść do Galaktycznych Podróży. Mimo to zwle-

201

kała jeszcze zaciekawiona. Zerknęła znowu na ekran. Poza nagłymi wypadkami nikt nie miał prawa uruchamiać tej aplikacji, kiedy park był otwarty.

Usiadła z powrotem na krześle. Położyła dłoń na myszy i prześliznąwszy się po kilku oknach poleceń, wyświetliła anonimowe żądanie we własnym oknie. Zesztywniała ze zdumienia. Ktoś, kto wszedł do programu, szukał w Utopii Andrew Wame'a.

14.10

— Jedyna kolejka w Utopii bez kamer wideo — zauważył Bob Allocco, przebijając się przez prawdziwą kaskadę odgłosów wypełniających główną halę Kallisto. — Niech ktoś mi spróbuje wmówić, że to przypadek.

Stali w świetlicy z łagodnie profilowanymi ławkami z pleksi-glasu i palmami w doniczkach o dziwnych, kosmicznych kształtach. Była to oaza względnego spokoju nieopodal portalu wejściowego do Podróży Galaktycznej.

— Jedenaście po — rzekła Sarah, zerkając na zegarek. — Fred powinien już być.

Jakby na ten znak zauważyła Barksdale'a biegnącego halą, lawirującego między spacerującymi grupkami zwiedzających. Kiwnęła ręką na Peggy Salazar, kierowniczkę Podróży Galaktycznej, która stała w pobliżu.

— Wszystko gotowe? — spytała, kiedy kobieta podeszła.

Salazar skinęła głową.

— Wy tłumaczyłam wszystko operatorowi kolejki. Był trochę zaskoczony.

Popatrzyła badawczo na Sarah.

— Niespodziewany próbny alarm. Zarząd główny chce, żeby pracownicy byli w każdej chwili gotowi na wszystko. Człowiekowi wystarczy tydzień pracy według jednego utartego schematu, żeby popadł w rutynę.

Salazar skinęła powoli głową jakby próbowała to przetrwać.

203

Sarah jeszcze raz rozejrzała się szybko dookoła. Świadomość, że John Doe jest gdzieś w pobliżu, wyostrzyła jej zmysły, a serce biło szybciej. Dłonie same zacisnęły się w pięści.

— Chodź — powiedziała do Allocca. — Lepiej wejdźmy do środka.

Przeszli przez halę, minęli portal wejściowy do Galaktycznej Podróży i stanęli w przedsionku z dala od kolejki czekających, tak aby nie rzucać się w oczy. Sarah obserwowała, jak pracownik wprowadza do czekającego wagonika kobietę z trojgiem małych dzieci, po czym opuszcza poręcz zabezpieczającą. Nie widziała twarzy mężczyzny, ale była pewna, że nie jest zachwycony pracą pod okiem swojej bezpośredniej przełożonej i jednocześnie szefowej parku.

Podobnie jak w innych kolejkach Utopii, przedsionek służył dwóm celom: po pierwsze pełnił funkcję poczekalni, po drugie miał dać przedsmak tego, czego pasażerowie mogą się spodziewać w czasie podróży. Projektanci Utopii przekonali się już dawno temu, że nie ma najmniejszego znaczenia, ile znaków ostrzegawczych umieści się przed wejściem do najbardziej niebezpiecznych kolejek w parku, takich jak Lot na Księżyc czy Notting Hill, rodzice i tak będą zabierać na nie nawet małe dzieci, a potem narzekać, że ich maluchy tak okropnie się przeraziły.

Wyjściem z sytuacji okazało się przearanżowanie przedsionków. Na pierwszy ogień poszedł największy winowajca, czyli Horyzont Zdarzeń. Aby utrzymać jego wystrój w zgodzie z całym

Kallisto, czołówkę zaprojektowano jako służę nadświetlnego statku kosmicznego. Projektanci Utopii dokonali ostrożnych zmian: w powietrzu rozlegało się dudnienie poza progiem słyszalności, iskrzyły linie elektryczne, podłoga drżała złowieszczo pod stopami. Dzięki temu co mniejsze dzieci, które weszły do przedsionka, przestraszone żądały, aby rodzice zabrali je gdzie indziej. Strategia okazała się tak skuteczna, że można było całkowicie zrezygnować ze znaków ostrzegawczych, które nie harmonizowały z atmosferą Utopii.

Trudno byłoby sobie wyobrazić większą różnicę pomiędzy Horyzontem Zdarzeń a Podróżą Galaktyczną. Jasne, wesołe

204

dekoracje upodabniały ją do przedszkola z odległej przyszłości i zapowiadały dziecięcą wycieczkę w kosmos.

Sarah obserwowała ludzi czekających na wejście. Niektóre najmłodsze dzieci spały, inne brykały niecierpliwie, znudzone czekaniem, ale spragnione atrakcji, którą miały już przed oczami.

Niejednokrotnie towarzyszyło im tylko jedno z rodziców, dorośli bowiem, zwłaszcza ci, którzy raz już odbyli Podróż Galaktyczną nie palili się do powtarzania tego dość nijakiego przeżycia.

Sarah stanął przed oczami Bob Allocco kładący na stole w jej gabinecie paczuszkę z materiałem wybuchowym. Spuściła oczy, aby wyrzucić z myśli ten obraz.

Podszedł do niej Barksdale. Skinął głową Salazar, po czym sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej cienkie pudełko. W milczeniu podał je Sarah.

— Co to? — spytała Peggy.

— To część ćwiczeń — odparła szybko Sarah. — Peggy, czy możesz na chwilę zostawić nas samych?

— Oczywiście.

Kobieta zerknęła ciekawie na całą trójkę i odeszła do dyspozytora.

Sarah popatrzyła na płytę DVD w pudełku. Trudno było uwierzyć, że to cienkie kółko z aluminium i poliwęglanu zawiera najcenniejszą własność Utopii. Na płycie widniała informacja: „Tylko do użytku wewnętrznego” z adnotacją „Chronione prawem patentowym, ściśle tajne” wytłoczoną pod znacznikiem słowika razem z ostrzeżeniem, co grozi osobie, która bezprawnie zrobi z niego użytek. Dała pudełko Alloccowi.

— Powtórzmy to jeszcze raz — powiedziała.

Bob wskazał ręką wejście do kolejki.

— Jak mówiłem, ten facet to szczywany drań. Wybrał na przekazanie płytki Podróż Galaktyczną ponieważ jest to najmniej chronione miejsce w parku. Ale nie wie, że tuż przy zakręcie Mgławicy Kraba, w miejscu, gdzie zatrzymają się wagoniki, znajduje się kryjówka.

— Co się znajduje? — zapytał Barksdale z zaskoczeniem wypisanym na obliczu wielkimi literami. — Kryjówka?

— Szyb konserwacyjny, wystarczająco duży, żeby mogła się

205

tam ukryć jedna osoba. Mój człowiek już tam czeka. Kiedy John Doe weźmie pakunek, mszy jego śladem. Albo, jeśli dopisze nam szczęście, zdejmie go.

Sarah zmarszczyła brwi.

— Ustaliliśmy, że będziecie śledzić Johna Doe, dopóki nie opuści parku. Dopiero potem go aresztujecie.

— Facet jest śliski. Pamiętasz, co się wydarzyło w Ulu? Jeśli się okaże, że pracuje sam, a cała reszta to pic na wodę, powinniśmy skorzystać z okazji, żeby go złapać, póki mamy szansę.

Sarah rozważała słowa Allocca. Gróżb Johna Doe nie można było lekceważyć, musieli brać pod uwagę, że nie żartuje. Jej pierwszym obowiązkiem jest chronienie gości. Lecz perspektywa, że mogą zapobiec temu niebezpieczeństwu, unieszkodliwić łajdaka, zamiast pozwalać mu się włóczyć po parku jak zgubiony niewypał, była bardzo pociągająca. Gniew i oburzenie kotłowały się w niej niezmiennie niczym turbina, a policzek palił w miejscu, gdzie jej dotknął Doe.

— To zbyt niebezpieczne — zaprotestował Barksdale z niezwykłą u siebie gwałtownością.

— Mój człowiek zna się na swojej robocie. To były glina, tak jak ja. Aresztował w życiu setki

takich łajdaków. Ma rozkaz nie ruszać faceta bez stuprocentowej pewności, że się uda. Przy wyjściu ustawiłem drugiego człowieka, jest dobrze ukryty. A Chris Green będzie obserwował operację przy wejściu. To moi trzej najlepsi ludzie. Tworzą razem potrójny ogon. A jeśli będzie okazja, żeby złapać Johna Doe, obezwładnią go i odprowadzą pod eskortą do naszej kwatery.

Allocco kiwnął głową na Greena. Ten odpowiedział mu skinieniem głowy, po czym prześliznął się przez zamaskowane drzwi przy rampie załadunkowej. Nikt z ludzi czekających na wejście do kolejki nawet nie spojrział w jego stronę.

— To nieodpowiedzialne — ciągnął Barksdale. — Nie powinniśmy podejmować takiego ryzyka.

Sarah znowu spojrzała na zegarek: miała sześćdziesiąt sekund na podjęcie decyzji.

— Słuchajcie — powiedział Allocco — wykluczycie interwencję policji, więc do nas należy powzięcie jakichś kroków,

206

póki jeszcze możemy. Przyjmijmy na chwilę, że cała ta sprawa nie jest mistyfikacją. Skąd możemy wiedzieć, co oni naprawdę knują? Kto wie, czego zażądają w następnej kolejności, jakich wezmą zakładników? Jedno wiemy na pewno: John Doe jest ich prowodyrem. Jeśli uda nam się odciąć głowę, reszta cielska zginie. Mamy idealną szansę zgarnąć go bez żadnych ofiar.

— Chcesz wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co się stanie, jeśli go aresztujemy? — spytał Barksdale.

— A ty chcesz wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co się stanie, jeśli pozwolimy mu wałęsać się bezkarnie po parku?

Sarah patrzyła to na jednego, to na drugiego. Wahala się tylko chwilę. Potem odwróciła się do Allocca.

— Twojemu człowiekowi nie wolno aresztować Johna Doe, jeśli nie będzie miał stuprocentowej pewności, że to się uda. Na pierwszy sygnał, że coś się dzieje, cokolwiek, natychmiast odwołujesz swoich ludzi. Nawet jeśli będą go tylko śledzić. Zgoda?

Allocco energicznie pokiwał głową.

— Zgoda.

— W takim razie zaczynamy. — Odwróciła się do Barksdale, który patrzył na nią ze zgrozą.

— Fred, pozwól na chwilę, proszę.

Odprowadziła go kilka kroków na bok.

— Sarah, nie rób tego — powiedział Barksdale.

Jego ciemnobłękitne oczy patrzyły na nią niemal błagalnie.

— Klamka już zapadła.

— Nie wiesz, z czym masz do czynienia, czemu się przeciwstawiasz. Mamy przede wszystkim obowiązek chronić gości. Płacą nam nie tylko za rozrywkę, ale również za bezpieczeństwo. Słowa Barksdale'a, które niczym echo odbijały jej własne wątpliwości, wywołały w Sarah niespodziewanie mieszane uczucia — irytację, zniecierpliwienie, niepewność. Odsunęła to wszystko od siebie.

— Posłuchaj, Freddy — powiedziała półgłosem. — Pamiętasz naszą pierwszą kolację? W Chez Andre w Vegas?

Na wąskiej, przystojnej twarzy Barksdale'a odbiło się zaniepokojenie.

— Oczywiście.

207

— A pamiętasz, jakie wino piliśmy?

Zastanawiał się chwilę.

— Lynch-Bages, rocznik sześćdziesiąty dziewięć.

— Nie, nie, wino deserowe.

Skinał głowę.

— Chateau d'Yquem.

— Tak jest. Nigdy przedtem nie słyszałam o winach deserowych. Myślałam, że wszystkie słodkie wina smakują jak ma-nischewitz.

Barksdale pozwolił sobie na przełomy, chłodny uśmiech.

— Opowiedziałeś mi wtedy o *Botrytis cinerea*, pamiętasz?

Barksdale ponownie skinął głową.

— Szara pleśń. Atakuje skórę winogron, wzbogaca cukry i dzięki niej powstaje najwspanialsze słodkie wino na świecie. Nie mogłam uwierzyć, kiedy mi to opowiedziałeś: grzyb pożądanym przez hodowców. Kazałam ci to powtórzyć dwa razy. — Pochyliła się bliżej i zaczęła się bawić kłapą jego marynarki. — Freddy, mamy w tym parku pleśń. Tu i teraz. Ale nic wspaniałego dzięki niej nie powstanie. Jeśli czegoś z tym nie zrobimy, jeśli okażemy się słabym, łatwym celem, kto zagwarantuje, że coś podobnego wkrótce się nie powtórzy? A potem znowu?

Fred patrzył na nią w milczeniu. Poruszała mu się tylko dolna szczęka. Sarah nacisnęła delikatnie nieskazitelną kłapę jego garnituru. Potem odwróciła się i odeszła w stronę Salazara i Allocca. Kilka chwil później Barksdale ruszył za nią.

Razem podeszli do rampy załadunkowej. Właśnie w wagoniku usadzano Latynoskę z bliźniakami. Sarah odczekała, aż pasażerowie pojedą w swoją podróż.

— Niech pan wyśle dwa puste wagoniki i otworzy trzeci — powiedziała do operatora.

Mężczyzna skinął głową. Jego postarzala twarz wydawała się dziwnie powiększona przez plastikową szybę hełmu.

Dwa wagoniki odjechały w ciemność, a do rampy podjechał trzeci. Allocco podszedł, schylił się, aby zanotować numer wagonika, po czym położył pudełko z płytą na podłodze.

— Proszę go wysłać — poleciła Sarah mężczyźnie i wagonik odjechał.

208

Patrzyła, dopóki nie zniknął z oczu za pograżonym w mroku zakrętem trasy.

— A teraz następne dwa puste — poinstruowała.

Za jej plecami rozległy się niezadowolone pomruki czekających turystów. Sarah się odwróciła, uśmiechnęła się do gości i poleciła pracownikowi, aby kontynuował wpuszczanie pasażerów. Podróż Galaktyczna trwała w sumie sześć minut. Do Mgławicy Kraba puste wagoniki dojadą za cztery minuty.

Sarah odsunęła się na bok i rozejrzała po przedsionku. Gdzieś płakało dziecko, jego głos wznosił się ostro ponad szmery rozmów. Z bocznych drzwi wyszedł pracownik obsługi technicznej. Jak zawsze w miejscach publicznych miał na sobie kostium, tylko kolor słowika wpiętego w skafander kosmiczny wskazywał na jego funkcję. Sarah obserwowała twarze ludzi czekających w kolejce: podniecone, niecierpliwie, znudzone. Wszystko wyglądało zwyczajnie, życie parku toczyłoby się jak co dzień, gdyby nie pakunek jadący wagonikiem w kierunku Mgławicy Kraba. I człowiek czekający w czeluściach sztucznego wszechświata, aby go odebrać.

— Chodźmy do wieży — powiedział Allocco.

Sarah jednak nie mszyła się z miejsca. Przez długą chwilę rozglądała się po jasnym, kolorowym przedsionku. Wreszcie odwróciła się do niego i kiwnęła głową.

xxx

Wieża kontrolna Podróży Galaktycznej była ciasnym pomieszczeniem nawet dla jednego operatora. Trzem dodatkowym osobom, które wcisnęły się do środka, trudno było nawet oddychać.

— Nie mamy zbyt wielu możliwości manewru — powiedział Allocco. — Kolejka jest w pełni sterowana komputerowo. Będziemy musieli odciąć dopływ prądu do magistrali.

Pochylił się nad dyspozytorem.

— Nie spuszczaaj oka z tablicy synoptycznej. Kiedy wagonik numer siedem-cztery-siedem-zero dojedzie do Mgławicy Kraba, masz wyłączyć kolejkę.

Dyspozytor wieży niespokojnie przeniósł wzrok z Allocca na

209

Sarah i z powrotem. Zajadał pistacje, czytając Roquefort dla żółtodziobów i wyraźnie nie spodziewał się wizyty szefostwa.

— Mam włączyć hamulec awaryjny? — spytał.

— Nie, nie. Nie wyłączaj całego zasilania. Uruchom tylko przerwę serwisową.

Dziewięćdziesiąt sekund, nie mniej i nie więcej. Potem włącz ją z powrotem. — Wyjął z kieszeni

radio. — Trzydzieści trzy do Napastnika, jesteś na stanowisku? Dobrze. Nie wolno ci aresztować podejrzanego, powtarzam: nie aresztuj podejrzanego bez stuprocentowej pewności. — Zerknął na Sarah. — Poinstruowałem obserwatorów przy wejściu i wyjściu, aby zachowali ciszę na łączach. Przez dwie minuty w wieży panowało milczenie, podczas gdy wszyscy obecni obserwowali, jak białe numerki wagoników przemieszczają się po rozjarzonych zakrętach wykresu.

— Dziesięć sekund — poinformował dyspozytor.

Allocco znowu podniósł radio do ust.

— Napastnik, odbiór za dziesięć sekund. Przygotuj się.

Tym razem nie opuścił radia. Sarah obserwowała cyfrowy symbol z numerem siedem-cztery-siedem-zero posuwający się powoli po diagramie. Uświadomiła sobie, że podświadomie wstrzymuje oddech.

— Teraz — powiedział dyspozytor.

Pochylając się, rozsypał wokół siebie czerwoną fontannę łupinek po pistacjach, po czym wcisnął guzik na konsoli Galaktycznej Podróży. Rozdzwonił się alarm. Na tablicy synoptycznej wagoniki stanęły, numery zaświeciły się na czerwono i zaczęły mrugać.

— Odliczam dziewięćdziesiąt sekund — mruknął dyspozytor.

Sarah wpatrywała się w numerki siedem tysięcy czterysta siedemdziesiąt, znieruchomiały przy tabliczce oznaczonej jako „Mgł. Krab”. Gdzieś poza wieżą kontrolną w prawdziwym świetle kolejki, w mroku otaczającym pusty wagonik czaili się ludzie. Wzięła głęboki oddech. Tak czy inaczej za niespełna dwie minuty będzie po wszystkim.

— Napastnik? — powiedział do radia Allocco. — Co u ciebie?

— Kontakt wzrokowy — zaskrzeczał głos z radia. — Ktoś jest w wagoniku.

210

— To znaczy wyjmuję coś z wagonika?

— Powtarzam: w wagoniku. Siedzi w środku. Allocco odwrócił się do dyspozytora.

— Na pewno zatrzymał pan właściwy wagonik?

— Absolutnie. — Na dowód mężczyzna wskazał tablicę synoptyczną. — Piętnaście sekund.

— Napastnik? Ilu pasażerów siedzi w wagoniku?

— Chyba tylko jeden.

— Rozumiem. Podejź i sprawdź. Powoli. Sarah położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie. To może być John Doe.

— I co by tam robił, do diabła? Rozkoszował się przejażdżką?

— Czekaj na pułapkę. Żeby sprawdzić, czy czegoś spróbujemy. Allocco patrzył na nią przez chwilę. Potem znowu podniósł radio do ust.

— Napastnik? Odwołuję poprzedni rozkaz. Zostań na stanowisku.

— Czas — powiedział dyspozytor, wciskając następny guzik. Numery wagoników na tablicy przestały mrugać, zmieniły barwę na białą i mszyły z miejsca.

— Co się stało? — spytała Sarah. Allocco zerknął na diagram.

— Myślę, że nasz chłopczyk namieszał w tablicy synoptycznej, tak jak poprzednio w monitorach w Ulu. Przez to zatrzymaliśmy wagoniki w niewłaściwym miejscu. Drań pewnie już zwinął płytę i zwiął. — Podniósł radio. — Alfa, Omega, tu Trzydzieści Trzy. Możliwe, że obiekt przejął już przesyłkę. Utrzymujcie pozycje. Meldujcie, jak tylko coś zobaczycie, ale nie podejmować żadnych działań. Powtarzam: nie podejmować żadnych działań.

— Omega, rozumiem — odezwał się głos. Allocco opuścił dłoń z radiem.

— Płyta już dawno znikła — powiedział nagle zmęczonym głosem.

— Sprawdźmy wyjście z kolejki — odparła Sarah. — Dla pewności.

XXX

211

Kiedy doszli zapleczem do końcowego odcinka Podróży Galaktycznej, pracownik parku pomagał właśnie wsiąść kobiecie z bliźniakami. Sarah słyszała, jak mężczyzna przeprosza pasażerów za

przerwę w podróży.

— Uważajcie — powiedział Allocco do Sarah i Barksdale[^]. — Nie sędzę, żeby John Doe był na tyle głupi, by wyjść spacerkiem z kolejki. Ale w tej chwili nic mnie już nie zdziwi.

Do rampy dla wysiadających podjechały dwa pierwsze puste wagoniki i Allocco mszył w ich stronę. Sarah skinęła na Barksdale[^] i razem poszli za ochroniarzem. „Sarah, nie życzymy sobie żadnych sztuczek. To nie pora na popisy przebiegłości”. Poczuli się nieswojo, co rzadko jej się w życiu zdarzało. Zerknęła przez ramię. Poza kobietą z bliźniakami w korytarzu prowadzącym do głównej hali nie było nikogo.

Kiedy się odwróciła z powrotem, do rampy podjeżdżał właśnie trzeci wagonik. Siedział w nim jeden mężczyzna i na moment Sarah zamarła, myśląc, że to John Doe. Ale pasażer był za niski i zbyt krępy. Pochylał się do przodu, jakby drzemał.

Allocco rzucił się w stronę wagonika. Wtedy Sarah rozpoznała w mężczyźnie Chrisa Greena, pracownika ochrony, który wszedł na teren kolejki od frontu.

Wagonik powoli się zatrzymał, a wtedy Green ciężko osunął się do przodu. Sarah podbiegła do Boba i zajrzała do wagonika, ogarnięta okropnym przecuciem. Pod butem siedzącego ochroniarza leżało plastikowe pudełko, rozgniecione na drobne kawałki. W środku i dookoła poniewierały się rozprysnięte szczątki płyty DVD.

— Chris? — powiedział Allocco, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Green siedział bez mchu pochylony do przodu. Bob wyprostował go delikatnie, a wtedy głowa mężczyzny opadła do tyłu. Sarah przejęła groza.

— Boże drogi — jęknął Allocco.

Chriss Green patrzył na nich szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Niżej, z miejsca, gdzie duży odłamek płyty wbito mu głęboko w usta, cienka strużka krwi ciekła po brodzie, szyi, po czym nikła na ciemnej koszuli.

14.22

Zwłoki zabitego Chrisa Greena dyskretnie przeniesiono do punktu medycznego i zamknięto w izolatce. Nikomu, nawet lekarzom nie pozwolono się do nich zbliżyć, dopóki nie będzie można wezwać policji.

Wrócili do Ula i zaczęli przeglądać nagrania z nielicznych kamer, które monitorowały trasę Galaktycznej Podróży, próbując zrozumieć, co się właściwie stało, dlaczego sprawy potoczyły się tak dramatycznie.

— Dobrze, zatrzymaj tutaj — powiedział Allocco do technika, Ralpa Peccama.

Były to pierwsze wypowiedziane słowa od wielu minut. Zakończyli już przeglądanie w przyspieszonym tempie, co zarejestrowała kamera przy wyjściu z kolejki. Niczego niezwykłego nie znaleźli. Ani śladu Johna Doe ukrytego pomiędzy rodzicami i dziećmi.

— Co jeszcze mamy? — spytał znużonym głosem Bob.

Peccam spojrział na tabelę.

— Została tylko kamera w przedsiönku — powiedział, pociągając nosem.

— Dobrze, dawaj. Ten sam czas, dwieście klatek na sekundę.

Peccam wstukał kilka komend. Sarah obserwowała monitor,

na którym strumienie turystów, zamienione w przyspieszonym mchu w leniwie płynące rzeki, przelewały się przez barierki i wpadały po kilka kropli naraz do pustych wagoników, które

213

wystrzelowały im na spotkanie. Wiedziała, że powinna teraz coś czuć — żal, gniew, skrucę, ale czuła jedynie wszechogarniające otępienie. Nie mogła odpędzić od siebie obrazu Chrisa Greena, jego wytrzeszczonych oczu, błyszczącego ułamka dysku sterczącego pomiędzy rozchylonych warg. Spojrzała na Freda Barksdale[^], zarysy jego twarzy błyszczały widmowo w sztucznym świetle Ula. Na moment przeniósł na nią wzrok, ale zaraz skierował go z powrotem na ekran. Wyglądał na przybitego.

— Nic podejrzanego — mruknął z goryczą Allocco, który również wpatrywał się w ekran. — Wszystko jak zwykle, istna sielanka.

Sarah trzymała w ręku zamkniętą plastikową torebkę z resztkami zniszczonej płyty, pozbieranymi z

podłogi wagonika. Musiała zostać strzaskana w czasie okropnej szamotaniny. Nie zdając sobie z tego sprawy, Sarah obracała ją bez przerwy w rękach, aż w końcu niecierpliwie wsunęła do kieszeni zakietu.

Po lewej stronie ekranu zauważyli jakiś ruch — grupka osób podeszła do brzegu rampy dla wsiadających.

— Zwolnij do trzydziestu — polecił Allocco.

Grupka przeobraziła się w wyraźne postacie: Boba, kierowniczkę odcinka i jej samej. Zmusiła się, żeby popatrzeć na nagranie sprzed niespełna pół godziny. Na obrazie pojawił się Fred z płytą w ręku. Rozegrała się niewielka scenka dramatyczna, kiedy on i Allocco przedstawiali szefowej swoje racje. Sarah podjęła decyzję, Chris Green zniknął w drzwiach wiodących na zaplecze. Patrzyła teraz na siebie, jak odciąga Freda na bok, żeby mu wyjaśnić, dlaczego należy przeciwdziałać terrorowi Johna Doe. Aby wyjaśnić, dlaczego skazała człowieka na śmierć.

Ich postaci na ekranie umieściły płytę w pustym wagoniku, wysłały dwa następne bez pasażerów, po czym skierowały się w stronę wieży kontrolnej i znikły z pola widzenia.

— Wyłącz — powiedział Allocco do Peccama. Monitor zgasł. — To koniec. Sprawdziliśmy wszystkie pięć kamer. Nic.

W małym, ciemnym pokoiku zapadła cisza. Wreszcie znowu odezwał się Allocco.

— Chris Green był twardym facetem — powiedział powoli. — Najlepsze, co możemy teraz dla niego zrobić, to dojść, co tam

214

się, do cholery, wydarzyło. — Westchnął i odwrócił się do Peccama. — Ralph, puść jeszcze raz ostatnią kamerę. I zrób zbliżenie na puste wagoniki, kiedy wjeżdżały na trasę.

Peccam ponownie wyświetlił widok przedsionka. Sarah znowu patrzyła, jak Allocco kładzie pakunek w pustym wagoniku. Potem pojazd potoczył się wzdłuż rampy i niebawem zniknął z oczu w mroku pierwszego zakrętu.

— To nie ma sensu — mruknął Bob, bardziej do siebie niż do innych. — Mgławica Krab to prawie końcówka trasy. Tam musiał czekać John Doe, żeby podjąć przesyłkę. Ale Chris Green stał przy wjeździe, dlaczego akurat tam natknął się na Doego?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi. Wszystkie oczy patrzyły w ekran.

— Stój! — warknął nagle Bob. — Dobrze, teraz do przodu piętnaście klatek. — Wskazał na monitor. — Patrzcie tam.

Sarah obserwowała, jak pracownik z obsługi technicznej, którego zauważyła wtedy w przedsionku, wyszedł z bocznych drzwi i zaczął się w zwolnionym tempie przechadzać. Niespodziewanie otepienie, które spowijało Sarah niczym płaszcz, minęło jak ręką odjął. Trudno było kogoś rozpoznać w pękatym hełmie i obowiązkowym skafandrze kosmicznym, a jednak jakiś instynkt podpowiadał jej, że oto widzi przed sobą Johna Doe. Po minach pozostałych domyśliła się, że doszli do tego samego wniosku.

— Psiakrew — zaklął Allocco. — Cała afera z półtoraminu-towym przystankiem była jednym wielkim blefem. Doe nie czekał przy Mgławicy Kraba, tylko zamierzał zabrać płytę zaraz na początku trasy i zniknąć, zanim w ogóle zatrzymaliśmy kolejkę. I wtedy napatoczył się Chris Green.

— Mam go śledzić? — spytał Peccam.

— Nie. To znaczy tak, ale zrób to później sam. Facet na pewno się zabezpieczył. — Allocco zerknął na Sarah. — Zadzwoń do kostiumem, niech sprawdzą czy im coś zginęło.

Sarah kiwnęła głową. Nie miała wątpliwości, jaka będzie odpowiedź.

W jej kieszeni rozległo się ciche buczenie. W pokoju zaległa cisza. Wszystkie oczy skierowały się na nią kiedy wyjmowała radio. Włączyła je i podniosła do ust.

215

— Sarah Boatwright, słucham. — To były pierwsze słowa, jakie wymówiła od wejścia do Ula.

— Dlaczego, Sarah?

To był głos Johna Doe, ale brzmiał inaczej. Ton łagodnej kpiny zniknął, stał się chłodny, bardziej rzeczowy.

— Co dlaczego?
— Dlaczego zastawiłaś na mnie pułapkę?
Sarah usiłowała znaleźć odpowiednie słowa.
— Czy nie byłem z tobą szczerzy? Czy nasza umowa nie opierała się na wzajemnej uczciwości?
— Panie Doe...
— Czy nie poświęciłem czasu, aby spotkać się z tobą osobiście, aby cię poznać? Czy nie powiedziałem dokładnie, co macie robić, a czego wam nie wolno?
— Owszem.
— Czy nie zadałem sobie trudu, aby urządzić wam pokaz? Czyż nie podjąłem wszelkich wysiłków, by kiedy ten dzień się skończy, na naszym sumieniu nie ciążyła niczyja śmierć?
Sarah milczała.
— Dobry Boże — mruknął Barksdale. — Co myśmy zrobili?
— Panie Doe — zaczęła powoli Sarah. — Osobiście dopilnuję, aby...
— Nie — przerwał jej głos w radiu. — Straciłaś prawo głosu, kiedy zawiodłaś moje zaufanie. Teraz ja jestem nauczycielem, a ty uczennicą i wysłuchasz moich wykładów. Wiesz, jaki jest temat? Nie, nic nie mów, sam ci powiem. Tematem jest: panika.
Sarah słuchała z radiem przyciśniętym do ucha.
— Czy wiesz, Sarah, że sztuka wzbudzania i podsycania paniki to cała gałąź wiedzy? Fascynujące zagadnienie. Zamierzałem napisać na temat monografię. Uczyniłaby mnie sławnym, Arystotelesem w dziedzinie manipulowania tłumem. To przeogromne pole do twórczego działania. Człowiek ma do dyspozycji tyle wspaniałych narzędzi, tyle środków, że wybranie najskuteczniejszego staje się prawdziwym wyzwaniem. Weźmy na przykład ogień. W czasie pożaru w dynamice tłumy zachodzą niezwykle zjawiska. Studiowałem wszystkie największe wydarzenia w historii: pożar w szwalni Triangle Shirtwaist, w teatrze Iroquois,
216
Cocanut Grove, Happy Land. Każdy z nich był na swój sposób niepowtarzalny, a jednak miały też coś wspólnego: wyjątkowo wysoki wskaźnik śmiertelności. Widzisz, ludzie skupiają się przy wyjściach... przy zamkniętych wyjściach.
— Nasze wyjścia są otwarte — mruknęła Sarah.
— Czyżby? Ale tak naprawdę zbaczamy z tematu, a ja uprzedzam fakty. Muszę już kończyć. Będziemy w kontakcie.
— Jedna osoba już nie żyje...
— Jedna osoba nie jest nawet statystycznym punkcikiem.
— Dostaniecie swoją płytę...
— Wiem. Lecz to dopiero później. Uważasz, że wasz park jest sławny, Sarah? Dopiero dzięki mnie świat o was usłyszy.
— Nie, zaczekaj...

Ale w głośniku zapadła już cisza.

14.22

Georgia Warne wyszła z portalu kolejki zwanej Ekliptyką i ruszyła przed siebie razem z tłumem ciągnącym główną halą Kallisto. Kupiła sobie futurystyczną watę cukrową — w opalizujących tęczy kolorach, usianą bąbelkowymi kryształkami, które pękały głośno na języku — i pochłaniała ją z zapamiętaniem. Nie słyszała ani strzelania kryształków, ani wybuchów śmiechu mijanych turystów, ani delikatnego szumu utopijnej akustyki, miała bowiem na uszach słuchawki i całe otoczenie tonęło w dynamicznym dialogu instrumentalnym Jumpin' at the Woodside Counta Basiego.

W jej stronę szła hałaśliwa grupa starszych nastolatków z fioletowymi włosami, w T-shirtach Smoczej Wieży i Georgia zatoczyła łuk, żeby ich przepuścić. Nie oczekiwała zbyt wiele po Ekliptyce — w końcu bądźmy realistami, to był tylko diabelski młyn — ale okazała się całkiem fajna. Obracała się wokół planety z pionowym pierścieniem, coś jak Saturn postawiony na boku. Jechało się po ciemku, jak w większości kolejek i karuzel Kal-lipso, ale miało się niezwykle wrażenie głębi, uczucie, jakby człowiek naprawdę znalazł się w przestrzeni kosmicznej. I te

holograficzne pierścienie wydawały się tak niesamowicie prawdziwe, wystarczyło wyciągnąć rękę z gondoli, żeby ich dotknąć.

Niestety, ponieważ jechała sama, posadzili ją z tą nieznośną dziewczuchą która ani na chwilę nie mogła usiedzieć w miejscu. Ciągle musiała czegoś dotykać, najwyraźniej była za głupia,
218

żeby się po prostu zamknąć i cieszyć przejażdżką. Tak więc w połowie drogi Georgia nałożyła słuchawki i włączyła głos na cały regulator.

Przystanęła i zmarszczyła brwi na to wspomnienie. Przed sobą, nieco na prawo, zobaczyła rampę biegnącą zakosami z głównej hali i zakończoną ruchomym chodnikiem, który niął w niskim tunelu pełnym neonów i migoczących laserów. To była Ciemna Strona Księżyca. Czytała o niej dużo dobrych rzeczy w Internecie. Wyciągnęła z kieszeni plan podróży, który przygotowała sobie w domu. Zgadza się: czterogwiazdkowa kolejka. Skręciła w tamtym kierunku. Po chwili się zatrzymała. Obiecała tacie, że nie pójdzie na żadne wysokie ani szybkie urządzenia. Ciemna Strona Księżyca na pewno podpadała pod tę kategorię. Prawdopodobnie również Ekliptyka. Ale co właściwie ma robić? Próbowała już atrakcji dla mniejszych dzieci, na przykład Pierścieni Saturna, ale czuła się idiotycznie, siedząc między sześciolatkami.

Jeszcze bardziej zmarszczyła brwi, wpatrując się w wejście do kolejki, po czym niechętnie odwróciła się i ruszyła dalej główną halą. Usiadła na najbliższej ławce, wyjęła przewodnik, rzuciła na niego okiem, po czym schowała z powrotem do kieszeni. Wzięła ostatni kęs waty cukrowej i odwróciła się, żeby wyrzucić papierową rurkę do kosza, ale w ostatniej chwili zatrzymała się i jeszcze raz popatrzyła na cienki biały rożek.

Powiedziała tacie, że nie pamięta niczego z ich wspólnego wyjazdu sprzed wielu lat do parku Kennywood. To nie całkiem była prawda. Pamiętała, jak mama wprawiła ją w zdumienie, utrzymując na dłoni chwiejącą się wysoką chmurę waty cukrowej na cienkiej białej rurce, takiej jak ta. Różowy kłęb wydawał się oczom ośmiolatki po prostu ogromny. Pamiętała palący żar słońca, opaloną twarz matki, jej jasną szminkę i kąciki oczu marszczące się w uśmiechu.

Miała też inne wspomnienia z mamą: kiedy wypływała w próbny rejs jedną ze swoich łodzi; kiedy jeździła na kucykach pośród bujnej zieleni parku; opatuloną kocami na ławeczce przy oknie i czytającą jej Takie sobie bajeczki Kiplinga. Były to urywki wspomnień, blade i wypłowiałe jak stare fotografie i Georgia

219

strzegła ich zazdrośnie, jak gdyby mówienie o nich, nawet ojcu, mogło popsuć ich magiczny urok i znikłyby na zawsze.

Jeszcze przez jakiś czas spoglądała na papierowy rożek i obracała go w rękach. Potem wyrzuciła go do kosza, wstała i poszła dalej.

Przed sobą widziała galerię Oczyma Duszy, a nad nią naturalnych rozmiarów hologram Erica Nightingale'a, machającego do gości jedwabnym cylindrem. Wokół zebrała się gromadka ludzi, którzy oglądali portrety w galerii i pokazywali palcem obraz iluzjonisty. Zwolniła kroku i popatrzyła z zaciekawieniem. Pamiętała Nightingale'a, był w ciągłym mchu, nawet na sekundę nie przestawał gestykulować. Chociaż nie należał do wysokich mężczyzn, każdy pokój wydawał się dlań za mały. Czasami, gdy odwiedzał tatę, siadali wieczorem przy kuchennym stole i całymi godzinami rozmawiali. Pamiętała zapach kawy i tytoniu fajkowego. Wchodziła pod stół i bawiła się tam, nasłuchując głosów, wiedząc, że jeśli uda jej się nie ściągnąć na siebie uwagi, będzie mogła przeczekać nawet porę spania.

Skończyło się Jumpin' at the Woodside i w słuchawkach na moment zapada cisza, a wtedy doszły do niej odgłosy Utopii: wybuchy śmiechu, kakofonia głosów, dalekie brzmienie megafonów, zachwycony pisk jakiegoś dziecka. Potem zaczęło się Swingin the Blues i odgłosy parku ponownie utonęły w dźwiękach muzyki. Włożyła ręce do kieszeni i poszła dalej. Pamiętała, jak Nightingale umiał patrzeć, kiedy jej słuchał — jak gdyby wszystko, co mówiła, było ogromnie ważne. Nie wydawał się taki głupi jak inni dorośli. Nie powtarzał tych samych dumnych rzeczy: jaka jest ładna albo jak bardzo urosła od czasu, gdy ją ostatnio widział.

Z jakiegoś powodu pomyślała o Terri Bonifacio. Ona też nie była głupia. Kto wie, może nawet

lubiła watę cukrową. Zwykle Georgię mało ciekawiło, co dorośli mają do powiedzenia, tymczasem sama się zdziwiła, że interesuje ją na przykład, co Terri myśli o bluegrassie albo bebopie, jakie książki czytała w dzieciństwie, w jakie kolory lubi się ubierać, jakie są jej ulubione potrawy. Miała nadzieję, że nie to okropne żarcie cuchnące zepsutą rybą.

220

Doszła do końca głównej hali i zaczęła przeskakiwać z nogi na nogę na podświetlonych płytach podłogi. Przed nią główna aleja wiła się zakrętami ku przestronnemu, okrągłemu pomieszczeniu przypominającemu terminal lotniska. Był to Port Podniebny, skąd oddzielne wejścia prowadziły do sześciu najpopularniejszych atrakcji Kallisto. Miejsce aż drżało od gwaru rozmów. Georgia zerknęła na mapę. Lot na Księżyc, Horyzont Zdarzeń, Stacja Omega, W Nadprzestrzeni — same największe przygody. Właśnie tam tata nie chciał puścić jej samej.

Spojrzała na zegarek. Jeszcze czterdzieści minut do umówionej godziny. To nie fair. Od rana udało jej się zaliczyć ledwie kilka naprawdę fajnych przejażdżek, a poza tym nic tylko nudne spotkania i wyczekiwanie w pracowniach. W dodatku co to za frajda jeździć kolejkami samej, a tym bardziej z małymi dziećmi.

Westchnęła niepokieszona i odwróciła się do wyjścia, a wtedy jej wzrok padł na rampę z napisem „Ucieczka z Mrocznej Głębiny”.

Stała i patrzyła na mieniące się holograficzne litery. Przeczytała w Internecie wszystko na temat tej kolejki. Zaprojektowano ją na wzór jej ulubionej sceny ze Strachosfery, kiedy to grupa młodych bohaterów ucieka z więzienia Morfeusza na oceanicznej planecie Mroczna Głębina. Była to jedna z najnowszych atrakcji w Utopii, nikt z kolegów i koleżanek Georgii jeszcze jej nie widział, a była super z dwóch powodów: po pierwsze wszystko rozgrywało się w środku wodnego świata oceanu i deszczu; a po drugie była to pierwsza kolejka na świecie, w której wytworzono warunki niskiej grawitacji, bez żadnych oszustw ani sztuczek — prawdziwa niska grawitacja.

Zauważyła, że więcej ludzi idzie raczej w jej stronę niż w przeciwną co znaczy, że byli już na kolejkach Portu Podniebnego i wracają teraz do głównej hali.

Czasopisma wydawane przez fankluby Utopii bardzo precyzyjnie określały najlepsze pory do odwiedzania poszczególnych miejsc parku — godziny, w których z niewyjaśnionych powodów kolejki się skracały. Georgia nie zaprzętała sobie tym głowy. Wiedziała tylko, że ma po dziurki w nosie dziecięcych zabaw i włączenia się bez celu. Wyglądało na to, że może jej się uda

221

dostać do Mrocznej Głębiny w niespełna dziesięć minut. Właściwie to nie była kolejka, więc tata nie powinien się złościć, w każdym razie nie za bardzo.

Nagle ktoś ją odepchnął na bok. Podniosła głowę i zobaczyła dwoje małych dzieciaków idących z mamą za rękę w stronę Mrocznej Głębiny. Ich mama była atrakcyjną kobietą, której opalenizna silnie kontrastowała z czerwoną sukienką.

Georgia zdjęła z uszu słuchawki i uśmiechając się do dzieciaków z nieco złośliwą wyższością przyspieszyła kroku i stanęła w kolejce do Mrocznej Głębiny przed nimi.

14.26

— Przestań się pchać. Fiut zafajdany!

— To nie ja się pcham, dupku żołądny, tylko ty. Spróbuj jeszcze raz, to ci przywałę.

Angus Poole przysłuchiwał się z lekkim otępieniem sprzeczce najmłodszych synów swojej kuzynki. Wybuchła w każdej kolejce, w jakiej przyszło im czekać. Z początku Angusa zaintrygował niewyczerpany arsenał wyzwisk, jakimi dysponowali obaj chłopcy. Kiedy czekali do Brighton Beach Express w Promenadzie, zaczął je nawet liczyć. Przed następną przejażdżką Machiną Krzyku, doszedł do pięćdziesięciu i zrezygnował.

Dzięki Bogu, tu przynajmniej kolejka była krótka. W Porcie Podniebnym gwar rozmów dudnił niczym w cytadeli. Poole rozejrzał się po przestronnym holu. Projektanci Utopii stanęli na wysokości zadania, aby urządzić tu futurystyczny terminal kosmiczny z dokładnością do najdrobniejszych szczegółów, jak tablica odlotów czy nieprzerwany, monotony głos płynący przez głośniki informujący o kolejnych podróżach. Dzisiaj okoliczności te miały dodatkową zaletę — ponieważ z tego samego miejsca startowało sześć różnych kolejek, mógł się po cichu wymknąć na

jednego i na chwilę zostawić kuzynkę samą ze swoją rodziną.

Jakby czytając mu w myślach, Sonya zwróciła się w jego stronę. Na obfitym brzuchu wisiały trzy aparaty fotograficzne, na głowie siedziała lekko przekrzywiona czapka czarodzieja.

— Jak się nazywała ta kolejka, o której mówiłeś?

223

— Ucieczka z Mrocznej Głębiny.

Nieważne, że nazwa przeklętej kolejki wisiała dokładnie nad ich głowami, Sonya i tak musiała zapytać.

— To gdzie teraz idziemy?

— Stąd możecie wejść na pięć innych bardzo dobrych kolejek. Widzisz? To coś jak wielkie lotnisko, tylko że bramki prowadzą do różnych wejść. Powinniście spróbować wszystkich po kolei. Błagam, idźcie na wszystkie, dodał w myślach.

— A ty? — spytała Sonya.

— Myślę, że po Mrocznej Głębiny skoczę raczej na jakieś piwo do Oceanu Ukojenia. To knajpka niedaleko kasyna, pokazywałem ci, jak byliśmy w hali, pamiętasz? Możemy się tam potem spotkać.

Na wzmiankę o piwie mąż Sonyi, agent ubezpieczeniowy, przebudził się z otępienia i rzucił Poole'owi przelotne, udęczone spojrzenie.

Sonya i Martin Klemmowie z Lardoon w stanie Iowa i ich trzech uroczy chłopcy. Przed dzisiejszym rankiem, kiedy to zapukał do drzwi ich pokoju w motelu, Poole nie widział swojej kuzynki od kilkunastu lat. Ale tak samo było z jego siostrą Vicki i siostrzeńcem Paulem, i wszystkimi innymi, bliższymi i dalszymi krewnymi, którzy objawili się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Sprawiało to wrażenie, jakby w ich pojęciu Utopia nadała nowy sens życiu Angusa. Wujek, który po odejściu z wojska przeprowadził się do Las Vegas i nigdy się nie ożenił. Zdziwaczały kuzyn czy półsiostrzeniec, czy cioteczny siostrzeniec, czy jak go tam zwać, według własnych słów zarabiał na życie, ale co właściwie robił, chyba nikt nigdy nie zapytał. A Poole nigdy dokładnie nie mówił. Tymczasem nagle, jakby za milczącym porozumieniem całej rozległej rodziny, został mianowany przewodnikiem po Utopii.

Pod pewnym względem nie miał nic przeciwko temu. Nie znaczy to, że lubił zloty rodzinne, zdecydowanie mógłby się bez nich obejść, ale niespodziewanie dla siebie samego popadł w prawdziwą fascynację Utopią. Dawno temu, w poprzednich żywotach, odwiedzał Disneyland, Universal Studios, Busch Gardens i ogólnie rzecz biorąc, miał do nich dość obojętny stosunek. Co

224

innego Utopia. I nie dlatego, że bardziej tu błyszczało, że była nowsza i miała lepsze zabawki. Nie, najbardziej pociągała go w niej wszechobecna iluzja, coś, dzięki czemu człowiek był prawie gotów uwierzyć, że przeniesiono go do dziewiętnastowiecznego Londynu lub średniowiecznego Kamelotu. Wiedział, rzecz jasna, że tak naprawdę znajduje się w samym środku pustyni w Nevadzie, ale twórcom parku udało się tak doskonale połączyć lunaparkowe atrakcje z poszczególnymi krainami, że każdy z przyjemnością dawał się porwać tej fantazji. A dla niektórych ludzi, tak jak on pozbawionych wyobraźni, był to prawdziwy cud.

Jednak każda fascynacja ma swoje granice i o czternastej dwadzieścia sześć Poole ostatecznie osiągnął stopień najwyższego nasycenia rodziną Klemmów.

— Ta afery z niską grawitacją to jeden wielki szajs — teraz wypowiedziało się najstarsze dziecko Klemmów. — Pic na wodę, fotomontaż. Przyspieszenie grawitacyjne wynosi dziewięć i osiem dziesiątych metra na sekundę do kwadratu w kierunku środka Ziemi. Żeby wytworzyć warunki nieważkości, trzeba by przyłożyć siłę przeciwną do siły przyciągania...

Poole spiorunował dzieciaka wzrokiem: gadający przez nos patykowaty chudzielec ze sterczącymi siekaczami. W dodatku smarkacz nie miał pojęcia o sprawach, o których się mądrzył. Chodzący i gadający argument na rzecz masowego dzieciobójstwa. Zamknie dziób, gdy tylko wejdzie do służby powietrznej.

Poole ziewnął i znów rozejrzał się po Porcie Podniebnym. Było tłoczno, ale mniej niż zwykle.

Otaczał go ocean zachwyconych dziecięcych buzi tu i ówdzie upstrzony udęczonym obliczem

rodzica lub skrzywioną miną zniecierpliwionego maślaka. Przechadzające się między turystami postaci w skafandrach kosmicznych formowały kolejki lub pozowały do zdjęć.

Wprawne oko Poole'a wyłowilo z tłumu osobę, która tu zupełnie nie pasowała. W przeciwieństwie do innych turystów, czekających w kolejce lub spieszących z jednej atrakcji na drugą mężczyzna biegał niespokojnie tam i z powrotem. Angus patrzył z łagodnym zaciekawieniem, jak przedziera się przez tłum w hali głównej, to podbiega do stoiska ze słodyczami, to znów do kolejki czekających, wyciągając szyję, jakby czegoś szukał.

225

Znowu pobiegł gdzieś w kłębiący się tłum i Poole odwrócił się w drugą stronę. Jego kolejka posuwała się powoli do przodu i dochodzili już prawie do śluzy powietrznej. Tylko ze względu na Mroczną Głębinię nie siedział jeszcze przy piwie w Oceanie Ukojenia. Była to jego ulubiona atrakcja w Utopii. Jeśli środowisko słabej grawitacji było mistyfikacją to tak genialną że dla Angusa nie miało to praktycznie znaczenia.

Zastanawiał się nieco leniwie, co go tak bardzo pociągało w Mrocznej Głębinię. Trudno ją było nazwać ekscytującą podróżą jaką był Lot na Księżyc czy Stacja Omega na szczycie futurystycznych schodów ruchomych. Szczerze mówiąc, poza kilkoma pierwszymi zrywami, kiedy kapsuły „uciekają” z więzienia na Mrocznej Głębinię i lecą w stronę statku bazy stacjonującego na orbicie, trudno było w ogóle mówić o jakimś dreszczyku emocji. To raczej absolutny realizm czynił tę podróż tak atrakcyjną. Pasażerowie naprawdę mieli wrażenie, że przedzierają się przez przesiąknięte deszczem niebo w kierunku otwartej przestrzeni kosmicznej. Musi tym razem uważniej wszystko obserwować, aby zrozumieć, jakie to podprogowe guziki przyciskają projektanci tej krainy, że wydaje się tak realistyczna. Jedną z rzeczy, które pamiętał bardzo żywo, był moment, gdy wznosili się coraz wyżej, ku kolejnym warstwom atmosfery, a tymczasem strugi deszczu lejące się z nieba jakby zwalniały, aż wreszcie, kiedy okowy grawitacji słabły, krople za szybami kapsuły całkowicie nieruchomiały i tylko szybowały i tańczyły w ciemnej przestrzeni. Pamiętał, jak barierka wciskała mu się w brzuch, kiedy w zasięgu wzroku pojawił się statek baza, jak jego kubek z napojem zaczął podnosić się z uchwytu. Niech no tylko ten przemądrzały dzieciak Klemmów to zobaczy.

Ciekawe, właśnie ów facet, który latał po hali głównej, wpadł do Portu Podniebnego i rozglądał się na wszystkie strony. Towarzyszyła mu młoda Azjatka. Wymienili kilka szybkich uwag, a potem się rozdzielili i pobiegli w różnych kierunkach. Bez wątplenia kogoś szukali i to w dużym pośpiechu. Znaleźć kogoś w tym tłumie... powodzenia, pomyślał Poole. Kolejki Portu Podniebnego nie miały przedsionków, wszyscy goście czekali razem w porcie, może po to, aby stworzyć wrażenie ruchliwej

226

hali tranzytowej, a musiało się tu kłębić co najmniej tysiąc osób. To jednak najwyraźniej nie zniechęciło biegającego mężczyzny. Po rozdzieleniu się z kobietą mszył w stronę Nadprzestrzeni i biegł wzdłuż sznura turystów, nie bacząc na zainteresowanie, które wzbudza.

Poole przyjrzał mu się bliżej. Nie pasował do żadnego z najczęściej spotykanych typów: ciemne włosy, jasna karnacja, wysoki, średnio zbudowany, po czterdziestce. Żadnych znaków ostrzegawczych poza tym oczywiście, że był wyraźnie poruszony. Już drugi raz dzisiaj Angus obserwował dziwnie zachowującego się osobnika. Zaraz jednak wyrzucił z myśli tę sprawę i wrócił do swojej kolejki.

Przed nimi było nie więcej niż pięć grup i nawet dzieci Sonyi ucichły wreszcie i czekały niecierpliwie w milczeniu. Przyszli we właściwym momencie, bo kolejki za nimi wydłużyły się co najmniej dwukrotnie. Jeśli bachory jego kuzynki postanowią zakosztować każdej z sześciu atrakcji Portu Podniebnego, Angus będzie miał co najmniej dwie godziny błogosławionej samotności w Oceanie Ukojenia: tylko on, Sam Adams i krzyżówka z „Las Vegas Journal-Review”. To będzie... Tok jego myśli przerwały ciche okrzyki. Obejrzał się za siebie. To znowu ten facet. Stał niedaleko wejścia do Nadprzestrzeni i chyba wołał kogoś po imieniu, patrząc prosto na niego. Nie, uprzytomnił sobie zaraz, nie na niego, tylko na kogoś na początku kolejki, może tę dziewczynę, tę ładną którą właśnie wpuszczono do śluzy powietrznej. Teraz mężczyzna puścił się pędem w ich

stronę. Biegł wzdłuż rzędka turystów czekających przed Poole'em. Zaczął coś szybko tłumaczyć pracownicy, gestykulując w stronę służy. Podszedł do nich drugi pracownik w srebrnym skafandrze i troskliwie położył dłoń na ramieniu mężczyzny, ale ten ją odtrącił.

— Jak myślisz, o co chodzi temu facetowi? — spytała Sonya.

Poole nie odpowiedział. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie interweniować, ale zrezygnował i odpreżył się. Do diabła, jest na urlopie. Facet zapłacił swoje siedemdziesiąt pięć dolców jak wszyscy inni, wolno mu się trochę poawanturować.

14.26

Andrew zatrzymał się na podświetlonych płytach hali głównej, dysząc ciężko i rozglądając się dookoła. Syzyfowa praca. Jak ma znaleźć córkę w tym tłumie nieprzeliczonych turystów? Groźba, że coś jej się stanie, była znikoma, a jednak myśl, że miałby czekać do ich umówionego spotkania, nie wiedząc, co się z nią dzieje, wydawała się nie do przyjęcia. Od dwudziestu minut przeszukiwali kolejki i sklepy z pamiątkami w nadziei, że mignie im gdzieś smukła sylwetka i kasztanowe włosy Georgii. Jak dotąd, na próżno. A miał wrażenie, że im dłużej jej bezowocnie szuka, tym bardziej się niepokoi

W pamięci tkwił mu wyraz twarzy dziewczynki, kiedy wychodziła z pracowni Terri. „Nie chcę jeździć sama”, powiedziała. Tylko ona mu pozostała. A on ją wysłał do parku naszpikowanego materiałami wybuchowymi, wprowadził nieświadomie i z jak najlepszymi intencjami, ale to niczego nie zmieniło.

Podbiegła do niego Terri.

— I co? — spytał.

Pokręciła głową.

— Sprawdziłam wejścia i wyjścia Ekliptyki i Strachosfery — wysapała. — Ani śladu.

— Może być wszędzie.

— Zdaje mi się, że właśnie przeszukaliśmy wszędzie.

Andrew poczuł, jak ogarnia go zniecierpliwienie i frustracja.

Czy to możliwe, żeby już wyszła z Kallisto i zwiedzała teraz

228

którąś z innych krain Utopii? Doszli do końca hali głównej i przed nimi leżał tylko Port Podniebny. Zerknął na Terri.

— Uważasz, że zwariowałem?

— Nie wiem, może. — Urwała. — Ale gdyby to było moje dziecko, zrobiłabym to samo.

Wskazał ręką Port Podniebny.

— Co tam jest?

— To kolejki z dreszczykiem. Obiecała ci, że na takie nie pójdzie.

— Lepiej sprawdźmy je tak czy inaczej. Nie znasz Georgii.

— Jasna sprawa. Sprawdzę kolejki po drugiej stronie tablicy odlotów. Spotkamy się z powrotem tutaj.

Wamę popatrzył z wdzięcznością, jak kobieta oddała się truchtem. Większość ludzi nie przejęłaby się jego troską i próbowała odwieść go od szukania córki w takich okolicznościach. Tymczasem Terri sama zaproponowała pomoc. Może nie potrafi się wczuć w rolę owdowiałego ojca, ale stara się, jak może.

Odwrócił się i pogalopował w stronę Portu Podniebnego. Przeszukał kolejkę do Nadprzestrzeni, pierwszą, na którą trafił. Tak jak się spodziewał — nic poza zaciekawionymi lub rozbawionymi spojrzeniami turystów, z jakimi spotykał się wszędzie. Odwrócił się. Po tej stronie tablicy odlotów były jeszcze dwa wejścia do kolejki. Sprawdzi je, a potem wróci spotkać się z Terri i...

Nagle zobaczył Georgię. Zalała go fala ulgi. Stała na początku kolejki... dokąd? Ucieczka z Mrocznej Głębin. Chwała Bogu, pomyślał i zawołał ją. Gdyby rozglądał się jeszcze chwilę dłużej, znikłaby mu w wejściu do portalu...

I nagle, prawie zanim zdołał się zorientować, co się dzieje, pracownica kolejki wprowadziła Georgię do środka. Na jego oczach opalizująca śluza zamknęła się za jego córką.

Ulga pierzchła równie szybko, jak się pojawiła. Widok Georgii wchodzącej za drzwi służy

dosłownie go zelektryzował. Puścił się pędem przez hol Portu Podniebnego i zaczął łokciami torować sobie drogę na początek kolejki. Jakaś kobieta krzyknęła cicho przestraszona, czyjs męski głos zawołał:

229

— Hej, kolego, co jest grane?

Kiedy dopadł do rampy z wagonikami, pracownica wpuszczała właśnie do służby kobietę w czerwonej sukience z dwojgiem dzieci. Andrew uchwycił widok wnętrza kabiny — masywna służa ciśnieniowa ze znakiem „Uwaga, obszar słabej grawitacji”. Potem drzwi się zamknęły.

— Zatrzymajcie to! — zawołał do pracownicy kolejki.

Kobieta zamrugła za szybką helmu.

— Słucham?

— Powiedziałem: zatrzymajcie to! Zatrzymajcie tę kolejkę!

Podszedł do nich drugi pracownik.

— Przykro mi — powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Warne[^]. — Każdemu tu się spieszy, aby uciec z więzienia, obawiam się, że musi pan poczekać na swoją kolej jak...

Wame wyszarpnął ramię.

— Przed chwilą tam weszła moja córka. Muszę ją zabrać.

Mężczyzna też zamrugał. Andrew wiedział, że przegląda teraz

w pamięci Instrukcję postępowania z odwiedzającymi i zastanawia się, jaką strategię powinien obrać wobec tego kłopotliwego gościa.

— Przykro mi, ale nie mogę zatrzymać kolejki — powiedział cicho, wypadając z roli. —

Jestem pewien, że pańska córka będzie się dobrze bawić. Wszyscy ubóstwiają Ucieczkę z Mrocznej Głębiny. Jeśli chce pan na nią poczekać, najlepiej zrobić to przy wyjściu, o, tam. — Wyciągnął rękę w srebrnej rękawicy. — Podróż trwa tylko dwanaście minut, wyjdzie, zanim się pan obejrzy. A teraz zechce pan odejść na bok, abyśmy mogli kontynuować wpuszczanie gości.

Andrew patrzył na niego w milczeniu. On ma rację, pomyślał. Zachowuję się irracjonalnie. I bez słowa odsunął się na bok.

— Dziękuję panu — powiedział pracownik.

Następnie odwrócił się do ludzi czekających w kolejce i zaprosił następną grupę — otyłą parę z jednym dzieckiem. Ojciec zmierzył Warne'a gniewnym spojrzeniem.

Pracownik odwrócił się do konsoli i wcisnął guzik. Służa otworzyła się z sykiem sprężonego powietrza. Wame zajął do środka, po czym niespodziewanie przepchnął się obok pracownika kolejki i wpadł do kabiny.

230

Wnętrze było chłodne i suche, oświetlone bladym błękitnawym światem. Otaczał go cichy, dudniący pomruk niczym burczenie gigantycznych turbin. Przed nim w powietrzu unosiła się pusta kapsuła ratunkowa z plastikowymi oknami, ale pozbawiona dachu. Dalej wznosiła się tylna ściana służby powietrznej, a w niej ciężkie okrągłe drzwi, zabezpieczone wielkimi metalowymi ryglami. W samym środku widniał mały iluminator z grubą szybą. Spojrzawszy przez nią Wame zobaczył kobietę z dwojgiem dzieci wchodzącą do następnej kapsuły. Wszyscy troje się uśmiechali. Doszedł go stłumiony głos płynący z wewnętrznego systemu łączności: „Prosimy zachować ciszę i jak najmniej się poruszać, aby nie zdradzić swojej obecności przed strażnikami Mrocznej Głębiny. Gdy tylko opuścimy więzienie, zaczniemy się wznosić w kierunku statku bazy. Grawitacja osłabnie, zaobserwują państwo pewne przejawy nieważkości. Nie ma powodu do niepokoju. Pełna grawitacja zostanie przywrócona, kiedy połączymy się ze statkiem bazą...”.

Andrew zaklął po cichu, kiedy sobie uprzytomnił, że nie ma możliwości, aby dostał się stąd do Georgii. Nawet gdyby jakimś sposobem udało mu się zarekwirować tę czekającą kapsułę, nic mu z tego nie przyjdzie.

Obrócił się na pięcie i wypadł ze służby tak samo szybko, jak do niej wbiegł. Rozległy się pojedyncze głosy z poruszonego tłumu. Pracownik kolejki mówił do radia:

— Wieża, tu Załadunek Dwa. Mamy pięć-jeden-jeden. Powtarzam, pięć-jeden-jeden w obszarze załadunku.

Wame nie zwracał na niego uwagi. Prześliznął się między nimi, wybiegł z rampy i mszył w kierunku, który wskazała mu kobieta przy wejściu do śluzy. Lawirował w kłębiącym się tłumie gości czekających w Porcie Podniebnym w stronę niewielkiego hologramu z napisem: „Wyjście ze statku bazy. Tylko dla wysiadających”. Nigdzie nie widać było Terri.

Rampa dla wychodzących biegła oddzielnym korytarzem, o podłodze i ścianach wyłożonych stalowoniebieskimi tkaninami. Minął grupkę rozmawiających z ożywieniem, uśmiechniętych pasażerów, po czym pobiegł dalej krętym korytarzem w stronę portu wyładunkowego. Kiedy stanął na miejscu, z cichym szepciem

231

otworzyły się właśnie drzwi, aby wypuścić kolejną grupę gości. Andrew zanurkował do środka. Znalazł się na statku bazy. Przestronna, nisko sklepiona sterownia jaśniała mrugającymi światłami. Wzdłuż jednej ściany biegł duży tunel z przydymionego szkła. Poza nią niemal każdy skrawek pionowej powierzchni pokrywały rzędy futurystycznie wyglądającej elektroniki.

Przy wtórze nagłego świstu powietrza za przydymioną ścianką tunelu podjechała kapsuła i zatrzymała się przy krótkiej platformie. Po szybach i pokrywie silnika ściekały strugi wody. Podeszła do niej jedyna pracownica obsługująca dok dla wysiadających. Podniosła osłonkę swojego hełmu.

— Witamy na kallistańskim statku bazy — powiedziała, odblokowawszy włącz kapsuły i otworzywszy drzwi. — Gratuluję udanej ucieczki z Mrocznej Głębiny.

— Ale superjazda! — zawołał mniej więcej dwunastoletni wyrostek, wygrzebując się z kapsuły i rozglądając wokół siebie. Całe ręce miał mokre, oczy błyszczały mu z podniecenia. — Możemy pojechać jeszcze raz?

— To uczucie nieważkości jest naprawdę zdumiewające — orzekł ojciec chłopca. — Jak to robicie?

— Nieważkość jest nieuchronnym elementem podróży kosmicznych — odparła pracownica parku, twardo trzymając się roli. — Statek baza stacjonuje obecnie w Porcie Podniebnym i jak się państwo przekonają wytworzono w nim ciężenie równe ziemskiej sile grawitacji.

— Słyszałem, że kupili licencję od NASA — powiedział chłopak.

Operatorka odwróciła się, aby otworzyć drzwi wyjściowe i wyprowadzić pasażerów na korytarz. W tym momencie zauważyła Wame'a.

— Nie może pan tędy wejść — powiedziała.

— Gdzie jest wejście dla obsługi? — spytał Andrew.

Kobieta popatrzyła nań, mrużąc oczy.

— Nie rozumiem — odparła.

Gdy jednak to mówiła, oczy ją zdradziły i pomknęły w kierunku ściany za ramieniem Wame'a.

232

Andrew odwrócił się błyskawicznie i pobiegł w stronę, gdzie skierował go wzrok kobiety. Ściana sprawiała wrażenie monolitu elektronicznych atrap: urządzeń telemetrycznych, kontrolerek warunków otoczenia, monitorów kriogenicznych. Wame obmacywał ją sfrustrowany.

— Proszę pana, muszę poprosić, aby pan opuścił to pomieszczenie — powiedziała pracownica, podchodząc.

W tej samej chwili pomiędzy przyrządami na ścianie Andrew rozróżnił słabo widoczny prostokątny obrys. Przyłożył dłonie do jego krawędzi i pchnął. Drzwi się otworzyły, za nimi zobaczył ciemny korytarz. Pochylił się, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Zaplecze Mrocznej Głębiny sprawiało zupełnie inne wrażenie. Powietrze było aż gęste od wilgoci, z góry dochodziło niecierpliwe bębnienie deszczu. Dalej szło się po pomoście zrobionym z metalowej, ociekającej wodą kratownicy. Wame dotknął śliskiej poręczy i rozejrzał się, szukając jakichś punktów orientacyjnych w panującej ciemności. Popatrzył w górę, na twarzy czuł zbierające się krople wody, a w głowie odezwał mu się chłodny, nikły głos: Nie zachowujesz się normalnie, stary. Co właściwie zamierzasz zrobić? Dlaczego po prostu nie poczekasz spokojnie na zewnątrz? Za kilka minut Georgia wyjdzie z kabiny i będzie po sprawie.

To jednak zupełnie do niego nie przemawiało. Racjonalnie czy nie, czuł nieodpartą potrzebę, aby

znaleźć się natychmiast przy swojej córce. Na wszelki wypadek. Wyrzucił z głowy głos rozsądku. Ruszył głównym pomostem, który biegł do góry szeroką spiralą. Na prawo, po wewnętrznej stronie spirali, kładka przylegała do bezkresnej ściany czarnego szkła. Na lewo ciągnęły się rzędy komputerów, urządzeń hydraulicznych i skomplikowana sieć rur, które wylaniały się z dołu i ginęły w ciemności nad głowami.

Szedł dalej pod górę, coraz bardziej zdezorientowany. Gdzie są kapsuły? Mają się podobno wznosić w przestrzeni do statku bazy, tak? Tymczasem statek baza mieścił się na dole, co by znaczyło, że trasa kolejki biegła z góry na dół. To nie miało

233

sensu, cała architektura stała na głowie. Czy to możliwe, że stracił orientację i poszedł w niewłaściwym kierunku? Za kilka minut Georgia wysiądzie z kolejki, a on dalej będzie tu bezowocnie krążył. Głos w jego głowie powrócił, tym razem głośniejszy. Może powinien wrócić, poczekać na Georgię, znaleźć Terri i jakoś się z tego wszystkiego wytłumaczyć. Zwolnił kroku, a po chwili stanął i niezdecydowany zacisnął ręce na poręczy.

Kilka kroków przed sobą zobaczył coś, co wyglądało jak szczelina w czarnej szklanej szybie: niskie, wąskie przejście wyryte złotym blaskiem. Przyglądając się dłużej, zauważył maleńkie strużki wody ciekące do środka. Zaciekawiony podszedł do szczeliny i przykucnął, aby zajrzeć do środka.

Nagle z rykiem i wyciem coś wyskoczyło z ciemności i zawisło w powietrzu dwa metry przed nim. Krzyknął zaskoczony i przewrócił się w tył na pomost. Ledwo zdążył sobie uprzytomnić, co widzi — kapsułę pełną uśmiechniętych twarzy — zanim pojazd znów runął w dół i zniknął mu z oczu.

Podniósł się z kładki i ostrożnie przykucnął przy szczelinie. Przed nim, oprawione w ramę szklanej ściany, leżało gwiazdne pole. Po drugiej stronie przejścia biegła wąska półka, nieco więcej niż półmetrowej szerokości, czarna i prawie niewidoczna na tle szybko poruszającego się gwiazdowego pola. Ograniczała ją balustrada, również pomalowana na czarno.

Wamie odczekał chwilę, po czym wziął głęboki oddech i schyliwszy się, przeszedł na drugą stronę. Miał wrażenie, jakby wyszedł w nieskończoną przestrzeń kosmiczną. Ze wszystkich stron otaczały go gwiazdy — nieskończenie wiele nieskończenie odległych gwiazd, a wszystkie leciały na łeb, na szyję w wir otwierający się pod jego stopami. Złudzenie było tak wszechogarniające, że zamknął oczy, bo zakręciło mu się w głowie, musiał się złapać poręczy, aby nie upaść. Poczuł mgliście, że ubranie nasiąka mu wodą. Czekał, oddychając powoli i walcząc z zawrotami głowy. Skupił całą uwagę na uspokajająco nieruchomej balustradce. Po długiej chwili otworzył oczy i mrużąc je, popatrzył przez zasłonę deszczu.

Stopniowo zaczął rozumieć, co przed sobą widzi. Stał na podeście biegnącym po wewnętrznej ścianie ogromnego, głębo-

234

kiego cylindra. Jego zaokrąglona powierzchnia stanowiła coś w rodzaju lustra, w którym odbijały się niezliczone, mknące gwiazdy, potem odbijało się w nim ich odbicie i w ten sposób powstawało niewiarygodnie realistyczne złudzenie niezmierzonej głębi.

Nad głową Andrew rozległ się hurgot, który szybko zamienił się w ryk. Spojrzał w górę i zobaczył następną kapsułę pędzącą w dół przez deszcz. Wydawało się, że leci prosto na niego, aż skulił się w głębi niskiego przejścia. Potem jednak kapsuła zatoczyła łuk i zatrzymała się przy podeście. Ryk przycichł, a tymczasem wbrew wszelkiemu rozsądkowi zmienił się lekko kierunek padania strumieni deszczu. Gwiazdy pędzące na otaczających ścianach powoli zwolniły, aż wreszcie znieruchomiały w próżni. W kapsule Andrew zobaczył pięcioosobową rodzinę, na wszystkich twarzach malował się ten sam oszołomiony, zachwycony wyraz, który widział w poprzednim pojeździe. Ściskali w dłoniach pasy bezpieczeństwa, jak gdyby miały one uchronić ich przed uniesieniem się w powietrze.

— Proszę o uwagę — rozległ się głos w głośnikach kapsuły. — Otrzymaliśmy zgodę na podeście do statku bazy. Rozpoczynamy procedurę wprowadzenia kapsuły.

Jedno z dzieci, rozglądając się, zauważyło Warne'a. Przez moment dziewczynka wpatrywała się w niego tylko, jakby nie wierzyła własnym oczom. Potem szturchnęła matkę i wyciągnęła rękę w jego

stronę. Kobieta spojrzała we wskazanym kierunku, lecz w pierwszej chwili go nie zauważyła. Widział, jak powoli jej wzrok skupia się na nim, a na jej twarzy zdziwienie ustępuje miejsca konsternacji. W tym momencie jednak znów zaryczały silniki i kapsuła odpadła od platformy, ruszając w drogę do swego portu docelowego.

Statek znikł mu w dole z oczu, a gwiazdy znów zaczęły wirować. Jak wszystko inne w Utopii, platformę zaprojektowano tak, aby podsycić złudzenie realizmu. Z pewnością gdyby na jego miejscu znalazł się któryś z pracowników parku, miałby na sobie czarne ubranie, aby nie mógł go zauważyć nikt z pasażerów kolejki.

Wame zaczynał rozumieć, na czym polegała przemysłna

235

sztuczka Ucieczki z Mrocznej Głębin. Kolejkę zbudowano wewnątrz gigantycznego cylindra, a raczej stożka, szerszego u góry niż u dołu. Mimo że kapsuły opadały na dno po zacieśniającym się spiralnym torze, pasażerowie w środku mieli wrażenie wznoszenia się w przestrzeni kosmicznej. Nawet w tej dość trudnej sytuacji zadziwiła go bezwstydną genialność tej konstrukcji. Według opisu podróży kapsuły ratunkowe miały rzekomo wylecieć z fortecy do statku stacjonującego na orbicie. Tymczasem podziemia fortecy okazały się najwyższym punktem wielkiego leja, a statek baza znajdował się na samym jego dnie. Wszystko, począwszy od nieprzeniknionych ciemności, poprzez komputerowo sterowany ruch kapsuł, krążenie gwiazd, aż po zmienny kierunek padania deszczu, zostało starannie wymierzone i zsynchronizowane tak, aby twórcy Utopii mogli na powszechne prawa fizyki nałożyć niejako własną rzeczywistość. Kiedy kapsuły ratunkowe obracały się na swych ukrytych szprychach, rosnąca prędkość opadania wytwarzała złudzenie słabnącej grawitacji. Nieustannie korygowano kąt ustawienia kapsuły tak, aby pasażerowie nie zorientowali się, że podróżują po torze opadającej spirali. Andrew stał na platformie obserwacyjnej, używanej prawdopodobnie do podglądania reakcji pasażerów lub może na wypadek...

W górze rozległo się zawodzenie, a potem ryk kolejnej nadlatującej kapsuły. Kiedy kabina zatrzymała się na jego wysokości, Wame w mgnieniu oka zgubił tok myśli, w środku bowiem siedziała Georgia z otwartymi ustami, rozszerzonymi z zachwytu oczami, w których odbijały się miliardy gwiazd.

Rzucił się przed siebie i wyciągnawszy rękę nad poręczą zaczął szarpać za uchwyt włazu. Georgia zauważyła go w momencie, gdy przelał nad barierką a następnie na wpół skoczył, na wpół spadł do środka kapsuły.

Zdumienie na jej twarzy szybko zmieniło się w strach i dezorientację.

— Tata? Co ty tu robisz? Skąd się tu wziąłeś?

— Już dobrze — powiedział, zamykając za sobą właz. Ukląkł na podłodze i wziął dziewczynkę za rękę. — Już dobrze.

— Bosko — odrzekła Georgia. — Jesteś cały mokry.

236

Siedział bez ruchu. Zakłopotanie zaczęło mieszać się w nim z wszechogarniającą ulgą. Czuł, jak krople wody spływają mu po nosie i uszach i kapią na podłogę kapsuły. Kiedy dotrą na statek bazę, ze wszystkiego się wytłumaczy. No cóż, chyba jednak nie ze wszystkiego, pomyślał, czekając, aż pojazd mszy w swój ostatni zjazd.

— Co się dzieje, tatusiu? Dlaczego...?

Wówczas nagle Georgia odwróciła od niego delikatną twarz, oświetloną blaskiem gwiazd, a jej ciemne brwi się zmarszczyły.

Wtedy Wame również usłyszał głosy — z początku dalekie, ale zbliżające się.

— Tam jest. Platforma jedenasta.

— Wieża Mrocznej Głębin, zatrzymajcie kolejkę. Powtarzam, hamowanie awaryjne.

Rozległ się tupot nóg i na platformie pojawiły się ledwo widoczne postacie. Z wnętrza kapsuły trudno je było odróżnić od iluzorycznej przestrzeni kosmicznej, ale Wame domyślił się, że to członkowie ochrony parku.

— Przepraszam pana — odezwał się jeden z mężczyzn — ale musi pan pójść ze mną.

— Nie — odparł Wame. — Już dobrze. Już wszystko w porządku.

— Proszę wyjść z kapsuły na platformę — powtórzył ochroniarz nieco bardziej stanowczo. Andrew poczuł, jak Georgia ściska go mocniej za rękę. To śmieszne, pomyślał. Znalazł w końcu córkę, była już bezpieczna, mogli spokojnie jechać dalej. Odwrócił się, żeby wyjaśnić to wszystko ochroniarzowi, lecz stwierdził, że nie słyszy własnego głosu. Szczerze mówiąc, nie słyszał niczego poza ogłuszającą eksplozją dźwięku, która jakby dochodziła zewsząd naraz.

W górze wybuchło światło. Podniósł głowę w samą porę, aby ujrzeć pełną ku nim dwa wielkie słupy pomarańczowego ognia. Przez mgnienie oka w oślepiającym rozbłysku zobaczył tajemną architekturę Mrocznej Głębiny — ogromny stożek szkła, centralną piastę ze szprychami układającymi się w kształt parasola — zanim poraził go blask spotęgowany przez niekończące się

237

zwierciadła. Zamknął oczy i odwrócił głowę. Na platformie rozległy się przestraszone i zdziwione okrzyki. Kapsuła przechyliła się gwałtownie na bok. Okropny hałas przycichł, a zamiast niego powietrze rozdarł zgrzyt rozdieranego metalu.

— Tatusiu! — krzyknęła Georgia.

Wame odwrócił się do córki. A potem w nagłym, konwulsyjnym odruchu rzucił się i osłonił dziewczynkę własnym ciałem. Kapsułą jeszcze raz szarpnęło i spowiła ich nieprzenikniona ciemność.

14.40

Ośrodek Pomocy Medycznej Utopii mieścił się na poziomie A, dokładnie pod Nexusem. Został zlokalizowany tak, aby w wypadku kataklizmu lub katastrofy można się było do niego dostać z każdego miejsca parku w jak najkrótszym czasie. A wyposażono go w sprzęt reanimacyjny, którego pozazdrościłby mu go niejedyn najlepszy oddział urazowy na świecie: wszelkiego rodzaju respiratory, defibrylatory, najnowocześniejsze urządzenia do intubacji, aparaturę monitorującą, kardiomonitor, nosze na kółkach z zamontowanymi przyrządami reanimacyjnymi. Większa część tego wysokiej klasy oprzyrządowania stała nieużywana w ciemnych wnękach i magazynach, dzieła sztuki do ratowania życia niszczały w niesterylnych warunkach i pokrywały się kurzem. Na burzliwym oceanie Utopii ośrodek medyczny pozostawał zawsze archipelagiem spokoju.

Pielęgniarki o łagodnych głosach opatrywały stłuczone kolana lub skrecone kostki, sanitariusze uzupełniali zaopatrzenie, technicy przeprowadzali obowiązkową diagnostykę urządzeń, które rzadko nawet uruchamiano.

Teraz jednak punkt medyczny zamienił się w gorączkowe centrum segregacji rannych. Krzyki bólu mieszały się z wołaniem o osocze, lekarze biegali od sali do sali, sanitariusze, którzy w normalnych warunkach robiliby inwentaryzację leków, kursowali z aparaturą medyczną między stołami operacyjnymi. Goście zebrani w poczekalniach zbijali się w grupki wokół szlochających krewnych lub siedzieli przygnębieni na krzesłach i patrzyli tępo w sufit.

239

Warne zaciągnął błękitną zasłonę wokół wnęki, aby w miarę możliwości stłumić dobiegający hałas. Łupało go okropnie w lewym ramieniu, kiedy przesuwiał kółka po metalowym drążku. Gdy odwrócił się z powrotem do łóżka, zobaczył swoje odbicie w lustrze nad małą umywalką — ściągniętą twarz, zapadnięte oczy. Z opatrunkiem na skroni, przez który przesiąkała krew, wyglądał jak zbir.

Georgia leżała na łóżku z zamkniętymi, pergaminowymi powiekami. Oddychała powoli i regularnie. W rękę trzymała swój odtwarzacz. Andrew do tej pory czuł na ramieniu miejsce, gdzie ściskała je ta dłoń. Nie puściła go ani na moment, przez cały czas, kiedy ekipa ratownicza wyciągała ich z unieruchomionej kapsuły, kiedy wieziono ich na wózku elektrycznym do centrum medycznego.

Jej powieki zadrgały i dziewczynka otworzyła oczy.

— Jak się czujesz? — zapytał łagodnie.

— Spać mi się chce.

— To po środkach przeciwbólowych, lekarz dał ci zastrzyk. Odpoczniesz trochę.

— Hm.

Oczy jej się znowu zamknęły. Popatrzył na brzydki siniec, który zaczął wychodzić na policzku

córki. Wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach.

— Dziękuję, że po mnie przyszedłeś. Tam, do kolejki.

— Śpij spokojnie, Georgio — powtórzył.

Poruszyła się pod okryciem.

— Nie nazwałś mnie księżniczką — wymamrotała.

— Sądziłem, że tego nie lubisz.

— Nie lubię. Ale możesz to jeszcze raz powiedzieć.

Pochylił się i pocałował ją w stłuczony policzek.

— Kocham cię, księżniczko — szepnął.

Ale Georgia już spała. Stał przez chwilę i patrzył, jak jej pierś unosi się i opada pod cienkim szpitalnym kocem, potem wygładził fałdę okrycia pod brodą. Wyjął jej z ręki odtwarzacz i otworzył plecaczek, który leżał na krześle przy łóżku. Kiedy wkładał odtwarzacz do środka, coś wypadło na podłogę. Odłożył plecak, schylił się i dreszcz go przeszedł po całym ciele.

240

Na podłodze leżała bransoletka zrobiona ze zwykłego srebrnego łańcuszka z sześcioma żaglóweczkami zawieszonymi na maleńkich kółeczkach. Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy obracał ją w palcach. Georgia dostała tę bransoletkę od mamy na siódme urodziny. Ilekroć żona Andrew skończyła projekt nowej łodzi, dawała córce miniaturową replikę, aby zawiesiła sobie na łańcuszku. Zupełnie zapomniał o tej pamiątce, nie miał pojęcia, że dziewczynka nosiła ją ze sobą przez te wszystkie lata od śmierci matki.

Jego palce pogładziły eleganckie linie „Świetlanej Przyszłości” — ostatniej łodzi zaprojektowanej przez jego żonę, łodzi, w której zatonała u wybrzeży Delaware.

— Charlotte — powiedział półgłosem.

Rozległ się cichy szelest i między fałdami zasłony pokazała się głowa mężczyzny w średnim wieku, łysawego, z małym wąsikiem nad jeszcze mniejszymi ustami. Zauważywszy Warne'a, wszedł do środka, a za nim następny mężczyzna. Nie mieli na sobie białych strojów, jakie nosiła w Utopii obsługa gości, tylko ciemne, nierzucające się w oczy garnitury.

— Doktor Wame? — spytał pierwszy mężczyzna, spoglądając na metalową podkładkę notesu.

Prostując się, Andrew dyskretnie otarł łzy. Potem skinął głową.

— Przepraszam, że pana niepokoiimy — powiedział mężczyzna z wąsami. — Nazywam się Feldman, a to pan Whitmore. Czy moglibyśmy zadać panu kilka pytań?

— A być może odpowiedzieć również na kilka pańskich — dodał Whitmore.

Był wysoki, mówił piskliwym głosem, a mówiąc, mrugał gwałtownie oczami.

Zanim Andrew zdążył się odezwać, po raz kolejny rozsunała się zasłona i do wydzielonej salki wkroczyła zwawym krokiem Sarah Boatwright. W ślad za nią z warkotem wjechał Wingnut.

Oczy Sarah spoczęły najpierw na Wamie, a następnie na mężczyznach w garniturach.

— Zostawcie go — powiedziała.

Obaj mężczyźni skinęli jej głowami i pospiesznie opuścili salkę.

241

— Kto to był? — zapytał Andrew, lecz bez zbytniego zainteresowania.

— Feldman to nasz prawnik, a Whitmore pracuje w dziale kontaktów z gośćmi.

Wame patrzył, jak niewidzialna dłoń zaciąga zasłonkę od zewnątrz.

— Kontrola strat — stwierdził.

— Próbujemy utrzymać wypadek w tajemnicy.

Wame kiwnął głową.

— Ile wiedzą?

— Tylko tyle, ile im powiedziano. Że zawiniła drobna mechaniczna usterka. — Podeszła bliżej.

— Jak się czujesz?

— Jakbym przeżył bliskie spotkanie z ciężarówką. Co tam się stało?

— Miałam zamiar zapytać cię o to samo.

— Nie mam pojęcia. — Wziął głęboki oddech i próbował sobie przypomnieć. — Coś wybuchło, widziałem nagły błysk, kolejką zaczęło chybotać i trząść. Myślałem, że to wszystko się

na nas zawali. — Przerwał. — Zamknąłem oczy, złapałem Georgię. To wszystko, co pamiętam sprzed przyjazdu ekipy ratunkowej.

Spojrzał na Sarah pytająco.

— Będę z tobą szczerza, Andrew. Niewiele brakowało, żeby doszło do prawdziwej katastrofy. W głównym szybie podłożono materiały wybuchowe. Ten szyb utrzymuje prawie całą konstrukcję Mrocznej Głębiny. Gdyby pękł, wszystkie kapsuły urwałyby się i runęły na dno. Na szczęście się przeliczyli. Dźwigar zabezpieczający wytrzymał i zapobiegł zawaleniu szybu. Dzięki temu udało się ewakuować ludzi.

„Przeliczyli się”. Przez ułamek sekundy Wame prawie poczuł ulgę. Kimkolwiek byli bandyci, popełniali błędy.

Sarah wskazała głową łóżko.

— Jak się czuje Georgia?

— Trochę potłuczona. Lekarz mówi, że nic jej nie będzie. To dzielna dziewczyna.

Przez chwilę Sarah patrzyła w milczeniu na śpiącą postać. Potem wyciągnęła rękę i dotknęła czoła dziewczynki. Po raz

242

pierwszy, od kiedy weszła do salki, Wame popatrzył na nią uważniej. Na dumnej twarzy zobaczył wyraz, jakiego nigdy przedtem u niej nie widział: bólu, a może nawet prawie bezradności.

Przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę w gabinecie. Uprzytomnił sobie nagle, że nigdy do tej pory nie prosiła go o pomoc. Ten park jest dla niej wszystkim, pomyślał. Tak jak dla mnie Georgia. Targnął nim gwałtowny gniew na ludzi, którzy to uczynili, którzy krzywdzili bliskie mu osoby.

— Co mogę zrobić? — spytał.

Sarah podniosła pytająco wzrok.

— W gabinecie poprosiłaś mnie o pomoc. Zrobię, co w mojej mocy.

Z wahaniem popatrzyła z powrotem na leżącą dziewczynkę.

— Jesteś pewien?

Wame skinął głową. Po dłuższej chwili Sarah zabrała dłoń z czoła Georgii.

— Zabronili nam informować policję. Chcielibyśmy sprawdzić, przy jakich urządzeniach mogli jeszcze majstrować. Wiemy, że mamy w parku co najmniej jedno zgniłe jabłko, ale nie wiemy, kto to. Na pewno używali metasieci, żeby włamać się do kodów operacyjnych niektórych robotów.

— Nie możecie ewakuować parku?

— Podłożyli materiały wybuchowe w kolejce jednotorowej. Powiedzieli, że obserwują również wszystkie wyjścia awaryjne.

— Czy wiesz, dlaczego podłożyli bombę w Mrocznej Głębini?

Twarz Sarah wykrzywiła się jeszcze bardziej w bolesnym skurczu.

— Nie doceniiliśmy... a właściwie ja nie doceniłam tych ludzi. Zorganizowaliśmy przekazanie im płyty z danymi Tygła, ale zamierzaliśmy przyczepić ogon ich przywódcy, Johnowi Doe, kiedy będzie podejmował przesyłkę. Zorientował się. — Włożyła rękę do kieszeni i wyjęła plastikową torebkę ze srebrnymi okruchami. Położyła ją na skraju łóżka z gorzkim uśmiechem. — Jeden człowiek z ochrony zginął, a tyle zostało z dysku Tygła. Mroczna Głębina miała być dla nas karą. Teraz czekam, aż się skontaktują w sprawie przekazania następnej płyty.

243

Spojrzała mu w oczy.

— Więc co mam zrobić? — zapytał po długiej chwili milczenia.

— Jeżeli możesz wykorzystać metasieć, aby wykryć, które roboty zostały przeprogramowane i jak... Każdy ochłap informacji może się okazać użyteczny. Gdybyśmy wiedzieli, co zrobili, może udałoby się nam przewidzieć ich następny ruch i przygotować się.

Spuściła wzrok.

— Módlmy się, aby do tego nie doszło.

Nastąpiła krótka cisza.

— Zrobię, co będę mógł. Jeśli tylko...

To powiedziawszy, wskazał głową łóżko.

— Osobiście dopilnuję, aby się nią dobrze zaopiekowano. Nasze służby bezpieczeństwa przeczesały niektóre miejsca parku, między innymi ośrodek medyczny i apartamenty VIP-ów. Nie znaleźli żadnych śladów niepożądanego działania. Georgia jest tu bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej. — Ściszyła głos. — Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinienes wiedzieć.

— Co takiego?

— Teresa Bonifacio znajduje się na liście podejrzanych.

— Terri? — zapytał Andrew z niedowierzaniem.

— Ja też w to nie wierzę, ale tylko garstka osób w parku dysponuje niezbędnymi uprawnieniami i kwalifikacjami, żeby coś takiego zrobić. Terri jest jedną z nich. Miej to na uwadze. I jeszcze jedno. Pamiętasz, jak w moim biurze znaleźliśmy Georgię, tropiąc jej znaczek w systemie? Zauważyłam potem, że ktoś szukał w parku ciebie.

— Mnie? — Wame poczuł, jak przez zdziwienie przebija się niepokojący dreszcz lęku. — Po co?

— Nie mam pojęcia, ale bądź ostrożny. I może lepiej nie noś przy sobie znaczka. Każę komuś wyrzucić go do śmieci na drugim końcu parku.

Wame spojrział w dół na klapę marynarki i stwierdził, że jest pusta.

— I tak go zgubiłem. Pewnie w czasie wypadku.

— To dobrze. Jeśli zatrzyma cię ktoś z ochrony, pokaż mu swoją przepustkę i każ się ze mną skontaktować.

244

Jeszcze raz rozsunała się zasłona i do środka wszedł mężczyzna w białym fartuchu.

— O, Sarah. Powiedziano mi, że cię tu znajdę.

— Doktorze Finch — Sarah skinęła głową — jak wygląda sytuacja?

— Dzięki Bogu, lepiej niż można by się spodziewać. Cud boski, że ten dźwigar wytrzymał.

Gdyby nie on, wszystko by się zawaliło, a wtedy wysłalibyśmy do kostnicy kilka pełnych samochodów. Tymczasem mamy trochę ponad dwadzieścia ofiar, z czego w najgorszym stanie jest chłopiec z dwiema złamanymi nogami.

Sarah ściągnęła usta w wąską kreskę.

— Proszę mnie informować na bieżąco.

Lekarz wyszedł, a Sarah odwróciła się z powrotem do Wame'a.

— Zostawiłeś coś w moim biurze.

Ujęła jego dłoń i przypięła mu wokół nadgarstka echolokator. Wame poczuł w dłoni mrowienie pod wpływem dawno zapomnianego dotyku.

— Po co go tu przyprowadziłaś?

— To twój pies, nie pamiętasz?

Spojrzał na brylowatą, czworonożną maszynę, która wpatrywała się weń bez zmrużenia oka. Jego dłoń nieświadomie dotknęła echolokatora. Cała ta scena, przepełniona żalem, szokiem, gniewem, sprawiała niemal surrealistyczne wrażenie.

Po raz kolejny rozsunały się zasłonki i do środka wszedł niski, krępy mężczyzna. Biła od niego pewność siebie, a rzadkie, jasne włosy w zestawieniu z opaloną twarzą wydawały się siwe. Skinął głową do Sarah.

— Czy to on? — spytał Sarah.

— Nie, to doktor Andrew Wame — odparła. — Zdaje mi się, że Poole jest obok z Feldmanem i Whitmore'em.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

— Ten facet to cholerny bohater. Jak mogłaś pozwolić, żeby męczyły go urzędasy z public relations?

Wame odwrócił się do Sarah z niemym pytaniem na twarzy.

— To szef naszej ochrony — wyjaśniła Sarah. — Przyszedł podziękować jednemu z gości.

Niejaki Angus Poole leciał kilka

245

kapsuła za Georgią i narażał życie, żeby uratować innych pasażerów.

Allocco skinął głową mruknął, po czym rozsunał zasłonę i zniknął.

— Myślę, że ja też powinienam złożyć mu wyrazy szacunku — rzekła Sarah.

Wame odwrócił się do śpiącej Georgii. Pochylając się, aby pocałować córkę w policzek, zauważył, że Sarah zostawiła na łóżku torebkę z resztkami płyty DVD. Wziął ją, po czym jeszcze raz obrzuciwszy córkę spojrzeniem, odwrócił się i podążył za Sarah i Bobem Allocco.

W sąsiedniej salce utworzonej przez plastikowe zasłonki siedział na łóżku mężczyzna i dłubał przy świeżo opatrzonej ranie ciętej na nadgarstku. Bez dwóch zdań wyglądał na gościa Utopii. Miał na sobie sztruksową marynarkę, czamy golf i brązową tweedową czapkę. Był po czterdziestce, dobrze zbudowany, ale nie otyły. Jego usta sprawiały wrażenie, jakby zastygły w wiecznym, trochę nieobecny uśmiechu. Ściśle mówiąc, cała jego twarz wydawała się nieruchoma, z wyjątkiem czujnych oczu w kolorze spłowiałego dżinsu, które ani na moment nie przestawały przeskakiwać z przedmiotu na przedmiot z nieustępliwą ciekawością. Feldmana ani Whitmore'a nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Błękitne oczy dostrzegły Andrew i rozszerzyły się lekko z zaskoczenia.

— O, to pan! — zawołał.

Podeszła do niego Sarah.

— Panie Poole, nazywam się Sarah Boatwright, to jest Bob Allocco, kierownik ochrony naszego parku.

— Chcieliśmy podziękować za odwagę, jaką wykazał pan w Mrocznej Głębinie — powiedział Allocco i z uznaniem skinął głową. — To był nie lada wyczyn, kiedy pomógł pan wydostać się tym ludziom ze strzaskanej kapsuły.

— Ci ludzie są moimi krewnymi — odparł Poole.

Chociaż mówił do Allocca, nie odrywał oczu od Warne'a.

— Jest nam ogromnie przykro z powodu tego, co się stało — ciągnęła Sarah. — Utopia ma najlepsze notowania pod względem

246

bezpieczeństwa ze wszystkich parków rozrywki, ale obawiam się, że nawet najbardziej rygorystyczne systemy kontroli nie zawsze mogą uchronić przed mechaniczną usterką...

Czuje oczy mężczyzny przeskoczyły z Warne'a na Sarah.

— Pani tu dowodzi?

— Jestem dyrektorem działu operacyjnego Utopii, jeśli to pan ma na myśli. Chciałabym coś dla pana zrobić, nagrodzić pana w jakiś sposób za to, co pan uczynił dla naszych gości.

Nieobecny uśmiech pogłębił się nieznacznie.

— Szczerze mówiąc, myślałem, że to raczej ja mógłbym coś dla was zrobić.

Sarah zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem.

Mężczyzna spojrzał na nią zdziwiony.

— Ilu ich jest?

— Ich? — powtórzyła jak echo Sarah.

— No, tych złych facetów. Z jaką siłą mamy do czynienia? Taktyczną? Bojówkową?

Wame zauważył, jak Sarah i Allocco wymieniają spojrzenia. W końcu odezwał się Bob.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dołączy pan do swoich krewnych...

Sarah dała mu znak, aby umilkł.

— Przepraszam, ale trochę pana nie rozumiem.

— Czego pani nie rozumie?

— Tego, co pan powiedział. Doszło do poważnego wypadku i...

Poole szczerknął krótkim śmiechem, prawie jakby zakaszał.

— Poważnego, owszem, ale to nie był wypadek. — Ponieważ nikt się nie odezwał, mówił dalej: — Najgorsze, że pozapalaliście te wszystkie światła — powiedział niemal żalobnym barytonem. — Ucieczka z Mrocznej Głębiny była moją ulubioną atrakcją, a teraz już wiem, na jakiej zasadzie działa. Zepsuliście mi całą zabawę.

Wame, Allocco i Sarah znów wymienili spojrzenia, ale w dalszym ciągu żadne z nich się nie

odzywało.

— Byłem na starcie, kiedy doszło do wybuchu. Pomogłem
247

krewnym, a potem dość długo czekałem. Wyciągnęli mnie koło tego zdruzgotanego dźwigara. Ale wtedy zapalili już światła i mogłem sobie wszystko dokładnie obejrzeć. Niezła eksplozja. C-cztery, prawda? Trzy ładunki ułożone po bokach. Nazywają to kanapką firmową. Niesłychanie precyzyjna robota. I przemyślna, zważywszy na poruszające się otoczenie.

W maleńkiej salce zapanowała cisza.

— Proszę mówić dalej — odezwał się Allocco.

— A muszę? Jeśli nie macie w zwyczaju podkładać środków wybuchowych dla wzmocnienia efektów specjalnych na swoich kolejkach, to myślę, że macie tu nieproszonych gości. Albo jednego, szczególnie wkurzonego gościa. — Poole machnął ręką w stronę zasłony. — Tylko gdzie jest policja? Dlaczego nie zabezpieczono miejsca przestępstwa, a zamiast tego wszędzie latają faceci w garniturkach i przepraszają za wypadek. Wypadek! To mi wygląda na tuszowanie sprawy. Ktoś was straszy. To źle. I ja chyba wiem kto.

— Doprawdy? — powiedziała Sarah.

Poole skinął głową.

— Widziałem dzisiaj rano tego faceta w Nexusie. Gadał do siebie. To właśnie pierwsze zwróciło moją uwagę. Wyglądał, jakby recytował poezję czy coś. Miał południowoafrykański akcent, to druga rzecz. I ten garnitur. Żaden turysta nie wkłada na siebie włoskiego garnituru za pięć tysięcy dolarów, żeby iść do parku rozrywki. Ale najbardziej uderzyło mnie to, jak się rozglądał. Znam to spojrzenie. Jakby gość robił rekonesans. A właściwie już zrobił. I teraz nic już go tu nie mogło zaskoczyć. — Pokręcił głową i roześmiał się. — Ale jestem na urlopie, więc zapomniałem o tym. Dopiero gdy siedziałem w roztrzaskanej kapsule, dodałem dwa do dwóch.

— Jest pan policjantem? — spytała Sarah.

Mężczyzna znów się roześmiał.

— Niezupełnie.

— A zupełnie kim?

— Powiedzmy: uzbrojonym strażnikiem. Służby ochrony osobistej, coś w tym rodzaju.

Allocco przewrócił oczami.

248

— A ja myślałem, że jest pan Sherlockiem Holmesem.

Jego ton głosu zmienił się znacząco w ciągu ostatnich kilku minut.

Znów zapadło milczenie, tym razem na dłużej. W końcu Sarah wzięła głęboki oddech.

— Powiedział pan, że może coś dla nas zrobić. Co dokładnie miał pan na myśli?

— Nie wiem. A czego potrzebujecie?

Raptem wtrącił się Allocco.

— Dość tego — powiedział. — Wybaczmy nam pan na chwilę, panie Poole?

— Naturalnie.

Wame mszył za nimi z powrotem do przegrody Georgii.

— Co ty wyprawiasz, do diabła? — Allocco natarł na Sarah. — To zwyczajny ochroniarz do wynajęcia. A my tu mamy poważną robotę.

— Właśnie na tym polega nasz problem — odparła szeptem Sarah. — Jaką konkretnie robotę masz na myśli, Bob? Co z listą Barksdale'a?

— Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Jeden z techników, Tibbald, zgłosił rano wyjście w punkcie kontroli i dotąd nie wrócił, więc nie mogliśmy go przesłuchać. Nagrania wideo niczego nie wykazały.

— Więc widzisz, o co mi chodzi? Nie mamy nic do roboty poza lizaniem ran i czekaniem, aż zadzwoni telefon.

Allocco wskazał kciukiem sąsiednią przegrodę za zasłoną.

— Nic o nim nie wiemy, skąd wiesz, czy to nie jeden z nich?

— Daj spokój, Bob. Sam wiesz, że to głupi pomysł. Jego rodzina jechała razem z nim kolejką. Ryzykował życie, żeby ich uratować.

— No to jest gościem, jeszcze gorzej. Wiesz, jak to będzie wyglądało? Co on na to powie?

— A co twoim zdaniem powie, kiedy każemy mu spadać? Potrzebna nam każda pomoc. Jeśli wyślesz swoich ludzi, żeby przeczesywali każdy metr parku, zacznie to budzić podejrzenia. Ale turysta w khaki i tweedowej czapce nie zwróci niczyjej uwagi. Widać, że facet wie, o czym mówi. Jestem skłonna przyjąć go do drużyny. I przypominam ci, że tu nie panuje demokracja.

249

Allocco spojrział na nią z niedowierzaniem. Otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz zaraz je zamknął i zde gustowany pokręcił głową.

— Masz rację, to nie demokracja. Ale ja nie biorę na siebie odpowiedzialności za tego gościa. I trzymaj go z dala od moich ludzi.

— Niczego nie obiecuję.

Poprowadziła ich z powrotem do sąsiedniej salki.

— Panie Poole, ma pan tu krewnych? — spytała.

Mężczyzna pokiwał głową.

— Kuzynkę z mężem i dziećmi. Dobry, solidny materiał z Iowy.

— Nic im się nie stało? Dobrze się czują po wypadku?

— Żartuje pani? Po tej waszej grupie szturmowej od public relations rozdającej kupony na jedzenie i żetony do kasyn jak cukierki? Szaleją już z powrotem w parku.

— A pan, jak widzę, nie zamierza do nich dołączyć.

— Tak, jak mówiłem: straciłem ulubioną atrakcję. — Poole potrząsnął głową kąci ust w nieodłącznym uśmiechu opadły nieco żałośnie. — Nie potrafiłbym się teraz rozkoszować kuflem sama adamsa.

Słowa te przyjęto milczeniem.

— Wspominał pan o bezpieczeństwie osobistym. Czy to znaczy, że jest pan ochroniarzem?

— Wolimy nie używać tego nazewnictwa. Zajmujemy się indywidualnymi klientami: biznesmenami, zagranicznymi dyplomatami, VIP-ami. W tym stylu.

— Dobrze. — Sarah machnęła ręką w kierunku Warne'a. — Panie Poole, proszę poznać Andrew Wame'a.

Poole skinął głową.

— Widziałem pana w Porcie Podniebnym. Sądziłem, że jest pan zwykłym gościem. Jeśli dobrze pamiętam, sporo tam pan biegał. — Przyjrzał mu się bliżej. — Dobrze się pan czuje, kolego?

— Andrew Wame nie jest zwykłym gościem. Proszę go potraktować jak jednego ze swoich VIP-ów.

Mężczyzna zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym kiwnął głową.

250

— I... panie Poole... — powiedziała Sarah. Angus obrócił na nią swoje niebieskie oczy.

— Proszę się postarać, żeby przeżył ten dzień do końca, a może dostanie pan dożywotnią bezpłatną kartę wstępu na wszystkie atrakcje Utopii.

Poole się uśmiechnął.

14.40

Norman Pepper siedział na szerokiej skórzanej kanapie w świetlicy dla konsultantów z zewnątrz na poziomie B i popijając napój ze szklanki, czytał ogólnokrajowe wydanie „New York Timesa”. Spędził właśnie czarujące pół godziny z działem krajowym i zamierzał poświęcić następne, równie urocze trzydzieści minut na wiadomości ze świata.

Dzień okazał się jeszcze lepszy, niż się zapowiadał. Pracownicy Utopii wydawali się inteligentni, rzeczowi i chętni do pomocy. Jego propozycję założenia w ateneum kwietników z orchideami przyjęto bez dyskusji. Dostał nawet większy budżet, niż się spodziewał. A sama Atlandyda zapowiadała się rewelacyjnie. Nie miał wątpliwości, że kiedy zostanie otwarta, przyciągnie więcej gości niż wszystkie pozostałe krainy Utopii. Nazwanie jej parkiem wodnym nie oddawało całej

prawdy. Była raczej jak morze śródłądowe. Te łódki przenoszące człowieka z jednej atrakcji do drugiej, to na wpół zatopione miasto... A największe wrażenie robiło samo wejście do krainy. Nawet w niedokończonym stanie wyglądało po prostu bajecznie. Bajecznie! Bez cienia wątpliwości najgenialniejszy portal w całym parku. A on, Norman Pepper, widział je wcześniej niż wszyscy inni. Niech no tylko usłyszą o tym dzieci! Poczul miłe samozadowolenie, jakby go przypuszczono do tajemnicy państwowej. Zarechotał cicho pod nosem.

A ta świetlica była po prostu lukrem na ciastku. Darmowe

252

jedzenie i picie, wszystkie filmy Nightingale'a, prysznic, stoły do bilardu, mała biblioteka, pokoje do odpoczynku z telewizorami i telefonami. A najlepsze, że nikt z tego miejsca nie korzysta. Panowała tu po prostu martwa cisza. Pepper przypuszczał, że przyczyniła się do tego nazwa: „Świetlica dla konsultantów z zewnątrz”. Przed oczami stawała człowiekowi poczekalnia na dworcu autobusowym: plastikowe krzesła, czasopisma sprzed roku, kawa instant w papierowych kubkach. Trudno byłoby bardziej się minąć z prawdą lecz jak inaczej wytłumaczyć pustki w tak wspaniałym miejscu? Dopiero pięć minut temu zjawił się tu inny gość. Może pozostali eksperci odwiedzający park korzystali z okazji i zwiedzali jego atrakcje. Pepper nie miał ochoty się z tym spieszyć. Był umówiony w Gazolocie o szóstej, miał sprawdzić, na czym polega kłopot z roślinami zakwitającymi nocą; jutro następne spotkania, ostateczne zatwierdzenie projektu i planu robót. A w środę zwiedzi park. Zrobi to jak należy: od deski do deski, od A do Z. Od Kamelotu po Kallisto. Westchnął z zadowoleniem i odłożył gazetę na bok, aby nalać sobie do szklanki resztę dr. peppera. Od dzieciństwa Pepperowi dokuczano z powodu jego upodobania do tego napoju. Nic na to nie mógł poradzić, miał do niego słabość i żadne drwiny nie mogły tego zmienić. Kiedy dorósł, często mówił ludziom, że doktor był jego prapradziadkiem, rzecz jasna, tylko w formie żartu, ale czerpał z tego niemało korzyści... Pociągnął duży łyk i nie wypuszczając szklanki z prawej ręki, ponownie rozłożył gazetę. To dopiero jest życie.

Kiedy przewracał strony, kątem oka zobaczył drugiego gościa, który kilka minut temu wszedł do świetlicy. Mężczyzna był dość egzotycznie ubrany — w kraciasty płaszcz w stylu Sherlocka Holmesa, ciasny wełniany garnitur z cienkimi klapami i mnóstwem guzików. W jednym ręku trzymał wysoki jedwabny kapelusz, w drugim mosiężną główkę długiej laski. Od dłuższej chwili nowo przybyły chodził po saloniku tam i z powrotem i zaglądał w różne kąty. W końcu podszedł do Peppera.

— Bardzo tu cicho — zauważył.

— Jak w grobie. Jest pan pierwszą osobą która tu zajrzała, od kiedy przyszedłem.

253

Mężczyzna pokiwał głową.

— Czyli siedzi pan tu już dosyć długo?

— Owszem — odrzekł Pepper.

I co z tego? — pomyślał sobie. Nie podobał mu się ton głosu tego człowieka. W końcu jest wysokiej klasy ekspertem, tak czy nie? Ma wszelkie prawo tu siedzieć. Czego nie można powiedzieć o nim. W takim stroju może chodzić tylko pracownik parku. Więc co tu robi? Pewnie przyszedł na darmowe jedzenie.

Mężczyzna oglądał teraz uważnie sufit. Miał migdałowe oczy, osadzone w twarzy o kształcie serca. Ostrożnym, prawie delikatnym ruchem położył kapelusz na stoliku, po czym odwrócił się do Peppera. W prawej ręce trzymał polerowaną drewnianą laskę i jej mosiężną rączką stukał w lewą dłoń. Norman obserwował, jak ostre, błyszczące okucie migocze w świetle fluorescencyjnych żarówek. Opuścił gazetę.

— Trudno pana wytropić, panie Wame — odezwał się mężczyzna, ruszając w kierunku botanika.

Z jakiegoś powodu jednak nie zatrzymał się w porę. Szedł dalej, aż jego łydki dotknęły kolan Peppera. Przyjazna atmosfera Utopii działała tak kojąco, że w pierwszej chwili dziwne zachowanie przybysza wzbudziło w nim jedynie zaciekawienie. Kiedy się zorientował, że coś jest nie tak, wcisnął się plecami w skórzane miękkie oparcie kanapy. Palce mu zwiotczały, szklanka wypadła z

ręki i napój z kostkami lodu wylał się na gazetę. Co jest grane? Ten człowiek narusza jego przestrzeń osobistą a w jego głosie — co to za akcent: francuski? izraelski? — wyraźnie brzmiała groźba. Pepper przeraził się tak raptownie i tak śmiertelnie, że dłuższą chwilę potrwało, zanim dotarły do niego ostatnie słowa mężczyzny.

— Wame? — wybełkotał. Czuł, jak lodowaty napój przesiąka mu przez spodnie na siedzeniu i pełźnie w stronę krzyża. — To jakaś pomyłka. Nie nazywam się Wame.

Mężczyzna zrobił krok w tył. Opuścił ciężką łaskę nieco z boku i czekał.

— Doprawdy?

— Tak. Ale zaraz, zaraz, już wiem! Pamiętam Warne'a, jasne.

254

To ten facet, który rano jechał ze mną kolejką. Nie jestem Wame. Nazywam się Pepper. Norman Pepper.

Oczy mężczyzny przeskoczyły z twarzy Peppera na puszkę z napojem.

— Jasne — powiedział nieznajomy z uśmiechem. I podszedł jeszcze bliżej.

14.55

Andrew Warne ze swego bardzo niewygodnego miejsca przy biurku Terri Bonifacio obserwował, jak Poole otwiera zamek w drzwiach pracowni, uchyla je ostrożnie, wygląda na korytarz, po czym zamyka z powrotem na klucz. W tweedowej czapce, sztruksowej marynarce i golfie wyglądał jak turysta bawiący się w tajnego agenta. Jakoś jego widok nie działał zbyt pokrępowująco.

— Wie pan co, zaczynam się denerwować, gdy tylko na pana patrzę — oznajmił Wame.

Poole spojrział na niego i odsłonił śnieżnobiałe zęby, kontrastujące z brązową opalenizną.

— To dobrze — odparł. — Człowiek zdenerwowany ma się na baczości.

Odszedł od drzwi, po czym rozpoczął powolny obchód pracowni, podczas którego oglądał ściany i sufit. Skończywszy okrażenie, stanął za Warne'em z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Andrew pokręcił głową. Wydawało się niedorzecznością że oto dorobił się osobistego goryla. No dobrze, może i bandyci dowiedzieli się o jego obecności w Utopii, ale czyżby naprawdę upatrywali w nim jakieś poważne zagrożenie? Na pewno bardziej obawiają się ochrony. Poza tym, kim właściwie jest ten cały Poole? Wrażenie surrealizmu całej sytuacji jeszcze się pogłębiło. Zbyt dużo niespodzianek i wstrząsów jak na kilka godzin.

256

— Nie powinien pan przypadkiem stać między mną a drzwiami? — spytał. — No, wie pan, żeby w razie czego zasłonić mnie własną pierśią i w ogóle...

— Nie będę nikogo zasłaniał własną pierśią na urlopie. Lepiej niech pan robi swoje.

Wame obserwował jeszcze przez chwilę niewzruszoną twarz Poole'a, po czym westchnął ciężko.

— Robić swoje — powiedział i odwrócił się do Terri. — Od czego mamy zacząć?

Terri nie odpowiedziała. Znalazła go w końcu w centrum medycznym, kiedy szykował się właśnie do wyjścia z Poole'em depczącym mu po piętach. Dziewczyna pobladła, kiedy usłyszała, co się wydarzyło w Mrocznej Głębinie, i to, co opowiedziała Warne'owi Sarah. Teraz jednak, kiedy odwzajemniła jego spojrzenie, ciemne oczy Azjatki były przejrzyste i spokojne.

— Jeśli zrelacjonowałeś mi wszystko, co ci powiedziała Sarah, to, jak rozumiem, mamy dwa zadania — rzekła po chwili. — Po pierwsze musimy się dowiedzieć, którym robotom zmieniono program, a po drugie, kto jest za to odpowiedzialny.

— Dwa zadania. — Wame kołysał się w przód i w tył, wpatrując się w monitor komputera. — I myślę, że są ze sobą powiązane.

— W jaki sposób?

— Każdy złodziej, a w tym wypadku haker, zostawia po sobie ślad. Jeśli odkryjemy, jak włamano się do oprogramowania robotów, może uda się nam dojść tym tropem do sprawcy.

— Czy nie powinniśmy w takim razie porozmawiać z Barks-dale'em? W końcu to w jego dziale grzebano. Jeśli ktoś może dysponować odpowiednimi narzędziami, to właśnie on.

— Tylko że te zbiry też o tym wiedzą. Na pewno się zabezpieczyli. — Wame urwał. — Kłopot w tym, że są to tylko nasze domysły. Mamy za mało informacji.

— Więc celujcie w głowę — wtrącił się znowu Poole.

Wame spojrzał na niego pytająco.

— Celujcie w głowę — powtórzył Poole, jakby to było coś oczywistego. — Pierwsza rzecz, jakiej nas uczą dowódcy. Jes-

257

teście na polu walki, musicie wybrać cel. Do kogo będziecie strzelać najpierw?

Nikt się nie odezwał.

— Do tego, kogo najłatwiej trafić w głowę — odpowiedział sam sobie Poole.

— Więc służył pan w siłach zbrojnych — rzekł Wame.

— O tak, z pewnością byliśmy zbrojni.

Andrew spojrzał na Terri.

— Jeśli usuniemy z tego ludobójczą otoczkę, to on chyba sugeruje, że powinniśmy w pierwszej kolejności zająć się tym, co najoczywistsze.

— Czyli znaleźć zniekształcony kod.

— Tak. Jeśli uda nam się odkryć, jakie zmiany wprowadzono do metasieci, przypuszczalnie moglibyśmy odwrócić procedurę i znaleźć zmodyfikowane roboty.

— Czyli wkładamy detektywistyczne czapki.

Andrew kiwnął głową i westchnął.

— Detektywistyczne? — spytał Poole.

Wame'a bolało ramię, więc tym razem nie zadał sobie nawet trudu, aby się obejrzeć. No proszę, ochroniarz, który wykazuje zainteresowanie pracą swojego klienta.

— Przekopujemy się przez system — odpowiedział. — Szukamy okruszków, które zostawili po sobie bandyci.

Terri pokazała kciukiem metalowy wózek ze szczątkami nieposłusznych robotów.

— Moglibyśmy zacząć od tego — powiedziała. — Przeprowadzić diagnostykę, zdobyć zrzut ostatnich operacji.

— Moglibyśmy. — Wame poruszył się na krześle, spojrzał na płataninę kabli i układów scalonych, które tworzyły mózg do niedawna najlepszego sprzedawcy lodów w Kallisto. — Wiesz, zastanawiałem się nad Lodołamaczem.

— No i...?

— To dziwne. Najwyraźniej przeprogramowano go tak, aby w którymś momencie wpadł w szal i zaczął siać zniszczenie. Ale czemu stało się to akurat w tym momencie? Mam wrażenie, że to było przedwcześnie. John Doe nie rozpoczął jeszcze wtedy swojego przedstawienia.

258

Terri zastanawiała się przez moment.

— Czy wydarzyło się coś niezwykłego tuż przed tym, jak zaczął wariować?

Wame pokręcił głową.

— Zachowywał się tak jak na wszystkich testach. Zrobił Georgii piwo korzenne z lodami, potem złożyłem specjalne zamówienie, po którym zidentyfikował mnie jako swojego twórcę.

— Specjalne zamówienie?

— To taka boczna furtka, którą mu wbudowałem. Nic wielkiego, podwójny deser lodowy pistacjowo-czekoladowy z bitą śmietaną. Kiedy Lodołamacz to słyszy, uaktywnia się specjalna procedura. Nazywa mnie Kemo Sabe i realizuje zamówienie specjalne. Tylko że tym razem tuż po zrobieniu lodów oszalał i zaczął demolować stoisko. Na szczęście udało mi się go wyłączyć mechanicznie, zanim zrobił komuś krzywdę. Poza mną.

To rzekłszy, założył potarł nadgarstek.

— Hm. Boczna furtka. — Terri spojrzała na niego przelotnie. — Założę się, że ktoś, kto zmienił mu kod, nie miał o tym pojęcia. Nawet ja o tym nie wiedziałam. Rozważałeś możliwość, że gdy aktywowałeś kod tej bocznej furtki, włączyłeś również wadliwy program? I zdetonowałeś go przedwcześnie, że się tak wyrażę.

Wame popatrzył na nią zaskoczony.

— Nie, nie pomyślałem o tym. I jestem gotów się założyć, że tak właśnie było. Terri, jesteś genialna.

— E, tam. Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie. Ale nie potrafiła ukryć delikatnego rumieńca, który wykwitł jej na policzkach.

— Możemy to zweryfikować później. Tylko że Lodołamacz i reszta to wciąż tylko pojedyncze roboty. Myślę, że lepiej zrobimy, jeśli zaczniemy od przeszukiwania metasieci. — Sięgnął dłońmi do klawiatury. — Dziś rano Barksdale powiedział, że Intranet Utopii jest zabezpieczonym systemem, całkowicie izolowanym od zewnątrz. Czy to prawda?

— Tak.

— To znaczy, że ktoś, kto w nim grzebał, robił to na miejscu.

259

Możemy więc przeskoczyć etapy włamywania się z zewnętrznej sieci, na przykład aktywnych kont. Chyba możemy założyć, że zdobyli już uprawnienia administratora.

Terri kiwnęła głową.

— Czyli przechodzimy do końcowych kroków, jakie podjąłby każdy haker. Archiwizujesz katalogi?

— Co tydzień.

— Możesz mi wyciągnąć ostatni miesiąc?

— Jasne.

Terri ześliznęła się z krzesła i podeszła do szczególnie wysokiej sterty papierów na pobliskim stole. Poole stanął koło Warne'a.

— Co pan robi? — zapytał, patrząc na ekran.

— Celuję w głowę — odrzekł Wame.

Poole uniósł krzaczaste brwi. Andrew wskazał terminal metasieci.

— Ktoś się włamał do tego komputera i wykorzystał go do wysłania sfalszowanych programów robotom pracującym w parku. Ale Utopia jest bardzo dobrze chronionym miejscem, żaden haker, nawet jej pracownik, nie może tak po prostu usiąść do klawiatury i zacząć pisać. Musiałby użyć jakiegoś trojana. To program komputerowy, który ukrywa się wewnątrz innego pliku i potajemnie wykonuje brudną robotę. — Andrew wzruszył ramionami. — Oczywiście to tylko jeden z możliwych scenariuszy, ale najbardziej prawdopodobny. Zamierzamy przejrzeć archiwa z ostatniego miesiąca w poszukiwaniu śladów niepożądanego ingerencji.

Wróciła Terri z plikiem pożółkłych wydruków.

— Doszłam do wniosku, że będziesz wolał to mieć na papierze — powiedziała. — Trochę przestarzałe, ale bardziej wiarygodne.

— Zgadza się. — Wame wpisał kilka szybkich komend i w komputerze otworzyło się okno, w którym rozwinęła się długa lista. — Porównajmy stare wydruki z obecnym stanem metasieci. Zaczniemy od najnowszych i będziemy się cofać w czasie.

Pochylili się nad arkuszami i zaczęli je w milczeniu przeglądać. Poole obserwował ich przez chwilę, po czym znowu obszedł

260

salę dookoła. Wingnut obserwował go bacznie, kręcąc się beczynn timer przy krześle Warne'a na swych przydużych kołach. W tle chrypliwy głos Axle'a Rose'a walczył o dominację z gorączkowymi, wznoszącymi się dźwiękami gitary Slasha.

— Pewnie nie przekonam cię, żebyś to wyłączyła — powiedział Andrew, wskazując głową odtwarzacz kompaktów.

— Przy muzyce lepiej mi się myśli.

Terri przewróciła kartkę. Nagle zachichotała.

— Z czego się śmiejesz?

— Właśnie mi przyszło do głowy: podwójny deser lodowy pistacjowo-czekoladowy z bitą śmietaną. Brzmi obrzydliwie.

— I to mówi kobieta, która smaruje niedojrzałe owoce brązową pastą z ryb. — Zawahał się, po czym podniósł głowę znad wydruków. — Swoją drogą to zabawne.

— Co takiego?

— Od roku gadaliśmy przez telefon co najmniej raz w tygodniu, a ja przez cały ten czas, słysząc nazwisko Bonifacio, myślałem, że jesteś Włoszką.

— Rozumiem. Miałaś fantazje o Sophii Loren pochylonej nad terminalem metasieci w bluzce z głębokim dekoltem. A tymczasem przyjeżdżasz i trafiasz na małą poczciwą mieszkankę Oceanii. Rozczarowany?

Wame pokręcił głową.

— Ani trochę.

Może sprawił to serdeczny ton głosu Andrew, ale szeroki uśmiech, jaki ta odpowiedź wywołała na twarzy Terri, nie przypominał jej typowych kpiarskich grymasów.

— Ćśśś! — syknął Poole. Podszedł do drzwi i je otworzył. — Idę sprawdzić korytarz — oznajmił. — Nikogo poza mną tu nie wpuszczajcie.

Wame obserwował, jak zamykają się za nim drzwi. Terri przekreśliła klucz w zamku i wróciła na swoje krzesło. Ich spojrzenia znowu się skrzyżowały.

— Myślisz, że to jakaś wtyka? — spytała, a jej uśmiech zrzedł.

— Nie wiem. Wszystko możliwe. Według Sarah ty też jesteś podejrzana.

Terri przewróciła oczami.

261

— Ach, te szefowe.

— Ale nos mi mówi, że Poole nie jest czarnym charakterem.

— Wiem, co masz na myśli. Poza tym, jaki terrorysta tak by się ubierał?

Wame wrócił do przeglądania wydruków. Po minucie westchnął i upuścił je na biurko.

— O co chodzi? — spytała Terri, delikatnie kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Czy martwiłaś się kiedyś o coś, co wydawało ci się szalone, a potem okazało się prawdą?

Wiedziałem, że szukanie Georgii to zwariowany pomysł, że przecież nic się nie może stać. No i stało się. Do tej pory nie mogę się otrząsnąć. — Przerwał. — Czy to ma jakiś sens?

Przez chwilę Terri patrzyła mu w oczy, potem spuściła wzrok, zdjęła dłoń z jego ramienia i położyła ją na papierach. Przez jakiś czas patrzyła na nie w milczeniu.

— Kiedy dorastałam na Filipinach — zaczęła — rodzice posłali mnie do szkoły klasztornej. To było okropne, coś jakby żywcem wzięte z Olivera Twista. Byłam najmłodsza i najmniejsza, więc zawsze mi się obrywało. Ale ponieważ nie lubię, kiedy ktoś mi grozi, za każdym razem się stawiałam. I to zawsze mnie spotykała kara. Zakonnice używały łopatek kuchennych. Czasami przez kilka godzin nie mogłam siedzieć. — Pokręciła głową na to wspomnienie. — Ale z tym sobie radziłam. Natomiast najbardziej nie znosiłam spowiedzi. Nienawidziłam tej małej, ciemnej klitki. Byłam pewna, że pewnego dnia zamkną mnie tam i zapomną o mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego tak mnie to męczyło, ale wiedziałam, że jeśli się to kiedyś zdarzy, umrę. Tak się bałam, że pewnego dnia powiedziałam, że nie wejdę do konfesjonału. To było coś niesłychanego. Za karę matka przełożona zamknęła mnie w małym, ciemnym schowku na miotły.

Chociaż Terri nadal patrzyła na wydruk, Wame widział, że na samo wspomnienie tych wydarzeń zrobiła się sztywna.

— I co się stało? — zapytał.

— Załamałam się. Chyba zemdlałam. Niczego nie pamiętam, nie wiem nawet, jak długo tam byłam. Ocknęłam się w szpitalu. — Wzdrygnęła się. — Miałam tylko dziewięć lat, ale byłam

262

pewna, że umarłam w tym schowku. Następnego dnia uciekłam. Od tamtej pory mam klaustrofobię. Nie mogę nawet jeździć ciemnymi kolejkami w parku.

Wreszcie podniosła na niego wzrok.

— No więc to, co mówię, chyba znaczy, że wiem, jak się czujesz. Czasami nawet najbardziej nieprawdopodobne lęki mogą się ziścić.

Ciszę, która nastąpiła później, przerwał szept Poole'a dochodzący z korytarza. Terri wstała i otworzyła drzwi.

— Wracajmy do pracy — powiedziała.

Było to żmudne zajęcie. Trzeba było otworzyć każdy plik, zanotować jego datę i rozmiar i

porównać z tym samym plikiem w starym zrzucie, czy nie ma jakichś rozbieżności, które by świadczyły o ingerencji z zewnątrz. Andrew skończył przeglądać jeden wykaz, potem następny i następny. To jak szukanie igły w wirtualnym stogu siana, pomyślał. Chyba muszę...

Nagle się zatrzymał.

— Dziwne — powiedział, wskazując wydruk. — Spójrz na to.

Przytrzymał palec przy pliku oznaczonym/bin/spool/upd-disply.exec.

— Nie znam go — oświadczyła Terri. — Co to jest?

— Hm. To procedura odświeżania obrazu przed poranną transmisją danych z systemu do robotów.

— Brzmi raczej niegroźnie.

— Bo nie myślisz jak haker. Ukryłabyś swój kod w pliku robak-infekcja-przeformatuj czy raczej w czymś standardowym i nierzucającym się w oczy? — Postukał palcem w papier. — To plik techniczny obsługujący codzienne, podstawowe procedury systemu. Nie było powodu go zmieniać. Tymczasem spójrz na jego rozmiar.

Terri przyjrzała się bliżej pozycji na wydruku.

— Siedemdziesiąt dziewięć kilobajtów.

— A teraz popatrz na ten sam plik w obecnym systemie.

To powiedziawszy, wskazał wykaz na monitorze. Terri aż gwizdnęła.

— Dwieście trzydzieści jeden kilo — przeczytała.

263

Andrew jednak już przerzucał następne wydruki.

— Popatrz, rozmiar pliku się nie zmienia aż do dnia... — Odwrócił następną stronę. — Mniej więcej miesiąc temu.

Popatrzyli po sobie.

— Co? — spytał Poole.

Wame chwycił kartkę i przebiegł palcem po wydrukowanych linijkach pokazujących stan plików w ostatnim miesiącu. Poza powierzchownymi modyfikacjami plików tymczasowych nic więcej nie uległo zmianie.

— To musi być to.

— Jest jakaś szansa, żebyśmy nie mieli racji?

— Nie.

— To plik binarny.

— Co ty powiesz?

Terri przewróciła oczami.

— Co? — zapytał znowu Poole.

Wame opuścił wydruki na biurko i przetarł twarz dłońmi.

— Ktoś zmodyfikował jedną z podstawowych procedur. Jest trzy razy większa niż powinna. Została zmieniona na „wykonywalną przez włamywacza”. Za każdym razem, kiedy uruchamia się metaseć, ten plik robi rzeczy, o których nie mamy pojęcia i na które nie mamy wpływu. Żeby odkryć, co to jest, musielibyśmy przeprowadzić programowanie zwrotne.

— Programowanie zwrotne?

— Rozmontować go. Rozłożyć na części pierwsze na poziomie kodu maszynowego, aby odkryć, co się dzieje w momencie uruchamiania zainfekowanej procedury. Wątpliwa przyjemność.

— I zajmie od cholery czasu — dodała Terri.

— Ale gotów się jestem założyć, że to jest przyczyna wszystkich utopijnych kłopotów z robotami. Gdyby udało nam się dojść, jak działa zmodyfikowana instrukcja, może zdołalibyśmy odwrócić ten proces. — Wame odepchnął się od biurka. — Czy mamy jakieś powody, żeby tego nie robić?

— Tylko ten oczywisty — odarł Poole.

Terri i Andrew odwrócili się jednocześnie w jego stronę.

— Jaki? — spytał Wame. — No, wal pan śmiało.

264

— Sprawcy powiedzieli: żadnych ingerencji, tak? No więc mnie to wygląda na ingerencję jak się patrzy. Nie będą zachwyceni.

Przez chwilę Andrew patrzył w spokojne oczy Poole'a. Potem odwrócił się do Terri. Dziewczyna przyglądała mu się badawczo.

— Pod warunkiem że się dowiedzą — powiedział w końcu Wame. — A nie mają jak. Chyba że są jeszcze lepszymi programistami niż terrorystami. Zabierajmy się do pracy.

Po tych słowach odwrócił się z powrotem do klawiatury.

15.12

Niemal równie nagle, jak zapanował tu chaos, w punkcie medycznym z powrotem zapadła cisza. Z wyjątkiem kilku niewielkich grupek skupionych wokół łóżek z odpoczywającymi ofiarami wypadku wszyscy goście już wyszli. Chociaż kilkoro wymaszerowało z determinacją w kierunku kolejki jednotorowej i wyjścia z Utopii, odgrażając się wytoczeniem procesu, zaskakująco spora grupa, chwyciwszy kupony na bezpłatne posiłki i żetony do kasyn, ruszyła z powrotem do parku. Sarah Boatwright patrzyła na odchodzących z mieszanymi uczuciami. Chociaż wzdragała się na myśl o sprawach sądowych, podobnie jak wszyscy pracownicy Utopii, żałowała, że więcej ludzi nie zdecydowało się wyjechać. Obserwując, jak wracają ku kolejnym atrakcjom, miała uczucie, jakby patrzyła na rannych żołnierzy powracających nieświadomie na pole bitwy.

Idąc przez jasno oświetlony ośrodek medyczny, kiwała głową mijanym pielęgniarcom. Przystanęła, aby porozmawiać z pracownikiem ochrony, po czym mszyła dalej, aż wreszcie wśliznęła się za zasłony oddzielające łóżko Georgii Wame. Doktor Finch powiedział, że dziewczynce nic nie będzie, ale po środkach uspokajających pośpi jeszcze co najmniej godzinę.

Sarah usadowiła się na krześle w nogach łóżka i popatrzyła na nieruchomą postać leżącą pod kołdrą. Georgia spała spokojnie, z włosami rozsypanymi na czole, z lekko rozchylonymi ustami, niepomna wstrząsających przeżyć z Mrocznej Głębiny.

266

Sarah nasłuchiwała dalekiego szmeru głosów dochodzących od strony recepcji. Mogłaby robić teraz wiele rzeczy: dzwonić do Chucka Emory'ego, aby go informować o ostatnich wydarzeniach; rozmawiać z kierownikami działów i udawać, że nic się nie stało. Wszystko to jednak wydawało się bezcelowe. Ruch należał teraz do Johna Doe. Oparła się na krześle i próbowała się rozluźnić, nie bardzo ją zdziwiło, że nie może.

Jej spojrzenie znów spoczęło na obliczu Georgii, na świeżym sińcu na policzku, na szczupłych dłoniach ściskających bawełniane okrycie. Jakaż to ironia losu, że nogi same ją zaprowadziły do łóżka swojej pierwszej poważnej życiowej porażki.

Kiedy zamieszkała z Andrew Warne'em, była zdeterminowana pozyskać sobie sympatię i akceptację Georgii. Żyła w przeświadczeniu, że każdą przeszkodę da się w życiu pokonać, jeśli włoży się w to wystarczająco dużo chęci i wysiłku. Tymczasem wyglądało na to, że im bardziej ona się stara, tym mocniej dziewczynka się opiera.

Naturalnie zdawała sobie sprawę, że nie powinna jej za to obwiniać. Kiedy Sarah pojawiła się na scenie, dziewczynka miała świeżo w pamięci śmierć matki i zachowywała się wobec ojca bardzo zaborczo. Ale mogła też wyczuć, że Sarah nigdy nie zastąpi jej matki. Ona sama również zdawała sobie sprawę, że takie zaangażowanie nie wchodzi w grę. Zbyt ważna była dla niej praca. W końcu czyż nie przyjęła oferty stanowiska w Utopii bez najmniejszego wahania? Do tej pory pamiętała minę Andrew, kiedy mu o tym powiedziała. Był taki pewien, że pojedzie z nim do Chapel Hill, aby mu pomóc w rozkręceniu firmy. Ale szansa pokierowania takim miejscem jak Utopia była szczytem jej marzeń. Nic nie mogłoby jej skłonić do odrzucenia tej propozycji.

Kierowanie takim miejscem jak Utopia...

Poruszyła się niespokojnie na krześle. Porządek był dla niej zawsze w życiu czymś nadrzędnym.

Mogła się rozwijać tylko wtedy, kiedy w jej otoczeniu panował ład. Utopia była wysoce uporządkowaną strukturą, skomplikowanym, idealnie utkanym systemem. A John Doe wprowadził w ten system nieład i chaos.

Pochyliła się do przodu i oparła brodę na dłoniach.

— Co mam zrobić, Georgio? — spytała. — Chyba pierwszy raz w życiu nie wiem, co robić.

267

W odpowiedzi dziewczynka poruszyła się tylko w łóżku i westchnęła.

Niespodziewanie Sarah zapragnęła, aby znalazł się przy niej Fred Barksdale. W normalnej sytuacji uznałaby to za przejaw słabości lub sentymentalizmu, dzisiaj jednak wszystko było inaczej. Freddy wiedziałby, jak ją podnieść na duchu.

Kiedy przyjechała do Utopii, nie w głowie jej były romanse. A już na pewno nie spodziewała się, że zainteresuje ją Fred Barksdale. Wiązała się zawsze z mężczyznami w typie Warne'a — charyzmatycznymi, nierzadko aroganckimi, nieobawiającymi się afiszować ze swoim geniuszem. Freddy był jego kompletnym zaprzeczeniem. Och, nie można było wątpić w jego inteligencję, sposób, w jaki radził sobie z wyzwaniem techniki informatycznej takiego miejsca jak Utopia, jak nadzorował jej cyfrową infrastrukturę, każdy uznałby za wybitne osiągnięcie. Ale był po prostu zbyt doskonały: brytyjskie arystokratyczne maniery, aparycja gwiazdora, literacka erudycja składały się na kiczowaty wręcz ideał mężczyzny.

Pewnego wieczom jednak, dwa miesiące temu, spotkali się przypadkowo przy stoliku ruletki w kasynie Gazolitu, na krótko przed tym, jak zarząd główny w Nowym Jorku postanowił zakazać personelowi na stanowiskach kierowniczych uprawiać hazard w Utopii. Barksdale przegrał właśnie dużo większą sumę, niż zamierzał, co mu nie przeszkodziło uraczyć Sarah kilkoma zgrabnymi bon motami Falstaffa na temat zgubnych skutków hazardu. Poszli na drinka do pobliskiego baru U Moriarty'ego, tydzień później na kolację do najlepszej francuskiej restauracji w Vegas. Fred okazał się cudowny. Dwadzieścia minut dyskutował z kelnerem serwującym wina o wyborze trunku i nie była to u niego pretensjonalność ani poza, lecz autentyczne zaangażowanie. W dodatku najwyraźniej wiedział na temat chateaux z Saint-Emilion więcej niż pracownik restauracji. Spędził następnie większą część posiłku, odpowiadając na pytania Sarah na temat bordeaux, wyjaśniając jej znaczenia grand cru i appellation d'origine.

Sarah знаła doskonale mężczyzn, którzy czuli potrzebę okazania się równie silnymi jak ona, odgrywali bohaterów, koman-

268

dosów z sali posiedzeń. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrzebowała, aby traktowano ją po prostu jak kobietę: aby zabrano ją do eleganckiej restauracji, mówiono, że jest piękna, podziwiano jej inteligencję, flirtowano z nią uczono wystawnego życia, od czasu do czasu wynoszono na piedestał. Czy to możliwe, aby minęły dopiero trzy tygodnie od pewnego słonecznego sobotniego poranka, kiedy to zdała sobie sprawę, że jej uczucia do Freda Barksdale'a są dużo silniejsze, niż się spodziewała?

Westchnęła i wyprostowała się na krześle. Utopia i Freddy byli teraz dwiema najważniejszymi sprawami w jej życiu. Właściwie jedynymi sprawami. Musi ich chronić za wszelką cenę.

Wstała i podchodząc do wezglowia łóżka, wzięła się w garść. Powinna już iść. Powinna się pokazać w kilku miejscach, potem spotkać z Bobem Allocco i omówić sprawę zniszczeń...

Rozległo się ciche stukanie w ścianę za parawanem. Po chwili zasłonka się rozchyliła i w szparce pojawiła się twarz Freda. Jego przejrzyste niebieskie oczy powędrowały wzdłuż łóżka.

— Sarah! — powiedział, kiedy ją zobaczył. Potem zerknął szybko na śpiącą postać, skrzywił się lekko i zniżył głos. — Hej. Powiedziano mi, że mogę cię tu znaleźć.

Przez chwilę Sarah nie mogła wykrztusić ani słowa. Zaskoczenie spowodowane jego niespodziewanym zjawieniem się po tym wszystkim, co właśnie przeszło jej przez głowę, wywołało w niej nieoczekiwaną falę uczuć.

— Fred — powiedziała, podchodząc do niego. — Och, Freddy. Czuję się taka rozdarta.

Wziął ją za rękę.

— Dlaczego? Co się stało?

— Popeliłam okropny błąd. Pozwoliłam, aby gniew na Johna Doe przyćmił mi rozsądek.

Chris Green, a potem to, co się stało w Mrocznej Głębinie... to wszystko moja wina.

— Jak możesz tak mówić? To John Doe jest sprawcą tych wszystkich nieszczęść. Tylko jego

możesz winić, nie siebie. Poza tym to był plan Allocca, ty go jedynie zatwierdziłaś.

— Dlatego właśnie jestem za to odpowiedzialna. — Pokręciła głową na znak, żeby jej nie pocieszał. — Pamiętasz, co powiedziałeś przed wejściem do Galaktycznej Podróży? Że nasz plan

269
jest niebezpieczny. Nieodpowiedzialny. Że przede wszystkim powinniśmy dbać o bezpieczeństwo gości. Pozwoliłam, aby chęć zemsty wzięła we mnie górę.

Barksdale nie odpowiedział.

— Nie mogę się opędnąć od myśli o tym, jak wszedł do mojego gabinetu, w jaki sposób ze mną rozmawiał. Nie potrafię tego wyjaśnić. Jakby mnie znał, jakby wiedział, co chcę usłyszeć, co jest dla mnie ważne, dla mnie osobiście. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale mówił tak, jakby chciał dla mnie jak najlepiej, a jednocześnie nie przestawał mi wbijać noża w plecy. A najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że ja pragnęłam mu wierzyć. — Westchnęła. — Rany boskie, kim jest ten facet? I czemu się nad nami znęca?

Barksdale nie odpowiedział. Na jego twarzy malowała się prawdziwa udreka.

— Freddy?

Poruszyło ją że tak głęboko przeżywa jej kłopoty. Bardzo powoli jego jasne oczy ponownie przeniosły się z powrotem na nią.

— Czy Szekspir nic nie ma na ten temat do powiedzenia? — spytała, zmuszając się do uśmiechu. — Czegoś pocieszającego, podnoszącego na duchu?

Barksdale milczał jeszcze przez długą chwilę. Potem jakby się ocknął.

— Na przykład coś z „Dwaj terroryści z Werony”? — Odwzajemnił słabo jej uśmiech. — Szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy nic stosownego. Może poza tytułem: Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Sprawił wrażenie, jakby męczyła go jakaś okrutna wewnętrzna rozterka.

— Sarah — odezwał się nagle. — A może byśmy stąd razem uciekli? Zostawili to wszystko? Popatrzyła na niego.

— Uciekniemy. Kiedy to wszystko się skończy, wyjedziemy razem gdzieś, gdzie nie ma telefonów i gdzie nikt nie nosi butów. Znajdziemy sobie skrawek plaży i zawłaszczymy go tylko dla siebie. Na tydzień, może dwa. Zgoda?

270

— Nie — zaczął. — Nie to miałem na myśli. Ja... — Nagle urwał. — Mówisz poważnie, Sarah?

— Oczywiście.

— Bez względu na to, co się stanie?

Był rozstrojony jak nigdy, co z jakiegoś powodu dodało jej sił.

— Nic się nie stanie. Przejdziemy przez to, obiecuję ci.

— Mam nadzieję — powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszała.

Minęła chwila. Sarah popatrzyła na łóżko.

— To córka Wame'a, prawda? — spytał Fred, podążając za jej spojrzeniem. — Co z nią?

— Potłuczona, ale poza tym w porządku.

Kiwnął głową. Sarah pogłaskała go po policzku i pochyliła się, żeby go pocałować.

— Tak czy inaczej — powiedziała — wkrótce będzie po wszystkim. Więc lepiej się przygotuj.

— Oczywiście — odrzekł. Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym odwrócił się do zasłonki.

— Pamiętaj o mojej obietnicy.

Fred zatrzymał się z wahaniem, po czym nie odwracając się, prześliznął się przez zasłonki i zniknął. Sarah nasłuchiwała, jak jego kroki cichną w dalekim szumie. Potem wygładziła kołdrę wokół dziewczynki, pogłaskała ją po czole i odwróciła się do wyjścia. W tej samej chwili zasłonki się rozchyliły i do środka wetknęła głowę pielęgniarka.

— Pani Boatwright — powiedziała — dzwoni pan Allocco, mówi, że to ważne. Telefon jest w recepcji.

— Dobrze.

Gdy jednak Sarah mszyła za pielęgniarką w jej kieszeni delikatnie zahuczało radio. Zatrzymała się

raptownie. Nadal stała w wydzielonej salce Georgii. Sięgnęła do kieszeni i włączyła krótkofalówkę.

— Sarah Boatwright.

— Sarah. — Głos Johna Doe był łagodny, prawie miódowy i znowu drażniaco przyjazny.

— Słucham.

— Mam nadzieję, że lekcja nie była zbyt bolesna.

271

— Są tacy, którzy by się z tym nie zgodzili.

— Szczerze mówiąc, zamierzałem być surowszy. Uznaj to za swoisty uśmiech losu. — W głośniku rozległ się suchy śmiech. — Następnym razem radzę nie liczyć na łut szczęścia.

Sarah milczała.

— Nie zamierzałem uczynić z tego groźby. Chcę po prostu, abyś zdawała sobie sprawę z konsekwencji wszelkich następnym razem nieodpowiedzialnych działań, jakie podejmiecie.

Sarah nadal słuchała bez słowa.

— Zapewne nie chciałabyś odkupić swojej zdrady, prawda? — zapytał John Doe łagodnie.

— O czym pan mówi?

— O zadośćuczynieniu za kłopoty, jakich przysporzył nam wasz mały komitet powitalny. Niełatwo będzie odzyskać wzajemne zaufanie. Nie chciałabyś, powiedzmy, wydać mi Andrew Wame'a? Okazał się dość nieuchwytny.

Sarah ścisnęła mocniej radio, ale nie odezwała się ani słowem.

— Nie spodziewałem się, żebyś chciała. Jesteś czarującą kobietą Sarah Boatwright, ale zaczyna mnie nużyć ten walc. Dostaniecie jeszcze jedną szansę, aby przekazać nam Tygiel.

— Słucham.

— Przekazanie nastąpi w Sali Luster Holo dokładnie o czwartej.

Sarah spojrzała na zegarek. Trzecia piętnaście.

— Dopilnujcie, aby za dziesięć czwarta usunięto stamtąd wszystkich gości, personel i obsługę techniczną. Czy nadążasz za mną?

— Tak.

— Aha, i... Sarah? Tak sobie myślałem, ten paskudny psikus w Podróży Galaktycznej był twoim pomysłem, prawda?

Sarah nie odpowiedziała.

— Więc tym razem dostarczysz płytę osobiście. To będzie najroztropniejsze rozwiązanie, zważywszy na stosunki, jakie nas łączą.

Cisza.

— Rozumiesz, Sarah?

— Rozumiem.

272

— Wejdiesz do sali wejściem dla gości. Będę czekał w środku. Masz być sama. Chyba nie muszę cię więcej ostrzegać przed obecnością osób trzecich.

Sarah czekała. Na policzku czuła twardą nieprzyjazną krawędź urzędnika.

— Muszę czy nie?

— Nie.

— Tak myślałem. Niemniej na pożegnanie poddam ci pod rozwagę pewną refleksję. W Duszy człowieka w socjalizmie Oscar Wilde napisał, że wszelkie dzieło sztuki stworzone z nadzieją zysku jest niezdrowe. Po części się z tym nie zgadzam. Widzisz, uczyniłem z Utopii swoje dzieło sztuki. I zamierzam mieć z tego zysk i to pokaźny. Niemniej okaże się ono zaiste niezdrowe dla każdego, kto stanie mi na drodze. Czasami sztuka bywa okrutna w swym pięknie. Proszę, Sarah, nie zapominaj o tym.

Sarah zmusiła się, aby nabrać powietrza.

— Nie mogę się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę.

15.15

W miarę jak mijało popołudnie, a nieskazitelny błękit nad pustynią Nevady zaczął blaknąć obietnicą zbliżającego się wieczoru, szacunkowy tłum sześćdziesięciu sześciu tysięcy turystów

spacerujących alejkami Utopii osiągnął, jak to określili psychologowie parku, „etap dojrzałości”. Podniecenie minęło już punkt kulminacyjny, wszyscy ruszali się wolniej, zmęczeni rodzice szukali chwilowego schronienia w restauracjach, na pokazach i przedstawieniach, takich jak Zaczarowany książę, gdzie mogli odpocząć w wygodnych fotelach. Niewielki odsetek odwiedzających, którzy nie chcieli utknąć w korkach na parkingu w porze zamknięcia, odpowiednio wcześniej udawał się w stronę Nexusa i kolejki jednotorowej, gdzie trafił na znacznie przyspieszony ruch wagoników. Zdecydowana większość gości wołała jednak zostać, aby jeszcze raz zakosztować ulubionej atrakcji lub może odwiedzić krainę, której nie zdążyli jeszcze obejrzeć, i rozplanować czas aż do ósmej trzydzieści, kiedy to rozpoczynało się największe widowisko Utopii: cztery równoczesne pokazy sztucznych ogni, zsynchronizowanych komputerowo i wystrzeliwane w każdej z czterech krain. Roztaczały zachwycający baldachim pod ciemnym sklepieniem kopuły. Po tych czterech seriach, które odbywały się pod dachem, następował jeszcze większy spektakl pod gołym niebem. Fajerwerki strzelały wysoko ponad kopułę jako prezent pożegnalny dla gości opuszczających park i kierujących się samochodami w stronę Las Vegas lub Reno.

274

Popołudniowej ospałości nie zarejestrowano tylko przed wejściami do największych kolejek górskich oraz instalacji wykorzystujących zjawisko spadania swobodnego. Przed głównymi atrakcjami parku, takimi jak Horyzont Zdarzeń i Smocza Wieża, nadal kłębiły się tłumy, a atmosfera tryskała takim samym wesołym podnieceniem jak zawsze.

Szczególnie wyraźnie czuło się to przy wejściu do najpopularniejszej atrakcji Promenady, Wrzeszczącej Maszyny, która była repliką kolejki z Coney Island, słynnej w latach dwudziestych ubiegłego wieku, i wyglądała, jakby żywcem przeniesiono ją ze staroświeckiego lunaparku. Wielkiej, rozległej płataninie przęsł i wsporników utopijni spece od iluzji starannie nadali zniszczony wygląd. Sam widok prawie pionowych zjazdów i przyprawiających o zawrót głowy korkociągów potrafił przekonać niejednego potencjalnego pasażera do poszukania spokojniejszych rozrywek.

Geniusz Wrzeszczącej Maszyny, podobnie jak wszystkich kolejek górskich, opierał się bardziej na psychologii niż technice. Była to w istocie rurowata, stalowa konstrukcja, sprytnie ukształtowana na staromodną drewnianą kolejkę. Metal pozwalał budowniczym na ostrzejsze nachylenia toru, ciaśniejsze pętle i więcej momentów „wzlotu”, czyli przeciążenia ujemnego, kiedy pasażerów dosłownie unosiło z siedzeń. Gęsty osłaniający szkielet msztowania dodatkowo wzmacniał „parkanowy” wygląd charakterystyczny dla starych drewnianych kolejek: pionowe i poziome belki uciekały przed oczami jadących prawie na wyciągnięcie ręki i sprawiały, że rzeczywista prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę wydawała się kilkakrotnie większa. W dodatku projektanci parku celowo podsycili dreszczyk emocji i poczucie zagrożenia podczas jazdy Wrzeszczącą Maszyną umieszczając przy wejściu nietypowe dla stylistyki Utopii ostrzeżenia o niebezpiecznych skutkach oddziaływania dużych przeciążeń, a także sytuując przy wyjściu z wagoników pełnoetatową pielęgniarkę. Nic dziwnego, że koszulki z napisem „Przeżyłem Wrzeszczącą Maszynę”, które można było kupić tylko w Promenadzie, należały do najlepiej sprzedających się pamiątek w całym parku.

Erie Nightingale postanowił, że Wrzeszcząca Maszyna będzie się szczyścić najwyższym pierwszym wzniesieniem ze wszystkich

275

kolejek na zachód od Missisipi — dziewięćdziesięciu metrów. Okazało się to niemalym wyzwaniem. Na takiej wysokości kolejka podjechałaby tak wysoko pod dach kopuły, że widok ze szczytu zniszczyłby pracowicie utkaną iluzję. Inżynierowie rozwiązali ten problem, tak konstruując kolejkę, że dno pierwszego zjazdu umieścili poniżej poziomu ulicy. Wydrążono część Podziemi pod Promenadą i wpasowano tam podwójne tory Wrzeszczącej Maszyny. Po wjeździe na pierwsze wzniesienie wagoniki opadały niemal pionowo w tunel tonący w całkowitych ciemnościach. Potem tor wznosił się raptownie i wywoził pasażerów, skrzywionych pod działaniem przeciążenia wynoszącego 3g i nieświadomych, że podróżują pod parkiem, z powrotem na światło dzienne. To rozwiązanie wszelako nastęrczało innego problemu. Ryk wagoników przejeżdżających co

minuta przez podziemny tunel był tak przeraźliwy, że nikt z pracowników parku nie chciał przebywać w tym rejonie poziomu A i B.

Po raz kolejny inżynierowie znaleźli rozwiązanie. Podczas budowy podziemne korytarze parku praktycznie utopiono w morzu przewodów elektrycznych. Podręcznik przewodnika wycieczek informował, że przez zaplecza wszystkich atrakcji Utopii biegło tyle kabli, co w dwóch Pentagonach lub na przykład w całym mieście Springfield w stanie Illinois. Postanowiono wykorzystać tę ziemię niczyją wokół podziemnego tom Wrzeszczącej Maszyny na węzeł centralny instalacji elektrycznej parku. Otoczono teren dwoma pierścieniami dźwiękoszczelnych murów. Między nimi w wąskim korytarzu wysokości dwunastu metrów leżał centralny układ nerwowy Utopii. Niekończące się rzeki kabli — koncentrycznych, sieciowych, antenowych, światłowodowych, cyfrowych — pełzły po ścianach, przełykane złączami optycznymi i gniazdami. Cały węzeł funkcjonował zupełnie autonomicznie i nie wymagał żadnych prac konserwacyjnych poza comiesięczną kontrolą. Było to więc miejsce nieobsługiwane i nieuczęszczane, jeśli nie liczyć jednego sprzątającego robota.

Dzisiaj wszakże robot sprzątający miał towarzystwo. W kącie wąskiego korytarza tworzącego centralny węzeł elektryczny na składanym krześle turystycznym siedział mężczyzna. Miał na

276
sobie niebieski kombinezon, jaki był służbowym strojem utopijnych elektryków, opierał się plecami o wielką torbę roboczą zawieszoną na czerwonym wózku ręcznym. Z otwartej torby wystawał potężny minikomputer. Kontrolki na przednim panelu obudowy jaśniały w półmroku pomieszczenia niczym ogniste świetliki. Od komputera do ściany wilo się mnóstwo przewodów umocowanych do głównych magistrali i światłowodów krokodyl-kami lub złączami optycznymi. Na kolanach mężczyzny leżała klawiatura, a na podłodze, oparte o ścianę, stały dwa płaskie wyświetlacze. Kiedy pisał, jego oczy prześlizgiwały się z jednego monitora na drugi. Wokół krzesła walały się śmieci: zgniecione serwetki, poplamione masłem orzechowym i dżemem, papierki po batonikach, pusta, zgnieciona puszka po cherry coke.

Za plecami mężczyzny wewnętrzna ściana węzła zaczęła lekko drżeć, a sekundę później rozległ się przerażający ryk. To wagoniki Wrzeszczącej Maszyny runęły w ciemną podziemną przestrzeń, a następnie wzniosły się z powrotem w powietrze i światło Promenady. Mężczyzna nie zwracał uwagi na te odgłosy, wpisywał na klawiaturze komendy, kiedy hurgot narastał, i nie przerwał, kiedy ucichł w oddali. Słuchawki, które miał na uszach, tłumiły każdy hałas powyżej pięćdziesięciu decybeli. W końcu jego palce na klawiaturze zwolniły, aż wreszcie znieruchomiały. Mężczyzna pochylił się do przodu i zaczął sobie masować krzyż. Potem rozprostował nogi, roztarł najpierw lewą potem prawą aby wrócić do nie krążenie. Siedział tu od wczesnego ranka, monitorując nagrania z parkowych kamer, kodując niektóre kadry, podglądając Intranet. Ale przynajmniej już prawie skończył.

Podniósł głowę i pokręcił nią w prawo i w lewo, aby rozprostować szyję. Zerknął w stronę dwóch kamer zamontowanych wysoko na przeciwległej ścianie. Nawet tutaj, w bezludnym zakątku parku, nadzór bezpieczeństwa nie ustawał ani na chwilę. Mężczyzna jednak nie przejawiał ani śladu niepokoju. Osobiście wprowadził pętlę w przetwarzanie nagrań z obydwu kamer i podsunął ochronie w Ulu obraz sprzed tygodnia, który pokazywał ciemny i zupełnie pusty korytarz węzła. Mężczyzna był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a jednak nawet w tym bladym świetle na czubkach jego

277

palców wyraźnie widać było ciemne plamy od nikotyny. Gdyby zapalił tu papierosa, wykryto by go w ciągu sekundy, tak więc młodzieniec zuł gumę antynikotynową i co chwila wkładał do ust świeży płatek, tak jak nałogowy palacz odpala jednego papierosa od drugiego. Nie przestając masować karku, wyjął z ust zużytą gumę i przykleił ją do najbliższego kabla. Obok tkwiło już co najmniej trzydzieści takich bezkształtnych bryłek, stwardniałych w nieruchomym powietrzu węzła elektrycznego.

Mężczyzna oparł się z powrotem o torbę roboczą ułożył na kolanach klawiaturę i znów zaczął pisać, sprawdzając stan rozlicznych ukrytych procesów, które umchomił i nadzorował w

wewnętrznej sieci parku. Nagle przerwał pisanie i patrząc na jeden z monitorów, zmarszczył brwi. Wszystko szło zgodnie z planem, bez żadnych potknięć. Aż do tej pory.

W ramach zabezpieczenia zainstalował w kilku najważniejszych terminalach Utopii programy monitorujące naciśnięcia klawiszy. Ukryte w tle potajemnie zbierały wszystko, co napisano na obserwowanych klawiaturach. Co godzina każdy program przysyłał zakodowane i odpowiednio zakonspirowane informacje do jego terminala w węźle.

Jak dotąd wszyscy grzeczni pracownicy parku robili to, co powinni. Z jednym wyjątkiem: serwerem metasieci. Tutaj zaczynała się całkiem inna śpiewka.

Przewinął wstecz plik z danymi z terminalu metasieci. Ktoś tam przeglądał stare bazy danych, procedury i kody poleceń. I najwyraźniej nie były to chaotyczne poszukiwania na chybił trafił; ktoś prowadził szczegółową analizę i wiedział, co robi.

Mężczyzna obejrzał się przez ramię w głąb korytarza, który wznosił się wysoko w górę, wąski i ciemny niczym komin olbrzymów, o ścianach pokrytych skomplikowaną koronką drutów i kabli. Powoli, z namysłem zdjął z uszu słuchawki. Doszło go dalekie tykanie maszynerii, szum napędu robota sprząającego w jakimś odległym kącie.

Za jego plecami dźwiękoszczelna ściana wewnętrzna znowu zaczęła drzeć. Odłożył klawiaturę i spojrzął na radio leżące przy monitorach, wyposażone w dużą żółtą lampkę, która informowała

278
go o połączeniu, kiedy miał słuchawki na uszach. Wziął radio do ręki, wcisnął kod szyfrowania i podniósł urządzenie do ust.

— Haker Jack do Czynnika Pierwszego — powiedział. — Czynnika Pierwszego, tu Haker Jack, słyszysz mnie?

Usłyszał w głośniku krótki syk, a potem łagodny, dystyngowany głos Johna Doe, który brzmiał wyraźnie pomimo cyfrowego kodowania.

— Haker Jack, masz sygnał pięć na pięć. Co u ciebie?

— Za dziesięć minut wszystko będzie skończone.

— Więc po co się zgłaszasz?

— Przeglądałem dane z monitorowanych terminali, wszystko w normie z wyjątkiem serwera metasieci. Ktoś tam przez ostatnią godzinę prowadził sporo wykopalisk.

— Z jakim efektem?

— Żadnym oczywiście. Ale archeolog wyraźnie zna się na fachu.

— Niech zgadnę. Poziom B, prawda?

— Tak.

— To by znaczyło, że nie trafiliśmy w cel. Dobrze, zajmę się zorganizowaniem mu wizyty. Bez odbioru.

Radio umilkło. Chwilę później po drugiej stronie wewnętrznej ściany przemknęły z ogłuszającym jazgotem wagoniki Wrzeszczącej Maszyny. Podłoga węzła zadygotała. Haker Jack skulił się mimowolnie. Potem wyłączył radio i położył je w miejscu, gdzie mógł wyraźnie widzieć bursztynowe światełko. Kiedy rumor wagoników ucichł i w węźle znowu zapanowała cisza, mężczyzna nałożył z powrotem słuchawki, wziął na kolana klawiaturę, wetknął do ust następny plasterek gumy do żucia i zaczął pisać.

15.15

— Co to diabelstwo znowu wyprawia?

Kilka sekund potrwało, zanim Andrew Warne zorientował się, że pytanie skierowano do niego.

Ociągając się, oderwał wzrok od monitora. Poole siedział nieopodal na stoliku, wsparty łokciami na dwóch stertach wydruków, i patrzył na niego ze swym zwykłym wyrazem łagodnego zaciekawienia.

— Słucham?

— Pytałem, co wyprawia to diabelstwo.

To rzekłszy, Poole wskazał głową Wingnuta, który krążył po pokoju niezgrabnymi, szarpanymi mchami w przód i wstecz. Podjeżdżał do różnych przedmiotów, cofał się, by po chwili znów się do nich podkraść. Od czasu do czasu wyciągał przed siebie głowę i psikał strumieniem bezbarwnego

płynu na nogę krzesła bądź ławy.

— Znaczący teren — odparł Wame, odwracając się z powrotem do monitora.

— Co robi?

Wame westchnął.

— To jego zaprogramowane zachowanie. Spędził w tym miejscu odpowiednio dużo czasu, aby zacząć je uważać za część swojego modelu świata. Dochodzi do wniosku, że może tu kiedyś powrócić, więc warto sporządzić mapę topologiczną okolicy. Kiedy zoptymalizował już trasy pomszania się po pokoju, znaczący je atramentem ultrafioletowym. Szczerze mówiąc, dziwię się, że biedakowi został jeszcze jakiś atrament.

280

— Czy może pan coś zrobić, żeby przestał? Nie mogę się skupić.

— Na czym chce się pan skupić? — spytała zdziwiona Terri.

Siedziała obok Andrew z dużym arkuszem wydruku na kolanach.

— Na pracy domowej.

— Pracy domowej?

— Hm. Usiłuję policzyć, ile dokładnie paragrafów złamali dotąd ci faceci.

Terri przewróciła kartkę.

— Jak na razie doszedłem do trzydziestu dziewięciu.

Podniosła wzrok. Poole zaczął wyliczać na palcach.

— Po pierwsze bezprawne i świadome wkroczenie do budynku lub na teren chroniony z zamiarem popełnienia przestępstwa; dalej, posiadanie broni w celu popełnienia przestępstwa pierwszego stopnia; posiadanie środków wybuchowych z zamiarem użycia ich przeciwko osobie lub mieniu; posiadanie broni w celu popełnienia przestępstwa drugiego stopnia...

— Już rozumiem — powiedziała Terri, przewracając oczami. — Co to za praca domowa?

— Egzamin pisemny na ADS.

— Co to jest ADS?

— Agent Departamentu Skarbu.

— Z tego, co słyszę, powinien pan zdać śpiewająco.

Poole wzruszył ramionami.

— Zdawałem za każdym razem.

— „Zdawał pan”? Dobrze usłyszałam czas przeszły?

— Trzy razy. Jak również pisemny i ustny egzamin do Secret Service, Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, a także DEA.

— Więc czemu nie jest pan jeszcze agentem federalnym?

— Właściwie nie wiem. Może ma to coś wspólnego z testami na wykrywanie kłamstw.

Wame nie zwracał na nich uwagi. Wpatrywał się w pełznące po monitorze kolumny liczb systemu szesnastkowego.

Wszedł już do odpluskwiacza trybu jądra i usiłował złamać ukryty kod hakera, ale przypominało to nawlekanie nici w rę-

281

kawiczkach. Musiał pracować w surowym języku asemblera, bez nazw symbolicznych, bez komentarzy kodu źródłowego. Pochylił się do przodu i podniósł dłoń do bandaża na skroni. Zastanawiał się, co teraz robi Georgia, czy nadal śpi, co pomyśli, kiedy się obudzi, a jego przy niej nie będzie. Po wypadku zachowała się bardzo dzielnie, mimo to powinien być przy niej, zamiast siedzieć w pracowni i bawić się układankami. Ingerencja hakera okazała się znacznie bardziej skomplikowana i subtelna, niż to sobie wyobrażał. Szaleństwem było myśleć, że zdoła coś zdziałać. Poza tym kryzys mógł zostać już zażegnany. Tajemniczy John Doe miał dostać to, czego chciał, i może dokładnie w tej chwili odjeżdżać w siną dal.

W jego rozmyślania wtargnął głos Terri.

— Znalazłeś coś?

Odjął rękę od opatrunku na skroni.

— Zupełnie jakby ktoś ze wszystkich sił starał się nam to utrudnić.

— Cóż za odkrywczy wniosek — zauważyła Terri z kpiarskim uśmiechem.

— Udało mi się tu i ówdzie odtworzyć kilka wierszy, ale za mało, żeby wydedukować, co jest grane. — Wskazała na ekran. — Wygląda na to, że ta procedura wprowadza nieautoryzowane instrukcje do codziennych transmisji. — Przerwał. — Ale tu jest coś więcej. Coś poza zwykłym włamaniem.

— Co, na przykład?

— Nie wiem. Mam wrażenie, jakby przesyłano dane do głównej sieci Utopii. Właśnie usiłuję to rozgryźć.

Wrócił do klawiatury, wprowadził następny znak zatrzymania, po czym zaczął przebiegać wzrokiem linijki instrukcji w języku asemblera. Ludzie odpowiedzialni za to włamanie nie tylko sabotowali metaseć, ale poprzez spowodowanie jej nieprawidłowego działania narazili na szwank jego wiarygodność. „Nie, chyba że są jeszcze lepszymi programistami niż terrorystami”. Zdał sobie sprawę, że mylił się co do tego hakera — kimkolwiek był, miał z pewnością najwyższe kwalifikacje.

Zerknął na Terri.

— Wszystko wskazuje na to, że przesyła dane gdzieś do portu w Intranecie Utopii.

282

Terri odłożyła na bok wydruk i przysunąwszy się bliżej, popatrzyła na ekran.

— Jak?

— Muszą mieć gdzieś ukryty sprzęt i przemycają informacje przez blokady Utopii.

— Myślisz, że udałoby się wykryć, gdzie fizycznie podpiął się do sieci?

Andrew poczuł delikatny zapach jej perfum. Pochylała się tuż obok niego, kilka kosmyków jej kruczoczarnych włosów muskało go po policzku. Z wielkim wysiłkiem skupił się na problemie.

— Próbuję to zrobić, ale kod jest zbyt dobrze chroniony. Musimy zastosować inną taktykę. Masz dostęp do analizatora sieci albo jeszcze lepiej analizatora protokołów?

Terri zmarszczyła czoło.

— Jasne, w administracji sieci. Dlaczego pytasz?

— Jeśli te zbiry podczepiły do sieci ruter, powinniśmy móc go wytropić. Pod warunkiem że znajdziemy dość okruszków, żeby mieć od czego zacząć. Może uda nam się dojść, który port TCP/IP podsłuchują.

Mars na czole Terri się pogłębił.

— Nie wierzę.

— Każdy ruter ma swój niepowtarzalny charakter pisma. Może ten, którego używają nie pasuje do reszty sprzętu Utopii. A nawet jeśli, to moglibyśmy poszukać przecieku pakietów. Albo wysłać pakiet ping i zobaczyć, który węzeł nie odeśle właściwej odpowiedzi.

Terri pokręciła głową.

— A niech mnie. Gdzieś ty się tego nauczył?

— W czasach, kiedy marnowałem młodość. Włóczyłem się po laboratoriach MIT, zamiast oglądać się za laskami.

Popatrzyła na niego bez przekonania.

— I myślisz, że to zadziała?

— Nie wiem, przekonamy się za dziesięć minut. Lepsze to, niż siedzieć tu i łamać sobie głowę nad tym kodem.

Telefon zadzwonił tak głośno, że aż oboje podskoczyli. Terri sięgnęła po słuchawkę.

283

— Robotyka stosowana, słucham. Tak, jest tutaj. Dobrze, oczywiście, powiem mu.

—• To była Sarah Boatwright — powiedziała, odkładając telefon. — Chce się z tobą spotkać w apartamencie dla VIP-ów. Natychmiast.

— Gdzie? — zapytał milczący dotąd Poole.

— W apartamencie dla VIP-ów. Zaprowadzę was.

Wame wstał, zastanawiając się, co mogło wyciągnąć Sarah z ośrodka pomocy medycznej.

— Dobrze, ale za kilka minut. Najpierw załatwmy sprawę z tym analizatorem. Po drodze

wpadniemy do administracji sieci i zobaczymy, czy uda nam się wytropić ten nielegalny ruter.

Potem pójdziemy do VIP-ów.

Wyszli z pracowni. Poole kłął na Wingnuta, któremu przerwano znaczenie terenu, więc wystrzelił jak z procy, aby dogonić Warne'a. Terri zamknęła drzwi na klucz i poprowadziła ich w głąb korytarza.

— Jak daleko stąd do administracji sieci? — spytał Wame.

— Szczerze mówiąc, po drodze. Zaraz za rogiem, obok...

Głos Terri utonął nagle w przeraźliwym pisku opon. Wingnut

zobaczył wózek elektryczny, który wyjechał na korytarz przed nimi, i puścił się w szaleńczą pogoń.

— Co on robi? — spytała Terri.

— Mówiłem ci przecież: goni wszystko, co się msza. Wingnut! — krzyknął, puszczając się biegiem. — Nie goń! Wingnut!

Skręcił za róg i zniknął im z oczu. Terri i Pool popędzili w ślad za nim.

xxx

Głos Warne'a szybko ucichł w oddali. Przez kilka minut na korytarzu przed robotyką stosowaną panowała cisza. Od czasu do czasu drzwi minął pracownik obsługi spieszący z jednego miejsca Podziemi do innego. Potem na końcu korytarza pojawiła się postać w kostiumie. Mężczyzna wyraźnie pracował w Gazolicie: płaszcz w stylu Sherlocka Holmesa, wełniany garnitur, ciężka drewniana laska, czarne buty z klamerką. Oczy w kształcie migdałów przeskakiwały od drzwi do drzwi i czytały tabliczki informacyjne.

284

Przed wejściem do gabinetu Terri mężczyzna się zatrzymał. Rozejrzał się z pozoru niedbale w obie strony, po czym stojąc tak, aby nie można go było zobaczyć przez szybki w drzwiach, położył dłoń na gałce i powoli, po cichu przekręcił. Zamknięte na klucz.

Przez jakiś czas stał nieruchomo z dłonią na klamce i nasłuchiwał odgłosów ze środka. Następnie opuścił rękę i bez specjalnego pośpiechu wrócił w kierunku, z którego przyszedł.

15.25

Ośrodek gościnny dla ważnych osobistości przypominał bardziej włoskie palazzo niż apartament hotelowy, jakiego spodziewał się Wame. Misternie rzeźbione alabastrowe kolumny wznosiły się ku wysokiemu sufitowi, na którym niebiesko-białe trompe l'oeil imitowało niebo. Między kolumnami bulgotały barokowe fontanny. Na ścianach wisiały wielkie olejne pejzaże oprawione w ciężkie, złoczone ramy. W dalekim kącie holu bardzo dystyngowany kwartet smyczkowy grał muzykę kameralną.

W wejściu stało sześciu pracowników ochrony. Wame podał najbliższemu swoje nazwisko, a tamten rzuciwszy niespokojne spojrzenie w stronę Wingnuta, kiwnął głową i dał znak, żeby poszli za nim. W szerokim holu roznosił się pogłos butów stukających po różowym marmurze kararyjskim. Terri szła za Andrew, pochód zamykał Poole, który rozglądał się ciekawie na wszystkie strony.

Sala kończyła się szerokimi dwuskrzydłowymi drzwiami, za którymi ciągnął się węższy korytarz z podłogą wyłożoną dywanem. Większość drzwi po obydwu stronach była zamknięta. Zza jednych doszedł ich oburzony kobiecy głos protestujący z brytyjskim akcentem:

— Siedzimy tu już godzinę. Powtarzam: godzinę! Jesteśmy gośćmi, a nie więźniami. Mój mąż jest parem. Nie możecie...

Głos cichł za ich plecami, w miarę jak szli w głąb korytarza. Potem strażnik zatrzymał się przy innych drzwiach, zapukał

286

i czekał. Kiedy się otworzyły, ukazała się w nich głowa mężczyzny, który skinął na ochroniarza, strażnik odwrócił się i odszedł.

— Co was zatrzymało? Zaczęliśmy się już denerwować.

Wame rozpoznał grube rysy i jasne, rzadkie włosy szefa ochrony parku.

— Poszliśmy nieco naokoło — odrzekł Wame, wchodząc do środka.

Znaleźli się w niewielkim pokoju umeblowanym z dużym smakiem. Podobnie jak wszędzie indziej w utopijnych Podziemiach, sztuczne oświetlenie zaprojektowano tak, aby zrekompensować brak okien, żarówki emitowały więc światło jak najbardziej zbliżone do naturalnego. Wzrok Warne'a omiatał pokój i zatrzymał się, napotkawszy Sarah Boatwright, która na klęczkach rozmawiała z mężczyzną siedzącym na krześle tyłem do drzwi. Na widok Warne'a przerwała i wstała z ustami zaciśniętymi w wąską linię. Andrew nigdy przedtem nie widział na jej twarzy takiego wyrazu.

— Co się stało? — zapytał, idąc szybko w jej stronę. — Gdzie jest Georgia?

— Dzięki Bogu, nic ci się nie stało. Wszystko w porządku, doktor Finch zajmuje się Georgią osobiście. Mówi, że będzie spała jeszcze co najmniej godzinę.

Umilkła i zerknęła na Boba Allocco.

— O co chodzi? — spytał znowu Wame.

— Drew, czy spotkałeś się dzisiaj z Normanem Pepperem?

— Pepper? — mruknął Andrew. Nazwisko brzmiało mu znajomo. — Pepper... a, oczywiście. Ekspert od orchidei. Jechałem z nim rano kolejką jednotorową.

— On nie żyje.

— Nie żyje? — spytał zaskoczony Wame. — Jak to się stało?

Pewnie zawał, pomyślał. Facet miał ze dwadzieścia kilogramów nadwagi i prawdopodobnie nie przywykł do takich emocji. Co za nieszczęście. Wyglądał na takiego zadowolonego, kiedy tu jechał. I mówił, że ma dzieci. To okropne, jak...

— Zatluczono go na śmierć.

— Słucham?!

287

Przeszedł go lodowaty dreszcz.

— Ciężkim, tępym narzędziem — grobowy głos Allocca zagrzmiął w małym pomieszczeniu.

Wskazał głową krzesło. — Ten biedak go znalazł. Wszedł do świetlicy dla konsultantów z zewnątrz z nadzieją na filiżankę kakao. Zamiast tego nadział się na zabitego Peppera.

Mężczyzna siedzący na krześle się odwrócił. Był łysy, drobny, miał krótkie szczeciniaste wąsy i okrągłe okulary. Był jeszcze bledszy niż Sarah. Minęła dłuższa chwila, zanim wstrząśnięty Wame rozpoznał pirotechnika Utopii. Smythe czy jakoś tam.

— Jezu — mruknął Andrew.

Miał przed oczami Peppera wysławiającego uroki parku, zacierającego ręce w teatralnym geście zachwyty.

— Dlaczego? — zapytał.

— Właśnie nie mogliśmy tego zrozumieć — powiedział Allocco. Odszedł od Smythe'a, a pozostali ruszyli za nim. — Z początku. Nie obrabowano go, w kieszeni marynarki znaleźliśmy portfel, ale tak bardzo nasiąkł krwią że nie mogliśmy znaleźć żadnego czytelnego dokumentu tożsamości, więc wyjęliśmy mu z kłapy znaczek z identyfikatorem i zeskanowaliśmy.

W pokoju zapadła cisza.

— No i... ? — spytał Wame.

Allocco zerknął na Sarah. Wame również spojrzął na nią pytająco.

— Miał w kłapie twój identyfikator — odparła.

Lodowate ciarki zamieniły się w nagły, paniczny atak strachu.

Wame przełknął ślinę.

— Mój znaczek? — spytał głupio zaschniętymi ustami. — Jak to możliwe?

Jednak w tym samym czasie, kiedy zadał to pytanie, przypomniał sobie, jak Pepper w kolejce upuścił dwie małe koperty na podłogę, potem je podniósł i oddał jedną Warne'owi.

— Musiał przez pomyłkę zamienić koperty — powiedział. — Ten znaczek, który zgubiłem w Mrocznej Głębinie, widocznie należał do niego.

Sarah zrobiła krok w jego stronę.

— Wiem — powiedziała — to okropne.

288

Okropne... Warne nie mógł wyrzucić z umysłu obrazu Normana Peppera. To mogłem być ja. To

powiniennem być ja.

— I co z tym zrobicie? — spytał Poole.

— Jedyną rzecz, jaką możemy zrobić. Zostawimy ciało tam, gdzie jest, zabezpieczujemy pokój i powiadomimy policję. Gdy tylko będziemy mogli.

Ktoś zapukał do drzwi. Allocco otworzył, a wtedy do środka weszła młoda kobieta w białym blezerze z wielką filiżanką herbaty, którą wręczyła Sarah. Ta podziękowała mruknięciem, odwróciła się i zaproponowała herbatę Smythe'owi, który jednak szybko pokręcił głową.

— Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że przez jakiś czas musi pozostać tutaj — powiedział Allocco, odwracając się do Warne'a. — Albo razem z córką w szpitalu, jeśli pan woli.

Zabezpieczyliśmy obydwie miejsca.

Do Warne'a, który cały czas myślał o Pepperze, docierało to powoli.

— Słucham? — zapytał.

— Wiedzieliśmy już przedtem, że pana szukają. Teraz mamy pewność, że chcą pana zabić.

Andrew poczuł, jak ze strachu nogi robią mu się miękkie i ciężkie.

— Ale dlaczego? Czemu akurat mnie? Przecież to nie ma sensu.

— Ależ ma duży sens — odezwała się nagle Terri i wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Dziewczyna zarumieniła się lekko, jakby zdziwiła się, słysząc własny głos. Potem nabrała powietrza i wysunęła brodę do przodu. — To tylko dowodzi, że masz rację w sprawie metasieci i tego trojana.

— Nie rozumiem — powiedział Allocco.

— Doktor Wame miał przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu. Ci ludzie nie byli przygotowani na taką ewentualność. Nie próbowaliby go zabić, gdyby nie wiedzieli, że może im zaszkodzić.

— Brzmi sensownie — zauważył Poole, który podszedł do ekspresu i nalewał sobie kawy. Allocco łypnął na niego nieprzyjaźnie i mruknął coś do siebie.

289

— Pewnie masz rację — powiedział powoli Wame. Potem odwrócił się do Sarah. — Nie mogę tu zostać. Muszę coś zrobić.

— Na przykład co? — spytał sarkastycznie Allocco. — Przejechać się kolejką? Czy obejrzyć przedstawienie?

— Myślę, że na coś trafiliśmy. To może być coś ważnego.

Sarah patrzyła na niego w napięciu i czekała. Wame kontynuował, starając się nie zwracać uwagi na to, że zaschło mu ustach.

— Wydaje mi się, że znalazłem port, z którego korzystają tamci.

— Port? — powtórzył Allocco. — O czym pan mówi?

— Port, gniazdo, z którego podłączyli się do systemu Utopii.

— Czy ty rozumiesz, o co chodzi? — spytał Allocco Sarah.

— Skąd wiesz? — Sarah nie odrywała wzroku od Wame'a.

— Nie przyszliśmy od razu, bo prowadziliśmy poszukiwania. Znalazłem trojana ukrytego w metasieci. Przesła informacje z komputera Terri do sieci. Udało mi się odtworzyć część wewnętrznego adresu, nie za dużo, ale wystarczy, żeby było od czego zacząć. Poszliśmy do administracji sieci i uruchomiliśmy analizator protokołów, żeby wyszukać miejsca z najwyższą aktywnością no wiesz, jakiś wyciek pakietów, cokolwiek, co mogłoby wskazywać, że ktoś tam majstruje. — Przerwał. — Słuchaj, to możemy sobie wyjaśnić później, ważne jest, że znaleźliśmy ruter bez autoryzacji, który podsłuchuje port w... jak się to miejsce nazywa?

— W węźle.

— Nie wiem, czy to coś ważnego. Równie dobrze może to być źle skonfigurowany przełącznik. Ale jeśli podłączyli tam coś ci goście, to moglibyśmy odkryć, co kombinują. W każdym razie powinniśmy to sprawdzić

— Chyba jednak powiniennem to ująć dosadniej — wtrącił się Allocco. — „Ci goście” usiłują pana ukatrupić. Zabili już jedną osobę przez pomyłkę. A pan chce tam iść, żeby wyjść im naprzeciw?

— Nie zamierzam wychodzić nikomu naprzeciw. Próbuje znaleźć sprzęt, którym się posługują.
— Andrew rozejrzał się po małym pokoiku, po twarzach, które na niego patrzyły. Potem
290

odwrócił się do Sarah. — Sama prosiłaś mnie o pomoc. Nie zrozum mnie źle, boję się jak cholera. Można powiedzieć, że za bardzo się boję, żeby siedzieć tu z założonymi rękami. Tam przynajmniej będę ruchomym celem.

— Czy za pośrednictwem tego mtera, czy jak to się tam nazywa — zaczął Allocco — mogą nam mieszać w systemie nadzoru wideo?

— Bardzo prawdopodobne.

Allocco zerknął na Sarah.

— Co o tym myślisz?

Sarah nie odrywała wzroku od Warne'a.

— Andrew, posłuchaj mnie uważnie. Ci ludzie nie cofną się przed niczym, żeby dopiąć celu, nawet przed zabójstwem. — Jej głos był zadziwiająco spokojny. Wame zastanawiał się, jakim cudem udaje jej się tak świetnie nad sobą panować mimo takiej ogromnej presji. — John Doe sam przyznał, że mieliśmy dużo szczęścia w Mrocznej Głębinie. Zabili niewinnego mężczyznę, ponieważ wzięli go za ciebie. Czy ty rozumiesz, co ci chcę powiedzieć?

Chcesz mi powiedzieć, że Georgia straciła już jedno z rodziców, pomyślał Wame. Potrzebujesz mojej pomocy, ale nie chcesz mnie złożyć w ofierze i wziąć za to odpowiedzialności. Na głos jednak powiedział tylko:

— Tak.

— A więc...?

— Więc jeśli ktoś ma to zrobić, równie dobrze mogę to być ja.

Allocco westchnął głośno.

— Chryste. No dobrze, wyślę z panem kilku moich ludzi.

Wame pokręcił głową.

— Nie. Wolę, żeby wysłał ich pan do pilnowania mojej córki.

— Zgadza się — odezwał się Poole od strony ekspresu do kawy. — Oddział ochroniarzy ściągnie tylko uwagę. Potrzebujemy do tego zadania małej, prężnej grupy.

— Czy ja pytałem pana o zdanie? — Bob mówił przez ściśnięte gardło, w jego głosie słychać było irytację.

— Ci ludzie, z którymi macie do czynienia, są świetnie przygotowani — ciągnął Poole, jakby nie słyszał ani słowa z tego,

291

co mówił Allocco. — Powinniśmy również założyć, że są dobrze uzbrojeni. Jeśli zobaczą falangę ochroniarzy otaczających jednego zwykłego cywila... — Wzruszył ramionami i upił łyk kawy. — Wystarczy jeden granat. Osobiście wybrałbym M czterysta trzydzieści trzy Al. Wystarczy rzucić jeden w taką grupkę, żeby popsuć ludziom dzień.

Allocco zmarszczył czoło i nie odpowiedział.

— To tylko zwiad, wystarczy mała grupka. Weźcie odpowiedniego faceta, dajcie mu odpowiednią spluwę...

— Odpowiedniego faceta — powtórzył Allocco zgryźliwie. — Ciekawe, kogo ma pan na myśli?

Poole uśmiechnął się skromnie i dotknął swojej tweedowej czapki. Allocco prychnął.

— Ufa pan temu facetowi? — spytał Warne'a.

— Wiemy przynajmniej, że nie może być kretem. Jest gościem w Utopii, nie pracownikiem, można rzec: czynnikiem losowym.

— Czynnikiem losowym, powiada pan.

Allocco odciągnął Sarah i Wame'a na bok.

— A skąd możecie tak naprawdę wiedzieć, że nie jest jednym z nich? — spytał ponownie.

— Ponieważ gdyby chciał mnie zabić, już byłbym trupem. — Andrew umilkł niepewnie. — Nie jestem bohaterem, ale mam najlepsze kwalifikacje do tego zadania.

Allocco rozważał to przez chwilę, po czym opuścił ręce wzdłuż boków i odstąpił krok w tył.

— Chcę, żeby wziął pan ze sobą jednego z moich ludzi, Ralpa Peccama — powiedział w końcu. — Jest najlepszym specem od sprzętu wideo i można mu ufać. Poza tym on jeden z całej ochrony wie dokładnie, co się dzieje. Jeśli to urządzenie miesza nam w kamerach, chcę, żeby to sprawdził.

Wame skinął głową.

— Zadzwoń do Freda Barksdale'a — powiedziała Sarah. — Weźmiecie też ze sobą sieciowca.

— Dobrze — odparł Wame. — Nie, czekaj, to za długo potrwa. Terri zna całą sieć na wylot. — Odwrócił się do niej. — Pójdiesz z nami?

Wzruszyła ramionami, starając się, aby wypadło to nonszalancko.

292

— Pewnie bezpieczniejsze to niż siedzenie w mojej pracowni.

Wame patrzył, jak Sarah przenosi wzrok to na jedno, to na

drugie. Odpięła od swojej kłapy turkusowy znaczek ze słowikiem i przypięła go Andrew do marynarki.

— To znaczek członka ścisłej grupy kierowniczej — powiedziała. — Nikt nie powinien cię zatrzymywać ani nagabywać, jeśli będziesz go miał przy sobie.

Odwróciła się do mężczyzny siedzącego na krześle.

— Panie Smythe, proszę na razie tu odpoczywać, zrelaksować się. Może się pan położyć, jeśli pan woli. Dobrze?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową. Andrew spojrzał na robota kręcącego się wokół jego nóg.

— Wingnut, zostań — rozkazał surowo.

Pies zakręcił w jego kierunku kamerami, jakby błagał o odwołanie tego rozkazu. Gdy jednak nic takiego nie nastąpiło, zbulgotał z niezadowoleniem i niechętnie odtoczył się tyłem w stronę najbliższego kąta pokoju.

Sarah odwróciła się z powrotem do Andrew.

— O czwartej w Sali Luster Holo muszę przekazać Johnowi Doe drugą płytę z Tygłem. Potem pójdę do Georgii i z ośrodka medycznego będę nadzorować sytuację, dopóki nie wrócicie. Bądźcie ostrożni i nie róbcie niczego, co mogłoby sprowokować odwet. Dajcie mi znać, co tam znajdziecie. Jeśli będzie jakiś sposób, żeby...

— Zaraz, chwileczkę — przerwał jej Wame. — Masz dostarczyć tę płytę osobiście?

Sarah kiwnęła głową.

— Specjalnie tego zażądał. Chce mieć gwarancję, że nie będziemy próbowali żadnych sztuczek.

— Jezu — powiedział Wame i zaniemówił na chwilę. Potem pod wpływem nagłego impulsu objął ją czule. — Uważaj na siebie.

— To samo mogę powiedzieć tobie — odparła.

Pocałowała go w policzek i odsunęła się. Przez ramię Wame zauważył ciemne oczy Terri obserwujące ich uważnie.

15.30

— Co to jest właściwie ten węzeł? — spytał Andrew.

Idąc szerokim korytarzem na poziomie B, mijali szereg biur składających się na dział operacji kasyn.

— Coś jakby centrum okablowania Utopii — odpowiedział Ralph Peccam. — Jest pan robotykiem w Carnegie-Mellon, tak?

— Byłem.

— Czy tamtejsi sieciowcy mają węzeł dystrybucyjny?

— Oczywiście.

— Nasz węzeł to coś w tym rodzaju, tylko dużo, dużo większy.

To powiedziawszy, mężczyzna kichnął, chowając twarz w zagięciu rękawa marynarki, która wyglądała na mocno wysłużoną. Właściwie określenie „mężczyzna” jest drobną przesadą pomyślał Wame. Z mierzwą rudych włosów i twarzą obficie usianą piegami Peccam bardziej wyglądał na

ucznia spieszącego na lekcję algebry niż najlepszemu technikowi wideo w Utopii. Od samego patrzenia na chłopaka Andrew poczuł się staro.

Wrócił myślami do apartamentu dla VIP-ów, który właśnie opuścili, i przypomniał sobie, jakim wzrokiem patrzył na niego Allocco. Był bliski pogardy. „Usiłują pana ukatrupić — powiedział. — A pan chce tam iść, żeby im wyjść naprzeciw?”.

Wystarczyło wczuć się w ten ucisk w piersi i szybkie dudnienie serca, żeby wiedzieć, że była to ostatnia rzecz, jakiej chciał. Wiedział też jednak, że nie potrafiłby siedzieć w salonie dla ważnych osobistości, zjadać ciastka i oglądać kolejne odcinki

294

Strachosfery. Nie mógłby też zostać w ośrodku medycznym, chodzić wokół łóżka Georgii, czekając, aż się obudzi i aż przyniosą kolejne ofiary. Co chwila wracały do niego zdarzenia z Mrocznej Głębiny: nagłe, gwałtowne szarpnięcia, przerażone krzyki dobiegające z ciemności nad ich głowami i przede wszystkim wyraz oczu Georgii.

Znów wezbrał w nim gniew na ludzi, którzy spowodowali całe to cierpienie. Jeśli może znaleźć coś, co pomogłoby uratować park Sarah, zrobi wszystko, co w jego mocy. Może to niedużo, ale tylko tyle potrafi.

— Czego możemy się spodziewać w środku? — spytał Poole.

— Przełączników sieciowych — odparł Peccam. Skręcili w następny, węższy korytarz o dużo bardziej surowym wyglądzie. — Złącza linii T-jeden i T-trzy, węzły elektryczne i całe mnóstwo kabli. Generalnie to coś w rodzaju wielkiego opakowania wokół podziemnego fragmentu Wrzeszczącej Maszyny. Pudełko w pudełku. Nikt tam nie chodzi poza konserwatorami sieci. Miałem nawet kłopot, żeby znaleźć kogoś z kartą dostępu. — Pomachał plastikowym prostokątem wiszącym mu na łańcuszku u szyi. — No i z tego, co słyszałem, strasznie tam ciemno. Mam nadzieję, że ktoś wziął ze sobą latarkę.

Poole popatrzył na Peccama, potem na Warne'a i Terri.

— Psiakrew — mruknął. — A czego właściwie szukamy?

— Ruter — odrzekła Terri. — Szarej skrzynki zamontowanej gdzieś na dziko. Mniej więcej trzydzieści centymetrów na dziesięć. — Pomachała zwitkiem kartek. — Mam tu schemat sieci, więc mogę w przybliżeniu określić miejsce podłączenia.

— W węźle jest prawdopodobnie ze sto ruterów — zauważył Peccam. — Czemu uważacie, że ten akurat nie ma autoryzacji?

— Przeszukałem waszą sieć — odparł Wame. — Jego banner nie pasuje do pozostałych. Teraz z kolei Peccam zrobił zdziwioną minę.

— Co to znaczy?

— Każdy sprzęt podłączony do sieci ma swój banner identyfikacyjny, który powinien podać, kiedy się do niego zapuka. Trafiłem na banner, który nie pasował do pozostałych konfiguracji. Według schematu Terri ten ruter jest podłączony w węźle.

295

— Hm — mruknął Peccam tonem zabarwionym zawodowym sceptycyzmem.

Wame zerknął na chłopaka z ukosa. Emocje zaczęły w nim opadać pod naporem nagłych wątpliwości. Prawdopodobnie prowadzi ich wszystkich na poszukiwania wiatru w polu. To, co w pracowni Terri wyglądało na sprytny pomysł, teraz wydawało się po prostu głupie. Będą pewnie szukać przez godzinę i znajdą przepaloną płytkę z układem scalonym. Powinni raczej siedzieć teraz w gabinecie i pracować nad kodem, szukając uszkodzonych robotów.

Korytarz kończył się małymi drzwiami, na których widniała tylko czerwona tabliczka z napisem: „Uwaga, wysokie napięcie. Osobom nieuprawnionym wstęp wzbroniony”.

— To tu — oznajmił Peccam, zdejmując z szyi łańcuszek z przepustką.

Kiedy sięgnął kartą do czytnika, Poole złapał go za rękę.

— Co pan wyprawia? Nie ustaliliśmy zasad użycia siły.

— Czego? — prychnął Peccam. — Przecież to tylko sala z kablami.

— Może sobie być nawet herbatka w towarzystwie dobroczynnym. Ponieść porażkę przy planowaniu to tyle, co zaplanować porażkę w działaniu. — Machnął ręką w stronę zamkniętych

drzwi. — Lepiej słuchajcie wyszkolonego profesjonalisty. Potraktujemy to jako infiltrację. Po wejściu przeprowadzimy szybki rekonesans, a jeśli teren okaże się bezpieczny, będziecie mogli szukać tego swojego... mtera.

— Do diabła — burknął Peccam. — Gdybym wiedział, że będę tu odgrywał GI Joe, wziąłbym ze sobą strój maskujący.

Poole zmierzył go wzrokiem z dołu do góry.

— Rzeczywiście, powinien pan — powiedział pogardliwie.

Peccam przeciągnął kartę przez czytnik.

Usłyszeli kliknięcie i drzwi się uchyliły. Poole dał im znak, żeby poczekać. Zerknął raz przez ramię, po czym przyłgnąwszy plecami do futryny, popchnął palcem drzwi. Wame zauważył, że były wyjątkowo grube, wyściełane od wewnątrz czymś, co wyglądało na materiał dźwiękoszczelny. Szybkim, węzowym mchem Angus wsunął głowę w szparę

296

i na chwilę znieruchomiał. Potem odwrócił się i dał znak pozostałym, żeby poszli za nim.

W środku panował półmrok. Po obu ścianach wąskiego korytarza pełzły kable wszelkich możliwych grubości i kolorów. Andrew odniósł wrażenie, że znalazł się w wielkim, starym domiszczu rodem z sennych koszmarów. Podniósł głowę i mrużąc oczy, usiłował przebić wzrokiem ciemność, aby dojrzeć sufit. Gdzie tylko spojrzeć, migotały kolonie maleńkich światełek. Niecałe dziesięć metrów dalej metalowa drabinka prowadziła na pomost biegnący po zewnętrznej ścianie. Obwody i przekaźniki szeleściły i pstrykały w ciemności niczym mechaniczne owady, w tle rozchodził się niski, ledwo słyszalny, drgający dźwięk.

Wame rozejrzył się po bezmiarze kłębiącej się elektroniki i do reszty podupadł na duchu. Utwierdził się w przekonaniu, że podjęli się bezcelowego zadania, że za żadne skarby świata nie uda im się znaleźć rutera w tej całej...

Niski buczący dźwięk przybrał nagle na sile i wzrósł raptownie, aż wypełnił cały węzeł nieludzkim jazgotem. Ściany wokół nich zdawały się tańczyć.

— Słodka panienko! — zawołał Poole, przekrzykując hałas. — Co to jest?

— Wrzeszcząca Maszyna — odpowiedział równie głośno Peccam. Wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną wydmuchał nos i włożył ją z powrotem. — Po drugiej stronie tej ściany tor schodzi pod ziemię. — To mówiąc, wskazał palcem wewnętrzny mur. — Węzeł to jakby jego izolacja dźwiękowa. Po co by tu ściągali te wszystkie przewody? Ponieważ do niczego innego to miejsce się nie nadawało.

Krzywiąc się, Wame odwrócił głowę od przeraźliwego odgłosu. Zdawało mu się, że przez mechaniczny zgrzyt słyszy zachwycone krzyki pasażerów.

Czekali bez mchu, aż hałas przycichnie, a w końcu zupełnie umilknie. Cisza, która potem zapadła, raziła jeszcze bardziej niż poprzedni łoskot.

Andrew zerknął na Terri. Oczy miała szeroko otwarte i jakby pobladłe, zaciśnięte usta. Białe fartuch laboratoryjny zdawał się świecić w ciemności.

297

— Mówiłaś, że masz klaustrofobię — szepnął.

Kiwnęła głową.

— Metro, tunele, nie wsiądę nawet do kolejki.

— Więc jak wytrzymasz tutaj?

— Ciemno jest. Ktoś musi cię trzymać za rękę.

Szli dalej gęsiego. Węzeł biegł po obwodzie kwadratu czterema długimi, wąskimi korytarzami, skręcającymi pod kątem prostym. Przed pierwszym skrętem Poole przystanął. Powoli wyrzwał za róg. W nieruchomej ciszy rozległo się głośne kichnięcie Peccama. Poole cofnął się gwałtownie i zgromił technika spojrzeniem, przykładając jednocześnie palec do ust.

Andrew czuł, że oddycha coraz szybciej. Upomniał sobie, że przecież tu nikogo nie ma. W najgorszym razie znajdą nieproszoną metalową skrzynkę z układami scalonymi i wstążkami przewodów, a i to tylko jeśli im się poszczęści. A jednak z jakiegoś powodu napięcie w grupie rosło błyskawicznie, aż stało się niemal namacalne. Po części winien był temu Poole — jego obsesyjna

ostrożność i paramilitarna poza; po części cisza, która w mroku nabierała cech oddzielnej osobowości, czujnej i nieprzyjaznej. A od nagłych wybuchów hałasu kolejki górskiej za ścianą Wame miał nerwy napięte jak postronki. Niezależnie od przyczyny grupa podążająca za Poole'em w głąb elektronicznego gąszczy poruszała się ukradkiem niczym złodzieje.

Trafili na robota sprząającego, który jechał wzdłuż zewnętrznej ściany. Miniaturowy odkurzacz, zamontowany pod oczami osadzonymi na długich czułkach, przesuwiał się delikatnie po niezliczonych kablach i złączach. Wame przemknął obok maszyny, odnotowując w pamięci, aby w odpowiednim czasie sprawdzić z Terri jego oprogramowanie.

W połowie drogi drugim bokiem kwadratu dalekie dudnienie powróciło — z góry pędził ku nim kolejny pociąg z wagonikami. Tym razem Wame nie czekał, odwrócił się tyłem do wewnętrznego muru, przycisnął prawe ucho do ramienia, a lewe zasłonił ręką. Zobaczył, że Terri robi to samo. Dudnienie zamieniło się w łoskot, drzenie osiągnęło punkt kulminacyjny, po czym w końcu ucichło i grupa ruszyła dalej.

298

Po minucie doszli do następnego zakrętu. Poole znów ostrożnie wyjrzał za róg. Po co zawracać sobie głowę? — zastanawiał się Andrew. W tej ciemności i tak nie widać niczego dalej niż na pięć, sześć metrów. Trzęsąc się, skręcił za Angusem w korytarz biegnący wzdłuż trzeciego boku kwadratu. Rety, ależ tu zimno. Jeszcze tylko jeden zakręt, jeden korytarz i wrócą do miejsca, skąd zaczęli, a wtedy skończy się ten absurdalny rekonesans i będą mogli zabrać się w końcu do tego, po co tu przyszli, czyli szukania rutera. Pod warunkiem, oczywiście, że...

Pochłonięty myślami wpadł na plecy Poole'a, który stanął i znieruchomiał w ciemności, a po chwili wyciągnął dłoń obróconą wnętrzem do przodu. Andrew słyszał za plecami chrypliwy oddech Peccama. Wyteżył wzrok, aby przebić się przez gęsty półmrok. Zdawało mu się, że na granicy widocznej przestrzeni dostrzega ludzką postać, niewyraźną niczym senny majak. Zmrużył oczy i wyciągnął szyję, tak, teraz był pewien: jakiś człowiek siedział tam w kucki i nad czymś się pochylał.

Skradając się ostrożnie jak kot, Poole zrobił krok do przodu. Dłoń cały czas trzymał ostrzegawczo w górze. Wame mszył za nim. Mogli już wyraźniej zobaczyć pochyloną postać: szczupły mężczyzna w niebieskim kombinezonie siedział na stołku, oparty plecami o jakiś wózek. Na uszach miał słuchawki. Wyglądało na to, że pisze coś na klawiaturze, wpatrując się w mały monitor ulokowany między kolanami.

Przez węzeł przebiegło drzenie następnego nadjeżdżającego pociągu. Bardzo powoli Poole dał Wame'owi znak, że powinien się cofnąć. Dudnienie przybierało na sile, przez dźwiękoszczelne ściany wyraźnie słychać było zgrzyt kół pędzących po metalowych szynach.

Na końcu korytarza mężczyzna podniósł głowę i omiół wzrokiem ciemny korytarz. Oczy mu się rozszerzyły na widok zbliżających się ludzi, ale nie mszył się z miejsca. Spuścił z powrotem głowę i zaczął znów stukać na klawiaturze, z początku powoli, potem coraz szybciej.

Poole zrobił krok naprzód. Mężczyzna w kombinezonie znowu podniósł wzrok, napisał coś, wcisnął „Enter” i znowu coś napisał. Potem jakby od niechcienia sięgnął ręką do torby na narzędzia

299

i zaczął w niej grzebać. Wąską, ciasną przestrzeń wypełnił ryk przejeżdżających wagoników, dotkliwy, jakby materialny.

Poole zrobił kolejny krok do przodu, a wtedy mężczyzna z niespodziewaną, przerażającą szybkością poderwał się na nogi. Klawiatura spadła na podłogę. Angus coś krzyknął, ale Wame go nie usłyszał w ogłuszającym hałasie. Nieznajomy rozejrzał się dookoła, jakby czegoś szukał, a potem włożył rękę do kombinezonu i wyjął ją z powrotem.

Poole okręcił się w kółko i brutalnie popchnął Wame'a na ziemię. Przewracając się, Andrew zobaczył nagły błysk, który rozświetlił półmrok węzła. Poole wystrzelił przed siebie, przygięty nisko niczym krab. Mężczyzna wycelował i w korytarzu błysnęło drugi raz. Tuż nad uchem Wame usłyszał świst, a kiedy przycichł łoskot wagoników, korytarz jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał echem wystrzałów. Skulił się odruchowo i wcisnął plecami w ostre krawędzie elektronicznych urządzeń. Odwrócił się do Terri i przydusił ją do ziemi.

Angus i mężczyzna w kombinezonie szamotali się w rozpaczliwej walce. W chwili, gdy Wame obejrzał się i zobaczył ich zmagania, Poole uniósł pięść z łokciem zadartym wysoko i grzmotnął przeciwnika w twarz raz i drugi. Mężczyzna się zachwiał i zaczął potrząsać głową jakby chciał oprzytomnieć, lecz zaraz natarł na Angusa niespodziewanie, unosząc pistolet. Poole uderzył go w nadgarstek krawędzią dłoni i broń ze stukotem upadła na podłogę. Nieznajomy odskoczył w tył i stanął w pozycji bojowej. Potem błyskawicznie okręcił się w kółko i z obrotu kopnął Poola w żołądek. Ten zatoczył się w tył, a tymczasem jego przeciwnik natarł wściekle, wymierzając kolejne kopnięcia, tym razem w głowę. Gdy Angus przewrócił się i poturlał po podłodze, mężczyzna w kombinezonie odwrócił się, puścił się biegiem w przeciwnym kierunku i zniknął za zakrętem.

— Boże drogi! — krzyknęła Terri.

Oślupiały Wame cały czas trzymał ją przytuloną mocno do piersi. W uszach mu dzwoniło. Bójka wywiązała się tak niespodziewanie i tak szybko skończyła, że zwątpił, czy rzeczywiście widział to, co widział. Cała scena rozegrała się w dziesięć sekund, ale wyglądała tak brutalnie i tak przerażająco profesjonalnie...

300

Pomimo całej militarystycznej aury, jaką starał się wokół siebie roztoczyć, Poole robił wrażenie człowieka niegroźnego, a nawet pociesznego. W ciągu niespełna minuty Andrew całkowicie zmienił o nim zdanie.

Angus zniknął za rogiem, gdzie pobiegł mężczyzna w kombinezonie. Po chwili wrócił i dał im znak, żeby podeszli. Obok niego torba na narzędzia nieznajomego migotała jaskrawo, jakby ze środka wydobywało się światło. Nad nią unosił się pasek dymu.

Andrew powoli puścił Terri i wstał. Nogi pod nim drżały. Wziął ją za rękę i razem ostrożnie mszyli w stronę, gdzie siedział mężczyzna. Peccam poszedł za nimi.

Poole wsunął za pas pistolet, który wypadł jego przeciwnikowi podczas szamotaniny.

— Dokąd prowadzi to przejście? — zapytał, dysząc ciężko.

Wyjrawszy za róg, Andrew zobaczył nieduże drzwi w wewnętrznej ścianie węzła. Były otwarte i zasłaniały widok dalszej części korytarza. Zamiast czytnika kart magnetycznych, widniał w nim zwykły, staromodny skobel.

— Do tom Wrzeszczącej Maszyny — odrzekł Peccam. — Węzeł biegnie dookoła.

— Jest ta jakieś inne wyjście?

— Nie, chyba że przejdzie się po torowisku kolejki, ale tam jest bardzo stromo. Inspektorzy bezpieczeństwa pracy schodzą tam ubezpieczeni liną.

Wame'a zaczęły piec oczy od gryzącego dymu, który unosił się ze skrzynki na narzędzia. Poole stał niezdecydowany. Potem sięgnął do najbliższego stelaża na ścianie i stęknawszy, jednym szarpnięciem oderwał fragment metalowego wspornika.

— Chcę, żeby pan zaryglował za mną drzwi — powiedział, podając metalowy drąg Peccamowi. — Nie otwierajcie ich, dopóki wam nie każę. Jeśli nie wrócę stamtąd w ciągu pięciu minut, idźcie po pomoc, wszyscy. Trzymajcie się razem, nie rozdzielajcie się. — Wyciągnął zza pasa pistolet, sprawdził zamek, po czym mszył ostrożnym, lecz zdecydowanym krokiem w stronę drzwi.

Wame bez zastanowienia podążył za nim, lecz nagle uderzył stopą o coś ciężkiego i zatrzymał się. Spojrzał w dół. Pod ścianą

301

leżała prawie niewidoczna torba sportowa. Tego musiał szukać mężczyzna w kombinezonie. Spod rozsuniętego zamka wystawała błyszcząca lufa karabinu.

Usłyszał za sobą ruch i odwrócił się. Podeszedł do niego Peccam. On również zauważył torbę. Przez chwilę obaj patrzyli w milczeniu na broń.

— Lepiej to wezmę — powiedział trochę niepewnie Wame. Peccam podniósł na niego wzrok.

— Chyba raczej ja.

— Ja pierwszy ją zobaczyłem.

— Ale ja jestem pracownikiem Utopii.

— Tylko że to mnie usiłują zabić.

— Hej!

Obydwa mężczyźni odwrócili się w stronę głosu. To był Poole.

— Niczego nie dotykajcie, tylko zaryglujcie za mną drzwi. Z uniesionym pistoletem ostrożnie podszedł do wyjścia. Potem skinął im głową i zniknął w środku.

15.33

Wkroczył w ciemność, kuląc się w prostokacie mdłego światła, które wpadało z ukosa przez otwarte drzwi. Chociaż w węzle panował mrok, tor Wrzeszczącej Maszyny tonął w nieprzeniknionych ciemnościach. Poole przesunął się plecami po ścianie, oddychając powoli i czekając. Prostokąt światła przygasł, a w końcu znikł zupełnie, kiedy zamknięto za nim drzwi. Usłyszał, jak Peccam rygluje je metalową szyną.

Ostrożnie zrobił kilka kroków z bronią gotową do strzału. Nie wierzył, aby mężczyzna w kombinezonie miał jeszcze jakąś broń, ale nie zamierzał ryzykować. Lata praktyki dały o sobie znać. Wziął kilka głębokich, spokojnych oddechów i rozejrzał się.

Wzrok stopniowo przyzwyczajał mu się do ciemności. Znajdował się w dużym, kwadratowym pomieszczeniu otoczonym ścianami węzła. Przed nim rozciągał się las stalowych słupów, u dołu przymocowanych do betonu wielkimi kotwiami, u góry tonących w skomplikowanej sieci pionowych i ukośnych belek. Jeszcze wyżej wisiał w powietrzu wąski krąg światła — szczelina, przez którą zjeżdżający pociąg wpadał na krótko pod powierzchnię parku. Kiedy tak stał przyciśnięty do ściany, zdało mu się, że słyszy odgłosy śmiechu lub śpiewu dochodzące na dół z Promenady. Tutaj, w ciemności, ludzkie głosy sprawiały wrażenie, jakby dochodziły z niebywalej odległości, raczej z królestwa marzeń niż widzialnego świata.

Odwrócił oczy od dalekiego blasku. Potrzebował teraz ciemności.

303

Zaczął się ostrożnie przekradać wzdłuż ściany, starając się tłumić każdy krok, obserwując monochromatyczny krajobraz. Nie był pewien, po co mężczyzna w kombinezonie tu wbiegł. Na pewno go zaskoczyli. Mimo to nie porzucił pracy, nawet kiedy szli w jego stronę. Facet miał stalowe nerwy. To nie był chuchrowaty haker z obwisłymi ramionami. Ciekawe, co było aż tak ważne, że zamiast uciekać, kontynuował pisanie.

Na razie jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. Jego przeciwnik nie wyglądał na kogoś, kto by spanikował. Wbiegł tutaj nie bez powodu.

Szedł dalej przy ścianie. Jeśli usłyszy trzaski lub jakieś inne odgłosy wydawane przez radio, będzie musiał działać błyskawicznie, na razie jednak najlepiej trzymać się w cieniu i czekać, aż...

Z brutalną raptownością z góry runęło na niego piekło. Stalowe pręty zadrżały, w uszach poczuł rozsadzające ciśnienie. Skulił się i osłonił twarz. Powietrze rozdarł ryk, jakby machina samego Boga runęła z przestworzy. Ni stąd, ni zowąd stał w rozpryskach iskier; wrzaski i zachwycone piski bębniły o ściany, wagoniki kolejki górskiej zjechały ze wzniesienia na sam dół, po czym wznosząc się z powrotem nad ziemię, powlokły za sobą wybuchy śmiechu, okrzyki i przekleństwa.

Znów na ciemności osiadła cisza. Poole wyprostował się i ziemchomiał. Skąd te iskry? Widać to część efektów specjalnych: migoczące snopy tryskające spod kół. Tak czy inaczej za minutę następny pociąg przyniesie kolejny wybuch światła i jazgotu. Musi znaleźć miejsce, gdzie nie będzie tak bardzo widoczny.

Odepchnął się łokciami od ściany i pochylony, z uniesioną bronią zaczął przemykać od słupa do słupa. Coś trzasnęło mu pod nogą. Zaklął, skulił się i ukrył za kolumną. Nad jego głową ogromne podwójne tory Wrzeszczącej Maszyny spływały stromo w dół. Szyny błyszcząły blado i mętnie w ciężkim powietrzu.

Na próżno Poole rozglądał się i nasłuchiwał ze swojego miejsca za kolumną. Psiakość, co ten facet kombinuje?

Próbował się postawić na jego miejscu. Na pewno się ich nie spodziewał. Nie mógł też wiedzieć, że byli tak samo zaskoczeni jak on, kiedy go zobaczyli. Doszedł pewnie do wniosku, że go tropili. Nie miał pojęcia, ilu ich jest i czy nie idą z dwóch stron.

304

Myślał, że go otoczyli, więc wśliznął się tutaj. Ale to ślepa uliczka. Jeśli chce się stąd wydostać, musi się wdrapać...

Tym razem, kiedy zaczęło drzeć, Poole był przygotowany. Skulił się za słupem, spuścił głowę i odwrócił oczy od nadjeżdżających wagoników. Po raz kolejny jazgot spowił go opończą przeraźliwego dźwięku. Spod kół trysnęły spreparowane iskry i przez krótką chwilę podłoga wokół niego rozświetliła się blaskiem. Gapił się zaskoczony na to, co go otaczało. Tkwił w samym środku śmietnika: koleczyków, spinek do włosów, czapek, okularów, monet. W małej kałuży oleju smarowego leżała nawet sztuczna szczeka. W pierwszej chwili pomyślał, że to naprawdę jakiś śmietnik, potem jednak zrozumiał: wszystkie przedmioty wytrzęsły z pasażerów pędzące w dół wagoniki.

Kiedy kolejka wjechała pod górę i okropny, wszechogarniający hałas zaczął cichnąć, Poole podniósł wzrok. W gasnącym blasku iskier zobaczył nieopodal ludzką postać. Ręce trzymała nad głową i kiedy ostatnie światelka znikły, postać znieruchomiała z rękami w górze.

Poole cofnął się za kolumnę. To był mężczyzna w kombinezonie, bez dwóch zdań. Zawzięcie nad czymś pracował i potrzebował do tego światła.

Czekał, odliczając sekundy, do przejazdu następnego pociągu. Nie poruszał się, nawet nie mrugał, w przerwie między wagonikami tamten też na pewno pilnie obserwuje otoczenie.

Jedzie. Zdawało się, że drzenie zaczyna się gdzieś w trzewiach i powoli rozprzestrzenia się aż do palców rąk i nóg. Niskie dudnienie narastało, aż wreszcie powietrze rozdarł ryk zjeżdżających wagoników.

Kiedy hałas osiągnął apogeum, Poole wyrzał zza stalowego słupa. Mężczyzna stał w rozpędzonym blasku z podniesionymi rękami i wyglądało na to, że coś przykręca. Po chwili skończył, opuścił ręce, schylił się i zniknął. Poole jednak zdążył rozpoznać te mchy. Wiedział już aż za dobrze, jak facet zamierza się stąd wydostać.

Bez dalszego namysłu wcisnął pistolet za pas i puścił się pędem w stronę miejsca, które tamten przed chwilą opuścił. Podniósł ręce i zaczął rozpaczliwie obmacywać metalowe pręty.

305

Wreszcie znalazł: chłodną, gumową powierzchnię plastycznego materiału wybuchowego.

Przebiegał palcami pakunek, szukając detonatora.

Poczuł nagły, okropny cios w skroń. Nogi się pod nim ugięły, zatoczył się w bok, pistolet wysunął mu się ze spodni i upadł na ziemię. Mężczyzna w kombinezonie rzucił się na ziemię i po omacku zaczął szukać broni. W tym czasie Poole wyprostował się, znów wyciągnął ręce do pakunku z C-4 i rozpaczliwymi mchami zaczął go obmacywać. Wreszcie jego palce trafiły na to, czego szukały. Za plecami usłyszał tupot.

Powoli, prawie z czułością wyciągnął rurkę z ładunku, wstrzymując oddech, kiedy końcówka wyskoczyła z plastycznej masy. Odwrócił się i cisnął detonator w ciemność.

Zjechał następny wagonik i przez koronkę iskier Poole zobaczył mężczyznę w kombinezonie kilka kroków dalej, wciąż na czworakach szukającego pistoletu. Skoczył na niego, lecz tamten zdążył się przetoczyć w bok. Po chwili obaj zerwali się na równe nogi i pędzili od jednego słupa do drugiego. Poole biegł za dźwiękiem oddalających się kroków, omijając stalowe rusztowania wznoszące się między słupami. Nagle nieco z boku dostrzegł przemykający cień — czerń na tle czerni.

Błyskawicznie skręcił w tamtą stronę. Złapał uciekającego za kolana i obaj potoczyli się na podłogę w bezładnym kłębowisku ciał. Przeciwnik Angusa kopnął wściekle, ale Poole uchylił się w bok i wymierzył szybkie trzy ciosy prosto w twarz. Mężczyzna jęknął i znieruchomiał.

— Berek — wysapał Angus.

Za jego plecami rozległ się ostry trzask, po którym nastąpił błysk i kłęb dymu uniósł się znad odpalonego detonatora. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby się odwrócić. Następny pociąg z wagonikami, zjeżdżając z góry, wypełnił przestrzeń dźwiękową furją. Poole nie zwracał nań uwagi. Oparł się o kolumnę i oddychał głęboko, dopóki znowu nie nastąpiła błogosławiona cisza.

15.40

Poczekalnia w kwaterze ochrony parku bardziej przypominała szkołę podstawową niż posterunek służby bezpieczeństwa. Stylizowane plastikowe krzesła w jaskrawych kolorach, mieniające się płytki

podłogowe, wielki analogowy zegar na ścianie tchnęły atmosferą pogodnej, zinstytucjonalizowanej niezawodności. Nawet plakaty na ścianach, przechwalające się osiągnięciami Utopii w dziedzinie bezpieczeństwa lub przedstawiające mapy z wyjściami awaryjnymi na terenie parku, pełniły podobną funkcję. Jak wszystko inne w Utopii zostały one starannie zaprojektowane w określonym celu. W końcu w większości trafiali tu goście parku, którzy zapłacili za wstęp: ofiary kradzieży kieszonkowych, rodzice szukający zaginionych dzieci, młodzież złapana na wybrykach. Ochrona musiała sprawiać uspokajające i przyjazne wrażenie. Nie oczekiwano od niej zmagać z niebezpiecznymi przestępcami.

Andrew oderwał wzrok od ścian i rozejrzał się po krzesłach. Obok niego siedziała Terri Bonifacio, za nią po prawej, Peccam ostrożnie wertował zawartość ciężkiej torby, którą przynieśli ze sobą z węzła. Jeszcze dalej Allocco rozmawiał z Poole'em.

Wame objął Terri ramieniem.

— Dobrze się czujesz?

— Ja? Przecież zostałam dzisiaj tylko oskarżona, nastraszona, zaatakowana i ostrzelana. A do końca dnia jeszcze daleko. Czemu miałabym się źle czuć?

307

Przyciągnął ją do siebie czule.

— To moja wina, przepraszam, że cię w to wmieszałem.

— Hola, hola, nie ludź się. To dużo bardziej podniecające, niż programowanie serwomechanizmów i analizowanie kodów.

Uśmiechnęła się, ale figlarny błysk zniknął z jej oczu. Wame odwrócił się do Allocca. Zdawał sobie sprawę, że powinien słuchać tego, co mówi szef ochrony, ale Terri miała rację: całe popołudnie potoczyło się tak surrealistycznie, że Andrew miał wrażenie, jakby go wyciągnięto prosto ze scenariusza filmowego. Niczym we śnie, czuł, że może zrobić lub powiedzieć wszystko, co mu się spodoba, choćby było to najbardziej absurdalne i niespodziewane, a rzeczywistość wokół niego posłusznie dopasuje się do...

No i znowu się zaczynało. Zmusił się do słuchania.

— Chce mi pan powiedzieć, że ten punk sam to podłożył? — pytał Allocco.

— Tak jest, pod torami tej waszej wielkiej, starej kolejki. Kiedy go znalazłem, całkiem zdrowy ładunek był już przyklejony do wspornika. Jestem pewny, że to jeden z wielu, jakie porozkładali w parku. Nadaża pan?

Allocco poszarzał nieco na twarzy, niemniej skinął głową.

— Słucham dalej.

— Kiedy się zorientował, że wpadł w zasadzkę, wbiegł do tej sali, gdzie stoi rusztowanie kolejki. Zgubił broń i nie zdążył wyjąć z torby następnej, ale miał przy sobie detonator. Zamierzał podłożyć ładunek i w ukryciu czekać, aż wybuchnie. Kiedy pociąg z wagonikami wypadłby z torów i runął... — Poole wzruszył ramionami i zamachał ręką. — No, w każdym razie uciekłby z miejsca wypadku.

— Jezu, to jakiś koszmar — powiedział Allocco tonem niedowierzania. — W każdym pociągu Wrzeszczącej Maszyny siedzi sto dwadzieścia osób.

Zapadła cisza, wszyscy obecni w milczeniu przetrawiali tę informację. Potem Allocco zerknął na Warne'a.

— Może nie do końca wszystko rozumiem, ale czy nie powiedział pan przypadkiem, że szukamy tam jakiejś skrzynki? Wcisnął mi pan kit, co? Wiedział pan, że jak powie prawdę, to pana nie puścimy.

308

Warne pokręcił głową.

— Nie, to po prostu była sprytnie obmyślana robota. Facet założył w ukrytym miejscu punkt dowodzenia i zamaskował go jako zwyczajny ruter, jedno z tysiąca takich urządzeń w parku. Nikt, kto szukałby intruza, nie trafiłby na niego. Gdybym nie rozłożył na części jego kodu i nie wiedział, czego szukać... — Umilkł. — Ale i tak po prostu mieliśmy szczęście.

— Zobaczymy, jakie mamy szczęście, kiedy John Doe się dowie, że przydybaliśmy jednego z

jego zbirów. Możliwe zresztą że już się zorientował.

Wame rzucił Bobowi szybkie spojrzenie.

— Co to znaczy?

— Kiedy bawiliście się tam w chowanego, straciliśmy w parku cały nadzór wideo.

— Jak to straciliście?

— Normalnie. Zniknął nam obraz ze wszystkich kamer w parku, w Podziemiach, wszędzie.

Jedyne, co ocalało, to kasyna, które mają własny zamknięty obwód, i poziom C, pod nami. W zasadzie jesteśmy ślepi.

— Słodka panienko. — Poole gwizdnął cicho.

— Myślę, że możemy za to podziękować naszemu przyjacielowi z węzła — powiedział Wame.

Przypomniął sobie ów moment w ciemności, gdy mężczyzna patrzył na nich i nie przestawał przebiegać palcami po klawiaturze. — Kiedy nas zobaczył, wprowadził jakieś komendy do systemu.

— Trzeba mu to przyznać, gość ma klasę.

— Już ja mu przyznam darmowy bilet wstępu do Stanowego Zakładu Karnego w Nevadzie — wypalił Allocco. — No dobra, co teraz? Możemy się jakoś dostać do tego jego sprzętu, naprawić szkody i zorientować się, co kombinował?

Wame pokręcił głową.

— Miał najnowocześniejszy minikomputer ukryty w torbie na narzędzia, ale kiedy przyszedliśmy, zniszczył go. W jakiś sposób go spalił.

— Ładunek termitu — dodał Poole. — Stopił wszystkie elementy stałe.

— Rozumiem. Czyli tamci nadal wyprzedzają wszystkie nasze

309

poczynania o jakieś dwa kroki. — Allocco odwrócił się do Peccama. — A ty, Ralph, masz coś? Chłopak siedział po łokcie zagrzebany w znalezionej torbie.

— No, zobaczmy. Zapasowe radio. — Wyjął urządzenie, pociągając nosem, i położył je na niskim stoliku. — Ale ze skramblerem, więc tak samo bezużyteczne jak to, które znaleźliśmy w węzle. Jakies pięćdziesiąt paczek gumy nicorette. Poza tym zaciski, kable i Bóg wie, co jeszcze. Sprzęt sieciowy z najwyższej półki. Nawet nie wiem, do czego służą niektóre z tych rzeczy.

To powiedziawszy, wyjął długi przedmiot przypominający kabel.

— Lont — odezwali się chórem Allocco i Poole.

— Lont — powtórzył Peccam. — Kilka kanapek z masłem orzechowym i dżemem.

Poole włożył rękę do torby i wyjął jedną kanapkę. Rozwinął papier śniadaniowy, rozchylił kromki chleba.

— Z kawałkami orzechów i sezamem. Doskonały wybór.

— Co dalej? — burknął Allocco, smarując usta pomadką ochronną.

— Dalej jest to.

Peccam wziął do ręki czarny plastikowy przedmiot, który wyglądał jak duży pilot do telewizora z trzema guzikami: dwoma szarymi i jednym czerwonym.

— Co to jest?

— Nadajnik podczerwieni, wzmocniony do transmisji na duże odległości.

W tym momencie Peccam umilkł z dziwnym wyrazem na twarzy.

— No dalej, dalej.

— To nie ma sensu. Mówię o nadajniku.

Allocco westchnął.

— Wytłumacz to, proszę.

— No bo tak, zasadniczo są dwa rodzaje nadajników do zdalnego sterowania: na podczerwień i częstotliwości radiowe. Zwykle uznaje się radiowe piloty za lepsze ze względu na większy zasięg.

— Podniósł do góry czarny walec. — Tymczasem ten

310

nadajnik na podczerwień przerobiono, aby miał zasięg dużo większy niż piloty radiowe, co najmniej osiemset metrów. Piekielnie kosztowna zabawka. Tylko że, jak powiedziałem, to nie ma

sensu. Nadajniki radiowe mogą pokonywać różne przeszkody: ściany, zakręty i tym podobne. Tym gadżetem można wprawdzie sięgnąć dalej, ale trzeba mieć czyste pole widzenia. No więc po co zawracać sobie głowę takim drogim, potężnym sprzętem, skoro i tak musisz widzieć, w co celujesz?

W ciszy, która zapadła, Wame uchwycił poważne spojrzenie Poole'a.

— Dzięki za lekcję — powiedział Allocco. — Coś jeszcze?

— Nie. A, tak, jeszcze jedna rzecz.

Peccam sięgnął do torby i ostrożnie wyjął ze środka broń: krótki pistolet maszynowy z drewnianym łożem, ciężkim magazynkiem i lufą osłoniętą metalowym stożkiem.

— Heckler i Koch MPpięćSD — oznajmił Poole, kiwając z uznaniem głową. — Zwróćcie uwagę na zintegrowany tłumik. Jeżeli używa się poddźwiękowej amunicji, strzał jest tak cichy, że w ogóle go nie słychać. Jeżeli w ogóle można coś usłyszeć, to najwyżej kliknięcie zamka.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. Wszyscy siedzieli i bez mchu wpatrywali się w broń. W końcu Allocco podniósł się z miejsca.

— Wracam do naszego przyjaciela — orzekł. — Chociaż wątpię, żeby coś powiedział od mojego wyjścia. Gość nie należy do rozmownych.

— Chciałbym z panem pójść — odezwał się Poole.

Allocco obejrzał się na niego.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie?

Allocco prychnął lekceważąco, po czym odwrócił się do Peccama.

— Ralph, odłóż to, dobrze? I miej oko na tych cywilów pod moją nieobecność.

Poole obserwował plecy wychodzącego szefa ochrony.

— Pan Allocco chyba za mną nie przepada — powiedział łagodnie, wstając. — Nie rozumiem dlaczego.

311

Ja też, pomyślał Wame. Podniósł się automatycznie, ale zaraz obejrzał się przez ramię na Terri. Siedziała wyprostowana z dłońmi przyciśniętymi do kolan zasłoniętych białym fartuchem laboratoryjnym.

— Poczekasz tu czy wolałabyś pójść?

— Żartujesz sobie? Nie znoszę cel więziennych jeszcze bardziej niż schowków na miotły.

— Niedługo wrócimy.

Odwrócił się i zostawił Terri z Peccamem, który bardzo ostrożnie odkładał pistolet maszynowy do worka.

xxx

Utopia miała tylko jedną celę. Mieściła się na końcu pustego, surowego korytarza prowadzącego z poczekalni. Nawet ona jednak nie obfitowała w szczególne zabezpieczenia. Tak naprawdę był to mały pokój z grubymi drzwiami i pryczą przykręconą do ściany. Przed wejściem stała grupka strażników ochrony.

— Przeszukaliście go jeszcze raz? — spytał Allocco.

— Tak jest — odpowiedział jeden z ochroniarzy, czarnowłosy młodzik o nazwisku Lindbergh, jak informowała mosiężna tabliczka przypięta do lewej kieszeni marynarki. — Nie miał przy sobie portfela ani pieniędzy, ani żadnego innego dokumentu tożsamości, nic. Jest czysty.

— Dobrze. Otwórzcie drzwi.

Wame, który podszedł do nich z tyłu, zajął ciekawie, ale też i ostrożnie nad ramieniem Poole'a. Haker, bo tak go zaczął w myśli nazywać, wylegiwał się na jedynej pryczy w pomieszczeniu. Nadal miał na sobie niebieski kombinezon, ale z kołnierzyka wyjęto mu znaczek elektryka Utopii. Był młody i żyłasty, o ciemnej cerze i długich czarnych włosach związanych z tyłu w kucyk. Wame'owi wyglądał na mieszkańca Ameryki Południowej. Leżał z nogami skrzyżowanymi w kostkach, głową opartą na splecionych, żółtych od nikotyny palcach. Na twarzy wychodziło mu właśnie kilka paskudnych siniaków, czerwone plamy ustępowały miejsca cętkowanym, żółtym i niebieskim plamom. Popatrzył na wchodzącą grupę bez zainteresowania.

Na przód wystąpił Allocco. Rozstawił szeroko nogi i splótł ręce na piersi.

— No, dobra — powiedział. — Spróbujemy jeszcze raz. Jak się nazywasz?

Cisza.

— Gdzie jest reszta twoich ludzi?

Cisza.

— Ile ładunków wybuchowych podłożyliście w parku i gdzie?

Mężczyzna na pryczy zamknął oczy i ułożył się wygodniej.

Allocco przechylił się w tył na piętach i z frustracją wypuścił głośno powietrze.

— Policja jest już w drodze. Wdepnąłeś w niezłe gówno. Jeśli będziesz z nami współpracował, może uda ci się z niego wygrzebać. Więc zacznijmy od początku. Gdzie są pozostałe materiały wybuchowe?

To pytanie również nie doczekało się odpowiedzi. Allocco odwrócił się tyłem do więźnia.

— Mogę spróbować? — spytał Poole.

Allocco na niego spojrział.

— I co pan wykombinuje? Zapalki pod paznokciami? Oścień na bydło?

— Chcę tylko z nim pogadać, to wszystko.

Szef ochrony znowu westchnął, po czym dał Poole'owi znak, żeby podszedł. Wame obserwował, jak Angus obciąża marynarkę, poprawia tweedową czapkę. Ale nie podszedł bliżej. Został tam, gdzie stał, i zaczął mówić do więźnia przez całą szerokość celi.

— Przepraszam za to małe lanie tam na dole — zaczął — ale sam pan wie, jak to jest. Nie mogłem pozwolić, żeby kręcił się pan po parku, niszczył kolejki i psuł ludziom zabawę. Co byłby ze mnie za harcerz?

Mężczyzna nadal milczał z zamkniętymi oczami. Wame pomyślał, że już i tak surrealistyczna atmosfera dramatycznie nabrała absurdalności. Kilka minut temu ci dwaj walczyli ze sobą z morderczą wściekłością a teraz oto jeden leży beztrzesko na pryczy, a dmgi przemawia doń łagodnym, prawie wyrozumiałym tonem.

— Słyszę, że wstydzi się pan swojego nazwiska? — ciągnął Poole. — Więc będę pana nazywał Łotrzyk Dwanaście.

Mężczyzna otworzył raptownie oczy i popatrzył na sufit.

— To tylko pseudonim, ale na pewno nie jest pan Łotrzykiem Jeden ani nawet Dwa. Myślę, że stoi pan dość nisko na waszej terrorystycznej drabinie. Więc ilu was jest? Dwunastu?

Oczy zamknęły się z powrotem.

— Nie, nie sędzę. Wasz przywódca wygląda na bystrego człowieka, założę się, że nie użyłby dużej siły. Pięciu, może sześciu operacyjnych. Mała, doświadczona grupka. Macie scenariusz i realizujecie go krok po kroku. Ale to musi być bardzo dobry scenariusz, starannie zaplanowany. Musieliście zawnazu przygotować wszystkie lokalizacje. Ale nie nazbyt wcześnie, przecież nie można było ryzykować, że ktoś przypadkiem trafi na wasz mały prezent, prawda?

Oczy mężczyzny znów się otworzyły i powędrowały do Poole'a. Ten się roześmiał.

— Jak mi idzie?

Oczy znów patrzyły przed siebie, ale już się nie zamknęły.

— Naturalnie nie mogliście sami dostać się do systemu, potrzebowaliście kogoś z wewnątrz. Chociaż nie, gdybym był na waszym miejscu, załatwiłbym sobie dwóch. Musiałby być trep, którego zwerbowaliście i kupiliście, ten jest od drobnych posług. Dmgi jest wysoko postawiony. — Poole pokiwał do siebie głową jedną ręką gładząc golf na szyi. — Tak, to wasz rycerz w lśniącej zbroi. Wie, jak wszystko tyka, zna sposoby na obejście zabezpieczeń, pokonanie naturalnych osłon parku. Ale nie musi sobie brudzić rąk. „Nie daj po sobie poznać, że rozpoznałeś kreta za kurtyną” i tak dalej.

Mężczyzna nadal wpatrywał się w ścianę z ustami zaciśniętymi w nieporuszoną kreskę.

Poole potrząsnął głową.

— Niedobrze, naprawdę niedobrze. Bo widzi pan, kiedy dzień się kończy, to zawsze Łotrzyk Jeden wychodzi z całej sprawy bez szwanku. A Łotrzyk Dwanaście zbiera cięgi. Czuje pan to już? W celi zaległa cisza. Poole zerknął na Warne'a i puścił oko. Milczenie się przeciągało.

— No dobrze — odezwał się w końcu Allocco, a w jego zniecierpliwiony ton wkradł się sarkazm. — To wszyscy dorzucili

314

swoje trzy grosze. Masz jakieś pytania, Lindbergh? Albo doktor Warne?

Na te słowa mężczyzna na pryczy przeszedł niespodziewaną transformację. Do tej pory leżał pozornie zrelaksowany, nie zwracając uwagi na wszystkie pytania. Nagle usiadł i zaczął przeskakiwać oczami z jednej osoby na drugą aż zatrzymał się na Andrew.

— Wame! — szczerknął. — To ty! Tyś się w to wszystko wpięprzył! Kutas!

I zerwał się na równe nogi.

Poole błyskawicznie rzucił się przed siebie i bmtalnie odepchnął hakera ramieniem, po czym łokciem przydusił go do ściany. Mężczyzna zacharczał i Poole zmniejszył nacisk, tak że tamten osunął się z powrotem na pryczę.

Przez chwilę siedział, trzymając się za gardło i kaszląc. Poole odsunął się o krok i dał Wame'owi znak, aby trzymał się za nim.

Haker znowu łypnął złowrogo na Andrew. Wybuch gniewu minął równie szybko, jak przyszedł i teraz, gdy rozchylił usta w pogardliwym uśmiechu, ukazały się niewiarygodnie żółte zęby.

— Wiem o tobie wszystko — powiedział. — Obserwowałem cię, jak się dobijasz, jak próbujesz wykombinować, co się stało z twoim zafajdanym programikiem. — Roześmiał się sucho. — Który, swoją drogą jest żałośnie zakodowany. Ktoś, kto cię uczył pisać assemblerem, wykonał żałośnie gównianą robotę.

Słuchając go, Wame uprzytomnił sobie niejasno, że pomimo majańskich rysów twarzy mężczyzna mówi z wyraźnie amerykańskim akcentem.

— Nie masz zielonego pojęcia, co jest grane, a dobijałeś się tam, jakbyś mógł chociaż palcem kiwnąć. — Roześmiał się zimno, bez śladu wesołości. — Wiecie co? Macie przesrane! Każdy z was po kolei ma przesrane.

Potem podłożył ręce pod głowę, zamknął oczy i nie odezwał się więcej ani słowem.

15.40

Telefon zadzwonił, kiedy Sarah Boatwright odprowadzała kierowników działów po naprędcie zwołanym zebraniu. Weszli gęsiego zaledwie trzy minuty temu, niektórzy zniecierpliwieni i zaaferowani, inni zdeorientowani i podenerwowani. Sarah odwołała rutynowe popołudniowe zebranie sprawozdawcze i od tej pory wśród wyższych urzędników parku krążyły najróżniejsze pogłoski. Co się wydarzyło w Gryfowej Wieży w czasie pokazu o pierwszej dwadzieścia? Co było przyczyną wypadku w Mrocznej Głębinie? I czemu postawiono ochronę w stan gotowości? Sarah starała się zbywać pytania ze swobodnym roztargnieniem i miała nadzieję, że wypadło to przekonująco: ot, nawał problemów, nic nadzwyczajnego. Potem, wstrzymując oddech z lęku przed nowymi, złowieszczymi psikusami Johna Doe, spytała o wieści z poszczególnych działów. O dziwo jednak wszystkie meldunki brzmiały niegroźnie i uspokajająco zwyczajnie — nieczysta damska toaleta w nocnym klubie U Biednego Richarda w Kame-locie; nadgorliwy operator Gonitwy; uciążliwy prawnik polujący na potencjalnych klientów przy wyjściu z kolejki jednotorowej. Sarah wysłuchiwała wszystkiego, po czym grzecznie wyprosiła całą grupę z gabinetu, wymawiając się nieoczekiwanym spotkaniem. Patrzyła, jak zbierają teczki i notatki i wychodzą z pokoju. Żałośnie łatwo było ich uspokoić. Chcieli jej wierzyć, ponieważ alternatywa była wręcz nie do pomyślenia. Zastanawiała się, jak im to powie, nawet kiedy koszmar się skończy.

316

Do pokoju wetknęła głowę jej asystentka, Grace.

— Pani Boatwright, dzw0ni pan Emory. Aha, i u mnie na biurku leży pani bilet.

Emory? — pomyślała Sarah. Pół godziny temu zdała mu relację z ostatnich wydarzeń. Czego może chcieć, skoro nie dokonali jeszcze wymiany? Zorientowała się, że Grace cały czas stoi w drzwiach i czeka.

- Przepraszam, jaki bilet?
- Na samolot. Do San Francisco.
- Ach, oczywiście. Dziękuję ci, Grace.

Uśmiechnęła się i czekała, aż zamkną się drzwi. Na śmierć zapomniała o Kongresie Przemysłu Rozrywkowego.

Kiedy kliknął zamek w drzwiach, uśmiech na twarzy Sarah znikł. Podniosła słuchawkę.

- Panie Emory?
- Tak, jestem — rozległ się w słuchawce głos dyrektora naczelnego. — Musi pani o czymś wiedzieć, Sarah. Zarząd jest wstrząśnięty okolicznościami, o których mnie pani poinformowała.
- Zarząd?

— Po naszej ostatniej rozmowie zwołałem nadzwyczajne posiedzenie rady nadzorczej. Czekala w milczeniu. Jakże to do niego pasowało. Nie potrafił podjąć decyzji w sytuacji kryzysowej, zwołał posiedzenie rady. Teraz zamiast jednego Emory'ego będzie się gorączkowało dwunastu ludzi. Będą usiłowali oceniać sytuację na odległość, wydawać sprzeczne polecenia i tylko dolewać oliwy do ognia.

— Musiałem ich poinformować. Wiem, że to pani siedzi w okopach i jest mi z tego powodu przykro jak diabli, ale ostatecznie to zarząd będzie odpowiadał za to, co się wydarzy. Za to, co już się wydarzyło. Szczerze mówiąc, dziwi mnie trochę Bob Allocco. Czy jest pani w stu procentach pewna, że on nie...

— Tak, panie Emory. To ja podjęłam tę decyzję i...

— Nie musisz się tłumaczyć, Sarah. Co się stało, to się nie odstanie. Wiem, że działałaś w najlepszej wierze. Jednak wobec tego, że sprawa się przeciąga, są ranni i dwie ofiary śmiertelne...
317

należy podjąć jakieś działania. Nie można siedzieć beczynn timer i pozwolić, aby takie rzeczy działy się bezkarnie.

— Ale panie Emory, wyjaśniłam już panu, że nie siedzimy beczynn timer. Wymiana ma nastąpić o czwartej. Jesteśmy blisko zażegnania niebezpieczeństwa. John Doe powiedział...

— Wiem o tym. Ale ten John Doe sprawia wrażenie człowieka nieobliczalnego, może nawet nieźrównoważonego. Po utracie nadzoru kamer wideo bezpieczeństwo parku jest poważnie zagrożone. Nie możemy więcej ryzykować.

Sarah otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale to w końcu częściowo z jej winy Emory podjął tę decyzję. Nie powiedziała więc ani słowa.

— Niestety, w zarządzie nie ma w tej sprawie jednomyślności, ale decyzja większości jest następująca: doprowadzimy do końca to, co zostało już rozpoczęte, użyjemy kodów dostępu, aby wypalić dmga płytę, ale nie będziemy czekać potem dłużej niż pół godziny. Jeśli w tym czasie nie przywrócą pełnej integralności parku, powiadomimy władze federalne.

— Federalne?

— Im dłużej to się ciągnie, tym sytuacja staje się bardziej niebezpieczna. Zdaniem zarządu, jeśli konflikt nie zostanie natychmiast zażegnany, Utopia może przekroczyć punkt, w którym nie będzie już powrotu. I nie uda się powstrzymać złej prasy. Jeśli ma dojść do nieszczęścia, niech policja przynajmniej częściowo weźmie na siebie odpowiedzialność. Czy to, co mówię, jest jasne? Sarah przygryzła dolną wargę.

— Aż za bardzo, panie prezesie.

— Pół godziny, Sarah. Bądź ostrożna. I niech Bóg ma was wszystkich w opiece.

Po tych słowach w słuchawce zapadła cisza.

15.45

John Doe siedział pod markizą w ogródku kawiarni U Chum-leya w Gazolicie. Jego szczupłe dłonie odwracały strony świeżej edycji londyńskiego „Timesa” z 1891 roku. Był w wyśmienitym humorze, do tego stopnia, że nie mógł się powstrzymać, aby nie pozdrawiać turystów przechodzących wybrukowaną ulicą. Większość z nich krążyła pomiędzy ekskluzywnymi sklepami przy placu Soho a dzielnicą pokazów i przedstawień Mayfair, zaledwie kilka domów dalej.

— Dzień dobry! — wołał, uśmiechając się. — Dzień dobry.

Kilku przechodniów obrzuciło go obojętnymi spojrzeniami i przyspieszyło kroku, lecz zdecydowana większość odpowiadała również pozdrowieniami i uśmiechem. Zaiste zdumiewająca była owa transformująca moc Utopii. Działała niemal jak narkotyk.

Kawiarniany taras U Chumleya był przepięknym miejscem, wymarzoną relaks i odprężającą filiżankę kawy przed umówionym spotkaniem. Herbata U Chumleya sprawiła mu rozczarowanie, więc przerzucił się na kawę, która okazała się nieco lepsza. Powinien zapytać Sarah Boatwright, gdzie podają ten doskonały napój jaśminowy. Wkrótce będzie miał szansę.

Do stolika podszedł jego kelner — wysoki gość w tweedowym garniturze i krawacie zawiązanym w wielki węzeł.

— Jak tam, jeszcze filiżaneczkę? — zapytał.

— Chętnie — odrzekł John Doe, wzdychając z zadowoleniem i odwracając stronę gazety.

319

Kelner zmierzył go rozbawionym spojrzeniem.

— Widać, gęba się szanownemu panu śmieje od ucha do ucha.

— Och, jestem po prostu człowiekiem, który uwielbia swoją pracę.

John Doe obserwował, jak kelner, odchodząc, lawiruje między białymi obmsami. Akcent miał bez zarzutu, choć zapewne rdzenny londyńczyk urodzony w zasięgu dźwięku dzwonów Bow Bells, mówiący prawdziwym cockneyem, zaprotestowałby przeciwko niektórym wyrażeniom. Mimo to całość wypadła więcej niż zadowolająco. Gazolit podobał się Johnowi Doe najbardziej ze wszystkich krain Utopii. Kamelot nie przedstawiał sobą niczego poza krzykliwymi strojami i bitewnym jazgotem; z kolei w Kallisto drażnił go polerowany, postmodernistyczny połysk. Gazolit, z wyjątkiem oczywiście kiczowatego Piccadilly, pełnego kramów z T-shirtami i świecidełkami wszelkich maści, sprawiał dużo bardziej cywilizowane wrażenie. A ta mała kawiarenka była prawdziwym cudem: bezpretensjonalna, przytulna i tylko rzut kamieniem od Sali Luster Holo. Rozejrzał się i zauważył najpierw jedną potem drugą kamerę wideo. Niestety, obydwie obecnie nie działały. Johnowi Doe jeszcze bardziej poprawił się humor.

Właśnie wracał kelner z filiżanką świeżej kawy.

— Służę — powiedział, stawiając ją zamaszystym gestem na obrusie. — Może szanowny pan przepłukać gardziółko.

— Dziękuję — odparł John Doe, podnosząc wzrok znad gazety. — Macie tu niezgorszą małą kawuchnę — dodał, wpadając w ten sam akcent. — Nie to co inne szynkwasy w okolicy.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— Ba! Mucha nie siada.

John Doe ujął filiżankę w obie dłonie.

— Tylko uświerknąć tu u was człowiek gotów na śmierć. A ciągiem pada...

— Szanowny pan życzy stolik w środku?

— A broń Boże. Nie podchodzi mi taki ścisk. Ale wziąłbym coś na ząb. Mogę rzucić okiem na wasz jadłospis?

— Sie robi. Szanowny pan gustuje w Donaldach? Czy może raczej deserek? — Mężczyzna uśmiechnął się szerzej, wyraźnie

320

bawiąc się wyzwaniem. — Chyba że pan groszem nie śmierdzi. Jak tam ze szmałem?

— Dziękuję, ujdzie. Dajcie no tylko rzucić okiem na kartę dań, dobry człowieku.

— W try miga.

I kelner odszedł, aby przynieść menu.

John Doe upił kolejny łyk kawy, pozdrowił kilku następnych przechodniów i odstawił filiżankę na spodeczek. Poza osłoną markizy znów zaczął padać deszcz. Właściwie nie był to deszcz, raczej rozpylona mgiełka, która ledwo zmoczyła ulice i nadawała otoczeniu aksamitny połysk. John Doe wiedział, że deszcze w Gazolicie nie padają o określonych godzinach, tylko są skutkiem wielu skomplikowanych warunków: tłoku na ulicach, temperatury otoczenia, natężenia światła na „prawdziwym” niebie nad Utopią obecnie przyćmionym przez gęstą londyńską mgłę. Obserwował,

jak ludzie kryją się w drzwiach i pod daszkami i czekają aż przestanie padać, co nigdy nie trwało dłużej niż półtorej minuty. Delikatna mżawka już rzedła i ludzie powracali na ulicę, strząsając wilgoć z ramion, gawędząc i śmiejąc się.

Wszystko szło nadzwyczaj gładko. Nawet to potknięcie, o którym się właśnie dowiedział, nie przedstawiało wielkiego kłopotu. Nieprzewidziane zdarzenia należały do nieodłącznych aspektów jego pracy. Westchnął z niejakim żalem. To było jego ostatnie zadanie, miał nadzieję, że okaże się większym wyzwaniem, że przyniesie więcej emocjonujących niespodzianek. Miałby szansę wysilić intelekt, a potem móc nad tym rozmyślać, gdy przejdzie na emeryturę. Niestety, odmówiono mu tej przyjemności. Patrzył na przechodzących ludzi, rozmawiających bez troski, nieświadomych. Jak bydło. Gdyby nie był w takim świetnym humorze, gardziłby nimi. Gardził ludzkimi obyczajami, ludzką słabością cierpieniem, dobrocią. Zwłaszcza dobrocią.

Czas zaaranżować nieprzewidziane zdarzenia. Odłożył na bok gazetę, wyjął z kieszeni marynarki komórkę i wybrał numer.

— O, jesteś — powiedział do telefonu.

Głos, który odezwał się po drugiej stronie linii, był stłumiony, konspiracyjny. A jednak trudno było nie usłyszeć w nim zdenerwowania i irytacji.

321

— No, nareszcie się odezwałeś. Najwyższa pora. Sytuacja nie rozwija się zgodnie z planem. Mnie się to w każdym razie nie podoba.

— Co konkretnie nie poszło zgodnie z planem?

— Jak to co? — Głos był teraz nieledwie głośniejszy od szeptu. — Ta sprawa w Wieży Gryfów. I w Mrocznej Głębinie. Mówiłeś, że nikomu nic się nie stanie. I jeszcze ten ochroniarz w Galaktycznej Podróży. Boże, musiałeś go zabijać?

— Obawiam się, że nie miałem wyboru.

— Za dużo tych niemiłych niespodzianek. Tibbald też nie wrócił po dostawie. Obawiam się, że mógł nas zdradzić.

John Doe upił kawy, wziął kartę dań od kelnera i odczekał, aż odejdzie.

— Nie przejmowałbym się Tibbaldem. Jestem pewien, że w odpowiednim czasie się znajdzie.

— I jeszcze ten dmgi transfer. To absolutnie nie do przyjęcia, w scenariuszu nie było mowy o...

— Może było, a może nie. To teraz bez znaczenia. — Głos Johna Doe stracił nieco na dobrym humorze. — Istotne jest to, że Haker Jack przestał nadawać.

— Dlaczego? Co się stało?

— Nie jestem pewny. Może ktoś się nam znarowił. Może to robota naszego niespodziewanego gościa, Andrew Wame'a, który wtyka nos w nie swoje sprawy. A może zaszły jakieś inne nieprzewidziane okoliczności. W każdym razie Haker Jack wyłączył w parku wszystkie kamery.

— Wiem.

— To znak, że skończył swoją robotę na górze, ale nie możemy na niego liczyć w dalszych przygotowaniach. Musisz ciągnąć za swój koniec. Osobiście. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Już zacząłem, gdy tylko się dowiedziałem, że padło wideo. Skończę za parę minut.

— Świetnie. — Nieprzewidziane zdarzenia zostały zażegnane, jak można się było spodziewać, z przygnębiającą łatwością. — Przesuniemy w czasie niektóre wydarzenia, aby zrekompenzować ewentualną utratę kontroli. Niemniej nadal pozostaje jedna nierozstrzygnięta kwestia, a mianowicie twój przyjaciel, Wame. Haker

322

Jack już raz nam go wytropił. Poszliśmy z nim porozmawiać, niestety, okazało się, że jego znaczek identyfikacyjny nosił ktoś inny. Próbowaliśmy też w tej pracowni, o której mówiłeś, w dziale robotyki, ale nikogo nie zastaliśmy.

— Od pół godziny stąd nie wychodzą, nie wiem, dokąd mógł pójść.

— Zatem musimy się tego dowiedzieć. To ostatni akt naszego małego przedstawienia, należy przekonać doktora Warne^, że dla własnego dobra nie powinien się mieszać w nasze sprawy.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

— Obiecujesz nikogo więcej nie skrzywdzić?

— Oczywiście.

— Ponieważ ja nie wezmę pieniędzy splamionych krwią. Nie ma sensu dalej tego ciągnąć, jeśli ma dojść do kolejnych aktów przemocy.

— „Nie ma sensu”? — W tym momencie głos Johna Doe nabrał zupełnie innego brzmienia. Zadźwięczały w nim groźba i pogarda i nawet akcent nieco mu się zmienił. — Ostrzegam cię: nie igraj z moją inteligencją. Altruistyczne gesty przyprowadzają mnie o mdłości. Wszystko, co robimy, robimy we własnym interesie. I ty nie jesteś pod tym względem wyjątkiem. Utrzymując, że jest inaczej, tylko się łudzisz. Czy mam ci przypomnieć, czyj to był w ogóle pomysł? Kto kogo szukał? Czy mam ci przypomnieć, po raz kolejny, o konsekwencjach pielęgnowania spóźnionego sumienia? Pamiętaj, z kim mam się spotkać za parę minut.

Po raz kolejny zapadło milczenie, tym razem na dłużej.

— Za kilka minut będziemy mieć wszystko, po co tu przyjechaliśmy. — Głos Johna Doe znów nabrał łagodności i jedwabistej gładkości.

— Warne przyjechał tu z córką — zduszony głos przerwał w końcu milczenie. — Ma na imię Georgia. Leży w ośrodku medycznym.

John Doe raptownie uniósł brwi.

— Doprawdy? To bardzo ciekawe.

— Pamiętaj o swojej obietnicy.

323

— A ty pamiętaj o swoich zobowiązaniach. Napnij cięciwę swego męstwa*. Za czterdzieści pięć minut już nas tu nie będzie.

To rzekłszy, John Doe schował telefon z powrotem do kieszeni, wziął do ręki filiżankę z kawą i wrócił do przeglądania gazety.

xxx

Na drugim końcu linii w dużym, lecz surowo urządzonym gabinecie delikatnie stuknął odłożony telefon. Dłoń, która go trzymała, naciskała przez chwilę słuchawkę, jakby chciała zdusić wszelkie odgłosy, które mogłyby się z niej wydobyć. Potem przesunęła się po stole do świeżo wypalanej płyty DVD, mieniącej się niczym kryształ w przezroczystym pudełeczku. Znieruchomiała, zaczęła bębnić niespokojnie palcami, wreszcie sięgnęła po klawiaturę leżącą obok na biurku, przysunęła ją bliżej i zaczęła pisać, z początku niepewnie, stopniowo coraz szybciej.

* William Shakespeare Makbet, akt I, scena 7, przeł. Maciej Słomczyński.

15.45

— Wyjaśnijmy to sobie — powiedział Wame. — To była ta ważna sprawa, po którą tu przyszliśmy?

Poole zatrzymał przechodzącą hostessą.

— Sama adamsa, proszę, dla wszystkich.

— Ja wodę mineralną — westchnął Wame.

Hostessa skinęła głową zamknęła szybką hełmu i mszyła dalej między stolikami.

Wame znowu odwrócił się do Poole'a.

— Peccam nie będzie zachwycony, że mu się wymknęliśmy, żeby wpaść na piwo.

Poole wzruszył ramionami i uśmiechnął się tym swoim dalekim, roztargnionym uśmiechem.

Siedzieli w Oceanie Ukojenia, tworzącym dużą okrągłą przestrzeń, oświetloną skąpo czarnym światłem. Przy sąsiednich stolikach rozmawiali goście, popijając drinki i zagryzając egzotycznie wyglądającymi przekąskami. Z głównej hali Kallisto dochodziły krzyki i wybuchy śmiechu, w przyległym kasynie słychać było brzęk monet i terkot automatów do gier. Nad głowami, na nocnym niebie, migotały miliardy galaktyk. W podłodze wyłożonej czarnym kompozytem również zdawały się błyszczeć gwiazdne skupiska o nieskończonej głębi. Pomimo wszelkich okoliczności Wame nie mógł nie zachwycać się wspaniałą iluzją—jakby stoliki wokół nich unosiły się w kosmicznej przestrzeni. W gmnie rzeczy było to niepokojące uczucie.

325

Terri powiesiła laptop na oparciu krzesła.

— To wbrew zasadom obowiązującym w Utopii. Pracownikom nie wolno odwiedzać kasyn w

czasie godzin pracy.

To miał być żart, ale w jej głosie słycać było napięcie.

— A kto odwiedza kasyna? — spytał Poole. — Kasyno jest tam. Poza tym, czy ktoś z nas pracuje?

— W tym sęk, że powinniśmy — odparł Wame.

— Tak? — zdziwił się Poole. — Nad czym?

— Nad trojanem. Powinniśmy go rozmontować, odkryć, które roboty zostały zmodyfikowane. Poole pokręcił głową.

— Chyba nie chcecie wracać do tamtej pracowni? Tu jest o wiele bezpieczniej: miejsce publiczne, słabo oświetlone. Poza tym...

Dokończył zdanie machnięciem ręki, ale to wystarczyło. „Ci faceci i tak mają nad wami ogromną przewagę” — mówił ten gest. — Siedzenie dalej przy komputerze donikąd was nie zaprowadzi”.

Do tej pory Wame nie chciał nawet o tym myśleć, teraz jednak zaczął się zastanawiać nad złapanym hakerem, nad tym, jak się na niego rzucił, jak z niego drwił. W głowie dudniły mu echem słowa tamtego, ociekające pogardą i kpina. „Wiem o tobie wszystko... o twoim zafajdanym programiku... gówniana robota... — Nie masz zielonego pojęcia, co jest grane...”. Kod rzeczywiście był dużo inteligentniejszy, niż Andrew chciał to przyznać. Tak naprawdę to był czysty przypadek, że udało im się złapać tego faceta.

„Nie masz zielonego pojęcia, co jest grane”.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

Wróciła hostessa z zamówionymi napojami i postawiła je na stoliku. Na dłoniach miała srebrne rękawice. Chociaż cała trójka musiała przedstawiać ciekawy widok — podrapani, obandażowani, posiniaczeni — kobieta tylko się uśmiechnęła przez otwór w hełmie i odeszła.

W pobliżu ktoś nagle wybuchnął śmiechem. Wame spojrział w tamtym kierunku. Przy sąsiednim stoliku dwóch młodzików złapało kolorowe, mrożone napoje. Jeden miał na sobie długą

326

pelerynę czarodzieja, kupioną w Kamelocie, postrzępione krótkie spodenki i T-shirt. W każdym innym miejscu poza Utopią wyglądałby idiotycznie.

Kątem oka Andrew zauważył, jak Poole nalewa sobie piwa do szklanki, podnosi do ust i bierze długi łyk. Z jego nadgarstka zwisały poplamione końcówki bandaża.

Milczenie przerwała Terri.

— Nadal nam pan nie powiedział, czemu to wszystko robi.

Poole odstawił szklankę i wytarł usta dziwnie wykwintnym ruchem.

— Właśnie — przytaknął Wame. — Mógłby pan sobie od dawna tu siedzieć i odpoczywać przy piwie, zamiast zbierać kopniaki, wchodzić w drogę strzelającym zbirom i Bóg jeden wie, co jeszcze.

Poole się uśmiechnął.

— Pomyślcie sobie, że ludzie wydają tysiące dolców na jakieś lipne „weekendy tajemnic” w hotelach. Przecież mamy tu dużo lepszy dreszczyk. I cena niezbyt wygórowana.

— Zachowuje się pan, jakby to była część tutejszych atrakcji.

— A nie jest? — Poole uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Poza tym mam szansę odświeżyć dawne umiejętności, żeby nie wyjść z wprawy.

I znowu łyknął piwa. Wame popatrzył nań i westchnął z rezygnacją. Chyba nie spotkał dotąd człowieka tak trudnego do rozgryzienia.

— Ma pan rację co do pracowni — powiedział. — Więc jeśli pan pozwoli, Terri i ja pójdziemy odwiedzić moją córkę.

Zaczął się podnosić.

— Po co ten pośpiech? Za piętnaście minut Joe Doe dostanie swoją płytkę i odjedzie ku zachodowi słońca. Zapalą światła na widowni, zagrają fanfary. I wszystko się skończy szczęśliwie. Nie mam racji? — zapytał zupełnie nieprzekonującym tonem.

— Do czego pan zmierza? — odpowiedziała pytaniem Terri.

Spróbowała piwa, skrzywiła się i odsunęła od siebie szklanę.

— Mówiłem, że chcę tu wpaść po coś ważnego, prawda? I mówiłem to nie bez powodu. Oczywiście miałem ochotę na piwo, ale ważniejszy był sam przystanek.

327

Warne usiadł z powrotem. Pokręcił głową.

— Mówi pan zagadkami.

— Ależ skądże. Nie zapominajcie, że jestem tu obserwatorem, człowiekiem z zewnątrz, który nie ma pojęcia, co się właściwie dzieje. — Kolejny łyk. — To znaczy, że kiedy wy wszyscy biegaliście z wywieszonymi językami, ja się tylko przyglądałem. I nasłuchiwałem.

Wame zerknął na Terri, która wzruszyła w odpowiedzi ramionami.

— Więc do czego pan zmierza? — zapytał tym razem on.

Poole wziął do ręki butelkę sama adamsa i zaczął od niechcenia skubać etykietkę

— Nie zauważyliście pewnej prawidłowości?

— Nie.

Poole skrobał dalej.

— Każą wam trzymać wszystko w tajemnicy. Potem ganiają was z miejsca na miejsce, od jednego wypadku do drugiego, nie dając chwili wytchnienia. Czyli czasu na zadanie sobie kilku podstawowych pytań. — Odstawił butelkę. — To wszystko tworzy piekielną układankę. Znajdźcie właściwy klocek, a zobaczycie cały obraz. A oni nie chcą wam na to pozwolić.

— O jakich pytaniach pan mówi? — spytał Wame.

— Oto jedno z nich: Jeśli ci goście są tacy dobrzy, to czemu schrzanili sprawę w Mrocznej Głębinie? Zamierzali wysadzić całą kolejkę, żeby dać wam nauczkę. Jakie to szczęście, że wspornik złamał się tak, jak się złamał i zapobiegł zawaleniu się całej konstrukcji. Aleja się nie zgadzam. Widziałem miejsce po wybuchu. Ktoś, kto podłożył te ładunki, był prawdziwym artystą w swoim fachu. Gdyby chcieli zniszczyć Mroczną Głębinę, już by leżała w gruzach.

Czyli nie popełnili błędu w obliczeniach, pomyślał Wame ponuro.

Terri poruszyła się niecierpliwie na krześle.

— No dobrze, może jestem tępą, ale czegoś tu jednak nie rozumiem.

— Czame charaktery chcą wysadzić w powietrze kilka osób, wywołać dużo płaczu i załamywania rąk. Ale pomimo wszyst-

328

kiego, co mówi John Doe, wyraźnie nie chcą wywoływać paniki. Przynajmniej na razie. To by im pokrzyżowało plany. Powinniśmy założyć, że wszystko, co ci ludzie robią robią z jakiegoś powodu. Wybuch w Mrocznej Głębinie miał spowodować dokładnie takie zniszczenia, jakie spowodował, ni mniej, ni więcej.

Zapadło milczenie, podczas gdy Wame i Terri analizowali zasłyszane informacje.

— Moim zdaniem to wariactwo — rzekła w końcu Terri. — Ale zakładając, że ma pan rację, to mam inne pytanie. Powiedział pan, że we wszystkim, co ci goście robią jest jakiś cel. Haker w węzle odciął nadzór kamer wideo wszędzie poza kasynami i poziomem C. Kasyna można zrozumieć, bo mają wewnętrzny system, ale poziom C należał do całej sieci. Czemu go nie wyłączyli?

— Nie wiem — odparł Poole. — Co tam jest?

— Elektrownia, pralnia, dział ekologii, dział finansów, kuchnie, warsztaty, dział przetwarzania danych. Całe zaplecze.

— Ta elektrownia, o której pani wspomniała — powiedział Poole — nie jest atomowa, prawda? Terri wzniosła oczy do nieba. Poole wzruszył ramionami.

— Chodzą plotki.

Przez jakiś czas przy stoliku panowała cisza.

— Nazwał pan to układanką — odezwał się Andrew. — Ale my nie mamy żadnych klocków. Gdzie pan widzi te puzzle?

— Zapomina pan, że mamy najważniejszy klocek — odparł Poole. — Naszego przyjaciela w

celi. A on powiedział coś bardzo interesującego.

— Co takiego?

— Pamięta pan, jak zareagował, kiedy usłyszał pańskie nazwisko? To nie było udawane. Miał ochotę poderżnąć panu gardło. Ale właściwie nie wiadomo dlaczego.

— Oczywiście, że wiadomo — wtrąciła Terri. — Andrew psuje im robotę. Pokrzyżował mu szyki.

— Może i tak. Ale pamiętacie, czemu się tak zapienił? Przypomnijcie sobie, co dokładnie powiedział. Najbardziej wkurzyło go to, że pan się wtrącał do systemu.

— Co z tego? — spytał Wame.

329

— Czemu nie pieknił się na pułapkę, którą zastawili w... jak to się nazywa? Galaktyczna Podróż? Przecież to był ich główny problem, prawda? Gdyby nie to, mieliby już tę swoją płytkę i dawno by się stąd ulotnili.

— Inay — mruknęła obok niego Terri.

Wame rozmyślał nad tym w milczeniu. Strzaskana płyta, Andrew całkiem o niej zapomniał. Sięgnął do kieszeni i wyjął plastikową torebkę, którą Sarah zostawiła na łóżku Georgii.

— Co to? — spytał Poole.

— Resztki dysku z Tygłem — odrzekł Wame. — Połamane podczas bójki w Galaktycznej Podróży. — Położył je na stoliku. — Więc co właściwie pan sugeruje?

— Sugeruję, że ta cała sprawa pachnie mi zasłoną dymną. Starannie zaaranżowaną i zamaskowaną przykrywką. Ci ludzie grają na zwłokę.

— Ale po co? — spytała Terri, biorąc do ręki torebkę i obracając ją z zaciekawieniem w palcach. — Na co czekają?

— No właśnie, oto pytanie za milion dolarów, prawda?

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Poole wysączył resztkę piwa i sapnąwszy z zadowoleniem, odstawił ją na stolik.

15.50

Chociaż nigdzie w miejscach publicznych Utopii nie dało się tego zobaczyć, do czwartej godziny brakowało dokładnie dziesięć minut.

W Gazolocie przed wejściem do Sali Luster Holo zebrał się duży tłum. Oficjalnie miejsce to nazywało się zupełnie inaczej: Komnata Fantastycznych Iluzji Profesora Cripplewooda. Była to już kolejna generacja sal zwierciadlanych Utopii wykorzystująca technologię Tygła do tworzenia holograficznych wizerunków ze zdjęć robionych potajemnie osobom, które wchodziły do środka. Hologramy projektowano tak, aby wyglądały na lustrzane odbicie, które następnie wyświetlano w czasie rzeczywistym w całym blado oświetlonym labiryncie. Między nimi rozmieszczono jednak również prawdziwe lustra, tak więc wszystko razem wywoływało diabelsko dezorientujące wrażenie. Goście wędrujący krętymi korytarzami stawali co chwila oko w oko z własnym wizerunkiem, a także innych zwiedzających, nigdy jednak nie mogli być pewni, czy widzą przed sobą prawdziwe odbicie czy holograficzną podobiznę. Wychodzili z sali ogłupiali, przestraszeni i zafascynowani jednocześnie. W sumie Sala Luster Holo przyprawiała wszystkich zwiedzających o tak niezwykle przeżycia, że cieszyła się najwyższym wskaźnikiem powtarzalności odwiedzin w tym samym dniu spośród wszystkich atrakcji Ga-zolitu.

Tym razem jednak w tłumie zebranim przed wejściem próżno

331

było szukać nastroju podnieconego oczekiwania. Raz po raz rozlegały się sfrustrowane okrzyki gości, którzy stali w kolejce prawie godzinę tylko po to, aby się dowiedzieć, że salę chwilowo zamknięto z powodu kłopotów technicznych. Hostessy w krynolinach i pracownicy w surdutach niezmordowanie uspokajali zniecierpliwionych turystów, rozdając kupony i żetony do kasyn. Obok wejścia zbudowanego w ceglanej fasadzie stała Sarah Boatwright, ledwo widoczna w gęstej mgle. Z rękami założonymi na piersi, jedną ręką przyciskając w kieszeni płytę DVD, obserwowała kłębiący się tłum.

X X X

Wysoko w górze, pod bezlitosnym słońcem Nevady chłodna, wilgotna mgła Gazolitu wydawała się błogim światem ze snu. Mężczyzna znany jako Bawół skończył swoją pracę i odpoczywał w cieniu rzucanym przez gładką kopułę Utopii. Obok niego na ziemi leżało radio, a po drugiej plastikowa butelka z wodą. Oparł na kolanach książkę Prousta i czytał ją z niespiesznym, starannym namysłem. Od czasu do czasu podnosił wzrok i spoglądał ponad krawędzią ściany kanionu na ocienioną drogę, która wiała się w dole z parkingu dla pracowników i ginęła na pustynnym płaskowyżu Yucca Flats.

xxx

Dwadzieścia kilka kilometrów dalej autostradą numer dziewięćdziesiąt pięć jechały w kierunku północno-zachodnim dwa pojazdy. Jednym z nich był stosunkowo nowy sedan. Na masce przed kierowcą migał duży, zdejmowany kogut. Po obu stronach przedniej szyby kołysały się długie bicze anten. Chociaż samochód miał biały lakier, w tej chwili był brązowy jak strzyżyk od brudu wyrzucanego spod kół jadącego przed nim czerwonego opancerzonego forda F8000.

Dziesięciobiegowy diesel warczał żałośnie pod ciężarem sześciomilimetrowej stali kuloodpornej, która pokrywała nadwozie samochodu. W części bagażowej siedział tylko jeden strażnik. Opierał się plecami o ściankę, między kolanami trzymał strzelbę samopowtarzalną. Mężczyzna i broń kołysali się razem i od czasu do czasu podskakiwali na wybojach.

332

Kierowca prowadził samochód pod górę. Za oknem brązowo--żółto-zielony krajobraz przedstawiał dość niezwykły widok, częściowo za sprawą kuloodpornej szyby, która zmieniała barwy pustyni. Mężczyzna za kierownicą poprawił słuchawki na uszach i odezwał się do mikrofonu.

— Centrala Utopii, tu transport BTO, dziewięćEB, odbiór.

W słuchawkach zatrzeszczało.

— Tu Centrala Utopii, odbiór.

— Zjechaliśmy z trasy dziewięćdziesiąt pięć. Spodziewany czas przyjazdu: szesnasta dziesięć.

— Dziewięć-EB, szesnasta dziesięć, zrozumiałem.

W słuchawkach jeszcze raz rozległy się trzaski, po czym zapadła cisza. Wóz opancerzony zjechał na nieoznakowaną drogę dojazdową do Utopii. Podjazd zrobił się jeszcze bardziej stromy, kierowca zmienił bieg i dodał gazu, kierując się na parking dla pracowników parku.

15.50

Kyle Cochran stał przed wejściem do baru Ocean Ukojenia w błyszczącej fioletowoczarnej pelerynie czarnoksiężnika My-manteusa. Chociaż oświetlenie hali głównej nie było jaskrawe, w barze panował półmrok, musiał więc chwilę odczekać, aby oczy przyzwyczyły mu się do blasku. Obok niego Tom Walsh, trochę wyższy i znacznie szczuplejszy, stłumił beknienie. Właśnie wyłopali po cztery supernowe, to będzie nowy rekord szkolny, a ich wyczynu wcale nie umniejszał fakt, że napoje były bezalkoholowe. Po gigantycznych, wielobarwnych miksturach z furą kruszonego lodu żołądek Kyle'a już dawno zdrętwiał z oburzenia. Jak zawsze, trochę go zirytowało, że jeszcze przez cały następny rok nie będzie mógł wypić drinka, ale w takim miejscu jak Utopia to właściwie nie miało znaczenia. Kilka tygodni temu jego kumpel z akademika, Jack Fischer, przemycił całego bour-bona, nawalił się, a potem zwymiotował na współpasażerów na Wrzeszczącej Maszynie.

Walsh znowu beknął, tym razem głośno, czym sprawił, że obejrzało się za nim kilku przechodniów.

— Nieźle — orzekł Kyle, kiwając z uznaniem głową.

Przed przyjazdem na Uniwersytet Kalifornijski Kyle nasłuchiwał się przerażających historii o upiornych współlokatorach: maniakalnych imprezowiczach, słuchających po nocach death metalu na cały regulator; flejtuchach zmieniających bieliznę raz na tydzień. W przypadku Toma Walsh'a jednak żadne z tych czarnych

334

proroctw się nie sprawdziło. Mieli dużo wspólnych zainteresowań: lekkoatletykę, muzykę ska, motocykle crossowe. Tom był mocny z przedmiotów ścisłych, Kyle z kolei pisał niezłe prace i biegle znał francuski, tak więc pomagali sobie nawzajem podczas tego najtrudniejszego pierwszego roku. Na drugim ich drogi w nauce się rozeszły, ale nadal pozostali przyjaciółmi. W święta jednak

wydarzyło się nieszczęście. Starszy brat Toma zginął w wypadku motocyklowym. Przez całą zimę Walsh chodził ponury i zamknięty w sobie i Kyle trochę się zdziwił, kiedy jego przyjaciel podchwycił pomysł spędzenia ferii wiosennych w Las Vegas. Wyglądało na to, że jego kumpel powoli powraca do formy. Z początku jakby tylko udawał, że się dobrze bawi, ale w Utopii wyraźnie wyluzował i zaczął się nawet wygłupiać. Kilka razy przebaknął też, że mogliby złożyć tu podanie o pracę wakacyjną.

Kyle ziewnął i przeciągnął się.

— To co teraz robimy?

Tom poklepał się po brzuchu.

— Nie wiem. Myślałem o Stacji Omega.

Kyle spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Jaja sobie robisz? Po wychlaniu czterech supernowych? Człowieku, opamiętaj się.

W odpowiedzi Tom uśmiechnął się przebiegle. Stojąc w hali głównej, nie zważając na tłumy przechodzących turystów, Kyle zastanawiał się nad propozycją przyjaciela. Stacja Omega należała do grupy atrakcji wykorzystujących zjawisko spadania swobodnego, stosunkowo nowego wynalazku Utopii, w którym pasażerowie dosłownie spadali z dużych wysokości. Najczęściej przypinano ich ciasno pasami, tak jak na pionowych kolejkach górskich, projektanci Utopii wykorzystali jednak koncepcję spadania swobodnego i przerobili ją w całkiem nowy sposób. W Porcie Podniebnym goście wjeżdżali ruchomymi schodami do czegoś w rodzaju windy, a ta, jak informował scenariusz, miała ich wynieść do czekającego wahadłowca. Jednak gdy tylko drzwi windy się zamykały, sprawy nieoczekiwanie przybierały bardzo zły obrót. Winda szarpało, potem jakby dreszcz przechodził przez całe urządzenie, coś trzaskało złowieszczo. Światła zaczynały

335
mrugać i gasły, skądś wydobywał się dym. Aż nagle, bez ostrzeżenia, pasażerowie nurkowali trzydzieści metrów w dół. Potem zapalały się światła, włączały hamulce i winda szybko, lecz zaskakująco łagodnie się zatrzymywała.

Była to jazda krótka, lecz niezwykle skuteczna, do tego stopnia, że w Stacji Omega obowiązywały bardzo restrykcyjne ograniczenia dotyczące pasażerów.

Kyle i Tom jechali nią już dzisiaj sześć razy.

Kyle popatrzył w stronę Portu Podniebnego, gdzie kłębił się dziki tłum. Sześcioma zjazdami na Stacji Omega pobili już rekord uniwerku. A ostatnim razem czekali w najdłuższej kolejce tego dnia. Z drugiej strony siedem zjazdów przypieczętowałoby ich zwycięstwo, zwłaszcza po wypiciu czterech supernowych.

Poza tym to była propozycja Toma. Kyle odwrócił się do kumpla i podniósł oba kciuki. Z uśmiechu Toma biła niekłamana radość.

— Do boju! — zakrzyknął Kyle, zataczając peleryną czarnoksiężnika zamaszyste koło.

15.50

— Zaraz, zaraz — powiedziała Terri. — Coś tu nie gra. Warne podniósł głowę i popatrzył na nią nad stolikiem. Angus

Poole również odstawił piwo i spojrzał na nią zaintrygowany jakąś nutą w jej głosie.

Terri otworzyła plastikową torebkę, wyjęła ze środka jeden z większych okruchów połamanej płyty i obracała go w ręku.

— Ten dysk jest pusty — oznajmiła.

— Słucham? — powiedział Wame. — Niemożliwe. To są dane Tygła. Przekazywali je Johnowi Doe.

— Mówię ci, że jest czysty. — Podała mu okrucz. — Popatrz. Mamy tu w barze ultrafioletowe światło, gdyby na tej płycie coś wypalono, w poliwęglanie widać by było wgłębienia. A tu nic.

Nada.

Poole wziął do ręki torebkę.

— Niczego nie widzę.

Popatrzyła na niego z kpiącym rozbawieniem.

— Może pan wierzyć fachowcowi na słowo.

— Ale przecież to nie ma sensu — stwierdził Andrew. — Po co mielibyśmy mu dawać pusty dysk.

— Może nie daliśmy — odparła Terri.

Wame umilkł raptownie, zmagając się z tą nową niespodzianką próbując rozsypać przemyślny węzeł zamotany przez Johna Doe. Jak to powiedział Poole? „Zatrzymać się i zadać sobie kilka podstawowych pytań”.

337

I nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

— Terri — powiedział — tego robaka, którego znaleźliśmy, wprowadzono do twojego komputera miesiąc temu. Czy jest jakaś możliwość, żeby podesłano go na odległość, przez Internet?

— Nie. Każdy terminal w Utopii ma własne zabezpieczenie. Nie mogę nawet odbierać tam e-maili.

— Czy te zabezpieczenia są stuprocentowe?

— Żaden haker nie mógłby się przez nie przedostać.

— Ani z zewnątrz, ani z sieci wewnętrznej?

Terri pokręciła głową.

— Więc to oznacza tylko jedno: wirusa wprowadzono bezpośrednio do twojego komputera. Z twojej pracowni. — Przerwał. — Pomyśl dokładnie. Kto mógł tam ostatnio mieć dostęp?

— Nikt.

— Jacyś współpracownicy? Twój szef?

— Wiedziałabym o tym.

— Jesteś pewna?

— Jasne.

Wame oparł się z powrotem na krzesło. Już myślał, że wszystko układa się w spójną całość, a teraz te złudzenia się rozwiały.

Potem przyszła mu do głowy kolejna myśl.

— A ty? Instalowałaś coś ostatnio? Jakies nowe programy albo aktualizacje systemu operacyjnego?

— Nie. Mamy bardzo restrykcyjne zasady, jeśli chodzi o oprogramowanie. Niczego nie wolno nam instalować bez zatwierdzenia działu informatycznego. Ale i tak od czasu wyprowadzenia metasieci nic nie robiliśmy, a to było prawie rok temu.

Wame zapadł się na krzesło jeszcze bardziej. Wokół niego huczał Ocean Ukojenia. Dwaj hałaśliwi młodzieńcy, którzy zajmowali sąsiedni stół, wyszli, lecz na ich miejsce usiadła sześciuosobowa rodzina. Dzieci piły piwo korzenne z lodami i bawiły się gumowymi mieczami.

— Chwileczkę.

Na dźwięk głosu Terri Andrew wyprostował się raptownie.

— Jednak coś było. Właśnie miesiąc temu.

338

Warne patrzył na nią zachłannie.

— Ale to nie jest żadna dymiąca spluwa, jakiej oczekujesz. Wręcz przeciwnie.

— Co to znaczy?

— Pamiętasz, jak mówiliśmy, że biali kapelusznicy sprawdzali ostatnio cały system?

— Tak. Ludzie z SOW, ta sama grupa, która odwiedziła Carnegie-Mellon. Barksdale wspominał mi dzisiaj o tym na spotkaniu.

— Co to za biali kapelusznicy? — spytał Poole, sącząc piwo.

— Hakerzy do wynajęcia — wyjaśnił Wame. — Legalni włamywacze. Duże firmy zatrudniają ich, żeby włamywali się do systemów i wykrywali luki w zabezpieczeniach. — Odwrócił się z powrotem do Terri. — Mów dalej.

— Dostaliśmy dobre świadectwo. Powiedzieli, że nasza sieć jest przyzwoicie wzmocniona, ale rozprowadzili patch systemowy dla niektórych najbardziej chronionych terminali. Żeby naprawić jakiegoś robaka w Uniksie, który jak mówili, mógłby sprzyjać hakerom.

— Patch systemowy? Na ile komputerów go puścili?

— Nie za dużo. Kilkanaście, może dwadzieścia.

— I twój komputer był wśród nich.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Terri pokiwała głową. Przez chwilę Wame siedział bez mchu. Potem wstał, aż krzesło odjechało do tyłu po przezroczystej podłodze.

— Gdzie jest najbliższy telefon? — spytał.

— Telefony publiczne są w Nexusie. Musimy wyjść do hali głównej i...

— Nie — przerwał. — Jakikolwiek telefon i to natychmiast.

Terri patrzyła na niego w milczeniu. Potem podniosła się i dała im znak, żeby poszli za nią.

Wame rzucił na stolik kilka banknotów i mszyli na wpół biegiem w stronę korytarza prowadzącego do kasyna Kallisto. Terri podeszła do jednej ze ścian i otworzyła zamaskowane drzwi, wyłożone takim samym ciemnym tworzywem jak powierzchnia wokół nich i zupełnie niewidoczne, dopóki otwarte nie odsłoniły ukrytej za nimi klatki schodowej.

339

Zamknąwszy za nimi drzwi, poprowadziła ich w dół, a potem długim korytarzem do obszernego biura opatrzonego tabliczką „Dział wdrożeń”. Pod ścianą przy długim stole podzielonym przegrodami na małe boksy siedziały w rzędzie sekretarki i stukwały na klawiaturach. Kilka spojrzęło przelotnie na wchodzących, lecz zaraz wróciły do swoich monitorów.

Terri wskazała palcem telefon leżący na pustym biurku. Wame wziął do ręki słuchawkę, wcisnął przycisk linii zewnętrznej i wybrał numer.

— Informacja telefoniczna? Poproszę o numer Systemu Ochrony przed Włamaniami w Marlborough, New Hampshire.

Chwilę później wstukiwiał następny numer.

— SOW, słucham — odezwał się w słuchawce kobiecy głos.

— Z biurem Waltera Ellisona proszę.

W myślach zacisnął kciuki. Dochodziła czwarta. Jak pamiętał, Walter Ellison był pracoholikiem. Istniała duża szansa, że jest w gabinecie, jeżeli nie pojechał do klienta. Odbierz, do cholery, odbierz...

— Słucham, Ellison — usłyszał znajomy, wyraźny bostoński akcent. Walter sprawiał wrażenie, jakby zawsze mówił przez nos.

— Walt, tu Andrew Warne. W zeszłym roku testowałeś u nas system w Carnegie-Mellon, pamiętasz?

W telefonie zapadła cisza i przez moment Andrew bał się, że Ellison naprawdę go zapomniał. Wtedy jednak usłyszał w słuchawce leniwy śmiech.

— Wame, jasne. Z robotyki, prawda?

— Tak.

— Jak tam się ma ten twój lodziarz, jak on się nazywał...?

— Lodołamacz.

— Zgadza się, Lodołamacz. A niech cię... Niezła robota.

I znów wybuch śmiechu.

Wame pochylił się nad telefonem.

— Walt, posłuchaj mnie. Chcę cię prosić o przysługę. Chodzi o klienta SOW.

— To znaczy Carnegie-Mellon?

— Nie.

340

W głos Ellisona wkradła się nuta rezerwy.

— Hola, doktorze Warne, wiesz, że nie wolno mi rozmawiać o innych klientach.

— Jeśli mam rację, to nie będziesz musiał. Nie chcę cię wypytywać o to, co robiliście, tylko raczej o to, czego nie zrobiliście.

— Nie rozumiem — odpowiedział Walter po dłuższej chwili milczenia.

— Pamiętasz, dla kogo budowałem Lodołamacza?

— Jasne, dla parku... hm, hm, to znaczy, tak, pamiętam tę instytucję.

— Dobrze. I wiesz o tym, że pracują dla tej... instytucji.
— Tyle się domyśliłem.
— Więc nie powinieneś mieć problemów z odpowiedzią na moje ostatnie pytanie. Czy SOW przeprowadzał dla nich kontrolę bezpieczeństwa systemu?

Na linii panowała cisza.

— Walt, posłuchaj, to bardzo ważne, muszę to wiedzieć.

Nadal cisza.

— Stary, to może być sprawa życia i śmierci.

Ellison westchnął.

— No cóż, to chyba nie jest tajemnica. Nigdy dla nich nie pracowaliśmy, chociaż byłaby to niezła gratka. Myślisz, że mógłbyś nam to załatwić? Szepnąć słówko w odpowiednie ucho?

— Dzięki — powiedział Wame i rozłączył się.

Odwrócił się do Terri i Poole'a.

— SOW nigdy nie dostał zlecenia od Utopii — oznajmił.

Na twarzy Terri odmalowało się niedowierzanie.

— To niemożliwe. Sama ich widziałam. Siedzieli tu prawie cały dzień.

— To, co widziałas, to była przednia straż Johna Doe.

Terri nie odpowiedziała.

— A ten patch systemowy, który wam dali, to nic innego jak program hakerski. Kiedy go zainstalowaliście, wprowadziliście trojana do własnego systemu.

— Chcesz powiedzieć... — zawahała się. — Chcesz powiedzieć, że cała kontrola była jedną wielką lipą?

341

— Bardzo sprytną i brawurową Aby zainfekować niektóre programy Utopii i przygotować grunt pod dzisiejsze wydarzenia.

— Ale to niemożliwe. SOW jest prawdziwą firmą sam to powiedziałeś. To nie może być mistyfikacja.

Terri mówiła bardzo szybko. Zaczyna rozumieć, pomyślał Wame. I nie podoba jej się, dokąd to prowadzi.

— Owszem, SOW jest prawdziwą firmą John Doe świetnie o tym wiedział. Nie udało mu się nabrać Utopii na taki numer szyty grubymi nićmi. Ale ludzie, którzy tu przyjechali, którzy prowadzili kontrolę zabezpieczeń, byli podstawionymi oszustami, a nie pracownikami SOW. Zamiast likwidować nieszczelności w systemie, stworzyli je.

— Sira ulo — mruknęła Terri. — Nie.

— Nikt z SOW tu nie przyjeżdżał. — Wame wskazał ręką telefon. — Dostałem właśnie tę informację z pierwszej ręki.

— Ale przecież musielibyśmy o tym wiedzieć — protestowała dalej. — Fred osobiście wszystko załatwiał. Wyczułby kreta, zorientowałby się, gdyby...

Nagle umilkła. Wame ujął jej dłoń.

— Terri — powiedział. — Fred Barksdale jest kretem.

— Nie — powtórzyła.

— Tak. To on jest wtyczką Johna Doe w Utopii. Dał mu wszystko, czego tamten potrzebował, żeby sabotować wasz system. Nikt inny nie miał pełnego dostępu i praw autoryzacji. Nikt inny nie mógłby tego urządzić.

Z nagłą przesywającą jasnością Wame ujrzał, jak wszystkie warstwy spisku odsłaniają się jedna po drugiej. Nie było cienia wątpliwości: na pierwszym etapie John Doe nasłał swoich ludzi, aby próbowali się włamać do sieci Utopii z zewnątrz, ale kazał im za bardzo się nie starać, tylko tyle, żeby dać Barksdale'owi pretekst do sprowadzenia speców z SOW. Zamiast białych ka-peluszników do parku przyjechali ludzie nasłani przez Johna Doe. Nieświadomie Utopia nie tylko wpuściła hakerów do swojego systemu, ale ich wręcz zaprosiła. Te dziwne, sporadyczne błędy, o których wspominała Sarah, wypadek na Notting Hill, musiały być efektem ubocznym procesu instalacyjnego albo może próbami w warunkach polowych, z zimną krwią prowadzonymi

przez Johna Doe. Mimo to nawet teraz, w obliczu oczywistych dowodów, Andrew nie śmiał stawić czoła wszystkim konsekwencjom tak całkowitej, tak druzgocącej zdrady. Nie, nie, tylko nie Barksdale, on za dużo wie o...

Kiedy dokończył myśl, poczuł, że serce zaczyna mu walić w piersi jak oszalałe. Terri patrzyła nań z dziwnym wyrazem twarzy, potem spuściła oczy, pokręciła głową lecz nie wypowiedziała ani słowa.

— Wiem, to okropne. Ja też tego nie potrafię zrozumieć. — Ścisnął jeszcze mocniej jej dłoń. — Ale teraz nie mamy czasu się nad tym zastanawiać.

— Musi pan znaleźć Barksdale'a. Oddajcie go w ręce ochrony, zanim spowoduje jeszcze więcej nieszczęść. — Włożył rękę do kieszeni. — Niech pan weźmie moją przepustkę, ja mam znaczek Sarah, nie będę jej potrzebował.

Poole ani drgnął.

— Mam znaleźć Barksdale'a i co? Przecież może się nie przyznać. Uważa pan, że uwierzą mnie, a nie jemu?

— Jest pan bohaterem wojennym, coś pan wymyśli. Proszę im powtórzyć wszystko, co pan ode mnie usłyszał.

Mrucząc pod nosem, Poole wziął kartę i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Kiedy z powrotem wyjął dłoń, trzymał w niej pistolet automatyczny. Wzruszył zaskoczony, ale zaraz sobie przypomniał, jak haker w węzle upuścił broń podczas szamotaniny z Poole'em. Dziwne, że aż do tej pory o niej zapomniał.

— A co z wami? — spytał Angus, sprawdzając pistolet i chowając go z powrotem do marynarki. Nie chcę stracić dożywotniej karty wstępu do Utopii.

— Nic mi nie będzie. Spotkamy się w budynku ochrony. Tylko niech pan złapie Barksdale'a.

— Uważajcie na siebie.

To rzekłszy, Poole schylił się i wyszedł na korytarz. Andrew odwrócił się do Terri, której wargi pobielwały i nie mogła wykrztusić ani słowa.

— Terri, rozumiesz, co to znaczy? Jeśli ta płyta jest pusta, to znaczy, że musieli ją tam podrzucić, a sami mają nienaruszony

dysk z danymi Tygla. Jeśli tak, to jest tylko jeden powód, dla którego John Doe kazał Sarah dostarczyć następny i to osobiście. Bo chce ją dostać. Nie wiem po co, ale wiem, że jest w niebezpieczeństwie.

Nie skończył wypowiadać tych słów, kiedy przez głowę przemknęła mu inna, jeszcze bardziej przerażająca scena: Barksdale w sali konferencyjnej sugeruje, aby Terri zabrała Georgię na coś do picia.

On wie o mojej córce. Czy wie również John Doe?

Terri przyglądała mu się uważnie. Nagle oczy jej się rozszerzyły, zupełnie jakby i jej myśli podążyły w tym samym kierunku.

Wzruszył się w kółko, zaciskając i otwierając pięści, dręczony niezdecydowaniem. Sarah Boatwright znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nieświadomie zmierzała prosto w pułapkę Johna Doe. Z drugiej strony Georgii również może coś grozić. Prawdopodobieństwo nie jest wielkie, ale skoro szukali jego... i skoro już kogoś zabili, myśląc, że to on... i jeśli John Doe się dowie...

Ma tylko córkę...

Nie zdoła dotrzeć do obu, musi wybrać: jedna bez cienia wątpliwości zmierza w paszczę lwa, druga również może, choć nie musi, być w niebezpieczeństwie. Jedną kocha nad życie, drugą również darzył kiedyś uczuciem. Przycisnął dłonie do twarzy. Okropny, niewyobrażalny dylemat.

Poczuł na ramieniu dłoń.

— Ja pójdę — usłyszał.

Odwrócił się do Terri.

— Pójdę przypilnować Georgii.

Ręce opadły mu wzdłuż boków.

— Naprawdę?

Skinęła głową.

Spłynęła na niego taka fala ulgi, że nagle poczuł się fizycznie bardzo słaby.

— Wiesz, gdzie ona jest, prawda? W ośrodku medycznym, śpi na łóżku za parawanami. — Myślał szybko. — Zabierz ją gdzieś, gdzie obie będziecie mogły się ukryć, najlepiej do kwatery 344

ochrony, tak czy inaczej, w jakieś bezpieczne miejsce. Na wszelki wypadek. Zrobisz to?

Terri znówu pokiwała głową. — Dziękuję, Terri. Dziękuję, dziękuję. Objął ją i przytulił mocno, a potem puścił. Terri nie odrywała oczu od jego twarzy, kiedy zmierzał do drzwi.

15.55

Główna kostiumernia wraz z szatniami tworzyła rozległy labirynt pokoi na poziomie B. Chociaż na korytarzach nieustannie roilo się od pracowników Utopii, gdy zbliżała się czwarta, robił się tam prawdziwy tłok. Książęta krwi, błędni rycerze z Kamelotu schodzący ze zmiany tręcili się łokciami z handlarzami ulicznymi w słomkowych kapeluszach i garniturach z gniecionej bawełny w paski, spieszącymi do Promenady i na popołudniowe imprezy. Dworki w kwefach i powiewnych sukniach gawędziły z astro-nautami w skafandrach ciśnieniowych. Wędrując po korytarzach, garderobiani, modystki, styliści, krawcy i nauczyciele języków poprawiali coś w strojach i udzielali wskazówek. Wszyscy razem tworzyli osobliwą hałaśliwą i drażniącą menażerię.

Ogromna męska łazienka mieściła się między magazynem kostiumów a charakteryzatornią. W środku przed rzędem umywalk stał jeden mężczyzna. Myjąc niespiesznie ręce, starannie usuwał spod paznokci resztki jakiejś kleistej substancji. Skończył i odwijając kawałek papierowego ręcznika, spojrzął w lustro. Z gładkiej powierzchni popatrzyły na niego spokojne oczy w kształcie migdałów.

Otworzyły się drzwi i do łazienki weszła rozgadana i roześmiana grupa żonglerów w kolorowych strojach błaznów. Mężczyzna wyrzucił ręcznik i wyszedł z łazienki. Minał garderoby, rekwizytornię, gdzie we fluorescencyjnym świetle błyszczały rzędy mieczy, kopii, kolczug, tarcz, chorągwi i napierśników,

346

zanim doszedł do męskiej szatni. Znalazł swoją szafkę, przekręcił tarczę zamka szyfrowego i otworzył szare metalowe drzwi. Odłożył już laskę z rzadkiego gatunku rattanu, świeżo doczyszczoną i wypolerowaną na wieszak z pięćdziesięcioma innymi identycznymi egzemplarzami w rekwizytorni Gazolitu. Wyrzucił też płaszcz w kratę do jednego z metalowych pojemników systemu transportu i prania ubrań na sprężone powietrze, stojących rzędem pod ścianą szatni. Zajrzał teraz do swojej szafki i obejrzał błyszczący, prawie opalizujący skafander pilota wahadłowca w Kallisto, wiszący obok granatowego kombinezону roboczego.

Rozległ się krótki, stłumiony świergot. Mężczyzna rozejrzał się dookoła, aby się upewnić, że nikt go nie słyszy. Oparł się niedbale o sąsiednie szafki i zasłoniwszy się otwartymi drzwiczkami, włączył radio i wprowadził kod deszyfracji scramblera.

— Tu Twardziel — powiedział do mikrofonu.

— Twardziel, tu Czynniki Pierwszy — odezwał się głos Johna Doe. — Jacyś wścibscy obserwatorzy?

— Nie. Czysto.

— Jak robota w Gazolocie?

— Wszystko gotowe.

— Słuchaj uważnie, nastąpiła mała zmiana planów. Kiedy skończysz główne zadanie w Kallisto, po drodze na poziom C załatwisz jeszcze jedną sprawę. Pamiętasz naszego nieuchwytnego znajomego, doktora Warne'a?

— Tak.

— Okazuje się, że przywiózł ze sobą bagaż. Jego córka leży w centrum medycznym. Dochodzi do siebie po nieprzyjemnych przeżyciach w Mrocznej Głębinie. Ma na imię Georgia.

— Zrozumiałem.

— Sprowadź ją do punktu przegrupowania. Może nam się przydać.

— Dobrze.

— Haker Jack nadal się nie odzywa. Mam zapasowy nadajnik, więc nie ma zmartwienia. Ale niepokoi mnie, że ten Wame nam się ciągle wymyka. Może znajdziesz go z córką. To by nam ułatwiło sprawę. Tak czy inaczej, spodziewaj się towarzystwa.

347

Mężczyzna nazwany Twardzielem zajął do szafki. Na dole leżała błyszcząca, srebrna torba na ramię.

— Nie ma sprawy.

— Wiedziałem, że nie będzie. Ale pamiętaj, że czas ma zasadnicze znaczenie. Idę na umówione spotkanie, ty również masz kilka swoich. Jesteś gotów, żeby zapalić świeczkę?

— Właśnie się przebieram.

— W takim razie: ognia! — Urwał. — Zawsze chciałem to powiedzieć.

Śmiech Johna Doe ucichł, kiedy mężczyzna o migdałowych oczach wsunął radio do kieszeni. Potem rozejrzał się jeszcze raz, zdjął z wieszaka skafander pilota i zaczął go wkładać.

16.00

Kolejka okazała się na szczęście zaskakująco krótka i jeszcze ostatnia supernowa nie zdążyła się Kyle'owi rozgrzać w brzuchu, gdy zobaczył opuszczaną linkę na barierce przy wejściu na schody ruchome. Właściwie nie była to linka, tylko hologram tych grubych, aksamitnych sznurów, które widuje się w starych teatrach. Rozjarzyła się na krótko, po czym jakby rozwiała w powietrzu. Jednocześnie do schodów podeszła hostessa z wahadłowca i z uśmiechem wskazała osobom czekającym na początku kolejki, aby weszły na schody. Kyle poczuł, jak przyjaciel popycha go niecierpliwie do przodu.

— Spokojnie, stary — powiedział ze śmiechem.

Nawet schody były odjazdowe. W poręczach świecił się stłumiony błękitny neon, ruchome stopnie zrobione były z jakiegoś półprzezroczystego materiału. Poruszały się powoli, lecz z niezwykłą płynnością. Roztaczał się z nich coraz rozleglejszy wraz z rosnącą wysokością widok na Port Podniebny, który zostawał w dole. Kyle obrócił się w kółko i napawał tymi wszystkimi wspaniałościami. Widział je już dzisiaj siódmy raz, ale trudno się było nimi znudzić: sznur czekających gości, wijący się na podświetlonej podłodze; lasery i egzotyczne efekty świetlne wydobywające z otoczenia niezwykłość potężnej architektury; a całość wieńczyła ogromna, usiana gwiazdami kopuła. Jediną atrakcją do której nie czekała kolejka zwiedzających, była Ucieczka z Mrocznej Głębiny, z tajemniczych powodów zamk-

349

nięta w celach konserwacyjnych akurat w godzinach największego szczytu.

Siedem zjazdów Stacją Omega. Cholera.

Na szczycie schodów następny pracownik powiódł gości do holu z tablicą informacyjną „Przejazd na wahadłowiec”. Tom ruszył razem z resztą grupy, wyciągając szyję, aby popatrzeć nad głowami ludzi idących przed nimi. To tam: drzwi szeroko otwarte na drugim końcu korytarza, blade, słabo migoczące ściany. Tak zwany transport wahadłowy. Bilet w jedną stronę na sam dół. W środku paliło się jasnoszkarłatne światło, które przywiodło mu na myśl otwarte usta. Przeszedł go miły dreszczyk.

Trzecia pracownica czekała na końcu korytarza.

— Podróż na wahadłowiec potrwa pięć minut — oznajmiła, prowadząc gości do otwartych drzwi.

— Proszę przygotować karty pokładowe. Statek opuści dok kosmiczny za dwadzieścia minut, więc po opuszczeniu transportu prosimy jak najszybciej udać się w kierunku wahadłowca.

Pozwalając, aby wprowadzono go do przestronnego pomieszczenia, Kyle uśmiechnął się do siebie. Uwielbiał czuć się jednym z wtajemniczonych, słuchając tych wszystkich, starannie zaaranżowanych iluzji. Przypominało to obserwowanie sztuczek magika. Rozejrzał się po współpasażerach. Kilku z nich również uśmiechało się znacząco.

Dla weteranów podróży Stacją Omega sam spadek był tylko połową przyjemności. Drugą połowę czerpali z obserwowania min innych pasażerów. Pomimo złej sławy, jaką zyskała sobie Stacja Omega w czasopiśmie i na stronach internetowych, zawsze znalazło się kilka osób, które weszły

tu nieświadomie. Wierzyły, że naprawdę czeka je przejażdżka wahadłowcem i że ta duża winda ma je tylko przetransportować do miejsca prawdziwej atrakcji. Wprawne oko Kyle'a wędrowało po sześćdzie-sięciorgu kilkorgu gościach stłoczonych wokół niego i szukało naiwnych. Może ta wycieczka Japończyków rozmawiających z ożywieniem na boku; para zakochanych nastolatków bez reszty pochłonięta sobą; i na pewno to małżeństwo w średnim wieku, w takich samych koszulach i kapeluszach, zastanawiające się na głos, ile może potrwać lot wahadłowcem. Pokiwał głową bardzo

350

z siebie zadowolony. To tę dwójkę będzie obserwował, kiedy rozpęta się piekło.

W korytarzu na zewnątrz zobaczył trzecią pracownicę rozmawiającą półgłosem z parą siwowłosych ludzi. Nie byli aż tak bardzo starzy, mogli mieć koło sześćdziesiątki, może trochę więcej, ale kobieta z obsługi nie chciała ich wpuścić do środka. Utopia nie pozwalała sobie na najmniejsze ryzyko. Kyle wiedział ze stron internetowych, że tutejsi pracownicy nie byli zwykłymi bileterami, których zadanie sprowadzało się do pokazywania drogi na pokład statku, lecz przeszkolonymi medycznie fachowcami wyłuskującymi bezbłędnie każdego, kto choćby w najmniejszym stopniu nie nadawał się do spadania swobodnego. Patrzył, jak para staruszków odchodzi z urazą i plikiem kuponów do kasyna. Mogliby być jego rodzicami. Gdzieś w głębi duszy cieszył się, że nie wpuszczono ich na Stację Omega.

Zerknął na Toma, szturchnął go w zębra i mchem głowy wskazał parę turystów w takich samych koszulkach. Tom spojrział na niego i mrugnął porozumiewawczo. „Dobra — mówił jego wzrok. — Mamy ofiary”.

Kyle wyszczerzył zęby. Poza niecierpliwym oczekiwaniem czuł również radość i ulgę, że jego przyjaciel wyraźnie wraca do siebie. Może to tylko jednodniowy przebłysk, a może powoli zaczyna dostrzegać światełko w tunelu.

Wielka kabina transportowa wypełniła się prawie po brzegi i ludzie przestępowali z nogi na nogę, przemieszczając się odrobinę we wszystkie strony, tworząc małe oazy przestrzeni, tak jak to zwykli nieświadomie czynić w wagonach metra i windach. Za kilka chwil to i tak nie będzie miało znaczenia, wszyscy zaczną wrzeszczeć, łapać się najbliższego sąsiada i kiedy mną w dół w kompletnych ciemnościach, w mgnieniu oka zapomną o osobistej przestrzeni.

Po raz kolejny Kyle zastanawiał się, choć nie nazbyt intensywnie, jak to jest zrobione. Jakim cudem udaje im się w czasie spadania utrzymać wszystkich na nogach i w równowadze? W innych parkach na urządzeniach wykorzystujących spadanie swobodne ludzie przypinają się pasami, jakby mieli na sobie kaftany bezpieczeństwa. Tylko że tutaj, gdzie zasadniczą rolę

351

odgrywa element zaskoczenia, pasy popsująby całą niespodziankę. Jeden chłopak na wydziale technicznym na jego uniwerku miał na ten temat teorię — coś związanego ze skompresowanym powietrzem. Kyle postanowił się tym razem skupić i uważać podczas spadania, ale było to trudne, bo ogromna winda leciała tak niespodziewanie, tak błyskawicznie i gwałtownie, że prawie zanim zdołało się wciągnąć powietrze, było po wszystkim. A potem...

Tok myśli przerwał mu szmer zamykanych drzwi, które odcięły zatłoczone pomieszczenie od korytarza. Doszedł go donośny szcęk, a następnie z głośników popłynął głos: „Rozpoczęliśmy transport na wahadłowiec. Po opuszczeniu śluzy powietrznej mogą państwo poczuć niezbyt silne drgania”.

Jasne, pomyślał Kyle, „niezbyt silne drgania”, akurat.

Ten moment lubił najbardziej — ostatnie kilka sekund, zanim ziemia usuwała się spod nóg. Każdy nerw miał napięty w niecierpliwym oczekiwaniu. Uchwycił spojrzenie Toma, podniósł kciuk. Potem spojrział na twarze otaczających ludzi. Na jednych odmalowywały się wtajemniczone uśmiechy, na innych wyraz znużenia i błogiej nieświadomości. W końcu zatrzymał wzrok na obliczach małżeństwa w identycznych kapeluszach.

Gdzieś na zewnątrz rozległ się cichy warkot, jakby odpalono silniki. Dźwięk przybierał na sile, silniki nabierały mocy. Pasażerowi poczuli, że kabina poruszyła się łagodnie.

Nagle windą zatrzęsło.

— Psiakrew! — zaklął ktoś mimowolnie.

Równie nagle pomieszczenie znieruchomiało, lecz po chwili wstrząsnęło nim następne szarpnięcie, tym razem silniejsze. Zamrugały światła. Kyle obserwował, jak para w kapeluszach wymieniła łagodnie zdziwione spojrzenia. Niedługo miejsce zdziwienia zajmie niekontrolowany strach. Zawodzenie silników stawało się coraz głośniejsze, lecz jakby urywane, aż w końcu umilkło raptownie. W naglej ciszy spoza statku dochodziło skrzypienie i szczękanie metalu. Następnemu, głośniejszemu szcęknięciu towarzyszyło kolejne szarpnięcie. Wtedy zgasły światła.

Po krótkiej chwili nieprzeniknionych ciemności przy podłodze

352

zamrugały nikle krwistoczerwone światła awaryjne. Kyle'owi bardzo się podobał ten pomysł, aby światła świeciły z dołu, a nie z góry, bo to nadawało twarzom pasażerów groteskowej plastyczności. „Uwaga! — rozległ się głos w interkomie. — Nastąpiła awaria głównego napędu. Prosimy się nie denerwować, niebawem ruszymy w dalszą podróż”.

Prosimy się jak najbardziej denerwować, pomyślał Kyle, znów spoglądając ukradkowo w kierunku pary w kapeluszach. Oczy mieli wytrzeszczone, twarze wystraszone i zastygłe.

Gdzieś za ścianami znów powietrze rozdarł głośny trzask, a po nim syk strzelających iskier. Jakby na ten znak do środka zaczął się przedostawać dym.

Kyle zeszywniał. To był ten moment: upadek.

Czekał, z niecierpliwością i lękiem jednocześnie na tę chwilę nie do opisania, kiedy nagle człowiek uprzytamniał sobie, że pod nogami nie ma już oparcia i leci w dół, w całkowitą próżnię. Wziął głęboki oddech, potem jeszcze jeden.

A potem wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Czerwone światła ostrzegawcze zamrugały i zgasły. Kyle czekał, nasłuchując głuchych pomruków i syczących dźwięków na zewnątrz. Ludzie w ciemności zaczęli się niespokojnie poruszać, ktoś go delikatnie potrącił. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek przedtem w kabinie gasły światła awaryjne, w każdym razie niezupełnie. Czy to możliwe, żeby w podnieceniu nigdy przedtem tego nie zauważył?

Czuł dookoła napięcie współpasażerów. Jedni czekali zemo-cjonowani na zjazd, inni zamarli zaintrygowani. Wydawało mu się, że nigdy tak długo się nie czekało. Może po prostu za bardzo już się oswoił ze Stacją Omega.

Ale co innego też zaczęło go dziwić. Wszędzie w Utopii panował chłód, czasami nawet wręcz zimno, zarówno na kolejkach, jak i na deptakach i w halach. Przyjmowało się to jako coś naturalnego, nawet się nad tym nie zastanawiało. Tymczasem tu było ciepło, a nawet robiło się gorąco.

Wokół niego odezwały się głosy, ciche, zaniepokojone.

— Co się dzieje? — ktoś spytał.

353

— Dokąd jedziemy? — odezwał się ktoś inny płaczliwie.

— Kiedy dotrzemy na ten wahadłowiec? — dopytywał się trzeci.

Kyle pociągnął za koszulkę i odkleił ją od piersi. Peleryna na ramionach wydała mu się nagle strasznie ciężka, jakby zaczęła go dusić. Rany, ależ duchota.

Znowu ktoś go szturchnął, tym razem silniej. Wyciągnął rękę, aby nie stracić równowagi, i poczuł, że jego dłoń ześlizguje się po czyjeś twarzy, spoconej i szorstkiej od zarostu. Cofnął się. Pewnie jakaś cholerna awaria, pomyślał jednocześnie rozdrażniony i zaniepokojony. Człowiek wydaje tyle forsy na bilety, że takie rzeczy mogłyby się nie zdarzać.

W ciemności rozległ się czyjś cichy płacz. Zaczęło się odzywać coraz więcej głosów i teraz wyraźnie było w nich słyhać napięcie. Kyle wyteżał oczy, ale nieprzeniknionego mroku nie rozpraszało żadne światło. Tylko raz w życiu znalazł się przedtem w takich kompletnych ciemnościach — podczas eksploracji jaskiń z kumplami ze studiów. Kiedy dotarli na samo dno pieczary, ich przewodnik w ramach żartu namówił wszystkich grotolazów, żeby zgasili lampki na kaskach. Ale to trwało tylko chwilę, a oni wszyscy mieli latarki. I mogli stamtąd wyjść.

Czemu tak się uparliśmy na ten siódmy raz? — spytał sam siebie, podczas gdy bezcielesne kształty wokół niego robiły się coraz bardziej niespokojne, głosy odzywały się coraz bardziej wzburzone.

Dlaczego nie mogliśmy zostać przy szczęściu? Teraz wszystko popsujemy.

Taki nieprzenikniony mrok napawa grozą. Człowiek czuje się bezbronny, bezradny, zdezorientowany. A jeszcze w tym przerośniętym pudle, mokry od potu, wisi nad przepaścią i... Zebrał siły i opanował się. Może to celowe. Pewnie śledzą strony internetowe, czy jakieś atrakcje się nie nudzą czy goście się za bardzo nie przyzwyczajają. Może zmienili scenariusz, żeby nie grzęznąć w rutynie. To by nawet było w ich stylu.

A nawet jeśli to jakaś awaria, to i tak nie ma się czym martwić. Przecież w całym parku na pewno aż się roi od mechaników i inżynierów. Za kilka sekund polecą dalej w dół, tak jak zawsze. A on będzie miał jeszcze więcej do opowiadania w akademiku...

354

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, wielką windą znowu szarpnęło. Pasażerowie najpierw zamarli, a po chwili wybuchnęli podnieconym gwarem, kiedy sześćdziesiąt parę osób próbowało w ciemności zachować równowagę. No to jedziemy, pomyślał Kyle. Poczul wszechogarniającą falę ulgi.

Ale nie pojechali. I w końcu, czekając w napierającej, duszącej ciemności, Kyle zrozumiał, że coś musi być bardzo nie w porządku. Zrobiło się za gorąco, zbyt duszno, by można było zrzucić winę na tłok. Dym, który nadal przedostawał się do środka, nie przypominał już fałszywych oparów z poprzednich jazd. Tamten był chłodny, wilgotny, pozbawiony zapachu, wręcz odświeżający, ten gorący, tak gorący, że prawie parzył.

— Nie mogę oddychać! — zawołał ktoś.

Gdzieś na prawo coś się zaczęło szamotać. Kyle próbował nabrać powietrza, ale płuca miał jakby spieczone. Zakręcił się w kółko zdezorientowany i zrozpaczony.

— Wypuście nas stąd! — zawołał następny głos.

— Jesteśmy uwięzieni! Na pomoc! Na pomoc!

I nagle jakby puściła tama, zelektryzowany tłum odwrócił się do drzwi, które zamknęły się za nimi kilka minut temu, i zaczął krzyczeć, błagać i walić szaleńczo w bezlitosny, szczelny metal.

Niewidzialny, rozhisteryzowany tłum rzucał Kyle'em na boki, odpychał. Coś go uderzyło z całej siły, aż zakręcił się w kółko i stracił równowagę.

Złapał kogoś za rękę, żeby utrzymać się na nogach. Nawet w tej gorączkowej chwili wewnętrzny głos podpowiadał mu cicho, że jeśli się przewróci, zostanie bezlitośnie stratowany. W piekącym powietrzu pomieszczenie wypełniały wrzaski, przekleństwa, urywane okrzyki. Kyle usłyszał męski głos płynący z głośników, szybki i niecierpliwy, ale dochodził jakby z daleka i niknął w otaczającej wrzawie. Coś wrzeszczącego wpadło nań z ogłuszającym impetem. Poczul, że czyjeś dłonie ciągną go za włosy, paznokcie wbijają mu się w skórę twarzy. Zachwiał się i upadł do tyłu na jakieś śliskie ciało. Pomimo ogromnego wysiłku poczul, że osuwa się między buty, półbuty i sandały. Podłoga przypominała rozgrzaną blachę do pieczenia, Kyle próbował odwrócić się i dźwignąć na kolana, ale z każdej strony czuł

355

napierające ciała, nie miał dość siły, aby walczyć z tym przygniatającym ciężarem. Słyszał przerażające odgłosy ciał uderzających o ściany, o siebie nawzajem, kiedy ludzie za wszelką cenę usiłowali dopchać się do zamkniętych drzwi. Coś ciężkiego uderzyło go w twarz — raz, potem dmgi i nagle cała panika, zamęt i nawet parzące gorąco zaczęły zamierać. Zastanawiał się mgliście, co się stało z Tomem. Potem ludzie zwalili się na niego jeden po drugim, przygnietli go i kiedy pomału zaczął tracić przytomność, a jego ciało mimowolnie się rozluźniło, poczul, że opada niczym zwiedły liść, spływający łagodnie, aby spocząć na ziemi.

16.00

Angus Poole siedział na biurku w dużym, otwartym biurze działu informatycznego i z ramionami skrzyżowanymi na piersi pogwizdywał żwawą, acz niemelodyjną aranżację Knock Me a Kiss.

Otaczało go co najmniej trzydzieści innych biurek, każde wyposażone w klawiaturę i płaski monitor, ustawione idealnie pod takim samym kątem. Chociaż sala była duża, panowała w niej niezwykła cisza, tak że swobodne pogwizdywanie Poole'a wznosiło się ponad dyskretny szmer rozmów, stukanie klawiszy, dzwonki telefonów.

Na drugim końcu sali, nad zielonymi drzwiami bez szyb widniał napis ostrzegawczy, widoczny

nawet z miejsca, gdzie siedział Poole: „Wstęp tylko dla osób upoważnionych. Kontrola siatkówki i odcisku dłoni”. Drzwi te skrywały komputerowy mózg Utopii, metropolię krzemu i miedzi nadzorującą działanie kolejek górskich, robotów, efekty pirotechniczne, hologramy, pokazy na żywo, kamery, kasyna, przesył energii elektrycznej, przetwarzanie odpadów, czujniki przeciwpożarowe, kolejkę jednorodową ogrzewanie i chłodzenie wody i niezliczone inne systemy niezbędne do działania parku. Wydawało się dziwne, że tak niezwykle miejsce może się kryć za fasadą nijakiej i bezbarwnej sali biurowej.

Niedaleko ktoś podniósł się od biurka i mszył w jego stronę. Angus zerknął: kobieta dochodząca trzydziestki, drobnej budowy, metr sześćdziesiąt pięć, może siedem, pięćdziesiąt kilo wagi,

357
oczy zielone, zabarwione szklami kontaktowymi. Nie przestawał gwizdać.

Podeszła z wahaniem, spoglądając na identyfikator przypięty do piersi Poole'a. Najwyraźniej nie przywykła do widoku konsultanta z zewnątrz w uświęconych progach działu systemów.

— Czy mogę panu w czymś pomóc? — spytała.

Poole pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Nie, dziękuję — odparł. — Już mi ktoś pomaga.

I znów podjął przerwane gwizdanie.

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę, po czym skinęła głową, odwróciła się i tylko raz zerknąwszy za siebie, wróciła do swego biurka.

Poole obserwował ją, jak odchodzi. Potem spojrzął na zegarek. Punkt czwarta. Powoli gwizdanie przeszło w mruczenie. Myślał bardzo intensywnie. Była to odrażająco nieelegancka operacja i w dodatku nieznośnie się przeciągała, ale zważywszy na okoliczności, nie miał innego wyjścia.

Plan Warne'a — nie żeby w opinii Poole'a w ogóle zasługiwał na miano planu — zawierał irytująco dużo poważnych luk. Po pierwsze, oskarżenie wysunięte przeciwko temu Fredowi Barks-dale'owi opierało się głównie na poszlakach i było tmdne do udowodnienia. Co gorsza, jednak Poole nie miał zielonego pojęcia, gdzie może znaleźć tego człowieka ani nawet jak on wygląda. Na szczęście Utopia miała wewnętrzną centralę i gdy Poole zadzwonił z pustego gabinetu na końcu przyległego korytarza, odebrano za pierwszym razem.

Kiedy tak czekał, jego wzrok padł na małą dyplomatkę wsuniętą pod puste biurko jakieś dziesięć metrów od niego. Rozejrzawszy się, podszedł swobodnym krokiem do biurka i szybko złapał teczkę. Posłuży za stosowny rekwizyt.

Kątem oka zobaczył jakiś ruch. Ktoś szedł w jego kierunku energicznym, zdecydowanym krokiem. Odwrócił się i zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę o błękitnych oczach, z mierzwą jasnych włosów na głowie. Idąc od strony zielonych drzwi, lawirował między stolikami. W nienagannym, szytym na miarę garniturze, z krawatem zawiązanym wręcz wzorcowo, niezna-

358

jomy wyglądał Angusowi na człowieka sukcesu, któremu przydarzył się niespodziewanie stresujący dzień.

Wyciągnął rękę.

— Pan Barksdale, prawda?

Blondyn odruchowo ujął wyciągniętą dłoń. Jego uścisk był suchy i bardzo przełomy.

— Tak. — Poole rozpoznał ten sam brytyjski akcent, który słyszał przed chwilą przez telefon.

— Proszę wybaczyć, ale jestem bardzo zajęty. O co chodzi z tym...?

Nagle urwał, bo jego wzrok padł na przepustkę przypiętą do marynarki Angusa. Zmarszczył czoło.

— Chwileczkę. Przez telefon...

— Przepraszam — przerwał mu Poole — ale czy moglibyśmy porozmawiać na zewnątrz?

To mówiąc, zręcznie wsunął jedną rękę pod łokieć Barksdale'a i zaczął prowadzić go do drzwi, nie na tyle mocno, aby musiał iść wbrew własnej woli, lecz wystarczająco, by opór wyglądał niezręcznie. Musiał go koniecznie wyciągnąć poza jego własny teren na neutralne terytorium.

Cały czas ściskając w drugim ręku skradzioną dyplomatkę, wyprowadził Barksdale'a z sali na szeroki korytarz poziomu B. Fred pozwolił się prowadzić, wyraźnie zirytowany, lecz milczący. Jest w Utopii grubą rybą pomyślał Angus. W normalnych okolicznościach narobiłby szumu, gdyby ktoś

go tak potraktował. Jeśli jednak Wame miał rację i szef działu systemów był kretem, nie mógł ryzykować żadnych zakłóceń na tym etapie gry. Nie był profesjonalistą w tej robocie, więc powinien się zaniepokoić, przestraszyć niespodziewanych komplikacji. Nie miałby innego wyjścia, jak tylko posłusznie dać się prowadzić. I dawał się prowadzić. Zawodowy sceptycyzm Poole'a zaczął słabnąć.

Robiąc kilka minut temu mały zwiad, Angus zauważył niewielki salonik do odpoczynku jakieś trzydzieści metrów dalej w głąb korytarza. Tam właśnie skierował się teraz z Barksdale'em. Weszli do pustego pokoju i Poole z uśmiechem wskazał rząd kanap stojących pod niebieską ścianą. Barksdale wyrwał się z uścisku.

359

— Proszę posłuchać. Nie rozumiem, o co chodzi. Powiedział pan przez telefon, że jest inżynierem z Kamelotu.

Poole kiwnął głową.

— Mówił pan o jakichś kłopotach z regulatorem na którejś kolejce, że ktoś manipulował w systemie. Podejrzewa pan nawet sabotaż i nie chce rozmawiać z nikim innym, tylko ze mną. Angus ponownie skinął głową. Na tym właśnie polegała jego przynęta: zwabić Barksdale'a jedyną czerwoną chorągiewką jakiej nie ośmieliłby się zignorować.

Fred wskazał przepustkę.

— Ale pan jest specjalistą z zewnątrz, a nie pracownikiem Utopii, więc o co właściwie panu chodzi?

Poole znowu lekko przytaknął mchem głowy.

— Ma pan rację, oczywiście, nie jestem pracownikiem Utopii. Przepraszam za ten telefon, ale tak trudno do pana dotrzeć. Normalnymi kanałami w ogóle nie mogłem się przebić.

Błękitne oczy Barksdale'a zwięzły się podejrzliwie. Poole wyczytał w nich mieszanię uczuć: rozdrażnienie, niepewność, niepokój.

— Kim pan jest? — spytał szef działu systemów.

Angus uśmiechnął się skromnie.

— Jestem przedstawicielem pewnego handlowca. Szef powiedział, że muszę się z panem za wszelką cenę spotkać.

— Więc jest pan jakimś cholernym sprzedawcą?

Poole znowu się uśmiechnął i kiwnął głową. Mieszanina emocji pierzchła z oblicza Barksdale'a, zostało tylko oburzenie.

— Jak pan się tu dostał?

— To przecież teraz nieważne, prawda? Ważne, że tu jestem i że chcę wam pomóc. — Poole uchylił teczkę. — Zechce pan na chwilę usiąść, zrobię panu krótki pokaz naszego...

— Nie zechcę usiąść — przerwał mu Barksdale. — Wręcz przeciwnie, zamierzam wezwać ochronę.

Po tych słowach się odwrócił.

— Proszę usiąść.

Z tymi słowami Poole błyskawicznie złapał Barksdale'a za ramię i popchnął go na najbliższą kanapę.

360

Twarz Freda pociemniała, lecz nie ruszył się z miejsca.

— Dziękuję. Obiecuję, że to zajmie tylko chwilę.

Ostentacyjnie udał, że zamierza otworzyć aktówkę. Przekręcił ją przodem do siebie.

— Jako dyrektor działu systemów informatycznych w tym parku musi pan sobie zdawać sprawę z zagrożenia... hm... infiltracją z zewnątrz.

Barksdale wpatrywał się nań w milczeniu.

— Im bardziej zautomatyzowane i skomputeryzowane stają się nasze infrastruktury, tym bardziej podatni jesteśmy na ataki — ciągnął Poole swą śpiewną recytację. — Jest to smutny komentarz do czasów, w jakich żyjemy. Niemniej skomputeryzowana ochrona stała się

nieodzownym elementem każdego biznesu. Pewne czynniki w świecie na zewnątrz tylko czekają aby wdrzeć się do waszego systemu, panie Barksdale. I tu właśnie mogę wam pomóc.

Barksdale'owi krew odplynęła z twarzy.

— Firma, którą reprezentuję, może przeprowadzić diagnozę waszych systemów, znaleźć ich słabe punkty, zasugerować środki zapobiegawcze. A dzisiaj, tylko dzisiaj, oferujemy promocję: dwa w cenie jednego. Czy mogę was wpisać na listę?

To mówiąc, Poole sięgnął do kieszeni po długopis.

— Dla jakiej firmy pan pracuje? — zapytał Barksdale głosem cienkim i suchym jak pergamin.

— Och, przepraszam, czyżbym zapomniał powiedzieć? Dla Systemów Ochrony przed Włamaniami.

Twarz Barksdale'a wykrzywiła się w wyrazie przerażenia. Rozejrzał się uważnie w prawo i w lewo. Jeśli Poole miał jeszcze jakieś wątpliwości, to rozwiały się one właśnie w tej chwili. Podsunął Barksdale'owi pod nos przepustkę, aby tamten mógł przeczytać nazwisko Warne'a wydrukowane wzdłuż krawędzi.

— Mam cię! — powiedział wesoło.

Fred zerwał się na równe nogi, obrócił na pięcie i rzucił do ucieczki.

— Panie Barksdale! — zawołał Poole rozkazującym tonem.

Coś w jego głosie kazało tamtemu stanąć. Zatrzymał się w pół

361

kroku i powoli odwrócił. Poole włożył dłoń do kieszeni marynarki i dwoma palcami wysunął z niej kawałek kolby pistoletu zgubionego przez hakera.

— Dla wszystkich będzie mniej nieprzyjemne, jeśli zrobimy to po mojemu, panie Barksdale — powiedział.

Potem z pokrępijącym uśmiechem puścił pistolet, który zniknął z powrotem w kieszeni.

16.00

Terri Bonifacio szła szerokim korytarzem z rękami opuszczonymi wzdłuż boków i wzrokiem utkwionym przed siebie.

0 czwartej Zmiana Czerwona kończyła pracę, zaczynała Zmiana Niebieska, w Podziemiach Utopii roilo się od wychodzących

1 przychodzących pracowników. Co chwila ktoś ją pozdrawiał machnięciem ręki, skinieniem głowy, uśmiechem, lecz Terri nie odpowiadała, bez reszty zatopiona w myślach.

Normalnie zapowiadający się dzień zamienił się w coś, co przypominało sen na jawie, a ściślej mówiąc — koszmar na jawie. I pomyśleć, że zaczął się od miłej niespodzianki — przyspieszonego o tydzień przyjazdu Andrew Warne'a. Dzień po dniu nadzorowała metasieć, obserwowała, jak dokonuje autopoprawek, jak usprawnia działanie robotów i w miarę jak w niezliczonych rozmowach telefonicznych przekazywała te wieści doktorowi Wame'owi, zaczęła się coraz bardziej interesować jego twórcą. Oto był mężczyzna, który podzielał jej fascynację sztuczną inteligencją który wniósł znaczący wkład w rozwój tej dyscypliny; ktoś, od kogo mogła się uczyć; inteligentny, zdolny, z ciepłym poczuciem humoru na dokładkę. Kiedy się rozeszła plotka o rozstaniu Warne'a z Sarah Boatwright, zaczęła nawet snuć marzenia o przyszłej współpracy: Andrew jako obrazoburczy geniusz i ona, jego prawa ręka, usprawniająca, a może nawet dopełniająca jego wizje. Razem wcielaliby je w czyn.

Kolejne niespodzianki były niestety coraz mniej przyjemne.

363

A już ostatnie odkrycie, czyli wieść o zdradzie Barksdale'a, do reszty ją oszołomiło. Jeszcze teraz nie mogła w to uwierzyć. Może to jednak jedna wielka pomyłka? Może Wame popełnił błąd w ocenie sytuacji?

Podwójne drzwi do ośrodka medycznego były zamknięte, za oszronionymi szybami błyszczało jasne światło. Terri zwolniła kroku.

Bez względu na to, czy Barksdale jest winny czy nie, sama była świadkiem szamotaniny w węzle, na własne oczy widziała torbę wypełnioną amunicją. A teraz na ochotnika zgłosiła się do bitwy.

Jasne, pozwól, że ci pomogę. Pozwól, że uratuję jakąś smarkulę z rąk armii najemników. Brawo,

Terri.

Odsunęła od siebie te myśli. Prawdopodobieństwo, że przyjdą napaść na czternastoletnią dziewczynę, wynosiło tysiąc do jednego. Nawet jeżeli wiedzieli o jej istnieniu, co samo w sobie wydawało się wątpliwe, mieli ważniejsze sprawy na głowie. Ona musi się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku. Dla Andrew.

Wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi. Tylko kilka razy zdarzyło jej się odwiedzić ośrodek pomocy medycznej Utopii — raz, kiedy szczepiła się na grypę, raz, kiedy upuściła sobie napęd robota na nogę. Ale wtedy było tu prawie zupełnie pusto. Teren ośrodka układał się w kształt kwadratu, dwa główne korytarze tworzyły wielki znak plusa. Już sobie wyobrażała, co ją tam czeka: sześć bezczynnych pielęgniarek rzuci się na nią i będzie natychmiast chciało wiedzieć, po co tu przyszła. Gdy jednak przekroczyła próg, zastała tam zupełnie coś innego. W recepcji na wprost wejścia, nieco po lewej stronie, stała jedna, jedyna pielęgniarka i próbując przytrzymać ramionami telefon przy każdym uchu, gorączkowo coś notowała. Pozostałe pielęgniarki biegały tam i z powrotem z noszami na kółkach, przenośnymi wieszakami na kropłówki, lekami i innym medycznym sprzętem.

Terri podeszła do recepcji, rozglądając się ciekawie. Minęła ją grupka lekarzy rozmawiających o czymś z ożywieniem. Terri nadstawiła uszu i aż ją zmroziło. Z tego, co usłyszała, wydarzył się właśnie wypadek na którejś kolejce w Kallisto. Podobno jest dużo ofiar, zespół oparzeniowy postawiono w stan najwyższej gotowości.

364

Boże, znowu? Tylko nie to.

Zauważyła dwóch strażników stojących na skrzyżowaniu głównych korytarzy, naprzeciwko recepcji. Rozmawiali półgłosem. Zwolniła i zmusiła się do myślenia. Mogła to zrobić na dwa sposoby. Pierwszy: podejść prosto do którejś pielęgniarki lub ochroniarza i rozmawiać otwarcie. „Cześć, jestem Terri Bonifacio z robotyki. Leży u was ofiara wypadku w Mrocznej Głębinie, Georgia Wame, prawda? Mamy wątpliwości, czy jest tu bezpieczna, więc jej ojciec prosił mnie, żebym ją gdzieś ukryła...”.

Odrzuciła tę opcję bez dalszego zastanawiania się. Musi spróbować czegoś innego.

Podeszła na sam koniec kontuaru recepcji i tak niedbałym gestem, na jaki ją było stać, wzięła z tacy podkładkę z klipsem i bloczkiem kartek. Cały czas miała na sobie biały fartuch laboratoryjny, który od biedy mógł ująć za strój pielęgniarski. Podniosła wysoko klapy kołnierza, przycisnęła do piersi podkładkę i mszyła w stronę skrzyżowania korytarzy. Widziała przed sobą salę operacyjną i oddział intensywnej terapii, na prawo mieściły się gabinety lekarskie i laboratoria, na lewo sala pooperacyjna i pomieszczenia zaplecza. Wzdłuż ścian poprzecznego korytarza we wnękach stały łóżka pacjentów z odsuniętymi zasłonkami, gdzie salowe zmieniały pościel, wygładzały prześcieradła, jakby spodziewano się napływu chorych. I może rzeczywiście tak było.

Myślała szybko, starając się nie zwracać uwagi na to, że serce wali jej w piersi jak oszalałe. Andrew powiedział, że obrażenia Georgii były drobne, ale lekarze dali jej środki na sen, by odpoczywała. Leżała za którąś zasłonką. Dochodząc do skrzyżowania, Terri popatrzyła w jedną i w drugą stronę korytarza, ale wszystkie łóżka stały puste, zasłonki odsunięto...

...poza kilkoma na samym końcu w korytarzu na lewo.

Mijając ochroniarzy, spuściła głowę i wpatrzyła się uważnie w bloczek z kartkami, po czym skręciła w lewo. Starła się, aby wyglądało to jak najnaturalniej. Strażnicy spojrzeli w jej stronę, lecz nie przerwali rozmowy.

Skierowała się prosto w stronę trzech zasłoniętych łóżek stojących pod ścianą po prawej stronie. Ku swojej rozpaczy

365

stwierdziła, że wszystkie trzy łóżka widać doskonale zarówno z miejsca, gdzie stoją ochroniarze, jak i z recepcji. Do diabła, zakłęła w duchu. Przecież nie uda mi się wyprowadzić stąd Georgii, choćby nie wiem co.

Siłą woli zmuszając się do każdego kroku, podeszła do pustego łóżka sąsiadującego z trzema zasłoniętymi. Odwróciła się tyłem do zasłony, położyła podkładkę na łóżku i udawała, że sprawdza

pulsoksymetr na stoliku przy wezglowiu. W tym czasie zerknęła ukradkiem w kierunku skrzyżowania. Nikt nie patrzył. Wśliznęła się do środka.

Odwróciła się i aż jej dech zaparło. Na łóżku leżał staruszek, starannie okryty kołdrą pod szyję, wzrok miał nieprzytomny, oczy załzawione. Dłonie pokryte plamami wątrobowymi drżały, ściskając kołdrę. Obok niego pikał monotonnie monitor. Terri ostrożnie obeszała łóżko, starając się nie potrącić zasłon ani w żaden inny sposób nie zdradzić swojej obecności w środku. Po drugiej stronie przystanęła, żeby wziąć następny głęboki oddech, po czym trzymając się jak najbliżej ściany, odchyliła zasłonkę oddzielającą następne łóżko. Pusto. Pościel świeżo zmieniona, aparatura medyczna wyłączona.

To szukanie wiatru w polu, pomyślała. Ona może być wszędzie.

Została jej ostatnia salka, potem idzie prosto do siedziby ochrony. Nikt, nawet Andrew, nie może jej zarzucić, że nie próbowała. Poza tym, rozumowała, okrążając puste łóżko, a potem ostrożnie sięgając do zasłonki po drugiej stronie, dziewczynka jest tu prawdopodobnie bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej.

Prawdopodobnie.

Wzięła trzeci głęboki oddech i prześliznęła się do ostatniej kabiny.

Georgia spała spokojnie, kasztanowe włosy leżały rozsypane na poduszce wokół głowy. Na chwilę Terri zapomniała o bożym świecie. Patrząc z tego miejsca na córkę Warne'a, widziała jakąś cząstkę jego samego, młodszą i jakby w skróconej perspektywie: wysokie czoło, głęboko osadzone oczy, pełne, wydatne wargi.

Zmusiła się do myślenia. Andrew prosił, żeby zabrała Georgię do kwatery ochrony, jeśli jej się uda. A nawet jeśli okaże się to niewykonalne, jest jeszcze dużo innych możliwości, miejsc, gdzie

366

nikt jej nie będzie szukał, które nie ściągają niepożądanego uwagi — dziesiątki niepozornych gabinetów, pracowni, pomieszczeń gospodarczych, i to nie dalej niż dwie minuty drogi stąd. Na końcu korytarza droga ewakuacyjna prowadzi na zaplecze. Znalezienie kryjówki będzie łatwym zadaniem. Trudniejsze może się okazać wyprowadzenie stąd dziewczynki tak, aby nikt nie zauważył.

Niepewnie rozejrzała się dookoła. To szaleństwo, co ja właściwie zamierzam zrobić, wynieść ją na barana pod nosem ochroniarzy? Powinna usiąść i czekać, aż Georgia się obudzi. Co tu się właściwie może stać?

Odwróciła się i popatrzyła na śpiącą dziewczynkę, na brzydki siniec pokazujący się na policzku. Coś sprawiło, że zobaczyła w niej samą siebie. Nie było to fizyczne podobieństwo, wiedziała, że nie dorównuje Georgii urodą ani wrodzoną elegancją tak rzadko spotykaną w wieku czternastu lat. Pokrewieństwo tkwiło w czymś innym, w zachowaniu, w sposobie, w jaki dziewczynka prezentowała się światu. Kiedy Terri miała czternaście lat, była bardzo cicha i zamknięta w sobie. Niedużo wcześniej przyjechała do Stanów — bystra, uzdolniona Azjatka, najniższe dziecko w klasie. Dorośli wydawali jej się głupi, ale byli lepsi od złośliwych, okrutnych rówieśników. Czternaście lat to trudny wiek.

Patrząc na dziewczynkę, poczuła rosnącą determinację. Może i niebezpieczeństwo jest znikome, nieważne, znajdzie sposób, żeby zapewnić Georgii ochronienie. Zrobi to dla niej i jej ojca.

Obeszała szybko łóżko i z drugiej strony wyjrzała przez zasłonki na korytarz, licząc, że znajdzie tam jakiś wózek lub nosze na kółkach, lub cokolwiek innego, na czym mogłaby przetransportować śpiącą dziewczynkę. W pierwszej chwili niczego nie zobaczyła i znów podupała na duchu, lecz nagle oczy jej zabłyśły — niedaleko pod ścianą stał złożony wózek do przewożenia chorych.

Ostrożnie odsunęła zasłonkę i wymknęła się na korytarz, uważając, aby nie zobaczyła jej żadna z osób kręcących się przy recepcji. Dochodziły ją głosy, czyjeś szybkie kroki, na szczęście jednak nikt w tę stronę nie zmierzał. Chwyliła wózek i jak najciszej wciągnęła go za zasłonkę. Rozłożyła go i odwróciła

367

się do łóżka. Musi to zrobić szybko, aby nie dać sobie czasu na zastanawianie się, co właściwie najlepszego wyprawia.

Podsunięła wózek do łóżka, odkryła Georgię i podniosła ją ostrożnie.

— Boże, dzieciaku — sapnęła — wcale nie jesteś lżejsza ode mnie.

Z trudem posadziła śpiącą na wózku. Dziewczynka westchnęła, coś wymamrotała. Terri wzięła z łóżka poduszkę, wsunęła jej pod głowę, a potem okryła ją lekkim szpitalnym kocem.

Najgorsze miała za sobą nie mogła sobie teraz pozwolić na wahanie. Okrążyła łóżko i z drugiej strony rozchyliła odrobinę zasłonki, żeby zobaczyć, co się dzieje w głównym korytarzu i przy recepcji. Zamieszanie trochę osłabło, ale dwaj strażnicy stali w tym samym miejscu i cały czas rozmawiali. Nie patrzyli jednak w jej stronę. Przewiezienie Georgii korytarzem do wyjścia awaryjnego powinno zająć nie więcej niż trzydzieści sekund. Jeśli ochroniarze ich nie zauważą nie zorientują się, że pacjentka znikła. Musi jechać jak najbliżej ściany, wtedy przez jakiś czas parawany zasłonią ją jeszcze przed tamtymi. Niewykluczone też, że nawet jeśli ją zauważą nie wzbudzi w nich podejrzeń — ot, jedna z wielu pielęgniarek pchająca wózek dla chorych.

No, dalej, Terri, łapże byka za rogi.

Ścisnąwszy mocno uchwyty wózka, odsunęła na bok zasłonki i wypchnęła Georgię na korytarz. Koła zaskrzypiały głośno i Terri przygryzła wargę. Próbowwała się uspokoić, przypominała sobie, że za chwileczkę będzie za drzwiami i zniknie z pola widzenia. Mimo to droga trwała dłużej, niż sądziła. Pchanie wózka wymagało niemałej siły, a drzwi przeciwpożarowe jakby złośliwie się oddalały. Zaciśnęła zęby i próbowała przyspieszyć kroku.

Wtedy usłyszała za sobą czyjś donośny głos. Coś się działo w recepcji. Czyżby przywieziono rannych? Nie ośmieliła się obejrzeć za siebie. Czowała się naga, wystawiona jak kaczką na odstrzał. Była mniej więcej w połowie drogi, za daleko, żeby zawrócić, ale nie odważyła się iść dalej, nie wiedząc, co się za nią dzieje, czy ktoś jej nie obserwuje, jak zmierza do bocznego wyjścia. Czowała, że traci zimną krew. Rzuciła spojrzenia na boki.

368

Po prawej stronie zauważyła drzwi z napisem: „Schowek na bieliznę”.

Nie, tylko nie to!

Ale to były jedyne drzwi w pobliżu. Może się tam z Georgią ukryć, dopóki nie uspokoi się to zamieszanie. Potem wyjedzie i wymknie się bocznym wyjściem.

Nie, błagam, tylko nie schowek. Stare, na wpół stłumione fobie odżyły z pełną siłą. Będzie tam ciasno i ciemno. Przecież łatwiej iść dalej, zaryzykować, że nikt ich nie zauważy. A schowek...

Coraz więcej głosów i coraz donośniej sze.

Walcząc ze wszystkich sił z narastającą paniką skręciła w prawo. Ręce jej się trzęsły, kiedy otwierała drzwi i wprowadzała wózek do środka.

W pomieszczeniu paliła się tylko jedna słaba świetlówka. Rozejrzała się, oddychając szybko.

Dzięki Bogu, schowek był dość obszerny, ale ciemny, tak okropnie ciemny. Zielone ubrania lekarzy, białe fartuchy pielęgniarek, koszule nocne w najróżniejszych rozmiarach wisiały na wieszakach albo leżały poukładane na półkach. W głębi większą część pokoiku zajmowała wielka pozioma rura z metalu i tworzywa sztucznego, która wychodziła z jednej ściany i wchodziła w drugą naprzeciwko. Na jej powierzchni niczym żyłki biegły w poprzek liczne, mniejsze mrki, a między nimi widniały dwie klapy z mosiężnymi uchwytami. To był właśnie STPU — System Transportu i Prania Ubrań wijący się przez podziemne rejony Utopii. Przez cały dzień, ale szczególnie pod koniec każdej zmiany, wszystkie kostiumy, mundury, ręczniki, serwetki, obrusy i pościel pchane sprężonym powietrzem śmigwały do centralnej pralni na poziomie C. Terri słyszała teraz ciche dudnienie systemu, odbijające się echem i świszczące w gigantycznej mrze.

Oddychała coraz szybciej, przyspieszony oddech powodował hiperwentylację. Ciemne ściany najeżdżały na nią ze wszystkich stron. Walcząc z narastającą paniką schyliła się do wózka, poprawiła Georgii koc i poduszkę. Potem wróciła do drzwi, uchyliła je i wyjrzała na korytarz.

Przy recepcji stał mężczyzna — średniego wzrostu, dobrze zbudowany i nawet z daleka zwracały uwagę jego egzotyczne

369

oczy. Miał na sobie ciemny kombinezon i rozmawiając z pielęgniarką dyżurną rozglądał się powoli, jakby od niechcenia. Wzrok mu się ożywił, kiedy zauważył drzwi do schowka na bieliznę. Terri

szybko cofnęła głowę. Po chwili wychyliła się z powrotem, starając się dosłyszeć słowa.

— Przyszedłem się zobaczyć z pacjentką—mówił mężczyzna.

Miał akcent prawie tak samo egzotyczny jak oczy.

— Jak się nazywa? — spytała pielęgniarka, patrząc w monitor komputera.

— Georgia Wame.

Terri podświadomie ścisnęła mocno uchwyty wózka.

— A kim pan jest? — spytała pielęgniarka, nie odrywając oczu od ekranu.

— Jej ojcem.

— Oczywiście, panie Wame. — Pielęgniarka spojrzała na tablicę. — Pańska córka leży w... nie, nie, zdaje się, że została przeniesiona. Znajdzie ją pan w pooperacyjnej numer trzydzieści cztery. To w korytarzu na lewo, ostatnie zasłonięte łóżko.

Pielęgniarka podreptała w przeciwnym kierunku, a mężczyzna wyminął recepcję i mszył w kierunku zasłoniętych łóżek. Kiedy się zbliżył na tyle, że widać było wyraźnie całą jego postać, Terri zobaczyła w jego ręku dużą wypchaną torbę sportową migoczącą srebrno w jarzeniowym świetle.

Rozsądek wrzeszczał, żeby się cofnęła, ale nie mogła oderwać oczu od szczeliny w drzwiach i cienkiego paska światła, aby zanurzyć się z powrotem w duszącą ciemność schowka.

Jezusie, Mario i Józefie święty, strzeżcie mnie od zła wszelkiego. Terri nie modliła się od czasów przyklasztornej szkoły podstawowej, w tej jednak chwili tak dobrze znane kiedyś słowa zaczęły same ulatywać szeptem z jej ust:

— Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi...

Za jej plecami Georgia poruszyła się na wózku. Mężczyzna szedł w ich stronę.

— Bądź miłościw mnie grzesznemu, dla Ciebie odpuszczam bliźniemu.

Mężczyzna był coraz bliżej.

16.00

Przed Komnatą Fantastycznych Iluzji Profesora Cripplewooda gazowe światło latami odbijało się nierównomiernie w wilgotnym bruku. Czekający goście rozeszli się zaopatrzeni w kupony, które gwarantowały im wejście w pierwszej kolejności o szesnastej trzydzieści. W wejściu wbudowanym w piękną ceglana fasadę przeciągnięto grubą purpurową linię ozdobioną brokatem i kitami. Przez najbliższe pół godziny Sala Luster Holo będzie zamknięta.

Cztery metry pod poziomem ulicy w niskiej sali działu produkcji obrazów Sarah Boatwright rozcierała sobie z zimna ramiona. Chociaż wydawało się to niewiarygodne, było tu jeszcze zimniej niż w jej gabinecie. Rozejrzała się po lesie ogromnych projektorów i urządzeń kontrolnych, z których każde opatrzone było czerwoną tabliczką z podpisem: kolumna modulacji akustycz-no-optycznej numer dziesięć, procesor strumienia superpozycji, urządzenie kodujące obrzeży A. Małe miasteczko chronionego patentem sprzętu, mającego zapewnić gładkie działanie magii holograficznych luster. Każdego normalnego dnia przez salę zwierciadeł co pół godziny przewijało się pięćset osób. Teraz jednak salę opróżniono i Sarah miała być jedyną odwiedzającą.

To niezupełnie prawda. Drugim miał być John Doe.

Odwróciła się do Boba Allocco. Zwaliste ciało szefa ochrony tkwiło wciśnięte w ciasne przejście między dwoma modulatorami wysokiej rozdzielczości. Nieco dalej stali szef Gazolitu, Rod

371

Allenby, i kierowniczką Sali Luster, Carmen Florez. Na twarzach obojga malował się niepokój.

— Myślisz, że jest już w środku? — spytała Sarah.

Allocco wzruszył ramionami.

— Bez kamer tego nie sprawdzimy — odrzekł Bob. — To przebiegły sukinsyn. Do Sali Luster prowadzą stąd co najmniej cztery wejścia dla obsługi technicznej plus przejście na poziom A i oddzielne do parku. — Zerknął na nią z ukosa. — Zabroniłaś rozstawiać strażników.

— Przypomnij sobie, co się stało poprzednim razem. Musimy teraz zrobić wszystko tak, jak kazał. Dam mu dysk, bez żadnych sztuczek. Potem on zniknie, a my zabierzemy się do sprzątnia.

— Do sprzątnia. Miła perspektywa.

— Daj spokój, Bob. Teraz to on dyktuje zasady gry. Jeszcze tylko parę minut.

W głowie Sarah słyszała żalony, zrezygnowany głos Chucka Emory'ego: „Nie będziemy czekać dłużej niż pół godziny. Jeśli w tym czasie nie przywrócą pełnej integralności parku, powiadomimy władze federalne”.

— Może i dyktuje zasady gry, ale to nie znaczy, że trzyma w ręku wszystkie atuty. Allocco wyciągnął coś kieszeni i wręczył jej okulary w granatowej oprawce, ze szklami grubymi jak gogle.

— Co to jest?

— Zmodyfikowany noktowizor. Rozpoznaje źródło ciepła, eliminuje również hologramy. Nasi mechanicy używają ich podczas usuwania usterek w Sali Luster. Włóż je, kiedy tam wejdiesz. Tutaj jest włącznik. — Przerwał i popatrzył na nią. — Na litość boską przecież dysponujemy najnowocześniejszą techniką czemu mamy jej nie wykorzystać? Sama wiesz, jakie to miejsce potrafi płatać psikusy. W tych okularach będziesz miała jakąś przewagę.

— Dobrze. — Zawiesiła sobie okulary na szyi i spojrzała na zegarek. — Na mnie już czas. Muszę iść.

— Jeszcze sekundę, proszę. — Allocco wyjął z kieszeni radio. — Miej je włączone na otwartym kanale. Będę je monitorował aż do twojego powrotu. Znasz rozkład Sali Luster?

372

Sarah wzięła od niego radio.

— Mniej więcej.

— Nawet w okularach możesz się tam czuć dezorientowana, więc nie przedłużaj sprawy. Daj mu dysk i uciekaj stamtąd. Wystarczy jedno twoje słowo, żeby ściągnąć odsiecz.

— Nie chcę żadnej odsieczy. Wszyscy mają się trzymać z daleka. Jeśli mamy uratować park, musimy się pozbyć tego faceta z naszego terenu jak najszybciej.

Allocco westchnął.

— Tak jest, pani dyrektor. Ale ta operacja idzie na twoje konto, nie na moje.

Sarah skinęła głową i odwróciła się.

— Mimo to uważaj na siebie.

Pomachała radiem na znak zgody i ruszyła między wyświetlaczami holograficznymi i rendererami, kierując się do schodów na drugim końcu sali.

Dział produkcji obrazów zajmował całą przestrzeń pod Salą Luster Holo. Każdy projektor obsługiwał dokładnie jeden hologram w sali na górze. Na polecenie Sarah wszystkim pracownikom kazano opuścić pracownię, pozostawiono tylko kilka niezbędnych osób z obsługi. Tak więc lawirując w labiryncie sprzętu i kierując się w stronę schodów, Sarah czuła się coraz bardziej osamotniona.

Położyła dłoń na lodowatej poręczy i przystanąła. Dotknęła dłonią piersi, sprawdzając, czy płyta DVD jest na miejscu. Ponownie zerknęła na zegarek. Wszystko to były niepotrzebne czynności, które jedynie odwlekały decydujący moment. Czemu właściwie zażądał, żeby to akurat ona dostarczyła dysk z danymi? Z nieco otępiałym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że naprawdę, ale to naprawdę nie chce wejść na te schody. Nie chce się zgubić w labiryncie dezorientujących lustrzanych odbić i holograficznych obrazów. Najbardziej jednak nie chce się spotkać z Johnem Doe, patrzeć w te dwukolorowe oczy obserwujące ją przenikliwie, na ten dziwnie intymny uśmiech otoczony krótko przystrzyżoną brodą. Nie tutaj i zwłaszcza nie sam na sam.

Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na poręczy. „Przypomnij sobie, co się stało poprzednim razem”, powiedziała do Boba Allocco.

373

Zareagowali oporem i agresją i przyplacili to życiem jednego członka ochrony i rzeszą rannych gości. I to była jej decyzja. Może John Doe mówił prawdę, że chce, aby to ona dostarczyła dysk, ponieważ obawia się następnych niemiłych niespodzianek. Pewnie tak. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ po tym, co się stało w Galaktycznej Podróży, odpowiedzialność spoczywała tylko na niej. Wyprostowała się, zacisnęła zęby i z determinacją mszyła po schodach na górę. Złapała za klamkę i otworzyła drzwi.

Przed nią rozciągała się wielka sala, bogato zdobiona w stylu edwardiańskim. Duże, szkarłatne,

tureckie wzory na tłoczonych tapetach bieły aż pod sam sufit. Na ścianach złożone lampy olejne i gazowe kule ze szkła rżniętego z ozdobnymi dyszami gazu roztaczały wokół miękkie, aksamitne światło. Mozaika z wielobarwnego drewna tworzyła na podłodze skomplikowany, spiralny labirynt. Był to przedsionek Sali Luster Holo. W normalny dzień tętniłaby tłumem niecierpliwących się, rozgadanych gości, czekających, aż pracownik w staroświeckim kostiumie wpuści do środka następną grupę. Teraz jednak hol był cichy i pusty. Na podłodze rozciągały się wychudzone cienie. Kąty poczekalni tonęły w ciemności.

Sarah weszła do przedsionka, a drzwi za nią zamknęły się bezszelestnie. Jej obcasy stuknęły na drewnianej podłodze, więc zatrzymała się, nasłuchując. Słyszała syk lamp gazowych i tykanie sześciu zabytkowych zegarów szafkowych. Z lewej strony, zza zamkniętych podwójnych drzwi dochodziły stłumione odgłosy parku: śmiechy, urywane fragmenty piosenki. Na prawo, gdzie stały otworem drzwi do Sali Luster, panowała martwa cisza. Gdzieś tam czekał John Doe.

Wiedziała, że powinna mszyć prosto w tamtą stronę i zdecydowanym krokiem obwieścić swoje przybycie, lecz coś w tej nasłuchującej ciszy kruszyło jej intencje i paraliżowało wolę. Przez całe dorosłe życie Sarah nigdy nie pozwalała sobie bać się nikogo ani niczego. Teraz jednak, kiedy stała samotnie pośród czujnie obserwujących ją ścian, ten metaliczny posmak w ustach nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

Wzięła kilka głębokich oddechów i mocno ściskając w rękę

374

radio, ruszyła po cichu w stronę otwartych drzwi. Przyjęła krótkofalówkę automatycznie, bez namysłu, a teraz miała wrażenie, jakby trzymała w rękę linę ratowniczą.

Koniec z ociąganiem się, zbeształa się w duchu. Dotarła do drzwi, przeszła przez próg i wkroczyła do sali zwierciadeł. Światło lamp gazowych przedsionka ustąpiło miejsca jednolitemu, rozproszonemu oświetleniu, które wydobywało z cienia wszystkie zakamarki sali. Po obu stronach na ścianach wisiały duże lustra w ramach z ciemnego drewna. Idąc przed siebie, Sarah widziała swoje odbicia, podążające za nią z obu stron.

Wiedziała, że tuż za wejściem w sali wiszą wyłącznie zwykłe lustra, za którymi jednak, podobnie jak pod listwami, ukryte kamery robią jej zdjęcia i przesyłają je do komputerów w dziale produkcji obrazów, gdzie podlegają przetworzeniu i skomplikowanej cyfrowej obróbce, by wreszcie trafić do holograficznych projektorów, które wyświetlają w dalszych partiach sali. Czujniki w suficie zarejestrują jej zbliżanie się i zdecydują w której szybie wyświetlić jej nowo stworzony wizerunek, łącznie z odzwierciedleniem mchów w czasie rzeczywistym. Im głębiej człowiek zapuszczał się w głąb sali, tym mniej był pewny, czy widzi swoje odbicie w lustrze, czy hologram swój lub innego gościa. Po raz kolejny zastanawiała się, czemu ze wszystkich miejsc w Utopii John Doe wybrał właśnie to na przekazanie płyty.

Zobaczyła przed sobą swoje odbicie. Korytarz skręcał ostro w bok, więc to, co przed sobą widziała, musiało być lustrem ustawionym na samym środku przejścia. Podeszła bliżej, wpatrując się w swój wizerunek, który patrzył z kolei na nią. Kobieta z zaciśniętymi ustami i krótkofalówką w dłoni. Podniosła rękę i jej sobowtór wiernie uczynił to samo. Przyłożyła palce do twardego, zimnego szkła.

Lustrzane odbicie było starannie rozmazane, mętne. Wszystkie zwierciadła w sali tak dobrano, aby pokazywały obraz nieco rozmyty, tym podobniejszy do hologramów, a więc wzmacniający iluzję. Sarah opuściła dłoń, odwróciła się i skręciła w nowy korytarz. Znowu czuła po obydwu stronach śledzące ją sobowtóry. Radio w jej dłoni zaskrzeczało cicho, po czym umilkło.

Niespodziewanie korytarz wyszedł na niedużą sześcienną

375

salkę. Gdziekolwiek spojrzała, patrzyły na nią następne Sarah Boatwright. Próbowwała odtworzyć w pamięci rozkład labiryntu. Trzy z sześciu ścian były lustrami, przypomniała sobie, jedna wejściem z korytarza, którym właśnie przyszła, a pozostałe dwie hologramami skrywającymi następne korytarze.

Przyjrzała się uważniej otaczającym ją wizerunkom. Wszystkie trzymały w rękę radio i ręce opuszczone wzdłuż boków jasno-brązowego żakietu. Podniosła ręce i trzy portrety zrobiły to samo.

To oznaczało, że dwa pozostałe są holograficznie przetworzonymi zdjęciami. Może przez nie wejść w dwa różne korytarze. Ale który wybrać?

Rozważała, czy nie zatrzymać się tu i nie zaczekać, aż John Doe zrobi kolejny ruch. Może stał w następnym korytarzu, może wszystko to zostało zaaranżowane jako sprytna mistyfikacja i zarówno on, jak i jego świta pędzą już daleko autostradą numer dziewięćdziesiąt pięć. Nieważne, lepiej być w mchu, niż czekać tu beczynnym i nasłuchiwać.

Zrobiła krok w kierunku najbliższego hologramu. Sarah Boatwright patrzyła na nią bez mchu.

Nagle podniosła rękę. Prawdziwa Sarah instynktownie znieruchomiała, lecz po chwili zrozumiała: za lustrem na końcu poprzedniej sali ukryta była kamera, która zarejestrowała jej gest, kiedy dotykała powierzchni szyby.

Ostrożnie przeszła przez hologram, który odkształcił się i wykrzywił wokół niej. Po drugiej stronie ciągnął się następny korytarz z lustrami po obu stronach. Przystanęła, czekając, czy coś usłyszy lub zobaczy. Nic się nie poruszyło, więc po kilku sekundach ruszyła dalej.

Coraz bardziej zagłębiała się w labirynt, rosło więc również prawdopodobieństwo, że ściany po jednej lub drugiej stronie nie są zwykłymi zwierciadłami. Teren za rozwidleniem pamiętała znacznie słabiej. Na szczęście łatwiej zachować orientację w pustej sali, kiedy lustra nie odbijały postaci dwudziestu różnych osób. W tłumie niekiedy nie sposób było powiedzieć, co jest lustrem, co hologramem, a co żywym człowiekiem. Ale i tak czuła się coraz bardziej zdezorientowana.

Wtedy przypomniała sobie o okularach wiszących jej na szyi. Włączyła baterię i uniosła szkła do oczu. Widok wokół niej

376

zmienił się raptownie. Hologramy w głębi korytarza nabrały widmowego, wyblakłego wyglądu. Bez trudu mogła teraz rozróżnić iluzję od lustrzanego odbicia. Znowu poczuła przypływ pewności siebie.

Korytarz zakręcił raptownie, po czym rozwidlił się na kształt litery „Y”. Sarah zajrzała w głąb obydwu przejść, których ściany migotały zwierciadlanymi powierzchniami. Wahała się przez moment, potem pod wpływem impulsu wybrała korytarz po lewej stronie. Właśnie mszyła ku niemu, kiedy zatrzeszczało radio.

— Sarah, słyszysz mnie? — Wzmocniony głos Boba Allocco zagrzmiął nieznośnie głośno w wyludnionej przestrzeni.

Szybko przykręciła potencjometr.

— Tak.

— Co się dzieje?

— Nic. Ani żywej duszy. Po co się odzywasz? Powinniśmy zachować...

— Posłuchaj, Sarah, w Kallisto wydarzył się jakiś wypadek.

— Boże! Co się stało?

— Nie wiem. Bez kamer wieści docierają do nas bardzo powoli, ale zdaje się, że coś się stało w Stacji Omega. Mam... — na chwilę jego głos zanikł w fali zakłóceń — zgłoszenie o „dziewięćset cztery S”.

Sarah zmroziło. Kod „dziewięćset cztery S” w języku sytuacji kryzysowych oznaczał ofiary wśród gości.

— Sarah. Sarah, jesteś tam?

— Tak, tak. Słuchaj, jesteś tego pewien? Może to fałszywy alarm?

— Dostałem dwa oddzielne meldunki. Wygląda to poważnie. Możliwe, że trzeba będzie zastosować środki kontroli tłumu.

— Idź tam i spróbuj zapanować nad sytuacją.

— Nie mogę, muszę cię...

— Nic mi nie jest. A ty musisz przede wszystkim dbać o bezpieczeństwo gości. Powiadom centrum medyczne, uruchom procedurę ratunkową, jeśli okaże się to konieczne. Wyślij tam ochronę i ludzi od infrastruktury. Niech dział kontaktów z gośćmi stanie na głowie, żeby wiadomość się nie rozniosła.

— Dobrze. Przekażę radio Florez, każę jej mieć tę częstot-

liwość na nasłuchu. — Przerwał na chwilę. — Pamiętaj, co mówiłem, Sarah.

Z cichym skrzypnięciem radio umilkło. Sarah ponownie podkreśliła głos i włożyła urządzenie do kieszeni zakietu. Kiedy Allocco odejdzie, na dole zostanie tylko kilka osób i to niezorientowanych w sytuacji. Carmen Florez przejmie od Boba radio, ale ani ona, ani nikt inny nie ma pojęcia, po co Sarah tu weszła. Teraz naprawdę została sama.

Wbrew temu, co powiedziała Bobowi, nie czuła się dobrze. Przystanęła niezdecydowanie. Kolejny wypadek tak szybko po tym, co się wydarzyło w Mrocznej Głębinie? To nie mógł być zbieg okoliczności ani przypadkowa usterka.

Więc co tu się właściwie dzieje? Czy John Doe to wszystko zaplanował, a jeśli tak, to po co? Przecież przystali na jego żądania, skopiowali ponownie płytę, a ona przysłała im ją przekazać. Czyżby sądził, że nie przyszła, i Stacja Omega ma być kolejnym odwetem? Niemożliwe. Jeśli Bob dopiero przed chwilą się o tym dowiedział, musieli zacząć akcję przed czwartą.

Najprawdopodobniej przygotowali ją kilka godzin temu. Wypadek miał się zdarzyć niezależnie od przekazania dysku.

Stała bez mchu w migoczącym korytarzu. Ogarniały ją na przemian strach, gniew i frustracja. Co tam się stało? Ile jest ofiar? Czy w Kallisto wybuchła masowa panika?

Ponieważ w końcu gniew wziął w niej górę, mszyła energicznie lewym korytarzem, nie bacząc na stukanie obcasów na podłodze. Przynajmniej miała noktowizor, to jej dawało małą przewagę.

Znajdzie tego drania, znajdzie i...

Ledwo uszła kilka kroków, kiedy stanęła jak wryta. Przed nią na kolejnym zakręcie labiryntu czekał John Doe.

Przynajmniej tak jej się zdawało, bo przez okulary sylwetka wydawała się tak niewyraźna, że trudno było powiedzieć, czy to on. Pozwoliła, żeby okulary zsunęły jej się z nosa, a wtedy hologram natychmiast nabrał życia.

Wstrzymała oddech. Zobaczyła go po raz pierwszy od tamtej porannej wizyty, kiedy wszedł do jej gabinetu, siedział na jej biurku, pił jej herbatę, gładził ją po policzku. Czuła, jak szczęki same jej się zaciskają. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej roz-

luźnionego niż wtedy: szczupłe dłonie zwisały swobodnie wzdłuż boków, elegancki garnitur układał się nienagannie; lekki, zadowolony uśmiech odsłaniał równiutkie zęby.

— Sarah — rozległ się jego głos. — Jak to dobrze, że przysłałaś.

Głos dochodził z daleka, prawdziwy John Doe krył się głębiej w labiryncie.

Czekała bez mchu, wpatrując się w hologram.

— Bardzo mi się podoba wystrój tego miejsca. Przemawia do mojego narcyzmu.

Sarah nadal milczała.

— Czy przyniosłaś dysk, Sarah?

Powoli, ostrożnie podeszła do hologramu. Dziwne, dwukolo-rowsze oczy Johna Doe spojrzały najpierw w lewo, potem w prawo. Być może któraś kamera uchwyciła go na rozwidleniu, kiedy zastanawiał się, którą drogę wybrać.

— Pytałem, czy masz dysk.

Usta holograficznego Johna Doe się nie poruszały.

— Tak — odparła.

Nagle zapragnęła nie patrzeć dłużej na tę twarz. Włożyła noktowizor i część wizerunków wokół niej zbladła i zrzędała.

— To dobrze. Zatem możemy kontynuować.

— Co pan zrobił, panie Doe?

— Słucham?

— W Stacji Omega w Kallisto. Co zrobiliście? — Słyszała, jak jej własny głos drży z emocji.

— Skąd to pytanie? — W głosie Johna Doe słychać było ledwo uchwytną ironię. — Czyżby coś się stało?

— Przestań pieprzyć, do cholery! Ufałam ci! — krzyknęła. — Zrobiłam wszystko, czego

chcieliście!

— Ojej. I pomyśleć, że uważałem cię za osobę dobrze wychowaną. Sarah prychnęła. Dłonie zacisnęły jej się w pięści.

— Już prawie skończyliśmy, Sarah. Załatwimy nasze sprawy, a potem zajmiecie się tym niefortunnym zdarzeniem i... chwileczkę, właśnie widzę twój nowy portret. Cóż to za modne akcesorium masz na nosie? Ach, rozumiem. Wiesz, nie do twarzy ci w tych

379

okularach. Są zbyt ciężkie dla twoich delikatnych rysów. Musimy coś z tym zrobić.

Na jakiś czas zaległa cisza, a potem z nieokreślonego kierunku dobiegło głośnie klikanie. Przez chwilę nic się nie działo, aż nagle Sarah zauważyła zielony połysk wokół krawędzi noktowizora. W korytarzu przed nią hologramy, które jeszcze przed chwilą były tak blade, że prawie niewidoczne, również zaczęły się rozjarzać — zielone zjawy stawały się coraz jaśniejsze i jaśniejsze. Zamrugła i odwróciła głowę od bolesnego blasku. Kiedy poruszyła głową przed jej oczami przemknęły jaskrawe zielone smugi.

Z okrzykiem rozdrażnienia ściągnęła okulary i podniosła do ust radio.

— Carmen? — odezwała się do mikrofonu.

Po kilku sekundach ciszy głośnik zatrzeszczał.

— Słucham, pani Boatwright?

— Carmen, czy coś tam się dzieje na dole?

— Przed chwilą raptownie podskoczył współczynnik wzmocnienia w generatorach holograficznych. Wszystkie są przeciążone.

— Możesz to powstrzymać?

— Tak, ale to potrwa. Wszystko jest sterowane komputerowo, musimy odkryć, skąd idą polecenia. Dopóki tego nie wiemy, nie odważyłabym się nawet wyciągnąć wtyczki generatora.

— Dobrze, więc próbuj dalej.

Sarah opuściła radio. Był przygotowany na okulary. Na wszystko jest przygotowany. O czym tylko pomyślimy, on pomyślał o tym wcześniej.

— Teraz rozumiesz, o czym mówię? — rozległ się daleki, łagodny głos Johna Doe. Sarah usłyszała też głośnie, choć dalekie pstryknięcie. — Jak możesz mówić o zaufaniu, skoro sama go nie okazujesz? Daj mi płytę, a zniknę z twojego życia na zawsze.

Nie odpowiedziała. Nie miała nic do powiedzenia. Poczuli się nagle kompletnie pokonana.

— Przy którym jesteś stanowisku, Sarah?

Nadal milczała.

— Sarah?

— Słucham.

380

— Przy którym jesteś stanowisku?

— Nie rozumiem.

— Spójrz na ramę najbliższego lustra. W lewym rogu znajdziesz od spodu wypalony numer.

Otępiła spojrzała tam, gdzie kazał. Chwilę potrwało, zanim zauważyła ciąg maleńkich cyfr.

— Siedem, dziewięć, dwa, trzy — mruknęła.

— Słucham?

— Siedem, dziewięć, dwa, trzy — powtórzyła.

— Świetnie. A więc posłuchaj mnie teraz, Sarah. Pokieruję cię do miejsca, gdzie na ciebie czekam. Cały czas będziemy utrzymywać kontakt głosowy. Zrozumiałaś?

— Tak.

— To dobrze. Powinnaś być... Powinnaś być w lewym korytarzu za rozwidleniem w kształcie litery „Y”. Idź tym korytarzem do końca. Powiedz mi, gdy dotrzesz na miejsce.

Sarah niechętnie ruszyła przed siebie, obserwując swoje lustrzane odbicia poruszające się wraz z nią. Nagle po prawej stronie wyrósł przed nią John Doe. Zamarła. Kolejny hologram. Tym razem inny: Doe trzymał w rękach coś, co wyglądało jak plik planów i jego głowa na przemian podnosiła się i opadała, zataczając pętlę nieskończoności.

— Jestem na końcu korytarza — powiedziała.
— Popatrz na lustro po lewej stronie. Czy nosi numer siedem, osiem, cztery, siedem?
Chwila milczenia.

— Tak.
— Skręć w następny korytarz w lewo i idź dalej prosto. Po prawej stronie za hologramem biegnie następna odnoga. Poszukaj jej.

Sarah zrobiła posłuszenie to, co kazał, stawiając kroki powoli i z rezygnacją. John Doe nie czuł się bynajmniej zagubiony ani niepewny. Znał Salę Luster lepiej niż jej projektanci. Wiedział o noktowizorze używanym do napraw przez mechaników. Miał dokładne plany, łącznie z numerami każdego pojedynczego lustra.

Instynkt krzychał w niej, żeby tam nie szła. Ale nie miała wyboru. Bez względu na wszystko musi mu przekazać tę płytę.

381

Nagle znów się zatrzymała. Ze wszystkich stron otaczały ją własne wizerunki — hologramy i lustrzane odbicia, ale w dwóch gablotach — jednej z przodu i jednej na lewo — zobaczyła inną postać, mężczyznę. Ale to nie był John Doe

Podeszła bliżej, wyteżając wzrok, podczas gdy obraz w ramie nabierał ostrości.

Andrew Wame.

Zakreśliła się w kółko. Andrew? Tutaj?

Nie miała czasu na zastanawianie się, musiała działać błyskawicznie. Miała tu przyjść sama. Jeśli Andrew przyszedł tu za nią, musiał mieć ku temu powód, i to ważny. Był teraz gdzieś między nią a wejściem. Ponieważ John Doe znajdował się głębiej w labiryncie, musi minąć trochę czasu, zanim serwery przekażą tam jego obraz.

Szybko wróciła po własnych śladach do ostatniego rozwidlenia i skręciła w prawo w stronę, skąd przysła. Gdzieś przed nią słychać było zbliżające się kroki.

— Sarah? — usłyszała niecierpliwym, gorączkowym szeptem Warne^ — Sarah?

Głos na chwilę przycichł, po czym odezwał się znowu, jeszcze bliżej.

— Sarah, gdzie jesteś?

— Tutaj — odpowiedziała szeptem.

Na rozwidleniu w kształcie „Y” zamajaczyła postać. Tym razem nie był to ani hologram, ani obraz odbity w lustrze, tylko prawdziwy Andrew Wame z bandażem zwisającym luźno z czoła, z niepokojem w oczach. Zobaczył ją zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy to żywa Sarah, czy tylko jej sobowtór. Podeszła do niego, a wtedy twarz mu się rozjaśniła.

— Sarah! — Dobiegł do niej i złapał ją za ręce. — Dzięki Bogu.

Przez chwilę ten czuły dotyk drugiego człowieka stłumił w niej wszystkie inne myśli i odczucia. Zamknęła oczy.

Potem drgnęła przestraszona i odsunęła się.

— Co ty tu robisz? — zapytała. — Jak się tu dostałeś?

— Musiałem cię powstrzymać — odparł szeptem. — Posłuchaj, to niebezpieczne.

382

— Nie możesz tu wchodzić. Mam oddać płytę Johnowi Doe i powinnam być sama...

Wame złapał ją za ramiona.

— To pułapka.

Sarah zdrętwiała, słysząc wypowiedziane na głos swoje własne, ciche obawy.

— Skąd wiesz?

Poczuła, jak Andrew jeszcze mocniej zaciska dłonie na jej ramionach.

— Sarah, to będzie dla ciebie trudne. Odkryliśmy, kto jest kretem. Odkryliśmy wtyczkę Johna Doe w Utopii.

Czekała, nie śmiejąc nawet oddychać.

— Barksdale.

W pierwszym odruchu Sarah miała chęć uderzyć Warne'a w twarz. Szarpnęła się w tył.

— Kłamiesz!

Wame podszedł do niej.

— Sarah, proszę. Musisz mnie posłuchać, i to szybko. SOW nigdy nie prowadziło w Utopii kontroli zabezpieczeń. Barksdale to wszystko ukartował. Ci biali kapelusznicy, którzy przyjechali miesiąc temu sprawdzać szczelność ochrony, byli ludźmi Johna Doe. W taki właśnie sposób przeniknęli do systemu i zastawili pułapki.

Sarah pokręciła energicznie głową. To nie może być prawda. To po prostu niemożliwe. Musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie.

— Nie — powiedziała. — Nie wierzę ci.

— Nie proszę, żebyś mi wierzyła, proszę tylko, żebyś stąd wyszła, i to natychmiast. Sama odkryjesz prawdę. Pamiętasz płytę, którą znalazłaś zgniecioną pod nogami tego zabitego ochroniarza? Była pusta. To znaczy, że John Doe zabrał prawdziwy dysk i podłożył czysty. Wszystko było sfinansowane. Po co twoim zdaniem Johnowi Doe druga płyta? Dlaczego kazał ją przynieść akurat tobie? Musisz...

— Sarah? — rozległ się głos Johna Doe.

Wame umilkł natychmiast. Spojrzał ostro na Sarah, a ona położyła palec na ustach.

— Sarah, prosiłem, żebyś utrzymywała ze mną kontakt gło-

383

sowy. Czemu się zatrzymałaś? — Głos był bardziej oddalony niż poprzednio. Wśród wizerunków pojawiła się postać Johna Doe. Dłoń z planami opuścił wzdłuż boku, głowę przekrzywił, jakby nasłuchiwał. Nie odzywając się, Sarah obserwowała hologram, powtarzający wciąż na nowo tę krótką sekwencję mchów.

— Wiesz, co myślę, Sarah? Myślę, że nie jesteśmy już sami.

Sarah czekała.

— Teraz już wiem, że nie jesteśmy sami. Widzę trzeci hologram. To nie jesteś ty i to nie jestem ja. Kim jest ten mężczyzna?

W sali panowała cisza.

— Chyba się domyślam. To ten nieznośny doktor Wame. Wścibski doktor Wame. Mam rację, Sarah?

Sarah zerknęła na Andrew.

— Nie tak się umawialiśmy, Sarah. Najpierw noktowizor, a teraz to. Jestem bardzo niezadowolony.

Hologram Johna Doe zamigotał i przeobraził się, kiedy przetwornik obrazów uaktualnił jego portret. W dłoni mężczyzny wisiał luźno pistolet. W głębi labiryntu rozległ się tupot biegnących stóp.

— Idzie po nas! — szepnął Wame.

Sarah skinęła na niego ręką i popędziła korytarzem między zwierciadlanymi odbiciami i holograficznymi sobowtórami, byle dalej od miejsca, skąd dochodził głos Johna Doe. Kątem oka widziała biegnące razem z nią jej rozmazane odbicia. Wąskie przejście wypełniały ich zdyszane oddechy i stukające obcasy. Minęli jeden skręt, potem drugi.

Wreszcie się zatrzymała.

— Stój — powiedziała do Wame'a.

Coś się w niej zmieniało. Może sprawił to wstrząs spowodowany niewiarygodną wieścią Andrew Wame'a, a może widok broni w ręku Johna Doe, w każdym razie burza uczuć minęła, pozostawiając po sobie tylko zimny, stalowy gniew.

Wyciągnęła z kieszeni radio.

— Carmen? — powiedziała do mikrofonu, dysząc ciężko. — Carmen, jesteś tam?

— Tak, pani Boatwright—nadeszła odpowiedź. — Czy może mi pani powiedzieć, co się dzieje?

384

— Później. Możesz coś dla mnie zrobić? Chcę, żebyś wyłączyła wszystkie światła w Sali Luster.

— Wyłączyć światła?

— Tak, wszystkie. Natychmiast. Możesz to zrobić?

— Tak... Tak, mogę.

— Więc zrób to.

Wsunęła radio z powrotem do kieszeni. Potem podeszła do najbliższego lustra i odczytała numer wypalony na ramie. Wyjęła z kieszeni płytę DVD i położyła ją pod lustrem. Potem dała Wame'owi znak, żeby szedł za nią i mszyła trochę wolniej w stronę sześciobocznej sali. Stamtąd wiedziała, że trafi do wyjścia nawet po ciemku.

Wzięła głęboki oddech, po czym odwróciła i przemówiła najgłośniejszym i najbardziej rozkazującym tonem, na jaki się mogła zdobyć.

— Panie Doe! Proszę się natychmiast zatrzymać! Jeśli chce pan dostać ten dysk, proszę zostać tam, gdzie pan jest.

Przerwała, nasłuchując, ale odpowiedziała jej tylko cisza.

— Powiedział mi pan kiedyś, że zawiódłam pańskie zaufanie. No to tym razem pan zawiódł moje.

— Doprawdy? — odezwał się głos. — Jestem zaintrygowany.

— Dopuszczył się pan sabotażu następnego urządzenia w Utopii, skrzywdził pan następne osoby. Bez powodu. Zrobiłam, co pan kazał, przyniosłam płytę. Więc po co ten pistolet?

Cisza.

— Mogę odpowiedzieć na to pytanie — odezwał się ostro Wame. — Zamierzał pan wziąć płytę i Sarah jako zakładniczkę. A może zabić ją na miejscu i uciec w zamieszaniu. Jeśli tak, to nici z pańskiego planu zaskoczenia.

— Zaskoczenia? — odezwał się jedwabisty głos. — Proszę się nie obawiać, doktorze Wame. Mogę jeszcze was zaskoczyć na wiele sposobów.

— Więc niech mnie pan zaskoczy i zrobi coś naprawdę niespodziewanego. Niech ją pan puści. Niech pan pokaże, że umie się przystosować.

Nagle zgasły światła i cały korytarz zatonął w ciemności. Sarah złapała Andrew za łokieć.

385

— Panie Doe! — zawołała, wycofując się powoli. — Płyta leży przy stanowisku numer sześć, dziewięć, cztery, dwa. Słyszysz mnie pan? Stanowisko sześć, dziewięć, cztery, dwa. Znajdzie ją pan na podłodze pod lustrem. Ja wychodzę. Złamał pan zasady i nie zamierzam grać dłużej w pańską grę. Może to w ciemności trochę potrwać, ale jestem pewna, że znajdzie pan dysk. Nie wpuszczę nikogo do Sali Luster jeszcze przez dwadzieścia minut, więc proszę zrobić to, co pan obiecał. Zabierajcie dysk i wynoście się z mojego parku! Inaczej znajdę pana i własnoręcznie zabiję. Na te słowa w ciemności rozległ się śmiech — leniwy, cyniczny, rozbawiony.

— Taką grę lubię, Sarah.

Jeśli Doe powiedział coś więcej, Sarah już tego nie usłyszała, ponieważ razem z Wame'em zawrócili w korytarz prowadzący do przedsiionka Komnaty Fantastycznych Iluzji Profesora Cripplewooda i dochodził ich tylko tupot własnych nóg, kiedy pędzili do schodów, aby uciec z tego upiornego miejsca.

16.03

Terri stała w cieniu futryny sparaliżowana ze strachu i niezdolna podjąć jakiegokolwiek decyzji, a tymczasem mężczyzna w kombinezonie zbliżał się coraz bardziej. Mijał właśnie pierwsze zasłonięte łóżko. Za chwilę dojdzie do przegrody Georgii i zobaczy puste, jeszcze ciepłe łóżko i...

— Halo! Chwileczkę, proszę pana!

To odezwał się jeden z ochroniarzy. Terri uchyliła drzwi odrobinę szerzej i wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Serce waliło jej w piersi. Strażnicy przerwali rozmowę i patrzyli w kierunku mężczyzny w kombinezonie, który zatrzymał się z dłonią na zasłonce trzeciego łóżka i powoli odwrócił w ich stronę.

— Przepraszam, jak się pan nazywa? — spytał jeden z ochroniarzy i obaj mszyli w jego kierunku.

Terri patrzyła z uczuciem wszechogarniającej ulgi. Może strażnikom kazano szczególnie pilnie obserwować osoby przychodzące do Georgii. Złapią drania i będzie po strachu.

Za plecami usłyszała jakiś ruch. Obejrzała się i serce podeszło jej do gardła. Georgia się przebudziła i rozglądała się zdezorientowana, mrugając oczami.

Terri niechętnie oderwała się od drzwi i podbiegła do wózka.

— Posłuchaj, Georgio — szepnęła, klękając obok niej. — Chcę cię zabrać do taty, dobrze? Musimy tu chwilkę poczekać, tylko chwileczkę. Potem pojedziemy.

387

Georgia patrzyła na nią bez słowa, jej oszołomione oczy błyszczały w półmroku. Terri ścisnęła ją uspokajająco za rękę i wróciła do drzwi.

Strażnicy stali teraz po obu stronach nieznanego.

— Dobrze, panie Wame — mówił jeden, spoglądając podejrzliwie na kombinezon przybysza.

— Ale zanim pan zabierze córkę, musimy zobaczyć pański dowód tożsamości.

— Dowód tożsamości? — spytał mężczyzna.

To mówiąc, jedną ręką jakby od niechcenia uchylił zasłonkę trzeciego łóżka i zajrzał do środka.

— Jeśli będzie pan tak uprzejmy.

Przez dłuższą chwilę nieznamy patrzył na puste łóżko Georgii. Potem puścił zasłonki i odsunął się.

— Czy mogę spytać dlaczego?

Mówił powoli, jakby jednocześnie coś rozważał.

— Niestety, takie mamy rozkazy. Sprawdzać tożsamość wszystkich gości oraz ekspertów z zewnątrz odwiedzających ośrodek medyczny.

Szlag. Więc nie pilnowali Georgii, tylko po prostu przestrzegali zasad podwyższonej gotowości.

No, oczywiście, matole. Gdyby było inaczej, pilnowaliby jej łóżka dużo baczniej, zauważyliby, że wchodzisz do środka i wywozisz ją na wózku. A teraz siedzisz w schowku i jak idiotka trzęsiesz się od klaustrofobii...

Urwał jej się wątek myśli, kiedy nieznamy obrócił się i szybkim spojrzeniem omiótł korytarz.

Wydało jej się, że znowu zatrzymał wzrok na drzwiach schowka na bieliznę. Cofnęła się.

— Dobrze, panowie — powiedział, zarzucając torbę na ramię i przeciskając się między nimi. — Skoro nalegacie.

I mszył tym samym, swobodnym, pewnym siebie krokiem w stronę drzwi, za którymi ukrywała się Terri.

Rzuciła się wstecz, zakreśliła w kółko, rozglądając się rozpaczliwie dookoła. Poza rzędami leżących i wiszących ubrań, stert złożonej bielizny i kilku malutkich stolików w pomieszczeniu nie było niczego. Tylko jedno miejsce dawało szansę na ukrycie: ciemna, ciasna szczelina za rurą STPU.

Na samą myśl o chowaniu się w takim zakamarku zrobiło jej

388

się słabo z przerażenia. Ale nie było innego wyjścia. Odwróciła się do dziewczynki.

— Georgio, posłuchaj mnie uważnie — powiedziała najspokojniej, jak umiała. — Jest tu pewien mężczyzna, bardzo niebezpieczny. Musimy się ukryć, dopóki sobie nie pójdzie.

Dziewczynka patrzyła na nią bez słowa, oszołomiona, a może w szoku. Z korytarza dochodził stukot zbliżających się kroków i głosy protestu.

— Georgio, możemy się schować?

Dziewczynka nadal patrzyła w milczeniu.

— Georgio, proszę. Pomóż mi.

— Dobrze — wymamrotała powoli.

Terri popchnęła wózek w głąb pokoju i pod wielką białą mrą wcisnęła go w najciemniejszy kąt.

Potem przykucnęła obok i przycisnęła do siebie Georgię.

— Bądź cichutko — szepnęła. — Nie ruszaj się, dopóki oni wszyscy nie wyjdą bez względu na to, co się będzie działo.

Tuż przed jej nosem biała rura metrowej średnicy biegła w poprzek pomieszczenia, a w miejscach, gdzie nikła w ścianie, obejmowały ją ciężkie mosiężne pierścienie. Ze środka dochodził świszczący szum sprężonego powietrza.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wlało się z korytarza jasne światło. Terri wcisnęła się jeszcze

głębiej pod rurę i jeszcze mocniej przycisnęła do siebie Georgię. Serce waliło jej jak młot. Na ścianach przesuwaly się pasy cieni, kiedy jeden po drugim trzej mężczyźni weszli do schowka.

— O co chodzi? — spytał jeden ze strażników.

— O to, że utrudniacie ludziom życie — odparł mężczyzna z dziwnym akcentem. — Muszę się legitymować, żeby zobaczyć własną córkę. Mam portfel na dnie torby. Muszę ją gdzieś położyć, żeby powymować swoje rzeczy.

Rozległ się stukot ciężkiego przedmiotu położonego na stoliku. Terri wychyliła się ostrożnie.

— Bardzo nam przykro, panie Wame — odezwał się pierwszy strażnik — ale jak mówiłem, mamy rozkazy...

— Wątpię, aby wasze rozkazy obejmowały nękanie naukowców przyjeżdżających do was gościnnie. Ale najwyraźniej nie

389

wystarczy wam, że moja córka wylądowała w tym miejscu z powodu zaniedbania tutejszych pracowników. Zamierzam wyjaśnić tę sprawę z waszymi przełożonymi.

Przekrzywiwszy głowę na bok, Terri zobaczyła, że strażnicy znowu stanęli po obu stronach mężczyzny o migdałowych oczach, który postawił swoją torbę na stole i otwierał właśnie zamek błyskawiczny.

— Oczywiście ma pan do tego prawo, panie Wame — powiedział pierwszy strażnik. — Nalegam jednak, abyśmy kontynuowali tę rozmowę na...

Jednym płynnym mchem mężczyzna sięgnął ręką do torby i coś z niej wyciągnął. W pierwszej chwili Terri nie rozpoznała, co to jest: długi, smukły przedmiot z ostro zagiętym stożkiem na końcu. Machnął nim w stronę ochroniarzy i z wylotu wystrzelił płomień. Pierwszy ze strażników odskoczył w tył, z dziur w mundurze trysnęła krew. Terri zdusiła okrzyk i zasłoniła Georgii oczy. Mężczyzna obrócił się w progu na jednej nodze, drugą piętą zatrzasnął drzwi, a jednocześnie skierował wylot lufy w drugiego strażnika. Rozległ się terkot broni maszynowej i ze ściany posypał się na Terri i Georgię deszcz pokruszonego tynku. Ochroniarz przewrócił się bezgłośnie na plecy, palcami chwytając się za gardło. Drewniana pałka i radio poszybowały w powietrze i upadły na podłogę.

Georgia zeszytniała i złapała Terri za rękę. Kobieta przycisnęła ją do siebie jeszcze mocniej, z oczami wytrzeszczonymi z przerażenia.

Mężczyzna odsunął się na bok i opuściwszy broń, przeciągnął jeszcze jedną serią po nieruchomych strażnikach. Ich ciała zadrgały pod impetem ognia, ale nie rozległ się żaden odgłos strzałów. Terri nie mogła zrozumieć, czemu niczego nie słysząc. Czyżby ze strachu i wstrząsu nie tylko ją sparaliżowało, ale i ogłuchła? Słyszała tylko suchy, metaliczny terkot, jakby jakiejś piekielnej maszyny do szycia, i dzwonienie łusek po nabojach sypiących się na betonową podłogę.

I nagle wszystko się skończyło. W schowku na bieliznę znów zaległa cisza, tylko słup dymu wznosił się ku sufitowi. Bojąc się nawet oddychać, Terri patrzyła, jak mężczyzna opuszcza broń

390

i przygląda się jatce, którą urządził. Szybkimi, sprawnymi ruchami zawodowca wsunął pistolet maszynowy z powrotem do torby, uchylił drzwi, dokładnie tak samo jak ona robiła to kilka chwil temu, i wyjrzał na korytarz.

Obok niej zaskrzypiał wózek, Georgii wydarł się z gardła zduszony, przerażony szloch. Terri nachyliła się błyskawicznie do dziewczynki i zasłoniła jej usta, bo mężczyzna odwrócił się od drzwi i omiatał wzrokiem pomieszczenie. W półmroku jego oczy błyszczały blado jak kocie ślepie.

Nagle pomieszczenie wypełnił chrypliwy szum głośnika. Mężczyzna zamknął drzwi, sięgnął do torby i wyjął z niej radio.

— Twardziel — powiedział.

— Tu Czynniki Pierwsze — kształcony głos. — Pozycja.

— Ośrodek medyczny.

— Status?

— Dziewczyna znikła.

— Gdzie?

— Nie wiem.

odezwał się w głośniku znie-
Chwila ciszy.

— Nie możemy tracić więcej czasu — oznajmił w końcu głos przez radio. — Mamy problem z Królową Śnieżką potrzebuję cię w punkcie zbornym, natychmiast. Zrozumiałeś?

— Tak jest.

Radio umilkło. Mężczyzna odszedł od drzwi, czubkiem buta wsunął zwłoki pod stolik, potem sięgnął na półkę i zrzucając na podłogę stertę ręczników, zakrył rozprzestrzeniające się kałuże krwi. Następnie zdjął kombinezon roboczy, spod którego wyłonił się srebrnoplatinowy skafander pilota Kallisto, idealnie pasujący do srebrnej torby. Niedbale cisnął kombinezon na stertę ręczników. Omiótł pomieszczenie ostatnim spojrzeniem, zarzucił niedomkniętą torbę na ramię, otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Rozległo się ciche kliknięcie i schowek na bieliznę na powrót zatonął w mroku. Przez chwilę panowała cisza, potem z głośnym

391

szmerem plastikową mrą STPU przeleciała partia ubrań w drodze do pralni centralnej. Jej śladem podążył syk sprężonego powietrza. Wreszcie i ten odgłos ucichł. Terri poczuła, że nogi jej drżą najpierw delikatnie, a potem coraz gwałtowniej. Georgia w jej ramionach nie płakała, nie wydawała żadnego odgłosu, ścisnęła ją tylko za rękę tak mocno, jakby nigdy w życiu za żadne skarby nie zamierzała jej puścić.

16.03

Widząc przed sobą wejście do kwatery ochrony, Poole zatrzymał się raptownie. Fred Barksdale, który szedł przed nim, zorientował się dopiero po chwili, a wtedy on również stanął.

— Niech pan posłucha. — Poole podszedł do niego i zaczął mu mówić do ucha. — Chcę, żeby to poszło gładko i bez komplikacji. Proszę się nie odzywać, chyba że panu każe. I lepiej niech pan nie próbuje żadnych sztuczek. Jeśli będę musiał, najpierw pana zastrzelę, a potem będę się bawił z biurokracją.

Jeśli Barksdale słyszał, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Ruszył znowu przed siebie, a Poole bez słowa za nim.

Na razie wszystko szło jak po maśle. Krótka demonstracja siły i widok broni wystarczyły. Angus spotykał się już z taką reakcją głównie u ludzi, którzy porwali się na coś, co przerastało ich siły. Młodzi rebelianci, nieobeznani z bronią maszynową sparaliżowani ze strachu na myśl o walce, prawie z ulgą dawali się pojmać. Tak samo zachował się Barksdale — poddał się, nawet nie próbując oporu. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Najtrudniejsze jednak dopiero Angusa czekało. Musiał przekonać Boba Allocco i jego wesołych kompanów, że Frederick Barksdale, władca udzielny działu systemów informatycznych, kolaboruje z wrogiem. Jeśli facet się nie przyzna i będzie chciał mu utrudnić życie, może wyjść z tego niezły bigos. Słowo jednego z najważniejszych i najbardziej szanowanych ludzi w Utopii przeciwko

393

jego słowu — wścibskiego, przemądrzałego turysty. Zmarszczył czoło, patrząc na jasnowłosą głowę mężczyzny idącego przed nim stanowczym, pewnym siebie krokiem. Zastanawiał się, co też się w niej lęgnie.

xxx

Niespełna godzinę temu w kwaterze ochrony wrzało jak w ulu. Kilkunastu strażników biegało po całym terenie, składało raporty, odbierało telefony, zaglądało ciekawie, żeby zobaczyć niezwykły w Utopii widok więźnia osadzonego w celi. Teraz jednak, kiedy Poole otworzył drzwi wejściowe i prowadził Barksdale'a przez kolorową poczekalnię, ze zdumieniem zobaczył prawie zupełnie wyludnione miejsce. W recepcji stało tylko trzech strażników, dwaj rozmawiali przez telefon, jeden przez radio.

Wsunął jedną rękę między guziki sztruksowej marynarki, drugą chwycił Barksdale'a za łokieć i poprowadził go stanowczym krokiem do kontuaru. Im szybciej to załatwi, tym lepiej. Rozpoznał jednego z ochroniarzy, którego widział wcześniej, czarnowłosego dzieciaka z jasnoszarymi oczami

i śladami po trądziku na twarzy. Nazywał się Lindbergh. Tamten najwyraźniej też go rozpoznał, Poole zobaczył to w jego oczach, w tym, jak odkładał telefon, kiedy podchodzili. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Angus go ubiegł.

— Gdzie jest Allocco? — spytał szybko.

— W Kallisto — odrzekł Lindbergh, spoglądając to na Poole'a, to na Barksdale'a. — Na miejscu wypadku.

— Wypadku?

Chłopak kiwnął głową.

— W Stacji Omega w Porcie Podniebnym.

— Co się stało?

— Nie wiem dokładnie. Coś się zepsuło.

— Słodka Panienko.

Angus natychmiast pomyślał o swojej kuzynce, Soni Klemm, jej mężu, Martinie, i ich trzech pyskatech synach. Wysłał ich z powrotem do Portu Podniebnego, sam zachęcał, żeby spróbowali innych atrakcji. Prawdopodobieństwo było wprawdzie znikome... mimo to musi zapytać.

394

— Są ofiary?

— Dużo. Z tego, co słyszałem, to istne pandemonium.

Poole odwrócił się do Barksdale'a.

— Słyszysz to, draniu? — mruknął, szarpiąc go brutalnie za rękaw. — Wiedziałaś o tym? Ale Barksdale zrobił się błydy jak śmierć. Nie odpowiedział nawet gestem. Wyglądał, jakby nagle odleciał myślami gdzieś bardzo daleko.

Angus odwrócił się z powrotem do Lindbergha, który nadal przeskakiwał wzrokiem z jednego mężczyzny na drugiego.

— Muszę porozmawiać z Bobem Allocco.

Strażnik gapił się na nich bez słowa.

— Powiedziałem, żebyście mi dali porozmawiać z panem Allocco.

Tym razem Lindbergh odwrócił się do ochroniarza rozmawiającego przez radio.

— Hej! Kogo masz na linii?

— Tannenbauma.

— Powiedz mu, żeby poprosił na chwilę pana Allocco.

Ochroniarz powiedział coś do radia, po czym wręczył je Lindberghowi.

— Tylko niech się pan streszcza — powiedział chłopak, podając je Poole'owi nad kontuarem.

— Mają tam urwanie głowy.

Poole wziął od niego radio.

— Rany boskie, co znowu? — zagrzmiał w głośniku głos szefa ochrony.

W tle słychać było kakofonię odgłosów: krzyki, płacz, nieskładne nawoływania.

— Panie Allocco, mówi Angus Poole, pamięta mnie pan?

— Tak. Panie Poole, nie mogę teraz rozmawiać...

— Co się stało?

Pierwsze słowa Boba utonęły w nowym, jeszcze głośniejszym wybuchu wrzawy.

— ...nie wiemy. Jezu, istna jatka.

— Co takiego? To znaczy, że są zabici? Ilu?

— Ciągłe liczymy. Dopiero przyjeżdżają lekarze i sanitariusze.

395

— Tam mogli być moi krewni. Kobieta w czapce czarodzieja, mężczyzna w zielonym podkoszulku i trzech chłopców...

— Panie Poole, nie mam teraz czasu na... — przerwał mu Allocco grobowym głosem, napiętym od tłumionej złości, ale po chwili westchnął głęboko. — Nikogo takiego nie widziałem. Dam panu znać, jeśli zobaczę kogoś z pańskich krewnych. Czy po to chciał pan ze mną rozmawiać?

— Nie, niezupełnie... — Poole urwał niepewnie. — Nie wiem, jak to panu powiedzieć, ale jest

tu ze mną Fred Barksdale i...

— Już wiem o wszystkim.

— Wie pan? — zająknął się Angus na nowo zaskoczony.

— Tak. Andrew Wame złapał mnie przez radio kilka minut temu, kiedy tu szedłem. Powiedział mi, co odkryliście.

— I...?

— I uważam, że to jakiś obłąd, ale nie mam teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zamknijcie Barksdale'a do mojego powrotu, potem się z tym uporamy, ale niech Bóg was ma w swojej opiece, jeśli się mylicie.

— Może pan osobiście wydać rozkaz swoim ludziom? Lepiej, żeby usłyszeli to od pana.

— Niech pan odda komuś radio. Szybciej, człowieku, szybciej.

Angus wręczył radio Lindberghowi.

— Tu Erie Lindbergh.

Z głośnika przy uchu chłopaka dochodziły szczeknięcia szefa ochrony. Szare oczy młodego strażnika zrobiły się okrągłe i powędrowały do Barksdale'a.

— Tak, rozumiem — odparł. — Dobrze.

Opuścił radio i powoli oddał je swojemu koledze, jednocześnie nie spuszczać oczu z Freda.

— Słyszał pan? — spytał Poole.

Lindbergh skinął głową.

— Więc wie pan, co robić. Na wszelki wypadek zamknijcie go w celi.

Strażnik znowu kiwnął głową. Wyglądał na oszołomionego co najmniej tak samo jak Barksdale.

Angus odwrócił się i odciągnął Freda od kontuaru recepcji, po czym popchnął go dość brutalnie przed siebie. Lindbergh dał

396

znak drugiemu strażnikowi, żeby poszedł za nim, wziął pałkę policyjną i otworzywszy drzwi w głębi recepcji za kontuarem, wrócił po pozostałych.

Tam gdzie kończył się teren dla gości, kolorowy wystrój wewnątrz ustąpił miejsca ścianom z szarej cegły i podłodze pokrytej linoleum.

— Będzie pan miał okazję spotkać się ze swoim kumplem — oznajmił Poole, popychając Barksdale'a w głąb korytarza. — Prawdziwy zjazd rodzinny.

Z korytarza wyszli do prostokątnego, niewielkiego przedsionka z drzwiami w każdej ścianie. Jedno wejście, po lewej stronie, różniło się od pozostałych: w ciężkim, stalowym skrzydle widniało małe okienko z wprawioną drobną siatką. Dmgi ochroniarz podszedł do otworu, zajrzał przez siatkę do środka, po czym ostrożnie otworzył celę. Lindbergh, trzymając dłoń na uchwycie pałki, zajął pozycję po drugiej stronie drzwi. Poole zajrzał do środka. Młody haker leżał cały czas na swojej prycy. Na odgłos otwieranego zamka przewrócił się na bok, oparł na łokciu i bez zainteresowania popatrzył na wejście.

Kiedy tu szli, Barksdale wydawał się nieobecny duchem, jakby nie mógł wyjść z szoku. Gdy jednak otworzyły się drzwi celi, zaszła w nim radykalna zmiana. Zajrzał do środka, zobaczył hakera i wyraźnie się przestraszył. Więzień usiadł na prycy, a na jego posiniaczonej, spuchniętej twarzy wykwitł chytry uśmiezek.

— Wchodź — powiedział Poole, popychając Freda do środka.

Potem się cofnął, a dmgi ochroniarz zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz.

Barksdale obrócił się do maleńkiego okienka.

— Nie zamykajcie mnie tu! — zawołał. — Proszę.

— Nie martw się — odrzekł Poole. — Będę niedaleko. Nie spuszczę cię z oka.

Odsunął się od drzwi, splótł ramiona na piersi i patrzył na zakratowane okienko. Dwaj strażnicy również się cofnęli. Kątem oka Angus zobaczył, jak wymieniają spojrzenia.

Obserwacja zachowania obydwu więźniów mogła dostarczyć ciekawych informacji. Cała operacja poszła nadzwyczaj gładko,

397

głównie dzięki temu, że Allocco został już o wszystkim poinformowany przez Warne'a. Gdyby nie

to, sprawy mogły potoczyć się różnie. Wame postąpił bardzo mądrze i dalekowzrocznie. Angus doszedł do wniosku, że chyba jednak gościa nie doceniał.

Barksdale chodził niespokojnie pod tylną ścianą celi, od czasu do czasu rzucając spojrzenia w stronę hakera. Poole obserwował go z rozbawieniem przez okienko. Miałby z tego naprawdę wielką frajdę, gdyby nie dręczyła go sprawa wypadku. Prawdopodobieństwo, że jego kuzynka z rodziną jechała właśnie Stacją Omega, było bliskie zeru. Poza tym, tak czy inaczej, nie mógł im teraz pomóc. Mimo to czuł, że nie zazna spokoju, dopóki nie usłyszy...

— Hej!

To trzeci strażnik stał w połowie korytarza prowadzącego z poczekalni i dawał mu znak ręką.

— Pan się nazywa Poole?

— Tak.

Odwrócił się od okienka i na chwilę zapomniał całkiem o Barksdale'u.

— Ktoś chce z panem rozmawiać przez radio, tu w recepcji.

Poole wrócił do poczekalni i wziął do ręki radio, które podał mu ktoś nad kontuarem.

— Poole, słucham.

Przez chwilę słuchał zrozpaczonych, nieskładnych słów, które wypłakiwano mu w mikrofon.

— Kto mówi? — spytał. — Co? Uspokój się, Terri, uspokój się. Gdzie dokładnie jesteś? Nic ci się nie stało? Nie, nie, zostań tam, zaraz do ciebie przyjdę.

Poole rzucił radio na blat, zakręcił się w kółko i dopadłszy do drzwi, krzyknął w głąb korytarza:

— Lindbergh! Lindbergh!

Na drugim końcu pokazała się czarna czupryna.

— Słucham!?

— Muszę na chwilę lecieć. Wrócę najszybciej, jak się da. Pilnujcie tych dwóch, jasne? Nie spuszczaście ich z oka!

Lindbergh skonsternowany poskrobał się po twarzy.

— Dobrze. Pan Allocco powiedział...

Ale Poole już zniknął.

16.08

To dziwne, ale najgorsza była muzyka: sterylne, eteryczne dźwięki New Age'u, płynące z dziesiątków ukrytych głośników napełniały Kallisto obietnicą spokojnej, świetlanej przyszłości. W normalnych warunkach ledwo ją było słyszeć w zgiełku tysięcy gości, ale teraz w Porcie Podniebnym nie było ani jednego gościa. Ludzi stojących w kolejkach wyprowadzono i zaproponowano im uczestnictwo w innych atrakcjach Kallisto. W wejściu do głównej hali wisiała srebrzysta zasłona, służąca w Utopii do izolowania części parku z różnych powodów wyłączonych z użytku. Chociaż wyglądała lekko i zwiewnie, w rzeczywistości była w stu procentach nieprzejrzysta i pokryta kilkoma warstwami materiałów dźwiękoszczelnych. Przed nią stało na straży dwóch pracowników ochrony ubranych w futurystyczne skafandry kosmiczne.

Bob Alocco chodził po Porcie i wsłuchiwał się w stukot swoich butów na szklistej błękitnej posadzce, wybijających ponury rytm nastrojowej muzyki, która wydawała się okrutnie, diabolicznie wręcz nie na miejscu. Bob chętnie wyrzuciłby ją głowy. Chętnie wyrzuciłby z głowy również inną rzecz: obraz tego, co kiedyś było Stacją Omega. Już teraz wiedział, że ten widok wrył mu się w pamięć na całe życie.

W nocy, kiedy park zamykano i nigdzie nie czekały kolejki pasażerów, wydawało się, że przejście przez Port Podniebny trwa bardzo długo, lecz nigdy tak długo jak teraz. Spojrzał w bok i zobaczył biegnącego ku niemu jednego z dowódców odcinków.

399

— Jaka sytuacja? — zapytał, kiedy mężczyzna się zbliżył.

— Wyprowadziliśmy kolejną partię — odparł ochroniarz, dysząc lekko. — To już wszyscy goście. Cały Port Podniebny jest zabezpieczony.

Po tym, co widział w Gryfowej Wieży, Allocco nie wierzył, aby istniało w Utopii bezpieczne miejsce. Mimo to mruknął z aprobatą. Zważywszy na okoliczności, ewakuacja poszła nadzwyczaj

sprawnie. Nie doszło do paniki, nikt nie protestował, wszyscy goście, czy to wchodzący, czy wychodzący, czy będący właśnie w drodze, kupili historyjkę o próbnym alarmie zarządzonym niespodziewanie przez władze federalne. Zasłonę odgradzającą opuszczono, nie zwracając niczyjej uwagi, wystawiono strażników. Procedurę tę stosowano do tej pory tylko podczas ćwiczeń i najlepszy czas ewakuacji, jaki uzyskano, to cztery minuty. Dzisiaj prawdziwa ewakuacja zajęła im może cztery i pół. W każdej innej sytuacji Allocco byłby bardzo zadowolony.

Niestety, nawet najbardziej sprawne działania nie mogły pomóc pasażerom Stacji Omega.

— Utworzyć trzy patrole po sześć osób — polecił dowódca odcinka.. — Czy stanowisko dowodzenia jest gotowe?

— Przy wejściu do Lotu na Księżyc.

— Dobrze. Niech patrole utrzymują stały kontakt radiowy z punktem dowodzenia i składają raporty co dziesięć minut. Mają obchodzić Port Podniebny, dopóki nie oczyścimy terenu. — Rozejrzał się szybko. — Czy ktoś zauważył coś niezwykłego, zanim doszło do wypadku? Coś dziwnego?

Mężczyzna pokręcił głową.

— Jedna z pracownic przy załadunku pasażerów zauważyła pracownika, którego nigdy wcześniej nie widziała, ubranego w skafander pilota. To wszystko.

Słyszając to, Allocco się ożywił.

— Pracownika w kostiumie? Co takiego sprawiło, że go zapamiętała?

— Powiedziała, że rzadko się widuje pracownika w kostiumie wychodzącego z kabiny razem z pasażerami.

— Jak się nazywa ta kobieta?

— Piper. Stoi tam... z innymi.

400

Allocco zastanawiał się chwilę.

— Roześlijcie po całym Kallisto ludzi po cywilnemu. Po innych krainach Utopii też. Małe grupki, nierzucające się w oczy. Dwa zespoły na krainę, łącznie z Atlantyda.

— W innych krainach? — Mężczyzna uniósł ze zdziwieniem brwi. — Czego właściwie szukamy?

— Czegokolwiek. Zbiorę od nich raporty za pół godziny, wtedy zobaczymy, co dalej.

Idąc w kierunku Lotu na Księżyc, Allocco spojrzął na zegarek. Szesnasta dziewięć. Boże, czy to możliwe, że jest tu dopiero siedem minut? Miał wrażenie, jakby przez te parę chwil postarzał co najmniej o rok.

Kiedy wbiegł na górę po służbowych schodach i wpadł na rampę dla wysiadających, niewidoczną na szczęście z głównego holu Portu Podniebnego, panowało tam istne pandemonium.

Rozgorączkowane ratownicy, pracownicy Stacji Omega biegali, krzycząc rozpaczliwie, niektórzy wstrząśnięci do nieprzytomności. Ale sytuacja była jeszcze wtedy inna, jeszcze wierzono, że można kogoś uratować. Siedem minut później atmosfera zmieniła się radykalnie. Cały teren Portu Podniebnego spowiał niewidoczny, żalobny całun.

Tylko ta przeklęta muzyka pozostała ta sama.

Wokół utworzonego naprędce stanowiska dowodzenia zebrał się mały tłumek. Podchodząc, Allocco zobaczył przedstawicieli działu kontaktów z gośćmi, operacyjnego, personalnego. Wszyscy skupili się tu, byle z dala od miejsca wypadku. Wszyscy pobladli, wszyscy z tym samym wyrazem niedowierzania na twarzach. Gdyby była tu Sarah, musiałaby...

Zdał sobie sprawę, że do reszty zapomniał o Sarah i Sali Luster Holo. Z troską pomyślał, co się z nią dzieje, ale zaraz na jednym z przyniesionych biurek rozdzwoniło się naraz kilka telefonów i Malcolm Griff, szef działu kontaktów z gośćmi, pociągnął go za rękaw.

— Tak? — spytał Bob, odwracając się do niego.

— Mam ten raport w sprawie ograniczenia rozprzestrzeniania się informacji — odrzekł Griff, przekrzykując dźwięk dzwonek.

— Dobra, mów.

401

— Wygląda na to, że wersja o próbnym alarmie działa. Nie miałem doniesień o żadnych poważniejszych punktach zapalnych.

— To dobrze.

Oczy Allocca nieustannie śledziły otoczenie. Słuchając, widział swoich ludzi odbierających telefony, innego pracownika ochrony rozwijającego ze szpuli kabel światłowodowy, dowódcę odcinka wyprawiającego pierwszy patrol.

— Z pomocą działu operacyjnego staramy się sprowokować przepływ gości z Kallisto do innych krain. Spowolniliśmy ruch w portalach, żeby przyspieszyć rozpraszanie się świadków, nie dopuścić do nawarstwiania informacji.

— Tak, tak.

Rozpraszanie świadków, nawarstwianie informacji — w dziale kontaktów z gośćmi ubóstwiali ten cały żargon, sypali nim gęściej niż na zjeździe socjologów. Mimo to Allocco wyczuwał, że facet trzyma coś w zanadrzu. Powstrzymał swój rozbiegany wzrok i skupił go na Griffie.

— Co jeszcze?

Mężczyzna milczał niepewnie.

— Rozstawiliśmy naszych ludzi przy wyjściach, kiedy goście opuszczali Port Podniebny, no wiesz, żeby oszacować nastroje, podsłuchać, o czym mówią.

— No i...?

— Jeden z naszych usłyszał, jak dwie osoby rozmawiały o jakimś turyście kręcącym się po zapleczu Stacji Omega, rzekomo szukającym łazienki. Jednej z kobiet mignął w korytarzu prowadzącym ze Stacji Omega tuż przed zamknięciem terenu.

— Mignął?

— Tak, ale z tego, co usłyszał nasz pracownik, brzmiało to całkiem precyzyjnie.

Rany boskie, tylko tego nam jeszcze brakuje, pomyślał Allocco.

— Masz rysopis tej kobiety?

Griff pokręcił głową.

— Jakies podobne zgłoszenia?

— Nie, tylko to jedno.

Oczy Allocca znów zaczęły wędrować po holu. Zauważył

402

Toma Rose'a, szefa infrastruktury, wychodzącego z zaplecza Portu Podniebnego

— Musimy mieć nadzieję, że to się nie rozniesie. Ludzie zawsze opowiadają takie rzeczy, przy odrobinie szczęścia uznają to za jeszcze jedną spiskową teorię dziejów. Ale niech twoi ludzie nie przestają kręcić się między gośćmi i mają oczy i uszy otwarte. Chcę wiedzieć, jeśli ta historyjka gdzieś jeszcze wypłynie.

Griff skinął głową po czym odwrócił się i odszedł szybkim krokiem w stronę telefonów.

W stronę Boba szedł Tom Rose. Twarz miał pobladłą powoli stawiał kroki, na kołnierzyku koszuli widać było plamy potu.

— Tom — odezwał się do niego Allocco, skinąwszy ponuro głową.

Szef działu infrastruktury odpowiedział mu tylko spojrzeniem.

— Masz już jakiś pomysł, co się stało?

Rose przygryzł wargę, jakby się nad tym zastanawiał.

— Wysłałem na miejsce inspektorów technicznych i inżynierów. Badają sprawę.

Przerwał. Allocco czekał.

— Na razie nie są pewni, jak do tego doszło, ale wszystko wskazuje na to, że powodem nie było przegrzanie, jak sądziliśmy z początku, tylko zabezpieczenia.

— Zabezpieczenia?

Rose kiwnął głową. Wyglądał, jakby miał za chwilę wybuchnąć płaczem.

— Znasz hydrauliczny system hamowania w Stacji Omega, wiesz, jakiego daje kopa po stu metrach spadku swobodnego? Jest pienińsko skomplikowany, nie dało się tego uniknąć, skoro ruch jest napędzany mechanizmem wtryskowym.

Rose mówił coraz szybciej, jakby chciał już mieć te bolesne wyjaśnienia za sobą.

— Widziałem specyfikacje, mów dalej.

— Wygląda to tak, jakby odwrócono normalny tryb działania. System hamujący nie włączył się na końcu spadku, tak jak powinien, tylko na początku, na górze, dokładnie kiedy wtryskiwacz próbował ruszyć kabinę z miejsca.

403

— I co dalej?

— No cóż, włączyły się wszystkie siły próbujące pchnąć kabinę w dół i jednocześnie wszystkie, które starały się ją zahamować... Wytworzyła się ogromna ilość ciepła.

— Jaka ilość?

Allocco natychmiast pożałował, że zadał to pytanie. Rose chyba również.

— Moi ludzie oszacowali temperaturę na blisko pięćset stopni Celsjusza. I ciepło uchodziło... przedostawało się... — nie dokończył.

— Do kabiny pasażerskiej — dokończył za niego Allocco.

Zapadła krótka, okropna cisza.

— Ale jak mogło do tego dojść? — spytał Bob.

Usta Toma zadrżały.

— Zaprojektowaliśmy tę konstrukcję z potrójnymi zabezpieczeniami w porównaniu z oryginalną specyfikacją.

— No i co?

— Nie rozumiesz? Naszą główną troską było bezpieczeństwo. Zrobiliśmy wszystko, aby było niezawodne, co nie znaczy odporne na... ingerencje.

Nagle Allocco zrozumiał, czego Rose nie chciał mu powiedzieć wprost. Zabezpieczenia Stacji Omega zostały wykorzystane przeciwko niej samej. Z istic szatańską przewrotnością.

— Jak to było możliwe? — zapytał.

— Jeśli ktoś wiedział dokładnie, co ma robić, sprawa była stosunkowo prosta. Odwrócić kilka przełączników, zmienić okablowanie w jednym z pulpitów sterowniczych, kilka minut roboty. Ale regulator bezpieczeństwa trzeba było przestawić na sterowanie ręczne. To już zadanie dla systemu i dużo bardziej skomplikowane. Trzeba do tego najwyższych uprawnień i tak dalej.

Allocco cofnął się o krok i zacisnął zęby. Oczami wyobraźni widział Johna Doe przebiegającego palcem po wykradzonych schematach wszystkich urządzeń Utopii i zastanawiającego się, które z nich najłatwiej będzie sabotować. I zobaczył coś jeszcze: intruza w skafandrze pilota wahadłowca, tego samego, którego widziała pracownica Portu Podniebnego, jak wychodził ze Stacji Omega tuż przed wypadkiem. Przypomniawszy sobie, co mówił

404

Poole o złapanym hakerze: że siedział w węźle i wpisywał coś do ostatniej chwili, nawet kiedy się zbliżali. Jakby musiał dokończyć coś ważnego, zanim... Jak przez mgłę dotarło do niego, że Tom Rose coś jeszcze mówi.

— Słucham? — zapytał, odwracając się.

Rose płakał.

— Kto? — zapytał szeptem. Łzy płynęły mu niepowstrzymanie po policzkach. — Kto mógł zrobić coś takiego? I po co?

Allocco nie mógł znieść jego błagalnego spojrzenia. Odwrócił się. John Doe kazał im zachować tajemnicę. Ale to John Doe był sprawcą tej rzezi, więc pieprzyć Johna Doe.

— Mamy dzisiaj w parku bardzo złych ludzi, przyjacielu — powiedział cicho.

Kiedy się odwrócił, Rose'a nie było.

Westchnął, zamrugał, otarł czoło przedramieniem. Dopóki nie przyjdzie Sarah, na nim spoczywa odpowiedzialność za całą operację ratunkową. Po raz piąty chyba przebiegł w myślach zasady stanu podwyższonej gotowości w sytuacjach kryzysowych. Rozmawiał już z przedstawicielami ochrony, infrastruktury, kontaktów z gośćmi. Pozostał jeszcze dział medyczny i ekipy ratunkowe. Ale w tym celu musiałyby wrócić na miejsce wypadku. Był tam już raz i naprawdę bardzo, ale to bardzo nie chciał tego przeżyć na nowo.

Westchnął znowu, wyjął z kieszeni pomadkę ochronną i posmarował usta. Potem rozejrzył się

bardzo powoli, jakby szukał pokrzepienia w złudnej ciszy zalegającej w Porcie Podniebnym. W końcu ruszył brzegiem holu w stronę wyjścia ze Stacji Omega i wstąpił do piekła.

xxx

W korytarzu prowadzącym do wyjścia ze Stacji Omega unosił się zapach pieczonego mięsa. U podnóża szybu rozłożono wielki, podłużny namiot z przezroczystego plastiku, zasłaniający miejsce, gdzie w końcu, po przełączeniu ręcznego sterowania mechanizmów zabezpieczających i odcięciu prądu, zjechała kabina i otwarto drzwi do przedziału pasażerskiego. Allocco poczuł ulgę na widok rozpostartego namiotu. Mniej tu było słychać muzykę,

405

i to również stwierdził z zadowoleniem. Mimowolnie przypomniał sobie moment, gdy po raz pierwszy zobaczył te otwarte drzwi i wystawione bezlitośnie na widok publiczny groteskowe kłębowisko rąk i nóg ze śladami spalonych koszulek, spodni, butów...

Przystanął, kiedy ten obraz przewijał mu się przed oczami. Potem zmusił się, aby zrobić następny krok w kierunku namiotu. Teraz będzie lepiej. Teraz zaprowadzono tam przynajmniej jakieś pozory porządku.

Po jednej stronie namiotu zobaczył wieszak na kółkach, przywieziony pośpiesznie z kostiumami. Z górnego drążka zwisało kilkadziesiąt wielkich czarnych pokrowców na ubrania. Połowa wieszaka była już pusta.

Z boku stały rzędem urządzenia do reanimacji i podtrzymywania życia, za nimi wózki do przewożenia pacjentów — wszystkie puste, bezużyteczne. Minął go fotograf wracający szybkim krokiem od strony windy. Twarz miał pozieleniałą zastygłą na jednym ramieniu wisiał mu aparat fotograficzny, na drugim kamera. Dookoła kręcili się grupkami ludzie: pracownicy Stacji Omega, mechanicy, członkowie ochrony. Z różnych stron dochodziły odgłosy szlochania, ale mniej niż poprzednio. Większość pracowników stacji siedziała zbита w grupkę, ze spuszczoneymi głowami. Allocco rozpoznał wśród nich operatora wieży, Di-ckinsona, i kierownika stacji, Stevensa. Odnotował w pamięci, aby przed wyjściem znaleźć Piper i wysłuchać jej relacji. Doszedł go czyjś głos. To młoda pracownica obsługująca rampę dla wysiadających opowiadała tę samą historię, którą Allocco już słyszał. Łamanym głosem powtarzała to wciąż na nowo, jakby nie mogła się powstrzymać. Zerknął w tamtą stronę. Obok niej siedziała pielęgniarka i wycierała jej szmatką twarz i ręce.

— Było tak cicho, kiedy zjechała kabina, tak cicho — mówiła. Rękaw metalicznego żakietu miała podciągnięty, wokół ramienia owinięty ciśnieniomierz. — Po tych wszystkich krzykach nagle nic, nic, nie mogłam zrozumieć dlaczego, wiedziałam tylko, że coś się stało, coś okropnego. A potem otworzyły się drzwi i... i oni leżeli tam jedni na drugich i wypadli prosto na mnie... Na mnie! I było tak cicho, tylko oni wypadali i... o Boże...

406

I wstrząsnął nią rozdzierający, bezgłówny szloch. Pielęgniarka pogładziła ją po pochylonej głowie i coś szepnęła. Jeden z siedzących podniósł się i na sztywnych nogach poszedł w kąt holu. Do Allocca dobiegły odgłosy wymiotowania.

Zacisnął zęby i minąwszy posterunki ochrony, odchylił plandekę i wszedł do namiotu. Pod plastikową osłoną zapach spalonych ciał był silniejszy niż na zewnątrz. Nosze ułożono w dwóch rzędach, aby usprawnić prace przy zwłokach. Kiedy Allocco przyszedł tu pierwszy raz, lekarze i sanitariusze, poinformowani o dużej liczbie ofiar wypadku, przygotowywali się na segregowanie rannych, udzielanie pierwszej pomocy, teraz jednak wszyscy, którzy gotowi byli ratować ludzkie życie, mogli tylko pomagać w układaniu zwłok, tak aby zapewnić im jak najwięcej godności. Kierownik działu medycznego, doktor Finch, stał na początku lewego rzędu i pochylał się nad jednym z plastikowych worków. Tak jak inni, miał na rękach rękawiczki gumowe, a na twarzy dwie maski ochronne. Bob podszedł do niego, starając się ze wszystkich sił nie spoglądać w kierunku drugiego końca namiotu, gdzie pod otwartymi drzwiami windy plandeka przykrywająca podłogę wybrzuszała się niepokojąco.

— Jaka jest sytuacja? — zapytał, podchodząc do lekarza.

Doktor Finch zasunął worek, zanotował coś w tabeli i odwrócił

się do niego.

— Lecą już śmigłowce ratownicze ze szpitala Columbia Sun-rise i Lake Mead.

— Kiedy tu będą?

Nad maską widać było wyczerpane, zaczerwienione oczy lekarza.

— Za jakieś dwadzieścia minut.

Nawet gdyby już tu byli, toby nie miało najmniejszego znaczenia, pomyślał Allocco. Bardziej przydałby się oddział koro-nerów.

— Skontaktowaliśmy się z biurem szeryfa i okręgowym zakładem medycyny sądowej z Clark

— ciągnął doktor Finch. — Przyślą tu ludzi za pół godziny, góra czterdzieści minut.

407

Allocco kiwnął głową. Zastanawiał się, co powie John Doe, kiedy zobaczy zlatującą się do Utopii połowę umundurowanych funkcjonariuszy Nevady. Doszedł jednak do wniosku, że ma to gdzieś.

— Jak tu wygląda procedura? — spytał, wskazując ręką rzędy noszy.

Chociaż utopijne instrukcje postępowania w nagłych wypadkach były wyjątkowo obszerne, nigdzie nie przewidziano takiej sytuacji jak ta.

— Porządkujemy jedynie miejsce i przygotowujemy ciała do identyfikacji.

— Znacie już ostateczną liczbę?

System automatycznego liczenia pokazał, że zanim zamknęły się drzwi, do Stacji Omega weszło sześćdziesiąt jeden osób, ale zawsze istniała nadzieja, że rachunek był nieprawidłowy, że w rzeczywistości do windy wsiadło mniej ludzi.

— Nie. Nie w czymś takim. — To powiedziawszy, Finch ledwie zauważalnym gestem głowy wskazał przykrytą plandeką górę piętrzącą się na drugim końcu namiotu. — Jak na razie przygotowaliśmy dwadzieścia siedem ciał.

Dwadzieścia siedem, pomyślał Allocco. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w ciągu dziesięciu lat we wszystkich parkach rozrywki w Stanach Zjednoczonych zginęło w wypadkach dwadzieścia jeden osób. W zeszłym roku odnotowano pięć ofiar, dzisiaj w jednej, niewyobrażalnej tragedii ponad dziesięć razy więcej. To zdarzenie przejdzie do historii i będzie wisieć nad parkiem do końca jego istnienia. Ilekroć zamkną się z sykiem drzwi niebezpiecznej kolejki lub windy, ludzie już zawsze będą się zastanawiać, czy to się może powtórzyć: nagły przystanek, ciemność, panika i bezlitosny, nieopisany żar...

Otrząsnął się.

— Dziękuję, doktorze. Nie zatrzymuję pana. Dopóki nie zjawi się ktoś z wyższych władz, będę nadzorował akcję ze stanowiska dowodzenia przed namiotem. Gdybyście czegoś potrzebowali, dajcie mi natychmiast znać.

Lekarz na chwilę zatrzymał na nim wzrok, po czym wrócił do swojej tabeli. Allocco odwrócił się, omiół spojrzeniem wną-

408

trze namiotu. Na drugim końcu mężczyzna w kombinezonie ochronnym podnosił z noszy zapięty pokrowiec. Był wyraźnie lekki, nie mógł ważyć więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilogramów. Mężczyzna cofnął się, obrócił i delikatnie położył worek na końcu długiego rzędu podobnych pakunków. Następnie podszedł do plandeki okrywającej drzwi kabiny i uchylił jej brzeg, aby sięgnąć do środka. Bobowi zdążyło tylko mignąć coś jasnego i lśniącego jak gotowany homar, zanim odwrócił się i wyszedł z namiotu.

16.10

Miał wrażenie, jakby chodził tak od godziny: osiem kroków w jedną stronę, obrót, osiem kroków z powrotem. W rzeczywistości nie minęło prawdopodobnie więcej niż pięć minut. Starał się za wszelką cenę nie myśleć. Myślenie było zbyt bolesne. Pomimo ogromnych wysiłków, przygniatały go wstyd, gniew, strach, osłupienie i żal.

Jego współwzięcie jakiś czas temu położył się z powrotem na plecach i zamknął oczy. Chociaż Barksdale widywał go na spotkaniach przygotowawczych, nie znał jego imienia ani nazwiska. Był po prostu Hakerem Jackiem i tyle. Nie znał zresztą żadnych nazwisk, tylko pseudonimy — Bawół, Candyman albo ten naprawdę przerażający facet — Twardziel. Fred zawsze czuł się bezpieczniej z

tą anonimowością jakby niewiedza miała go przed czymś ochronić. Teraz już nie był tego taki pewien.

Kiedy ni stąd, ni zowąd zjawił się ten dziwaczny gość w sztruksowej marynarce i podstępnie wywabiał go z gabinetu zmyśloną historyjką o SOW, a potem pokazał mu pistolet, Barksdale po prostu zamknął się w sobie. Napięcie, które narastało w nim od tygodnia, nagle w dziwny sposób opadło, a zastąpiła je ulga. Już po wszystkim. Na lepsze czy gorsze, ale po wszystkim.

Jednak zanim jeszcze weszli do siedziby ochrony, otepienie ustąpiło miejsca okropnej rozterce. Nienawidził siebie za to, że to wszystko zaczął, za to, że dopuścił, by sprawy wymknęły się spod kontroli, by John Doe omamił go i zarazem nastraszył,

410

i doprowadził do tak żalnego końca. A teraz wiadomość o ofiarach wypadku w Kallisto przesywała mu serce jak sztylet. Mimo to bardzo się starał nie okazać zaskoczenia, kiedy otworzyli drzwi celi i zobaczył leżącego na pryczy Hakera Jacka. Wiedział, że jakkolwiek gest zadziała przeciwko niemu. Chociaż cierpiał i nienawidził siebie, nie porzucał nadziei, że w jakiś sposób uda mu się z tego wykręcić.

Haker Jack otworzył oczy, przez chwilę patrzył na krążącego Freda.

— No i jak tam Lakersi? — spytał.

Nie usłyszał odpowiedzi na swoje dziwaczne pytanie. Barksdale tylko przyspieszył kroku i dalej krążył od ściany do ściany.

— Widzisz przed sobą człowieka, którego Fortuna potraktowała okrutnym podrapaniem * — powiedział do siebie, ale na tyle cicho, żeby tamten go nie słyszał.

Prawdę mówiąc, nie był do końca szczery, kiedy rozmawiał z Sarah w ośrodku medycznym. W rzeczywistości przyszły mu na myśl pewne słowa Szekspira: Być może zwróci się to ku dobremu**. Lecz zostały one wypowiedziane w tak niestosownych okolicznościach i przez tak nieodpowiednią osobę — Klaudiusza, mordercę ojca Hamleta — że nie mógł się zdobyć, by je wypowiedzieć na głos.

O, jak ohydną jest ma zbrodnia, cuchnie aż ku niebiosom. ..***.

Odsunął od siebie te myśli. Dzisiaj nie znajdzie pocieszenia w Szekspirze.

Jak do tego wszystkiego doszło? Wydawało się to takie proste, wszystkie kawałki układanki same wpadały na miejsce, prawie jakby ktoś je specjalnie dla niego zaprojektował.

I w gruncie rzeczy tak było. Zrobił to John Doe.

Zaczęło się od wielkiego gniewu. Mimo że był idealnym kandydatem na dyrektora działu operacyjnego Utopii, pominięto

* William Shakespeare Wszystko dobre, co się dobrze kończy, akt I, scena 2, przeł. Stanisław Barańczak.

** William Shakespeare Hamlet, akt III, scena 3, przeł. Maciej Słomczyński.

*** Ibidem, akt III, scena 2, przeł. Maciej Słomczyński.

411

go podczas nominacji. Jeszcze bardziej wzburzyło go, że zarząd spółki zatrudnił na to miejsce osobę z Carnegie-Mellon. Nienaganne rekomendacje Sarah Boatwright — doświadczenie na stanowiskach dyrektora administracyjnego parku Bush Gardens i wiceprezesa zarządu firmy produkującej mikrochipy w Dolinie Krzemowej — nie miały najmniejszego znaczenia dla rozwścieczonego Barksdale'a. Tamci szukali człowieka spoza parku. Chuck Emory, ta arogancka świnią, nigdy go nie lubił. Mało brakowało, aby oburzony Fred odszedł z Utopii. Wtedy jednak przyszło mu coś do głowy, coś znacznie lepszego niż porzucenie pracy.

Z początku po prostu lubił się bawić tą myślą niczym intelektualnym wyzwaniem, które uznał za nadzwyczaj zajmujące, i postanowił sprawdzić, czy potrafiłby mu sprostać. Dopiero gdy się zorientował, jak genialne i proste zarazem jest rozwiązanie i że to właśnie on i tylko on na stanowisku szefa działu informatycznego mógł je wcielić w życie, zaczął je traktować poważniej. Kluczem do sukcesu była wszechobecna automatyzacja wszystkich procesów w Utopii, począwszy od czujników ruchu śledzących przepływ i zagęszczenie gości w poszczególnych miejscach parku, poprzez komputery monitorujące i regulujące natężenie światła, temperaturę i wilgotność

powietrza, ciśnienie wody i niezliczone inne parametry otoczenia; a skończywszy na systemie dokonującym wszelkich transakcji finansowych.

Zwłaszcza ten ostatni — system operacji finansowych był prawdziwym arcydziełem. Kiedy Fred nadzorował jego tworzenie, a potem wdrażanie, jako wzorzec wykorzystał sieć rzymskich dróg, które niegdyś przecinały tereny Europy i Azji. W gimnazjum fascynował się tymi idealnie prostymi, brukowanymi, ujednoczonymi konstrukcjami. Via Domitia, Via Aurelia, Via Appia i niezliczone inne trasy wszystkie wiodły do jednego miejsca — milliarium aureum, złotego kamienia milowego na Forum Ro-manum.

Za pomocą kart wstępu i lokalnych kart kredytowych dla gości Utopia usiłowała w miarę możliwości uwolnić się od

412

papierowych pieniędzy, mimo to w całym parku w wielu miejscach — sklepikach zjedzeniem, straganach z pamiątkami i podkoszulkami, kasach gotówkowych — obracano gotówką. Przede wszystkim zaś, w przeciwieństwie do innych parków rozrywki, Utopia prowadziła cztery wielkie kasyna, których niezliczone automaty do gier, do pokera wideo, stoliki do black jacka i ruletki przyciągały morze gotówki.

System operacji finansowych ściągał pieniądze nawet z najdalszych miejsc parku i przysyłał bez żadnej ludzkiej ingerencji do podstacji poboru i transakcji, by wreszcie zdeponować je w głównym skarbcu na poziomie C — Forum Romanum Utopii. Stamtąd, regularnie jak w zegarku, raz w tygodniu wywożono je pod eskortą samochodem opancerzonym. Wszystko przebiegało automatycznie, niezależnie i pod kontrolą systemu. Nic nie mogło przerwać tego tygodniowego cyklu poboru i przewozu pieniędzy poza dyrektorem działu operacyjnego. Jedynie telefon Sary Boatwright mógł odwołać kurs samochodu opancerzonego. A Sarah wykonałaby taki telefon tylko wtedy, gdyby istniało realne zagrożenie dla bezpieczeństwa i integralności parku.

Kurs opancerzonej ciężarówki przewoźnika wybranego przez Utopię, czyli American Armored Security, mogła odwołać tylko Sarah Boatwright, ale do obowiązków Barksdale'a należało zablokowanie wewnętrznego procesu operacji finansowych, czyli faktycznego przekazania pieniędzy. Gdyby zostało to przeprowadzone odpowiednio sprytnie, pracownicy systemowi na poziomie C nawet by się nie zorientowali, że prawdziwy samochód nie odebrał pieniędzy, ponieważ Fred nie wykonałby, czy raczej nie przekazał rozkazu Sarah. Na nim informacja by się zatrzymała. Kiedy więc podjechałby podstawiony samochód, w ciągu kilku minut załadowano by go i odesłano w drogę z zawrotną sumą stu milionów dolarów, bo taki był przeciętny tygodniowy utarg Utopii. Barksdale przystanął. Sto milionów dolarów. Gdyby miał być ze sobą całkiem szczerzy, musiałby przyznać, że szlachetne oburzenie nie było jedynym jego motywem. Przynajmniej w tym samym stopniu były nim również pieniądze.

413

Maniery brytyjskiego arystokraty, z jakimi się obnosił zarówno wobec podwładnych, jak i zwierzchników, stwarzając pozory swego szlacheckiego urodzenia, były zwyczajnym oszustwem. Dorastał w nędznym bliźniaku w Clapham, czytał stare książki, które śmierdziały stęchlizną i wyobrażał sobie, że jest jednym z tych młodych szczęściarzy uczęszczających do Eton, Harrow lub Sandhurst. Myśl o zarabianiu na życie wydawała mu się niesmaczna i poniżająca. Bez wątpienia jego prawdziwym powołaniem były deski szekspirowskich teatrów, jak Giełguda lub O'liviera. Rzecz jasna, rodzice nie mieli pieniędzy na takie dziecinne fanaberie, choć wykazywał niewątpliwy talent aktorski. Otrzymał stypendium w Wyższej Szkole Technicznej w Canter-bury, gdzie wkrótce odkrył u siebie inne zdolności — w dziedzinie informatyki. Po studiach zapewnił sobie dobrą pracę w zarządzaniu systemami w Stanach Zjednoczonych i od tamtej pory jego kariera przebiegała w zawrotnym tempie. Niebawem przekonał się, że posiada kolejny dar: roztaczania wokół siebie aury brytyjskiego arystokraty. Pomagały mu w tym zdolności aktorskie i przyrodzone upodobanie do wszystkiego, co wyrafinowane. Nikt nigdy nie zakwestionował jego arystokratycznych manier i niebawem Barksdale sam również przestał w nie powątpiewać, zaczął więc sobie dogadzać w sposób, na jaki zawsze w swym mniemaniu zasługiwał.

Co okazało się nader kosztowne. Jego długi rosły w zastraszającym tempie, a tymczasem rzeczy,

musi lepiej poznać lub jakich kopii schematów potrzebuje. Zajął się zwerbowaniem Toma Tibbaldia do mniej ważnych zadań na terenie parku. To również on dojrzał w przedsięwzięciu możliwości, o jakich Barksdale'owi nawet się nie śniło. Początkowo chodziło tylko o pieniądze, niebawem jednak stawka urosła niebotycznie. Doe pokazał Barksdale'owi, jak mogą wykorzystać podstęp, który przekona Sarah Boatwright do wszczęcia procedur alarmowych, między innymi odwołania kursu wozu opancerzonego American Armored Security, i pozwoli wyłudzić technologię Tygła, wartą więcej niż sama gotówka. Wszystko miało pójść szybko i niemal bez wysiłku. A co najlepsze, bez przemocy.

Szczerze mówiąc, aż do tamtego momentu zastrzeżenia Barksdale^ wcale nie dotyczyły samego parku, lecz Sarah Boatwright, kobiety, której kiedyś nienawidził za to, że zajęła jego stanowisko. Nigdy nie zamierzał obdarzyć jej innym uczuciem, nie był nawet pewien, jak do tego doszło. Nie była w jego typie — taka pewna

416

siebie, taka amerykańska. Nie czynił żadnych szczególnych wysiłków, aby ją oczarować, był po prostu sobą lecz, co dziwne, to właśnie na nią zadziało. Fascynujące, jak ich związek rozwijał się pomału wraz z jego planami wobec parku. Prawdopodobnie, gdyby jedno — uczucie lub spisek — zrodziło się dużo wcześniej, do drugiego nigdy by nie doszło. Ponieważ jednak rozwijały się równocześnie, Fred czuł się coraz bardziej rozdarty. Za każdym razem jednak, kiedy podjął decyzję, aby odwołać akcję, John Doe znajdował sposób, aby odwieść go od tego zamiaru — przekonywał, pochlebiał mu, kusił perspektywą bogactwa lub wykazywał, jak płonne są jego obawy. I Barksdale uświadamiał sobie, że tamten ma rację. Może kiedy już będzie po wszystkim, uda mu się dotrzeć jakoś do Sarah i wszystko jej wyjaśnić. Lubił nawet wierzyć, że zdoła ją namówić, aby do niego przyjechała. Madera jest piękną wyspą zielonym samorodkiem rajy na lazurowym oceanie i...

Jego myśli zabrnęły w bolesny zaułek. Potrząsnął głową i znów zaczął chodzić od ściany do ściany. Mało brakowało, aby tam, nad łóżkiem Georgii, wszystko jej wyznał. Już otwierał usta, aby błagać ją o wybaczenie i namawiać do wspólnego wyjazdu. Teraz jednak, w tej zimnej, nagiej celi rozumiał, że się ludził. Sarah nigdy nie potrafiłaby mu wybaczyć takiej zdrady — wobec siebie, a co być może dla niej jeszcze ważniejsze — wobec parku. Mógł mieć tylko nadzieję, że znajdzie szczęście bez niego, może wbrew jej własnym zapewnieniom, z Andrew Warne'em.

Przypomniało mu się, co mówiła o Johnie Doe: że sprawiał wrażenie, jakby zaglądał jej w duszę, jakby dokładnie wiedział, co chce usłyszeć. Z nim było to samo. John Doe objawił mu się jako ktoś, kim Barksdale w skrytości ducha zawsze pragnął być. Jego referencje były bez zarzutu, traktował Freda jak równego sobie pod względem pozycji społecznej i inteligencji. Jakże go zaskoczyło, kiedy się zorientował, że ten prawdziwie kameleonowy pokaz jego towarzysza był tak samo fałszywy, jak referencje prawdziwe.

Wkrótce czekały go i inne niespodzianki. W kolejce Notting Hill omal nie zginął chłopiec — nic takiego nie miało się zdarzyć.

417

John Doe okazywał skruchę, zapewniał, że nie będzie więcej żadnych potknięć. A największa niespodzianka wyszła na jaw dzisiaj, kiedy Andrew Warne zjawił się w parku tydzień wcześniej, niż było to umówione.

Rzecz jasna, prędzej czy później, należało się tego spodziewać. W końcu to ich plan sprawił, że Wame musiał przyjechać, aby naprawić metasieć. Barksdale sam wpadł na pomysł, by ludzie Johna Doe podali się za przedstawicieli SOW i wprowadzili do systemu wimsy. Doe rozwinął ten spisek i zaproponował, aby Haker Jack udawał, że próbuje z zewnątrz sforsować zabezpieczenia Utopii. Naturalnie jego ataki się nie powiodły, ale odniosły oczekiwany skutek — władze parku zażądały natychmiastowych przeciwdziałań. To pozwoliło Barksdale'owi wezwać ludzi z SOW, czy raczej podstawionych ludzi z fałszywej SOW, na wyraźne życzenie zarządu, dzięki czemu znalazł się poza wszelkimi podejrzeniami. Ponieważ ludzie ze spółki mieli obsesję na punkcie tajności, zobowiązali go do przeprowadzenia niezbędnych rozmów osobiście. Utopia miała dziesięciodniowy cykl rozliczeniowy, więc w końcu ktoś by się zaczął dziwić, czemu SOW nie przysłała rachunku za swoje usługi. Wtedy jednak zarówno cała akcja, jak i udział Barksdale'a wyszłyby już dawno na

jaw, a on sam byłby daleko stąd.

Wame miał przyjechać tydzień później, tymczasem zjawił się właśnie dzisiaj, w najgorszym możliwym dniu na niespodzianki. Wtedy właśnie Freda po raz pierwszy ogarnęły złe przeczucia. Potem John Doe zmienił swe przyjazne zapewnienia w przerażające groźby. Nie próbował już maskować swoich prawdziwych zamiarów. Nawet jego szekspirowskie aluzje nabrały cynicznego, ironicznego zabarwienia. Fredowi nie pozostało nic innego, jak kontynuować operację, pomimo uczucia, że...

Z korytarza doszedł hałas. Haker Jack wracał z łazienki. Sporo mu to zajęło, pomyślał Fred obojętnie. W zamku zagrzechotał klucz, otworzyły się drzwi. Odwrócił się i zobaczył w progu Lindbergha. W jednej ręce trzymał pałkę, drugą chwycił klamkę. Obok niego stał Haker Jack. Tym razem dłonie miał nie przed sobą lecz za plecami.

Na oczach Barksdale'a wyrzucił ręce przed siebie i podniósł

418

je nad głowę strażnika. Między jego dłońmi rozciągał się cienki metalowy przewód, który załśnił dziwnie, niczym świeżo umyty. Czas jakby stanął w miejscu, a Fred doznał nagłego olśnienia, że nie chce wiedzieć, gdzie ten drut był ukryty.

Haker Jack błyskawicznie opuścił dłonie i przewód zniknął na szyi Linbergha. Strażnik odruchowo poderwał ręce do góry, charcząc i krztusząc się. Pałka upadła na podłogę i zatrzymała się w wejściu do celi. Barksdale patrzył osłupiały z grozy. Ochroniarz rzucił się najpierw w jedną stronę, potem w drugą ale napastnik stał tuż za nim z jedną dłonią skrzyżowaną na drugiej i zatapiał garotę coraz głębiej w gardle ofiary.

Po chwili delikatnie zmniejszył nacisk. Lindbergh zaczął kasłać i charczeć, rozpaczliwie łapiąc powietrze, jego dłonie opadły bezwładnie. Nie puszczając garoty, Haker Jack zbliżył usta do jego ucha.

— Gdzie jest moja torba? — spytał.

1 — Szafka... — wysapał. — W szafce.

— Gdzie?

Lindberg pokazał oczami w stronę korytarza.

— Zamknięta?

Purpurowa twarz ledwo dostrzegalnie kiwnęła potakująco.

— Kluczyki?

— ...kieszeni...

— Wyjmij.

Strażnik opuścił rękę. Nie mógł spojrzeć w dół, więc dłoń przesuwała się po omacku. Barksdale patrzył osłupiały, jak palce chłopaka zadrgały i obmacują pasek. Poczł falę nowej nadziei, tym słodszej, że niespodziewanej. Więc jednak mu się uda. Uda mu się z tego wygrzebać.

Lindbergh znalazł w końcu łańcuszek z kluczami i wziął go w dwa palce. Metal brzęczał głośno w jego drżącej dłoni.

— Który to?

Z wysiłkiem chłopak podniósł łańcuszek do oczu, przerzucił kilka kluczy i pokazał właściwy.

Haker Jack przyjrzał mu się uważnie.

— Chybabyś mnie teraz nie nabierał, co?

Lindbergh raz pokręcił głową.

419

— To dobrze.

I stęknawszy z wysiłku, więzień ponownie zacisnął garotę. Ochroniarz szarpał się rozpaczliwie, drapał rękami po szyi, wierzgał nogami i ślizgał się po podłodze. Haker z trudem utrzymywał równowagę, wyginając ciało chłopaka do tyłu i jeszcze mocniej ciągnąc za drut. Powietrze wypełnił okropny charkot.

Barksdale'a jakby raził piorun.

— Nie — wymamrotał.

Haker Jack nieubłaganie zaciskał drut coraz mocniej, twarz wykrzywiła mu się z wysiłku.

Lindbergh, szarpiąc się, obrócił się przodem w stronę otwartych drzwi celi. Patrzył teraz do środka z otwartymi ustami pełnymi krwi, błagalnie wytrzeszczonymi oczami.

— To nie w porządku — powiedział Barksdale, tym razem głośniejszym głosem.

Oczy Lindbergha uciekły do góry, w przekrwionych oczodołach błysnęły upiornie białka.

— Nie! — wrzasnął Fred.

I na wpół zdając sobie sprawę, co robi, skoczył przed siebie, chwycił pałkę i walnął Hakera Jacka w bok głowy.

Rozległ się odgłos drewna uderzającego o kość, pałka zadrżała Barksdale'owi w rękach i ze stukotem upadła na podłogę. Przez moment Haker Jack zaciskał jeszcze garotę z całej siły, po czym osunął się na ziemię. Lindbergh upadł razem z nim z rozpostartymi ramionami i palcami drgającymi spazmatycznie.

Fred uklęknął przy strażniku, ostrożnie przewrócił go na bok. Drut wcisnął się tak głęboko w szyję chłopaka, że tkwił w ciele nawet po upadku. Był śliski od krwi, aż trudno go było uchwycić.

Barksdale wyjął go, rozluźnił Lindberghowi kołnierzyk, przyłożył mu dłoń do czoła.

— No dalej, staruszkule — mruknął, potrząsając nim delikatnie. — No dalej, wyjdiesz z tego.

Nagle poczuł cios na karku, aż rozdzierający ból przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa. Upadł z krzykiem na bok. Haker Jack podnosił się niepewnie na nogi. Rozejrzył się dookoła. Fred podążył za jego wzrokiem, lecz zanim zdał sobie sprawę z jego zamiarów, tamten dojrzał już drewnianą pałkę i rzucił się do

420

niej, odtrącając wyciągniętą rękę Barksdale'a. Potem poderwał się znowu na nogi. Spojrzył w dół na strażnika i schylił się po kluczyki.

Barksdale cofnął się chwiejnie, a wtedy Haker Jack, zauważywszy ruch, odwrócił się w jego stronę.

Podniósł rękę do głowy i skrzywił się. Fred zobaczył, jak kostki palców bieleją w zaciśniętej dłoni.

— Ty sukinsynu — mruknął i mszył na wycofującego się Barksdale'a.

/

16.12

Kiedy opancerzona ciężarówka w towarzystwie eskorty toczyła się długim podjazdem pod Utopię, coraz więcej samochodów wyjeżdżało z parkingu dla obsługi i pracowników parku. Mijały ich furgonetki, wysokie samochody chłodnie, ciężarówki, w większości puste po wyładowaniu towarów w niezmiernych labiryntach utopijnego zaplecza. Do wozów dostawczych dołączały samochody osobowe, terenowe i pick-upy pracowników z Czerwonej Zmiany, kończących pracę, zadowolonych, beztrudnych, wracających na północne przedmieścia Vegas lub do pobliskiego Creosote.

Kiedy minęli ostatni zakręt i wyrosła przed nimi wielka tylna ściana Utopii, kierowca forda spojrzął na zegarek. Szesnasta dwanaście. Punktualnie co do minuty.

Sięgnął do skrytki i wyjął z niej radio. Jednym okiem kontrolując drogę, wstukał szyfr i podniósł krótkofalówkę do ust.

— Czynniki Pierwszy, tu Candyman, słyszysz mnie?

Puścił palcem przycisk transmisji i nasłuchiwał. Po chwili

odpowiedział mu piskliwy, sztuczny głos, przebijający się przez falę zakłóceń.

— Słyszę cię, Candyman. Masz kontakt wzrokowy?

— Wchodzę w pole widzenia.

— Doskonale. — Odpowiedź nadal nadchodziła ledwo słyszalna. — Wkrótce będzie lepiej.

Kontakt jak do tej pory. Spotkamy się w punkcie zbornym.

— Bez odbioru.

422

Mężczyzna odłożył radio na bok. Przez chwilę patrzył na wydrukowaną listę procedur, przyklejoną pod deską rozdzielczą. Potem drugą ręką wcisnął guzik w słuchawkach.

— Centrala Utopii, tu transport AAS Dziewięć EB. Odbiór.

W słuchawkach odezwał się zupełnie inny głos.

— Centrala Utopii.

— Jesteśmy prawie na miejscu, proszę o pozwolenie na wjazd.

— Dziewięć EB, czekaj.

Zapadła cisza. Kierowca zaczął redukować biegi. Zmiana w Utopii dobiegła końca, procesja samochodów rzedła. Przed nimi, za posterunkiem strażników, droga zamieniała się w niezmierny asfaltowy ocean. Po jednej stronie ciągnęły się długie rzędy samochodów osobowych należących do pracowników parku, po drugiej pstrokata menażeria wozów dostawczych i wa-nów firm usługowych. Nieco na uboczu stała na bezlitosnym słońcu brązowa furgonetka bez okien z napisem „Szkolenie ptaków egzotycznych, Las Vegas”, stylizowanym w kształcie palmowych liści. Jakby dla reklamy, na dachu samochodu usiadł duży myszołów i rozkładając skrzydła, wyciągał do góry rurkowatą szyję. Kilka razy stuknął badawczo dziobem w blaszany dach.

Za parkingiem wznosiła się niebotyczna sylwetka Utopii. Widok tej części parku, oficjalnie nazywanej Terenem Adminis-tracyjno-Obsługowym, nie pojawiał się w żadnych turystycznych broszurach ani filmach wideo i z rzadka jedynie można było go znaleźć na potajemnie zrobionych zdjęciach zamieszczanych w fanzinach i na nieoficjalnych stronach internetowych. Na swój sposób ona również budziła podziw i respekt. Tylna fasada Utopii biegła łagodnymi łukami od jednej ściany kanionu do drugiej niczym mur wielkiej tamy, jednolita, jeśli nie liczyć nierównomiernie rozmieszczonych małych okienek. Ponad nią w popołudniowym słońcu migotały dostojne łuki kopuły. Po lewej stronie parkingu kładł się już pomału jej ogromny cień.

— Centrala Utopii potwierdza zgodę na wjazd — odezwał się głos w słuchawkach. — Możecie podjeżdżać do korytarza. Oczyszczamy drogę.

— Dziewięć EB, potwierdzam — odparł kierowca. — Dzięki, bez odbioru.

423

W punkcie kontroli samotny strażnik machnął im, aby przejeżdżali. Kierowca odpowiedział jazgotem hamulca pneumatycznego i skierował się w stronę dużego wjazdu do budynku między dwoma bliźniaczymi rampami załadunkowymi. Widniała nad nim wymalowana na czarno dwumetrowa litera B. Chociaż otwór był tak duży, że zmieściłaby się w nim nawet największa ciężarówka, w murze, który się nad nią wznosił, wyglądał niczym mysia nora.

Samochód eskortujący odłączył się od wozu opancerzonego, zaparkował nieco z boku i czekał z włączonym silnikiem i bursztynowym kogutem migającym leniwie na dachu. Kierowca popatrzył w lusterko wsteczne na strażnika siedzącego z tyłu. Mężczyzna uchwycił jego spojrzenie, mocniej ujął strzelbę i skinął głową.

Ten wjazd musiał przebiec bez żadnych potknięć, i to za pierwszym razem. Każdy błąd, każdy ruch odbiegający od normy zostanie natychmiast zauważony. Ale minęło tylko półtora roku, od kiedy przestał pracować w firmie jako kierowca wozów opancerzonych, bardzo szybko wyrobione nawyki stały się na powrót jego drugą naturą. Poza tym ćwiczyli ten manewr dziesiątki razy między rzadkami pachołków na wyschniętych strumieniach i rozlewiskach okręgu Esmeralda. Potrafił go wykonać bez najmniejszego zawahania. Tuż przed wjazdem kierowca gwałtownie skręcił kierownicę i powoli obrócił wielkiego forda. Potem wrzucił wsteczny bieg i gładko wtoczył się tyłem do tunelu. Kiedy połowa samochodu znikła w trzewiach Utopii, warkot silnika i rżenie wstecznego biegu zadudniły zgrzytliwym echem między murami budowli.

Powoli błękitne niebo znikło im nad głowami, a jego miejsce zajął strop poziomy C. Wóz opancerzony znalazł się w środku i jechał dalej tyłem szerokim, łagodnie zakręcającym korytarzem. Kiedy kierowca mijali punkt strażniczy, mężczyzna w środku skinął głową.

— Sprawdźcie olej i opony, dobra?! — krzyknął kierowca przez otwór strzelniczy.

Strażnik wyszczerzył zęby i wystawił kciuk do góry, jednocześnie machnął drugą ręką żeby jechali dalej.

16.15

Na wpół szli, na wpół biegli poziomem B, Sarah przodem, Wame z tyłu usiłował dotrzymać jej kroku. Sarah patrzyła przed siebie, usta miała zaciśnięte, prawie nie mrugała oczami. W prawej ręce trzymała na pasku radio zabrane Carmen Florez z działu produkcji obrazów. Pracownicy Utopii, widząc wyraz jej twarzy, omijali ich szerokim łukiem.

— Wytłumacz mi to jeszcze raz — rzuciła szorstko przez ramię.

— Nie ma nic więcej do tłumaczenia — wysapał Wame. — Nie znam wszystkich odpowiedzi. Zorientowałem się tylko, że skoro płyta, którą znalazłaś, jest pusta...

— Skąd wiesz, że jest pusta?

— Terri tak powiedziała.

— Terri musiała się pomylić.

Wyraz zagubienia i niepewności, który widział na jej twarzy w bladym świetle Sali Luster, zniknął.

— Jeśli ma rację, to znaczy, że John Doe ma już jeden dysk. Po co Barksdale miałby ci dawać pustą płytę, skoro jest w to zamieszany? Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że to wcale nie o płytę chodzi temu draniowi, tylko o ciebie.

— O mnie?

W surowym głosie Sarah pobrzmiewało powątpiewanie.

— Z jakiegoś powodu byłaś mu potrzebna. W końcu jesteś szefową parku. Może zamierzał cię porwać jako zakładniczkę

425

albo jeszcze gorzej. W takim labiryncie jak Sala Luster łatwo stracić orientację, idealne miejsce na zasadzkę. Czemu pozwolił, żebyś zobaczyła jego twarz z bliska, w swoim gabinecie? Nie wygląda na faceta, który popełnia takie błędy.

Nie zamierzał prowadzić rozmowy w ten sposób. Zdał sobie sprawę, że działa zbyt impulsywnie, że tak naprawdę nie potrafi niczego udowodnić. Ale tylko takie wyjaśnienie miało jakiś sens.

— Ale dlaczego akurat teraz? — zapytała sceptycznie Sarah, kiedy skręcili w kolejny korytarz.

— Może to punkt kulminacyjny ich całej akcji. Musi się coś dziać, o czym nie wiemy. Chcieli odwrócić naszą uwagę, inaczej po co powodowaliby ten wypadek na... jak ona się nazywa... Stacji Omega, skoro zgodziłaś się dostarczyć drugą płytę?

— No właśnie, po co? — To wcale nie zabrzmiało jak pytanie. — Po tym, jak zamknęliśmy jednego z ich ludzi, dzięki tobie. Powinam być teraz na Stacji Omega, zamiast szukać wiatru w polu.

Warne'em targnęło wzburzenie. Od wyjścia z Gazolitu aż do tej chwili Sarah prawie się nie odzywała.

— Czemu uważasz, że to szukanie wiatru w polu?

— Bo tak jest. Twoja teoryjka ma jedną słabość: wskazuje Freda jako winnego. Bez tego wszystko się sypie. A ja jej nie kupuję. Nie wierzę w winę Freda, nawet przez sekundę.

— Przecież ci wyjaśniłem, że dzwoniłem do SOW, że nie mieli...

— Tak, tak, tak, słyszałam. Widziałam, że jesteś zazdrosny, Andrew, ale coś takiego jest absolutnie niedopuszczalne. — Przyspieszyła kroku. — Idę tam tylko po to, żeby wysłuchać wyjaśnień Freda. Potem każę go wypuścić i wrócę do tego, co powinnam teraz robić, czyli zajmować się prowadzeniem parku. Za pięć minut Chuck Emory zadzwoni do władz federalnych, a kiedy tu przyjadą wszystkie twoje teoryjki staną się tym, czym są — czystą spekulacją.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Andrew poczuł jeszcze większe oburzenie. Zdażył się już uspokoić, a nawet, choć niechętnie się do tego przyznawał, był z siebie zadowolony. Odkrył prawdę, rozwiązał zagadkę, uratował Sarah przed nieznanym losem, który

426

zgotowałby jej John Doe. Martwił się już tylko o Georgię i Terri. Ten wybuch miażdżącego gniewu i niedowiarstwa był ostatnią rzeczą jakiej się spodziewał.

Zobaczyli przed sobą podwójne drzwi kwater ochrony. Ona nie chce przyjąć do wiadomości tego, co zrobił Barksdale, powiedział sobie Andrew. Ale on również słyszał w głowie ten drugi głos, spokojny i chłodny, lecz bardziej natarczywy: A jeśli się mylisz? Jeśli istnieje inne wyjaśnienie, którego nie widzisz? Pozwolisz, żeby uczucia przesłoniły ci trzeźwy osąd?

Sarah pchnęła drzwi i weszła do środka. I zatrzymała się, marszcząc brwi. Poczekalnia była pusta: ani na kolorowych plastikowych krzesłach dla gości, ani za wypolerowanym, błyszczącym kontuarem recepcji nie widać było żywej duszy. Nad pokojem unosiła się dziwna, jakby czujna cisza. W oddali dzwonił telefon.

— Co tu... — zaczęła Sarah.

Weszła głębiej, rozglądając się na wszystkie strony. Wame mszył za nią. Gdzie się podział Poole? Dlaczego Terri nie wróciła jeszcze z Georgią? Czyżby wszyscy czekali w którymś z dalszych gabinetów?

Otworzył drzwi obok recepcji i zajrzał w głąb korytarza. Ani śladu ochroniarzy. Zdziwienie zaczęło ustępować miejsca zaniepokojeniu.

Jeszcze raz spojrzął w korytarz. Nadal cisza, tylko zegar ścienny tykał, szumiała klimatyzacja i gdzieś w głębi rozdzwonił się znów telefon. W głębi korytarza za otwartymi drzwiami Wame zobaczył rząd dużych metalowych szafek. W jednych kołyszących się drzwiczkach tkwił klucz. Nagle jakiś instynkt kazał mu znieruchomieć. Na ścianie korytarza coś błyszczało. Podeszedł ostrożnie. Krew, jeszcze świeża, lśniąca jaskrawą czerwienią na tle szarych cegieł.

Z walącym sercem mszył dalej. Wyjrzał do przedsionka i zobaczył jeszcze więcej krwi rozpryskanej na krzesłach i biurku, i koronki krwi pełzające po ścianie.

Czyżby John Doe przyszedł odbić więźniów? Co okropnego się tu zdarzyło? Nagle w ciszy rozległ się za jego plecami stukot

427

obcasów. Całkiem zapomniał o Sarah. Odwrócił się i zobaczył, że idzie szybkim krokiem w jego stronę.

— Sarah, nie! — powiedział, aby ją powstrzymać.

Lecz ona go ominęła i wbiegła do przedsionka. Na widok krwi się zatrzymała.

— O Jezu — szepnęła.

Andrew rozejrzał się jeszcze raz. Starał się nad sobą panować. Jego wzrok zatrzymał się na otwartych na oścież drzwiach celi. W wejściu krew zebrała się w kałużę. Powoli, niemal mechanicznie podeszedł do okienka i zajrzał.

Na podłodze twarzami do dołu leżały bez mchu dwa ciała. Przez otwór widział głowy i ramiona, ale niewiele więcej. Obydwaj mieli na sobie czarne garnitury ochrony parku.

Uciekli, pomyślał Andrew. Obaj, Barksdale i haker. Zabili strażników i uciekli.

A co z Poole'em? Czy jego zwłoki leżały porzucone gdzie indziej? I gdzie jest... poczuł lodowate zimno... gdzie jest Terri Bonifacio z Georgią?

Nagle Sarah odepchnęła go na bok i zajrzała do celi przez okienko. Usłyszał, jak głośno łapie powietrze. Pchnęła drzwi i weszła do środka, a wtedy krzyknęła tak przejmująco, jakby poczuła silny fizyczny ból. Wame bez namysłu mszył za nią.

Kłęczała przy jednym ze strażników. Teraz jednak Andrew zdał sobie sprawę, że to wcale nie był strażnik. Miał na sobie jasną marynarkę, ale jej góma połowa tak nasiąkła krwią że wydawała się czarna. Sarah pochyliła się i odwróciła rannego, a wtedy jasnowłosa głowa przetoczyła się bezwładnie w tył.

To był Barksdale. Wame przejęty grozą stał, jakby wrósł w ziemię. Sarah obróciła się do niego gwałtownie.

— Pomóż mi, na litość boską! — wrzasnęła. — Znajdź wodę, jakiś materiał. Wezwij lekarza! Wame ożył, jakby dźgnięty ostrzem. Obrócił się na pięcie i pobiegł korytarzem w stronę recepcji. W poczekalni zobaczył jakiś ruch. To szedł Poole, obejmując ramieniem Terri. Jedną ręką prowadził ją łagodnie przez drzwi, a drugą pchał przed sobą szpitalny wózek. Wzrok Andrew natychmiast powędrował w dół.

428

Na wózku siedziała Georgia z zamkniętymi oczami, opatulona pod szyję szpitalnym kocem. Przez chwilę ulga stłumiła w nim wszystkie inne uczucia. Potem zerknął na Terri, jej śniada twarz była śmiertelnie blada. Napotkała jego wzrok i uciekła spojrzeniem w bok. Po chwili zmusiła się, żeby popatrzeć na niego ponownie. Prawą dłoń miała czerwoną od krwi.

— Jesteś ranna? — spytał natychmiast.

— Nic jej nie jest — odpowiedział Poole. — Radio, przez które się ze mną skontaktowała, było zakrwawione.

— Co się stało?

— Ukryłyśmy się — odparła Terri. — W schowku na bieliznę.

Głos jej drżał, z wielkim wysiłkiem starała się nad sobą panować.

— Potem do tego wrócimy — przerwał jej Poole. — Chyba ważniejsze jest, co się dzieje tutaj. To mówiąc, znacząco wskazał głową podłogę.

Wame podążył za jego wzrokiem i zobaczył, że ma buty ubrudzone krwią ze z korytarza ciągnie się za nim czerwona ścieżka. Odwołał Poole'a na bok.

— Tam jest Barksdale — mruknął mu w ucho. — Chyba nie żyje. On i jeden ze strażników. A haker zniknął.

Poole zaklął siarczyście, ominął go i popędził w stronę celi. Andrew wrócił do Terri i otoczył ją ramieniem.

— Nic ci nie jest? — spytał.

Pogłodził ją po policzku i podniósł jej twarz, żeby nie patrzyła w dół, na zakrwawioną podłogę. Terri kiwnęła głową.

— Nic.

— A Georgia...?

Coś w jej oczach nie pozwoliło mu dokończyć.

— Obudziła się na krótko, potem z powrotem zasnęła.

Otworzyły się podwójne drzwi i stanął w nich młody mężczyzna. Wame rozpoznał specjalistę od wideo, Peccama.

— Gdzie wyście się podziewali? — zapytał chłopak. — Wszędzie was szukam. W Kallisto jest prawdziwe piekło, a tu z kolei pusto, myślałem...

Urwał na widok czerwonych śladów na podłodze.

429

— Poole jest tam — powiedział Wame, wskazując za siebie palcem. — On ci wszystko opowie. Możesz się przydać do pomocy. Ja muszę zadzwonić.

Kiedy Peccam odszedł, Andrew wprowadził Terri za kontuar recepcji. Dwoje drzwi prowadziło stąd do gabinetu i łazienki. Wprowadził wózek z Georgią do pokoiku. Dziewczynka kręciła się niespokojnie przez sen. Raz nawet krzyknęła i Andrew pogłaskał ją po głowie, pocałował w ciepłe czoło. Wymamrotała coś i jakby się uspokoiła.

— Kocham cię, księżniczko — powiedział cicho.

Potem odsunął się i wrócił do Terri.

— Ani razu nie płakała. — Mówiła monotonnym głosem, jakby nadal była w szoku. — Po tym, jak wyszedł ten człowiek z pistoletem. Tam było tak ciemno, tam gdzie się ukryliśmy. Georgia zasnęła. Myślę, że to te... te leki.

— Dziękuję ci, Terri — powiedział Andrew prawie szeptem, biorąc ją za rękę. — Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś.

Terri podniosła na niego wzrok.

— Czy możesz zrobić dla mnie jeszcze jedno? — Przyglądał jej się uważnie, starając się wyczytać z jej twarzy emocje, zastanawiając się, jak to powiedzieć. Postanowił niczego nie ukrywać. — Dwaj mężczyźni zostali tu dzisiaj poważnie ranni. Jeden to ochroniarz, a drugim jest Fred Barksdale. Czy mogłabyś zadzwonić do działu medycznego i poprosić, żeby natychmiast przysłali lekarza?

Na dźwięk nazwiska Barksdale'a Terri drgnęła i pobladła jeszcze bardziej, ale bez słowa odwróciła się w stronę recepcji. Znalazła telefon i podniosła go drżącą ręką.

Andrew tym czasem poszedł do łazienki, złapał kilka papierowych ręczników i zmoczył je w zlewie. Potem pobiegł korytarzem w stronę celi.

Z Sarah i Poole'em, klęczącymi koło Barksdale'a, w małym pomieszczeniu zrobiło się tłoczno.

Wame bez słowa podał Sarah ręczniki, po czym cofnął się do drzwi i stanął obok Peccama. Strażnik leżał przewrócony na plecy, prawdopodobnie przez Poole'a, który sprawdzał jego stan. Twarz miał groteskowo spuchniętą z rozchylonych ust wystawał szerniały język. Sarah,

430

cały czas trzymając Freda w ramionach, zaczęła delikatnie wycierać mu twarz. Twarz miał tak

obita, że trudno było rozpoznać jego delikatne rysy.

— Terri dzwoni po lekarza — oznajmił Andrew.

Poole wziął od niego resztę ręczników i podał Sarah, a zabrał od niej zakrwawione.

— Żyje — poinformował Wame'a. — Ale ledwo, ledwo.

Ostrożnie i delikatnie Sarah ocierała twarz rannego. Barksdale poruszył się i jęknął cicho.

— Freddy — powiedziała, pochylając się nad nim jeszcze niżej. — To ja, Sarah. Jestem tu przy tobie.

Barksdale znów się poruszył.

— Leż spokojnie.

Usta Freda zadrgały.

— Sarah — wymamrotał ledwo dosłyszalnie.

— Nie próbuj nic mówić. Wszystko będzie dobrze.

— Nie, muszę... Sarah, tak mi... przykro.

Skończyły się ręczniki i Andrew wyszedł, żeby przynieść następne. W recepcji Terri rozmawiała przez telefon cichym, nagłym tonem. Wame przetrząsnął kilka szafek w poszukiwaniu apteczki, lecz nie znalazłszy jej, poszedł do łazienki. Potem mszył z powrotem korytarzem. Ku swemu zdziwieniu w połowie drogi spotkał Poole'a z Peccamem.

— Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć — odezwał się Poole. — Barksdale się przyznał.

— Co powiedział?

— Na razie niewiele. Zwija się z bólu.

— No to chodźmy.

Wame mszył w stronę celu, ale Poole złapał go za rękę.

— Nie jestem lekarzem, ale gołym okiem widać, że gość z tego nie wyjdzie.

Wame spojrzał mu w oczy.

— Co pan chce powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, żebyśmy dali im kilka minut spokoju.

Andrew milczał niezdecydowanie.

— Jeżeli powie coś ważnego, ona nam to przekaże, kiedy będzie gotowa.

431

— Ma pan rację.

Wame odwrócił się i powoli ruszył z powrotem w stronę poczekalni. Peccam oszołomiony stał bez mchu i mrugał.

Kiedy Andrew wrócił, Terri właśnie odkładała słuchawkę. W wielkim skórzanym fotelu wyglądała tak delikatnie i krucho. Oczy miała zaczerwienione, ale suche. Chociaż nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło w szpitalu, krew na jej dłoniach mówiła sama za siebie. Poczul wyrzuty sumienia. Jakoś postara się jej to wynagrodzić.

Ukląkł obok fotela i zaczął ręcznikami wycierać jej dłoń. Oparła głowę o jego ramię. Objął ją i przytulił. Wtedy jej ramiona zadrgały w bezgłośnym, rytmicznym szlochu.

— Już dobrze — powiedział. — Już po wszystkim.

Kłęczał tak, trzymając ją w ramionach. Mijały minuty, nawet

nie wiedział ile. W końcu usłyszał, jak pomału przestaje płakać. Poczul świeży zapach balsamu w jej włosach. Już po wszystkim.

Wtedy usłyszał głos. To była Sarah.

— Andrew! Andrew! — krzyczała.

Najdelikatniej, jak mógł, odsunął się od Terri. Potem pogładził ją jeszcze raz po policzku, odwrócił się i popędził w stronę celi.

Poole dobiegł tuż przed nim i kłęczał już koło Barksdale'a.

— Samochód opancerzony — mówiła Sarah, gładząc Freda po włosach. — To prawdziwy cel, oprócz Tygła. Wszystko inne, usterki, wypadki miały tylko odwrócić naszą uwagę.

Mówiąc to, kołysała się w przód i w tył.

— Żebyście się nie zorientowali, o co naprawdę chodzi — uzupełnił Poole i Sarah kiwnęła

głową. Angus patrzył na nią pełen współczucia. — Co to za samochód opancerzony?

— Przyjeżdża raz na tydzień, w poniedziałki — odparła Sarah beznamiętnym głosem. Nie patrzyła ani na Poole'a, ani na Wame'a. Nie odrywała oczu od Barksdale'a. Rękawy zakietu przesiąkły jej krwią i przyklejały się do rąk. — Wszystko odbywa się automatycznie, tylko ja albo Chuck Emory z Nowego Jorku możemy odwołać transport, co powinniśmy uczynić w każdej sytuacji alarmowej lub zagrożenia bezpieczeństwa publicznego. Dziś rano odwołałam kurs samochodu, ale Freddy nie przekazał dalej tej informacji, więc ludzie w skarbcu oczekują przyjazdu

432

furgonetki. Tylko że przyjedzie podstawiona. Gdzie jest ten cholerny lekarz?

— W drodze — odrzekł Warne.

— O której ma się odbyć odbiór pieniędzy? — spytał Poole.

— Właśnie teraz.

— Teraz? — powtórzył jak echo zaskoczony Angus. Odwrócił się do Andrew. — To wyjaśnia, dlaczego nie wyłączyli kamer na poziomie C: żeby nie wzbudzić podejrzeń chłopców w podziemiach. I wiemy też, po co spowodowali ten wypadek w Porcie Podniebnym. Potrzebowali ostatniego, mocnego ciosu, który by nas zajął na dobre. I tym razem bez żadnego udawania. Sarah odwróciła się raptownie.

— Freddy nie wiedział o wypadku — powiedziała, świdrując Poole'a wzrokiem. — Oszukali go. Miało nie być żadnych ofiar. Właśnie mi to powiedział.

Odwróciła się z powrotem do milczącego Barksdale'a. Zapadła krótka cisza.

— Ale nie po to cię zawołałam. — W głos Sarah wkradło się drżenie, lecz szybko nad nim zapanowała. — Podłożyli ładunki wybuchowe wokół kopuły.

W całym pomieszczeniu zadudniło, kiedy Poole i Wame zaczęli mówić jednocześnie.

— Co takiego?! — wykrzyknął Andrew.

— Skąd wiecie? — zapytał Angus, podnosząc się.

— Ten drań zostawił go tu, żeby umierał, ale Freddy podsłuchał, jak rozmawiał przez radio. Mają się wszyscy spotkać w fałszywym samochodzie opancerzonym.

W celi zapanowała chwila martwego bezruchu, przerażenia, niedowierzania. Potem Poole mszył do wyjścia, dając znak Wame'owi, żeby poszedł za nim.

Peccam, który stał w korytarzu, zbliżył się, widząc niecierpliwe gesty Poole'a.

— Pamiętasz ten wzmacniony nadajnik, który znaleźliśmy w torbie hakera? — spytał Poole Peccama. — Ten, którego nie mogłeś rozgryźć?

Peccam kiwnął głową.

— Powiedziałeś, że może wysyłać sygnały na duże od-

433

ległości. — Angus odwrócił się do Warne'a. — Ale musi być wolna przestrzeń, bo sygnał nie przenika przez ściany.

— Tak, pamiętam — potwierdził Andrew.

Poole wyprostował się z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— No i nie rozumie pan?

Wame z tmdem mógł się skupić.

— Nie.

— Kiedy wyjadą poza teren parku, użyją nadajnika, żeby wysadzić kopułę. Zawał wszystko na gości, po czym uciekną w czasie zamieszania. — Dziwny uśmiech zamajaczył mu na twarzy. — Musieli planować to od samego początku. Ochrona, policja, wszelkie siły bezpieczeństwa, które przyjechałyby na miejsce, miałyby pełne ręce roboty z ratowaniem ludzi. To się dopiero nazywa dywersja.

Wame miał wrażenie, jakby tracił kontakt z rzeczywistością. Wysadzić kopułę? Zmusił się, żeby oprzytomnieć.

— Zachowuje się pan, jakby ich podziwiał — zauważył.

Poole wrzucił ramionami. Potem odwrócił się i ruszył z powrotem do celi. Wame poszedł za nim. Nadal był oszołomiony. Wysadzić kopułę... Nagle ogarnęła go przemożna chęć, by złapać Georgię,

Terri i uciec w bezpieczne miejsce. Równie szybko zdał sobie jednak sprawę, że nawet gdyby wiedział, dokąd uciekać, nie było na to czasu.

— Co jeszcze mówił? — usłyszał pytanie Poole'a, skierowane do Sarah.

— Nic więcej. Teraz odpoczywa.

To powiedziawszy, delikatnie zakołysała zmasakrowaną głową Barksdale'a w ramionach.

— Ile czasu trwa załadowywanie pieniędzy do samochodu?

— Nie wiem. Operacje finansowe leżały w gestii Freddy'ego. Około dziesięciu minut.

Poole spojrział na Warne'a.

— No to zaraz możemy mieć tu prawdziwy Sajgon, bracie.

I popędził w stronę recepcji. Wame i Peccam rzucili się za nim. W poczekalni Angus rozejrzał się szybko, złapał miejscową książeczkę telefonów wewnętrznych i zaczął przerzucać kartki.

— Nadzór skarbcza — mruzczał pod nosem. — Nadzór skarbcza.

434

Znalazłszy numer, sięgnął po telefon wiszący na ścianie. Po chwili zaklął i odłożył go z powrotem.

— Nie da rady się połączyć — powiedział. — Przecież to oczywiste.

— Ale Terri przed chwilą dodzwoniła się do medycznego.

— No i co w tym dziwnego? Tamci odcięli połączenia ze skarbcem.

— Skoro już wiemy o tym podstawionym wozie opancerzonym, możemy go zatrzymać.

— Widzisz, kolego, kluczowym słowem w tym zdaniu było „opancerzony”. Zapomniałeś już, że mają broń? Mnóstwo ładnych, dużych karabinów. Ja mam pistolet i zostało mi kilka naboii.

— A co z Bobem Allocco?

Wame słyszał desperację we własnym głosie.

— Nie zdążymy go tu ściągnąć na czas.

— A ochrona?

— Więcej czasu nam zajmie przekonywanie ich, niż nam prawdopodobnie zostało do eksplozji.

Poza tym ochrona parku jest nieuzbrojona. Co sugerujesz? Kulki z plasteliny?

— Musimy coś zrobić. — Wame odwrócił się do niego. Poczucie nierealności znikło zupełnie, została w nim tylko zacięta determinacja. — Nie możemy pozwolić, żeby samochód z pieniędzmi wyjechał z parku. I musimy sobie poradzić sami.

— Napelniasz mnie otuchą.

— Peccam powiedział, że nadajnik potrzebuje czystej linii strzału, aby wysłać sygnał — ciągnął Andrew. — To znaczy, że muszą się znaleźć poza Utopią żeby wysadzić kopułę. A więc, jeśli zdołamy zatrzymać samochód, zanim opuści budynek, nie będą mogli użyć nadajnika. To kluczowy element. Nie odpalą ładunków, dopóki są na terenie parku.

Poole rozważał jego słowa.

— Brzmi sensownie. Ale nie rzucę się pod koła, żeby zatrzymać samochód. Wyślij tego swojego mechanicznego psa, żeby go zagryzł.

— Może tak zrobię. — Wame myślał szybko. — Dużo wiesz o materiałach wybuchowych?

— Oho, już ja wiem, dokąd to pytanie zmierza.

435

— Odpowiedz. Ile wiesz o środkach wybuchowych?

— A jak myślisz? Dużo więcej niż twoja babcia.

— Nie mieszaj do tego mojej rodziny. Czemu nie możesz pójść i sprawdzić, czyby nie udało się tego rozbroić?

— Czemu? Mogę ci podać około czterdziestu powodów. Na przykład, ponieważ musieli podłożyć mnóstwo ładunków, żeby zwalić całą kopułę. Nie znam systemu połączeń, rozmieszczenia...

— Mimo to masz większe szanse, gdy będziesz stał tu beczynnienie.

— No, nie wiem. Tu jest przynajmniej bezpiecznie.

— Bezpiecznie?! — wykrzyknął Wame. — Skąd wiesz, czy zawalona kopuła nie robi z podziemi naleśnika? Poza tym, sam się zgłosiłeś na ochroniarza, nie pamiętasz? Tylko teraz nie

chodzi o mnie, a o siedemdziesiąt tysięcy ludzi, w tym kilkoro twoich krewnych, jeśli się nie mylę. Poole spojrział na niego ostro.

— No, dobrze, masz rację. — Przerwał. — Jeśli rozmieścili ładunki w jakiś przewidywalny sposób, może uda mi się wyciągnąć tyle detonatorów, żeby zakłócić układ i zapobiec zawaleniu się kopuły. Ale to zajmie sporo czasu, musisz za wszelką cenę opóźnić wyjazd samochodu z pieniędzmi.

Wame kiwnął głową.

— Nie odpalą ładunków, dopóki nie opuszczą budynku. Znajdź sposób, żeby ich powstrzymać. Wszystko zależy od tego, ile czasu dla mnie zyskasz. Rozumiemy się?

Andrew znowu skinął potakująco.

— Dobrze, bo jeśli schranisz swoją część roboty i wylecę w powietrze, to mój duch będzie ci truł dupę do końca świata.

— To uczciwy układ.

— A w związku z tym tracimy tylko czas na gadanie.

Po tych słowach puścił się biegiem przez poczekalnię. Przy drzwiach wyjściowych przystanął i obejrzał się.

— Uważaj na siebie, przyjacielu.

— Ty też — odpowiedział Wame.

Potem drzwi się zamknęły i Poole zniknął. Andrew odwrócił się do Peccama.

— Zaczekaj tu na mnie chwileczkę — powiedział.

436

Szybkiem krokiem obszedł kontuar recepcji. Skórzany fotel był pusty i w pierwszej chwili się przestraszył, ale zaraz przez otwarte drzwi gabinetu zobaczył w głębi Terri. Stała obok Georgii. Kiedy wszedł do środka, odwróciła się i natychmiast wyczuła, że coś się stało.

— O co chodzi? — spytała.

Zawahał się, ale tylko na króciutką chwilę.

— Myliłem się, kiedy powiedziałem, że już po wszystkim. Jest jeszcze coś, co muszę zrobić. Na dźwięk ich głosów Georgia westchnęła i poruszyła się. Terri z tmdem przełknęła ślinę i złapała się uchwytu wózka. Andrew położył jej dłoń na ramieniu

— Terri, posłuchaj mnie — powiedział. — Muszę jeszcze raz poprosić cię o pomoc. Postaraj się być silna, jeszcze ten jeden raz, dla mnie.

Kobieta popatrzyła mu w oczy, ale nie odezwała się ani słowem.

— Stój tu na straży, dopóki nie wrócę. Nie ma czasu, żebyście zdążyły wydostać się z parku, ale myślę, że tu będziecie bezpieczne. — Zawahał się. — Terri, kocham córkę bardziej niż wszystko inne na świecie, bardziej niż własne życie. Nie masz pojęcia, jak trudno mi ją teraz zostawić. Pamiętasz, kiedy ci mówiłem, jak strasznie się bałem, że coś jej się stanie, i moje obawy się ziściły? Teraz się nie boję. I wyjdę spokojnie, ponieważ wiem, że mogę ci ufać. Nikomu innemu tak nie ufam jak tobie. Więc zrobisz to dla mnie? Zaopiekujesz się Georgią? Czy zaopiekujecie się sobą nawzajem, bez względu na to, co się wydarzy?

Terri skinęła głową nie odrywając brązowych oczu od jego twarzy.

— Rozumiesz mnie, prawda? Bez względu na to, co się zdarzy.

Przytuliła się do niego, a on objął ją ramieniem, zamknął oczy i pomodlił się szeptem. Potem wybiegł z powrotem do poczekalni, gdzie czekał na niego Peccam.

— Potrzebuję, żebyś mnie dokądś zaprowadził. Pokażesz mi, jak tam najszybciej dojść?

— Gdzie? — spytał chłopak, kiedy wyszli na korytarz.

Podwójne drzwi zamknęły się za nimi i w kwaterze ochrony zapadła głęboka cisza.

16.15

W Nowym Jorku Chuck Emory III, prezes zarządu Utopia Holding Company, wziął do ręki telefon i wykręcił numer biura FBI w Las Vegas. Poruszał się powoli i jakby mechanicznie, a jego zwykle opalona twarz wyglądała szaro i bardzo staro.

XXX

Na pustynnej wyżynie niedaleko Bazy Sił Powietrznych Nellis, na brzegu skalnej ściany, otaczającej kotlinę Utopii, ukryty w cieniu leżał mężczyzna znany jako Bawół. Jakiś czas temu widział samochód opancerzony podjeżdżający punktualnie na parking na tyłach parku. Oderwał na chwilę oczy od linii horyzontu i spojrzał przez ramię na wielką górę stali i szkła wznoszącą się idealnym, logarytmicznym łukiem za jego plecami. Z tej odległości nie widać było miejsc, w których podłożył ładunki, ale w pamięci potrafił odtworzyć wyliczony przebieg eksplozji, po raz kolejny szukając w projekcie ukrytych błędów lub konstrukcyjnych słabych punktów. Kopułę zbudowano perfekcyjnie, jej ciężar rozłożono z idealną precyzją. W normalnej sytuacji Bawół wybrałby układ trójwarstwowy, detonowany od dołu do góry w ćwierćsekundowych odstępach. Taki model zdawał egzamin przy wysadzaniu stalowych mostów, zarówno kiedy Bawół pracował dla czeczeńskich rebeliantów, jak i dla Kongijczyków. Zważywszy jednak na ogrom konstrukcji i ograniczoną ilość C-4, jaką dało się przywieźć, musiał postawić na maksymalną

438

skuteczność. Pojedynczy pierścień dwudziestu ładunków rozłożonych równomiernie wokół podstawy spowoduje zawalenie kopuły, a druga seria, tworząca mniejszy pierścień mniej więcej w połowie wysokości, wybuchając jednocześnie, zawali koronę.

Pociągając łęk z manierki, przyglądał się w wyobraźni geometrii wybuchu, burzył kopułę z ogromną prędkością potem cofał czas i odbudowywał ją w myślach; i znów w dół i w górę, w dół i w górę. Projekt eksplozji był perfekcyjny. Bawół mruknął zadowolony. Burzenie jest formą sztuki, którą cechuje własne, niepowtarzalne piękno. Jest odwrotnością architektury. I podobnie jak strzelectwo wyborowe, jest sztuką dla samotników.

Odwrócił wzrok od kopuły i poszukał wzrokiem radia. Lada moment powinien zadzwonić John Doe. Schował manierkę do torby, a po niej Prousta. Potem znów przycupnął w cieniu i skierował wzrok ku horyzontowi. Obserwował i czekał.

xxx

Daleko w dole, w wielkim holu Portu Podniebnego, Bob Allocco stał za jednym z biurk składających się na utworzone naprędce stanowisko dowodzenia. W jednym ręku trzymał telefon, w drugim radio. Rozmawiał przez obydwa. W miarę jak akcja ratunkowo-śledcza dojrzewiała, zespół lekarzy, ochroniarzy i personelu technicznego coraz bardziej się rozrastał. Jednak mimo dziesiątków pracowników kręcących się wokół Stacji Omega, przestronny Port Podniebny wydawał się pusty i pobrzmiwający głuchym echem. Allocco skończył rozmawiać i odłożył telefon, ale prawie w tym samym momencie zadzwonił następny.

W całej tej gorączce na śmierć zapomniał o Sarah Boatwright.

xxx

Całkiem niedaleko, w chłodnym błękitnym świetle hali głównej John Doe opierał się o jedną z wielu luminescencyjnych kolumn ozdabiających wejście do Strachosfery. Kolejki tu znacznie się wydłużyły, od kiedy tak niespodziewanie zamknięto Port Podniebny. Splótszy przed sobą ramiona, pochylił się dyskretnie do przodu, aby podsłuchać, o czym rozmawiają goście Utopii.

439

— Podobno terroryści podłożyli tam bombę — ktoś mówił. — Atomową.

— A ja słyszałem, że to była broń chemiczna — dodał ktoś inny. — Tak jak w tym miejscu w Indiach. Zginęło trzysta osób. Nadal tam leżą.

— Głupie gadanie. To jest Utopia, tutaj nikt nie ginie. Gdyby coś się stało, myślicie, że wszystko by tak dalej działało? I pozwoliliby nam tu zostać?

— Nie wiem. O, widzicie tych ludzi idących do wyjścia? Są nieźle zdenerwowani, prawie biegną. Może coś wiedzą. Lepiej wracajmy. Już po czwartej, a do hotelu kawał drogi.

— Nie ma mowy. Cały dzień czekałem, żeby obejrzeć ten film holograficzny. To tylko głupie plotki. Pewnie Świat Fantazji płaci swoim pracownikom, żeby tu przyjeżdżali i rozpuszczali takie pogłoski.

John Doe uśmiechał się szeroko, słuchając tej rozmowy. Oczywiście nic tak nie mogło wzbudzić natychmiastowej paniki jak głośny alarm, nagły widok spalonych ubrań i wybebeszonych wnętrzności. Ale za to plotka bywała dużo bardziej perfidna. Wspaniale było patrzeć, jak działa.

Niczym na gładkiej, niezmaconej powierzchni stawu, na którą kapnęła upuszczona kropla krwi — zmarszczki rozchodzą się powoli, lecz niepowstrzymanie. Dokładnie tak, jak zaplanował. Spojrzał na oddział ochrony, na wpół idący, na wpół biegnący przez główną halę w kierunku dziwnej srebrzystej zasłony, którą opuszczono w wejściu do Portu Podniebnego. Rzecz jasna, byli w cywilnych ubraniach, ale wprawne oko wylapywało ich w tłumie jak eunuchy w tureckim haremie. Jacy turyści tak marszczyli czoła? Albo szli noga w nogę? Widział też urzędasów od badania opinii publicznej. Krążyli w tłumie, obserwowali, notowali. Kiedy pogłoski zaczęły się rozprzestrzeniać, a goście wykazywali coraz większy niepokój, nie nadążali wręcz ze zbieraniem materiału. I to w tym wszystkim było najwspanialsze. Można zamknąć miejsce tragedii, ale powstrzymać plotkę? To jakby chcieć zakuć w kajdany promień księżyca. Od tamtego pierwszego małego badania, kiedy spotkał strażnika w wejściu do Podziemi Utopii, cała ochrona parku działała

440

tak samo schematycznie i odruchowo, jak się tego spodziewał. Po każdym następnym incydencie — eksplozji w Mrocznej Głębinie, wyłączeniu kamer wideo, wypadku w Stacji Omega — rosła jego wiara, że bez względu na okoliczności wszyscy członkowie ochrony parku będą z bezmyślną determinacją przestrzegać podręcznika. Spojrzał na zegarek. Za kilka minut sługusom Allocca zwali się na głowę dużo więcej problemów, a on spokojnie i bezstresowo opuści Utopię.

Odepchnął się od kolumny i wmieszał w tłum przechodniów. Znowu naszło go to uczucie, prawie rozczarowanie, że wszystko przebiegło dokładnie tak, jak się spodziewał. Przeprowadził gruntowne badania, działał bez zarzutu, zaprezentował różnym osobom co najmniej sześć różnych twarzy. Uśmiechnął się do siebie. Gdyby tylko znali prawdę, gdyby wiedzieli, kim jest prawdziwy John Doe. Doprawdy, to byłby dopiero prawdziwy szok.

Zwolnił kroku. Właściwie określenie „dokładnie tak, jak się spodziewał” nie było do końca zgodne z prawdą. Spojrzał w stronę Wielkiej Niedźwiedzicy, skąd cały czas odchodzili goście rozczarowani brakiem Lodołamacza. Doktor Wame przysporzył im jednak niemało kłopotów. Więcej, niż się można było po nim spodziewać. Z pewnością to on odpowiadał za przejściowe aresztowanie Hakera Jacka, ale jeszcze bardziej irytujące było to, że zjawił się nie wiadomo skąd w Sali Luster Holo i porwał mu sprzed nosa Sarah Boatwright.

Z szefowej parku John Doe był szczególnie dumny. Podczas wielu rozmów, jakie przeprowadzili przed akcją Fred Barksdale dość nieświadomie dostarczył mu bardzo szczegółowy portret psychologiczny Sarah Boatwright. John Doe znał ten typ: uparta, nawykła do sukcesów, o silnym instynkcie terytorialnym, z silną potrzebą bronięcia swojego ego. Był pewien, że naciskając odpowiedni guzik, sprowokuje ją do pochopnych działań. I miał rację. Zastawiła na niego pułapkę w Galaktycznej Podróży, czym dała mu pretekst do okazania słusznego gniewu i umożliwiła podłożenie fałszywej płyty. Co zaś ważniejsze, nie musiał dzięki temu wymyślać fałszywych powodów do zwłoki, jak na przykład, że dysk był uszkodzony. Uwierzyli, że w ogóle nie dostał dysku,

441

nie przyszło im więc do głowy, aby przeciwstawiać się drugiej wymianie. A najlepsze, że Sarah obwiniła siebie za to, co się stało, i w związku z tym bez sprzeciwu zgodziła się osobiście przekazać mu drugą płytę.

John Doe liczył na to, że uda mu się ją zabić w ciemnych korytarzach Sali Luster, aby do ostatecznego zamieszania dołożyć kryzys władzy, co jeszcze bardziej ułatwiłoby im ucieczkę z parku. Niestety, Andrew Wame, ta łyżka dziegciu w beczce miodu, popsuł mu tak pięknie skonstruowaną intrygę.

Naturalnie, w ostatecznym rozrachunku to nie miało najmniejszego znaczenia. Haker Jack wrócił do akcji, tak więc straty zespołu znów spadły do zera. Wprawdzie Fred Barksdale wyzionął ducha nieco wcześniej, niż było planowane, ale to tylko oszczędziło mu kłopotu w drodze powrotnej. John Doe nigdy nie lubił się dzielić ciężko zarobionymi pieniędzmi. A mieli już dwa dyski, dwie bezcenne, oryginalne płyty z technologią Tygła, których dzięki zabezpieczeniom utopijnej technologii obrazowania nie da się skopiować. A to oznacza dwie transakcje, dwa razy większy

zysk. A skoro mowa o zysku, to ich samochód opancerzony właśnie podjeżdża do skarbcza. John Doe popatrzył w głąb hali głównej i westchnął. Zdał sobie sprawę, że niechętnie opuszcza to miejsce. Po wszystkich zmuszonych przygotowaniach, skrupulatnym planowaniu i starannym wykonaniu zakończona sukcesem operacja zawsze pozostawiała niedosyt. Różnica polegała na tym, że po raz pierwszy i jedyny był własnym klientem. I właśnie zarobił swoją odprawę emerytalną. Chociaż, jeśli dojdzie do wniosku, że emerytura go zbyt krępuje, zawsze może wrócić, choćby po to, by złożyć wizytę Andrew Warne'owi i odpłacić mu za nieproszony wkład w wydarzenia tego dnia. Czas pokaże.

Zwlekał jeszcze przez chwilę, chłonąc niezmierną atmosferę miejsca. Potem odwrócił się i wszedł do najbliższej toalety.

Starannie myjąc ręce, czekał, aż wyjdzie z łazienki inny mężczyzna. Następnie podszedł do drzwi dla obsługi, wstukał kod dostępu obowiązujący tego dnia i zamek otworzył się z cichym kliknięciem. Wyjął z kieszeni przepustkę oraz świeży

442

znaczek identyfikacyjny — dowód uprzejmości świętej pamięci Toma Tibbalda, i przypiął go sobie do marynarki. Potem wyszedł przez służbowe drzwi, zamykając je za sobą starannie.

W betonowym korytarzu panował chłód. John Doe przystanął, popatrzył w prawo, potem w lewo, wyjął z kieszeni marynarki radio i wybrał częstotliwość.

. — Bawół, tu Czynniki Pierwsze — powiedział do mikrofonu. — Wchodź.

Czekał chwilę, nasłuchując.

— Bawół, odbiór. f — Jaki widok?

— Wspaniały. Wjechał punktualnie.

i — Ja również tak słyszałem. Co u ciebie słychać? Żadnych gości przybywających z oficjalną wizytą?

— Nie. Tylko rutynowe dostawy.

— Dobrze. Wobec tego twoje zadanie na tym posterunku jest skończone. Spotkamy się w umówionym punkcie.

— Rozumiem. Bez odbioru.

Od tego momentu wszelkie odwiedziny, a z pewnością prędzej czy później należy się ich spodziewać, i raczej prędzej niż później, nie mają już żadnego znaczenia. Za dziesięć minut będą się oddalać od Utopii z prędkością stu kilometrów na godzinę najbezpieczniejszym środkiem transportu, jaki można sobie wyobrazić.

John Doe schował radio z powrotem do kieszeni. W tym samym momencie zauważył zagniecenia na spodniach swego lnianego garnituru. To musiało się stać w Sali Luster. Irytująca sytuacja. Ale to również nie ma znaczenia, jeszcze dziś wieczorem spali garnitur w hotelowym piecu.

Odwrócił się i rażnym krokiem mszył korytarzem w kierunku klatki schodowej prowadzącej na poziom A.

16.16

William Verne ziewnął, wyprostował się na krześle i przeciągnął leniwie. Prawie się nie mszał przez ostatnią godzinę i czuł, jak mu stawy w ramionach trzeszczą i strzykają. Gdzieś na granicy podświadomości zdał sobie sprawę, że monitory zarejestrowały jego ruch, ale to przecież nieważne, praca nie zabraniała mu od czasu do czasu się przeciągnąć. Poza tym cała ta procedura stała się tak piekielnie rutynowa, że prawdopodobnie i tak nikt na niego nie patrzy. A jeśli ktoś obserwuje, to nie jego, tylko ciężarówkę.

Pochylił się do przodu i rzucił okiem na tablicę kontrolną. Jak zwykle wszystko świeciło się na zielono: skarbiec w porządku, sala transferów w porządku, korytarz prowadzący do skarbcza w porządku, system nadzoru operacji finansowych w porządku. Wszędzie w porządku. Czasami prawie miał ochotę, żeby coś dla odmiany nie było w porządku.

Pięć miesięcy minęło, od kiedy skuszono go, aby porzucił stanowisko projektanta oprogramowania w Pała Ałto. Oferta brzmiała zbyt pociągająco, aby ją odrzucić. Nie tylko pracowałby w Utopii, nie tylko w dziale nowych technologii, ale w dodatku stanowisko, jakie mu proponowano, wiązało się z jakimś ściśle tajnym aspektem dotyczącym bezpieczeństwa, który go bardzo zaintrygował. Musiał

podpisać najróżniejsze formularze o zobowiązaniu do nieujawniania tajemnicy służbowej, i poddać się dokładnemu prześwietleniu i wywiadowi środowiskowemu. Jakże

444

się zatem zdziwił, przekonawszy się, że wykonuje tu dokładnie tę samą robotę co w Pało Alto. Projektowanie i konserwacja systemu wyglądała identycznie jak w jego małej, rozwijającej się firmie. Większe pieniądze wchodziły tu w grę, fajniejsze zabawki, ale za to znacznie mniej twórczej odpowiedzialności.

A „ściśle tajny aspekt związany z bezpieczeństwem” sprowadzał się do obserwowania tablicy kontrolnej, wachania dieslow-skich spalin i gapienia się na zderzak samochodu opancerzonego przez siedem minut w tygodniu.

Doszedł go cichy sygnał, a potem brzęczenie, kiedy ktoś przed wejściem do sali Nadzoru Skarbca uruchomił skaner siatkówki. Otworzyły się ciężkie drzwi i do środka wszedł Tom Pritchard, przedstawiciel działu kontroli i rewizji.

Verne spojrział w jego stronę bez zainteresowania. S — I jak?

— Szczelniej niż pod pasem cnoty twojej siostry — odparł Pritchard.

Właśnie wrócił z obowiązkowej inspekcji wzrokowej. Na kilka minut, w trakcie których dokonywano przekazania pieniędzy, fragment poziomu C wokół skarbcza i korytarza prowadzącego z zewnątrz odcinano od całej reszty Podziemi.

— Dobra, to miejmy to za sobą.

Zza drzwi dochodził uporczywy świergot ostrzegawczy opancerzonej ciężarówki pokonującej tyłem stumetrowy tunel. Włączył wentylatory, które wypychały spaliny auta z powrotem na pustynię.

— Gdzie nasza niania? — spytał Pritchard, podchodząc do okienka obserwacyjnego.

Chociaż do przekazania pieniędzy potrzebni byli dwaj pracownicy — jeden z działu operacji finansowych i jeden z kontroli, zwyczajowo przy załadunku był obecny ochroniarz.

— Wygląda na to, że dzisiaj zostaliśmy sami — odrzekł Verne. — Pewnie siedzą znowu przy tej przekłętej maszynie.

Tydzień temu jeden z ochroniarzy wygrał osiem patyków przy automacie do pokera w kasynie Promenady. Pieniądze skonfiskowano, a strażnika dyscyplinarnie ukarano za uprawianie hazardu na służbie, niemniej wśród niższych rangą ochroniarzy zapanowało wielkie poruszenie.

445

— Może wszyscy poszli na miejsce wypadku w Kallisto.

— Jeśli w ogóle był jakiś wypadek. To już dzisiaj trzecia historyjka, jaką słyszałem. Ciekawe, kto je wszystkie wymyśla.

Oczywiście nawet gdyby to była prawda, to oni w tym grajdole nie dowiedzieliby się o tym przez wiele dni. Verne czytał kiedyś taką książkę Josepha Conrada, w której dwóch Anglików zostało całkiem samych w najgłębszej głuszy Afryki. W końcu nie mogli już tego dłużej znieść, postradali zmysły i zabili się nawzajem. Tak w każdym razie pamiętał tę historię. Zawsze wydawała mu się naciągana, ale może jednak coś w tym jest.

— No, nie wiem. Brzmiało jakoś tak prawdziwie. Podobno nawet ktoś zginął.

— Jasne, setka ludzi.

— Przestań się wygłupiać. Krążą pogłoski, że w parku są terroryści.

— Ty zawsze słyszysz pogłoski o terrorystach — zauważył Verne drwiąco. — Wiesz co, stary?

W złym miejscu pracujesz. Powinieneś być projektantem albo inżynierem kreatywnym. W każdym razie, gdyby działo się coś złego, Jego Lordowska Mość odwołałby transport pieniędzy.

Jego Lordowską Mością pracownicy działu systemów nazywali Freda Barksdale'a, którego powszechnie uważano za zdolnego i pracowitego szefa, ale z obsesją na punkcie przepisów. Sam zaprojektował większą część systemu operacji finansowych i zawsze osobiście nadzorował cotygodniowy załadunek pieniędzy do samochodu transportowego. W czasie początkowych szkoleń zapoznano Verne'a z hierarchią służbową Utopii. Gdyby w parku wydarzyło się coś poważnego, szef systemów poinformowałby ich, że cotygodniowy transfer gotówki został odwołany. W rzeczywistości jednak nigdy nic takiego się nie zdarzyło i Barksdale nigdy nie zadzwonił, aby

anulować transport. Dzwonił z wielu różnych powodów — najczęściej, żeby ich skrytykować za niedbalstwo — ale nigdy, aby odwołać przekaz pieniędzy.

Zatrzeszczał głośnik w tablicy kontrolnej.

— Centrala Utopii, tu Dziewięć EB — powiedział kierowca wozu. — Sala transferów w polu widzenia.

Verne pochylił się do mikrofonu.

446

— Tu Centrala Utopii, potwierdzam zgodą na transfer.

Zerknął na zegarek: szesnasta osiemnaście. Punktualność bez zarzutu. Przynajmniej Barksdale nie będzie dzisiaj narzekał.

Wstał i podszedł do Pritcharda stojącego przy okienku obserwacyjnym. Na łagodnym zakręcie korytarza widać było tył wjeżdżającego powoli samochodu i duży złoty napis na boku: „American Armored Security”. Pomimo włączonych wentylatorów, w sali nadzoru skarbcza czuć już było smród samochodowych spalin, który utrzyma się co najmniej przez dwadzieścia minut po odjeździe ciężarówki. Verne zastanawiał się, czy spaliny samochodowe są rakotwórcze. Może powinien zażądać dodatku za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia?

Samochód podjechał pod wejście i zatrzymał się z ostrym piskiem hamulców. Jak zwykle, przez chwilę stał i nic się działo, podczas gdy niewidzialni pasażerowie sprawdzali swoje listy kontrolne. Potem kierowca zwolnił zamek i otworzyły się wielkie drzwi od strony pasażera. Z kabiny lekko wyskoczył mężczyzna ze strzelbą w jednej ręce i formularzami na podkładce w drugiej. Odwrócił się w ich stronę i machnął bloczkiem.

Verne nacisnął guzik, a wtedy uchyliły się niewielkie drzwi do korytarza. Popchnął je i zszedł dziesięć schodków na dół. Zgrzytliwy warkot diesla był tu dużo bardziej dokuczliwy i William bardzo żałował, że nie mogą zgasić silnika, niestety, przepisy tego zabraniały.

W jego stronę szedł uzbrojony strażnik z samochodu. Verne spojrzał na niego i lekko zmarszczył brwi.

— Jak leci? — spytał mężczyzna.

Dobiegał czterdziestki, miał mocno opaloną twarz i miedziane krótkie włosy. Żuł gumę. Do jego sposobu bycia pasował swobodny, przeciągły teksański akcent.

— Jakoś — odparł Verne.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej i kiwnął głową.

— Pan chyba pierwszy raz w transporcie — zauważył William.

Mężczyzna ani na chwilę nie przestał się uśmiechać.

— Jestem Earl Crowe, kierownik kursów AAS. Czasem objeżdżam trasy, żeby sprawdzić, czy wszystko gra i czy klienci

447

są zadowoleni. A niech mnie szlag, jeśli nie jesteście naszym największym klientem.

Podsunał Verne'owi bloczek z podkładką. William wziął go, nie odrywając wzroku od strażnika.

— Johnny też przyjechał — ciągnął Crowe — tylko został na zewnątrz. Wczoraj w nocy chłopaki poszli się łajdaczyć i kilku zalało się w trupa. Kazałem mu prowadzić samochód eskortujący zamiast ciężarówki. Nie ma to jak sześćdziesiąt kilometrów kurzu na otrzeźwienie, no nie?

Na te słowa Verne w końcu się roześmiał. Wyjął z kieszeni długopis, spojrzał na formularz i nie czytając, podpisał.

— Jesteście zadowoleni z naszych usług? — spytał Crowe, kiedy William oddał mu dokument.

— Może macie jakieś uwagi albo problemy, o których mógłbym zgłosić zarządowi?

Verne'a, przyzwyczajonego raczej do wykonywania rozkazów niż wyrażania życzeń, mile zaskoczyło to pytanie.

— Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

— Miło to słyszeć. Walcie śmiało, gdybyśmy mogli coś zrobić, żeby poprawić nasze usługi.

— Zrobimy to, dziękuję — odrzekł William, przybierając bardziej kierowniczy ton. — Jeśli jesteście gotowi, to otworzę salę transferów.

Wszedł z powrotem do pokoju i pospiesznie zamknął za sobą drzwi przed spalinami i hałasem. Kiedy kliknął zamek, czerwona lampka na tablicy kontrolnej zmieniła się z powrotem na zieloną. Odwrócił się do Pritcharda, który obserwował rozmowę przez okno i skinął mu głową.

— Otwieram salę transferów — oznajmił Pritchard, wystukując serię komend na klawiaturze. Verne podszedł do dmgiej klawiatury na końcu pulpitu sterowniczego i wpisał oddzielny kod dostępu.

Rozległ się krótki, mechaniczny szum i za salą nadzoru drzwi skarbcza zaczęły się obracać bezszelestnie na łożyskach. Obaj z Pritchardem podszli do drugiego, mniejszego okienka obserwacyjnego w bocznej ścianie. To była jedyna część całej procedury, która Verne'owi nigdy się nie znudziła.

Od momentu, kiedy pieniądze przychodziły do skarbcza za
448

pośrednictwem systemu operacji finansowych, czy to z kasyna w Gazolicie, od sprzedawcy hot dogów w Promenadzie, czy ze stoiska z kwefami w Kamelocie, leżały tam nietknięte ludzką ręką. Przesłane do punktu poboru, zeskanowane, posortowane, przeliczone, zaklejone, zapakowane i wreszcie złożone w skarbcu ani na moment nie wychodziły spod komputerowej kontroli, spoczywały z dala od ludzkich pokus.

Odsuwając się na bok, ciężkie, wygięte drzwi odsłoniły przed uzbrojonymi konwojentami dalszą część korytarza biegnącą w głąb Utopii do sali transferów i skarbcza. Drzwi zatrzymały się z hukiem pod ścianą.

Verne obserwował procedurę przez małe okienko. Zwykle skarbiec chroniła przed ludzkim wzrokiem wielka, półokrągła śluza. Po wprowadzeniu podwójnego hasła skrzydło obracało się 0

dziewięćdziesiąt stopni i zamieniało korytarz w tunel zakończony z jednej strony zablokowanym wyjazdem, z drugiej stertą gotówki. Pośrodku stał opancerzony samochód. Crowe z dwoma płóciennymi workami w ręku przeszedł przez salę transferów do skarbcza. Pojawił się ponownie dwadzieścia sekund później z wypchanymi workami przewieszonymi przez ramię.

Stosy pieniędzy zostały automatycznie przesortowane 1

zapakowane w paczuski po osiemdziesiąt banknotów każda. W czasie wprowadzania na stanowisko Verne dowiedział się, że jest to ilość idealna do przeliczania, magazynowania i transportowania przez zautomatyzowane systemy. Crowe wrócił po następną partię. Poruszał się szybko, widać było, że ma doświadczenie w tej robocie. Nieźle opalony jak na kierownika, pomyślał z roztargnieniem Verne. Pewnie w wolnym czasie grywa w golfa. Albo raczej pędzi bydło, zważywszy na jego akcent. Chociaż Verne nie widział kierowcy samochodu przez opancerzoną szybę, wiedział, że mężczyzna nie spuszcza z oka ze swojego kolegi, pozostając w stałym kontakcie wzrokowym ze swoim współpracownikiem i radiowym z bazą.

Crowe wrócił z drugim ładunkiem pieniędzy i zniknął w ciężarówce ze strzelbą niezmiennie wetkniętą pod prawą pachę. William popatrzył obojętnie na broń. Ładny sprzączek, zgrabny, czysty. Pracownicy Utopii nigdy nie zajmowali się pieniędzmi,

449

a więc nigdy nie nosili broni. Wynajmowali w tym celu ludzi z zewnątrz, a podczas transakcji odgradzali się hermetycznie od skarbcza. Na pewno rzeczoznawcom agencji ubezpieczeniowych bardzo się to podobało.

Crowe pojawił się kolejny raz. Nawet przy jego energicznym tempie przeniesienie stu milionów dolarów musi potrwać kilka minut. Nasyćwszy ciekawość, Verne odszedł od okienka, usiadł ciężko na krześle przy pulpicie sterowniczym i przeciągnął się z lubością.

xxx

Earl Crowe wszedł do samochodu wrzucił worki z pieniędzmi do części bagażowej. Kierowca, który tam czekał, odwrócił płócienne torby do góry nogami i wysypał dziesiątki brązowych paczuszek na metalowo-gumową podłogę. Nie była to dokładnie standardowa procedura, powinien siedzieć za kierownicą i pilnie obserwować przebieg załadunku, wyglądać potencjalnych bandytów i złodziei, ale w zamkniętym, pustym korytarzu nikt ich nie mógł zobaczyć.

Crowe zarzucił opróżnione worki z powrotem na ramię, po czym odwrócił się do kierowcy, który pospiesznie upychał brązowe pakunki w zamkniętych skrytkach.

— No i jak, podoba ci się powrót do zawodu? — spytał.

Kierowca kiwnął głową nie przerywając pracy.

— Jasne, szczególnie że nareszcie wiozę towar dla siebie.

Crowe zarechotał cicho. Potem odwrócił się, zszedł po schodkach i mszył z powrotem do skarbca. 16.16

Falanga ochroniarzy w apartamencie gościnnym dla VIP-ów znacznie zmaląła, od kiedy Wame był tu poprzednio. Zbliżając się, widział tylko dwóch: jeden pilnował wejścia, drugi z rękami założonymi na plecach stał w środku pod marmurową kolumną. Z głębi dobiegały melancholijne dźwięki kwartetu smyczkowego.

Strażnik przed wejściem popatrzył na dyrektorski znaczek w klapie Wame'a, skinął głową i wprowadził ich do środka.

— Co właściwie zamierzamy zrobić? — spytał Peccam, kiedy biegli po marmurowej posadzce.

— Nie wiem — odparł Andrew. — Zapytaj mnie za pięć minut.

Tak naprawdę jednak wiedział. Przynajmniej taką miał nadzieję. Wmieszane między tony kwartetu smyczkowego zadźwięczały mu w głowie słowa Poole'a: „Pamiętasz ten wzmocniony nadajnik, który znaleźliśmy w torbie hakera? Musi być wolna przestrzeń, bo sygnał nie przeniknie przez ściany. Kiedy wyjadą poza teren parku, użyją nadajnika, żeby wysadzić kopułę. Zawałają wszystko na gości, po czym uciekną w czasie zamieszania”.

Może Poole'owi uda się dotrzeć do ładunków wybuchowych na czas i rozbroić ich tyle, aby uchronić kopułę od zawalenia, ale nie mogą liczyć tylko na to. Pozostaje im jedno: za wszelką cenę zatrzymać samochód opancerzony na terenie Utopii.

I znowu Andrew usłyszał głos Angusa: „Zapomniał pan już, że mają broń? Mnóstwo ładnych, dużych karabinów. A ochrona parku jest nieuzbrojona”.

451

Mówił prawdę. Utopia nie miała żadnej broni przeciwko samochodom opancerzonym. Ale kto wie, może miała coś innego.

Popchnął dwuskrzydłowe drzwi i wszedł w korytarz wyłożony dywanem, próbując w pamięci odtworzyć plan tego miejsca. Biegł wtedy w pośpiechu, tak jak teraz, i pamiętał wszystko bardzo mgliście. To chyba te drzwi, pomyślał. Nie tracąc czasu na pukanie, nacisnął klamkę i wszedł. Na odgłos otwieranych drzwi drobny człowieczek nazwiskiem Smythe odwrócił się do wejścia. Grube okulary zsunęły mu się na czubek nosa, a rzadkie włosy, tak starannie dziś rano uczesane i przygładzone brylantyną sterczały krzywo na boki. Najwyraźniej od jakiegoś czasu chodził po pokoju tam i z powrotem.

Rozległ się metaliczny szczełk, coś się poruszyło za stołem, na którym stał ekspres do kawy, i obracając czujnikami na wszystkie strony, wyskoczył zza niego Wingnut. Namierzywszy bliźniaczymi kamerami swego pana, rzucił się z głośnym beknięciem przed siebie. Andrew z ulgą poklepał robota po głowie. Dzięki Bogu, są obaj.

— Panie Smythe — powiedział. — Jestem Andrew Warne, pamięta mnie pan?

Mężczyzna zmarszczył brwi nad okularami.

— A, tak. Jechaliśmy razem kolejką, a potem chyba był pan tutaj, pani Boatwright wezwała pana po tym... — urwał.

— Zgadza się — powiedział szybko Wame. — To jest Ralph Peccam. Pracuje w ochronie jako technik wideo, podlega Bobowi Allocco. Jego również pan tu spotkał.

„Dziesięć minut” — wyszeptał mu w ucho lodowaty głos. Masz dziesięć minut, a może mniej. Te pogwarki, te kurtuazyjne wprowadzenia były prawdziwą udręką. Ale nie miał wyjścia, jeśli jego plan ma się powieść, musi zyskać całkowite zaufanie Smythe'a.

— Mam nadzieję, że mi pan wybaczy — ciągnął — ale czas nagli. Zastanawiam się, czy mógłby nam pan pomóc.

Mężczyzna zdjął okulary i zaczął je wycierać końcówką krawata. Jego oczy pozbawione szkieł chroniących je przed światem zewnętrznym wydawały się dziwnie obnażone i przestraszone.

— Naturalnie, jeśli tylko potrafię.

452

— Czy może mi pan powiedzieć, jakie sztuczne ognie są przechowywane w parku?

Smythe nie przerywał wycierania okularów.

— O, zwyczajne, wie pan, klasa B.

— Klasa B?

— Oczywiście. Jeden-trzy, według pomarańczowej księgi. — A kiedy ta informacja została przyjęta milczeniem, dodał: — To kategoria materiałów niebezpiecznych według klasyfikacji ONZ. Materiały wybuchowe grożące pożarem. Stosowane w celach pokazowych, rzecz jasna.

Wydawał się wstrząśnięty tak głęboką ignorancją swoich rozmówców.

— Dużo ich jest?

— Dużo? A, mówi pan o sztucznych ogniach. Och, zdziwiłby się pan, ile oni ich zużywają w czasie tych wieczornych pokazów. Najwięcej komet i fontann, i...

— Rozumiem. Które z nich wybuchają?

Smythe wycierał okulary coraz wolniej, aż wreszcie przestał.

— Wybuchają? — Miał irytujący zwyczaj powtarzania ostatniego słowa w zadanym pytaniu.

— Hm, no, wie pan, wszystkie fajerwerki wybuchają bo na tym polega ich rola. — Zaczął wyjaśniać powoli i cierpliwie, jakby mówił do małego dziecka. — Są różne rodzaje mieszanek z czarnego prochu: innych używa się do produkcji ładunków miotających, innych do rozrywających...

— Nie, nie, nie — przerwał mu Wame. — Mam na myśli eksplozję.

— Eksplozję? To zależy, co pan rozumie pod słowem „eksplozja”. Mamy gwiazdki, chryzantemy i peonie, które, jak pan wie, mają ruchomą ekspozycję. Rozszczepiają się w górę, w dół, na boki. Albo takie jak kolorowe fontanny, które...

— Nie! — Wame z trudem się powstrzymywał. — Które z nich powodują obrażenia?

Smythe popatrzył na niego wstrząśnięty. Włożył z powrotem okulary.

— Powiedziałbym, że, hm, większość z nich może spowodować obrażenia, jeśli jest nieprawidłowo używana. — Przyjrzał

453

się Warne'owi z wahaniem. — Ale wystrzeliwane podniebne szelki z gwiazdkami i race mogłyby prawdopodobnie... — zająknął się.

— Gdzie je trzymają? — spytał Andrew, prawie podrygując ze zniecierpliwienia.

— W magazynie na poziomie C.

— Ma pan dostęp do tego magazynu?

— Oczywiście. Nadzorowałem jego budowę.

Wame zerknął na Peccama, który przysłuchiwał się tej rozmowie z rosnącym niedowierzaniem, po czym zwrócił się z powrotem do Smythe'a.

— Proszę posłuchać, naprawdę bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy. To ma związek z... tym, co pan znalazł w świetlicy. Czy mógłby nas pan zaprowadzić do tego magazynu?

Smythe milczał niepewnie, tym razem dłużej.

— Proszę, panie Smythe, to sprawa życiowej wagi. Wyjaśnię panu po drodze, musimy się spieszyć.

W końcu Smythe skinął głową.

— Więc chodźmy — powiedział Andrew, biorąc go za ramię i prawie popychając do drzwi. — Błagam, najszybciej, jak pan może.

Nagle zatrzymał się i obejrzał.

— Wingnut, ty też. Do nogi.

Trąbiąc z radości, Wingnut wystrzelił przed siebie za grupą wychodzących osób.

Biegając korytarzem, Andrew pocierał echolikator Wingnuta, zapięty na nadgarstku i obracał go z roztargnieniem.

16.20

Angus Poole wchodził wąskimi metalowymi schodkami po dwa stopnie naraz, podciągając się z obu stron za poręcze. Zbyt dużo lat upłynęło, od kiedy uprawiał forsowne marsze w pełnym

ryszunku i sam przed sobą nie miał ochoty się przyznać, jak bardzo brakuje mu tchu. Na lewo betonowa ściana klatki schodowej ginęła zakosami w górze, na prawo za szybą ciągnęły się w dole zielone trawniki, nakrapiane łaciatymi namiotami, upstrzone porożkami i parapetami murów obronnych w krzykliwym średniowiecznym widowisku. Poole nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi.

Dużo czasu stracił na szukanie schodów. Musiał opowiedzieć jakąś bajeczkę jednemu pracownikowi z Kamelotu; potem ble-fować z przepustką Wame'a, przechodząc koło strażnika. Wchodząc, starał się nie myśleć, ile minut już minęło.

Nie chciał też myśleć o tym, jak absurdalnie to wszystko brzmiało. Myśl, że kopała parku ma zostać wysadzona w powietrze i zwalić tony szkła i stali na głowy turystów, wydawała się zbyt szalona nawet jak na dzieło Johna Doe. Może ta kobieta, Sarah Boatwright, źle zrozumiała, co wychodziło ze zmasakrowanych ust Barksdale'a, a nie wiadomo też, czy tamten mówił prawdę. Może majaczył, a może liczył na to, że uda mu się uciec, i wymyślił coś, żeby zostawili go samego w szpitalu. W głębi ducha jednak Angus sam w to nie wierzył. Barksdale starał się mówić za wszelką cenę, dławiał się własną krwią byleby

455

ostrzec szefową parku przed tym, co się ma wydarzyć. Samo poruszanie strzaskaną szczęką musiało być męczarnią. Ten człowiek na pewno nie kłamał.

Korytarz skręcił łagodnie, Kamelot zniknął z pola widzenia, a na szczycie schodów Poole zobaczył metalowe drzwi. Cienki pasek słońca otaczał prostokątną powierzchnię wewnątrz ciemnej futryny. Z góry w jego stronę szedł pracownik infrastruktury w beżowym kombinezonie z wielką torbą w rękę. Spojrzał przełomie na Poole'a, który rzucił nań okiem, ale nie zwolnił kroku, w obawie, że tamten zacznie go wypytywać, co tu robi. Na szczęście nie usłyszał za plecami żadnego ostrzegawczego krzyku ani wołania, żeby się zatrzymał. Popędził dalej w stronę drzwi, myśląc tylko o zadaniu, które go czeka.

Co właściwie może dziać w kilka minut, jeśli kopułę rzeczywiście obłożono ładunkami wybuchowymi? Biegniesz w przeciwną stronę, durniu! — krzyczała w nim każda cząstka instynktu samozachowawczego. Ci goście to zawodowcy, nie wiadomo, co tam znajdziesz, ale to na pewno nie będzie bomba z nawozu sztucznego podłączona do zegarka sprężynowego. To robota dla ekipy specjalistów dysponujących najlepszym sprzętem i czasem...

Wtedy przypomniała mu się jego kuzynka z mężem i dziećmi — nieznośna rodzinka, bez dwóch zdań, niemniej rodzina. Razem z tysiącami innych gości spacerują w cieniu ogromnej kopuły w błogiej nieświadomości, uśmiechają się, gawędzą... Prawie podświadomie jeszcze bardziej przyspieszył kroku, pędząc po schodach do drzwi.

Może jednak sytuacja nie jest aż tak beznadziejna. W końcu to nie strefa działań wojennych, nie mogli mieć więcej niż jednego, może dwóch trepów do wtaszczenia sprzętu i materiałów wybuchowych. Skoro jest nadajnik, musi też być odbiornik. Szybciej i pewniej byłoby go znaleźć, niż rozbijać kilka detonatorów z nadzieją, że wysadzona kopała się nie zawali. Ten zakatarzony technik, Peccam, powiedział, że nadajnik potrzebuje wolnej przestrzeni, to znaczy, że odbiornik musi być gdzieś na tyłach, widoczny z parkingu dla pracowników parku.

Jeszcze cztery stopnie, dwa i stanął przed drzwiami. Przez jeden okropny moment zaświtało mu w głowie, że mogą być

456

zamknięte, że może trafić na czytnik dłoni, tak jak przedtem, kiedy musiał przekonywać jakiegoś pracownika, aby go wpuścił. Z ulgą jednak zobaczył w drzwiach jeden zwykły zamek. Wystarczyło porządne kopnięcie i stanęły otworem.

Spowila go fala oślepiającego światła i piekącego skwaru. Zatrzymał się oszołomiony, odwrócił głowę i zamknął oczy. Po chłodnym półmroku klatki schodowej to był prawdziwy wstrząs. Po chwili, kiedy bolesny, biały blask stracił nieco na sile i świat dookoła niego nabrał kształtów, zrobił jeden krok, potem dmgi.

Schody prowadziły do małej metalowej budki, ustawionej jak dziecięca zabawka na wielkiej, płaskiej skarpie. Ze szczelin i dołów piaskowca sterczały kępy pustynnych roślin — jałowców,

krzaczastej szafwii. Rdzawą równinę znaczyły bmdzy i żłobienia niczym blizny po krwawej bitwie. Był to brzeg ściany otaczającej dolinę, w której spoczywała Utopia. Nieco dalej nad kanionem wznosił się półkulisty dach parku, sześciokątne szyby i stalowe żebra migotały jak skrzydła ważek w blasku słońca.

Na ten widok Poole znowu stanął jak wryty. Ogromna, gładka, wybrzuszona powierzchnia była tak nieskazitelnie geometryczna w porównaniu z ospowatym, nierównym piaskowcem równiny, że zdawała się jakąś nieziemską wieżą ze snów. Zmusił się, aby odwrócić wzrok i z wielkim wysiłkiem ruszył biegiem przed siebie.

Kiedy dotarł pod kopułę, zobaczył na niej sieć kładek i drabinek, zmyślnie wbudowanych w stalowe żebra i poprzeczki. Nigdzie nie widać było śladów czyjejś nielegalnej działalności, żadnych podejrzanych przedmiotów ani sprzętów. Prawie westchnął z ulgą: może jednak Barksdale się mylił, w końcu...

Wtedy zobaczył przewód. Ciągnął się pod najniższą kładką wzdłuż metalowych ram biegnących wokół podstawy kopuły.

Przykłęknął pod pomostem i delikatnie wziął w palce plastikową osłonę kabla. Był to wysokiej jakości, profesjonalny przewód, cienki i lekki, lecz niezawodny. Powstrzymał chęć, aby go po prostu przeciąć. Nie miał wątpliwości, że przestępcy zabezpieczyli się przed taką ewentualnością. Każda ingerencja w układ skończyłaby się zapewne przedwczesną eksplozją.

Podniósł się i ze ściśniętym gardłem pobiegł wzdłuż podstawy

457

za ciągnącym się kablem. Kilkanaście metrów dalej trafił na pierwszy ładunek: niewielka bryłka plastiku tkwiła przyklejona fachowo do podstawy kratownicy. W innych okolicznościach zapewne podziwiałby subtelne piękno tej konstrukcji. Drzemiały w nim dawny agent operacyjny z uznaniem ocenił ekonomiczne wykorzystanie materiału wybuchowego. Pirotechnik, bo Angus nie miał już dłużej wątpliwości, że musiał w tym maczać palce prawdziwy ekspert, z całą pewnością przedkładał chirurgiczną precyzję ponad siłę i wybuchu.

Szedł dalej wzdłuż podstawy kopuły w stronę wyjazdu z zaplecza Utopii. Trafił po drodze na dwa następne ładunki, obydwie podłożone z wielką wprawą tak, aby przy minimalnym wykorzystaniu środków wybuchowych spowodować maksymalne uszkodzenia strukturalne. Musiał to robić jeden człowiek, góra dwóch. Wykonali bardzo metodyczną robotę. Aż za bardzo metodyczną. Nie ma co liczyć na fuszerkę lub słabe punkty, które można by wykorzystać. Ściskanie w gardle przybrało na sile.

Biegąc, nie spuszczał z oczu przewodu detonacyjnego wijącego się pod kładką. Przed sobą przy dolnej krawędzi kopuły zobaczył większą skrzynkę, z której wychodziły kable. To musi być odbiornik, pomyślał i nowa nadzieja zaświtała mu w sercu.

Nagle na dnie płytkiego wgłębienia w ziemi zobaczył jakiś przedmiot. W pierwszej chwili skreślił, aby go ominąć, a potem nagle stanął i szybko ukłęknął.

— Słodka Panienko — mruknął.

Przed nim leżało ciało mężczyzny, ze stopami w butach na gumowej podeszwie podwiniętymi pod siebie. Zabity miał niespełna czterdzieści lat, na sobie białe kombinezon pracownika działu konserwacji, a do pasa przypięte jakieś urządzenie elektroniczne. Na ubraniu widniała duża plama krwi. Poole dotknął materiału. Był sztywny, krew zaschła wiele godzin temu.

Pod kładką niecałe dwa metry od zwłok, przyklejono następny ładunek wybuchowy. Poole schylił się, aby mu się przyjrzeć.

Nagle kątem oka zobaczył, że coś się poruszyło. W dawnym, na wpół zapomnianym odruchu rozpląszczył się w mgnieniu oka na ziemi obok zwłok. Dopiero później ostrożnie unióśł głowę.

W pierwszej chwili niczego nie zauważył, pomarszczona,

458

kostropata powierzchnia pustyni sprawiała wrażenie kompletnie wymarłej. Potem ruch się powtórzył. W słońcu poza zasięgiem cienia rzucanego przez kopułę, przytulony do jej podstawy szedł mężczyzna. Z miejsca, gdzie leżał Poole, widać było tylko jego lewy bok. Miał na sobie beżowy kombinezon i Angus zaklął pod nosem, rozpoznawszy w nim człowieka, którego mijał na

schodach. Tak go pochłonęło najważniejsze zadanie, że nie przyszło mu do głowy zastanawiać się, kto to był. Z góry założył, że wszyscy terroryści udali się na miejsce przegrupowania i szykowali do wyjazdu samochodem opancerzonym. Błąd. Powinien był wiedzieć, że człowiek tak skrupulatny jak John Doe na pewno zostawi na straży obserwatora, aby do ostatniej chwili miał na oku trasę ucieczki. Nigdy niczego nie zakładaj z góry, tak go uczono. Każdą rzecz podawaj w wątpliwość. Niczego nie uważaj za oczywiste.

Leżąc bez mchu, ukryty za zwłokami, obserwował jak nowo przybyły zwalnia, rozgląda się i znowu idzie przed siebie. Poole rozpoznał ten rozważny, ukradkowy sposób poruszania się: mężczyzna kogoś śledził. I było aż nadto oczywiste kogo.

Dotarłszy do linii cienia, intruz okrążył łukiem niewidzialną przeszkodę, a wtedy Angus zobaczył jego prawy bok i lśniąca w słońcu lufę karabinu.

Znowu zaklął siarczyście. Taka broń radykalnie zmieniała zasady gry. Nie mógł sobie pozwolić na rozgrywkę jeden na jednego ze snajperem, zwłaszcza z dużej odległości. Poza tym nie miał czasu na takie zabawy.

Mógł zrobić tylko jedno: zadziałać z zaskoczenia i podejść przeciwnika na tyle blisko, aby karabin snajperski nie dawał mu przewagi.

Mężczyzna w kombinezonie dochodził do granicy cienia. Szybko, aby wykorzystać fakt, że tamten go nie widzi, Angus przesunął się wzdłuż zwłok, które zapewniały mu osłonę, dopasowując pozycję do wygiętej sylwetki zabitego. Snajper pewnie wie o zwłokach, najprawdopodobniej sam go zastrzelił. Nie będzie się spodziewał, że leży za nimi ktoś inny.

Angus sięgnął do kieszeni i wyciągnął pistolet hakera, następnie, starając się jak najmniej poruszać, sprawdził, czy nabój tkwi

459

w komorze. Położył się na brzegu wgłębienia i nasłuchiwał. Nie mógł teraz liczyć na wzrok — snajper wszedł w cień i gdyby Angus podniósł głowę, tamten natychmiast zauważyłby ruch. Leżał więc w dole i czekał, aż usłyszy odgłos zbliżających się kroków. Ostre kamienie wrzynały mu się w plecy, a nozdrza drażnił zapach taniej wody kolońskiej, której używał zabity. Ładny wybór, nie ma co, myślał. Mógłbyś teraz siedzieć w Oceanie Ukojenia i popijać piwo, a zamiast tego przytulasz się do shtywniaka i czekasz, czy dostaniesz kulkę, czy też wylecisz w powietrze...

Dobiegł go odgłos kroków. Nadchodzący zwolnił, potem przystanął, w końcu znowu mszył; zbliżał się powoli, miarowo. Poole czekał, oddychając wolno. Pięć sekund. Cień mężczyzny wpelzł do zagłębienia.

Kiedy głowa snajpera pokazała się w polu widzenia, Angus podniósł broń i lewą ręką przytrzymał dłoń z pistoletem.

— Stój — powiedział.

Mężczyzna znieruchomiał raptownie, a następnie powoli postawił uniesioną nogę z powrotem na ziemi. Poole leżał na kamienistej ziemi i trzymał pistolet skierowany prosto w głowę tamtego. Przez chwilę dwaj mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa.

— Ładny dzień, o ile się nie rozpada — odezwał się w końcu Angus.

Jeśli mężczyzna usłyszał jego słowa, to nie dał tego po sobie poznać. Był potężnie zbudowany, krótkie włosy opadały mu na skronie, a z tyłu głowy przylegały gęstymi falami. Karabin trzymał w prawej dłoni, z dala od ciała, skierowany tłumikiem płomieni w dół.

Angus wstał, ani na chwilę nie spuszczać mężczyzny z celownika. Czuł, jak od jego pleców odklejają się kamyki. Zrobił kilka kroków w tył, ostrożnie stawiając nogi, uważając, aby nie stracić równowagi. Następnie wskazał głową M24.

— Znam tylko jeden rodzaj ludzi, którzy prefemją ten karabin. Służyłeś w Korpusie?

Mężczyzna nadal patrzył na niego bez słowa.

— Dziewięćdziesiąty Szósty Korpus Ekspedycyjny — ciągnął Poole. — Ale jakiś czas temu zmęczyli się moim towarzystwem.

460

Snajper nadal milczał, patrząc na niego beznamietnie. Poole westchnął.

— Skoro nie umiesz prowadzić cywilizowanej konwersacji, to może byś odłożył broń.

Mężczyzna ani drgnął, więc po kilku sekundach Angus opuścił nieco pistolet i wycelował w nogi tamtego. Nie ma czasu na uprzejmości, strzeli mu w kolano, a potem wydobędzie potrzebne informacje.

W tym samym momencie dłoń nieznajomego rozluźniła się i pozwoliła, aby karabin upadł na ziemię kolbą w dół. Poole się uśmiechnął. Facet wyczytał jego zamiary z oczu. Bardzo sprytnie.

— No, to już jakiś początek. A teraz połóż ręce na głowie z rozsuniętymi palcami i powiedz mi, jak najszybciej rozbroić te wasze robótki ręczne.

Snajper zaczął podnosić ramiona bezczelnie powoli. Poole już miał go ponaglić, kiedy zauważył, że prawa ręka wystrzeliła do tyłu z prędkością atakującego węża i znikła za plecami. Podniósł pistolet i natychmiast nacisnął spust, ale zamiast strzału rozległ się tylko cichy, suchy trzask i zanim Angus zdał sobie sprawę, że w komorze jest niewypał i zdażył przeładować broń, dłoń mężczyzny wyłoniła się zza pleców z czterdziestkapiątką. Potem widok pistoletu przesłoniła mu plama płomienia i poczuł, jakby rozpalone końskie kopyto walnęło go w brzuch. Jego pistolet również wypalił, ale on już leciał w tył, a czarna kształt kopuły i błękit nieba wirowały mu przed oczami. Nieznośnie twarda, kamienista ziemia uderzyła go w plecy, z piersi uszło mu całe powietrze, a wszystko dookoła zrobiło się czarne.

16.20

Na ciężkich stalowych drzwiach wisiał napis: „Teren pod ścisłą ochroną. Osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Wame stał i rzucał ukradkowe spojrzenia w jedną i drugą stronę korytarza, podczas gdy Smythe wystukał kod na klawiaturze zamka elektronicznego, odpiął przepustkę od marynarki i przeciągnął ją przez czytnik, a następnie przyłożył dłoń do skanera. Usłyszeli ciche kliknięcie i drzwi odskoczyły. Owiało ich nieco inne, suche powietrze. Wame zauważył, że krawędzie drzwi oklejono gumową taśmą.

— Pusto tu — zauważył.

Ta uwaga zabrzmiała jakoś niedorzecznie, lecz Andrew czuł potrzebę powiedzenia czegokolwiek. Przez całą drogę unikał bezpośrednich odpowiedzi na pytania Smythe'a. Powiedział, że Utopii grozi śmiertelne niebezpieczeństwo i że on, Smythe, jest w tej chwili jedyną osobą która może im pomóc. Lepiej wypełnić ciszę pustą gadaniną niż czekać na kolejne pytania. Peccam stał z boku. Z jego twarzy nie zniknął wyraz niedowierzania.

— Ten teren zostaje odcięty, kiedy do skarbcza wjeżdża samochód po pieniądze — odparł Smythe. — Tylko ochrona i pracownicy z uprawnieniami bezpieczeństwa drugiego stopnia mają tu wstęp.

Wszedł do środka, a Wame i Peccam podążyli za nim. Zaskakująco duże i prawie puste pomieszczenie przypominało Warne'owi salę gimnastyczną. Podłoga wyłożona była gumową

462

matą, ściany gołe, jeśli nie liczyć kilku plakatów i napisu: „Zakaz wstępu w ubraniach syntetycznych. Osłaniać skórę. Przepisy bezpieczeństwa APA 97-1”. Przez środek sali, w odstępnie dwudziestu metrów, ciągnęły się dwa rzędy identycznych metalowych kontenerów wysokości około dwóch metrów i pięciu metrów długości, przykute do betonowych platform, które biegnęły przez całą długość hali.

— Czy to tam są przechowywane fajerwerki? — spytał Wame.

Smythe skinął głową.

— Jak pan widzi, między kontenerami zachowujemy odległość zalecaną przez Biuro do spraw Alkoholu, Wyrobów Tytoniowych i Broni. W Utopii wszystko spełnia lub nawet przewyższa zalecane standardy. Poza jednym. — Podszedł do małych drzwi po drugiej stronie sali i poruszał klamką. — Widzi pan? — zapytał, wracając ze zmarszczonym czołem. — Zamknięte.

— No i co w związku z tym?

— Zamknięte elektronicznie. To środek bezpieczeństwa na czas odbierania z magazynu pieniędzy przez samochód opancerzony, ale jednocześnie rażące naruszenie przepisów bezpieczeństwa w pracy, zgodnie z którymi w magazynie powinno być kilka wyjść. Wielokrotnie zgłaszałem już tę sprawę, ale za każdym razem słyszę, że to tylko na dziesięć minut raz w tygodniu. Kiedy zamykają skarbiec, a samochód wyjeżdża z budynku, zamek elektroniczny jest wyłączany.

Ale to i tak wbrew przepisom. — Smythe spojrział nagle na Warne'a, jakby jakaś myśl zaświtała mu w głowie. — Może mógłby pan szepnąć w tej sprawie słowo odpowiednim osobom, co? Więc samochód jest nadal w budynku, pomyślał Andrew. Odwrócił się niecierpliwie do Smythe'a.

— Niech mi pan pokaże skład z tymi... tymi...

— ...szelkami — dokończył za niego Smythe.

Andrew kiwnął głową. Pirotechnik ściągnął z dezaprobatą brwi, mimo to poprowadził obydwu mężczyzn w głąb sali. Wingnut pojechał za nimi. Poruszał się ostrożniej niż zwykle, kamery na głowie, obracając się, badały ściany i sufit, a w tym czasie procesory robota tworzyły mapę topograficzną nowego miejsca.

463

Smythe zatrzymał się przy czwartym kontenerze i sięgnął do kieszeni po klucze. Na podłodze przed wejściem leżała mata izolacyjna; obok drzwi wmontowany był wodoodporny włącznik światła z zabezpieczeniem przeciwporażeniowym, a na bocznej ścianie tabliczka z informacją „Materiały wybuchowe 1.3 G”.

Smythe zdjął kłódkę, zapalił światło, po czym otworzył ciężkie metalowe skrzydło i wszedł do środka. Wame schylił głowę i podążył za nim. Na środku na podłodze stał higrometr, z sufitu zwisał papier higroskopijny. Po obu stronach na ścianach piętrzyły się drewniane półki z dziesiątkami kartonowych pudeł oznakowanych identycznym napisem: „Sztuczne ognie UN 0771. Zachować ostrożność. Przechowywać z dala od ognia”. Na każdym wypisano grubym czarnym flamastrem długie rzędy cyfr. Na końcu składu Andrew zauważył mnóstwo szerokich tub zrobionych z czegoś, co wyglądało na czamy karton. Przykrywki tub miały różne kolory, zależnie od wysokości. Smythe odwrócił się do najbliższej półki, przebiegł palcami po rzędach cyfr na jednym z pudełek. Wyciągnął je, położył na podłodze i bardzo ostrożnie otworzył. W środku, w zamkniętych plastikowych torebkach, leżały poukładane kuliste paczuszki owinięte w brązowy papier.

— To fajerwerki przeznaczone wyłącznie do otwartych przestrzeni — powiedział Smythe. — Używamy ich do wieczornych pokazów przed zamknięciem parku.

Wziął do ręki jedną paczuszkę i wyjął z plastikowego woreczka. Podniósł do światła i oglądał, obracając, jakby szukał najdrobniejszych skaz lub rozdarć. Potem podał ją Warne'owi. Była zaskakująco ciężka. Andrew podniósł ją wyżej i zobaczył z boku lont ze skręconego papieru, przywiązany białym sznurkiem. Do opakowania przyklejono kilka następných etykietek. „Uwaga!”, ostrzegała jedna z nich. — „Materiały wybuchowe. Tylko do użytku osób uprawnionych”.

— To złota wierzba — oznajmił Smythe. — Niezbyt jaskrawa, ale bardzo wysoka. Wznosi się na trzysta metrów, zanim wybuchnie. Bardzo widowiskowa. Ma silny ładunek miotający. Potrzebuje co najmniej dwudziestopięciomilimetrowego mózdzierza na ten cały proch.

464

Andrew szybko oddał mu paczuszkę. Smythe położył ją na podłodze obok pudełka, po czym wszedł głębiej między półki składu.

— A tutaj mamy podwójne chryzantemy. To bardzo duże, podniebne szelki finałowe. — Podeszedł do rzędu półek po drugiej stronie i wskazał stos pudełek. — To srebrne smoki, zrobione z prochu fotobłyskowego, z magnezem lub aluminium. Szczególnie magnez daje wyjątkowo jasne rozbłyski, mieszanka spala się w bardzo wysokiej temperaturze. Wspaniałe tło dla rac.

— No właśnie, race — wtrącił się Wame. — Wspominał pan o nich.

Smythe zamrugał i wytarł okulary. Potem kiwnął ręką żeby poszli za nim, wyszedł ze składu i mszył dalej. Zatrzymał się przed innym kontenerem, otworzył kłódkę i wpuścił ich do środka. Wingnut został na zewnątrz, burcząc i jeżdżąc niespokojnie w przód i w tył.

Ściany tego składu były wyłożone drewnianymi płytami. Zamiast platform i półek, na podłodze w podwójnych rzędach stały ciężkie skrzynie na amunicję.

— Race — poinformował Smythe, otwierając najbliższy pojemnik. — Salwy, jak to wy Amerykanie je często nazywacie. Zrobione z czystego prochu strzelniczego, żadnych gwiazdek, żadnych efektów świetlnych, tylko jeden wielki huk. Bardzo potężne i brutalne. Hiszpańscy pirotechnicy je uwielbiają.

— Proch strzelniczy — powtórzył Andrew, patrząc na cylindryczne paczki poukładane w

pudełku. — Czysty proch strzelniczy.

— Albo fotobłyskowy, tak.

W tym momencie w hali rozległ się brzęczący dźwięk.

— To sygnał skarbcza — oznajmił Smythe. — Znaczy, że został zamknięty i nasze wyjście awaryjne jest znowu otwarte. Myślę, że za kilka minut usłyszymy, że droga jest wolna, a samochód z pieniędzmi wyjechał z podziemi.

Wame podskoczył jak oparzony.

— Wyjechał? — Wskazał otwartą skrzynię. — Musimy pożyczyć kilka sztuk.

Smythe zamrugał oczami.

— Słucham?

465

— I kilka tych szelek z drugiego składu, na wszelki wypadek. Złote wierzby i moździerz.

— Pożyczyć? — spytał Smythe, cały czas mrugając.

— Pospiesz się, człowieku!

Smythe ostrożnie wyjął ze skrzyni kilka rac, po czym wyszedł i podreptał w kierunku poprzedniego kontenera. Wame odwrócił się do Peccama.

— Ile mamy czasu do wyjazdu samochodu z pieniędzmi?

— Nie wiem, nie za dużo. Jeśli skarbiec został zamknięty, to znaczy, że samochód jest już w drodze.

— Cholera! — Na ułamek sekundy Andrew wpadł w rozpacz. — Posłuchaj, Ralph. Wiesz, co zamierzam zrobić, prawda?

Oczy Peccama się zwęziły.

— Chyba tak.

— I zgadzasz się, że nie mamy innego wyjścia?

Chłopak powoli skinął głową.

— Muszę iść ze Smythe'em, dopilnować, żeby zabrał to, czego potrzebuję. Może jeszcze jest czas, musimy się o to modlić. Tymczasem musisz coś zrobić.

Odpiął z nadgarstka eholokator.

— To urządzenie naprowadzające Wingnuta — powiedział, podając pasek Peccamowi. — Jeśli mu rozkażę, poleci w jego kierunku bez względu na to, gdzie będzie ukryte.

Chłopak wziął urządzenie ostrożnie, jakby Andrew dawał mu ładunek wybuchowy wyjęty ze skrzyni. Wingnut czekał przed wejściem, obserwując ich z ogromnym zainteresowaniem.

— Wiesz, co z tym zrobić?

Peccam skinął głową.

— No to leć. Biegiem. I nie narażaj się bardziej niż to konieczne. Smythe pokaże mi, jak obsługiwać te ładunki. Jeśli mamy jeszcze czas, jeśli nie jest za późno, spotkamy się na miejscu.

Peccam ponownie skinął głową. Na jego bladej twarzy malował się ponury, lecz zacięty wyraz.

Odwrócił się i bez słowa pognął do wyjścia awaryjnego z hali magazynowej.

Wame wyszedł ze składu.

— Chodź, mały — powiedział łagodnie do Wingnuta.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia cztery po czwartej.

16.24

Zawartość ostatniej płóciennej torby z banknotami zapakowanymi w brązowy papier została złożona w trzewiach samochodu opancerzonego; lista kontrolna odhaczona; suma transferu zweryfikowana; i uśmiechnięty, wąsaty Earl Crowe dał znak w kierunku kamer nadzoru skarbcza.

Verne w odpowiedzi machnął ręką i Crowe wszedł do samochodu od strony pasażera. Kiedy z głuchym łomotem zasunęły się za nim drzwiczki, a na pulpicie sterowniczym skarbcza zostały wprowadzone odpowiednie komendy, duża, półokrągła śluza z błyszczącej stali, wtaczając się z powrotem na miejsce, otworzyła przejazd do korytarza, a zamknęła salę transferów wraz z pustym skarbczem. Ciche dzwonienie skarbcza utonęło w ryku dieslowskiego silnika.

Machnąwszy po raz ostatni ręką kierowca wrzucił bieg i powoli mszył w stronę wyjazdu. Za pięćdziesiąt metrów dojadą do skrzyżowania dwóch korytarzy, a po kolejnych pięćdziesięciu do

punktu kontroli strażniczej. Dalej, po opuszczeniu parkingu i drogi dojazdowej do trasy numer dziewięćdziesiąt pięć otworzą się przed nimi nieograniczone możliwości.

Ciężarówka jednak nie dotarła do stanowiska strażników. Ujechała kilka metrów i zatrzymała się. Potem bardzo powoli potoczyła się parę metrów do przodu, dopóki nie znalazła się poza zasięgiem kamer wideo. Wtedy znowu stanęła.

Prawie natychmiast w przyległej ścianie otworzyły się elektrycznie zamykane drzwi. Odskakujące skrzydło stuknęło delikat-

467

nie o karoserię wozu. Drzwiczki ciężarówki uchyliły się z syknięciem powietrza.

Pierwszy w wejściu pojawił się John Doe. Popatrzył w obie strony, wygładził koszulę i wszedł po schodkach, a następnie do samochodu. Wtedy w drzwiach stanęła następna osoba. Twardziel znowu miał na sobie skórzaną kurtkę, w której spotkał się tego ranka w furgonetce z Tomem Tibbaldem.

On również spojrzął w lewo, potem w prawo, zamglone migdałowe oczy nie wyrażały żadnych uczuć. Wkrótce on także zniknął we wnętrzu pojazdu. Ostatni pojawił się młody Haker Jack. Twarz miał spuchniętą i pokrytą siniakami, skórę na kostkach prawej dłoni rozciętą i zakrwawioną jakby uderzył o ostry przedmiot lub może... o zęby. Przerzucił przez próg dużą torbę sportową po czym zamknął za sobą drzwi.

W środku John Doe przecisnął się obok Earla Crowe'a na tył samochodu. Crowe patrzył, jak jego szef otwiera jeden z bocznych schowków, przebiega najpierw oczami, a potem dłonią po stertach paczuszek z banknotami, ułożonych równiutko w czterech rzędach.

— Jak powiedział George Bernard Shaw: „Niedostatek pieniędzy leży u korzeni wszelkiego zła”. — John Doe zamknął schowek. — Dzięki temu zastrzykowi gotówki będziemy mogli na długo stać się grzecznymi chłopczykami.

— Masz dysk? — spytał Crowe.

John Doe kiwnął głową i z roztargnieniem poklepał się po kieszeni lnianej marynarki. Spojrzął na zegarek.

— Bawół nie pokazał się w punkcie zbiórki. Odzywał się do was przez radio?

Kierowca Candyman pokręcił głową. W jego słuchawkach rozległ się skrzek głosu, więc wcisnął guzik transmisji.

— AAS dziewięć EB, odbiór.

— Dziewięć EB, tu Centrala Utopii. Widzimy, że zatrzymaliście się w korytarzu. Czekamy, aby dać wam zgodę na wyjazd. Meldujcie przyczynę zwłoki. Odbiór.

— Centrala Utopii, nic ważnego. Silnik nam się trochę dusi, chyba zatkał się filtr powietrza. Próbujemy go przeczyszczyć.

— Dziewięć EB, rozumiem. Jeśli problem nie zniknie, macie kontynuować naprawę na zewnątrz. Powtarzam: na zewnątrz.

468

— Centrala, tu dziewięć EB, to naprawdę drobiazg. Za sekundę ruszamy dalej.

Candyman wyłączył radio i obejrzał się do części bagażowej.

— Nasłuchiwałem kanału ochrony — powiedział. — Wieść o Stacji Omega przeciekła na poziom C. Tubylcy robią się niespokojni.

— Bez obaw — uspokoił go John Doe. — Damy Bawołowi kilka minut, potem wyjeżdżamy.

— Mam wysiąść i podnieść maskę? — spytał Crowe.

John Doe pokręcił głową.

— Nie trudź się, kamery tu nie sięgają. Prawda?

Kierowca wyrzwał przez pancerną szybę. Spojrzął w wypukłe lusterko wsteczne, potem w drugie.

— Tak — odparł.

Potem popatrzył z powrotem na skaner radiowy nastawiony na częstotliwość kanału ochrony parku, wskutek czego nie zauważył, jak za samochodem mężczyzna, a właściwie piegowaty, przerażony młodzik z załzawionymi oczami i nosem prawie tak czerwonym jak włosy, wymknął się chyłkiem przez drzwi wyjścia awaryjnego za ciężarówką i przypiął od spodu do zderzaka coś, co

przypominało pasek od zegarka. Potem przekradł się z powrotem i zniknął z oczu.

16.24

Warne biegł korytarzem najszybciej, jak mu się to wydawało bezpieczne. Pod jedną pachą ścisnął sześć pustych moździerzy, pod drugą bogaty asortyment plastikowych torebek z podniebnymi szelkami. Przytulał je mocno do siebie, ponieważ Smythe ostrzegł nader obrazowo i z niemiłymi szczegółami, co się może stać z czarnym prochem lub mieszanką fotobłyskową jeśli upuści się je na betonową podłogę.

Za nim szedł sam Smythe z naręczem pękatych rac, opakowanych w brązowy papier, oraz różnych innych przedmiotów, o których zastosowaniu Andrew nie miał zielonego pojęcia. Na końcu, szybkimi, krótkimi zrywami jechał Wingnut. Do jego napędu Wame przymocował cztery ciężkie race, za psem wlokły się więc długie lonty z ciasno zwiniętego beżowego papieru.

Pusty korytarz sprawiał wrażenie opuszczonego. Andrew zauważył, że pomieszczenia, które mijali — rekwizytornia dla pokazów sezonowych, magazyn sprzętu wideo i holograficznego, oczyszczania wody — należały do miejsc stosunkowo rzadko odwiedzanych, co miało tę zaletę, że cotygodniowe odcinanie dostępu podczas transferu pieniędzy nikomu zanadto nie utrudniało pracy. Ponieważ elektroniczny sygnał poinformował już o zamknięciu skarbcza, przepustka Smythe'a pozwoliła im wejść na teren dostępny tylko dla osób z uprawnieniami, jednak cała reszta personelu i obsługi Utopii musiała czekać, dopóki samo-

470

chód opancerzony, otrzymawszy pozwolenie, nie przejedzie przez punkt kontroli straży.

— Jest pan pewny, że to dobra droga? — spytał Wame przez ramię.

Smythe, któremu brakowało tchu, a starał się przy tym jak najmocniej ścisnąć przed sobą swój niebezpieczny bagaż, nie odpowiedział. Andrew rzucił okiem za siebie. Na twarzy pirotechnika malowały się różne uczucia: przerażenie, dezaprobata, troska. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby Wame wyjaśnił mu szczegóły swojego planu. Zgodziłby się, że to jedyny sposób? Czy też kategorycznie odmówił współpracy?

Stopniowo w chłodnych korytarzach podziemi doszedł ich smród spalin. Czyżbyśmy się spóźnili? — pomyślał Andrew w przyływie paniki. Minęło dużo czasu, powinien już rozleć się sygnał, że samochód opuścił podziemia. Johnowi Doe i jego chłopcom powinno się spieszyć. Skoro załadowali już pieniądze, to na co jeszcze czekają?

Wtedy przez dudniący w korytarzu tupot własnych kroków usłyszeli warkot silnika pracującego na wolnych obrotach. Niski, gardłowy gulgot wydawał się nie na miejscu w tych betonowych ścianach. Warne'owi przypomniało się, co mu powiedziała Amanda Freeman podczas swego krótkiego wprowadzenia po jego przyjeździe do Utopii. „Jedynym nieelektrycznym pojazdem, dopuszczonym w Utopii do mchu, jest samochód opancerzony, który raz na tydzień zabiera z parku gotówkę”.

Zwolnił. Przed nimi korytarz wychodził na inny, poprzecznie biegnący, szerszy tunel. Po lewej stronie zobaczył, a w każdym razie zdawało mu się, że zobaczył, słaby blask słońca oświetlający betonowe mury. Odwrócił się do Smythe'a i wskazując ręką, zadał bezgłośnie pytanie. Smythe w odpowiedzi skinął głową. Byli na miejscu: oto droga wiodąca do skarbcza.

Andrew mszył dalej dużo wolniejszym krokiem. Warkot silnika dochodził wyraźnie z prawej strony, co znaczyło, że wóz z pieniędzmi, opuszczając podziemia, musi przejechać dokładnie przed nimi.

Poczuł dziwną mieszaninę emocji — ulgę, że wbrew wszelkiej nadziei, zdążyli na czas, a zarazem obezwładniający strach. Co

471

właściwie ktoś taki jak on — buntowniczy teoretyk, zadomowiony raczej w laboratoriach i na sympozjach naukowych — robi w takim miejscu. Powinien się zajmować reanimowaniem upadającej kariery: prowadzić badania, pisać artykuły do czasopism branżowych. Skąd on się tu wziął?

Zadawał już sobie to pytanie wcześniej. I tak jak wcześniej odpowiedział: zdecydowanie nie jest tu właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Ale nie ma nikogo innego. Tylko on ma cień

szansy powstrzymać tych ludzi przed wysadzeniem w powietrze kopuły największego parku rozrywki na świecie. W tym celu nie może dopuścić, aby wyjechali z Podziemi.

Zatrzymał się trzydzieści metrów przed skrzyżowaniem. Przyklęknął i drżącymi palcami postawił tuby na podłodze. Wingnut przestał się bujać tam i z powrotem i czekał w pobliżu. Cały czas starał się dopasować mchy do zwiększonego ciężaru, który dźwigał na plecach. Gdyby mógł wyglądać nieszczęśliwie, to właśnie teraz zrobiłby najżałośniejszą minę pod słońcem.

Andrew położył szelki obok moździerz.

— Co się dalej z tym robi? — spytał Smythe'a najspokojniej, jak mógł.

Mały człowieczek układał ostrożnie na ziemi własny ładunek.

— Hm, w pokazie sterowanym ręcznie obkłada się moździerz workami z piaskiem. Następnie sprawdza się każdą szelkę, czy nie ma na niej rozsypanego prochu.

Wame słuchał, zgrzytając zębami. Smród spalin i warkot silnika jakby się nasiliły. Mimo to czuł, że nie ma takiej siły, która mogłaby tę chwilę przyspieszyć: Smythe musi wszystko wyjaśnić po swoim.

— A jak ustawia się szelkę pod kątem? — spytał.

Smythe popatrzył na niego, wygładzając wąsy palcami jednej dłoni.

— Że co, proszę?

— Pytałem, jak ustawić szelkę pod kątem. Na przykład, jeśli chcemy ją wystrzelić poziomo, a nie pionowo.

— Ależ czegoś takiego się po prostu nie robi. — Smythe był zdumiony, mało nie urażony tym pytaniem, jak gdyby podobna myśl nigdy dotąd nie powstała mu w głowie. — Szelki mają

ładunki miotające, które wynoszą je na setki metrów w górę. To ekwiwalent kilku lasek dynamitu. Żaden komendant straży pożarnej by na to nie pozwolił. Odstępy, teren opadu... wszystko byłoby zupełnie inne niż w normalnych...

— Panie Smythe — przerwał mu Wame. — To, z czym mamy tu do czynienia, nie jest w najmniejszym stopniu normalne. Proszę mi powiedzieć, jak to się robi.

Palce pirotechnika zamarły, ale wyraz zdziwienia na jego twarzy pozostał.

— No cóż, myślę, że poszczególne czynności wyglądałyby mniej więcej tak samo. Trzeba wsunąć szelkę do moździerza, upewnić się, że chodzi dosyć luźno, ułożyć ją starannie na samym spodzie. Potem musiałyby... — urwał i skrzywił się kwaśno. — Musiałyby pan położyć moździerz na boku. Nie zupełnie poziomo, oczywiście. To by...

Potrząsnął głową i cmoknął z dezaprobatą na samą tę myśl.

— Rozumiem. — Wame wskazał jeden z największych sztucznych ogni. — Niech mi pan to pokaże na jednej z tych...

— Żółtych wierzb.

— Tak, żółtych wierzb.

Smythe ostrożnie rozdarł plastikowe opakowanie szelki, sprawdził ciężki ładunek miotający przymocowany do niej od spodu, odwiązał lont i włożył ją ostrożnie do dużego czarnego moździerza. Potem delikatnie wysunął całość z powrotem i ponownie wsunął jak najgłębiej.

Uznawszy, że pasuje jak ulał, ułożył z boku lont. Potem wziął jeden z najmniejszych moździerzy, położył na boku i bardzo powoli przechylił załadowaną szelkę tak, aby się na nim oparła.

Andrew skinął głową.

— Rozumiem. A teraz, jak ją odpalić.

— Odpalić?

Wame powtórnie kiwnął głową. Ryk silnika przybrał na sile, kierowca dodawał gazu.

— Czemu chce pan to wiedzieć?

— Ponieważ zamierzam wystrzelić ten fajerwerk, panie Smythe.

Zdziwienie na twarzy pirotechnika zmieniło się w osłupienie.

473

— Odpalić? Po co?

Andrew miał czas tylko na krótkie wyjaśnienie albo na groźbę. Wybrał to pierwsze.

— Ponieważ tym korytarzem będą za chwilę przejeżdżać samochodem opancerzonym bardzo niebezpieczni ludzie. Jeśli pozwolimy im uciec, wysadzą w powietrze całą kopułę parku. Zniszczą Utopię. Nie możemy pozwolić im uciec.

Za nimi otworzyło się przejście służbowe i wyszedł z niego Peccam. Popatrzył w obie strony korytarza, po czym skierował się w ich kierunku. Był przerażony, a spodnie na kolanach miał ubrudzone kurzem.

Smythe nawet na niego nie spojrział.

— Chce pan tutaj odpalić złotą wierzbę?!

— Jeśli będę musiał. Wierzbę i tę... jak ją pan nazywa... podwójną chryzantemę. Ale na pierwszy ogień mam Wingnuta uzbrojonego po zęby w czamy proch. Zamierzam wysłać go na tę ciężarówkę.

Oczy Smythe'a zrobiły się okrągłe.

— Chce pan powiedzieć, że to... może być niebezpieczne?

Wame nie odpowiedział. Wstrząśnięty i niedowierzający wyraz

twary pirotechnika był nie do opisanego, wręcz niedorzeczny. Może przez cały czas łudził się głupio, że ma do czynienia z jakimiś ćwiczeniami, lub może podejrzewał, że zarząd Utopii testuje go po kryjomu. Tak czy inaczej, chociaż serce waliło mu jak młot dwa razy szybciej niż normalnie, w nozdrza drażnił smród dieslowskich spalin, a z za rogu dochodził bulgot silnika, Andrew wybuchnął nagle niepowstrzymanym śmiechem. Śmiał się, aż cały korytarz wypełniło dzwoniące echo i zagłuszyło nawet odgłos samochodu.

— Tak, panie Smythe — powiedział w końcu, ocierając oczy. — Podejrzewam, że to może być niebezpieczne.

Podszedł do nich Peccam.

— Niech mu pan tylko pokaże, jak to odpalić, zanim pan ucieknie.

Smythe popatrzył na Peccama, potem na Warne'a, kilka razy kiwnął głową bez słowa zdjął okulary i trochę nieskoordynowanymi ruchami zaczął je wycierać w połą koszuli.

474

— Nic ci nie jest? — zapytał Andrew chłopaka. — Przyczepiłeś echolokator?

Peccam kiwnął głową.

— Dobrze. — Warne odwrócił się do Wingnuta, pstryknął kilka włączników na jego panelu sterowniczym i odsunął się. — Widzicie te przyciski na korpusie Wingnuta? Kiedy dam znak, wciśnięcie drugi guzik od lewej. Normalnie jest zaprogramowany, aby podążać za swoim awatarem, czyli za mną ale zmodyfikowałem ustawienia tak, że włączenie tego przycisku doprowadzi do obejścia systemu i przejścia na oprogramowanie wbudowane w pamięć stałą. Robot ruszy w kierunku echolokatora. Ładunki na jego plecach uszkodzą samochód, a my użyjemy sztucznych ogni, aby pasażerowie nie uciekli. Czy to jasne? Więc kiedy ciężarówka... — Przerwał, widząc minę Peccama. — O co chodzi?

Chłopak wskazał głową korytarz przed nimi.

— Kiedy samochód mszy, znajdzie się w naszym polu widzenia tylko przez sekundę, może dwie. Jak pan zamierza zrobić to wszystko tak szybko?

Wame zamarł przerażony. Układając gorączkowo cały ten plan, nawet przez chwilę o tym nie pomyślał. ! — W takim razie trzeba znaleźć sposób, żeby go zatrzymać — powiedział. — Musi stanąć, kiedy dojedzie do skrzyżowania.

Z rosnącą rozpaczą stwierdził jednak, że nie ma sposobu, żeby go zatrzymać. Przypomniało mu się, co powiedział Poole: „Nie rzucę się pod koła, żeby zatrzymać samochód”.

Miał rację. Nie ma sposobu, żeby...

I wtedy Andrew przypomniał sobie coś innego.

— Niech pan tu zostanie — rozkazał Smythe'owi. Potem odwrócił się do Peccama i skinął na niego ręką. — Chodź ze mną.

Pobiegli z powrotem korytarzem do drzwi, które Andrew zauważył wcześniej, tych z tabliczką „Magazyn sprzętu wideo”. Złapał za gałkę, ale pokój był zamknięty. Peccam przeciągnął swoją

przepustkę przez czytnik i drzwi się otworzyły. Wame wpadł do środka, błyskawicznie zapalił światło i zaczął się gorączkowo rozglądać po załadowanym magazynie. Od samego początku przez cały dzień mieli nad nami przewagę, pomyślał.

475

Ani przez moment nie mieliśmy szansy. Więc może chociaż raz, jeden, jedyny raz dopisało nam szczęście.

Jest. Niskie, czarne, okrągłe urządzenie stało w samym kącie między dwoma podobnymi.

Przenośny wyświetlacz holograficzny, taki jak ten, który dziś rano pokazywała mu Terri w swojej pracowni.

Podbiegł i wyciągnął projektor, który toczył się lekko na dużych kołach. Peccam przyglądał mu się ciekawie, aż nagle jego zwężone oczy technika otworzyły się szeroko ze zrozumieniem.

— Zdążymy? — spytał

Wame przystanął i nasłuchiwał. Warkot silnika dobiegał tu stłumiony, ale słychać było wyraźnie, że nadal pracuje na wolnych obrotach.

— Musimy spróbować — powiedział.

— Ale jeśli ciężarówka ruszy, zanim...

Andrew uciszył go w pół słowa.

— Nie wszystko naraz. Chodźmy.

I najszybciej, jak mogli, wypchnęli walcowaty projektor na korytarz.

16.25

Terri chodziła tam i z powrotem po małym gabinecie w kwaterze ochrony. Zdała sobie sprawę, że podświadomie na przemian zaciska i rozluźnia pięści. Zmusiła się, żeby przestać. Co się dzieje?

Gdzie jest Andrew? Czy nic mu się nie stało? To czekanie w niepewności było po prostu

wykańczające. Wyjrzała z gabinetu do recepcji i popatrzyła na drzwi prowadzące na korytarz.

Lekarz zostawił je otwarte na oścież, kiedy wpadł tu kilka minut temu. Znowu poczuła, że dłonie same jej się zaciskają w pięści. Zerknęła na Georgię, która kręciła się niespokojnie przez sen.

Bez względu na to, co się zdarzy, powiedział Andrew. Bez względu na wszystko.

Minutę temu, może dwie, zaczął dochodzić ten płacz. Był cichy i stłumiony. Chociaż Terri nie mogła sobie wyobrazić szefowej parku roniącej łzy z czyjegokolwiek powodu, poruszyło ją to jeszcze bardziej i jeszcze szybciej zaczęła krążyć po pokoju.

Usłyszała za sobą szelest. Kiedy się odwróciła, Georgia stała obok wózka, opierając się o uchwyt i mrugając nieprzytomnie oczami. Cały czas jest półprzytomna, stwierdziła Terri. Trudno tylko

powiedzieć, czy to od środków usypiających, czy wskutek wstrząsu po dzisiejszych przeżyciach.

Dziewczynka zrobiła jeden niepewny krok, potem dmgi. Kierowała się do drzwi, w stronę, skąd dochodził płacz. Terri położyła jej łagodnie dłoń na ramieniu.

— Georgio, dokąd idziesz?

477

— Do taty. Słyszałam jego głos.

— Twojego taty tu nie ma.

Georgia spojrzała na nią po raz pierwszy. Wzrok jej trochę oprzytomniał, oczy miała mniej zamglone.

— A gdzie jest?

Terri oblizwała wargi.

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Poszedł... poszedł się czymś zająć.

Nie odrywając od niej wzroku, dziewczynka zamrugowała oczami.

— Zostawił dla ciebie wiadomość. Powiedział, że niedługo wróci, i prosił, abyśmy się sobą opiekowały do jego powrotu.

Nagle w ciszy rozbrzmiał przeszywający głos Sarah.

— Freddy, nie możesz odejść! Słyszysz? Freddy, błagam, nie odchodź!

Georgia poderwała głowę.

— Kto to tak krzyczy?

Terri nie odpowiedziała, a tymczasem za ścianą znów rozległ się szloch.

— To jakby głos Sarah. — Georgia odwróciła się do Terri. — Czy to Sarah? Co się stało? Terri nie miała pojęcia, co powiedzieć. Jak na jej miejscu zareagowałby Andrew? Gdybym to była ja, chciałabym znać prawdę. Lekko ścisnęła dziewczynkę za ramię i odwróciła ją do siebie.

— Pamiętasz to dzisiejsze spotkanie, na którym był twój tata?

Georgia skinęła głową. Terri wzięła ją za drugie ramię.

— I pamiętasz tego mężczyznę z dziwnym akcentem?

Dziewczynka znów odpowiedziała kiwnięciem.

— Został ciężko ranny. Bardzo ciężko. Sarah jest zdenerwowana. Próbuje się nim zaopiekować.

— Czy nie powinniśmy im pomóc?

— Myślę, że Sarah woli teraz być sama. Ale to ładnie, że zaproponowałaś. Wiem, że byłaby ci za to bardzo wdzięczna.

W głębi kompleksu ochrony płacz jeszcze przybrał na sile. Był to wstrząsający odgłos — nieukojonny i samotny. Georgia słuchała chwilę, potem odwróciła się i podniosła na Terri oczy

478
z wyrazem, którego kobieta nie całkiem rozumiała. Powoli spuściła wzrok.

Przez cały dzisiejszy dzień, nawet podczas okropnej przeprawy w schowku na bieliznę, Georgia zachowywała stoicki spokój. Teraz jednak jej śliczna buzia zmarszczyła się nagle, usta zadrgały, a w oczach stanęły łzy.

Terri przytuliła ją instynktownie, tak jak jeszcze całkiem niedawno, w tym samym miejscu przycisnął ją do piersi Andrew. I wtedy niespodziewanie Georgia wybuchła płaczem, zupełnie jakby pod naporem emocji pękła w niej jakaś od dawna wznoszona tama. Przez kilka minut Terri pozwoliła dziewczynce szlochać i tylko gładziła ją delikatnie po włosach.

— Dorośli nie powinni płakać — powiedziała w końcu dziewczyna.

— Dorośli również często płaczą — odrzekła Terri, nie przestając jej głaskać po głowie. — Nigdy nie widziałas, na przykład, żeby twój tata płakał?

Georgia odpowiedziała przez łzy.

— Tylko raz.

W pokoju zapanowało milczenie. Słysząc było tylko chlipanie dziewczynki i dalekie zawodzenie Sarah.

— Masz jakąś siostrę? — spytała Georgia, pociągając nosem. Pytanie padło tak niespodziewanie, że Terri w pierwszej chwili aż przestała ją głaskać.

— Nie — odparła w końcu. — Jestem jedynaczką. Dość rzadkie zjawisko w takim katolickim kraju jak Filipiny.

— Zawsze chciałam mieć siostrę — powiedziała Georgia. Terri nie odpowiedziała, tylko zaczęła znowu głaskać ją po włosach.

— Więc co tata kazał nam robić? — spytała po dłuższej chwili dziewczynka.

— Stać tu na straży, uważać na siebie i na Sarah.

r — Stać na straży? Uważać na siebie? — Strach w jej oczach pojawił się tak szybko, jakby przez cały czas czaił się w pobliżu. — Myślisz, że on może wrócić? Ten mężczyzna z bronią?

Terri jeszcze raz przycisnęła ją do siebie.

479

— Nie, skarbie, myślę, że nie. Ale i tak powinniśmy na siebie uważać.

Georgia poruszyła się niespokojnie w jej objęciach.

— Nie sądzisz, że powinniśmy zamknąć drzwi?

Terri rzuciła okiem w stronę wejścia. Z tego wszystkiego zapomniała, że lekarz zostawił otwarte drzwi do kompleksu ochrony.

Kiwnęła głową.

— Wiesz, to całkiem niezły pomysł.

Ostrożnie odsunęła od siebie Georgię i wyszła do poczekalni.

— Może... może lepiej je zamknąć na klucz?

Terri ostrożnie wysunęła głowę na korytarz i popatrzyła w obie strony. Wszędzie było pusto. Gdzieś daleko dzwonił alarm. Zamknęła drzwi, włączyła zamek i sprawdziła szarpnięciem, czy na pewno nie dadzą się otworzyć.

Płacz nieco ucichł i kiedy wracała do gabinetu, nad kompleksem ochrony zaległa głęboka cisza.

16.25

Ocean ma kolor głębokiego błękitu, czystego, nieskazitelnego lazuru, z rzadka zmaconego białymi płatkami. Spokojny i nieruchomy, daleki odgłos przyboju wznosi się i opada w odwiecznej monodii. Każdy śniący wie, że ta idealna plaża leży na antypodach i moglibyśmy ją wziąć w posiadanie, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak ją odnaleźć.

Poole zamrugał oczami i iluzja się rozplynęła. W pierwszej chwili żal mu było, że znikła. Nie otaczał go kojący, spokojny ocean, tylko granatowa kopuła Utopii błyszczała w popołudniowym słońcu, i nie szumiały fale przybojów, tylko jego własna krew w uszach. Nie leżał na alabastrowej plaży, tylko na twardym, kamienistym piaskowcu, wrzynającym mu się w plecy i kark. Jak najprawdziwszy był za to ból w skroniach i dmgi, dużo bardziej dojmujący, w brzuchu.

Wtedy wszystko sobie przypomniał i natychmiast spróbował usiąść, ale ból przeszył mu trzewia niczym ognista dzida i Angus z jękiem upadł z powrotem na plecy.

Ależ dał się podejść. Pistolet ukryty na plecach jest najstarszą sztuczką opisywaną w podręcznikach. Sam ją nieraz stosował. Za stary jest na te gierki.

Ale nie ma czasu na leżenie i uzalanie się nad sobą. Podpierając się rękami i stopami, podczołgał się do brzegu niecki. Ból w brzuchu stał się nie do zniesienia. Wydając ni to sapnięcie, ni to szloch, przerzucił ciało przez krawędź dołu i wylądował pod

481

kładką, tuż obok przyklejonego materiału wybuchowego. Jeśli będzie się trzymał blisko ładunku, nikt nie odważy się do niego strzelić.

Chwyił się kładki nad głową i powoli podciągnął. Przed oczami zatańczyły mu czarne plamki i o mało nie stracił przytomności, ale najważniejsze, że o tym wiedział.

Oparł się o kopułę i rozejrzał. W dole, niecałe dwa metry od niego leżały zwłoki zabitego pracownika Utopii. Dalej zobaczył rozpostarte na plecach ciało mężczyzny w beżowym kombinezonie. Zza krawędzi głazu widać było tylko nogi i wyciągnięte prawe ramię, ale żadna z kończyn się nie poruszała. Musiał trafić snajpera, kiedy się przewracał.

Usiłował myśleć jasno poprzez mgłę bólu. Mogą gdzieś tu być inni. Przede wszystkim powinien się uzbroić. Ale żeby to zrobić, musi się mszyć z miejsca.

„Przede wszystkim obejrzyjcie ranę — przypomniły mu się słowa instruktora w obozie szkoleniowym. — Zbadajcie, jak jest duża i głęboka”. Na ekranie mignął slajd: czarno-biały obraz starego pola bitwy: żołnierze leżący w okopach, dziwaczne czapki, buty i bezładne stosy ubrań.

„Przyjrzyjcie się tym martwym konfederatom — mówił instruktor. — Jak myślicie, dlaczego mają podarte koszule? To nie szabrownicy, to oni sami porozdzielali na sobie ubrania, szukając miejsc, które weszła kula i które wyszła. Wiedzieli, że jeśli dostali w bebechy, nie przeżyją.

Obejrzyjcie ranę. Zbadajcie, jaka jest duża i głęboka. Od tego zacznijcie”.

Wszystko to przemknęło Poole'owi przez głowę w ułamku sekundy. Biorąc krótkie, rwane oddechy, popatrzył w dół. Sztruksowa marynarka wydawała się nietknięta, tylko ubrudzona szarą ziemią.

Potem jednak zobaczył okrągły, równiutki otwór kilka centymetrów nad lewą kieszenią.

Zacisnąwszy zęby, odchylił połą marynarki. Najpierw zobaczył krew, dużo krwi. Nasiąkła nią cała dolna część koszuli i w pierwszej chwili od tego widoku zakręciło mu się w głowie.

Przygryzł dolną wargę i zmusił się do koncentracji. Rozpiął koszulę, ostrożnie odkleił ją od ciała.

Natychmiast w tym miejscu wezbrał nowy strumień krwi.

482

Zobaczył ranę — niewielką, postrzępioną dziurkę w lewym dolnym boku. Wyglądało na to, że kula ominęła ważne narządy, ale rana krwawiła obficie. Wiedział, że otwór wylotowy będzie dużo większy. I bolało jak sto skurczybyków. Poole przeszedł szkolenie w dziedzinie ran postrzałowych,

wiedział, czego się spodziewać. Ale nie spodziewał się tak wszechogarniającego, obezwładniającego bólu.

Odjął dłoń od rany i osunął się na ziemię. Raz jeszcze przypomniały mu się słowa instruktora. „Jeśli jesteście na polu bitwy, nie ma co leżeć i czekać na sanitariusza. Musicie przemóc ból, on jest waszym sprzymierzeńcem. Jeśli was boli, to znaczy, że nie wszystko jeszcze stracone. Więc zaniknijcie ból w pudełku, przekręćcie kluczyk i wyrzucicie. Potem włożcie pudełko do drugiego, większego pojemnika i też zamknijcie go na klucz, ale tego klucza nie wyrzucajcie. Schowajcie go do kieszeni, a pudło odłóżcie na bok. Otworzycie je później, kiedy nadejdzie pora”.

Przez chwilę się nie mszał. Potem, oddychając z trudem, podniósł prawą dłoń i spojrzął na zegarek. Szesnasta dwadzieścia siedem.

Znowu chwycił się kładki i dźwignął najpierw na kolana, a potem z ogromnym wysiłkiem na nogi. Świat wokół niego przechylił się niebezpiecznie na bok. Zamknął oczy, złapał się pomostu i czekał, aż wszystko się zatrzyma. Po kilku sekundach podniósł powieki.

Tutaj, w cieniu kopuły, kotlinki i grzbiety wzniesień otaczających dolinę Utopii wyglądały jak płytki, brązowo-szary labirynt. Rozejrzał się za swoim pistoletem, ale zobaczył tylko karabin snajpera leżący w miejscu, gdzie kazał go mężczyźnie rzucić na ziemię. Po prawej stronie, jakieś piętnaście metrów dalej wzdłuż kopuły, widniała mała, kwadratowa skrzynka z odbiornikiem, którą zauważył wcześniej, zanim odkrył zwłoki zabitego robotnika.

Zrobił krok, potem następny i znów zamknął oczy, żeby utrzymać równowagę, podczas gdy świat wokół niego się zataczał. W końcu bardzo powoli schylił się, aby podnieść z ziemi karabin. Z bólu zgiął się wpół i mimo woli krzyknął. Pociemniało

483

mu przed oczami i znów musiał walczyć, aby nie stracić przytomności. Kiedy najgorsze minęło, wyprostował się niepewnie i z bronią gotową do strzału podszedł do snajpera w beżowym kombinezonie.

Mężczyzna leżał z jedną ręką odrzuconą w bok, drugą na piersi. Nigdzie nie widać było rany i Angus zaczął się zastanawiać, czy nie padł ofiarą jakiegoś przedziwnego złudzenia i czy to nie on przypadkiem leży nadal w dole umierający, a rzeczywistość dawno od niego uleciała.

Dopiero wtedy zauważył czerwoną dziurę w miejscu prawego oka mężczyzny i ciemną plamę krwi zbierającej się w kamiennych szczelinach pod głową.

Odwrócił się. Oddychał płytko i nierówno, starając się odsunąć od siebie ból. Zdawał sobie sprawę, że nadal obficie krwawi, ale nie miał teraz czasu, aby się tym przejmować. Karabin był zbyt ciężki i bezużyteczny. Najważniejsze to wyłączyć odbiornik zdalnego detonatora.

Powoli powlókł się z powrotem do kopuły. Trzymając się poręczy najniższej kładki, krok za krokiem podciągał się do przodu tropem wijącego się przewodu detonacyjnego. Na wprost przed sobą mniej więcej trzydzieści metrów od podstawy kopuły, widział szczyt tylnej ściany Utopii. Za nią przez całą szerokość kanionu ciągnął się długi, płaski, betonowy dach upstrzony lasem otworów wentylacyjnych, maszynowni dźwigów, wyrzutni sztucznych ogni, masztów antenowych. Jeszcze dalej, przez opustoszałą wyżynną pustynię wiała się w kierunku trasy numer dziewięćdziesiąt pięć droga dojazdowa do Utopii.

Na wszystko to Poole tylko przelotnie rzucił okiem. Skupiony był na skrzynce kontrolnej, którą teraz miał zaledwie kilka kroków przed sobą. Starał się nie myśleć o czasie, o tym, że w każdej chwili samochód opancerzony może wyjechać z podziemi, John Doe albo ktoś z jego bandy uruchomi nadajnik i ludzie będą zbierać kawałki Angusa Poole'a przez wiele, wiele lat. Gdyby udało mu się dotrzeć do odbiornika i go wyłączyć, mogliby jeszcze mieć jakąś szansę.

Skrzynka wisiała przymocowana do dolnej poręczy kładki, od niej w kilku kierunkach biegły długie wąsy przewodów. Angus

484

spróbował uklęknąć, ale ostre smagnięcie bólu posłało i jego, i karabin na ziemię. Podciągnął się i siłą woli próbował stłumić cierpienie chociaż na tyle, by wyciągnąć rękę, wyjąć odbiornik ze skrzynki i dezaktywować upiorne urządzenie.

Jego palce drapały bezużytecznie po gładkiej powierzchni. Zmusił się, by przynajmniej skupić

wzrok i przyjrzeć się bliżej pudełku. I wtedy stwierdził, że to wcale nie jest odbiornik, tylko zwykła skrzynka przekaźnikowa z rozwidlaczami kabli detonacyj-nych. Zamrugał oszołomiony z zaskoczenia i niedowierzania. Kilka kroków dalej nad kładką biegła drabinka. Po jednym z drążków piął się od przekaźnika cienki przewód. Angus podążył za nim wzrokiem w górę kopuły... I to tam lypał na niego z góry odbiornik, którego szukał. Pirotechnik terrorystów przymocował go pod drugą kładką biegnącą wokół kopuły niecałe dwadzieścia metrów wyżej, co zapewniało Johnowi Doe czyste pole „strzału” z nadajnika na dole.

Nogi się pod Poolem ugięły, aż upadł plecami na kamienistą ziemię.

— Chryste — jęknął. — Nie, nie, nie.

Kilkanaście metrów po drabince... Równie dobrze mogłoby być sto kilkanaście, nie ma mowy, żeby dał radę się tam wdrapać.

Zamknął oczy. Za późno. Za późno, żeby dostać się do odbiornika, za późno na rozbrajanie ładunków, za późno na ucieczkę w bezpieczne miejsce. Na wszystko za późno.

16.28

Siedzący za kierownicą samochodu opancerzonego Candyman jedną ręką przyciskał do ucha słuchawkę. Na jego twarzy malowała się konsternacja. Po chwili opuścił rękę i pokręcił głową.

— O co chodzi? — spytał Earl Crowe z tylnego siedzenia.

— Nie wiem. Mógłbym przysiąc, że słyszałem czyjś śmiech.

Crow, Twardziel i Haker Jack wymienili spojrzenia, po czym wzruszyli ramionami.

John Doe, który siedział sam w części bagażowej, wyjął ze schowka jedną z niezliczonych paczek z pieniędzmi i robił z jej zawartości żurawie origami. Obok niego leżał nadajnik podczerwieni.

Zerknął na zegarek.

— Bawół się nadal nie odzywa?

Candyman pokręcił głową.

— Damy mu jeszcze sześćdziesiąt sekund.

W samochodzie zapadła cisza. John Doe skończył składać żurawia, odłożył go delikatnie na bok, wyciągnął następny banknot i zrobił kolejnego ptaka. Minęła minuta. Popatrzył przed siebie.

— No dobrze, ruszamy — powiedział. — Bawół może iść do Vegas na piechotę.

Candyman poprawił słuchawki i odezwał się do mikrofonu.

— Centrala Utopii, tu Dziewięć-Echo-Brawo. Rozwiązaliśmy problem. Powtarzam, rozwiązaliśmy problem. Ruszamy.

— Centrala Utopii, potwierdzam zgodę na wyjazd — za-

486

trzeszczał głos w słuchawkach. — Najwyższa pora. Zameldujcie się, kiedy wyjedziecie na dziewięćdziesiątkę. Bez odbioru.

Candyman sięgnął ręką nad głowę i uruchomił wysoko- i nis-kopasmowe policyjne skanery. Potem wcisnął żółty włącznik oznakowany „sterownik ładunku”. Obroty silnika natychmiast wzrosły, aby wyrównać większy pobór mocy. Zwolnił hamulec ręczny i po raz ostatni zerknął do tyłu.

— Ruszamy, panowie — oznajmił.

xxx

Odgłos silnika zmienił się akurat wtedy, kiedy Wame i Peccam biegli w stronę Smythe'a. Dźwięk stał się niższy, bardziej gardłowy. Hamulec pneumatyczny syczał i fukał, zgrzytnęła skrzynia biegów. Wame i Peccam wymienili szybkie spojrzenia.

Przez chwilę słychać było tylko ryk silnika i głośny oddech Peccama.

— Naprawdę to zrobimy? — spytał chłopak.

— Nie wiem, chyba tak. — Andrew odwrócił się do Smythe^.

— Więc jak się to odpala? Pirotechnik poruszał ustami, ale słów nie było słychać. Wame pochylił się bliżej.

— Bez zamówienia — mówił do siebie Smythe, kręcąc głową. — Bez sprzętu przeciwpożarowego. Bez pomocników. Bez obserwatorów i monitorów... — Wyglądał, jakby wyliczał coś na palcach, może lokalne i federalne przepisy, które miał właśnie złamać.

Zdawało się, jakby cały korytarz ożył od dudnienia nadjeżdżającego pojazdu. W każdej chwili

samochód mógł się pojawić w polu widzenia.

— Smythe! Pokaż mi, jak to wystrzelić!

Pirotechnik spojrział na niego przestraszony.

— Zdejmijcie osłonę z lontu.

Wame rozdarł perforowane końcówki z papierowych wąsów ciągnących się za moździerzami.

— Podpalcie lont. W odległości ramienia. Opóźnienie jest bardzo małe, może pół sekundy, więc pamiętajcie, żeby się odwrócić, bo błysk może was oślepić...

487

— Czym mam podpalić ten lont?

— Zapalnikiem.

To powiedziawszy, Smythe machnął ręką w kierunku paczki małych czerwonych przedmiotów podobnych do flar. Andrew złapał jeden z nich i zaczął obracać w rękach.

— To się nie pali — stwierdził niezbyt inteligentnie.

Smythe zamrugał.

— To się nie pali! — wrzasnął Wame, przekrzykując ryk silnika.

— Oczywiście, że nie. Nie podpala się zapalnika, dopóki nie jest się gotowym do odpalenia szelki, prawda?

— Więc niech mi pan da zapaliki. Sam to zapalę.

Pirotechnik popatrzył na niego tępo. Wame'a przejął nagły, okropny strach.

— Zapaliki, panie Smythe!

Smythe znowu zamrugał. Rozłożył ręce, jakby pytając „Czemu miałbym nosić przy sobie zapaliki?”. Wame'a zmroziło. Boże, po tym wszystkim... Ciężko oparł się o betonową ścianę. Miał wrażenie, że obraz rozmazuje mu się przed oczami. Wtedy poczuł, że ktoś mu coś wkłada do ręki. Plastikowa zapalniczka.

Podniósł głowę i zobaczył Peccama wracającego na swoją pozycję obok Wingnuta. Chłopak wzruszył ramionami i roześmiał się nerwowo.

— Lubię od czasu do czasu zapalić cygaro — powiedział.

Wame pochylił się nad końcówką zapalnika i zbliżył ją do ognia. Zapalnik natychmiast ożył, zaczął iskrzyć, migotać i syczeć gniewnie. Odrzucił zapalniczkę Peccamowi i odwrócił się do moździerzy dokładnie w chwili, gdy na końcu korytarza pokazał się nos samochodu opancerzonego. Na tle ściany tunelu pojazd wydawał się ogromny, słoniowaty, niezniszczalny: koła osłonięte czerwoną stalą pancerne szyby w oknach, wysokie, ciężkie słupki wznoszące się nad wzmocnionymi zderzakami. Bursztynowe światła na dachu i ryk silnika wypełniały całą przestrzeń światłem i dźwiękiem. Wame zamarł wpatrzony, płonący zapalnik kołysał mu się w ręku. Pojawiła się kabina kierowcy, jarzeniowe światło odbijało się w niej na zielono. Wame wstrzymał oddech i czekał.

488

Cały wyłot korytarza wypełniło wielkie cielsko opancerzonego forda. W pierwszej chwili przestraszył się, że coś poszło nie tak, że samochód pojedzie dalej. Wtedy jednak z przeraźliwym protestem hamulców pojazd stanął i usiadł z rozbujanym nadwoziem.

— Odpalać?! — krzyknął Peccam z za Wingnuta.

Wame rzucił okiem za siebie. Robot wiózł cztery wielkie ładunki czarnego prochu. Andrew musiał zgadywać, jak długo będzie się palił lont. Może wystrzelić za wcześnie, ale nie miał czasu się teraz tym martwić. Skinął głową patrząc, jak Peccam zapala papierowy pasek, po czym wcisnął guzik na panelu sterowniczym Wingnuta. Pies zaczął obracać głowę szukając sygnału echolokatora. Nagle znieruchomiał zwrócony prosto w stronę samochodu.

Mimo wszystko Andrew poczuł żal i wyrzuty sumienia, że go tak poświęca.

— Żegnaj, Wingnut — mruknął. — Przepraszam.

Przez chwilę robot stał nieruchomo, skierowany przodem do tunelu. Andrew naszła dziwna myśl, że może Wingnut wie, co go czeka, że gdzieś głęboko, w jakimś atawistycznym odruchu odmówi wykonania polecenia równoważnego z samobójstwem. Wtedy jednak z głębokim pomrukiem

potężnych silników pies wystrzelił przed siebie, wlokąc za sobą ogon iskrzącego się i trzaskającego lontu.

I tak samo szybko się zatrzymał.

Wame popatrzył na robota z przerażeniem, zastanawiając się, co się stało. Czy to możliwe, że miał rację? Że Wingnut nie chce wykonać polecenia? I nagle, kiedy podniósł wzrok w stronę korytarza, zrozumiał.

Pod zderzakiem bujającej się ciężarówki na betonowej podłodze leżał roztrzaskany przedmiot przypominający plastikowy zegarek. Pod wpływem drgających mchów samochodu zapięcie bransolety musiało się obluźnić i urządzenie stłukło się podczas upadku. I teraz Wingnut stał porzucony na środku korytarza z pięcioma kilogramami materiałów wybuchowych na plecach i bez żadnych instrukcji, jak ma wykonać polecenie.

xxx

489

— Co się dzieje? — spytał z tyłu John Doe.

Oparł się o metalową szafkę i zarzucił ręce za głowę. Kiedy to zrobił, poły jego marynarki, rozchylając się, odsłoniły elegancką jedwabną podszewkę i kaburę pod pachą.

— Ktoś stoi na korytarzu — odparł kierowca. — Pokazał się, kiedy wjechaliśmy w zakręt.

— Daj mu chwilkę, zaraz zejdzie z drogi.

— Nie msza się.

— Zatrąb.

Candyman posłuchał.

— Dalej tam stoi. Nie chce się ruszyć.

John Doe opuścił ręce i pochylił się do przodu.

— Głuchy jest czy co?

— Patrzy prosto na nas.

— Czy to ochroniarz?

— Nie. Jakiś cywil w marynarce.

Słyszając to, John Doe zmarszczył brwi. Wstał i trzymając się poręczy nad głową wyjrzał przez przednią szybę.

— Gdzieś już widziałem tego mężczyznę — mruknął. Nagle twarz mu się skurczyła z gniewu i zaskoczenia. — To Wame! — zawołał. — Dalej! Przejeżdż go, szybko!

xxx

Kiedy w samochodzie zazgrzytały biegi i kierowca znów dodał gazu, Andrew przeniósł wzrok z Wingnuta na sztuczne ognie leżące przed nim na ziemi i przyłożył zapalnik do lontu złotej wierzby. Skoro robot zamarł wskutek braku sygnału z echo-lokatora, nie pozostało mu nic innego, jak tylko samodzielnie odpalić szelkę w stronę samochodu. Mimo to jego członki ogarnęła dziwna ospałość. Przez chwilę czas jakby się zatrzymał.

Przed oczami przemknął mu ciąg obrazów niczym przyspieszony pokaz w latami czarnoksiężkiej: Norman Pepper w wagoniku kolejki jednotorowej gestykułuje zamasyście, uśmiecha się od ucha do ucha i zaciera ręce; Sarah otwiera szeroko oczy w Sali Luster; Terri Bonifacio płacze mu w ramię; Georgia w Metamorfozach patrzy na wyczarowany portret samej siebie starszej o dwadzieścia lat, a potem leży na łóżku szpitalnym w centrum medycznym...

490

Zrobił krok do przodu i jednocześnie przyłożył zapalnik do lontu. Nastąpił krótki biały rozbłysk, a potem trzaskający płomień popęzł w stronę mózdzierza z zaskakującą szybkością. W ostatnim momencie Andrew przypomniał sobie, żeby odwrócić głowę. Rozległ się dziwny odgłos, jakby sprężonego powietrza wypuszczonego pod wodą, po czym z wściekłym sykiem szelka wystrzeliła z mózdzierza. Wame odwrócił z powrotem głowę i patrzył, jak skrząc się, pędzi korytarzem z niewiarygodną prędkością niczym świetlna kometa, ciągnąca za sobą dymiący ogon, który zataczał się od ściany do ściany, zanim roztrzaskał się na suficie nad dachem samochodu.

Na ułamek sekundy wszystko znikło. A potem świat zrobił się biały. Ładunek miotający szelki eksplodował z zatrważającym hukiem. Sto złotych języków wystrzeliło w korytarz, śmigając, sycząc

po ścianach i stropie, skręcało się wokół karoserii wozu w ognistej pieszczocie, a wszystko przy wtórze kanonady niczym tysięcy granatów. Białe światło przyćmiła wspaniała i groźna korona jakby złocistego dymu. Andrew schylił głowę, bo tuż nad nim śmignęły ogniste wąsy, które rozświetlały się coraz jaśniej, aż w końcu zgasyły i znikły.

Kiedy huk fajerwerków przycichł, z oddali doszedł ich inny odgłos — wycie syren alarmowych. Szalejąca zasłona dymu zaczęła odpływać i Wame wyteżył wzrok, aby coś przez nią dojrzeć.

Siła eksplozji zepchnęła przód opancerzonej ciężarówki w bok. Wame zobaczył obracające się koła, kiedy kierowca rozpaczliwie próbował utrzymać pojazd na kursie.

Pocisk poleciał za wysoko, zamiast trafić w samochód, wybuchnął na suficie. Andrew obejrzał się przez ramię. Smythe leżał na podłodze zwinięty w kłębek i zasłaniał rękami głowę. Obok kulił się Peccam z twarzą zamarłą w wyrazie niedowierzania.

Wame odwrócił się z powrotem. Obok niego leżał zużyty, dymiący mózdzierz. Wingnut nadal stał bez mchu kilka metrów dalej, a ciągnące się za nim lonty skracały się przerażająco szybko. Pies obrócił ku niemu głowę, jakby czekał na rozkaz. Na końcu korytarza ciężarówka nadal próbowała wymanewrować

491

przodem w stronę wyjazdu, silnik ryczał, gdy kierowca bujał pojazdem w przód i w tył. Jeszcze chwila i zniknie w tunelu.

Andrew spojrzął na pozostałe mózdzierze. Rura, na której opierała się szelka, została odrzucona daleko przez impet wystrzału, pozostałe leżały rozsypane po podłodze. Nie ma szans na odpalenie drugiego fajerwerku, a zresztą, nawet gdyby jakimś cudem zdążył, to, jak widać, nie sposób wymierzyć nią precyzyjnie w cel. Jeszcze raz spojrzął na Wingnuta. Gdyby mógł jakoś do niego dotrzeć i zmienić oprogramowanie... Ale nie ma na to czasu. Ładunki potrzebne, aby unieszkodliwić samochód opancerzony, lada moment wybuchną robotowi na plecach. I nie ma sposobu, aby wydać mu polecenie...

Na końcu korytarza w otworze strzelniczym ciężarówki pokazał się wylot lufy karabinu. Wame ukucnął i nagle wpadła mu do głowy myśl. Może jednak jest polecenie, którego Wingnut mógłby posłuchać. Nigdy nikt nie wydawał mu tej komendy, właściwie byłoby to sprzeczne ze wszystkimi zasadami, których go uczono, a jednak może...

— Wingnut! — krzyknął, wskazując na ryczący samochód. — Goń!

Robot nie drgnął z miejsca.

— Goń! — zawołał Andrew jeszcze raz, a potem znowu, z większym naciskiem. — Goń!

Pies jednak nadal stał niezdecydowanie, jakby próbował przetworzyć to osobliwe polecenie. Potem ruszył, z początku powoli, lecz szybko zaczął nabierać prędkości. Andrew aż zaniemówił i usiadł na ziemi ze zdumienia. Lont jarzył się i iskrzył między tylnymi kółkami, a pies jakby razem z prędkością nabierał determinacji i pędził coraz szybciej w stronę ogromnej ciężarówki.

Wame zamknął oczy i odwrócił się. Oślepiające światło wybuchu paliło go w oczy nawet przez zamknięte powieki. Grzmot, który nastąpił prawie równocześnie z błyskiem, wstrząsnął samymi posadami Utopii. Andrew poczuł, jak przetacza się po nim fala uderzeniowa. Z trudem łapał powietrze. Próbował wstać, ale z początku mięśnie nie chciały go słuchać. Dopiero po chwili udało mu się stanąć na czworakach.

492

Wybuch przewrócił ciężarówkę na bok, osłona chłodnicy została wgnieciona w betonową ścianę korytarza. Koła obracały się w górze, opony odporne na przebicia kręciły się jak pijane baki, dymiała szerniała blacha karoserii. Gruba zbroja podwozia rozdarła się w kilku miejscach, a w jednym odwijala się jak folia aluminiowa. Na końcu korytarza włączyły się zraszacze i strumienie wody lały się na toczące się kłęby dymu.

Warne kucnął, łapał powietrze krótkimi, ostrymi zrywami. Przez długi czas słyszał tylko dźwięk swego ciężkiego oddechu, dzwonienie wody o metal i beton, dalekie wycie alarmu.

Wtedy poruszyły się drzwi przewróconej ciężarówki. Wame wyteżył wzrok, zastanawiając się, czy mu się przywidziało, czy strumienie wody i kłęby dymu płatają mu figle, ale w tym samym momencie drzwi drgnęły znowu, jakby wypychane od środka. Ktoś próbował się wydostać.

Oddech Warne'a stał się jeszcze szybszy. Spojrzał na moździerz porzucane przed nim na ziemi, na pełzące ogony lontów i próbował zmusić się do myślenia. Zauważył podwójne chryzantemy z ciężkimi ładunkami miotającymi. Co to o nich mówił Smythe? „Ekwiwalent kilku lasek dynamitu”. Drzwiczki samochodu odskoczyły w górę i uderzyły o ścianę korytarza po drugiej stronie. Ze środka wyrzła głowa mężczyzny, potem górna część tułowia w obcisłej skórzanej kurtce. W rękach ścisnął brzydki, gruby pistolet maszynowy.

Warne cofnął się i rozpaczliwie rozejrzał dookoła. Niedaleko leżał zapalnik, cały czas trzaskając niespokojnym czerwonym płomieniem na betonowej podłodze.

Nie było czasu na zastanowienie, żadnej innej możliwości do rozważenia. Złapał fajerwerk, potem rozpaczliwie sięgnął po najbliższy moździerz, wrzucił do środka dwa ładunki miotające, i nerwowo ułożył lony we właściwej pozycji. Mężczyzna uniósł pistolet, oparł się o ramę drzwi. Z lufy wystrzelił kłęb ognia, coś świsnęło Wame'owi koło głowy.

Dysząc ciężko, wsunął do moździerza wielką chryzantemę, przechylił tubę i próbował przyłożyć zapalnik do końcówek lontów, ale drżące palce odmawiały mu posłuszeństwa. Z pistoletu trysnął dmgi terkoczący błysk i druga seria zawodzących kul

493

przemknęła Warne'owi koło ucha. Odpryski tynku posypały mu się na twarz i kłuły w oczy, ale lony już się paliły i Andrew, trzymając moździerz jak najdalej od siebie, wycelował prosto w strzelca.

Rozległ się gniewny syk, z rury moździerza wybulgotał dym, a gwałtowny odrzut przewrócił Warne'a na ziemię. Korytarzem pomknęła następna kometa, jeszcze jaśniejsza niż poprzednia, zatoczyła łuk w górę, potem w dół, po czym ciągnąc za sobą snop oślepiającego blasku, popruła prosto w stronę otwartych drzwi samochodu. Andrew upadł na ziemię, zatkał uszy i osłonił głowę. Ciszę, która zaległa na ułamek sekundy, rozdarł przeraźliwy podwójny huk. Powietrzem wstrząsnął wybuch ognistych kolorów, nagły wykwit ognia, który rozprzestrzenił się jaskrawymi świetlnymi punkcikami — czerwonymi, żółtymi i turkusowymi, niby tysiącem maleńkich słońc. Wame czuł się obezwładniony światłem. Próbował wstać, ale gwałtowna fala uderzeniowa powaliła go z powrotem na ziemię. Leżał oszołomiony i ogłuszony, a po chwili poczuł, a przynajmniej takie miał wrażenie — że wokół niego delikatnie spływa na ziemię deszcz konfetti. Znieruchomiał i z twarzą skierowaną do ziemi, z zaciśniętymi oczami bał się poruszyć.

Początkowo nie słyszał nic, tylko nieprzyjemne buczenie w uszach. Po chwili ucichło i zaczęły doń docierać inne odgłosy: powtarzające się w nieskończoność echo salwy, dźwięczące w korytarzach poziomu C; daleki chór setek alarmów samochodowych na parkingu.

— Nic nie widzę! — krzyczał Peccam za jego plecami. — Nic nie widzę!

Włączyło się jeszcze więcej zraszaczy, woda lała się Warne'owi po włosach, po szyi, spływała po plecach. Wreszcie, przytrzymując się ściany, powoli dźwignął się na nogi i otworzył oczy.

Ciężarówka leżała tak jak poprzednio, koła obracały się powoli, po bokach pajęczymi strumykami spływała woda. W powietrzu wisiał ciężki smród prochu i fosforu. Konfetti ze strzępków pieniędzy pokrywało bok samochodu, podłogę, ściany i ciemniało zmoczone wodą lejącą się z sufitu.

Mężczyzna z pistoletem

494

maszynowym zniknął, otwarte drzwi pojazdu oklejone były krwią i ludzką tkanką Wielka krwawa plama w kształcie wachlarza widniała również na murze za samochodem.

Osunął się po ścianie, zbyt oszołomiony i otepiały, by cokolwiek czuć, nawet ulgę lub strach. Tylko coś dziwnego działo się z jego rękami. Spojrzał w dół i z pewnym obojętnym zdziwieniem stwierdził, że jego skóra została niemal całkiem wypalona przez żar wystrzelwanej szelki, a na dłoniach świeciło żywe mięso. Opuścił je wzdłuż boków i znów spojrzał w głąb korytarza. Poruszał się ospale, jakby we śnie. Peccam siedział pod ścianą i zasłaniał oczy dłońmi. Smythe'a nie było nigdzie widać.

Powoli wypuścił powietrze i oparł głowę o chłodny mur. Na jego kolanach leżał zapalnik zgaszony przez strumienie wody. Teraz zaczynał dopiero czuć ból w dłoniach, ale był zbyt zmęczony, aby zwracać na to uwagę. Trąbienie alarmów, strużki wody na twarzy — wszystko wydawało się

bardzo, bardzo odległe. Może gdyby zamknął oczy, mógłby zasnąć.

Raz jeszcze popatrzył na przewrócony samochód i nagle, jakby porażony prądem, usiadł raptownie, a zapalnik stoczył się z jego kolan na podłogę. Na maskę ciężarówki gramolił się John Doe. Twarz miał osmaloną włosy spalone, z ramion lniałej marynarki unosił się dym, z nosa i uszu obficie płynęła krew. Wydawało się, jakby nie zauważał Wame'a ani rozsypanych strzępów pieniędzy, ani w ogóle niczego poza wyjściem z tunelu, od którego nie odrywał oczu.

Andrew rozejrzał się gorączkowo. Poparzonymi dłońmi nie zdoła zapalić następnego lontu, a zresztą nawet gdyby zdołał, to i tak wszystko zamokło. Był bezradny.

Rozpaczliwe odwrócił się z powrotem do ciężarówki, ale John Doe ześliznął się już z maski na ziemię i zniknął w tunelu.

16.32

John Doe oddalał korytarzem od dymu, wody, zamętu i nieopisanej grozyco się działo wewnątrz samochodu.

Szedł niepewnym krokiem, ale w dłoni mocno ścisnął nadajnik. Nie słyszał alarmów, ? bębniaki popękały mu podczas trzeciego wybuchu. Pręgi; Jego marynarki oklejała krwawa miazga, ale w większości f Ma to jego krew, więc nie zwracał na nią uwagi.

W jego stronę biegł łotrzyk z twarzą wykrzywioną od wstrząsu i przerażenia. Poruszył ustami: „Co tam się, do diabła, stało? Nic wam nie jest?”. John Doe podniósł pistolet i go zastrzelił. Poparzonymi i zakrwawionymi oczami widział przed sobą półkole dziennego światła na końcu tunelu. Już niedaleko.

Korytarzem nadbiegł strażnik i John Doe znowu podniósł broń, strzelił i minął opuszczony punkt kontrolny. Jeszcze kilka kroków i wyszedł na asfalt. Za jego plecami wznosiła się tylna ściana Utopii. Na parking padał cień kopuły, ale jego poranione oczy nie mogły znieść nawet tego przyćmionego światła. Zaczaiąc się, szedł przed siebie. Czuł strużki krwi ciekące mu z uszu. Od strony ramp magazynowych nadbiegali ludzie, którzy szeli eksplozję. Na jego widok stawali jak wryci i wytrzeszczyli oczy. John Doe szedł dalej, nawet na nich nie spojrzawszy. parking jechały jakieś samochody — niewyraźne, rozmazane, ale jego interesował tylko jeden pojazd — sedan, który esortował opancerzoną ciężarówkę. On

496

wywiezie go z tego krwawego piekła, które za chwilę rozpęta. Jak brzmiały te słowa Wisnu z Bhagawadgity „Jam jest śmiercią, niszczycielem światów”. Tak mu się przynajmniej zdawało, bo nie myślał zbyt jasno.

Niestety, pieniądze poszły z dymem, ale zostały mu dyski. One z nawiązką zrekompensują straty. Widział już przed sobą rozległy łuk wytyczający granicę cienia kopuły. Chwytał nadajnik jeszcze mocniej. Kiedy dojdzie do tego miejsca, odwróci się. To będzie idealny punkt.

Już niedaleko.

xxx

Zaciskając poparzone dłonie, Andrew Wame z trudem wdrapał się po karoserii przewróconego forda i chwiejnym krokiem poszedł dalej w stronę wyjścia. Nie miał pojęcia, co zamierza zrobić, wiedział tylko, że za wszelką cenę musi powstrzymać Johna Doe.

Przenośny projektor holograficzny, który razem z Peccamem wyciągnęli, aby zatrzymać samochód opancerzony, leżał na boku, przewrócony przez podmuch eksplozji. Nadal wyświetlał jego hologram: z rozstawionymi nogami, rękami skrzyżowanymi na piersi jego wizerunek widniał na stropie. Przeszedł pod nim szybko. Nieco dalej na ziemi leżał nieruchomo postrzelony strażnik.

Kawałek dalej następny. Z tyłu dochodziły już krzyki i tupot stóp. Szedł dalej, minął punkt kontrolny, ryczące wentylatory systemu oczyszczania powietrza i wreszcie dotarł do wylotu tunelu. Zaczął się rozglądać za Johnem Doe. I zobaczył go, ku swemu przerażeniu. Sto metrów dalej szczupła sylwetka terrorysty stała na granicy cienia utopijnej kopuły. Jak on się tam tak szybko znalazł?

Zobaczył zakrwawiony rękaw podnoszący się powoli, z rozmysłem.

— Nie! — wrzasnął.

Puścił się dzikim pędem. Biegając, widział nadajnik wymierzony w niebo, widział pusty, szklany

uśmiech Johna Doe i wiedział, że już za późno.

497

I wtedy głowa terrorysty eksplodowała w chmurze krwi i mózgu. Ciało upadło na plecy, nadajnik ze stukotem potoczył się po asfalcie. Dopiero wówczas do uszu Wame'a dotarł huk strzału, który rozniósł się echem po całym parkingu i przetaczał nad wyjąłymi samochodami od jednej ściany kanionu do drugiej.

Podbiegł do nadajnika i rozdeptał go obcasem na drobne kawałki. Potem odwrócił się i zaczął przeszukiwać wzrokiem betonowe plecy Utopii. Wysoko ponad linią dachu na tle ciemnej płaszczyzny kopuły stał mężczyzna w sztruksowej marynarce i tweedowej czapce, wsparty na lufie długiego karabinu. Machnął Wame'owi ręką raz i jakby niemrawo, a potem raptownie usiadł na ziemi, a broń przewróciła się i znikła mu z oczu.

Andrew też usiadł. Asfalt, chociaż okryty cieniem, był nadal ciepły po całym dniu prażącego pustynnego słońca. Kilka metrów dalej leżały bez mchu zmasakrowane zwłoki Johna Doe. Położył dłonie na kolanach i rozejrzał się, niezbyt przytomnie mrugając oczami. Niedaleko z parkingu wyjeżdżał samochód z żółtym kogutem na dachu. Skręcił w drogę dojazdową po czym szybko pomknął w kierunku między stanowej. Wame nie zwracał na niego uwagi. Nie odrywał oczu od obiektu widocznego dalej na horyzoncie: czerwonej zygzakowatej kreski połączonej z rzędem przysadzistych cieni poruszających się nad cienką wstążką chmur. Kiedy wyteżył słuch, zdawało mu się, że słyszy dudniący pomruk jakby gigantycznych skrzydeł bijących powietrze. Przybywa kawaleria.

Epilog

Słońce rozpryskiwało się na ścianach kanionu i zalewało piaskowiec bogatymi cętkami czerwieni, żółci i ochry. Wame siedział przy oknie i z rozkoszą wystawiał twarz na działanie ciepłych promieni słonecznych. Tym razem nie zapomniał zabrać okularów przeciwsłonecznych. Delikatne bujanie wagonika działało kojąco, znajomo, niczym wspomnienia dziecięcej kołyski. Z głośników płynął ten sam łagodny, wyrafinowany głos, tylko teraz do mowy powitalnej dodano informację, że zaledwie dwa tygodnie temu został ponownie otwarty Port Podniebny w Kallisto, wyposażony w zupełnie nowe atrakcje.

Ktoś do niego coś mówił i Andrew ocknął się ze spowijającej go mgły wspomnień. Rozejrzał się i zobaczył mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę z rzadziejącymi włosami i rumianą twarzą.

— Słucham? — spytał.

— Pytałem, czy pierwszy raz jedzie pan do Utopii.

Wame pokręcił głową. Przypomniawszy sobie poprzedni raz, kiedy patrzył na te czerwone ściany. Leciał śmigłowcem sanitarnym do Vegas. Dłonie miał obłożone lodem, a mężczyzna w mundurze zadawał mu pytania, usiłując przekrzyczeć łoskot wirnika. Kołysanie wagonika nagle przestało działać tak kojąco.

— A ja tak. I do tej pory nie mogę w to uwierzyć. — Mężczyzna zaczął wyrzucać z siebie słowa prawie bez tchu. — A wszystko przez ten artykuł, który napisałem. Do kwartalnika

499

„Przegląd Epikurejski”. O kuchni średniowiecznej. Zajmują się historią potraw.

Nieprzyjemne uczucie minęło i Andrew odsunął od siebie wspomnienia.

— Doprawdy?

Mężczyzna jednak wcale nie potrzebował zachęty.

— Tak. W zeszłym tygodniu zadzwonił do mnie Lee Dunwich, szef działu żywności Utopii. Wierzy pan? Wielki Lee Dunwich zostawił trzy gwiazdkową restaurację w Paryżu, i nie tylko, żeby przyjąć pracę w Utopii! W każdym razie chciał, żebym przyjechał i przyjrzał się niektórym jadłospisom w Kamelocie. Wie pan, otwierają tam te dwie nowe restauracje i chyba gościom nie odpowiadają niektóre potrawy. Wie pan, średniowieczna kuchnia była trochę... O Boże, to ona! Kolejka skręciła ostrym łukiem i przed oczami pasażerów wyrosła wielka miedziana fasada Utopii migocząca i mieniąca się w słońcu niczym monumentalny miraż. Potok słów umilkł raptownie, mężczyzna otworzył szeroko oczy. Widząc ten wyraz twarzy, Wame mimowolnie się uśmiechnął.

— Życzę miłej zabawy — powiedział.

xxx

W Nexusie wszystkie zegary pokazywały 0.50. Długie, puste galerie jakby wstrzymały oddech przed nagłym napływem gości. Andrew stał na rampie dla wysiadających i rozglądał się po przestronnym wnętrzu, po pustych restauracjach i butikach, wyniosłym błękitnym prostokacie kopuły nad głową. Powoli wziął głęboki oddech, potem drugi. Historyk kuchni, którego nazwiska Andrew już nie pamiętał, spieszył w kierunku rzędu pracowników Utopii w białych marynarkach i zakietach, stojących jakby do przeglądu wojsk. Rządek zaczął się rozpraszać, kiedy z wagonika wysiadł tłumek przyjezdnych ekspertów i VIP-ów. Wame zauważył młodą hostesę podchodzącą do historyka. Zdawało mu się, że rozpoznał w niej Amandę Freeman, która powitała go dziewięć miesięcy temu, gdy pierwszy raz przyjechał do Utopii.

Już się odwracał, gdy nagle ze zdziwieniem zauważył idącą ku niemu szybkim krokiem Sarah Boatwright.

500

W pierwszej chwili jak zawsze uderzyły go proste, mocne rysy jej twarzy, gdy jednak podeszła bliżej, zauważył coś jeszcze — leciutko opuszczone kąciki ust, delikatne ciemne kreski pod oczami świadczyły o przeżywanym głębokim i bardzo osobistym smutku.

W ciągu kilku tygodni po powrocie do Pittsburgha rozmawiał z niezliczonymi przedstawicielami prawa, Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, a także z pracownikami działu kontaktów z gośćmi Utopii. Całkiem niedawno odbył dziesiątki rozmów telefonicznych z projektantami i informatykami parku. Po raz pierwszy jednak od tych dziewięciu miesięcy miał teraz rozmawiać z Sarah Boatwright. Kiedy widział ją ostatni raz, siedziała na podłodze celi i obejmowała rękami głowę Freda Barksdale'a.

Zastanawiał się, czy ją objąć, lecz w końcu wyciągnął tylko rękę.

— Sarah, co za miła niespodzianka.

Ścisnęła jego dłoń przelotnie, lecz zdecydowanie.

— Zobaczyłam twoje nazwisko na liście przyjeżdżających konsultantów. Postanowiłam przywitać cię osobiście.

— Czy nie powinnaś przypadkiem siedzieć dziś rano na tym spotkaniu... jak ono się nazywa...?

— Odprawa inauguracyjna? Poradzą sobie beze mnie.

Poszli za tłumkiem konsultantów i ich ubranych na białą

przewodników w stronę hali Nexusa. Wame zauważył następny zegar. Wskazywał 0.48.

— Szczerze mówiąc, dobrze jest móc się choć raz wymknąć z zebrania — powiedziała Sarah.

— Mamy istną gorączkę przed obchodami drugiej rocznicy istnienia parku. W dodatku cała ta nowa biurokracja... Jak niejeden urzędnik, to dmgi. To rzeczoznawcy z wydziału ochrony środowiska, to znów przedstawiciele medycyny pracy. Czasami mam wrażenie, jakbyśmy brali udział w konkursie na biurokratę miesiąca.

— Aż tak źle?

— Nawet gorzej. Na szczęście to nie szkodzi interesom. W ostatnim kwartale liczba odwiedzających wzrosła o piętnaście procent. Zajmujemy trzecie miejsce w całym przemyśle rozrywki.

501

Było coś pocrzepiającego w tym monologu Sarah o liczbach i rankingach. Coś się w niej odmieniło, coś w tym słodko-gorzkim spojrzeniu, ale Andrew nie potrafił tego sprecyzować. Przeszli między fontannami, minęli tablicę informacyjną i portal Kamelotu. Dookoła truchtali pracownicy w kostiumach i służbowych strojach, wybiegali i wbiegali przez ukryte drzwi, dopełniając ostatnich obowiązków przed otwarciem. Nieco dalej, przed wejściem do Kallisto, muzyk w kombinezonie kolom rtęci dźwigał instrument przypominający futurystyczną wiolonczelę.

— Chodź — powiedziała Sarah, przerywając milczenie, które za chwilę stałoby się niezręczne.

— Mam coś, co chętnie zobaczysz.

Przeszli obok pasażu sklepików i galerii Oczyma Duszy i Sarah poprowadziła go w kierunku wielkiego sześciokątnego portalu w przeciwległej ścianie Nexusa. Nad wejściem unosił się olbrzymi napis, który sprawiał wrażenie, jakby przelewał się i pływał: „Atlantyda”.

No jasne, pomyślał Wame, zerkając na wodne litery.

Na ich widok gmpka pracowników przy wejściu odsunęła się na bok i przywitała Sarah uśmiechem i skinieniem głowy. Przeszedłszy przez szeroki, niski portal, znaleźli się w miejscu, które Wame'owi przypominało równikową plażę upstrzoną archeologicznymi wykopaliskami. Patrzył zdumiony na siatki pomiarowe, paski z podziałkami liniowymi, kompasy turystyczne z podstawkami i nawet profile glebowe, czyli wszelkie atrybuty profesjonalnego stanowiska archeologicznego. O tej godzinie było tu jeszcze pusto.

— Co to ma być? — spytał Wame.

Sarah spojrzała nań ze zdziwieniem

— Nie widziałeś opisu projektu?

— Tylko krótkie streszczenie. Miałem dość roboty ze specyfikacją techniczną.

— Skopiowaliśmy aktualne stanowisko archeologiczne w Ak-rotiri z dokładnością do zdjęć fotogrametrycznych. Idea jest taka, że goście przechodzą najpierw przez to nowoczesne miejsce wykopalisk w Atlantydzie. To faza „dekompresji”. Potem portal zabiera ich w przeszłość, do złotego wieku miasta. To wejście

502

w świat staraliśmy się skonstruować jak najbardziej realistycznie. Etap produkcji jest już ukończony. Opóźniliśmy otwarcie o miesiąc, aby dopracować kilka... wyrafinowanych szczegółów. Rzuciła mu wymowne spojrzenie.

— To opóźnienie nie jest z mojej winy — odrzekł Andrew.

— Nie powiedziałam, że jest. Kończymy testy trzeciego etapu i jak na razie wszystkie raporty są entuzjastyczne. — Skinęła na niego ręką. — Chodź, pokażę ci samą krainę. Skoro nie widziałeś szczegółowego projektu, czeka cię prawdziwa niespodzianka.

Na drugim końcu wykopaliska weszli do jednej z kilkunastu ogromnych cylindrycznych komór. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, na krótką chwilę ogarnął ich mrok. Potem po obu stronach kabiny rozsunęły się płyty ścianki i Wame zdał sobie sprawę, że ze wszystkich stron otacza ich woda. Na suficie i podłodze migotały zielonkawoniebieskie świetlne cętki. Usłyszał szum, potem delikatne drżenie i po obu stronach zatańczyły łagodne nawałnice bąbelków, kiedy kabina zaczęła opadać.

Andrew odwrócił się do Sarah.

— Tak naprawdę wcale się nie poruszamy, prawda?

— Cicho, nie psuj iluzji.

Daleko na dole, na czymś, co wyglądało jak dno oceanu, zobaczył niewyraźne kształty. Przycisnął twarz do pleksiglasowej szyby. Kształty przeobraziły się w iglice i wieżyczki minaretów fantastycznego miasta. Światła migotały jak klejnociki zniekształcone w głębokiej toni. Światło przygasło i obraz zniknął. Wame odsunął się od szyby.

Nagle z lekkim szarpnięciem kabina stanęła. Z szeptem sprężonego powietrza otworzyły się drzwi po drugiej stronie.

— Chodź — powiedziała Sarah, znów skinąwszy na niego ręką z tajemniczym uśmiechem.

I Andrew wstąpił do raju.

Gdyby kiedyś przyszło mu do głowy zastanawiać się, jak wygląda raj, to stworzyłby sobie taką właśnie wizję.

Stali na szerokim perłowobiałym nabrzeżu. Pod ich stopami łagodnie pluskały fale spokojnego i tak intensywnie błękitnego oceanu, że Wame miał ochotę zanurzyć w nim pędzelek do farb.

503

We wszystkie strony biegły niezliczone pomosty z tego samego, opalizującego tworzywa co nabrzeże. Wznosiły się łagodnym łukiem nad wodą zakreślały w kierunku budynków, wież i srebrzystych falochronów lub ciągnęły się w nieskończoną dal. Na brzegach pomostów rosły egzotyczne palmy i krzewy obsypane jaskrawokolorowym kwieciem. Nieopodal na wodzie podskakiwało kilka drewnianych łodzi o wysokich, eleganckich dziobach w kształcie łabędzi. Tu i ówdzie z wody wyskakiwały srebrzyste rybki, a słońce migotało w ich łuskach. Ponad wszystkim wznosiła się kopuła, a nad nią czyste, błękitne niebo.

Sarah bez słowa powiodła Andrew ku najbliższej marmurowej ławce stojącej pod rozłożystą palmą. Wame usiadł oczarowany. Na twarzy czuł świeży, lekki wietrzyk, chłodny i orzeźwiający, który w tajemniczy sposób niósł ze sobą zapach obietnicy. Być może właśnie ten zapach wywoływał wrażenie, jakby z oceanu powstało odwieczne miasto jako dar specjalnie i tylko dla niego.

— No i co o tym myślisz? — usłyszał słowa Sarah.

Pokręcił głową.

— Wspaniale. Doskonale.

Sarah uśmiechnęła się zadowolona z komplementu.

— To dobrze, ponieważ spędzisz tu większą część najbliższego tygodnia. Nie oszczędzaliśmy na żadnych wydatkach. Niektóre efekty wodne, jakie wymyślili nasi inżynierowie, trzeba było zobaczyć na własne oczy, żeby w nie uwierzyć. Przypuszczamy, że jedna z wodnych kolejek, Ostatnie Chwile Pompei, będzie ściągać największe tłumy. Może o niej słyszałeś? Udoskonalili naszą technikę holograficzną tak, aby w każdym wagoniku wyświetlić hologram Erica Nightingale'a i...

Nagle pod ich stopami coś się zakotłowało i spod wody wytrysnęła spieniona fontanna. Potem na wierzch wypłynął wielki, długi łeb. Po łuskowatych bokach spływała piana i Wame zobaczył wlepione w siebie, pozbawione powiek, niemrugające ślepie.

Uśmiechnął się szeroko.

— Ach, więc tu jesteś — powiedział.

Morski stwór patrzył nań uważnie i coraz bardziej wynurzał się z toni, centymetr po centymetrze, wysoki, gładki i błyszczący

504

monstrualny wąż. W jego skórze, mieniającej się opalizującym blaskiem, odbijała się roziskrzona powierzchnia morza. Z siateczki mechanicznych płetw kapały perliste krople wody. Przez chwilę stwór zamarł w bezruchu, jakby unosił się na morskiej pianie, po czym w mgnieniu oka zakręcił się w kółko i pomknął, podskakując na wodzie.

Wame pokręcił głową. Do tej pory miał okazję przetestować stwora tylko w wielkim basenie w Carnegie-Mellon, wysłuchując protestów instruktora pływania. Zbudowanie wodnego robota na miarę utopijnej Atlantydy, z inteligencją delfina i płynnością mchów węgorza, było jak dotąd jego największym życiowym wyzwaniem, ale miał przynajmniej bardzo wydatną pomoc. Mimo to popełnił więcej falstartów i przeżył więcej nocnych maratonów, niż chciałby przyznać. Ale efekt końcowy, czyli Lady Macbeth, jak nazwali ten prototyp, był jego największym sukcesem w dziedzinie sztucznej inteligencji. I warto było podjąć ten cały trud, aby zobaczyć ją w tym morskim przestworze. Było to jak objawienie.

Niespodziewanie robot przestał skakać i zniknął pod wodą. Na moment wszystko ucichło, aż nagle w oddali wystrzelił w powietrze z rozwartą szczęką w której połyskiwały lśniące zęby. Z rykiem zionął długim językiem purpurowego ognia, po czym znów zanurzył się w wodzie. Później jeszcze kilka razy wyskoczył w blasku słońca, zanim unosząc się na morskiej pianie, podpłynął do ławki, gdzie siedzieli, i wypuszczając z nozdrzy cienkie strumienie dymu, patrzył na nich, jakby czekał na pochwałę.

— Czym by była Atlantyda bez węży morskich? — mruknął Wame. Odwrócił się do Sarah. — Była grzeczna?

— Od momentu, kiedy ją przysłałeś, jest na beta-testach. Z tego, co słyszałam, wszystkie cogodzinne występy przebiegały bez usterek. Natomiast nabrała jednego złego nawyku.

— Jakiego nawyku?

Sarah wskazała węża głową.

— Obserwuj ją to zaraz zobaczysz.

Wame zmarszczył brwi.

— Hm, dwa pierwsze modele produkcyjne czekają na lotnisku.

505

Przyleciały wczoraj samolotem transportowym. Dopilnuję ich instalacji i zabiorę Lady Macbeth z powrotem do laboratorium. Poszukam ewentualnych przecieków i anomalii.

Umilkł. Nagle wydało mu się niewiarygodnie dziwne, że siedzi z Sarah na ławce w Utopii. Ostatnim razem wezwano go tu, aby przeprowadził lobotomię swych kapryśnych robotów i zdeaktywował metasieć. Wdały się jednak w sprawę inne siły. A dzisiaj, o ironio losu, historia zatoczyła koło. Andrew zrobił bardzo widoczny postęp w swoich pracach badawczych nad zdolnością uczenia się maszyn. Jego teorie, niegdyś uważane za radykalne, stawały się obowiązującą normą, a dziś wrócił tu, by instalować nowe, lepsze i inteligentniejsze roboty. Odchrząknął i wskazał gestem migotliwy krajobraz podwodnego miasta.

— To naprawdę robi ogromne wrażenie, Sarah. Możesz być z siebie dumna.

Sarah kiwnęła głową.

— Zbudowaliśmy najnowocześniejszy system cyrkulacji, który rozprowadza pięćdziesiąt tysięcy litrów wody na minutę. Władze Wenecji poprosiły nas o monografię. Kiedy za miesiąc otworzymy Atlantyde, wszystkie inne parki wodne w mgnieniu oka staną się przestarzałe. — Urwała i rozejrzała się dookoła. Jej brązowe włosy unosiły się na delikatnym wietrze. — Poradzimy sobie — zakończyła bardzo cicho.

Andrew odwrócił głowę i popatrzył na nią. Nadal się uśmiechała, lecz jej silne, przejrzyste oczy były smutne. I nagle odkrył, co takiego nowego uderzyło go w Sarah. Od kiedy ją poznał, emanowała instynktowną niemal agresywną pewnością siebie. Czuł ją w dalszym ciągu, niczym ciepło promieniujące od kok-sownika, ale straciła na ostrości, stała się bardziej zawoalowana, jakby wskutek gorzkich doświadczeń.

W czasie podróży z Pittsburgha zastanawiał się, co powiedzieć, kiedy nadejdzie ten moment, tymczasem pośród tych wodnych wspaniałości przysły mu do głowy tylko najprostsze słowa.

— Jak się czujesz, Sarah? — spytał.

Sarah nie odrywała oczu od wieżyczek Atlantydy.

— Dobrze. Z początku było gorzej, ale teraz już jest w porządku,.

506

— Kiedy się nie odzywałaś, nie odpowiadałaś na telefony, martwiłem się, że... — przerwał. — Martwiłem się, że nie możesz mi wybaczyć. Barksdale'a.

— Bo nie mogłam. Z początku nie mogłam. Ale teraz już ci wybaczyłam.

W końcu odwróciła się i popatrzyła na niego.

— Pomogłeś to wszystko ocalić. Ten park jest teraz całym moim życiem, powinnam być ci wdzięczna. Tylko że czasem to jest takie trudne.

Odwróciła głowę. Wam obserwował ją przez jakiś czas, po czym popatrzył na morze, na figlującą w wodzie Lady Macbeth.

— Wiesz — powiedział powoli — to nie ja w końcu ocaliłem Utopię, tylko Wingnut. — Urwał, odtwarzając w pamięci ostatnie sceny, które rozegrały się w korytarzu na poziomie C.

Sarah rzuciła mu pytające spojrzenie.

— Peccam pewnie opowiedział wszystko waszym ludziom.

0 ładunkach wybuchowych na plecach Wingnuta, o echolokatorze zamocowanym do samochodu.

Sarah kiwnęła głową.

— Ale echolokator się roztrzaskał i Wingnut zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię, kiedy stracił sygnał. Cały plan mało się nie zawalił. Wtedy, nie mając żadnego innego wyjścia, powiedziałem „goń”. I on to zrobił. Pognał w stronę samochodu

1 wysadził go w powietrze.

Sarah ponownie skinęła głową.

— Tylko że nikt go nigdy nie uczył komendy „goń”. Przeciwnie, wprowadziłem mu mechanicznie polecenie „nie goń”, a on w jakiś sposób przeprowadził analizę składniową komendy i ustalił właściwą czynność, która miała zostać wykonana. Nie mogłem tego zrozumieć. Czy wywnioskował to z tonu głosu? Z gestu? Czy też ta zdolność tkwiła w nim cały czas, tylko wymagała odpowiedniego bodźca, aby się uaktywnić? Kiedy się dowiedziałem, że nie reaktywujecie Lodołamacza, poprosiłem Terri, żeby wysłała mi do Pittsburgha jego układ sterujący. Doszedłem do wniosku, że tamta agresywna reakcja w łodziach była skutkiem wirusa

wprowadzonego przez Johna Doe, a ja go przedwcześnie uruchomiłem. Na szczęście udało mi się go wyłączyć,

507

zanim zdążył zrobić komuś krzywdę. Tak mi się przynajmniej zdawało.

— I co?

— Kiedy sprawdziłem jego wewnętrzne rejestry, okazało się, że co do wirusa miałem rację. Rzeczywiście został wprowadzony i rzeczywiście przedwcześnie go uaktywniłem. Ale pod jednym względem moje domysły się nie potwierdziły: ja go wcale nie wyłączyłem. Wyłącznik nie został aktywowany. Tylko że to nie miało sensu. Lodołamacz nie mógł się tak po prostu sam wyłączyć. Nie miał takiej zdolności.

— Mógł za to doprowadzić do przeciążenia swojej sieci neuronowej — wpadła mu w słowo Sarah. — Wymusić wyłączenie systemu. Zrozumiał, że to, co robi, jest złe, niezgodne z jego poprzednim oprogramowaniem. I przedsięwziął odpowiednie środki. Innymi słowy, nauczył się przeciwdziałać własnym błędom.

Wame wytrzeszczył na nią oczy.

— Wiedziałaś o tym?

— Czytałam poufną białą księgę, którą nam wysłałeś w tej sprawie, a także twój artykuł w prasie fachowej. „Proces uczenia się maszyn w warunkach stresogennych”. Kiwnęła głową w stronę Lady Macbeth. — Dlatego właśnie nie braliśmy nawet pod uwagę, aby ktoś inny ją zbudował.

— Tak? A ja myślałem, że to przez ten artykuł na mój temat z okładki „Robotyki”.

Sarah uśmiechnęła się przelotnie.

Wame wyciągnął nogi, włożył ręce do kieszeni. W spokojnej toni przepłynęła ławica ryb. Lady Macbeth beknęła ogniem i pognała za rybkami, które rozpierzchnęły się na wszystkie strony.

— Co to było? — spytał zaszokowany Andrew. — Czegoś takiego nie miała w oprogramowaniu.

— To właśnie ten nawyk, o którym ci mówiłam — odparła Sarah. — Jedyne zakłócenie, które stwierdzili nasi technicy. Uwielbia gonić ryby.

xxx

Centrum Transportowe, urządzone w jasnym drewnie i chromowanej stali, zaczęło się wypełniać gośćmi, krążącymi niecierp-

508

liwie za szybami kas, czekającymi, aż wybije magiczna godzina dziewiąta. Wame przeciskał się między nimi z Sarah i rozglądał za Georgią. Zauważył ją przy metalowej kolumnie niedaleko drzwi. Machała nogą w przód i w tył, rozglądając się ze słuchawkami w uszach i kiwając głową w niesłyszalnym rytmie.

Obok niej stała Terri Bonifacio. Jaskrawe światło słoneczne sączące się z nieba nadawało głębokim, ciemnym włosom Filipinki złotawy połysk. Kątem oka zobaczył, że Sarah przystaje. Ona również je zobaczyła. Podeszła do Georgii swoim szybkim, zdecydowanym krokiem.

— Cześć, Georgio — powiedziała, kładąc dziewczynce dłoń na ramieniu. — Co słychać?

— Do kim — padła odpowiedź.

— Dlaczego?

— Bo cały czas tu czekam. Tata nie pozwolił mi wejść do środka.

Sarah zerknęła na Warne'a ze zdziwieniem.

— Uznałem, że powinniśmy zacząć pomału — powiedział Andrew. — No wiesz, zbadać grunt, pierwszego dnia dojść tylko do Centrum Transportowego. Jak widać, nie miałem powodu do obaw, więc jutro przyjedziemy i zrobimy wszystko jak należy.

Sarah odwróciła się z powrotem do Georgii.

— Wpadnij do mnie w wolnej chwili. Jeśli nie trafi mi się żadne spotkanie, to oprowadzę cię po Atlantydzie.

Georgia popatrzyła na nią z ożywieniem.

— Tata mi o niej opowiadał. Musi być super.

Sarah przytrzymała dłoń na ramieniu dziewczynki, kiedy odwracała się do Terri.

— Miło cię widzieć — powiedziała. — Jak ci się podoba nowa praca?
— Cudowna. Mam tyle roboty w Carnegie-Mellon, że ledwo nadążam — odrzekła Terri z uśmiechem, od którego promieniała jej cała twarz. — Andrew zarzucił mnie badaniami po szyję. — Wame poczuł delikatne ukradkowe ściśnięcie dłoni. — Gdyby jeszcze mieli tam kasyno i wesołe miasteczko, byłabym w siódmym niebie.
— No cóż, nie można mieć wszystkiego.

509

— Wiem. Dlatego zadowolę się trzema darmowymi przepustkami do parku na jutro.
— Macie je jak w banku.
Wame przysłuchiwał się z uwagą tej rozmowie, obawiając się niezręcznej sytuacji, ale do niczego takiego nie doszło. Sarah odwróciła się do niego z uśmiechem.
— Powinnam poszczuć cię psami za to, że pomogłeś Carnegie-Mellon ukraść nam Terri.
— Zawsze możecie wykraść ją z powrotem.
— Będę o tym pamiętała — odparła, przyglądając mu się. — Daj nam tylko trochę czasu.

xxx

Przed głównym wejściem uwijali się już parkingowi, dyrygując mchem stu samochodów na minutę. Sarah odprowadziła ich do wynajętego samochodu, gawędząc po drodze z Georgią. Dzień był jak rzadko w Nevadzie ciepły, lecz nie gorący.

Wame przyciągnął do siebie Terri.

— To'ty wprowadziłaś Lady Macbeth ten numer ze ściganiem ryb, kiedy nie patrzyłem, prawda? Nieznośna z ciebie dziewczynka. Zobaczysz, dostaniesz klapsa, kiedy wrócimy do motelu.
— Obiecanki cacanki. Poza tym Wingnut na pewno by sobie tego życzył.

Wame odwrócił się do Sarah.

— Wiesz, nigdy nie miałem żadnych wieści od Poole'a.

— Ja miałam.

— Naprawdę?

— Kilka miesięcy temu przyszła od niego pocztówka. Bez żadnego podpisu, bez adresu zwrotnego, tylko stempel z Juarez. Chciał wiedzieć, czy ta dożywotnia wejściówka jest nadal aktualna.

Wame roześmiał się i potrząsnął głową.

— Lepiej usiądź ze mną z tyłu! — zawołała Georgia do Terri, kiedy podeszli do samochodu. — Jeszcze nie skończyłam.

— Czego nie skończyłaś? — spytał Andrew.

510

— Namawiać Terri, żeby pojechała z nami jutro Wrzeszczącą Maszyną

— Nie ma mowy — odparła natychmiast Terri.

— Musisz. Bez ciebie to nie będzie żadna frajda.

— Mówiłam ci, że nie znoszę kolejek górskich.

— No, chodź.

Terri zawahała się i spojrzała na dziewczynkę z ukosa.

— A oddasz mi tę płytę Brubecka, którą pożyczyłaś trzy miesiące temu?

— Dobra.

— I Arta Tatum?

Georgia skrzywiła się niechętnie.

— No, dobrze.

— W takim razie pomyślę.

Sarah wybuchła śmiechem i przytrzymała Georgii drzwiczki. Patrzyła, jak dziewczynka przypina się pasami, potem schyliła się i uściskała ją mocno.

— Trzymaj się, Georgio — powiedziała.

— Mówiłaś poważnie o tej Atlantydzie? — spytała dziewczynka.

— Oczywiście. Wpadnij do punktu obsługi gości. Twój tata zna mój wewnętrzny.

Sarah podeszła do drzwi kierowcy i oparła się o otwarte okno. Nie miała makijażu, a w słonecznym

blasku jej oczy nabrały jadeitowej barwy.

— Powodzenia przy instalacjach — powiedziała. Andre wyciągnął szyję i pocałował ją w policzek.

— Pewnie zobaczymy się gdzieś w parku. Wyprostowała się i z uśmiechem skinęła głową. Wyjeżdżając z parkingu w kierunku Las Vegas, widział ją w lusterku wstecznym — stała z dłonią wzniesioną na pożegnanie nieruchomo niczym połączony cień na tle fasady w stylu art deco.

Polecamy thrillery Lincolna Childa

EDEN

Podwójne samobójstwo - tylko tak można wytłumaczyć śmierć dwojga ludzi, znalezionych we własnym apartamencie. Byli idealną parą skojarzoną przez Eden Incorporated, matrymonialne biuro przyszłości, posługujące się supernowoczesnymi technikami wykorzystującymi „sztuczną inteligencję” i zapewniającymi prawie stuprocentową zgodność wszystkich cech potencjalnych partnerów. Co popchnęło ich do tego czynu? Chcąc uniknąć ewentualnej kompromitacji, która mogłaby się odbić na reputacji i dochodach biura, jego szef, tajemniczy geniusz komputerowy, zatrudnia Christophera Lasha, byłego agenta FBI, specjalistę od portretów psychologicznych. Śledztwo nie ujawnia niczego podejrzanego, ale sytuacja zmienia się, gdy ginie następna „idealna” para skojarzona przez Eden. Jeszcze jedno samobójstwo, czy jednak morderstwo? Dalsze zgłębianie tajemnic Edenu, które (jak się okazuje) nie powinny ujrzeć światła dziennego, może okazać się dla Lasha zabójcze...

GŁĘBIA

W czasie rutynowego odwiertu pracownicy położonej nieopodal Grenlandii platformy wiertniczej rejestrują niezwykle sygnał pochodzący spod ziemskiej skorupy. Z inicjatywy USA na dnie oceanu powstaje pilnie strzeżona naukowa stacja badawcza Głęboki Sztorm. Czy w głębinie znajdują się ruiny starożytnej Atlantydy? A może pozostały tam ślady pozaziemskiej cywilizacji - źródło ogromnej energii, nadające się do wojskowego wykorzystania? Kiedy mieszkańcy stacji zaczynają zapadać na niewytłumaczalną chorobę, admiralicja sprowadza na pomoc doktora Petera Crane'a. Już po krótkim pobycie na dole Crane zaczyna podejrzewać, że ma do czynienia z czymś znacznie poważniejszym i bardziej zabójczym, niż typową epidemią. Nie wie jeszcze, że cztery kilometry morskiej toni kryją tajemnicę tak przerażającą, że wykracza ona poza wszelkie ludzkie wyobrażenia...